

Szymon Pilecki

Chłopiec z Leśnik

Dziennik z lat 1939–1945

Bitk 2009

Copyright © 2009 by Bitik,
Oficyna Wydawnicza Związku Karaimów Polskich
www.karaimi.org
info@karaimi.org

Redakcja tekstu, opracowanie przypisów oraz not biograficznych:
Mariola Abkowicz, Adam Dubiński,
Konstanty Pilecki, Anna Sulimowicz

Opracowanie graficzne: Adam Dubiński
Na okładce — autor wykonujący akrobacje na rowerze
przed domem w Leśnikach, sierpień 1942.
IV str. okładki — autor w sierpniu 1941.
Tło — wykorzystano oryginalny zeszyt z lat 1939–1945.

Skład i łamanie: Mariola Abkowicz

Przedruk i reprodukcja w jakiegokolwiek postaci całości lub części książki
bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

Zrealizowano dzięki dotacji
Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Druk Paper & Tinta
www.papertinta.home.pl

ISBN 978-83-920068-7-9

Od Redakcji

Prof. dr hab. Szymon Pilecki, urodzony w Trokach 16 lipca 1925 roku. Inżynier, pułkownik Wojska Polskiego obecnie w stanie spoczynku. W latach 1951–1968 pracownik naukowy Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, a od roku 1970 do przejścia na emeryturę — Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN, ostatnio jako kierownik Zakładu Akustyki Fizycznej. Specjalista w dziedzinie inżynierii materiałowej, konstruktor, ekspert z zakresu techniki lotniczej i kosmicznej, badający ciała stałe i procesy pękania metodami akustycznymi, twórca m.in. dyfuzyjnej teorii zmęczenia metali. Kierownik wielu projektów badawczych, autor blisko dwustu publikacji. Od 1993 roku profesor zwyczajny PAN.

Członek Aeroklubu Polskiego — pilot szybowcowy i samolotowy, skoczek spadochronowy.

Niestrudzony działacz społeczności karańskiej, od 1975 roku Przewodniczący Zarządu Karańskiego Związku Religijnego w RP. Aktywny uczestnik i animator licznych przedsięwzięć związanych z życiem religijnym i kulturalnym społeczności karańskiej w Polsce.

Dla przyjaciół i znajomych — Sławek.

Dziennik. Stos luźnych, ponumerowanych kartek o zniszczonych, zaگیętych rogach, pożółkły papier, zmieniające się kolory atramentu, miejscami niemal nieczytelny zapis miękkim ołówkiem.

Minęło właśnie siedemdziesiąt lat od pierwszego wpisu dokonanego w *Dzienniku* ręką młodego karańskiego chłopca.

Jest rok 1939. Chłopiec ma zaledwie czternaście lat, a Leśniki to odległa o kilka kilometrów od podwileńskich Trok mała osada, w której ojciec autora jest leśniczym.

Dziś, u schyłku pierwszej dekady XXI wieku *Dziennik* ukazuje się drukiem. Przetrwał. Przetrwał wraz z autorem zawieruchę historii, przetrwał czasy, w których za mniej jednoznaczne opinie i poglądy łatwo traciło się wolność, a nierzadko i życie.

Wpisy w nim zawarte dotyczą zarówno życia osobistego i rodzinnego młodzieńca ze społeczności karaimskiej, jak i sytuacji gospodarczej, politycznej i międzynarodowej Polski i Wileńszczyzny podczas II Wojny Światowej w obliczu zmieniających się rządów, ustrojów, przechodzących wojsk i frontów. *Dziennik* jest kopalnią wiedzy o życiu codziennym na Wileńszczyźnie w trudnych wojennych latach, opisywanym z punktu widzenia romantycznego i wrażliwego młodzieńca-humanisty, który później miał stać się... naukowcem w zakresie nauk ścisłych, autorem m.in. *Encyklopedii Lotnictwa i Kosmonautyki*.

Czytając *Dziennik*, obserwujemy, jak wraz z upływem lat kolejne wpisy ze skrótowych rejestracji faktów dokonywanych ręką 14-latka stają się dojrzałymi komentarzami do wydarzeń otaczającego go świata w zakresie życia codziennego i wydarzeń politycznych czynionymi przez szybko dorastającego młodzieńca. Nie należy jednak przy tym zapominać, iż w chwili opuszczenia Wileńszczyzny ma on zaledwie 20 lat. Mimo młodego wieku autora *Dziennik* zawiera niezwykle wnikliwe i dojrzałe obserwacje, opinie i poglądy. Znajdujemy w nim zarówno odbicie uczuć autora do ludzi i otaczającego go świata, jak i wrażliwe opisy zmieniającej się przyrody, obrazy życia codziennego w Wilnie i w miejscowościach podwileńskich, systemu szkolnictwa, lokalnych wydarzeń politycznych (rządy sowieckie i litewskie, terror NKWD, okupacja niemiecka, utworzenie Litewskiej SRR). Wiele stron poświęconych jest komentarzom dotyczącym globalnych wydarzeń politycznych (wojna polsko-niemiecka, wojna sowiecko-niemiecka, Zbrodnia Katyńska, katastrofa w Gibraltarze itp.), a także nadziejom na odzyskanie przez Polskę niepodległości w jej dawnych, przedwojennych granicach. Na kartach *Dziennika* wyraźnie pobrzmiewają echa niełatwych stosunków polsko-litewskich w dwudziestoleciu międzywojennym i w okresie wojny, czego przejawem jest niezwykle wyrazisty stosunek młodego autora do władzy litewskiej i jej aktualnych reprezentantów. Nie mniej zaangażowania i emocji budzą w autorze poczynania władz sowieckich zaprowadzających na Wileńszczyźnie „nowe porządki”, które w konsekwencji miały stać się przyczyną opuszczenia przezeń rodzinnych stron.

Dziennik stanowi unikalne źródło ukazujące społeczność karaïmską w przełomowym dla niej okresie. Dylemat wyjazdu lub pozostania w rodzinnych stronach, tak trudny dla wszystkich mieszkańców kresów wschodnich, jest dla członków mało licznej wspólnoty karaïmskiej szczególnie dramatyczny. *Dziennik* ukazuje w szerszym kontekście stosunek międzywojennego pokolenia młodzieży karaïmskiej do Polski i polskości. Autor, podobnie jak współcześni mu Karaïmi na Wileńszczyźnie, jest aktywnym uczestnikiem karaïmskiego życia religijnego, kulturalnego i społecznego, a jednocześnie widzimy jego nierozzerwalny związek i pełną identyfikację z polsnością w jej aspektach historycznych, politycznych i kulturowych. Członek społeczności karaïmskiej nie przestaje być żarliwym polskim patriotą.

Rękopis zawiera 558 stron formatu A5 wypełnionych niezwykle drobnym pismem. Autor rozpoczyna swój pamiętnik 20 września 1939 r., trzy dni po zajęciu Wileńszczyzny przez wojska sowieckie. *Dziennik* jest pisany skrupulatnie (zawiera ponad tysiąc wpisów) przez cały okres wojny do roku 1945, do momentu opuszczenia przez autora Wileńszczyzny. Dodatkowo w *Dzienniku* znajdujemy po jednym wpisie z lat 1946 i 1947 dokonany już na terenach Polski w jej nowych, powojennych granicach, w nowym ustroju.

Przygotowując tekst *Dziennika* do publikacji, starano się ograniczyć do minimum ingerencje redaktorskie, niemniej jednak zmieniające się przez dziesięciolecia normy językowe wymogły zastosowanie nieznacznych korekt. Uwspółcześniono pisownię wyrazów, a formy uważane dziś za archaiczne lub przestarzałe, zapisano we współczesnym ich brzmieniu (na przykład formy dopełniacza liczby mnogiej od takich wyrazów jak: lekcja, manifestacja, operacja, które w oryginale miały formę lekcyj, manifestacyj, operacyj, zapisano według obecnie obowiązującej normy). Przestarzałe formy przymiotników i zaimków w przypadkach zależnych, np. w spalenem, o tem, zastąpiono odmianą współczesną, pozostawiono zaś bez zmian formy językowe stanowiące odzwierciedlenie regionalizmów i gwary śródowiskowej. Tekst opatrzony jest przypisami wielokrotnie konsultowanymi z autorem. Po kilkudziesięciu latach od dokonania wpisów identyfikacja niektórych osób, kryptonimów i sytuacji okazała się jednak niemożliwa. Nawiasami kwadratowymi oznaczono w tekście miejsca wtrąceń lub pominięć redakcyjnych. Dla jasności narracji w niektórych miejscach dodano obok imion nazwiska lub przydomki opisywanych osób. Przyjęto jednak zasadę, iż pierwsze wystąpienie w tekście danej osoby opatrywane jest przypisem z podstawowymi danymi biograficznymi. Na końcu książki zamieszczono *Indeks członków społeczności karaïmskiej występujących*

w *Dzienniku*, w którym podawane są m.in. powiązania rodzinne osób występujących w tekście, a także, w niektórych przypadkach, poszerzone informacje biograficzne o opisywanych postaciach. Z oczywistych względów w przypisach więcej uwagi poświęcono występującym w *Dzienniku* osobom narodowości karańskiej. Ilustrujące tekst fotografie pochodzą ze zbiorów Szymona Pileckiego. W kilku miejscach usunięto przejawione opinie powodowane emocjami chwili, pewne fragmenty z kolei pominięto na życzenie autora. W rękopisie pojawiają się wyrazy i zdania w językach rosyjskim, litewskim, niemieckim, karańskim. Przyjęto zasadę, iż przedstawione są one w formie zapisu autorskiego, zaś fragmenty w języku rosyjskim, niezależnie od użytego przez autora alfabetu, zapisywane są w uproszczonej, fonetycznej transkrypcji łacińskiej. Język *Dziennika* stanowi przykład polszczyzny pełnej regionalizmów, okraszonej wieloma zapożyczeniami i kalkami językowymi głównie z języka rosyjskiego, co w wypadku mieszkańca Wileńszczyzny jest rzeczą jak najbardziej naturalną. Autor sporadycznie używa też słów i wyrażeń w języku karańskim, zrozumiałych dla bardzo wąskiego kręgu odbiorców, dlatego oprócz wyjaśnienia znaczenia filologicznego, zostały one niekiedy opatrzone informacjami dotyczącymi ich kontekstu kulturowego.

Jako dopełnienie *Dziennika* prezentujemy fragmenty opisu losów autora, spisanych przezeń na potrzeby publikacji *Politechnika Wrocławska we wspomnieniach pierwszych absolwentów*. „Moja droga do Politechniki Wrocławskiej”, Wrocław 1991, s. 155–166. Tekst ten ukazał się również w czasopiśmie *Awazymyz*, nr 1(12) 2006, s. 3–7. Jeden niewielki fragment tej publikacji, w którym autor wspomina czasy przed zamieszkaniem w Leśnikach, zamieszczamy poniżej, w charakterze wstępu do *Dziennika*. Inny zaś, odnoszący się do lat powojennych — na końcu, jako swojego rodzaju epilog barwnego, choć niełatwego wojennego etapu życia Szymona Pileckiego.

Adam Dubiński

* * *

Ojciec mój był leśniczym, toteż dzieciństwo spędziłem w prawdziwej kresowej puszczy: 25 km od stacji kolejowej (Marcinkańce), 12 km od sklepu i 4 km od najbliższej zamieszkałej chaty. Same odległości to jeszcze nie wszystko — te kilometry, to „drogi” przez głuchy las, bagna i moczary, których wiosną i jesienią nie sposób było przejechać inaczej niż konno. Latem — furmanką, przeważnie groblami, tzn. błotnistymi drogami wyłożonymi w poprzek niezbyt grubymi kłocami drzew. Zimą odległości były znacznie mniejsze, gdyż zamiast okrążyć rozlewiska, jechało się przez nie na skróty. Do dziś pamiętam wycia wilków rozlegające się w księżycowe zimowe wieczory, zdawało się tuż, tuż — za płotem. W pamięci tkwią też postacie sąsiadów, szczególnie jednego, i to nie z racji jakichś niezwykłych cech ubrania (zgrzebna, samodziałowa bielizna i cały wierzchni ubiór własnego wiejskiego wyrobu) czy obuwia (łapcie z wierzbowego łyka), gdyż było to normalne, tak ubierała się cała miejscowa ludność, ale z racji mis-trzowskiego opanowania sztuki niezawodnego i szybkiego rozniecania ognia za pomocą krzesiwa.

Kiedy już dorosłem do szkół, ojciec został przeniesiony bliżej Wilna [do Leśnik...]

1939

Dnia 20 września 1939 roku, środa. U nas w Leśnikach¹ po prostu sądny dzień. Chłopi ze Starych Trok, Strakiszek, Żukiszek itd. od samego rana rozchwytywali deski, opałki, budulec, no i wreszcie kopalniaki. Nareszcie p. Urbanowicz² przysłał kilku nierozbrojonych żołnierzy, którzy z trzech furmanek zrzucili kłody, no i pojechali na nich (nie na kłodach!) do Rudziszek. Przyszedł jeden żołnierz z Wilna i opowiadał o bitwie w Wilnie na Roszie. Oficerowie puciekali. Z 200 żołnierzy zostało dziewięciu. Bolszewicy rozbijają Polaków. Żydzi zrywają żołnierzom oznaki.

Dnia 21 września 1939 roku, czwartek. O dniu! Na ciebie czekał świat cały. W Ameryce kongres! Wojna czy pokój? Kongres ten był naznaczony na 14 IX, ale potem został odłożony. Na placu spokojnie. Ciągłe idą rozbrojeni żołnierze polscy. Żal patrzeć! Idą od granicy litewskiej. Pozostawiali przy niej wozy, samochody, rowery, karabiny, maszynki³, tabory z żywnością. Kto by to zliczył. Opowiadał p. Pronaszko⁴ o tym.

Dnia 22 września 1939 roku, piątek. Ciocia Asia⁵, która przeniosła się z leśniczówki do Trok i jeździła dziś do Ropiej⁶. Ludność rozebrała w leśniczówce płytę i okna. Polacy, psia krew! Tala⁷ była w Trokach piechotą. Goszczą już tam „tawariszczy”. Ja targowałem z pastuchem Tomaszewicza karabin (Zenek⁸ sobie kupił za 1,5 zł). On chciał 2 zł, ja dawałem 1. Zresztą, po co mnie on. Będę bił „tawariszczów” z floweru⁹. Jeszcze lepiej, bo cicho. Zaczęli¹⁰ chodzić pociągi. Traktem rudziskim szedł czołg rosyjski.

¹ Miejscowość pod Trokami na Wileńszczyźnie, gdzie ojciec autora był leśniczym.

² Zygmunt Urbanowicz, leśniczy w Bobrowce.

³ Tu: karabiny maszynowe.

⁴ Dyżurny ruchu na stacji kolejowej w Leśnikach.

⁵ Asia (Asienat) ze Szpakowskich Pilecka (1906–1980), żona stryja autora, Michała Pileckiego.

⁶ Ropieje, miejscowość na drodze Wilno-Grodno, w której znajdowała się leśniczówka Michała Pileckiego.

⁷ Natalia z Pileckich Kobecka (ur. 1922), siostra autora.

⁸ Zenon Mataczyno, syn gajowego.

⁹ Flower — rodzaj małokalibrowego karabinka.

¹⁰ W niektórych wypadkach zachowano pisownię oryginału.

Dnia 23 września 1939 roku, sobota. Ponieważ pociągi chodzą, wybraliśmy się do szkoły. Jednak pociąg poszedł o 15 min. wcześniej niż chodził przed bolszewikami i spóźniliśmy się. Był p. Soroka i opowiadał, że bolszewicy byli w St. Trokach. Rewidowali kościół i plebanię. Oficer kurzył papieros w kościele. Poszedłem do Trok. Jutro *urucz*¹¹.

Dnia 24 września 1939 roku, niedziela. Byłem w kienesie¹² przez cały dzień, bo był *urucz*. Wieczorem przyjechał Wacek¹³ i pojechałem ze wszystkimi do Leśnik.

Dnia 25 września 1939 roku, poniedziałek. Pojechałem pierwszy raz za czerwońców do sztyby¹⁴. Tam wszystko jak za Polaków. Łacinista pytał i jak zawsze stawiał dwóje. Tatuś¹⁵ był w D.L.P.¹⁶ W szkole nie można stać przy oknach.

Dnia 26 września 1939 roku, wtorek. Do Wilna przyjechała jakaś czerwona oferma. Nie puszczali nas na dworzec (bali się pewno, żeby ktoś nie wywalił ją w powietrze. Pierony! Tchórze!!!) Ale przyjdzie jeszcze czas na swołaczów¹⁷.

Dnia 27 września 1939 roku, środa. Wczoraj była p. Gąsiorowska. Mąż na froncie i nie ma od niego żadnych wiadomości. Pojechała dziś do Wilna. W sztybie na geografii pani „psorka” opowiadając ciągle dochodzi do wniosku, „Co za różnica (powiada) między człowiekiem wolnym a niewolnikiem, nie macie pojęcia”. U Sosnowskiego, byłego naszego połownika¹⁸, czterech synów na froncie. Nic nie ma od nich. „Nie takie to chłopcy, żeby się dali rozbroić” — powtarza. Pan Bóg wie, może już gdzie zginęli za Rzecz Świętą — Polskę. U pastuchów Uściłły (wyśledziwszy ich schovek) chapnąłem karabin, który 22-go targowałem i oddałem Tatusiu.

Dnia 28 września 1939 roku, czwartek. Pani Gąsiorowska pojechała do Podbrodzia. Warszawa poddała się. Bohaterzy! Bez światła, wody, jedzenia i mieszkań bronili się trzy tygodnie, wśród nieustającego ognia artyleryjskiego i bombardowania z samolotów. Historia o nich pisać będzie.

¹¹ *Urucz* — post, karański dzień uroczysty.

¹² Kienesa (kar. *kien*) — świątynia karańska.

¹³ Kolega z sąsiedztwa.

¹⁴ Sztyba — w gwarze uczniowskiej: szkoła.

¹⁵ Aleksander (Awiezier) Pilecki (1897–1971), syn Szymona, zarządcy Malowanki.

¹⁶ Dyrekcja Lasów Państwowych.

¹⁷ Swołocz, swołacz — z ros.: łotr, łobuz.

¹⁸ Połownik — osoba uprawiająca rolę innego właściciela w zamian za połowę zbiorów. Karańscy posiadacze (najemcy) działek na gruntach zwanych Polami Karańskimi, uprawiali najczęściej ziemię za pośrednictwem chłopów uzyskujących połowę zbiorów. Rodziny połowników były bardzo często przez lata i pokolenia związane z karańskimi właścicielami gruntów.

Dnia 29 września 1939 roku, piątek. Wojska niemieckie mają dziś wejść do byłej stolicy Ojczyzny. Same gruzy. Ribbentrop poleciał do Moskwy. Pewno już coś knują. Nie wiem tylko, czy się im co uda. Linia Siegfrieda złamana.

Dnia 30 września 1939 roku, sobota. U pana Soroki byli „czerwońcy”. Zabiliśmy byka na mięso. Zabrali siana i koniczyny. Talka wozi ciągle produkty „psorkom”. U nich w klasie był wizytator — bolszewik. Ciągłe o chłopach. Niemcy zawarli z ZSRR układ gospodarczy i jeżeli Anglia z Francją nie zaprzestanie (na pewno) działań wojennych, ZSRR przyjdzie z czynną pomocą Niemcom. Już pędzą pociągi towarowe z czerwońcami na Warszawę. Wczoraj byli Sł. Abkowicz¹⁹ i Jurek Kobecki²⁰. Techniczną²¹ zamknęli, bo malcy²² bili do czerwońców z maszynki. Ale już otworzyli. Była dziś Nusia²³ i p. Pronaszko. Turcja niby to nie przepuści Anglii na ZSRR.

Dnia 1 października 1939 roku, niedziela. Przyjechała p. Gąsiorowska razem z rodzicami z Podbrodzia. Zabrała swoje rzeczy. Był dziadzia Józia Dubiński²⁴ i ja pojechałem do Trok. Opowiada Jurek K. [Kobecki], że Polacy szli z bagnetami na czołgi niemieckie i zdobywają je. Michał Firkowicz²⁵ zacznie prędko chodzić do sztyby.

Dnia 2 października 1939 roku, poniedziałek. Już nowe wieści. Turcja czy Japonia (pewnie ta pierwsza) wydała wojnę Rasiei²⁶ oraz Francja z Anglią wystosowała ultimatum czerwońcom, żeby do 10 bm. opuścili terytorium Polski. Hitler już wczoraj zapowiedział, że za miesiąc nie będzie państwa francuskiego. Waciunia był w Wilnie i kupił skóry na podeszwy.

Dnia 3 października 1939 roku, wtorek. Nie pojechałem do Wilna, natomiast rowerem do Trok z butami, gdyż są całkiem wyszczerbione. Odniosłem je do Dobrowolskiego (Chałastoj²⁷ w Wilnie). Przez ten czas aż do trzeciej godziny zdejmowaliśmy z Markiem²⁸ jabłka. Zawarliśmy z nim układ, że w razie czego — bić. Wróciłem o piątej. Podobno bolszewicy wycofują się. Talka w teatrze.

¹⁹ Bogusław (Sławek) Abkowicz (1921–2004), syn hazzana (duchownego) Rafała.

²⁰ Jerzy Kobecki (1921–1987), syn Awenira i Weroniki ze Szpakowskich, kuzyn i późniejszy mąż Tali, siostry autora.

²¹ Szkoła przy ul. Holendernia w Wilnie.

²² Malcy — młodzież szkolna.

²³ Anna Nowicka (1922–2003), córka Józefa Nowickiego „Machały” i Zofii z Maszkiewiczów „Krasotki”, „Jeheszanki”.

²⁴ Józef Dubiński (1904–1968), syn Eliasza, „Drąg”, „Kukuć”, mąż Kamili z Pileckich.

²⁵ Michał Firkowicz (1924–2000), syn Józefa, późniejszy hazzan.

²⁶ Rosji.

²⁷ Izaak Nowicki (1889–1978), syn Samuela, „Chałastoj”, trocki szewc.

²⁸ Marek Juchniewicz (1924–2008), syn Józefa.

Dnia 4 października 1939 roku, środa. Byłem w Wilnie. Zenek poszedł do teatru na „Sędzia z Lalamei”. Gdy przyjechałem do Leśnik, zaraz ciekawe wieści od p. Pronaszki — „bolszewicy ciągle cofają się, tylko nie wiadomo, czy przegrupowują się, czy zjeżdżają”; od Pietuszka²⁹ „niby St. Zjednoczone wystosowały ultimatum ZSRR, żeby do 10-go ani jednego czerwonia na ziemi polskiej — w przeciwnym razie wojna”. Była p. Witortowa³⁰ po produkty. Tatuś wieczorem mówił z p. Urbanowiczem. Też dobre wieści, ale przerwano. Na placu nie było żadnej furmanki czerwonej.

Dnia 5 października 1939 roku, czwartek. Na szosie grodzieńskiej ciągną się czerwonce.

Dnia 6 października 1939 roku, piątek. Wczoraj przyjechał wuj Michał Firkowicz³¹, który jechał z Ministerstwem do Rumunii. Ale bolszewicy przejęli drogę, więc wuj wrócił do Wilna. Chodziłem wieczorem z Tatusiem do p. Urbanowicza „na radio”, gdyż miał przemawiać gen. Sikorski, dowodzący Legionami Polskimi we Francji. Jednakże nic nie słyszeliśmy prócz „Polacy! Zaciągnijcie się do wojska, ażeby walczyć”.

Dnia 23 października 1939 roku, poniedziałek. Do szkoły nie pojechałem, chociaż okazało się, że pociągi chodzą. Jeździłem do Trok. Przywiozłem kilogram machorki i 500 „Junaków”³². Na placu już prawie nic nie zostało. Las aż trzeszczy od rąbania drzew potężnych. Rąbią sami bogatsi.

Dnia 24 października 1939 roku, wtorek. Byłem w Wilnie. Miejsce szmat czerwonych zajęły szmaty żółto-zielono-czerwone. Czerwonce już bardzo mało włóczy się po mieście. Zabrali oni wszystkie lokomotywy, więc pociąg zamiast o 3²⁰ przyszedł o 7⁴⁰. Ot i sowieckie porządki. Wieczorem była łaźnia. Bardzo fajna. Z Trok co dzień czerwonce wychodzą i co dzień z powrotem przychodzą.

Dnia 25 października 1939 roku, środa. W Wilnie znowu nie byłem, bo taki hadki porządek na kolei. Talcia pojechała do Wilna i te kilka dni będzie tam mieszkać. Litwinów nie słyszać. Był jeden człek z Trok i mówił, że na Litwie można za 2 pudy³³ zboża dostać pud soli. Mówią ludzie, że w Wilnie były już żuliki litewskie, ale zwiali znowu do Kowna. Wieczorem przyjechał Juluk Firkowicz³⁴ po miód. Cały wieczór robili z Tatusiem „towar obmien”. Pociąg przyszedł.

²⁹ Józef Jutkiewicz (1903–1970), syn Ludwika, „Pietuch”, Pietuszek”.

³⁰ Letniczka z Wilna.

³¹ Michał Firkowicz (1908–1969), syn Bogusława, brat matki autora.

³² Junaki — marka papierosów.

³³ Pud — jednostka wagi równa ok. 16 kg.

³⁴ Julian Firkowicz (1917–1997), syn Abrahama.

Dnia 26 października 1939 roku, czwartek. Do szkoły nie pojechałem, bo mówił pan Pronaszko, że z powrotem będzie pociąg aż o ósmej wieczorem. Mówił p. Pronaszko, że Litwa dlatego tu nie przychodzi, bo Anglia, Francja i Polska zabroniła i że Francuzi zatamowali w górnym biegu Ren i Niemcy są zalani w swych betonowych okopach. Hitler zwrócił się do ZSRR po pomoc w postaci 2 tys. samolotów, ale ten odmówił. W nocy przyjechał jakiś Żyd i dawaj brać papierówkę³⁵, ale Tatuś przepędził.

Dnia 27 października 1939 roku, piątek. Tatuś był w Trokach. Czerwonych już nie ma. Stały jeszcze cztery samochody ciężarowe z maszynkami i czekały na szaulisów³⁶. Gdy wychodził, jeszcze ich nie było, ale zaraz, gdy przyszedł do domu, p. Urbanowicz dzwoni i mówi, że już są. Wojsko ładnie ubrane, w angielskich płaszczach, w ogóle nie to, co ta czerwona hola. Pierwszą wizytę złożyli księdzu. Dziś przeniesiono antenę z baraku. Wieczorem przyszedł niejaki p. Błaszczak prosić się o nocleg. Opowiadał, co oni tam Niemcom wyrabiali, jak jego potem łapali, jak jechał aż z Poznania do Bugu rowerem, jak przez Bug przeprawiał się, że miał czterech braci i nie wiadomo gdzie oni. Jeden (powiada) był oficerem lotnictwa i przedarł się do Francji, a drugiego Niemcy złapali, reszta nie wie gdzie. Ale za każdego członka rodziny 1000 fluków³⁷ nie ma. Żyję — powiada — tylko dlatego, że wiem, iż Polska będzie. Tu na kresach wschodnich nie wiem jak, ale tam granica będzie pod Berlinem. Żadnych „forsów” nie uznaje prócz złotych polskich. Chciał jechać do Kowna, a potem do Francji.

Dnia 28 października 1939 roku, sobota. Pan Błaszczak pojechał do Wilna, mówi, że Niemcy mieli osiemdziesiąt kilka łodzi podwodnych, a już 72 na dnie. Wczorajszy dziennik: Ameryka 67% zwaliła neutralność³⁸ i będzie sprzedawać broń. Dlatego, że Niemcy zabrali im statek. (Niech jeszcze jeden zatopią, a już będą się bić.) Na froncie zachodnim działalności wojskowe zostały zaprzestane, bo wypadł śnieg. (Niemcy byli zalani wodą, a teraz zamarzną.) Jeszcze mówił p. B., że oficerowie niemieccy opowiadają patrząc na gruzы nasze: u was jeszcze dobrze, a u nas żebyście widzieli, co jest. Widać dobrze ich kłują tam. Zenek jeździł do Wilna i z Landwarowa szedł piechotą.

Dnia 29 października 1939 roku, niedziela. Pojechałem pod wieczór do Trok. Litwinów nie ma.

³⁵ Rodzaj drewna.

³⁶ Szaulisi — członkowie Związku Strzelców Litewskich (lit.: *Lietuvos Šaulių Sąjunga*), paramilitarnej organizacji ochotniczej powstałej w 1919 r.

³⁷ Fluk — smark, gil, tu: Niemiec (zabije 1000 Niemców za każdego członka swej rodziny).

³⁸ Wynik głosowania odwołującego neutralność.

Dnia 30 października 1939 roku, poniedziałek. Jest nowy rozkład. Bilety w jedną stronę kosztują 8 zł. Litwini wycofali zarządzenie, żeby wszystkie drzewo przynieść na miejsce. Pojechałem do Wilna. Mama³⁹ była w Landwarowie. Nośka Butrymowicz⁴⁰ wrócił i opowiadał, że 6 października jeszcze bili się na terenie Prus. Chcieli przedrzeć się do Poznańskiego, ale zabrakło amunicji, więc poddali się. Litwini są już w Wilnie. Byłem u Abkowiczów.

Dnia 31 października 1939 roku, wtorek. Drugi dzień rządów Litwinów — pierwszym dniem demonstracji narodowych. Poszło wszystko od chleba, którego cena 90 gr. Ludność zbuntowała się. Na pierwszej lekcji nic nie można było zrozumieć⁴¹. Opowiadał Parkitny (przyszedł na drugą lekcję), że na Dominikańskiej Polacy napadli na auta z Litwinami i powybijali szyby. Na Niemieckiej zerwali napis na płótnie i narodowe szmaty litewskie i podeptano je. Gdy wszedłem na dworzec, na pl. Wszystkich Świętych rzucali granaty i strzelali. Wszystkie sklepy żydowskie bez szyb. Polacy Żydów, Żydzi Litwinów, Litwini Żydów. Wszystko w kółko. Tatuś mówi, że to bolszewicy. Przyjechała Tala od Abkowiczów.

Dnia 1 listopada 1939 roku, środa. Dziś Wszystkich Świętych. Do szkoły nie chodziłem. Co w Wilnie — nie wiadomo. Tatuś pojechał do nadleśnictwa, bo został wezwany. Przychodził Pietuszok. Nad Trokami (według komunikatu p. Urbanowiczowej — telefonem) latały jakieś samoloty w liczbie 48. Przeleciały one nad Trokami, Bobrówką i skręciły na Wilno. U nas było słyszeć tylko szum silników. Izak⁴² wrócił z niewoli i widział w niej p. Gąsiorowskiego. Bilety kolejowe do Wilna spadły do 3,20. 1 Złoty = 50 centów. Tatuś wróciwszy z Landwarowa mówi, że jeden⁴³ Szol⁴⁴ ocalał. Reszta wszyscy Żydzi dostali po bokach⁴⁵. W Trokach to samo. Wieczorem był p. Jotkowski. W nadleśnictwie jest dwóch Litwinów. Tatuś z gajowymi będzie szukać drzewa na wsi.

Dnia 2 listopada 1939 roku, czwartek. Dziś Zaduszki. Malcy mieli iść dziś na Rossę z chorągiewkami polskimi i świecami i zapalić je na mogiłach żołnierzy oraz zatknąć chorągiewki. Wczoraj p. Urbanowiczowa szukała świecy, żeby ją zapalić na grobie niezapomnianej Halki⁴⁶. W Wilnie

³⁹ Elżbieta (Liza) z Firkowiczów Pilecka (1898–1981), córka Bogusława.

⁴⁰ Sklepikarz, Żyd z Landwarowa.

⁴¹ Wprowadzono język litewski jako wykładowy.

⁴² Izaak Jutkiewicz (1912–1976), syn Ludwika, „Isacza”.

⁴³ Tu: jedynie.

⁴⁴ Żyd z Landwarowa.

⁴⁵ Dostawać lub dawać po bokach — z ros.: być bitym lub bić.

⁴⁶ Halinka Urbanowiczówna, córka Zygmunta, leśniczego z Bobrówki.

podobno dziś biją się. Anglia ogłosiła tzw. „Białą księgę”, w której są wszystkie wybryki Hitlera od początku jego chuligańskich działań.

Dnia 3 listopada 1939 roku, piątek. Wczoraj na Rossie śpiewali i manifestowali do tego stopnia, że konna policja litewska rozpędzała młodzież. Laski nie straszne, ale konie — powiadają malcy.

Dnia 4 listopada 1939 roku, sobota. W Wilnie są polskie gazety, „Kurjer Wileński”. Jednak nie ten, co był kiedyś, bo wydawcą i redaktorami są Litwini. Tatuś prosił kupić go. Kupiliśmy więc 3 egzemplarze, bo każdy od siebie kupił. Niemcy szykują ofensywę na Francuzów. Hitler obiecał 15 XII zająć Paryż. Zobaczymy. Ofiarowuje on milion ludzi na przełamanie frontu.

Dnia 5 listopada 1939 roku, niedziela. Przyjechała z Wilna panna Stacha Witortówna. Tatuś był w Trokach i zamienił 60 zł na 30 lit. Przyniósł gazetę z 2-go [listopada]. Jest tam relacja żołnierza — obrońcy Warszawy. Oto wyjątek: „29-go odbyło się złożenie broni. Złożyliśmy broń i amunicję na stosy obok pałacu Blanka. Był już wieczór. Wróciliśmy do swoich schronów i rozpaliliśmy ogniska. Panowała martwa cisza, trzaskały tylko szczapy drewna. Po ziemi snuły się długie, leniwe cienie rozbrojonych żołnierzy. Któryś z rezerwistów wydobyl flet i zagrał „Warszawiankę” (Hej! Kto Polak, na bagnety, żyj swobodo, Polsko żyj!!!). Posłyszeliśmy szloch. Zdawało się, że lada moment padnie okrzyk: „za broń!”. Poszliśmy...”. Bohaterzy!!! Bohaterzy w pełnym słowa tego znaczeniu! Wieczorem przyjechał znajomy leśniczy z Most p. Martusewicz. Litewscy policjanci z gajowymi chodzą po wsiach i spisują drzewo skradzione. Biorą oni zaświadczenia od wieśniaków, że dano na przechowanie.

Dnia 6 listopada 1939 roku, poniedziałek. Dziś „Kurjera Wileńskiego” nie było, gdyż podobno zabrakło papieru. Wieczorem przyszedł p. Soroka i pokłócił się z Tatusiem. Niemcy przygotowują ofensywę. W Wilnie wszystkie chorągwie litewskie są pozdejmowane. Tylko na dworcu wiszą.

Dnia 7 listopada 1939 roku, wtorek. „Kurjer” jest, ale na czerwonym i zielonym papierze. Gazeta ta nieciekawa. Jeszcze nie biją się. Ameryka daje 600 samolotów Francji i Anglii. Mają dawać miesięcznie 600-1000 aparatów. Podobno jakieś potwory, fortece latające, mające nawet armaty. A maszynek bez liku. Finlandia już prawie zgodziła się na żądania Mołotowa. Dziś rocznica (22-ga) rewolucji bolszewickiej.

Dnia 8 listopada 1939 roku, środa. Na zachodzie zaczyna się ru-chawka. Dziś było w gazecie, że strącono: 9 samolotów niemieckich, 2 francuskie, 1 angielski. Patrole lądowe biją się już. Byłem u Abkowiczów.

Ośka Poziemski⁴⁷ pożyczył gdzieś rower. Już od kilku dni żywność na kartki: było $\frac{1}{4}$ kg chleba, ale teraz dają $\frac{1}{2}$ kg. Dyrek wczoraj mówił, żeby 11-go nie manifestować, bo Litwini będą strzelać. A to, że kilku zostanie zabitych, kilku opynie⁴⁸ się na Łukiszkach, a jeszcze trochę dostanie kolbami, nie zbliży nas do Odrodzonej Ojczyzny. Siły nasze trzeba zachować na potem, ażeby móc zastąpić tych, którzy za największy ideał — Ojczyznę — polegli. Dzień Święta Narodowego trzeba uczcić pracą, która prowadzi do Wolności. Mama jeździła dziś do Rudziszek. Tam wszystko jest i można dostać, ale tylko za lity.

Dnia 9 listopada 1939 roku, czwartek. Już od trzech dni spóźniam się do sztyby, bo tak przychodzą pociągi. „Kurjer” na papierze pomarańczowym za centy, inne – za grosze. Nie ma nic ciekawego. Żydzi uciekają z Wilna jak sto diabłów. Dokąd i po co, pieron ich wie. Przyjechała ciocia Liza Rojecka⁴⁹ i p. Pronaszko i pojechali do Trok. Pan Pronaszko poszedł z Nowych Trok do Starych i stamtąd pojechał do Landwarowa. Na rynku było wszystkiego moc i tanio, ale tylko za lity.

Dnia 10 listopada 1939 roku, piątek. Zamach bombowy na Hitlera w winiarni w Monachium. Już zaczyna się znaczy. A co się zaczyna, musi kończyć. Tatuś mówi, że to zrobił sam Hitler, ażeby sprzątnąć kilku starszyzny i zwalić biedę na Anglię. Wieczorem był pan Jotkowski i ober⁵⁰ czasu pokazywał różne sztuczki. Wcierał guziki w rękaw i czarował karty.

Dnia 11 listopada 1939 roku, sobota. Dzień Niepodległości. Dawniej obchodziło się go referatami, dziś wyteżoną pracą. Rano mieli iść do kościoła i potem zebrać się w auli. Ja nie pojechałem. Tylko Tala. W Wilnie spokojnie. Przyjechał wuj Michał Firkowicz i poszedł do Trok, oraz Nina Bolsziowa⁵¹ do gminy. Kupiłem 9 sztuk [amunicji] u Ignaśki⁵² za 50 [groszy]. Przyjechał p. Stawiarski do łaźni. Nocował. Szwagier Uściłły z 5 p.p.⁵³ mówił, że ober Niemców nabili. A jak bagnety zobaczyli, to uciekali aż kurz szedł. Na miejsce, gdzie wczoraj stał Hitler, spadło 3 metry gruzu. Wyszedł on za wcześniej z kawiarni.

Dnia 12 listopada 1939 roku, niedziela. Rano pojechałem do p. Stawiarskiego, który nocował u nas. Przyjechał p. Martusewicz z Most ze

⁴⁷ Józef Poziemski (1923–1993), syn Jakuba, „Pizia”, „Piziutek”, mieszkał po sąsiedzku z rodziną hazzana Abkowicza w budynku gminnym znajdującym się na tyłach wileńskiej kienesy.

⁴⁸ Opynąć się — tu: znaleźć się.

⁴⁹ Elżbieta ze Szpakowskich Rojecka (1901–1982), córka Samuela-Abrahama, „Liza Sza”.

⁵⁰ Ober — dużo.

⁵¹ Sąsiadka rodziny Pileckich z Landwarowa w latach 1935–1938.

⁵² Kolega, nie-Karaim.

⁵³ Pułk piechoty.

St. Trok do Nowych. Z Markiem odwoziłem jakąś panią łodzią do Tataryszek. Pożyczył mnie p. Stawiarski słownik niemiecko-polski. Do domu przyjechałem o trzeciej. Staśku ktoś zbłacił⁵⁴ 17 sztuk [amunicji]. Przyszedł do Ignaśki. Ten ma jeszcze 41 [sztuk]. Obiecał ich mnie. Pan Martusewicz o dziewiątej rano pojechał z powrotem. Zaczynam kuć słówka.

Dnia 13 listopada 1939 roku, poniedziałek. Fatalna „13”. Spóźniliśmy się wszyscy na pociąg, który poszedł za wcześnie. Pojechałem do St[arych] Trok do p. Stawiarskiego, zawiozłem mu ośkę, co ją jadąc wczoraj do Trok od nas złamał. A dziś klasówka z niemca i z łaciny. Tala jeździła z Wackiem do N[owych] Trok i przywiozła kufer od Juchniewiczów. Chciała wymienić forszę na siebie⁵⁵.

Dnia 14 listopada 1939 roku, wtorek. Mama pojechała na kilka dni do Wilna. Może co kupi.

Dnia 15 listopada 1939 roku, środa. Nowa nowość! Do Wilna dojechałem na raty, bo zostawałem w Landwarowie do fryzjera. Przyjeżdżam do Wilna i na dworcu spotykam Zenka, wracającego z budy. Okazuje się, że szaulisy obstawili ulicy i nie pozwalają ludzi przechodzić. O dziewiątej wróciłem z latarenką. Tatuś był w Trokach. U nas siedziało cały dzień z małą przerwą dwóch żołnierzy litewskich. Koło pana Urbanowicza idzie garnizon bolszewicki do Kowna.

Dnia 22 listopada 1939 roku, środa. W sobotę 18 [listopada] wstałem z bólem głowy. Gdy wróciłem, już było 39 i 6. Przeleżałem do dziś. We czwartek 16 [listopada] Mama wróciła z Wilna. Udało się tam kupić 7 kg cukru.

Dnia 25 listopada 1939 roku, sobota. Niemcy kręcą się jak węgorz. Już chcą iść na Holandię. Mówiła polonistka nasza, p. prof. Kosińska, że Roosevelt oświadczył, iż na wiosnę wojna będzie skończona.

Dnia 26 listopada 1939 roku, niedziela. Tatuś w Trokach. Był p. Pro-naszko. U Ignaśki zrobiło się 50 szt., pasują do małego. Jurek Bolszio⁵⁶ aresztowany i siedzi na Łukiszkach. Z nim Eda Lasmanowicz i jeszcze z dziewięciu malców z Landwarowa — za to, że należeli do jakiejś organizacji wojskowej. Fajnie trzymają się.

Dnia 2 grudnia 1939 roku, sobota. Znowu cały tydzień leżałem. Jak położyłem się w niedzielę wieczorem z 38°, to aż do dziś. Finlandia bije się z bolszewikami. Nie bardzo im dobrze idzie. Z czołgami po zaśnieżonych

⁵⁴ Zbłacić — ukraść.

⁵⁵ Władze litewskie wymieniały pewną ograniczoną kwotę polskich złotych (nie mających już żadnej wartości) na lity. Odnoszano to w dokumencie osobistym.

⁵⁶ Syn Bolsziów, sąsiadów Pileckich.

lasach niezbyt łatwo. Byłem z mamą w Wilnie u doktor Witortowej. U mnie coś z nerkami i wątrobą. Tatusь był w nadleśnictwie z p. Urbanowiczem.

Dnia 3 grudnia 1939 roku, niedziela. Pan Urbanowicz przyjechał z Wilna (wczoraj z nadleśnictwa tam pojechał) i przywiózł kartkę, żeby nie jechać do budy jutro, bo strajk wszystkich szkół średnich ciągnący się od piątku, jeszcze się nie skończył, bo pozwalniano profesorów i dyrektorów. Przedstawiono jakiś memoriał. Wieczorem przyjechał pan Jerzy Gąsiorowski, który wczoraj wrócił z niewoli bolszewickiej z Szepietówki na Ukrainie. Powiada on, że Ukraińcy już osiadli i tak do bolszewików nie garną się jak przedtem. Był on w Pierwszym P.A.L.⁵⁷ Pułk liczy 1000 ludzi w spokoju, a 2 tys. w czasie mobilizacji oraz 40 dział. Dzieli się na 10 baterii po cztery działa każda. U nich były działa kalibru 100 mm. Pocisk, który wylatuje z lufy waży 15 kg i niesie na 10 km do celu, a tak na 11-12 km. Działa 105 mm (lufy 3 m długości) niosą na 18 km do celu, a tak do 20 km. Pan Jerzy nocował u Zenka i jutro jedzie.

Dnia 4 grudnia 1939 roku, poniedziałek. Do sztyby nie poszedłem. Przyjechał leśniczy litewski na miejsce p. Urbanowicza. Cała kancelaria już dawno zwolniona i leśniczowie też, prócz Tatusia. Pan Urbanowicz będzie chyba mieszkać w starej leśniczówce. Ma na te dwa leśnictwa przyjechać pięciu gajowych. Jodko aresztowany, bo podobno po niewoli trudnił się rozbojem. Znalezione u niego ubrania i konia zrabowanego w majątku koło Niemenczyna. W Holandii wylądowało 16 lotników niemieckich. Opowiadają, że w Niemczech z trupów żołnierzy robią różne smary. Z Anglii nadawali, że wkrótce rozpocznie się ofensywa angielsko-francuska na Niemców. Finlandia trzyma się.

Dnia 5 grudnia 1939 roku, wtorek. Wczoraj przyjechał jeden gajowy na miejsce Tomaszewicza. Gada po polsku.

Dnia 6 grudnia 1939 roku, środa. Pojechałem do budy. Przyjeżdżam, a tu malcy do klas nie wchodzą. Przyszedł nowy dyrektor i powiada, ażeby iść do klas. Został wygwizdany. Połowy profesorów nie ma. Potem pośpiewaliśmy i mamy iść do domu, aż tu drzwi zamknięte. Poszliśmy przez boisko. W bramie dwóch policjantów rzuca się, bo malcy kamieniami pracowali. No, ale wyszliśmy. Na tej ulicy, co odchodzi od Dominikańskiej do Katedry (czerwoną kostką wykładana) policjanci z gumami pędzali. No, ale przeszło się. Byłem potem u Abkowiczów. W drodze do domu konduktor zabrał legitymację, bo jechałem bez biletu. Listopad przejeździłem na

⁵⁷ Pułk artylerii przeciwlotniczej.

gapę, ale z grudniem nie wiadomo, co będzie. Mama z Tatusiem jeździła do Landwarowa po forszę zdeponowaną — 320 zł.

Dnia 7 grudnia 1939 roku, czwartek. Pojechałem do Wilna. Konduktor oddał legitymację. Gimnazjum zawiesili aż do odwołania. Wróciłem do domu rano. Musiałem kupić bilet jednorazowy do Ponar, bo nie wypuszczali z dworca. Jeździłem do St. Trok do p. Stawiarskiego. Był on 2 tyg. chory na wrzody. Zwolnili jeszcze wczoraj gajowych wszystkich. Zenek nie jeździ. Jurek Bolszio dostał 2 miesiące więzienia (26 XI). Finlandia więcej jak już tydzień się trzyma — od 27 XI.

Dnia 9 grudnia 1939 roku, sobota. Mama pojechała do Wilna złożyć podanie do budy. Ja nie jeżdżę.

Dnia 10 grudnia 1939 roku, niedziela. Tatuś chodził do Trok. Przychodził dziadzia⁵⁸ Juchniewicz⁵⁹ naprawić zamek do piwnicy, do którego Ignaska zgubił klucz. Wróciła Mama z Wilna. Podanie złożyła i zaświadczenie lekarskie.

Dnia 11 grudnia 1939 roku, poniedziałek. Zenek jeździł do sztyby, bo podobno go wykreślili z listy.

Dnia 12 grudnia 1939 roku, wtorek. Chodziłem do pp. Urbanowiczów do Bobrówki. Nikogo nie było. Tylko służąca. Zabrałem bańkę spod nafty i o 2⁰⁸ jeździłem do Landwarowa z nią. Odwiozłem ją Sroli⁶⁰. Nam należy się 10 lit[ów], bo 7 na kancelarię i 3 dla nas. W Landwarowie nafty jeszcze nie ma.

Dnia 14 grudnia 1939 roku, czwartek. Ja i Talka chodziliśmy do Trok. O dziewiątej przyjechał p. Szylling⁶¹ i chodził do Trok na rynek kupować świnię na handel. Jednak nic nie kupił. Z Trok przyszedł do nas.

Dnia 15 grudnia 1939 roku, piątek. Tala pojechała do Wilna, bo podobno dziś będzie wywieszona lista przyjętych do gimnazjum. Pan Szylling też pojechał. Finlandia ober mocno kłuje bolszewików. Podobno bolszewicy przechodzą na stronę Finlandii, co jest bardzo możliwe, a także na stronę partyzantki polskiej, co pod Lwowem pracuje. Ukraińcy też przeciw czerwonym. Na okupowany teren nawet soli nie dają. Wacek jeździł do Trok po naftę, ale nie dostał. Dziś jeszcze o budach nic nie ma, będzie jutro.

Dnia 16 grudnia 1939 roku, sobota. Ja jestem przyjęty. W poniedziałek trzeba już jechać. Talka też przyjęta.

⁵⁸ Dziadzia – z ros.: wujek.

⁵⁹ Józef Juchniewicz (1888–1966), syn Marka, szwagier ojca autora, ślusarz.

⁶⁰ Sklepikarz z Landwarowa.

⁶¹ Kolega ojca autora, pracownik leśnictwa.

Dnia 17 grudnia 1939 roku, niedziela. O czwartej przyjechał p. Sztrom Bolesław z żoną. Jechał z Wilna przez Leśniki do Oran, a tam miał odbierać dzieci, które zostały u bolszewików. O tym potem.

Dnia 18 grudnia 1939 roku, poniedziałek. Pojechałem do budy. Pani prof. Kosińska (polonistka) podała się do dymisji. Łacinisty nie ma. Na jego miejsce p. prof. Nowowiejski. Niemka została, p. Haluty nie ma. Litwin miał historię. Na ogół po staremu. Pan Sztrom o dziewiątej pojechał. Kupiłem wieczną obsadkę⁶². [...] Kilka dni temu była bitwa morska: „Admiral Graf von Spee” i 3 okręty brytyjskie. „Graf” został uszkodzony i schronił się w porcie urugwajskim Montewideo. Został tam zablokowany przez flotę brytyjską (3 szt.) i miał termin wyjazdu niedziela godz. 23 wg Greenwich. Dziś był nowy nadleśniczy (*uredas*)⁶³ i mówił, że „Graf von Spee” wysadził się w powietrze. Załoga internowana. Tchórze, bali się walczyć i zginąć.

Dnia 22 grudnia 1939 roku, piątek. Ostatni dzień nauki. Byłem u Abkowiczów. Ale Miszka⁶⁴ z Maniukiem⁶⁵ nie przyjechali do nas. Kapitan „Grafa v. Spee” zastrzelił się. Widziałem na dworcu p. Pronaszkę. Ten oczywiście jeździ na gapę. Jakoś przełazi pomiędzy wagony.

Aleksandrowicz A., Arcimowicz W., Bielajew, Borowski R., Ciapara J., Cis-Bankiewicz, Chrul St., Daglis, Daszkiewicz, M., Dubiński A.⁶⁶, Dzikkaniec P., Firkowicz M.⁶⁷, Gajewski N., Heinz J., Jamiołkowski H., Jankowski H., Jegier E., Karabon, Kielbowski, Klim, J., Kolendo, Konstantynowicz Jan, Kostrowicki, Legawiec, Łuka, Malinowski, Menhard, Małyso, Marlocki, Mierzbiński, Moczulski, Nuszal Al., Paczosa, Parkitny, Pawłowski, Poldzius J., Pilecki Sz⁶⁸., Piotrowski Jerzy, Piotrowski Janusz, Piotrowski Kazimierz, Romanko, Rotkiewicz T., Rusiecki, Seiferowicz, Sienkiewicz J., Siudek An., Symonowicz, Sztutas, Toczek, Uszkiewicz, Wit., Waśniewski, Wojszwiłło, Zagórski, Zajączkowski⁶⁹. Podkreśleni nie chodzili do szkoły z powodu wojny, wykreśleni po strajku (nie złożyli niektórzy podań) oraz po strajku przyjęci: Białobrzeski, Warciński, Myszkowski i Wołk z koedukacyjnego prywatnego Gimnazjum im. Piotra Skargi. Malinowski został za granicą po przyjściu Litwy.

⁶² Pióro wieczne.

⁶³ *Uredas* — lit.: leśniczy.

⁶⁴ Michał Abkowicz (1925–1983), syn Rafała.

⁶⁵ Emanuel Abkowicz (1923–2009), syn Rafała

⁶⁶ Aleksander (Olek) Dubiński (1924–2002), syn Józefa.

⁶⁷ Michał Firkowicz nie chodził w tym czasie do szkoły.

⁶⁸ Autor, Szymon Pilecki (ur. 1925), syn Aleksandra.

⁶⁹ Nie-Karaim.

Dnia 24 grudnia 1939 roku, niedziela. Dziś wigilia Bożego Narodzenia. Jeździłem do nadleśnictwa, dla pp. Wołczackich⁷⁰ wozilem rybę. Bardzo psiacha pogoda. Wykuliłem⁷¹ się raz do błota. Stefa⁷² poszła na wigilię do Strakiszek do domu. Ignacy został. Pod wieczór bierze mróz.

Dnia 25 grudnia 1939 roku, poniedziałek. Wczorajsza woda zamarzła i na drodze bardzo ślisko. Tatuś z Mamą wybrali się koniem do Landwarowa, ale dojechali „aż” do pp. Urbanowiczów, bo bardzo ślizga się. Chodziłem do lasu na polowanie. Rodzice wrócili i o 2⁰⁸ pojechali pociągiem. Ja jeździłem do pp. Urbanowiczów z gazetami. Sanna bardzo marna. Koń także. U nich jak co roku jest choinka, jeno nie taka jak zawsze. Mniejsza i mniej ładna. Nie wiem dlaczego, ale chyba że wojna, z powodu której całe święta nie są tak uroczyste jak zwykle bywają, no i po drugie: nie ma dla kogo, bo jest tylko Danusia.

Dnia 26 grudnia 1939 roku, wtorek. Mama z Tatusiem wrócili o dziewiątej pociągiem. Chodziłem z Zenkiem na „polowanie” i tropiłem kozę, ale nic z tego. Jest –15°C. Mama z Tatą byli u Soroków. Zenek przyniósł swój [zapis szyfrem graficznym]. Ja mój [zapis szyfrem graficznym]⁷³.

Dnia 27 grudnia 1939 roku, środa. Jurek Bolsziodostał 3 miesiące, a nie 2 (7 IX — 26 XI), ale został zwolniony. Dziś nigdzie nie idę. Zaczynam odrabiać lekcje. Dziś na moim –18°C w zaciszu. O 2⁰⁸ Tala pojechała do Wilna. Przyjechał sam „17”⁷⁴. Udało mu się. Będzie pracować w lesie. Z nim przyjechał jego parobek. Żona jutro z dziećmi jedzie do Wilna.

Dnia 28 grudnia 1939 roku, czwartek. Wyskoczył mi na lewym biodrze wrzód, więc nie mogę nigdzie ruszyć się. [Tatuś] pojechał do Landwarowa z p. Jotkowskim w sprawie zwolnionych funkcjonariuszy D.L.P. Wrócił o drugiej z Talką. O 2⁰⁸ pojechał do Wilna.

Dnia 29 grudnia 1939 roku, piątek. Tatuś pojechał do nadleśnictwa. Tala chodziła do Trok. W nocy wypadł śnieg, więc jest sanna. Przysypało fajnie. Dziś minus 10 [stopni] w zaciszu.

Dnia 30 grudnia 1939 roku, sobota. Mama z Tatusiem pojechali do Trok na chrzciny⁷⁵ do stryja Józefa Dubińskiego, a Tala do Wilna. Okazuje się, że pancernik „Graf von Spee” popełnił samobójstwo, dlatego że Anglicy nadali depeszę sfalszowaną, że czeka na niego cała eskadra jednostek

⁷⁰ Rodzina nadleśniczego w Landwarowie.

⁷¹ Wykulić, wkulić — wywalić się, władować, wpaść.

⁷² Stefa, Stefka — służąca u rodziny autora.

⁷³ Zapis dotyczy karabinu i gromadzonej amunicji.

⁷⁴ Kryptonim osoby niezidentyfikowanej.

⁷⁵ Właśc.: uroczystość nadania imienia. Urodził się wtedy Julian Dubiński.

bojowych angielskich, a było ich tylko dwie. Kapitan „G.v.S.” nie sprawdził tych wiadomości i powiadomił o depeszy Hitlera. Ten kazał okręt zatopić. Dlatego kapitan popełnił smobójstwo. Józef Firkowicz⁷⁶, b. prezes gminy karaimskiej, pracownik na poczcie, przed wojną wyjechał do Zakopanego. Tam złapała go wojna. Otrzymano teraz wiadomość, że zmarł on już 2 miesiące temu (16 X). Gajowy Jodko został zwolniony z więzienia i uniewinniony.

Dnia 31 grudnia 1939 roku, niedziela. Wrzód tak naciągnął, że nie mogę całkiem chodzić. Leżałem cały dzień. Dziś spotykamy nowy rok. Przyjechali z Landwarowa pp. Pronaszkowie i p. Bolsziowa, pp. Urbanowiczowie z p. Arciszewską (nauczycielką w Żukiszkach). Ja wstałem dopiero o dziesiątej, bo wrzód mi nawalił. Więc najpierw o działaniach wojennych, potem zaczęli grać w karty. O 10³⁰ zasiedliśmy do stołu. Pan Pronaszk, gdy trochę pociągnął, nabrał humoru i tak mówi: „Jak teraz idzie Polak i spotyka Niemca (pod okupacją Niemców), to musi zejść z drogi i zdjąć czapkę. A potem Niemcy będą chodzić po rynsztokach i jak wyjdzie Polak, to na przywitanie będzie musiał nurkować. Teraz w Wilnie Litwini muszą chodzić po prawej stronie po mostach, więc jak kto przejdzie po lewej, policjant każe wracać na drugą stronę mostu i z powrotem iść po prawej. Potem (powiada) jak Litwin przejdzie po lewej stronie, to go wróć i za łeb i w wodę”. Potem poczęli znowu mówić, dlaczego Polska tak szybko skończyła wojnę. Pan Urbanowicz opowiadał, co się działo na granicy litewskiej. O godzinie drugiej pp. Urbanowiczowie poszli do domu, my zaś o trzeciej poszliśmy spać. Skończył się rok przygrywek wojennych. Nowy Rok zaczynamy z życzeniem: „Oby następny w Polsce spotykać”.

⁷⁶ Józef Firkowicz (1894–1939), syn Abrahama.

1940

Dnia 1 stycznia 1940 roku, poniedziałek. Dziś zaczął się rok wojny prawdziwej. Goście pojechali o 6²⁰ rano do Landwarowa. O dwunastej przyszedł Zenek. Pograliśmy trochę w warcaby. Mama z Tatusiem pojechali do pp. Wołczackich. Był Heniek z siostrą. Ja z Zenkiem opatrzyliśmy jego [zapis szyfrem]⁷⁷. Mama z Tatusiem wrócili o jakiejś dwunastej w nocy. Przywiozła „Krzyżaków”.

Dnia 2 stycznia 1940 roku, wtorek. Dziś bardzo potężny mróz. Gazet nie ma, bo nikt nie jeździ. Robię lekcje. Zenek pojechał do Wilna. Pan Jotkowski w Oranach od kilku dni. Zenek jeździł do Wilna i mówił, że w pierwszej klasie na dworcu –22°, bo zabrakło węgla.

Dnia 3 stycznia 1940 roku, środa. Zenek i dziś jeździł. Przez noc nawaliło dużo śniegu. I teraz wali. Przywiózł gazetę. Finowie fajno kropią. W Turcji trzęsienie ziemi i wylew rzek. Mój wrzód już zupełnie zagoił się. Zabrałem u Zenka narty. Lewa była już połamana, a teraz dokończyli. Cały nos odłamany. Ten żmogus⁷⁸, co u p. Urbanowicza mieszka (leśniczy nowy), na święto wyjeżdżał do chaty na Litwę. A wczoraj o dziewiątej dwoma wagonami swoje manatki przywiózł, a przedtem nic o tym nie mówił. Państwo Urbanowiczowie będą mieszkać na wsi u Czerwińskiego, bo w starej leśniczówce mieszka gajowy i ktoś jeszcze.

Dnia 4 stycznia 1940 roku, czwartek. Romek⁷⁹ pojechał do szkoły, bo powszechnie uczą od dziś, ale wrócił o dziewiątej, nie wiem dlaczego. On mówi, że w Ponarach wysadzili go. Mama z Wackiem pojechali do Trok na rynek. Zapisze Tatusia na kursy, które rozpoczną się od 8-go. O czwartej przyjechał z Wilna Sztrom z żoną na pracę. Wynajął on mieszkanie w Le-dziance. Dzieci zostały w Wilnie.

Dnia 5 stycznia 1940 roku, piątek. Dziś pojechaliśmy wszyscy do Wilna. Podróż z przegodami, bo nie mieliśmy biletów. Jechała p. Mokrocka,

⁷⁷ Chodzi o karabin.

⁷⁸ Żmogus — człowiek, lit.: *žmogus*.

⁷⁹ Romuald Pilecki (1927–1972), brat autora.

też bez biletu. No więc zaraz po Leśnikach przychodzi konduktor polski. No więc mówimy mu, dlaczego nie mamy biletów: jedziemy do Wilna kupić je. No a ten zaczyna: „Wy mnie na szyję pętlę zakładacie, bo zaraz po mnie idzie konduktor litewski i jak zobaczy, że ja was pokrywam, to mogą mnie wywalić”. Jednak w Landwarowie przychodzi i mówi, że jak Litwin pójdzie po Landwarowie, to mówić, że jedziemy z Landwarowa, a jeżeli po Ponarach, to mówić żeśmy z Ponar. Litwin przyszedł po Landwarowie, ale na nas nasiadł konduktor polski (całkiem zrozumiałe). Przed Wilnem zabrał moją i Talki legitymację (Romek jechał w drugim wagonie), ale gdy na peronie Litwin poszedł, oddał je nam. Chodziłem do budy po zaświadczenie, bo inaczej nie dawali biletu. Romek nie kupił, bo szkoła nie wystarała się pieczęci. W Wilnie czochraliśmy wełnę. Bardzo marna. Kupiłem Tatusiu obsadkę za 5 lit.

Dnia 6 stycznia 1940 roku, sobota. Pojechałem z Tatusiem do Trok na *tiefintla*⁸⁰. Tala pojechała do Wilna. W tamtą stronę była bardzo zła droga, ale ponieważ dziś Trzech Króli, więc ludzie jadąc do kościoła, przetarli ją. Mamie jest coś w rękę, bo cała spuchła i będzie narywać chyba. Wróciliśmy o trzeciej. Wieczorem Mama z Tatusiem pojechała do Bobrówki do Liso-wiaka⁸¹. U nas dziś wielka sensacja. Szwagrową Uściłły, która ostatnimi czasy mieszkała u Uściłły z całą rodziną, wczoraj wieczorem Wacek złapał na dojeniu swojej krowy. Dziś Wacek pobił się z nią. Ta zaklina się, że nie doiła i dziś od Uściłły wyniosła się. Żona nowego gajowego Pietruszkiewicza zachorowała i leży.

Dnia 7 stycznia 1940 roku, niedziela. Tala wróciła o dziewiątej. Dziś pieroński mróz: -25°C . Mamie narywa ręka, więc leżała dziś cały dzień, bo nie może nią ruszyć.

Dnia 8 stycznia 1940 roku, poniedziałek. Pierwszy dzień nauki. Ferie skończyły się. Mroźnik dziś $-30,5^{\circ}$. W szkole zimnowato. Były tylko trzy lekcje. Na historię przywalała się jakaś Litwinka. Chodziłem do biblioteki. Tam trzy dni nie palono.

Dnia 9 stycznia 1940 roku, wtorek. Dziś -34°C . Ponieważ w budzie wczoraj powiedzieli, że mróz będzie większy niż -25°C ., to można nie przychodzić, więc dziś nie poszliśmy. Przyjeżdżał Michał Ławrynowicz⁸² i Józek Tynfowicz⁸³. Do Wilna nie jeździ się, więc nie ma żadnych wiadomości. Podobno czerwonońców zdrowo kropią Finowie. Mróz coraz większy. Dziś wieczorem -38°C .

⁸⁰ *Tiefintla* — nabożeństwo karaïmskie.

⁸¹ Miejscowy znachor.

⁸² Michał Ławrynowicz (1912–1977), syn Józefa, „Priedsiedatiel”.

⁸³ Józef Tynfowicz (1914–1970), syn Zachariasza.

Dnia 10 stycznia 1940 roku, środa. Rano -37°C . Do budy znowu nie jedziemy. Przyjeżdżał stryj Józef Dubiński. Powstał projekt, że Michał Firkowicz (syn niedawno zmarłego prezesa) będzie u nas mieszkać i razem ze mną jeździć do gimnazjum. Zmarł b.p. Pilecki Szymon⁸⁴ na „białą krew” (anemię — było we krwi więcej ciałek białych niż czerwonych). Też ofiara Krasnycha, rzeźnika trockiego szpitala. Ten zamiast go leczyć od jego choroby, rozpędzał mu jakąś tam maścią gruczoły. Widać, że żaden z niego doktor.

Dnia 11 stycznia 1940 roku, czwartek. Tatusz pojechał do Trok na pogrzeb p. Pileckiego. -34°C . Dnie bardzo piękne i słoneczne, ale bardzo zimno. Stefa dziś zachorowała, ma trzydzieści osiem stopni gorączki. Wczoraj przywieziono z nadleśnictwa trzy krzesła i stół, więc dziś ustawiliśmy go z Wackiem.

Dnia 12 stycznia 1940 roku, piątek. Mróz szybko opadł i dziś jest -16° . Idziemy więc do szkoły. W szkole było 13 malców. Po trzech lekcjach poszliśmy do domu. Ja siedziałem w klasie, potem poszedłem do biblioteki i na dworzec. Wieczorem -8° .

Dnia 13 stycznia 1940 roku, sobota. Już dziś odwilż. Też były tylko 3 lekcje. Wczoraj śmiercią tragiczną zmarł dziadzia Romuś Kobecki⁸⁵. Jechał On do Wilna samochodem⁸⁶ i tamże na atak serca zasnął. Zawieźli Go do Wilna, do jego brata.

Dnia 14 stycznia 1940 roku, niedziela. Dziś pojechaliśmy do Trok. Mama tam już od piątku jest. Romek został w domu. Dziadunia wczoraj taksówką przywieźli do Trok. Dziś o dwunastej był pogrzeb. (Marek [Juchniewicz] zrobił sprężynę do fatra⁸⁷ spluwy.) Było dużo ludzi z Wilna. Między innymi był wuj Rafał Abkowicz⁸⁸, hazzan wileński, który z nami przyjechał do Leśnik. Pani Sztromowa chciała dziś jechać do Wilna o 2⁰⁸ po dzieci, ale spóźniła się na pociąg, więc nocowała u nas. Dziś jest już kilka stopni mrozu.

Dnia 15 stycznia 1940 roku, poniedziałek. Pojechaliśmy dziś do Wilna. Liczba uczniów już jest normalna. Tylko na litewskim bardzo świszczą. Michała Firkowicza nie przyjęli, powiedział tylko dyrektor, że jak będzie miejsce, to przyjmie.

Dnia 16 stycznia 1940 roku, wtorek. Mróz szybko odwalił się, ale szybko się znowu przywalił. Dziś raptem -34°C . Płoty i budynki strzelają

⁸⁴ Szymon Pilecki (1879–1940), syn Szymona. Ojciec Janka — radiowca.

⁸⁵ Romuald Kobecki (1871–1940), syn Salomona, brat babki autora.

⁸⁶ Tu: autobusem.

⁸⁷ Fater — ojciec. Chodzi o pistolet ojca autora.

⁸⁸ Rafał Abkowicz (1896–1992), syn Abrahama Samuela. Hazzan, duchowny karaimski.

jak armaty. Nie pojechaliśmy do Wilna. Stefa jeździła do Trok i woziła serniki⁸⁹ do Kobeckich⁹⁰. Juluk⁹¹ w Trokach, bo ich szkoła nieczynna, ponieważ nie ma litewskiego dyrektora. Jednak takowy już jest znaleziony i będą ich otworzyli. Ten jednak nie jeździ jeszcze.

Dnia 17 stycznia 1940 roku, środa. Wczoraj wieczorem było -43°C . Dziś jednak tylko -35°C . Jeździłem do Landwarowa do sklepu o 2⁰⁸. Wróciłem o czwartej. Chciałem kupić gazetę, ale już wszystkie były rozkupione. Podobno Niemcy szykują ofensywę (już od 4 miesięcy). Coś niewyraźnie z neutralnością Belgii i Holandii. Wieczorem -31°C .

Dnia 18 stycznia 1940 roku, czwartek. Mimo to, że wczoraj uczyliśmy Stefkę rozpoznawać termometr, dziś nie poznała i u niej wyszło -37° . W rzeczywistości było -25°C . Nie pojechaliśmy więc i dziś. Mama pojechała do Trok. Będzie tam nocować. Zenek pojechał. Potrzebowałem Tatusia rower. Powiozę go do reperacji.

Dnia 19 stycznia 1940 roku, piątek. Dziś -27°C . Pojechaliśmy do Wilna. Romek został w domu. Jednak ja wróciłem o 8¹⁵, bo nauki nie było. Mróz pęka.

Dnia 20 stycznia 1940 roku, sobota. Mróz opadł do -16°C , a wieczorem do -8°C . Pojechałem do budy. Dziś były lekcje. Podobno ma być rozkład zmieniony.

Dnia 21 stycznia 1940 roku, niedziela. Miał dziś przyjechać p. Wołczacki, ale taki śnieg i wichura, że nie można nosa z domu wysadzić. Pod wieczór trochę ustało.

Dnia 22 stycznia 1940 roku, poniedziałek. Wczoraj zrobiliśmy ścieżki na podwórku, jednak dziś już nie ma po nich śladu, w nocy bowiem znowu śnieg padał. Dziś była pierwsza lekcja historii „litewskiej”. Zaczęła zeksica⁹² bajerować o tym, jak Jadźwingowie żyli, mieszkali, co jedli etc., etc. Ładna „historia”. Malcy bałaganą jak beczka aresztantów. Dziś i zawsze do odwołania trzeba będzie przychodzić na dziewiątą do budy bez względu na niskość temperatury. Mróz wzrasta: wieczorem -20° , rano było -4° . W domu u nas wielka radość: Babunia⁹³ dostała [wiadomość] od wuja Józefa⁹⁴ z Krasinca pod Warszawą. Żyją wszyscy. Cukrownia została spa-

⁸⁹ Serniki — danie kuchni karaimejskiej, pierogi z serem, zalane śmietaną i zapieczone w piecu.

⁹⁰ W domu żałoby przez siedem dni po pogrzebie nie przygotowywano posiłków. Żałobnikom i modlącym się postne pokarmy dostarczali sąsiedzi i bliscy.

⁹¹ Julian Kobecki (ur. 1924), syn Awenira.

⁹² Zeks, zeksica — w gwarze uczniowskiej: nauczyciel, nauczycielka.

⁹³ Kamila z Kobeckich Firkowicz (1873–1952), córka Juliana, „Bogusiowa”. Wdowa po starszym hazzanie Bogusławie Firkowiczu.

⁹⁴ Józef Firkowicz (1896–1963), syn Bogusława. Pracował w cukrowni w Krasincu jako chemik.

lona przez odstępujące wojska polskie, remontują ją. Tatuś jeździł do nadleśnictwa. Jechał sałmami 3 godz., taka droga i na szosie.

Dnia 23 stycznia 1940 roku, wtorek. Dziś dopiero p. Sztromowa wróciła z Wilna z synem — Bogusiem. Chorował on od czasu jej pojazdu do Wilna. Miał wrzód na ręce. W budzie była dziś ładna chryja. Na litewski przyszedł dyrektor. Po lekcji (ostatniej) wychodzi pierwszy, po niejakiś czasie Litwin. Malcy gwizdać i krzyczeć zaczęli. Dyrektor wraca. Zmawiamy modlitwę. Dyrek (pewno w obawie, żeby nie wygwizdali) czeka, aż wyjdą malcy. Już przeszło połowa wyszła, no i on wtedy wyłazi. Wtem Mierzwiński podsłakuje do drzwi i jemu na pożegnanie „A Żeligowskiego znasz?”. Dyrektor oblizał się, położył po sobie uszy i poszedł.

Dnia 25 stycznia 1940 roku, czwartek. Znowu chryja. Na łacinie. Przychodzi zeks Nowowiejski i przynosi klasówki do poprawy. Wtem ktoś rzucił na środek spalonym węglem. Zeks dawaj rzucać się. „Ja klasę na tydzień zawieszę”, powiada i posyła po dyrektora woźnego. Ten przychodzi i z ważną miną mówi: „Niech ten, kto to zrobił przyzna się, do jutra!”. Na wszystkich ścianach: „Niech żyje Wilno polskie”, „Niech żyje Polska”.

Dnia 26 stycznia 1940 roku, piątek. Z matematyki zeks oddał klasówki, dostałem 4 minus. Ale z tym to ciekawie. Ja nic nie umiem. Jakoś ten, który rzucił wczoraj węglem, nie przyznał się. Mogą zawiesić, albo i rozwiązać klasę.

Dnia 28 stycznia 1940 roku, niedziela. Była przejazdem do Trok ciocia Asia z stryjem Michałem. Tatuś jeździł do Strakiszek. Przyjeżdżał Sieniunas (nowy leśniczy) na pociąg spotykać żonkę. Ale ta nie przyjechała. Litwin zajeżdżał do nas. Stryjostwo wracając z Trok też zajeżdżali. Sieniunas pożyczył u nas lampę. Haładamiry⁹⁵.

Dnia 29 stycznia 1940 roku, poniedziałek. Znowu bajer. Na gimnastyce ktoś napisał w klasie „PRECZ Z LITWĄ”. Pan prof. Nowowiejski przychodzi i mówi, że za to całą bandę rozpędzą. Ścierali, ścierali, aż zrobili „BREOW W BITWĄ”. Zrozumieli, czy nie, piorun ich wie.

Dnia 1 lutego 1940 roku, czwartek. Pierwszego lutego Ignacego imieniny, b. prezydenta Rzeczypospolitej. Po akademiach, przemówieniach etc. zostały tylko błogie wspomnienia, zasłute przez mgłę wydarzeń.

Dnia 2 lutego 1940 roku, piątek. Dziś M.B. Gromnicznej. Mimo, że Litwini tego święta nie obchodzą, jednak szkoły dziś nieczynne. Był p. Wołczacki. Przyjadą w niedzielę do nas. Stryjostwo Pileccy byli prze-

⁹⁵ Haładamiry — głodomory.

jazdem do Trok. Przyjeżdżał Tynfowicz⁹⁶, p. Dubiński⁹⁷ i p. Jutkiewicz⁹⁸. Jutro upłynie pół roku od śmierci Halinki Urbanowiczówny, [było to w] czwartek, dnia 3 sierpnia 1939 roku w Trokach... I jeszcze: Przed wojną...

Dnia 3 lutego 1940 roku, sobota. Dziś był p. Sztrom. Pojechał do Jaszun, bo stryj Michał [Pilecki] dowiedział się, że jest tam posada pomocnika leśniczego. Przyjechał były adiutant p. inż. Woronkowicz i pojechał do Ropiej, bo tam też jest jakaś praca w lesie. Pomocnik.

Dnia 4 lutego 1940 roku, niedziela. Przyjechali pp. Wołczacy, nowy sekretarz (Litwin) i buchalter też Litwin. Także pp. Urbanowiczowie i Sieniunasowie. Sekretarz rozmawia bardzo dobrze po polsku, zaś buchalter i Sieniunasowa — ani w ząb. Chamy z tych Litwinów, jakich mało. Ryczą za stołem po litewsku (niby śpiewają), a p. nadleśniczyna mówi, że sekretarz w Landwarowie na ulicy smarka w rękę i gotowe. Jacyś dzicy ludzie. A la bolszewicy. Matwiej kurzył papierosy. Robiliśmy dochodzenie i napadła p. nadleśniczyna. Ja w tym czasie trzymałem papieros w saloniku. (Wszyscy jedli obiad w stołowym, na stole w saloniku leżały dwa pudełka z papierosami.) Przyszła i mówi: papierosy kradniecie. Do mnie. Potem przyjechał ksiądz proboszcz starotrocki z p. Stawiarskim. Pod wieczór wyjechał. Państwo Wołczacy mieli jechać wcześniej, zaś sekretarz z buchalterem później, naszym koniem. Gdy ksiądz wyjechał, na podwórku stał zaprzęgnięty już koń pp. nadleśniczych. Nikogo przy nim nie było, więc ten zabrał się i pojechał za księdzem. Potem Wacek na naszym koniu dopędził go koło Leszczyńskiego. No więc o 5³⁰ wyjechali. Reszta gości wyjechała o ósmej. Mróz rośnie. Dobrze, że pochmurno.

Dnia 5 lutego 1940 roku, poniedziałek. Pojechałem do Wilna. W budzie węgiel skończył się (wychodziło przeszło 2 tony dziennie, 126 pieców), więc palą drzewem i jest bardzo zimno. Już od dwóch tygodni nie ma niemca, bo Niemka chora. U Abkowiczów bieda. Wuj [Rafał] od polskich rządów jak dostał trzymiesięczne pobory, wypuścił na tych szaleńczych cenach bolszewickich, to i szlus. Litwini mają płacić za 6 miesięcy z dołu. Aby wuj ich pod niebiosa wynosił. Teraz leży chory. Nie mają czym opalać, mieszkają więc w dwóch pokojach, w reszcie mieszkania –10°. Gabryś⁹⁹ miał przyjechać do nas, ale takim mrozem boi się go wypuszczać. Pewno w połowie mieszkań Wilna tak samo.

⁹⁶ Józef Tynfowicz (1914–1970), syn Zachariasza.

⁹⁷ Michał Dubiński vel Dubo-Dubiński, „Hrabia”.

⁹⁸ Józef Jutkiewicz (1910–1987), syn Efima, „Agronom”, „Szłapak”.

⁹⁹ Gabriel Abkowicz (ur. 1934), syn Rafała.

Dnia 10 lutego 1940 roku, sobota. Dziś po karaïmsku wypadają imieniny¹⁰⁰ Tali. Jeździła do Wilna p. Urbanowiczowa.

Dnia 11 lutego 1940 roku, niedziela. Mróz znowu zwiększa się. Jeździłem koniem do Trok. U Babuni przy piecu wypalonym marznie wszystko.

Dnia 12 lutego 1940 roku, poniedziałek. Mróz podskoczył do -35°C . Nie poszliśmy do szkoły. Ja tylko pojechałem do Wilna do Abkowiczów, gdyż wuj miał dowiedzieć się, czy na posiadane dokumenty może dostać paszport, bo do końca miesiąca trzeba go przedstawić w nadleśnictwie. Okazuje się, że można.

Dnia 13 lutego 1940 roku, wtorek. Trzynastka i spóźnił się pociąg. Do Wilna przyszedł o 7⁵⁵. Spóźniłem się na łacinę. Dziś rano było -15° , a w południe -8° . Może nareszcie pęknie na amen. Żeby prędzej ta upragniona wiosna. Oczekuję jej z taką niecierpliwością, jak nigdy. Nie dlatego, że z chwilą jej nastania zaczną warczeć silniki tysięcy samolotów, że hukną armaty, gąsienice czołgów poczną ryc ziemię, ludzie będą padać, obficie brocząc krwią lub, o zgrozo!, nie padać, lecz wylatywać w powietrze, rozszarpani wybuchem bomb czy pocisków. Nie, bynajmniej nie dlatego. Raczej dlatego, że ziemia ukaże znowu swe łono, ukryte teraz pod grubą warstwą śniegu, że można będzie na nowo połykać jednym pędem przestrzeń dzielącą Troki i Leśniki, że będę czuć pęd wiatru jadąc ścieżką z góry, że kłosa dojrzałego zboża rosnącego wysokim łanem po obu stronach między przerobionej w doskonałą autostradę, lepszą od asfaltowej, będą znowu bić po rękach, nogach, twarzy, lub że można będzie jechać wolno rowerem albo spacerować po lasach, słuchać miłego szczebiotania w południe skowronków, zaś w cichy wieczór słowików. Zupełnie jak dawniej. Hej! Chyba, że niezupełnie, bo wtedy było wesoło, odczuwało się chęć do życia i pędu lub (chodząc z flowerem na rękę) wariacką, pijaną chęć podejścia czegoś po cichu i... strzelenia, teraz natomiast smutek na sercu i niepewność. Nie, niezupełnie jak dawniej...

Dnia 14 lutego 1940 roku, środa. Tatuś jeździł do Wilna w sprawie paszportu i przywiózł Gabrusia [Abkowicza]. Ten już wieczorem począł płakać, że tęskni za mamą. Ciocia Tamara Firkowiczowa¹⁰¹ została zwolniona z posady, bo pewno ktoś doniósł jakiś bajer, i dopiero na wielkie prośby została znowu przyjęta do Siemieliszek. Wczoraj przyjechał p. Gąsiorowski i dziś pojechał do domu.

¹⁰⁰ Chodzi tu o urodziny według kalendarza karaïmskiego.

¹⁰¹ Tamara ze Szpakowskich Firkowicz (1910–2000), córka Aleksandra, „Kura”, żona Michała Firkowicza, brata matki autora.

Dnia 15 lutego 1940 roku, czwartek. Nasza klasa poszła dziś na narty, ale ja nie, bo moje narty połamane, a pożyczać nie chciałem, bo wpakowałbym się na jaką sosnę, to byłoby biedy.

Dnia 16 lutego 1940 roku, piątek. Szkół dziś nie ma, bo dziś jest święto niepodległości Litwy. Obchodzą bardzo hucznie. Co do flag, to są one żółto-zielono-czerwone, 2 m długości, zawieszone na długim drągu, pomalowanym na zielono, zaś sam wierzchołek na żółto. Hucznie obchodzą, kto ich wie, może przeczuwają, że już ostatni raz. U Pietruszkiewicza wczoraj ktoś zbłącił 7 kg tytoniu. Tatuś pojechał z Pietruszkiewiczową do Trok z powodu święta. Przemawiali w Domu Ludowym przedstawiciele wszystkich narodowości. Podobno hazzan fajnie mówił. Kierownik szkoły (Litwin) zakończył swe przemówienie tymi słowami: „Przypuszczam, że za rok czy dwa będziemy lepiej żyć” (z Polakami), dostał potężne brawo. Kamotnie¹⁰² podobno mówił rabin żydowski.

Dnia 17 lutego 1940 roku, sobota. W budzie była chryja. Na historię litewską (nie mają chyba o czym wykładać) przyniosła historyca referat jakiś. Malcy trochę bałaganili, a po dzwonku trzy razy wystrzelili z naboju flowerowych (łusek) naładowanych dynamitem z korków. Przyparł¹⁰³ się potem inspektor, i potem wychowawca, ale nic. Widziałem jakiś dziwny sen tej nocy. Oto p. Urbanowicz siedzi za stołem, zaś śp. Halina, p. Urbanowiczowa i Danusia stoją. Pani Urb. prosi u męża konia, bo Danusi trzeba gdzieś jechać, ten zaś nie zgadza się i jest bardzo czerwony. Wreszcie mówi: „Chyba Halina z nią pojedzie”. Halina zaś nie zgadza się na to. Na tym obudziłem się. Co może oznaczać?

Dnia 18 lutego 1940 roku, niedziela. Stryj Michał był u nas przejazdem. Przyjechała p. Sztromowa z synem i Wacek. Pojechali o 1⁵⁰ do Wilna i Jaszun. W Jaszunach jest jej mąż i tam pracuje. Pośle tego¹⁰⁴ jak tam pojechał, przyjeżdżał jeszcze we wtorek do nas i z rodzicami jeździł do pp. Urbanowiczów na zapusty. Mama z Romkiem, Gabrusiem i ja jeździliśmy dziś do nich. Ja z Gabrusiem przyjeżdżałem z powrotem, ażeby przywieźć Talę z dworca, bo ta jeździła do Landwarowa, potem zaś znowu pojechaliśmy do Żukiszek. Pani Urbanowiczowa mówi, że w Trokach w szkole powszechnej przed 16 II przyniósł ktoś sztandar litewski. Było to w czasie przerwy, więc uczniowie dawaj wrzeszczeć „A, o, szmatę niesie, szmatę”. W VI kl. jakiś młody zeks, student, dał w twarz uczniu, ten zaś

¹⁰² Kamotnie — śmiesznie.

¹⁰³ Przyprzeć się — przyjąć.

¹⁰⁴ Pośle tego (z ros.) — po tym.

na niego: „Ty kłumpa¹⁰⁵, będziesz bić się”, teraz zaś gdy zeks pokaże się na korytarzu, zaraz wszyscy krzyczą: „Kłumpa”. Wróciliśmy o 7³⁰. Gabrys podróżą zachwycony. Bo naprawdę jest czym się zachwycać. Wieczorem księżyc jasno świeci, a droga do Bobrówki (z Żukiszek jechaliśmy przez Bobrówkę) jest złożona z trzech prościutkich części. Po obu jej bokach rosną świerki, a teraz są one przysypane śniegiem. Cudnie jest naprawdę. Gabrysia tylko końmi można utrzymać, bo tak to płacze, że koniecznie chce jechać do domu.

Dnia 19 lutego 1940 roku, poniedziałek. Pojechałem do Wilna. Litwini poczynają już po trochu rozwiązywać klasy. U Zygmunta Aug.¹⁰⁶ rozwiązali kilka klas, u nas¹⁰⁷ zaś jedną klasę. Litwini zmienili trochę modlitwę. Zamiast „Maryjo, Królowo Korony Polskiej” mówi się „Maryjo, Królowo Pokoju”.

Dnia 20 lutego 1940 roku, wtorek. U mnie na prawej skroni wyskoczył wrzód, pojechałem więc do Wilna cały obwiązany. Była klasówka z polskiego, wczoraj zaś z historii.

Dnia 21 lutego 1940 roku, środa. Ażeby czasem nie przeziębic mego wrzodu, nie pojechałem do budy. Zresztą było o godzinie szóstej aż -34°C . Znowu podskoczyło, ale chyba że już ostatni raz. W południe było -8° , a z dachów to nawet kapło. Jednak słońce robi już swoje. Ogólnie przypuszczają, że w tym roku będzie powódź, bo jest dużo śniegu i w czasie zimy nie było odwilży. O 1⁵⁰ zawiozłem Gabrusia do Wilna, bo już więcej tęskni za domem, niż lubi koni. Na dworcu spotkał go Michał. Nauki w szkołach nie było.

Dnia 22 lutego 1940 roku, czwartek. Mrozy powoli odpadają. Była klasówka z niemieckiego. W budzie trochę się uspokoili. Kilka dni temu ci, którzy nie będą mieli czym płacić za naukę, bałaganili. Spytałem Wołka, po co to czyni, mówiąc, że mogą rozwiązać klasę. Odpowiedział mi: „A co mnie zależy na tej klasie. I tak nie będę chodzić”. Z powodu takich Polaków rozwiązyali kilka klas.

Dnia 23 lutego 1940 roku, piątek. Dziś jest święto. Wprawdzie nie bardzo uroczyste, mianowicie — *Purym*¹⁰⁸. Chociaż dzisiejszy dzień nie jest datowany „13”, ani w ogóle cyfrą z nią związaną, jednak spóźniliśmy się na pociąg. Tylko Tala pojechała. W południe było plus 2°C . U b. gajowego Tomaszewicza była dziś rewizja, bo chyba ktoś doniósł, że ma broń. Zna-

¹⁰⁵ Kłump, kłumpa — z lit. drewniak, nieżyczliwe określenie Litwina.

¹⁰⁶ Gimnazjum Męskie im. Zygmunta Augusta w Wilnie.

¹⁰⁷ Autor uczęszczał do Gimnazjum im. Adama Mickiewicza.

¹⁰⁸ Karaim.: Kynysz.

leźli dubeltówkę, a on nie miał jeszcze pozwolenia, bo nie wydali mu. Ale chyba nic mu nie będzie. Policjanci jedli u nas obiad

Dnia 24 lutego 1940 roku, sobota. Nareszcie dziś odwilż. Śnieg topnieje. Ponieważ jest go zbyt dużo, zachodzi obawa, że w tym roku może być powódź. W szkole znowu chryja. Na historii. Malcy krzyczeli jak jeszcze nigdy przedtem. Oprócz tego nabili jeszcze krzesło szpilkami. Na szczęście nie usiadła nań. Na odchodnym zrobili jeszcze jej kocią muzykę. Usłyszał ją jakiś zeks i przyszedł do nas uspokajać. Gdy odchodził i jemu „zagrali”. Więc ten wrócił i posłał dyżurnego po wychowawcę. Wychowawca przychodzi i dawaj litanie czytać, że co to za solidarność tych, którzy bałaganili, względem tych, którzy chcą się uczyć. W międzyczasie postawił kolano na krzesło, ale zaraz go zabrał, bo chyba ukłuło mu. Wreszcie przywalił się i inspektor. On to samo zaczął mówić. Aż powiada, że albo się dowiedzą, kto krzyczał, albo klasę rozwiążą. Potem wychowawca przyczepił się do mnie. Pyta, czy ja krzyczałem. Ja mu powiedziałem, że nie, skąd mogę wiedzieć, kto krzyczał, jeśli pani psorka nie wie. Po lekcjach Sztukas mówi: „Jakiz to Polak pójdzie zdradzać”. Ja mu na to: „Tak, Polaków to nie można zdradzać, ale Polacy mogą, bo te krzyki nie są czym innym, jak tylko zdradą”. Po lekcjach rozmawiałem z Płodowskim. On też mówi, że gdyby wiedział, że nie będzie chodził, to i on bałaganiłby. Dziwni oni są. Doszedłem do wniosku, że Polacy dzielą się, że tak powiem, na dwie grupy. Pierwsza to grupa Polaków prawdziwych, Polaków z krwi i kości, druga to Polacy, którzy noszą tylko zaszczytną nazwę i chlubią się ją, w gruncie rzeczy zaś są tylko cymbałami, niegodnymi nazwy „Polak”. Smutne to, lecz prawdziwe.

Dnia 25 lutego 1940 roku, niedziela. Odwilżą niedługo pocieszyliśmy się. Dziś jest już trochę mrozu, a przy tym pieroński wiatr. Rano padał śnieg, ale pod wieczór wypogodziło się. Wczoraj było święto niepodległości Estonii. W Wilnie powywieszali litewskie flagi, na niektórych zaś domach i estońskie. Była wczoraj łaźnia, w której osłabł i spadł z półki nowy gajowy litewski, Martinkienas.

Dnia 26 lutego 1940 roku, poniedziałek. Mama z Wackiem jeździli dziś koniem do Landwarowa. Zawieźli do Antoniewicza rower Tatusia i od mego widełki, co je w lecie połamałem. Trzeba je zlutować z rurą sterową¹⁰⁹. Mama była u pp. Bolsziów. No więc p. Bolszio internowany. Jurek chodził na jakąś robotę, ale został zwolniony, bo (powiada torowy) nam polityków nie trzeba. Pan Pronaszko chodzi do Waki, bo tam budują drogę,

¹⁰⁹ Rura sterowa — kolumna kierownicy.

więc i on pracuje. Mama z powrotem wróciła pociągiem, razem z nami o czwartej.

Dnia 27 lutego 1940 roku, wtorek. Tatuś jeździł dziś do Wilna, gdzie dostał paszport. Kupił sobie także czapkę leśną. Wczoraj otrzymałem klasówkę z niemca i łaciny, obydwie po 3. Dziś zaś oddał z litewskiego. Ze mną to fajny bajer był. Klasówkę tę pisali w piątek 23-go. Ja nie pisałem, gdyż wtedy jak raz spóźniłem się na pociąg. Wreszcie Litwin wyjął notes i czyta, kto będzie pytany. Gdy do mnie doszedł, dawaj rzucać się, że ja celowo nie przyszedłem w piątek do budy. Ja mu tłumaczę, czemu nie byłem, a on na to „Nu, tak ja tobie koł¹¹⁰ postawię”. I napisał. Malcy dawaj śmiać się. Ja, ażeby mu lepiej wytłumaczyć, o co chodzi, podchodzę do stolika, a on pokazuje mnie w notesie jedynekę. Wreszcie mówi, że trzeba przynieść zaświadczenie. Ja mu mówię: „Dobrze” i siadam na miejsce, a on drze się: „Od doktora zaświadczenie”. Tu malcy w ryk. Po dzwonku podszedłem do zeksa i na nowo dawaj mu tłumaczyć. Wreszcie powiedział, że będzie mnie jeszcze pytać. Oferma z niego.

Dnia 28 lutego 1940 roku, środa. Tatuś jeździł dziś koniem do nadleśnictwa. Okazało się, że czapka jest zła, bo ta jest dla gajowych. Sprzedał więc ją Grygielunasowi, któremu w drodze do Trok wiatr zerwał czapkę z głowy i gdzieś zaniósł. Do dziś była bardzo ładna pogoda. Cicho, z przeciętną temperaturą –10, –15°C i słonecznie. Jednak dzień już znacznie dłuższy. Dziś jednak poczęło zachmurzać.

Dnia 29 lutego 1940 roku, czwartek. Dziś do budy nie trzeba, bo są rekolekcje. Powiozłem do Wilna kartofle dla Juluka Firkowicza. Ale ten nie przyszedł na dworzec spotkać, bo nastawił budzik, ale zapomniał odsunąć zasuwki, więc zegar nie dzwonił. Wróciłem o 8¹⁰ do domu. Dziś pieńrońska odwilż. Mama pojechała do Trok. Wróciła ze Sławkiem Abkowiczem, który został wyrzucony z budy¹¹¹. Ma on po niedzieli przyjechać do nas na robotę na placu. Bilety miesięczne podróżowały z 13 na 16 litów. Mama urządziła w trockiej szkole Romki¹¹². Będzie uczyć się razem z Tomaszewiczówną, więc będzie przynajmniej wiadomo, co mu zadano. Bo w Wilnie nic nie robił.

Dnia 1 marca 1940 roku, piątek. Sławek Abkowicz pojechał do Wilna. Dziś już znowu –15°C. W marcu jak w garncu. Romka pojechał z Tomaszewiczównami do budy trockiej. O dziewiątej przyjechał p. Pronaszo,

¹¹⁰ Koł — tu: pała.

¹¹¹ Bogusław Abkowicz został wraz z kolegami wyrzucony ze szkoły z klasy maturalnej za manifestowanie polskości na lekcjach — odśpiewał „Rotę”. Naukę podjął dopiero po wojnie.

¹¹² Zapisła do szkoły brata autora, Romualda (odmiana gwarowa).

gdyż chce on w lesie pracować. U niego zawsze dobrze pod względem politycznym. Jest pewny w 99% co do zwycięstwa Anglii. W Poznaniu Niemcy rozstrzelali Chłapowskiego¹¹³, b. ambasadora we Francji. Ten umierając krzyknął: „Niech żyje Polska, Anglia i Francja”. Ten powiedział: „Mierzcie w samo serce”. Żaden nie umierał jak pies. Ci są prawdziwymi Polakami.

Dnia 2 marca 1940 roku, sobota. Romek jeździ na razie z Tomaszewiczównami, ale później będzie jeździł naszym koniem. Tatuś pojechał do nadleśnictwa. Dziś rano było -10°C , ale w południe kapie z dachu. Jednak słońce robi swoje.

Dnia 3 marca 1940 roku, niedziela. Jeździłem z Tatusiem do Trok koniem przez jeziora. Bardzo zła pogoda i pieroński wiatr północny. W Trokach mają założyć karaimską spółdzielnię, lecz jakoś nie bardzo dobrze to idzie. Ja u Marka rozebrałem mechanizm mojej spluwy, wyczyściłem go i nawazelinowaawszy, po długich mękach złożyłem. Obstalowaliśmy z Tatusiem portki dla mnie.

Dnia 4 marca 1940 roku, poniedziałek. „Kaziuk”. Do budy nie trzeba. Do Wilna na „Kaziuka”¹¹⁴ nie pojechałem, bo szkoda czasu, a trzeba lekcje robić. O czwartej godzinie przyjechał Sławek Abkowicz na pracę. Powiada, że na „Kaziuku” nie było trzeciej części sprzedających i kupujących, co w zeszłym roku. Podobno przyjechało 9 pociągów Litwinów. Tylko chodzą i chodniki wileńskie szlifują.

Dnia 5 marca 1940 roku, wtorek. Dziś przyjechał jeden Litwin z Olity, który będzie pomagierem, jak kiedyś p. Gąsiorowski. Będzie on u nas mieszkać (w saloniku) oraz stołować się. Sławek układał dziś chyba przez 3 godziny trzaski, ale zmarzył i wrócił do domu. Wielki wiatr. Dziś pojechałem do budy, było tylko kilkunastu malców, bo niektórzy nie mają czym płacić, niektórzy zaś, zwłaszcza ci, którzy zostali zwolnieni, nie mieli prolongowanych legitymacji, gdyż te były przedłużane przy wpłacie, a takich woźny w ogóle nie wpuszczał do klasy, ażeby nie bałaganili. Dziś rano nie paliliśmy lampę, tak światło¹¹⁵.

Dnia 6 marca 1940 roku, środa. W budzie już trochę więcej malców. Oddał dziś klasówkę z algebry. Ja dostałem cztery z dwoma minusami. Tę klasówkę to już pisałem samodzielnie, nie tak jak zesłą. W poniedziałek będzie sesja i podobno dadzą nam cenzury.

¹¹³ Mieczysław Pius Chłapowski — działacz społeczny, ziemianin. Rozstrzelany przez Niemców 23.10.1939 r. w Kościanie.

¹¹⁴ Kaziuki — jarmark organizowany w dniu św. Kazimierza.

¹¹⁵ Światło — tu: jasno.

Dnia 7 marca 1940 roku, czwartek. Malcy już tak nie bałagania, jak przed pierwszym. Wczoraj byłem u dyrektora w sprawie Michała Firkowicza. Kiedyś dyrektor mówił, że można przyjąć. Był u niego Olek [Dubieński], więc ten powiedział, że już dawno mógł przyjąć do III klasy, ale on myślał, że to do I trzeba. Pośle tego telefonował doń hazzan z Trok, a dyrektor mówi, że to w I klasie są miejsca, nie w III. Dziś byłem u niego, więc teraz on mówi, że trzeba złożyć egzamin z przerobionego kursu, to będzie mógł przyjąć. Pieron jego wie, może to znowu w pierwszej klasie jest miejsce, nie w trzeciej. Na biologii dostałem czwórkę, bo jak odpowiadający przy stole nie umiał, to ja podnosiłem rękę i mówiłem.

Dnia 8 marca 1940 roku, piątek. Zenek nie jeździ, bo u niego są rekolcje. Jechałem do Wilna z p. Stawiarskim. Na niemieckim malcy wywrócili kosz z popiołem, musiał więc Heicz¹¹⁶ zbierać go. Po lekcjach zostałem jak zwykle w klasie i czekając na pociąg, robiłem lekcje. W tym czasie przychodzi Niemka i mówi, że zgubiła gdzieś swój notes. Ja widziałem, jak go położyła na dziennik, na książkę niemiecką i poszła. Widać zgubiła go po drodze do pokoju nauczycielskiego.

Dnia 9 marca 1940 roku, sobota. Dziś oddała zeksica klasówkę z historii, którą żywcem ściągnąłem z zeszytu, jak powszechną, tak i litewską. Dostałem pięć z minusem. Pytała mnie z historii litewskiej. Jakoś powiedziałem. Podobno będzie cztery na świadectwie. Dziś wracałem z Zenkiem w jednym przedziale z czterema bolszewikami. Wyglądają oni już nie tak jak w jesieni. Po pierwsze płaszcze lepiej poszyte i dopasowane, futerały do spluw i torby na dokumenty z nowej skóry. Sami zaś czyści i zamiast „karaszków”¹¹⁷ w gazetce kurzą fajne papierosy, na rękę zaś „cybula”, czyli *czasy*, no i oczywiście skórzane *rukawicy*. W tym samym przedziale jechał jakiś człek z „Gazetą Codzienną”, w której była mapa wojującej Europy. Wzięli więc ją i patrząc na Finlandię mówią: „Ot była granica, a terazniejszej nie ma”. Finlandia już pędzi ostatkami. Anglia chce pomóc, ale nie ma kędy przesłać wojska, bo państwa skandynawskie nie przepuszczają. Wipuri, czyli Wyborg zdobyli już czerwonońcy i masą prą naprzód. Ludzie to tylko mięso.

Dnia 10 marca 1940 roku, niedziela. Śnieg, jak sto diabłów, jakby go jeszcze mało było. Przyjeżdżał z Landwarowa Srolkuć¹¹⁸. Pomocnik Tatusia jeździł o 1⁵⁰ do Landwarowa i o czwartej wrócił. Wczoraj były imieniny

¹¹⁶ Jerzy Heicz, jeden z uczniów.

¹¹⁷ Karaszki — zły jakości tytoń.

¹¹⁸ Syn Srola, sklepikarza.

p. Urbanowiczowej, z tego też powodu rodzice jeździli do niej. Wrócili nie późno. Ze Sławkiem poilem krowy, bo Stefa poszła gdzieś.

Dnia 11 marca 1940, poniedziałek. Dziś na gimnastyce zobaczyłem na listę stopni. Mam cwaję z litewskiego, bo nie pisałem klasówki, a zeks mnie potem nie zapytał, taka świnią. Były trzy lekcje od tego czasu, to malców pytał po kilka razy, a mnie to nie mógł zapytać. Z gimnastyki to fajnie stawiał stopnie, bo zawołał Parkitnego i pyta się go, jakie stopnie stawiać. A ten mówi: cztery, pięć, cztery, pięć i wszystkim tak postawił. Przyjeżdżali dziś p. Tymfowicz¹¹⁹ i Romek Ławrynowicz¹²⁰ z Trok.

Dnia 12 marca 1940 roku, wtorek. Odwilż. Ta to już zdaje się będzie porządna. Litwin, ten, co u nas mieszka, p. Labraviczius, jest bardzo gadatliwy. Po prostu wyszukuje sobie specjalnie tematy do rozmowy. Ale to dla nas to i dobrze nawet, bo może prędzej nauczymy się. Wieczorem był u Tatusia jakiś pan ze Szklar, który przez 20 lat służył na kolei, teraz zaś musi wozić kłody. Jak to fortuna kołem się toczy.

Dnia 13 marca 1940 roku, środa. No, dziś przecie „13”. Spóźniliśmy się, a raczej Tala spóźniła się na pociąg. Ja już w biegu wskoczyłem, i to dobrze, że mnie maszynista zobaczył, więc nie odjeżdżał, dopóki ja nie podbiegłem. Ale też zajechałem tylko do Landwarowa do Sroli i wróciłem. Finlandia dziś o dwunastej w nocy podpisała zawieszenie broni w Moskwie. Podobno Wielka Brytania nie zgadza się. Ta już kilka dni temu powiedziała, że gdyby tylko Finlandia zwróciła się o pomoc, alianci natychmiast jej udzieliliby, nie zwracając uwagi na to, czy państwa skandynawskie chciałyby przepuścić ją, czy też nie. Dziś jechał jakiś człek pociągiem i mówił, że otrzymał list od syna z Grecji. Dostał się on tam przez Węgry i Jugosławię. Węgry przynajmniej fajno się spisali. I bez różnych paktów ani umów lepszymi przyjaciółmi okazali się niż takie „królestwo rumuńskie”, które było z Polską związane jakimiś paktami. W ogóle teraz te paktory okazały się cienką pajęczynką, którym tylko lada jakiego podmuchu trzeba, żeby się całkiem rozleciały. Raptem Finlandia, Dania, Norwegia i Szwecja podpisały pakt o wzajemnej pomocy, a co z tego wyszło? Tatus jeździł do Rudziszek, ja zaś do Wilna na religię¹²¹. Sobie pobałaganiliśmy trochę (bo przecie pierwszy raz dziś byłem), stuknęliśmy śnieżkami (a taki fajny był śnieg) i po religii. W Wilnie woda, jak beczka aresztantów, ale Wilja jeszcze stoi pod lodem.

¹¹⁹ Michał Tynfowicz (1912–1974), syn Samuela, „Micha-piś”.

¹²⁰ Romuald Ławrynowicz (1909–1980), syn Józefa.

¹²¹ Do domu gminnego (karaim. *midrasz*) przy kienesie.

Dnia 14 marca 1940 roku, czwartek. Na lekcje do budy spóźniłem się. Przywiozłem Sławku bluzki z Wilna. Tatuś i p. Sieniunas jeździli do Ponar na zjazd leśniczych.

Dnia 15 marca 1940 roku, piątek. Dziś już mrozik. Powodzi jakoś nie ma i o niej nie słyhać. A ja to już nawet i chciałem, żeby ona była. Zobaczyćoby się, jak to wygląda ulica, gdy po niej zamiast przechodniów i drożek, ludzie łódkami pływają lub po prostu krawlem, po rusku, czy zgoła dowolnym stylem. Przypuszczam, że każdy taki jak ja, to znaczy młody szpic¹²², pełen chęci zobaczenia lub brania udziału w jakichś nadzwyczajnych wydarzeniach, tak samo myśli, nie zastanawiając się nad tem, że toż przecie najstraszniejsza klęska ludzkości.

Dnia 15 marca 1940 roku, sobota. Ostatni dzień nauki przed Wielką nocą. Rozdali nam świadectwa, jeśli ten świstek w ogóle tak można nazywać. Bez żadnych pieczęci, jedynie z podpisem wychowawcy. Ja mam takie stopnie: polski — 3, łacina — 3, niemiecki — 3, algebra z geometrią — 3, właściwie zaś — 3+, botanika — 4, historia — 4, geografia — 3, gimnastyka — 4. Po obiedzie wywiązała się między mną a Mamą rozmowa na temat dwóji z litewskiego, którą zresztą dostałem całkiem niesprawiedliwie, bo mnie po klasówce nie pytał. Mama powiedziała, że Tatuś bardzo nie chciałby, aby ja gorzej uczył się niż Zenek, który nawiasem mówiąc miał tylko dwie trójki, resztę zaś same czwórki i piątki. A więc dobrze, bo jeżeli chodzi o honor Tatusia, no i mój oczywiście, to postaram się, aby on nie był zagrożony. Może jeszcze się nie dociągnę do Zenka do końca roku szkolnego, ale żeby przynajmniej nie zostawać tak haniebnie w tyle. Szkoda, że mnie wcześniej nie powiedziano o tym.

Dnia 17 marca 1940 roku, niedziela. Dziś nie robię nic i odpoczywam.

Dnia 18 marca 1940 roku, poniedziałek. Romku trzeba jeszcze dziś do szkoły. Odwiozłem więc go z Mamą do Trok i kułem za mostem¹²³ konia na ostro, bo się bardzo ślizga. Wróciliśmy o dwunastej i poszedłem układać trzaski na placu. Pomimo to, że układałem tylko pół dnia, wieczorem pie-
rońsko bolały mię nogi. Dziś jest Edwarda, imieniny byłego marszałka.

Dnia 19 marca 1940 roku, wtorek. Wybrałem się jechać rano do Wilna po czapkę dla stryja Michała. Jednak spóźniłem się na pociąg i pojechałem dopiero o 13³⁰. Przez ten czas układałem trzaski. Tatuś sprzedał na kiermaszu w Trokach (z powodu Józefa) konia naszego. Wziął 165 lit. Jak za niego to dobrze.

¹²² Szpic — młody chłopak.

¹²³ Na tzw. Zamościu w Trokach znajdowała się kuźnia Karaima, Noego Robaczewskiego.

Dnia 20 marca 1940 roku, środa. Pracowałem cały dzień. Jeżeli w ogóle czynność wykonywaną przez mnie można nazwać pracą, a nie przyjemnością. Bo czyż to nie przyjemnie być na świeżym powietrzu, gdy słońce przygrzewa i wchłaniać wielkim haustami powietrze przesiąknięte świeżą, wiosenną żywicą, a do tego jest jeszcze ciepło od wykonywanego (uf, jakie to trudne słowo. Trudniej go o wiele napisać niżli złożyć metr trzasek) ruchu. Bo naprawdę, mimo że wiosna jest jeszcze daleko (tak przynajmniej wydaje się, gdy patrzy się na zwały leżącego śniegu), jednak gdy słońce przygrzeje, już pachnie nią i jakby nadchodzi, to życie weselsze i lżejsze. A tak ją pragnę prędejsz ujrzeć i poczuć.

Dnia 21 marca 1940 roku, czwartek. Pan Zubrowiczus, czyli Zubrewicz pojechał na święta do domu do Olity. Miał z Sieniunasem jechać koniem do Landwarowa, ale tamten zrobił mu kawał, bo zadzwonił do nas, żeby Zubrewicz przyszedł do nich. Tymczasem, gdy przyszedł on do Bobrówki, Sieniunasa już nie było. Pan Zubrewicz przez kilka ubiegłych dni namyślał się, czy jechać, czy nie. Bo z jednej strony ciągnie do swoich na święta, z drugiej zaś forsy szkoda. Ale namyślił się jechać. Pogoda popsuła się, wieje silny południowy wiatr.

Dnia 22 marca 1940 roku, piątek. Doszedłem na plac i zająłem dobre miejsce, zaś Sławek Abkowicz nie miał gdzie robić. Ustąpiłem więc swe miejsce jemu, a sam siedziałem w domu i czytałem książkę.

Dnia 23 marca 1940 roku, sobota. Poszedłem ze Sławkiem do Trok do kienesy. U Babuni zimno, a dziś wiół jej jeden człek drzewo i połamał sanie. Wuj Michał z żoną w Trokach. Dziś dowiedziałem się, że w czwartek była katastrofa kolejowa w Jewie. Pociąg z Kowna manewrował na stacji, zaś pociąg przyspieszony z Wilna (zdaje się ten, którym jechał p. Zubrewicz) nalciał na tamtego. 3 zabitych i 30 rannych. Pociągiem z Kowna jechali Tynfowicz i „Pietuszok”. Im na szczęście nic nie stało się. Pod wieczór wróciłem do domu, a Talcia pojechała do Trok. Pomaleńku śnieg pada.

Dnia 24 marca 1940 roku, niedziela. Wielkanoc. W tym roku wypadła bardzo wcześnie i dlatego wygląda raczej na Boże Narodzenie, bo w nocy wypadł śnieg i świerki stoją całe jakby w puchu białym. Zajeżdżał do nas stryj Michał i Tatuś razem z nim pojechał do Trok. Stefcia pojechała pociągiem do Landwarowa. Ja korzystając z tego, że na placu nie ma roboty, odrabiam lekcje. Wieczorem rodzice zostali zaproszeni i chodzili do Pietruszkiewiczów. Ja, dając wieczorem krowom sieczkę, skarmiłem którejs z nich jedną swoją rękawicę. Ale już nadchodzi wiosna, więc może nie będą potrzebne.

Dnia 25 marca 1940 roku, poniedziałek. Drugi dzień Wielkanocy. Sławka z Talcia przywiózł stryj Michał. Tatuś wrócił wczoraj piechotą. Przyjeżdżał stryj Józef Dubiński. Przy okazji zawiózł Mamę z Tatusiem do pp. Urbanowiczów do Żukiszek.

Dnia 26 marca 1940 roku, wtorek. Przychodził Marek Juchniewicz. Miał pracować na działce, tymczasem jego współnik nie przyszedł. Poprawił mi więc zamek do drugiej szufladki (do pierwszej przyniosłem, gdy byłem ostatni raz w Trokach). Mam przynajmniej teraz spokój, bo Romka nie będzie miał jak błać u mnie wszystko, co się da. (Już połowę moich znaczków pocztowych poparł.) Dziś jest odwilż, więc na placu marnie robić. Złożyłem tylko 1 m³, bo naprawiałem stos powalonej w sobotę, w czasie odbierania szliprów¹²⁴ i nosiłem z Stefą kartofle z lodowni do piwnicy. Były one w lodowni w obawie przed bolszewikami, a teraz mają tam nawieźć lodu na lato.

Dnia 27 marca 1940 roku, środa. Dziś był u nas kilka razy stryj Juchniewicz, bo wywożą stąd do Trok płaszczaki.¹²⁵

Dnia 28 marca 1940 roku, czwartek. Był Marek. Zrobiło się nareszcie ciepło. Od kilku dni jest odwilż. I, o radości! Słyszałem dziś pierwszy raz w tym roku śpiew skowronka. Siedział małeć na antenie i tak zajadle wyśpiewywał. Na placu dziś nie byłem, bo trzeba robić lekcje. Przyjechał o 8⁵² p. Zubrewicz z Olity. Okazuje się, że on w katastrofie nie był, bo wyjechał z Wilna pociągiem poprzednim. Przywiózł ze sobą trochę manatek, bo przedtem był tylko z małą walizką.

Dnia 29 marca 1940 roku, piątek. Na placu byłem tylko godzinę. Dołożyłem szósty stos i więcej już nie idę. Nosiliśmy kartofle do piwnicy. Złożyłem 20 m³ trzasek (wysokość składa się 1,15 m, a liczy się za 1 m) po 60 centów za 1 m³, a więc 12 litów. Dostałem 10 litów awansu¹²⁶, bo odbiórki jeszcze nie było.

Dnia 30 marca 1940 roku, sobota. Mama i Tala pojechali z Tomaszewiczem do Trok. Wrócili dopiero wieczorem. Ja grałem trochę ze Sławkiem w karty w tysiąca, zaś resztę dnia czytałem. Romka odpędzaliśmy razem od siebie.

Dnia 31 marca 1940 roku, niedziela. Dziś cała kompania wybrała się do Trok. Tatuś pojechał koniem ze stryjem Michałem, który jechał z żoną do Trok i zajechał do nas. Zaś Sławek, Stefa, córka Pietruszkiewicza i Zub-

¹²⁴ Szliper — podkład kolejowy.

¹²⁵ Płaszczaki — rodzaj desek.

¹²⁶ Awans — zaliczka.

rewicz poszli piechotą. Ten ostatni na zebranie szaulisów. Tala pojechała do Wilna o 1⁵⁰ i będzie tam przez ten miesiąc (kwiecień) mieszkać. Ja wczoraj dowiedziałem się, że jestem już kumem córki¹²⁷ Waligóry (p. Jutkiewicza)¹²⁸, która urodziła się w Warszawie. Pan Jutkiewicz napisał tu list, w którym pisał, że prosi za chrzestnych matek Niusię Czaprocką¹²⁹ i córkę byłego kierownika poczty, p. Zajączkowskiego¹³⁰ i mnie za ojca chrzestnego! Wszystko drożeje. W ogóle na Litwie było przed wojną nawet wszystko droższe o wiele niż w Polsce, teraz zaś jeszcze drożeje. Mimo wszystko lit pada na wartości. Np. jesionka p. Zubrewicza (angielska) kosztowała kiedyś 180 litów, podczas gdy w Polsce kosztowałaby najwyżej 60 lt. Słońce już dobrze przygrzewa. Dziś rano było -10° , a o drugiej po południu aż $+10^{\circ}$. Śnieg we dnie topnieje, a w nocy trochę przymarza i przez to nie będzie chyba powodzi.

Dnia 2 kwietnia 1940 roku, wtorek. Już pachnie wiosną. Ziemia już w większej części swej powierzchni uwolniła się od śniegu. Ptaszki śpiewają i pachnie. Pachnie w pełnym słowa tego znaczeniu. Szczególnie na placu, bo do wszystkiego innego dochodzi woń żywicy, sosny. Mama pojechała do Wilna na kilka dni.

Dnia 4 kwietnia 1940 roku, czwartek. W Wilnie nie ma już całkiem śniegu. Na ulicach jest sucho jak w lecie. Przyjechała Mama z Wilna. Kupiła Tali płaszcz jesienny. Wszystko po kilkakroć podrożało. Wczoraj kupiłem sobie za 2,5 lita czapkę gimnazjalną. Pan Zubrewicz będzie teraz stołować się i mieszkać u Wacuka¹³¹. Ten ostatni w czasie rozmowy na temat paszportu litewskiego zapytany, czy pragnąłby powrotu Polski, odpowiedział, że jeszcze jak. Może to i dobrze dla tych obywateli, którym zawsze było źle, przeżyć taki czas, jak obecnie. Przynajmniej będą potem cenić to, co im Polska dała i to, co da.

Dnia 5 kwietnia 1940 roku, piątek. Do Wilna jechałem z p. Stawiar-skim. W budzie mówi się zamiast: „Maryjo, Królowo Korony Polskiej, módl się za nami” po trzykroć „Maryjo, Królowo Pokoju, módl się za nami”. Co prawda malcy niezbyt przystosowują się do tego, ale już nawet zeksy zagrozili rozwiązaniem klasy za niesubordynację. W drodze powrotnej przejechał nasz pociąg jakiegoś człeka za Leszczyńskiem (patrzac z Leśnik). Wybiegł on z lasu i wwałił się nie pod lokomotywę, ale pod wa-

¹²⁷ Chodzi o Grażynę Jutkiewicz.

¹²⁸ Izajasz Jutkiewicz (1897–1973), syn Ludwika.

¹²⁹ Anna Czaprocka (ur. 1924), córka Daniela, później żona Zachariasza Michajłowicza.

¹³⁰ Anna Zajączkowska (1926–2009), córka Adolfa „Papy Awy”.

¹³¹ Miejscowy pastuch.

gony. Rozbiło mu głowę, mózg rozprysł się dookoła i odbiło rękę w przegubie. Leżała ona o spory kawałek od tułowia, cała posiniąta, ze schyłonymi palcami. Bardzo „ładnie” ozwał się jakiś parobek, noszący mundur policjanta kolejowego: „O, już jednego diabli wzięli” czy „Jeden diabeł już poszedł”, dobrze sobie nie przypominam. W ogóle ci Litwini to tacy szowiniści, że aż hadko się robi. Od pierwszego kwietnia przesunęli czas o jedną godzinę naprzód. Do tego jeszcze zmienili rozkład, tak że pociąg do Wilna odchodzi o 6⁰⁵, czyli po staremu o 5⁰⁵. Robią chamy jak na złość. Zaś do domu przyjeżdża się o kilkanaście zaledwie minut wcześniej niż przedtem. Tak tylko stuknąć któremu pod szczękę, żeby się trzy razy przewrócił, a gdy stanie, to go jeszcze zdzielić z tej złości. Już tu na Wileńszczyźnie to przysłali niby najlepszych i to takie, ot sobie, od pługą, nauczony tylko podpisać się jako tako. Można mieć wyobraźnię, jaki to może być ten najgorszy! Cholera ich wie, czemu oni tak nienawidzą Polaków. Bo mi się zdaje, że za jedno Wilno to nie warto było przez 20 lat trudzić się nad wszczepieniem w tę „publikę” takiego szowinistycznego szowinizmu. Bo Polska też była przecież w tych samych stosunkach z Czechosłowacją, co Litwa z Polską. A nawet Polska mogłaby mieć jeszcze większe powody do nienawiści Czechów niż Litwini Polaków, bo przecież ci pierwsi napadli na Śląsk Zaolziański podstępem, walcząc ze stukilkadziesiąt ludzi liczącą „armią” polską, raczej tylko załogą, zaś ci drudzy mieli przynajmniej honor walczyć armią przeciw armii, ustępować i nacierać, ginąć i konając, przebić swego wroga. Mieli 50% szans na zwycięstwo i 50% na przegraną. I to jeszcze walczyli armią, która nigdy nie była w ogniu prawdziwym, czyli armią wypoczętą, nienaruszoną, przeciw żołnierzowi, który był styranym czteroletnimi zmaganiem na pińskich błotach, który musiał utrzymać na swych barkach całą nawałę bolszewicką, czyli przeciw żołnierzowi wycierpanemu, wycieńczonemu, styranemu ciągłymi przemarszami i biwakami. I mnie się zdaje (może tylko zdaje, nie mogę ręczyć), że Polska nie zaszczepiała swym obywatelom takiej nienawiści Czechów niż Litwa wszczepiała to uczucie Litwinom, a raczej Polakom litwinizowanym przeciw Macierzy, z którą wiąże ich kilkuwiekowa wspólna historia, wspólne zwycięstwa i klęski.

Dnia 6 kwietnia 1940 roku, sobota. Już od kilku dni jest przepiękna pogoda. Gdy wychodzę z domu za pięć szóstą (właściwie piątą), czubki drzew naprzeciw okna stołowego są już mocno zaróżowione. Ptaszki świergocą rano już na dobre, jakby to nie był początek kwietnia, lecz czerwca czy lipca.

Dnia 7 kwietnia 1940 roku, niedziela. Dziś to przynajmniej wyspałem się po ludzku, bo przez cały tydzień co dzień trochę niedosypiałem. Chodziłem ze Sławkiem Abkowiczem do Trok. O godzinie dziesiątej na ścieżce było błoto, że ledwo można było przejść, zaś o szesnastej, gdy wracaliśmy, na pagórkach suchutko i tylko w dolinach trochę błota i wody pod lodem. Gdy wracaliśmy, Sławek przechodząc przez lód (bo nie chciał leżeć do błota), wpadł po kolana do wody i zostawił w niej jeden pantofel. Musiał więc wyciągać go rękami. Do domu wróciliśmy o szóstej. Jeżeli przez tydzień będzie taka pogoda jak dziś, można będzie śmiało jechać rowerem. A może nawet i wcześniej. Rodzice chodzili wieczorem do Mataczynów, zaś Sławek, Wacek i ja stuknęliśmy w ramsa¹³². Wygrałem 10 centów i nie zrobiłem żadnej lekcji prócz niemieckiego. Będzie jutro chryja porządna.

Dnia 8 kwietnia 1940, poniedziałek. O mało nie spóźniłem się dziś na pociąg, bo nasz budzik zepsuł się, a pożyczony zegar u Uściłły późnił się prawie pół godziny. Pojechałem bez śniadania, wypiwszy tylko pół szklanki kakao. Na gimnastykę schowałem się do ustępu i woźny zamknął mnie, bo zawsze tę część budy na lekcję zamyka. Jednak w czasie lekcji przyszedł i wykrył mnie. Ale mimo mej nauki litewskiego, w ustępie wpadłem z litwina. Poza tym udało się jakoś. Sytuacja polityczna jest zdaje mi się zadawalniająca. Norwegia zgodziła się nie przepuszczać rudy żelazną szwedzką do Niemiec przez swój port Narwik. Pan Wołczacki był w Kownie i czytał jakąś bolszewicką gazetę. Więc nawet oni piszą, że Niemcy wojnę ekonomiczną już przegrali. Anglia wydaje 1 000 000 funtów szterlingów dziennie na budowę fabryk broni i amunicji.

Dnia 9 kwietnia 1940 roku, wtorek. Wczoraj jeszcze pisałem, że Norwegia nie przepuści przez Narwik rudy, dziś zaś już jest dodatek nadzwyczajny. Wojska niemieckie zajęły Danię i wysadzony został desant niemiecki do Norwegii. Norwegia ogłosiła powszechną mobilizację. Zajęty został port Narwik, Trondheim, Bergen i Oslo. Rząd przeniósł się do Hammaru. Niemcy chcą z Norwegią zrobić chyba tak samo jak z Polską, nie wiadomo, jak to pójdzie.

10 kwietnia 1940 roku, środa. Alianci postanowili przyjąć z pomocą Norwegii. Jak rozpoczęła się wczoraj bitwa morska, między aliantami a Niemcami, to jeszcze dziś biją się.

11 kwietnia 1940 roku, czwartek. Anglicy wysadzili w Norwegii desant. Chodziły pogłoski, że porty zajęte przez Niemców dn. 9 IV zostały odbite przez Anglików, jednak zostały one zdementowane. Zostało zato-

¹³² Rams — gra w karty.

pione 30 jednostek bojowych niemieckich, angielska flota chce odciąć niemiecki desant od Niemiec i posuwa się do Kattegatu. Nie wiadomo, co będzie ze Szwecją. Ta ciągle śpiewa, że chce pozostać neutralna. Kiedyś nie puścili wojsk angielsko-francuskich do Finlandii, bo nie chcieli stracić dobrego przyjaciela — Niemca, teraz zaś poczuli go na własnej skórze. Sławek Abkowicz pojechał do domu zarobiwszy 36 litów.

Dnia 12 kwietnia 1940 roku, piątek. Wolą rządu i króla norweskiego jest walka. Ci w historii staną obok narodów polskiego i fińskiego. Więcej o Norwegii nie mogę nic powiedzieć. Ale o Anglii i Niemczech jest dużo do mówienia. Oto bitwa morska od dni dziewięciu trwa na Morzu Północnym. Bierze w niej udział 150 okrętów angielskich i 600 samolotów oraz 100 okrętów i 1000 samolotów niemieckich. Jeżeli w Norwegii Niemcy utrzymają się jeszcze przez niejakiś czas, w najbliższych dniach trzeba oczekiwać ruchawki na Bałkanach. Wtedy przyjdzie kolej na Włochy, Francję, Rumunię etc. Był dziś p. Pronaszko. Ten jak zwykle — nie traci humoru i wiary w jasną przyszłość i zwycięstwo sprawiedliwych nad hołotą, bandytami i ciemieżcami, chcącymi dorwać się do panowania i trzęsienia całym światem. Jednym słowem, żyjemy w czasach bardzo ważnych. „Szkoda gadać, cholera”.

Dnia 13 kwietnia 1940 roku, sobota. Pan Pronaszko miał dziś iść do Trok, jednak jest takie błoto po całonocnym deszczu, że z tego zamiaru zrezygnował. Zresztą ma do 15 maja czas na zarejestrowanie się. Pojechał więc do domu i złapali go jako pasażera na gapę. Kamotnie wyglądał on w Landwarowie, gdy szedł do kierownika ruchu. Ze swoją brodą wyglądał na jakiegoś z wielkiej drogi. Przy tem o półtorej głowy wyższy od swego prześladowcy — konduktora, a co da krok, to tamten musi trzy stawiać. Okazuje się, że w Norwegii nie ma żadnego żołnierza angielskiego, mimo że są takie miejsca, w których mogą ich wysadzić. Także Norwegia nie posiada żadnego samolotu, bo wszystkie zabrali Niemcy. Jednak nie przejmuje się ona tem, a jest nawet zadowolona (wystarcza jej to) z akcji angielsko-francuskiej awiacji i nawigacji.

Dnia 14 kwietnia 1940 roku, niedziela. Stryj Michał jadąc do Trok zabrał ze sobą Tatusia. Powodzi nie ma i nie będzie. Wilja osiągnęła poziom maksimum 6 m i teraz już opada. Z Trok też Tatuś przyjechał ze stryjem.

Dnia 15 kwietnia 1940 roku, poniedziałek. W budzie zrobili mnie na ten tydzień dyżurnym. Muszę więc siedzieć w klasie i tablicę ścierać. W fiordzie Narwik rozpoczęła się jakaś bitewka, ale na razie wyników nie wiadomo. Norwegia już przeprowadziła mobilizację i stawia opór najeźdźcy.

Dnia 16 kwietnia 1940 roku, wtorek. Najeżdźcy czy nie najeżdźcy, pieron ich wie, kto tu występuje w roli najeżdźcy, a kto obrońcy. Bo jakiś tam chłystek włoski przemawiał i powiedział, że to Anglia jest najeżdźcą, bo założyła koło Narwiku na terytorialnych wodach Norwegii miny (które, nawiasem mówiąc, były założone po to, żeby Niemcy nie mogli korzystać z tych wód i wozić węgiel), a Niemcy wystąpili w obronie neutralności Norwegii. Teraz ci ostatni bębnią na cały świat, że oni nie znajdują się w stanie wojny z Norwegią, że krew leje się też przyjaźnie. Dziś wrócił p. Jotkowski, któregośmy tu już oplakali jako przepadłego. Siedział on przez ten czas swej nieobecności na Łukiszkach. Z tego powodu, że wieczorem padał wielki deszcz, nocował on u nas. Ziemia już odpuszcza, zwłaszcza przyczynił się do tego ten i zeszły deszcz. Padał on w nocy, a we dniu świeci słońce i wieje południowy wiatr, który szczególnie przyczynia się do osuszania gruntu. O ile niedawno wiosną pachniało, to teraz już ją czuć.

Dnia 17 kwietnia 1940 roku, środa. Cholera, z tymi zegarami. Na zeszłym tygodniu nawalił włoszek w budziku. Zawiozłem zegar do Załkinda¹³³ i w poniedziałek zabrałem już poprawiony. Ale nienaregulowany. Tatusia zaś zegar spieszył, więc Tatuś chcąc naregulować, przesunął za dużo regulator. Wczoraj według radia nastawiono obydwie zegary. Dziś rano zegarek Tatusia na 10 minut późnił, zaś zegar na 15 spieszył. Mama myśląc, że Tatusia idzie dobrze, przyjęła, że budzik się 25 [minut] spieszy. No i spóźniłem się na pociąg. O 1²⁴ pojechałem do Antoniewicza w sprawie naszych rowerów i zawiozłem mu gumy od mego. Rowery mają być na poniedziałek. Wróciłem do domu o czwartej.

Dnia 20 kwietnia 1940 roku, sobota. Dziś już jest o tyle ciepło, że pojechałem do Wilna bez płaszcza. Dziś jest Wielka Sobota. Do budy więc nie poszedłem, a byłem w kienesie¹³⁴. Wracając na dworzec natarłem sobie pęcherze na nogach. Nie mogę tu pominąć wydarzenia w Kasie Chorych. Romka pogryzły onegdaj psy w Trokach. Ponieważ była tam Mama (gdy piekli *tymbył*¹³⁵), więc poszła z nim do Krasnych. Trzeba było mu dostarczyć skierowanie z K.Ch.¹³⁶ Mając więc dzisiaj czas, poszedłem do kasy z Miszkiem Abkowiczem i Gabkiem Firkowiczem¹³⁷. Poszliśmy więc do kasy. Na pierwszym piętrze podeszliśmy do pierwszego lepszego okienka i spytaliśmy, a raczej ściśle mówiąc Miszka spytał, gdzie to można załatwić.

¹³³ Zegarmistrz na ul. Wileńskiej przy ul. Końskiej.

¹³⁴ Kienes a wileńska mieści się na Zwierzyńcu.

¹³⁵ *Tymbył* — karaim.: prażniki.

¹³⁶ Kasa Chorych.

¹³⁷ Gabriel Firkowicz (1927–1940), syn Abrahama („Abram Palczyka”).

Skierowała nas (oczywiście po polsku) do piątego okienka. Przy nim stoi jakaś panienka (kto taka, nie mogłem skombinować, bo gadała po litewsku i mówiła po polsku). Po niej podszedłem ja. Dałem „urzędnikowi”, a raczej jakiemuś parobkowi (tłusty był jak cholera, a na szyi i mordzie to mięso zwisało jak u fajnie wykarmionego parsiuka¹³⁸ i oczywiście z okularami na nosie, zresztą co tam opisywać, parobek od sochy, dobrze wykarmiony i umiejący nosić okulary), a on do mnie coś po swojemu bałbocze¹³⁹. Ja mu na to „teip, teip”¹⁴⁰ — co ma oznaczać po ludzku „tak”, aż nareszcie powiedziałem mu, że nie umiem po litewsku. A on mi oddał kartę i musiałem, ażeby nie rozzłościć kabana¹⁴¹ (bo by się jeszcze swoim sadłem zalał), odejść. Przyjdzie czas, kiedy będziemy podobnych parobków (czy pastuchów, czort ich tam wie) po sadle prac i kłuć. Była dziś łaźnia pod wieczór.

Dnia 21 kwietnia 1940 roku, niedziela. Tatuś jeździł do nadleśnictwa i zajeżdżał do Antoniewicza. Rowery jeszcze nie gotowe i będą dopiero na przyszły tydzień. Przyjeżdżał z Trok Marek. Rowerem można już jechać po ścieżce. Oto dziś dowiedziałem się bardzo przykrej i smutnej wiadomości. Byli gajowi Tomaszewicz i Mataczyno zostają przyjęci znowu na gajowych. Ale nie to jest smutne, tylko dlaczego oni zostali przyjęci? Dlatego, że zrobili się Litwinami, bo podali narodowość litewską i to po co. Mataczyno ma jeszcze ważniejsze powody, bo z chwilą stracenia posady straciłby możliwość uczenia dzieci, ale ten drugi — z pychy swojej, bo ludzie śmieliby się, że niedawno gnębił ich (to znaczy, że nie pozwalał kraść), a teraz musi ziemię orać, bo — nawiasem mówiąc — obaj mają po 20 ha ziemi. I to dla kogo się zaprzędali, dla kogo sprzedali swą narodowość, swe nazwiska, swój honor Polaka? Dla tych parsiuków wykarmionych, o których wyżej pisałem! A spytałby kto: za co? Jest odpowiedź: za kilkadziesiąt litów miesięcznie, bez których mogliby się z powodzeniem obyć, za zaspokojenie pychy własnej... Nie wiem, dlaczego Ślązak może nie posyłać do szkół swych dzieci, co tam to — może siedzieć bez chleba, czy lać swą krew w powstaniach za to, żeby nie być Niemcem czy Czechem. Ślązak, który przez przeszło wiek musiał się temu opierać, Ślązak, który przez wiek przeszło znosił katusze i mógł nie ulec im, a nie może tego uczynić mieszkaniem Kresów Wschodnich, obojętnie, czy Południowych, czy Północnych, który nie dalej jak rok temu krzyczał, że niechby wojna, to on pierwszy pójdzie na ochotnika bronić granic Ojczyzny i swej wolności.

¹³⁸ Parsiuk — prosiak.

¹³⁹ Bałbotać — mówić od rzeczy, tu: mówić w niezrozumiałym języku.

¹⁴⁰ Właśc. *taip* — lit.: tak.

¹⁴¹ Kaban — wieprz.

A teraz jeden jest Mataczynas, a drugi nawet nie Tomaszewiczus, ale na swą własną prośbę — Tomaszaitis. Żeby ani cienia Polaka nie zostało.

Dnia 22 kwietnia 1940 roku, poniedziałek. Jutro, a raczej dziś wieczorem, rozpoczyna się Wielkanoc. Poszliśmy z Tatusiem do Trok i Mama już poszła tam wcześniej. Dziś padał we dniu deszcz, ale pod wieczór wypogodziło się.

Dnia 23 kwietnia 1940 roku, wtorek. Pierwszy dzień naszej Wielkanocy. *Tiefinla* była do jedenastej godziny. A potem z Markiem jeździłem na łódce. Na Tatarskich¹⁴² nie ma już w ogóle lodu, ale na Galwie¹⁴³ są jeszcze potężne kry. Między nimi więc pływalismy łodzią z kajakowymi wiosłami. Pod wieczór wróciłem do domu i Uściłło pojechał do Trok po rodziców. Przyjechali wieczorem. Nie wiadomo, jak ten dzień spędzili ci, co są tam, pod Warszawą, i ci w Oszmianie. Spod Warszawy przyszła niedawno pocztówka z „*chor astry*”¹⁴⁴. Zaś z Oszmiany nie ma nic. Nie wiadomo, czy mieli *hagada*¹⁴⁵, czy mają *tymbyl*, czy w ogóle wiedzą, kiedy przypadają święta. Pamiętam, jakby to było wczoraj, *hagada* zeszłoroczne. Gdy wznoszono toast przez Michała, żeby przyszłe święta obchodzić po wojnie, Mama go poprawiła na „jak przed wojną”, bo po wojnie łatwo się kogoś nie doliczyć. Ale jednak ja osobiście nie żałuję, że oto już pierwszy akt jej został skończony. Chociaż wówczas było „żyć i nie umierać”, a teraz tylko „żyć i czekać, co będzie”. Jednak nie mogę sobie jeszcze uprzytomnić tak na jasno, że to, co minęło, co było, to już na zawsze, że to na wieki, na wieki... że to (Ta) już nigdy nie wróci, nie ujrzy się tego na zawsze...

Dnia 25 kwietnia 1940 roku, czwartek. Pierwszej lekcji gimnastyki nie było dziś, bo nasz profesor gimnastyki został aresztowany przez parsuków za to, że nie zdjął w katedrze czy na placu katedralnym czapki, gdy śpiewali tam jakiś hymn parsuków. Mieli dziś pod wieczór przyjść do nas goście z powodu Wielkanocy, ale przyjechał tylko p. Pronaszko rowerem, a pp. Urbanowiczowie nie przyszli, bo rzekomo nie mieli czasu, że tam odkopywali żyto, zakopane w jesieni itd., a byli zaproszeni już w poniedziałek. Nie wiem, może oni coś mają do nas. Bo nie mogę sobie skombinować, dlaczego akumulator do radia dano przywieźć z Wilna Zenkowi, a nie mnie, chociaż ja zawsze go woziłem i do mnie nie trzeba było z kwitkiem chodzić Alejunowi¹⁴⁶ aż na przystanek, tak jak to było względem Zenka. Jeden tylko może być powód, a mianowicie ten, że kiedyś, gdy wiozłem akumulator

¹⁴² Jezioro w Trokach.

¹⁴³ *Galve*, jezioro w Trokach.

¹⁴⁴ *Chor astry* — karaim.: bardzo źle.

¹⁴⁵ *Hagada* — karaim.: kolacja paschalna.

Sieniunasa, bardzo na to narzekałem, bo tam rzeczywiście było na co, gdyż była to czarna skrzynia potwornych rozmiarów, owinięta postronkiem zastępującym rączkę, podczas gdy ten akumulator jest, krótko mówiąc, typowo polski, a tamten był typowo litewski. Może więc Alejun długo nie namyślając się, powiedział o tym, no i stąd to wynikło. Może są inne powody, o których nic w ogóle nie wiem. Ale z drugiej strony gdy Alejun, który oddawał Zenkowi rano kwit na odbiór akumulatora, przyszedł wieczorem po jego odbiór na dworzec, tak się zachowywał, jakby on pierwszy raz go widział i z zadowoleniem spostrzegł, że on lżejszy i przyzwoitszy od tamtego. Ale mnie to wcale o tę przyzwoitość nie chodziło, bo nie dla niej ten chciałem wieść, a tamten nie, ale dlatego, że mi on przypominał Ją, która już nigdy nie wróci, która już poszła na zawsze. Jednak jestem pewny, że gdyby ten czy ta wiedzieli, jaką mnie przykrość robi przez tę przysługę Zenka, to na pewno tego nie zrobiliby. „Ten czy ta”, bo nie może to być Alejun albo p. Urbanowiczowa, no albo i oboje razem. Policja peronowa w Wilnie łapie teraz malców w czapkach gimnazjalnych z wypustkami i rwie je tak po szwie, po chamsku. Ja to nie popadłem się jeszcze takiemu draniowi, pospolicie zwanemu „metr osiemdziesiąt”¹⁴⁷. Nie wiem tylko, dlaczego te wypustki trzeba wypruć, bo przecież nie słyszałem nigdy, żeby kabany cierpiały na nienawiść do jakiegoś koloru, a znowuż wypustki nie są czerwone, więc nie mogą denerwować indyków. To rzeczy całkiem dla mnie niepojęte.

Dnia 26 kwietnia 1940 roku, piątek. Przyjechał dziś z Wilna były zwierzchnik Tatusia w Koźliskach, a potem stryja Michała w Święcianach, p. nadleśniczy St. Kurczyn. Rodzina jego została wywieziona przez bolszewików i ostatnio znajdowała się w Moskwie. Jednak zdaje się zostanie przez ambasadę litewską sprowadzona do Wilna. Zamiast wczoraj, byli goście u nas dziś. A więc p. Urbanowicz, Sieniunas, buchalter z nadleśnictwa i jakiś tam jeszcze z nadleśnictwa. Ale jak ci powojenni Litwini są wychowani. Bo w trakcie rozmowy p. Urbanowicz powiedział, że Polak i Litwin, złączony ze sobą kilkunastowieczną wspólną historią, muszą być bratem. A na to buchalter: Co? Polak z Litwinem bratem? Nigdy. W głosie zaś była taka nienawiść, jakby on naprawdę wołałby spokrewnić się czy zawrzeć przyjaźń z jakimś Chińczykiem czy Murzynem, ale nigdy z Polakiem.

Dnia 27 kwietnia 1940 roku, sobota. Zajechałem jadąc z Wilna do Landwarowa i zabrałem od Antoniewicza rower Tatusia. Jednak ładnie go

¹⁴⁶ Stróż na placu drzewnym.

¹⁴⁷ W litewskiej policji służyli wyłącznie mężczyźni obdarzeni wysokim wzrostem.

odnowił. Chodzi lżej niż w jesieni. Do Leśnik przyjechałem jednocześnie z pociągiem.

Dnia 28 kwietnia 1940 roku, niedziela. Jeździłem dziś do Trok. Pierwszy raz w tym roku rowerem. Przyjeżdżały tam dwie wycieczki litewskie. Jedna — gimnazjaliści, a druga też jakaś hołota w „długich” portkach po łydki i jakichś samodziiałowych kubrakach. Na przypieczętowanie jakby swej kultury umówili się za przewiezienie na zamek po 20 ct.¹⁴⁸, a po przejechaniu na brzeg zapłacili po 10 ct. Ponabierali kamieni z zamku. Może mają zamiar przenieść ten zamek z Trok do Kowna, to może będą tam o kilka dni dłużej panować niż tu, w Trokach.

Dnia 29 kwietnia 1940 roku, poniedziałek. Ostatni dzień Wielkanocy. Do budy nie poszedłem. Pan Kurczyn pojechał do Wilna rannym pociągami. Ma tam załatwić jakieś interesy. Podobno chce z kimś do spółki otworzyć sklep. Jeżeli mu się to nie uda, to przyjedzie z powrotem do nas, bo w Wilnie nie ma co robić.

Dnia 30 kwietnia 1940 roku, wtorek. Przyjechałem dziś z Wilna i zastałem już w domu p. Urbanowiczową z Danusią i p. Szymona Juchniewicza¹⁴⁹. Pani Urbanowiczowa słuchała onegdaj przez radio przemowy gen. Sikorskiego z Francji. A więc narodowi litewskiemu złożył on podziękowanie za opiekę nad internowanymi i w ogóle Polakami, ale rząd litewski ostrzegł, że za wszystkie akta prześladowań Polaków w Wilnie i na Litwie przyjdzie mu się złożyć szczegółowe sprawozdanie rządowi polskiemu. W pewnej chwili p. Juchniewicz spytał p. Urbanowiczową, czy ma tylko jedną córkę. Odpowiedziała mu jednym słowem, w którym jednak można było wyczuć cały ból, tęsknotę, smutek i rozpacz, jaka zawładnęła jej sercem: „Jedną...”.

Dnia 1 maja 1940 roku, środa. W Wilnie oczekiwano dziś manifestacji, pochodów, demonstracji, rozruchów etc., etc., ale nic nie było. W ogóle było w Wilnie bardzo spokojnie, nie wiem, dlaczego, czy Wilnianie rozumieją powagę chwili i bezsensowności podobnych aktów, czy tylko dlatego, że na każdym rogu główniejszych ulic stało po czterech „metr osiemdziesiąt”. Jeździłem pod wieczór do Trok lutować bańkę.

Dnia 2 maja 1940 roku, czwartek. Dziś jest święto, w budach więc nauki nie było. Jeździłem do Trok, bo wczoraj Marek bańki na naftę nie zrobił. Dziś jest dzień wiosenny, w pełnym słowa tego znaczeniu. Jeździłem w samej tylko bluzie harcerskiej i zmachałem się na czysto. Po obiedzie

¹⁴⁸ Centów litewskich.

¹⁴⁹ Szymon Juchniewicz (1893–1960), syn Marka.

zawiozłem bańki do p. Urbanowiczowej. Pan Urbanowicz z Sieniunasem pojechali do Wilna. Nowego leśniczego na miejsce Litwina na razie nie ma. U nich, to znaczy Litwinów, w ogóle wszystko robi się „langsam”¹⁵⁰. Przyjeżdżał p. Stawiarski. Już od dłuższego czasu jest on zwolniony.

Dnia 3 maja 1940 roku, piątek. Witaj, maj, trzeci maj! Nareszcie nadszedł ten oczekiwany od przeszło pół roku miesiąc, a razem z nim jakby wróciło połowę wolności. Oczywiście „jakby”, bo są to tylko złudzenia. Te małe „-by”, a żeby go można było już prędzej odwalić. Zapomniałem napisać, że od pierwszego Zenek z Marysią mieszkają w Wilnie, bo przenoszą się oni do Opaciszek i byłoby im za daleko chodzić. Wczoraj zaś przyjeżdżała z Wilna Tala i dziś pojechała z powrotem. Szkoły dziś czynne, bo cóż może obchodzić Litwinów 3 maja — jedno z największych świąt narodowych polskich, kiedy starają się oni wszystko, co polskie nienawidzić, wszystkiego, co polskie wyprzeć się, a przynajmniej wmówić to sobie.

Dnia 4 maja 1940 roku, sobota. Kurjer Wileński podał za jakąś gazetą litewską, że nasz profesor od gimnastyki p. J. Lisowski za obrazę „Hymnu Litewskiego” został zwolniony z posady. A „litewskiego” to nawet z dużej litery, mimo że to jest przymiotnik. Mój kolega z klasy Kruszewski wyjechał dziś do Niemiec.

Dnia 5 maja 1940 roku, niedziela. Tatuś jeździł do nadleśnictwa i oto czego się dowiedział: pan Urbanowicz został zwolniony z posady. Za co, nie wiem. Może on za „obrazę Państwa Litewskiego” i też przez wielkie litery. Jednak oni chyba tymi urzędnikami zaduszają się, bo ci mają jeszcze może co sprzedawać, ale niech tak pociągnie się do zimy, toż tu będzie bieda z nędzą.

Dnia 6 maja 1940 roku, poniedziałek. W Trokach był wielki kiermasz, na który chodziła Mama. Ceny o 100% wyższe niż były kiedyś. Nam w budzie kazano na 20 maja przeczytać „Pana Wołodyjowskiego” Sienkiewicza. Ponieważ mogłem go za pośrednictwem rodziców¹⁵¹ Olka Dubińskiego dostać, więc jeździłem poń do Trok i dostałem. Wieczorem Tatuś jeździł do pp. Urbanowiczów. Więc p. Urbanowicz był w nadleśnictwie, ale już z powrotem nie został przyjęty. Podobno wczoraj działy się bardzo ważne wypadki w kościele św. Kazimierza w Wilnie. Za odśpiewanie „Boże, coś Polskę” wwalilo się do kościoła wojsko i policja, i strasznie pobiła Polaków. A ja słyszałem, że zaczęli śpiewać sami Litwini. Cel bardzo jasny — paskudna prowokacja. Tymczasem kościół zamknęli. W ogóle jakieś

¹⁵⁰ *Langsam* — niem.: powoli.

¹⁵¹ Józef Dubiński (1872–1943), syn Szymona i Zofia z Łobanosów (1884–1948), córka Józefa.

dziwne są porządki. Przed 1 maja pisali w gazetach, że od pierwszego nie można nosić wypustek. Policja przed pierwszym łapała malców i za wypustki darła czapki. W budzie o tym nie wiadano. Po pierwszym — chodzi się najspokojniej po ulicy i „metr osiemdziesiąt” nawet palcem czy językiem nie kiwnie na wypustki.

Dnia 7 maja 1940 roku, wtorek. Choć raz mądre zarządzenie!: nasz łacinista, p. prof. Nowowiejski powiedział, że z Kowna podano (ja na łacinie nie byłem, bo plombowałem u dentystki zęb, z którym już skończyłem, więc dokładnie nie wiem, bo tylko z opowiadań malców), że jeżeliby jaki policjant zaczepiał malca za wypustki, czapki czy coś podobnego, to trzeba podać jego numer do dyrekcji budy. Już z takim potem rozgadają się. Ale... kulturalni gimnazjaliści litewscy, „bardzo wielcy patryjoci”, zdzierają malcom polskie czapki i nimi o ziemię. To mi wychowanie, to mi kultura. Od dziś nie można zostawać w klasie, bo tam jakieś żarówki ktoś pokradł, więc że niby to ja. Zostaję teraz w sali jadalnej z Charukiewiczem ze Starych Trok. Tala dziś już została zwolniona z budy i teraz zaczynają się egzaminy maturalne. Ona jest pierwszą uczennicą i nie ma żadnej trójki. Same czwórki i piątki.

Dnia 10 maja 1940 roku, piątek. Według rozkładu miały być dziś cztery lekcje. Ostatnia — litewski, ale ponieważ Litwin był na maturze, więc były trzy lekcje. Po nich chodziłem na Zwierzyniec¹⁵², bo trzeba było zanieść świadectwo Tali. Już komunikaty z frontów były w ostatnich dniach nudne, ale dziś... Dodatek nadzwyczajny: Niemcy zajęły Belgię, Holandię i Luxemburg. Mówi się „zajął”, ale jak tam jest w rzeczywistości, to nic nie wiadomo...

Dnia 11 maja 1940 roku, sobota. ...bo jakby na potwierdzenie tego trzeba porównać komunikaty dwóch stron walczących. Więc jeden (angielski, bo: „Sprzymierzeńcy spieszą na pomoc napadniętym”): 70 samolotów niemieckich strącono, a drugi: 100 samolotów angielskich i 7 niemieckich strącono i znowu pierwszy o dwunastą dziś: 200 samolotów niemieckich strącono. I gdzie prawda, komu wierzyć?! Faktem jednak jest, że tym złodziejom, którzy nie zawahali się wyrzucić desanty w holenderskich mundurach i nie oparli się chęci porwania królowej Wilhelminy¹⁵³, nie bardzo idzie dobrze. W każdym razie nie tak jak w Austrii, Czechosłowacji, Litwie, Polsce czy Norwegii. Bo podobno napadnięci mają bardzo silną artylerię

¹⁵² Na Zwierzyńcu mieszkali Rafał Abkowicz i Natalia z Firkowiczów Abkowicz (1901–1986), córka Bogusława, siostra matki autora.

¹⁵³ Mowa o nieudanej próbie porwania królowej holenderskiej, którego miał dokonać generał Hans von Sponeck na osobisty rozkaz Hitlera.

przeciwlotniczą i przeciwczołgową. No i Sprzymierzeńcy przeszli granicę i spieszą na odsiecz. Wojna prawdziwa zaczęła się!!! Jenó zawsze na cudzych terenach. Zenek z Marynią przyjechali dziś do Leśnik i ja dlatego zapomniałem bielizny Olka, który dał mi ją, żebyś odwiózł do Trok. Bo zaszedłem do jednego wagonu z Charukiewiczem i dowiedziałem się, że jedzie Zenek. Więc ja za teczkę i hajda. Przypomniałem sobie dopiero w domu po obiedzie. Więc zaraz, gdy wyszedłem z łaźni, na rower i do St. Trok do Charukiewicza. Ale ten frajer wychodząc z wagonu, widział paczkę, ale nie wziął jej. A ja miałem, jadąc do niego, taką nadzieję, że odnajdę swą zgubę.

Dnia 12 maja 1940 roku, niedziela. Piąta rocznica śmierci Wielkiego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Żałoba jeszcze cięższa niż była rok czy dwa lata temu, a zarazem i radość, bo dziś Święta Zielone. Chodziłem rano do pociągu, ale mojej paczki nie ma. Już i nadziei nie ma.

Dnia 13 maja 1940 roku, poniedziałek. Drugi dzień Zielonych Świąt. Jeździłem do Landwarowa rowerem z błotnikami do Antoniewicza. Rower będzie za tydzień. Trudno, taka już u nas punktualność. Wracając zająłem do pp. Wołczackich, a stamtąd jeździłem szosą do Trok. Pogoda niezbyt dobra, a wczoraj to i dobrze pokropiło litewskie wycieczki w Trokach. Dostałem u Babuni ogórkowych nasion dla Abkowiczów. W Belgii i Holandii biją się.

Dnia 14 maja 1940 roku, wtorek. Powiedziałem dziś Olkowi o jego paczce. Więc on nareszcie sam nie wie, co tam było. Chodziłem do Abkowiczów. Tala zdaje maturę. Oczywiście, bardzo się tem przejmuje, mimo że jest pierwszą uczennicą.

Dnia 15 maja 1940 roku, środa. Onegdaj zabitego policjanta dziś chowano i przy sposobności pobito kilku Polaków za to, że przed krzyżem zdjęli czapki, a przed trumną nie. Nocowałem dziś w Wilnie na Zwierzyńcu, ponieważ była religia. Już nawet hazzan obiecał mi dwójkę [z religii].

Dnia 16 maja 1940 roku, czwartek. Przyjechałem do domu. Mama była w Trokach. Podano, że wczoraj czy przedwczoraj Holandia zrezygnowała z walk. (Byłem w kinie na „Toni z Wiednia”. W kinie nie byłem już od chyba dwóch lat.) Teraz robi się gorąco Londynowi. Już angielska flegma bokami wylazi.

Dnia 17 maja 1940 roku, piątek. U Tali już skończyły się egzaminy piśmienne, więc ma teraz kilka dni wolnych i przyjechała dziś do Leśnik. Po kilku dniach deszczu dziś jakby się wypogodziło. Po tym deszczu wiosna przybrała właściwe sobie oblicze, zwłaszcza gdy jeszcze przyświeci



Leśniki. Widok od torów.

słonko. Bo już trawy zielone i dość wielkie, drzewa także. Tu wiosna jest ładna, a jakaż jest tam, na Zachodzie. Wojna! Wojna! Wojna! Wojna straszna i piękna! Piękna, bo czyż nie pięknie jest, gdy błyszczące pułki ze sztandarami suną ulicami miasta na front, czyż nie pięknie, gdy te pułki rozwijają tyralierę i z okrzykiem „Ave patriae!” czy innym biegną „Na bagnety!”. A cóż może być piękniejszego nad bitwę powietrzną, w której serie z ckm-ów przecinają życia i maszyny na połowy, lub bitwy morskie, w których pociski latają na przestrzeni 20 km, ażeby wybuchnąć na pancernym pokładzie, czy...najspokojniej chlupnąć w morze. Ale dalej to już zaczyna się: „Strasznie”. Bo cóż może być straszniejszego nad stosy trupów po owej „Na bagnety!” czy nad stosy zdruzgotanych i zmiażdżonych na stalową kaszę czołgów. Lub widok padającego w płomieniach samolotu, którego ckm nie mógł przeciąć życia i maszyny swego przeciwnika i sam musi odbyć ten ostatni lot: z pola, a raczej z przestrzeni walki do... ziemi. Albo już tylko bandera wystająca na powierzchnię, pogrążająca się coraz szybciej. Nie, to raczej widok piękny po akcie strasznym, a mianowicie po gorączkowym przeskakiwaniu z pancernego pokładu do kruchych łodzi — łupinek, które czasem żywioł cieszący się krwawą daniną pochłonie. Piękne jest i straszne, ale niestety, więcej straszego.

Dnia 18 maja 1940 roku, sobota. Po owym momencie pięknej wiosny znowu deszcz, deszcz, chmury i znowu deszcz. Jakby to już nie wiosna,

a jesień, bo deszcze nie przejściowe, ale trwające po kilka dni. Bo choć już połowa maja, ale ciągle zimno, 15°C. Gdy wróciłem do domu, był już u nas p. Stawiarski, który był do wieczora. Postanowili z Tatusiem, że będzie on przez dzień przyjeżdżać do nas i uczyć Tatusia litewskiego, bo bądź co bądź, ale 1-go lipca egzaminy.

Dnia 19 maja 1940 roku, niedziela. Deszcz. O ósmej rano przyjechał p. Stawiarski na pierwszą lekcję, a potem p. Urbanowicz. On to drugi po p. Pronaszko. „Grunť się nie przejmować” (i dobrze pracować). Pan Urbanowicz już pracuje w lesie, mianowicie koruje papierówkę. Przyjechał nowy leśniczy na miejsce Sieniunasa. Żonaty. Jeszcze większa, zdaje się, ofierma niż tamten.

Dnia 23 maja 1940 roku, czwartek. Boże Ciało. W budzie nie byłem, a jeździłem do Trok i pierwszy raz w tym roku kąpałem się. Wycieczek do choroby i trocha. Mama z Tatusiem chodzili do pp. Urbanowiczów na pożegnanie b. leśniczego w Bobrówce — Seniunasa. Znowu jest piękna pogoda o srebrnym ranku z wesołym szczebiotaniem ptaszek i o złotych wieczorach, gdy słońce zajdzie gdzieś w stronie Żukiszek i tylko niebo purpurowe. Tu purpurowe od słońca, a tam od ognia i krwi. Jak to musi wyglądać, gdy w taki cichy wieczór latają samoloty, gwiżdżą kule lub od czasu do czasu zawyje pocisk większego kalibru i wyrżnie w ziemię, niszcząc wokół siebie wszystko. Czy to dom, czy czołg, czy koń, drzewo lub człowiek bez różnicy, wszystko wylatuje w powietrze, pod niebo, zaróżowione nie wiadomo, czy zachodem słońca, czy dalekim pożarem... A dopiero gdy tu już znowu wszystko opadnie na ziemię spod nieba i uspokoi się, wówczas nadleci odgłos wybuchu w ciężkokalibrowej armacie, oddalanej o kilkanaście kilometrów, z której pocisku zrobił się już tu huk... Cóż XX wiek; pociski latają szybciej niż głos. A potem znowu przez niejakiś czas cicho. „Cicho”, bo bzykają tylko kulki i warczą w oddali silniki czołgów czy samolotów. I niebo czerwieni się. Od słońca czy od zbliżającego się pożaru?

Dnia 25 maja 1940 roku, sobota. Jest już o tyle ciepło, że pojechałem do budy bez marynarki. W pociągach jeżdżą wycieczki litewskie (budy) i drą się na całe gardło. Czort ich wie, czy chcą pokazać, że umieją darć się¹⁵⁴ (śpiewać) po litewsku, czy po prostu są na tyle szowinistami, że chcą zagłuszyć Polaków. Wieczorem przychodzili pp. Urbanowiczowie i b. nauczycielka z Żukiszek. Poszli o dwunastej w nocy.

Dnia 28 maja 1940 roku, wtorek. Pierwszy raz w życiu poszedłem dziś na wagary. Chodziłem na Zwierzyniec, a żeby Sławek przyjechał do nas na

¹⁵⁴ Darć się — gwar.: drzeć się

pracę, bo w Leśnikach mają stawić tartak. Potem ze Sławkiem chodziłem do „Pienocentrasu”¹⁵⁵ na Zamkową i następnie od jedenastej przesiedziałem na dworcu. Sławek przyjechał. Stołuje się u nas pewien Żyd, jakiś wspólnik czy kto tam owego tartaku. Dziś król Belgii Leopold III, syn wielkiego poprzednika, który w zeszłej wojnie bronił Ojczyzny przed najeźdźcą, zdradził państwo i konstytucję, na którą przysięgał w swoim czasie i poddał się bez porozumienia z rządem. W ogóle zaś Niemcy prą i prą naprzód. Milionowa armia, która została odcięta od Francji zmniejszyła się teraz o 300 000 wskutek zdrady i kapitulacji Leopolda i cofa się, chcąc przejechać okrętami do Anglii.

Dnia 30 maja 1940 roku, czwartek. Już żelbetonowa podstawa pod piłą tartaku została ukończona i teraz musi przez 2 tygodnie schnąć. Przez te kilka dni pracował tam p. Stawiarski. Pan Urbanowicz został „głównym komandirem”¹⁵⁶. Sławek na razie nie ma pracy, gdyż ta będzie dopiero po dwóch tygodniach, gdy uruchomią tartak przy składaniu desek. Ja też już się wybieram na pracę. Dość próżnować.

Dnia 31 maja 1940 roku, piątek. Ponieważ uczyć się będziemy do 15-go, a połowy biletu miesięcznego nie można wziąć, więc od dziś zamieszkałem w Wilnie na Zwierzyńcu, to pierwszy powód, drugim jest to, że teraz sam gorący czas klasówek, trzeba więc trochę więcej zakuwać, i trzeci — co szkodzi pomieszkać trochę w Wilnie. Dziś więc nie wróciłem do Leśnik. Kombinowałem tak, żeby przyjechać do Wilna z rowerem, ale mi się nie udało, bo ta oferma, Antoniewicz już przez pół roku trzyma go i nie może naprawić. Obiecał już zrobić na niedzielę, co oznacza, że będzie za jakieś 2 tygodnie co najmniej. Dziś wieczorem byłem w *kiensa*. Już dawno chciałem tam pójść, ale nie było okazji. Bo zaprawdę, odczuwa się tam jakieś takie przyjemne uczucie, którego zresztą nie można opisać. Zwłaszcza wieczorem, gdy palą się lampy, ludzi nie ma zbyt dużo i hazzan śpiewa.

Dnia 1 czerwca 1940 roku, sobota. Więc to już czerwiec? Miesiąc przynoszący radość i zieleń na ziemię, miesiąc oczekiwany z taką niecierpliwością i tęsknotą przez całe miliony. Ja jednak kiedyś, zdaje się w tak już odległym grudniu czy lutym myślałem, że miesiąc ten przyniesie więcej szczęścia i radości. Że oprócz tego, że będą bzy kwitły i ciepło będzie narzście, radio i gazety przyniosą radosne wieści gdzieś z Bliskiego Wschodu czy z Zachodu o zwycięstwach oręża sprawiedliwych nad złem i niewolą, że cały świat, że 2 miliardy istot dwunożnych potrafiących coś niecoś kombi-

¹⁵⁵ Pienocentras — z lit.: centrala mleczarska, sieć sklepów nabiałowych.

¹⁵⁶ Z ros.: głównym dowódcą.

nować, zachłyśnie się radością o tych wieściach z pól i przestrzeni bitew. Że tylko 80 czy może 100 milionów barbarzyńców będzie zgnębionych, a szczególnie jeden szaleniec z Berlina. Tymczasem co się okazało? Że oto ten szaleniec berliński, a właściwie teraz już nie szaleniec, ale jak przyznała sama Anglia, „niezwykły człowiek”, tryumfuje, a 2 miliardy trzęsą się, oczekując strasznego jutra. Hej! Nie taki czerwiec, o jakim marzono.

Dnia 2 czerwca 1940 roku, niedziela. Właściwie to dziś się więcej bałaganilo niż się przygotowywało do jutrzejszej klasówki. Przyjechał jeszcze w piątek Manius ze swej budy rolniczej. Chciałem dziś pójść do „Casina”¹⁵⁷ na „Działanie piechoty w Polsce” i ujrzeć te pola chwały i krwi czy walkę na bagnety, ale mi się nie udało, bo nikt nie chciał iść ze mną, bo nie ma forsy.

Dnia 4 czerwca 1940 roku, wtorek. Rano, gdy wychodziłem z Miszkiem do budy, spotkałem na dziedzińcu Tatusia, który przyjechał zamiast Mamy. Bo Mama przyjedzie 15-go na akt¹⁵⁸ u Tali w gimnazjum. Ja chciałem pojechać do domu, bo jutro u nas w budzie komunია i przyjechać jutro na rowerze. Tymczasem dowiedziałem się od Tatusia, zresztą w myśl swych przewidywań z piątku, że Antoniewicz zrobi rower na 10-go czy 12-go. Trudno, jeszcze do nas nie doszło to poczucie odpowiedzialności za dane słowo z Norwegii, Szwecji czy Finlandii. Tatuś pojechał o 3⁴⁵.

Dnia 5 czerwca 1940 roku, środa. Do budy nie trzeba. Tala miała egzamin z historii i zdała na 4.

Dnia 11 czerwca 1940 roku, wtorek. Radio już wczoraj, a gazety dziś doniosły o dwóch klęskach aliantów, a dwóch triumfach Hitlera. Włochy wypowiedziały wojnę aliantom, a Norwegia skapitulowała. Co do tych pierwszych, to byłem tak pewny, że nie wystąpią w tym miesiącu, że nawet założyłem się z Miszkem o 50 centów. Ci jednak wystąpili z większym fasonem niż Niemcy czy Sowiety. Bo wczoraj wręczono ambasadorom sprzymierzeńców wypowiedzenie wojny, zaś działania wojenne rozpoczną się dziś o północy. Jednak mimo tych klęsk, sypiących się jak z „rękawa obfitości”, alianci ciągle bębnią, że chociażby Paryż i W. Brytania zostały okupowane, to i tak wojna nie będzie skończona i będzie prowadzona do ostatecznego zwycięstwa. Zaś premier Francji, Pan Reunand¹⁵⁹ oświadczył, że raczej Niemcom Francja odda kupę gruzów, niż Paryż, a głowy Francuzów i Francuzek nie schylą się w kapitulacji przed Niemcami. Toczy się

¹⁵⁷ Kino w Wilnie.

¹⁵⁸ Akt — tu: matura.

¹⁵⁹ Właśc. Paul Reynaud (1878-1966), polityk francuski, premier rządu od marca do czerwca 1940 r., więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

walka na śmierć lub życie — oto słowa, które zapisała historia nieubłaganą ręką losu w ciągu ostatnich dni na stronach historii świata.

Dnia 15 czerwca 1940 roku, sobota. Klęski sypią się jedna po drugiej. Oto dziś... po raz pierwszy od 1871 r. w Paryżu powiewają flagi niemieckie. Stolica całego świata i Francji poddana bez boju siłom brutalnym. Już nawet są osoby (między innymi moja Mama), które porównują ich przywódcę, Hitlera z Napoleonem. Ja jednak nawet chcę, ażeby Hitler był drugim Napoleonem ze względów całkiem prostych: Napoleon I w końcu końców dostał po głowie. Dziś u Tali akt (matura) w gimnazjum, a jutro Zielone Świąta, więc Mama z Tatusiem przyjechali do Wilna. A u nas koniec roku szkolnego! Dzień tak długo i z tak wielkim upragnieniem oczekiwany. Bo czyż to nie wielka radość: przez dwa i pół miesiąca (a może już i dłużej) nie trzeba będzie patrzeć 4 godziny na tydzień na naszego „profesora” litewskiego, który na każdej lekcji wpychał nogi aż hen pod drugą ławkę i poczynął sobie, a raczej ściślej mówiąc swą mordę gładzić w następującym porządku: palcami po włosach, wierzchem dłoni pod nosem, dłonią po całej twarzy (temu ruchowi towarzyszy niezbyt ciche pociąganie nosem — jak u świni) i kciukiem oraz palcem wskazującym drapanie się za uchem. Następnie chwila ciszy i znowu ten sam manewr z doskonałą dokładnością ruchów. A teraz dwa i pół miesiąca, a więc 40 lekcji owych niezbyt porywających widowisk „ponasa profesorasa Lawrynowicziusa” przepada. I oto wiadomość dla nas najważniejsza: bolszewicy przeszli granicę „niepodległej” dotychczas Republiki Litewskiej i zajmują większe bazy na Litwie. W Wilnie panika. Niektórzy chwytają po 7 bochenków chleba naraz. Przed sklepami kolejki. Most Zwierzyniecki obstawili bolszewicy, zaś na końcach stoi po czołgu. Jakoś i z Polakami zaczęli się więcej liczyć, bo co 15 minut podają komunikaty.

Dnia 16 czerwca 1940 roku, niedziela. Nasze Zielone Świąta. Jeszcze większa panika niż wczoraj. Chodziłem rano po papierosy dla Tatusia i nigdzie nie mogłem znaleźć. Wreszcie po długich, a szybkich bieganinach kupiłem jedno pudełko. Wódka wszystka wykupiona. Przez Wilno, szczególnie przez Zwierzyniec, przez cały dzień leciały samoloty bombowe na Litwę. Lecą z takim majestatem, wolno i z hukiem czterech motorów, od którego trzęsą się szyby. Tatus pojechał wieczorem do domu. Mama jeszcze została.

Dnia 17 czerwca 1940 roku, poniedziałek. O godz. 7⁵⁰ rano wyjechałem z Wilna do Leśnik. Na dworzec jechałem samochodem. Ten zatrzymywał się kilka razy na ulicy, gdyż przez Wilno idzie wojsko sowieckie. Przez Zielony Most szła piechota i tabory, zaś koło Hali spotkaliśmy artylerię na traktorach. Policjanci litewscy, którzy niedawno jeszcze „pracowali” dla

swej ojczyzny gumowymi pałkami, dziś pakują swe bagaże do walizek, siadają na arbony¹⁶⁰ i prą się na dworzec, ażeby tylko prędzej wkulić się do pociągu idącego na Kowno. Oto teraz wyłazą na wierch¹⁶¹ skutki tych pałek. Bo na pewno gdyby Litwini przyszli do Wilna z chlebem i cukrem, bez pałek, to więcej zrobiliby tu i szybciej zjednaliby sobie ludność tutejszą niżeli chlebem, cukrem i pałką. System, który oni zastosowali polegał na tej zasadzie: macie oto z jednej strony chleb, mąkę, cukier i sól, a z drugiej gumówkę. Okazał się on, jak widzimy, bardzo niezadowolniający, bo cukier i chleb nie można mieszać z gumą. A może i można, ale tylko gdzieś na Żmudzi, gdyż żołądek Wilnianina takiego pokarmu nie strawi i może go oddać z powrotem, ale tylko w postaci o wiele gorszej niżli go przyjął, albowiem cukier i chleb zostały strawione, ale guma przetworzyła się na materiał o wiele twardszy od niej. W pociągu spotkałem p. Sneidera, owego Żyda, który u nas stołuje się. Tor kolejowy aż od Oran do Trok został rozebrany i zostawiona tylko jedna linia. Tartak już idzie, ale dziś nie pracują, bo ceny poszły w górę, a tu dniówek nie podnieśli. W ogóle nie wiadomo, co jest i co będzie, bo b. prezydent Litwy A. Smetona uciekł, ach! — nie, nie uciekł, ale według oficjalnego komunikatu przekroczył zieloną granicę niemiecką. A Litwini uważają, że to określenie jest lepsze od „uciekł”. Stołuje się u nas jeszcze jeden gość — p. Żyliński, Litwin gdzieś spod niemieckiej granicy. Jest on pierwszym Litwinem, który wywarł na mnie dodatnie wrażenie. Zresztą chyba taki on Litwin, jak i ja, a przynajmniej czuje i myśli nie jak Litwin, to znaczy po polsku.

Dnia 18 czerwca 1940 roku, wtorek. Jest już dziś trochę spokojniej. Jednak Pietruszkiewicz chodzi jak bez głowy i tylko lata do Trok patrzeć, czy nie ma jeszcze tawariszczów. Ten to typowy Litwin, bo oto jego charakterystyka: gdy tylko przyjechał on do Leśnik w zimie, to sam opowiadał, że „on to właściwie z pochodzenia jest Polakiem, że przypomina nawet sobie, jak w latach młodości Litwini nie przyjmowali go do zabaw dlatego, że nie umiał on po litewsku mówić”, jednak po miesiącu z Pietruszkiewiczem zaczął robić się Pietruszkiewiczus. Teraz zaczął pokazywać swe litewskie sztuki. Że jemu trzeba pola, ogrodu itd. Wszystkie te jego zachcianki były zadawalniane, oczywiście na naszą niekorzyść. Potem już zaczął nam otwarcie przed ludźmi zazdrościć. (A właściwie to już była funkcja nie jego, lecz jego „czci-godnej żoneczki”). Że oto oni, Litwini, przyjechali tu, do swej ziemi litewskiej, do swej odwiecznej ojczyzny i oto muszą zginać kark przed

¹⁶⁰ Arbon — autobus.

¹⁶¹ Na wierch — ros.: na wierzch.

pozostałością po Polakach — „tubylcach”. Bo on jest gajowym, a Tatuś leśniczym. A potem: „że u nas jest wszystko swoje, więc mleko i sery, bo mamy krowy, a oni, Litwini, nie mają tego”. Pierona, aż hadko robi się. Oto takim patriotom litewskim nie zaszkodziłoby bolszewicy, bo u nich poznałby, co to jest naprawdę schylić przed kimś kark. Kiedyś, cham, gadał na Piłsudskiego, że był złodziejem, że stworzył złodziejską Polskę, a na Rydza-Śmigłego, że musiał uciekać z Polski za granicę. Ciekawym, co on teraz mówi o przekroczeniu zielonej granicy przez Smetonę. Jednak mi się zdaje, że Rydz-Śmigły wyjeżdżał z Polski z większym fasonem. Bo jechał z rządem narodu chcącego bić się o swą wolność z najeźdźcą, a nie przekraczał po kryjomu zielonej granicy. W Landwarowie to już pozdejmowali portrety Smetony. Prawdopodobnie była przy tym taka rozmowa: pierwszy: „Niech idzie do Rydza-Śmigłego”, a drugi: „Nie wiadomo, czy go Rydz-Śmigły przyjmie”. Oto są pastusi, aj! — przepraszam, chciałem powiedzieć: urzędnicy i patrioci litewscy. Gdy byłem w Wilnie, Tatuś zamówił radio głośnikowe, które wczoraj przywiózł p. Borkowski z Trok. Aparat bardzo ładny i fajny, Philipsa. Dziś Mama przyjechała z Wilna. W Wilnie wojsko ciągle idzie.

Dnia 19 czerwca 1940 roku, środa. Tartak idzie pełną parą. Będąc w Wilnie, myślałem, że znajdę przy nim pracę, bo chciałem sobie coś zrobić. Tymczasem nie chcą mię przyjąć, bo powiada p. Urbanowicz, że są biedniejsi ode mnie i gdy zostaną przyjęty, to ludzie zaczną gadać, że co to ja chleba nie mam, że muszę im pracę odbierać. Pan Stawiarski pracuje. Jutro pójdzie już tartak na dwie zmiany, może więc uda się jeszcze przyczepić na jego miejsce do odrzucania piłowin spod gatra¹⁶². Nie jest to zbyt trudno, a zawsze 3 lity są. Sławek Abkowicz dostaje 90 lt. i mierzy kłody, które mają iść pod piły. Pracuje na obie zmiany. Zaś p. Urbanowiczowi zaproponowali kupcy 200 lt., a ten przyjął ich, nie prosząc o więcej, mimo że za te dwa tygodnie ściągnął¹⁶³ się dobrze.

Dnia 20 czerwca 1940 roku, czwartek. Tartak poszedł już na dwie zmiany. Od 3³⁰ do 21³⁰. Ja jednak nie dostałem nic. A tu już, choroba, nie ma co robić całymi dniami, jak tylko do Trok jeździć i kąpać się. Przyjechała z Wilna Tala z maturą. Ma same czwórki i piątki prócz jednej trójki z robót i jest drugą uczennicą.

Dnia 21 czerwca 1940 roku, piątek. Od dziś śpimy ze Sławkiem w stodole. Przyjeżdżał z Landwarowa p. Pronaszko. Jest on mimo wszystko pewny co do ostatecznego końca wojny. Z tego powodu, że czasy są tak nie-

¹⁶² Gatar — trak, maszyna tartaczna.

¹⁶³ Ściągnąć się — tu: schudnąć.

spokojne, pan Żyliński postanowił jechać do domu. Mimo to, że obcowałem z nim zaledwie kilka dni, to jednak poznałem, iż takich Litwinów jak on rzadko gdzie się spotyka. Tak mówił w toku rozmowy na przystanku, gdy czekaliśmy na pociąg (p. Pronaszko, on i ja): „choć jestem Litwinem, jednak współczuję wam, Polakom, i wiem, że Litwinom trzeba było inaczej zaczynać współżycie z Wilnianami, bo tę nienawiść zrodzoną w ciągu ostatnich 6 miesięcy nie potrafią zatrzeć dziesiątki lat. Bo jakże może być zgoda między tymi dwoma bliskim sobie narodami, gdy pomiędzy nich wyrosła gumowa przeszkoda”. Ja jeździłem do Antoniewicza po rower, który miał być na dziś gotowy z błotnikami i siodełkiem. Oczywiście nie był gotowy. Dopiero po rozmówce z synem Antoniewicza, gdy powiedziałem mu kilka słodkich frazesów, między innymi, że danym słowem pomiata, jak jakąś szmatą, zrobił się z niego pierwszorzędnym majster, który zdjął koło ze ściany i począł oczyszczać treszczotkę¹⁶⁴, mimo że była ona u jego już prawie od pół roku. Wreszcie siadłem na jego rower i przyjechałem do domu, mając po mój pojechać jutro. Ale błotników znowu nie będzie.

Dnia 22 czerwca 1940 roku, sobota. Jeździłem z Talą do Trok do *kiensa*. Dziś po raz pierwszy od 5 tygodni fajnie polał deszczyk. Wróciłem po południu. Wieczorem była łaźnia. Gdy przyszlismy z niej, wysłuchaliśmy dziennik z Moskwy i dowiedzieliśmy się, że dziś o 7⁵⁵ w tym samym lasku, w którym w r. 1918 Francja dyktowała warunki pokoju Niemcom, delegacja francuska podpisała zawieszenie broni z Niemcami. Działania wojenne we Francji będą wstrzymane po 6 godzinach od podpisania zawieszenia z Włochami. A co teraz? Pozostała jeszcze Anglia. Padnie czy zwycięży? Oto pytanie, na którego odpowiedź czeka świat cały.

Dnia 23 czerwca 1940 roku, niedziela. Rano pojechałem do Landwarowa po rower. Choć Antoniewicz zapewniał, że będzie w sobotę po południu gotowy, gdy przyjechałem, dopiero wstawiał hamulec, który, nawiasem mówiąc, nie działał. Z Landwarowa pojechałem do Trok i od jedenastej do wpół do trzeciej siedziałem u Antoniewicza na podwórzu, bo tam stryj Juchniewicz prawił¹⁶⁵ samochód jednego Litwina. Przy tym wziąłem pierwszą lekcję zapuszczania motoru i ruszenia oraz zatrzymywania się, ale... na sucho. Wracając przeklinałem mój rower i jego majstra, bo mi się kilkanaście razy psuł. Wreszcie postanowiłem odwieźć go z powrotem do Landwarowa, żeby zrobił mi naprawę porządną. Dziś zostały zamknięte dwa polskie dzienniki wileńskie: „Kurier Wileński” i „Nowe

¹⁶⁴ Treszczotka — zębata w tylnym kole roweru.

¹⁶⁵ Prawić — tu: naprawiać.

Słowo”. Obydwa pewno za działalność antysowiecką. Zostały jeszcze: kowieński „Dzień Polski” oraz wileńska „Gazeta Codzienna”. Ta ostatnia to w ogóle prolitewska, która poczęła wychodzić dzięki temu, że redaktor jej zrobił się Litwinem, a cała gazeta antypiłsudczykowska, antyrydz-śmigłowska, antyozonowska i w ogóle antypolska. Oto teraz z powodu braku wyboru muszą ją czytać wszyscy Wilnianie.

Dnia 25 czerwca 1940 roku, wtorek. Pierwszy raz udało nam się złapać Londyn po polsku. Więc mówiono o odwadze i zapale bojowym polskiej „Gwardii Podhalańskiej”, która bardzo zajadłe biła się pod Narwikiem w Norwegii, a potem we Francji. Następnie podano komunikaty z działań lotnictwa w Afryce i na Morzu Śródziemnym. Włochom trochę dają po bokach. A i Niemców trochę bombardują.

Dnia 26 czerwca 1940 roku, środa. Był u nas Jurek Bolszio. Chodził on do Starych Trok szukać pracy na kolei i ponieważ nie znalazł kierownika, zaszedł tutaj. Jeździłem do Trok, a stamtąd do Starych Trok do p. Stawiarskiego po wędkę, bo chcę jutro pojechać do Zenka na ryby. Ale nie zastałem jego w domu. Natomiast widziałem jeszcze raz Jurka. Dostał on pracę. Płacą po 5,5 lt., a u nas na tartaku przy gitarze tylko po 4,5 lita. Dziś kazali policji litewskiej zdjąć epolety, wszystkie naszywki i odznaki. Chodzą teraz po ulicach jak jacy skazańcy, spuściwszy nos mocno ku ziemi.

Dnia 27 czerwca 1940 roku, czwartek. Francja podpisała już pokój z Włochami i na razie jest skreślona z mapy politycznej Europy. Jeszcze Francja nie miała chyba nigdy w swej historii podobnie hańbiącego pokoju niż ten. Bowiem wojsko idzie do domów, ale broń, fabryki broni i amunicji, mosty i cała flota musi być oddana Niemcom w porządku (jednak część floty uciekła do Anglii) i oprócz tego Francja jest okupowana. Dla takich warunków trzeba było tyle ofiar ponieść i tyle czasu bić się? A gdy już tyle bili się, mogli wytrwać do końca i ostatecznie przejść granicę hiszpańską, oddając jej swą broń, a nie wrogowi. A rząd, który niedawno mówił, że głowy Francuzów nie schylą się w kapitulacji jest obecnie w Londynie. Bo pokój zawarł rząd Petaina. Jednak jak widać, Polska wyszła, jak dotychczas, najhonorowiej i jak mówiono wczoraj z Londynu, mimo że jest rozdarta na części, prowadzi dalej walkę o wolność u boku swej sojuszniczki Anglii. Anglia też jest zdecydowana prowadzić wojnę do ostatecznego zwycięstwa. Na ryby dziś nie pojechałem, bo padał deszcz, natomiast jeździłem do Trok, a potem do p. Stawiarskiego i pożyczyłem wędę na jutro. Już rozwiązali litewski związek „Szaulisów”, czyli strzelców, a w urzędach kazano załatwić

interesantów w tym języku, w którym się ci zwracają. Z tego wynika, że nie Polacy po litewsku, ale Litwini po polsku muszą uczyć się.

Dnia 28 czerwca 1940 roku, piątek. Wstałem o czwartej i pojechałem do Zenka. Śpi on w stodole, więc umówiliśmy się, że obudzę go i pojedziemy na ryby kajakiem. Tymczasem po wczorajszym deszczu było dużo komarów, więc Zen spał w domu. W domu także było wiosło od kajaka. Więc jeździłem sam z wiosłem od łodzi. Z Zenkiem pojechałem dopiero po siódmej i łapałiśmy do dziewiątej. Ale było już późno i ryby nie bardzo się brały. Toteż niedużo złapałem. Potem grabiłem koniczynę. Dziś jest bardzo gorąco. Niektóre kolonie francuskie, jak Maroko, biją się i nie zgodziły się na pokój.

Dnia 29 czerwca 1940 roku, sobota. Wszyscy prócz mnie i Romki pojechali do Trok. Dziś jest święto, więc na tartaku nie pracują. W tartaku nad maszyną i transmisjami postawiono budynek oraz położono kolejkę dla przewożenia desek. Z Wilna nadawali przez radio „uroczystość” uwolnienia więźniów politycznych. Między innymi krzyczeli: „Niech żyje tawariszcz Stalin, nasz oswobodziciel!” i „Niech żyje trzynasta Republika Litewska w Związku Sowieckim!”. Jednym słowem jest już Litwa czerwona. Na polu i w ogrodach wszystko marne, że nie daj Boże. Dnie są bez chmur na niebie i tylko słońce pali i pali. Deszczu nawet i nie czuć.

Dnia 2 lipca 1940 roku, wtorek. Wstałem o trzeciej rano i siadłszy na rower, pojechałem na jezioro Łukno, nad którym mieszka Zenek Mataczyno. U niego stoi kajak byłego agronoma. Pojechaliliśmy więc na nim łapać rybę. Ale ponieważ ta nie brała się, więc zostawiwszy wędy, pojechaliliśmy na przejażdżkę. Przez jezioro te przepływają dwie rzeczki. Popłynęliśmy więc do jednej. Przepłynąwszy już dobry kawałeczek, zawróciliśmy z powrotem. Zenek siedział z tyłu i wiosłował, ja zaś w pewnej chwili, chcąc być nawigatorem, stanąłem i... przechyliłem kajak, do którego nabrało się wody, a my przewróciliśmy się. Szczęściem rzeczka nie bardzo była głęboka. Dalej pojechaliliśmy z wodą, której było połowa kajaka. Ażeby nie zamoczyć się, jechaliśmy siedząc na burtach. Skutek był ten, że po kilku metrach podróży przewróciliśmy się znowu. Teraz jednak nie spadłem na nogi, ale na bok i zanurzyłem się po szyję. Zenek także dzielił mój los. Teraz wyleliśmy wszystką wodę. Ale po pewnym czasie znów Zen tak się przechylił, że chlupnęliśmy do wody. Ja miałem już manatki z lewej kieszeni wytrzęsione, więc to wpadło także do wody. Rzeczy swe wyłowilem, prócz grzebyka, bo woda nie należała do najczystszych i nie mogłem go dostrzec. W ogóle rzeczka ta nie jest dla nas szczęśliwa, bowiem w zeszłym roku mieszkał w tamtejszej gajówce gajowy Jodko, imieniem Jan. Na swe imieniny sprosił ober gości. Było to 25 czerwca

1939 r. Z tej okazji pojechaliśmy wcześniej i urządziliśmy majówkę. Byli na niej: pp. Urbanowiczowie z Halą i Danką oraz my wszyscy i Maniuś z Michałem Abkowiczem, a potem przybyli wuj Michał Firkowicz z żoną. Więc Halinka, Danuśka, Talka, Romka, Miszka i ja pojechaliśmy łodzią do owej rzeczki, w której złamaliśmy jedno wiosło. Nie przeszkadzało ono jednak wrócić nam z powrotem, bo był wiatr, postawiliśmy więc ramę¹⁶⁶ i przyjechaliśmy jak na żaglówce. Potem zaś po deszczu jezioro uspokoiło się i jeździliśmy o jednym wiosle do drugiej rzeczki, do której jednak nie wjeżdżaliśmy. Była to ostatnia majówka i ostatni raz wówczas widziałem Halinkę. Bo potem wyjechałem na obóz harcerski. Gdy zaś wróciłem po kilku dniach, pożegnał ją cały świat. 25 VI 1939 r. ostatni raz i na zawsze... Gdy wróciliśmy z Zenkiem na brzeg, czekał już na nas właściciel kajaka. Zaraz potem wróciłem do domu.

Dnia 5 lipca 1940 roku, piątek. Jak co dzień, tak i dziś pojechałem do Trok. Oczywiście kąpałem się. W Trokach jest już od tygodnia Miszka Abkowicz. Jak to na świecie wszystko szybko zmienia się. Oto Francja i Anglia, dwa państwa zdawałoby się tak mocno ze sobą związane, związane nie tylko pergaminami, podpisami i pieczęciami, ale wspólnym celem i interesami, wspólnie wylaną krwią, która w bitwie toczyła się jednym strumieniem i razem wsiąkała w Matkę Ziemię, broniącą swych praw do życia, oto takie dwa państwa mające wspólnego wroga dziś są na stopie wojennej między sobą. Dlaczego? Bo państwo, którego sternik tak zdawałoby się niedawno, bo przed kilkunastoma zaledwie dniami, w swym płomiennym przemówieniu mówił, że raczej śmierć niż hańba, dziś zmieniło swe zdanie i rzekło: „Raczej hańba niż śmierć”. Oto sztandary, które widziały wspinałe zwycięstwa Napoleona czy Focha, zwycięstwa nie piórem, lecz szablą, dziś zostały podeptane. O hańbo! Nie spalone, lecz podeptane za zgodą narodu. Oto dlatego dziś wojenna flota angielska pobiła wojenną flotę francuską za to, że chciała poddać się wspólnemu wrogowi, Niemcom.

Dnia 8 lipca 1940 roku, poniedziałek. Byłem w Trokach i przywiozłem Miskę. Dnie są gorące, bez chmurki na niebie i żadnej kropli deszczu na ziemi.

Dnia 10 lipca 1940 roku, środa. Wczoraj Michał pojechał z drzewem babuni do Trok. Dziś zaś przywiozłem go z powrotem. 14-go odbędą się wybory „do ludowego sejmu litewskiego”. Już teraz przez radio i w gazetach bębnią, na kogo głosować, mimo to, że wybrać trzeba tylu posłów, ilu jest kandydatów. Zaś w czasie wieczornego dziennika nadają różne poga-

¹⁶⁶ Trzymane pionowo drewniane deski służące za siedzenia dawały opór wiatrowi i w ten sposób popychały łódkę.

danki o tym, jak lud gnębiony przez 20 lat i oto teraz nastał czas wolności. Po prostu takie „baneluki” opowiadają, że czasem aż śmiech bierze na takie gadanie durne.

Dnia 14 lipca 1940 roku, niedziela. Mama z Tatusiem razem z Tomaszewiczem oraz Tala ze Sławkiem pojechali do Trok na „wybory”. Wyraz ten naprawdę należy ująć w nawiasy, bo owe pamiętne wybory odbywają się w ten sposób: z kraju wileńskiego trzeba wybrać 10 posłów, zaś kandydatów jest też 10, więc rozumie się, wszyscy posłowie przejdą, a głosującym na paszportach, czyli dowodach osobistych wstawia pieczętkę, że ów obywatel naprawdę głosował.

Dnia 15 lipca 1940 roku, poniedziałek. *Urucz za zmarłych.* Pojechaliśmy wszyscy do Trok, do *kiensa*. Ja i Tatuś jeździliśmy rowerami. Ja pojechałem na Bobrówkę. Mnie, sam nie wiem od czego, bardzo bolał brzuch. Wybory do sejmu zostały przedłużone na dzień dzisiejszy. Do domu wracałem ze stryjem Michałem. Ponieważ rower mój jest bez błotników, a przez cały dzień od samego rana pada deszcz, więc przyjechałem do domu pokryty wilgotnym pancerzem z błota. Jak stryj dojechał, nie wiem.

Dnia 16 lipca 1940 roku, wtorek. Mama pojechała do Wilna, bo miała tam spotkać się z Babunią i coś niecoś kupić. Dziś jest dzień moich urodzin. Od dziś poszedł mi szesnasty rok życia. Mama wróciła o piątej.

Dnia 21 lipca 1940 roku, niedziela. Jeszcze do dziś nie została uczczona w żaden sposób Tali matura. Toteż na dzień dzisiejszy zostało zaproszonych coś koło 20 osób, dziewczynek i chłopców. Ja rano dojechałem do Trok do sklepu i spotkałem ich już idących koło cerkwi. Oczywiście, zanim pokąpałem się i załatwiłem wszystkie sprawy, przeszło ober czasu, toteż wróciwszy zastałem ich już w Leśnikach. Następnie poszli wszyscy do lasu. Wróciwszy zeń zasiedli do stołu i zabrali się za zsiadłe mleko z kartoflami i serniki. Już pod koniec „uczty” przyjechało z Trok na koniu (z fasonem) jeszcze 6 malców, jak Miszka i Szurka Zajączkowscy¹⁶⁷, Gawryk Firkowicz, Romek Zajączkowski¹⁶⁸ i Wićka z Józkiem Szpakowscy¹⁶⁹. Lecz raptem dobra pogoda poczęła psuć się, aż wreszcie lunął deszcz. Malcy nie mogąc się doczekać jego końca, siedli na wóz i pojechali (wyjeżdżali z mniejszym fasonem niż przyjechali, bo było mokro z góry i z dołu). Dziewczynki poszły trochę później, ale też mimo to, że

¹⁶⁷ Bracia Michał (ur. 1922) i Aleksander (1924–1974) Zajączkowscy, synowie Ananiasza, brata ciotecznego prof. Ananiasza Zajączkowskiego, turkologa.

¹⁶⁸ Romuald Zajączkowski (1922–1993), syn Józefa-Awji, brat Włodzimierza Zajączkowskiego, turkologa.

¹⁶⁹ Bracia Wiktor (1922–1986) i Józef (ur. 1930) Szpakowscy, synowie Mikołaja.

daliśmy im wszystkie marynarki i płaszcze niepotrzebne, to jednak porządnie zmokły. Zaś Kola Dubiński¹⁷⁰ i Marcin Łopatto¹⁷¹ doczekali się końca deszczu i pojechali na rowerach, mając mokro tylko z dołu. Co prawda to tylko Marcin tak miał, bo Kolka jadąc bez błotników miał i z góry mokrowato. A Jurek Kobecki i Marek Kozyrowicz¹⁷² pojechali o dziesiątej do Wilna. Daniek Szyszman¹⁷³ nocuje u nas i ma iść do Trok. A teraz coś z polityki. Otóż nowo wybrany litewski sejm ludowy dziś miał pierwsze posiedzenie, na którym powziął rezolucję przyłączenia Litwy do Związku Sowieckiego. Ale jeszcze nie przyłączyła się, bo Związek musi wpierv zdecydować, czy ma przyjąć ową byłą smetonowską Litwę do swej rodziny, czy też nie przyjąć.

Dnia 26 lipca 1940 roku, piątek. Po południu tartak stanął, ponieważ coś się popsulo. Toteż będzie stał aż do środy. Zaś Sławek Abkowicz, jakby korzystając z tego, dziś zachorował. A ponieważ u niego nie wszystko w porządku z uszami, więc gdy tylko ma gorączkę, to nic nie słyszy. Porozumiewać się można z nim tylko za pomocą pisania. Ponieważ jest chory, więc leży w domu, ja zaś śpię w stodole sam jeden.

Dnia 27 lipca 1940 roku, sobota. Rano miałem jechać do Trok do *kiensa*. Ale w nocy zaczął padać deszcz i pada cały czas, więc nie ma jak. Pod wieczór przyjechał z Trok dr Krasnych. Jednak już Sławek był prawie zdrów.

Dnia 28 lipca 1940 roku, niedziela. Pojechałem mimo deszczu do Trok i przywiozłem Maniuka. Chciał zobaczyć koniecznie brata. Sławek ma jechać do Wilna.

Dnia 29 lipca 1940 roku, poniedziałek. Deszcz pada ciągle, a u nas koszą żyto. Maniuk i ja pomagaliśmy nosić snopy, bo dziś chcą zrobić dożynki. Jednak nie zdążyli skosić. Maniuk miał iść od nas na dwunastą na pracę na tor, ale nie poszedł. Pod wieczór wypadł wielki deszcz.

Dnia 30 lipca 1940 roku, wtorek. Skończono żąć żyto i zrobiliśmy dożynki. Ja jeździłem do Trok po materiał na picie. I Uściłło postawił coś 5 litrów. Żniejki¹⁷⁴ przyszły do nas i śpiewały „Plon”, zaś na bibę poszli do Uściłły. Ja poszedłem o jedenastą w nocy. Śpiewali tam i pili na przemian. Pan Urbanowicz, gdy trochę pociągnął, począł kropić mowę po mowie.

¹⁷⁰ Mikołaj Dubiński (1920–1992), syn Eliasza.

¹⁷¹ Marcin Łopatto (1911–1996), syn Salomona.

¹⁷² Marek Kozyrowicz (1921–1995), syn Johoszuwy.

¹⁷³ Daniel Szyszman (1921–1989), syn Abrahama, inżyniera fortyfikacji.

¹⁷⁴ Żniejka — żniwiarka.

Dnia 1 sierpnia 1940 roku, czwartek. Oto już sierpień. Mniejsza zresztą z tem, że sierpień, ale też już połowa lata. Oto już ziściły się moje marzenia z 13 lutego. Już dziesiątki razy odczuwałem pęd powietrza, jadąc do Trok po ścieżce. Ale i jeszcze coś czuło się, a raczej wyobrażało się na podstawie komunikatów. Oto nie raz już podawano o owym huku armat, o tych gąsienicach czołgowych, które tak zajadłe ryły ziemię francuską (13 lutego zdawało się, że będą one ryły ziemię niemiecką), o tych żołnierzach-bohaterach wylatujących w powietrze czy rozdzieranych na ziemi. A jednak nie można powiedzieć żołnierz-bohater, bo z jednej strony byli żołnierze, z drugiej — bohaterzy bijący się za swą wolność, ginący za swą ziemię. Jakże dużo od owego lutego zmieniło się.

Dnia 3 sierpnia 1940 roku, sobota. Oto już rok minął od chwili, gdy Helena Urbanowiczówna zasnęła snem wiecznym. Dlatego też pp. Urbanowiczowie byli dziś rano w Trokach i Mama także miała z nimi iść na cmentarz. Jednak spóźniła się trochę i nie zastała już ich. Zaś ja z Tatusiem jeździliśmy do Trok na *tiefinla*. Prawie tak samo jak dziś, w taki sam upalny dzień jechaliśmy w zeszłym roku na pogrzeb Hali. Jenó że wtedy wiał wiatr polski, a teraz litewsko-sowiecki. Jenó że wtedy był trzeci, a teraz trzysta sześćdziesiąty ósmy dzień żałoby. Wróciłem z Trok po południu. Pan Urbanowicz chodzi jak pod ziemią. A to po części z powodu dzisiejszej rocznicy, a po części z tego powodu, że teraz tyle ludzi wywożą.

Dnia 4 sierpnia 1940 roku, niedziela. Dziś rocznica, gdy ja z Zenkiem niosąc wieniec, na którego szarfie przedtem pisaliśmy wspólnie czarne litery, sylaby, wreszcie słowa ułożone w tym brzmieniu: „Nieodżałowanej Halince — dzieci Rodziny Leśnika”, szliśmy przed wozem z trumną do trockiego kościoła. Pamiętam to wszystko, jakby to miało miejsce nie rok, lecz tydzień temu. Następnie smutne wejście do kościoła, stawianie trumny, a wokół jej składanie wieńców. A było ich naprawdę mnóstwo. A potem, gdy złożywszy wieniec boczną nawą, wracaliśmy na koniec kościoła, oto com zobaczył: przyciśnięta do kolumny, klęcząc, modliła się jakaś dziewczynka, modliła się nieczuła na to, co wokół jej się działo, zapewne za duszę zmarłej w tak młodym wieku. Może była jej koleżanką czy przyjaciółką, a może wcale nieznajomą. A przedtem jeszcze myśl, która przeszła mój umysł jak strzała pierzasta ptaka w locie przeszywa lub żółta błyskawica niebo granatowe: „Halinko, Halinko, cóżes ty uczyniła?!” — jakby to od niej zależało. Bo zależało nie od niej czy jej rodziców, jenó od trockiego rzeźnika, oj, przepraszam, od trockiego „chirurga” Krasnycha, którego manią czy pasją jest kroić. Kroić niezależnie od tego, czy można, czy

też nie. Przy tym Hala sama chciała robić operację „ślepej kiszki” w sierpniu, nie w jesieni, bo w jesieni chciała się uczyć w gimnazjum im. E. Orzeszkowej, do którego zdała egzamin. Toteż ów „chirurg” mogąc kroić, a jako doktor nie wiedząc, że chora nie może iść pod nóż, bo ma jeszcze gorączkę po niedawnej grypie, począł kroić i za.... Oto dlatego, że ten człek nie chciał poczekać jeszcze kilka dni.

Dnia 5 sierpnia 1940 roku przypada w poniedziałek. W zeszłym, 1939 roku, przypadało w sobotę. Otóż w sobotę **dnia 5 sierpnia 1939 roku**, gdy w Trokach i ich okolicach panowała nie prześladowana jeszcze przez nikogo polska mowa, Tatuś i ja pojechaliśmy do Trok na akt ostatni i najsmutniejszy — odprowadzenie zwłok do miejsca wiecznego spoczynku na cmentarzu przy szosie do Landwarowa. Otóż Halina Urbanowiczówna została w ów dzień pochowana na pagórku w lewym skrzydle trockiego cmentarza. Gdy trumna była już w dole, ale jeszcze nie zasypana, ksiądz wygłosił przemówienie, w którym uwypuklał cnoty i zalety zmarłej. A potem — najgorsze chyba ze wszystkiego — głuchy stuk grudek spadających na wieko, pod którym znajdowała się ta droga, niezapomniana, przybrana cała na białe jak do komunii. Wtem kilka spazmatycznych szlochów p. Urbanowiczowej i znowu stuk tylko, który wreszcie musiał ustąpić miejsca głuchemu szurgotowi suchego żwiru. Wreszcie Tatuś, p. Wołczacka i ja poszliśmy, nie czekając na ułożenie wieńców, bo nadleśniczyna wówczas chorą była i do domu spieszyła. Pan Urbanowicz błady był chyba nie mniej od tej, którą ziemia niedawno skryła na wieki, jednak po sobie nie dawał poznać, co działo się w jego duszy.

Dnia 6 sierpnia 1940 roku, wtorek. Pod wieczór pojechałem do Trok. Zajechałem na grób Halinki. Koło cmentarza byłem nieraz, lecz do środka nie zachodziłem. Dziś byłem tam po raz pierwszy od roku. Grób jej nie jest obmurowany, tylko brzegi podwyższenia są obłożone darnią, na nim zaś rosną kwiaty. Nie ma także pomnika kamiennego, bo dla niej pomnikami są serca ludzkie. Stoi tylko krzyż biały, a na nim przybita biała blacha, na której widnieją czarne litery, które układają się w wyrazy, zdania: „śp. Halusia Urbanowiczówna, zm. dn. 3 VIII 1939 r. żyła lat 12. Droga dziecinko, módl się za nami”. Jenó kształt jej jest nieco wyższy, bo między strofkami jest większy rozstęp. Cicho tam u niej i nie można po prostu uwierzyć, że oto tu, jakieś półtorej metra pod tymi kwiatami znajduje się trumna, a w niej Ona. Cicho tam w niej, jeno czasem wrona zakracze, w myśl jej jednego z wierszy, które pisała za życia.

Z Trok przywiozłem Miskę i będziemy z nim paśli krowy, bo nasz pastuch dziś zachorował. Po południu pał Romka. A jutro my.

Dnia 7 sierpnia 1940 roku, środa. Wstaliśmy bardzo wcześnie i popędziliśmy krowy. Potem na kilka godzin w południe przypędziliśmy do domu i po południu znowu popędziliśmy aż do wieczora. Pał Miska, ja i Wićka Uściły. Było pięć sztuk naszych i dwie Uściły. Przed południem przypędziła swe krowy i Pietruszkiewiczówna, potem zaś przyszła Pietruszkiewiczowa i udając wielce zmartwioną, poprosiła Wiciuka, by popilnował trochę jej krowy. A sama jak poszła, to i nie wróciła więcej. Ale po południu to już musiała paść sama, czy też jej córki. Jednak z naszego pasienia dały krowy o jakieś 2 litry więcej mleka.

Dnia 8 sierpnia 1940 roku, czwartek. Staliśmy jak wczoraj i popędziliśmy krowy. Szczęściem pogoda jest ładna i ciepła, więc urządziliśmy się w ten sposób, że jeden spał, a dwóch pilnowało krowy. Jednak po południu już nie popędziliśmy, bo przyszła siostra pastucha i nas zastąpi w tem rzemiośle, bądź co bądź nieco nawet przyjemnym. Żyto już zwieźliśmy wszystkie szczęśliwie do stodoły, więc fajnie paść na rżysku.

Dnia 14 sierpnia 1940 roku, środa. Dziś jest trzecie *urucz* w tym roku. Ja z Miskiem przyszedłem wczoraj wieczorem do Trok (przynieśliśmy Babuni pełny kosz rydzów), tu nocowaliśmy i dziś do kienesy. Dziś przyjechał moim rowerem Romka, zaś Mama i Tala przyszli. *Tienfinla* było do południa. Po obiedzie pojechałem do swej kumamamy¹⁷⁵ K. Nowickiej¹⁷⁶ po worki Babuni i zostaliśmy z Mamą zaproszeni na kibiny¹⁷⁷. Jednocześnie dostałem jako podarek imieninowy¹⁷⁸ 5 litów. Na kibinach oprócz nas i gospodarzy byli Józek Tynfowicz i jakiś Tynfowicz z Litwy, ober wielki komunista. Do domu wróciłem rowerem, reszta zaś została przywieziona przez stryja Józefa Dubińskiego, a Tala została w Trokach. Po drodze zajeżdżałem do Halusi.

Dnia 15 sierpnia 1940 roku, czwartek. W Trokach doroczny kiermasz. W ubiegłych latach był to naprawdę kiermasz, bardzo oczywiście huczny i wielki, a dziś nie ma na co patrzeć. Mimo, że zjechało się nań chyba z ćwierć Litwy, to było i mniej sprzedających, i kupujących niżli kiedyś.

Dnia 17 sierpnia 1940 roku, sobota. Wybrałem się z Miskiem (którego wczoraj przywiozłem z Trok) do Trok do *kiensa*. Pojechaliśmy, lecz nie dojechaliśmy. Bo przy zjeżdżaniu z ścieżki na drogę nie chciało się mi

¹⁷⁵ Właśc.: *kum-mama*, karaim.: matka „chrzestna”.

¹⁷⁶ Kamila z Łopattów Nowicka (1894–1980), córka Szymona, „Awolunciowa”.

¹⁷⁷ *Kibyny* lub *kybyny* — karaim.: pieczone pierożki z ciasta drożdżowego, nadziewane mięsem.

¹⁷⁸ Chodzi o подарunek z okazji urodzin.

hamować. Skutek tego był ten, że „kicha”, mając za mało powietrza, z haniebnym¹⁷⁹ hukiem „nawaliła”. Wróciliśmy więc do domu. Po obiedzie poszliśmy na pobliską wieżę tręgulacyjną¹⁸⁰ (można język i pióro złamać) czy jaką tam, po prostu na majak¹⁸¹. Przy owym obiedzie obecny nasz stołownik, p. Lewin mocno dawał pić Litwinom przy obecności Zubrewicza. Bo że Litwini to jacyś dzicy ludzie, to fakt. W ogóle p. Lewin jest zajadłym wrogiem litewskiego narodu. Innym razem mówił w ten deseń: „Polak (powiada) gdy zobaczył, że przegrał, to tylko spuści głowę i już, a ci miesiąc temu tautininkasy (narodowcy) i szaulisi (strzelcy, wychowywani w duchu nader szowinistycznym) dziś, gdy im w nos inny wiatr dmuchnął, przewrócili koziołka i na obecny rząd krzyczą: «Nasz rząd!»”. A spytaj się byłego tautininkasa, kim jest, to będzie obie ręce na sercu kładąc, dał się: «Komunista jestem!». Taki to już naród parszywy”. Otóż z owego majaku oglądaliśmy przez lornetkę okolicę od Landwarowa do Nowych Trok wzdłuż i od Żydziszek po Piłołówkę wszere. Gdy przyszedliśmy do domu, zastaliśmy już wuja Michała i ciocię Tamarę. Wuj już od dawna ma pracę w trockim banku litewskim. Mieli oni przyjść do nas w zeszłą sobotę, ale ciocia była coś niezdrowa.

Dnia 18 sierpnia 1940 roku, niedziela. Ciocia chodziła po grzyby. Przyszła także po rydze ciocia Asia z córką¹⁸² z Ropiej. Ja jeździłem do Trok. Potem przyjechał stryj Michał. Po południu wszyscy poszli do domów. Miszka Abkowicz także do Trok.

Dnia 20 sierpnia 1940 roku, wtorek. Burmistrz miasta Wilna wydał zarządzenie o rejestracji uczniów. Trzeba więc jechać do Wilna. W Wilnie jest Tala, która miała mnie zarejestrować, jednak nie wiadomo, czy będzie mogła, bo może trzeba to dokonać osobiście. Załatałem więc już kiskę i wybieram się do Wilna. A dziś byłem w Landwarowie u Antoniewicza. Ciągle z tym rowerem. Ale znowu nic nie wyszło, bo nie ma linki do hamulca.

Dnia 22 sierpnia 1940 roku, czwartek. Sześćdziesiąt km w dzień to największy mój rekord. Dziś wreszcie wybrałem się do Wilna rowerem z Zenkiem. W ogóle pierwszy raz jechałem szosą do Wilna. Wyjechaliśmy rano o godzinie siódmej, co równa się piątej po polsku. Gdy już wyjeżdżaliśmy z Leśnik, począł raptem prószyć deszcz, który nie byłby jeszcze tak straszny, gdybym ja miał przy rowerze błotniki. Jeszcze do trockiego prze-

¹⁷⁹ Haniebny — tu: wielki.

¹⁸⁰ Chodzi o wieżę triangulacyjną.

¹⁸¹ Majak — miejsce na wysokości (z ros.: *majak* — latarnia morska).

¹⁸² Mogła to być Zofia (ur. 1927), później po mężu Nowicka lub Maria (1929–2007), później po mężu Eszwowicz, córki Michała Pileckiego.

jazdu to jakoś jechaliśmy, bo deszcz był przynajmniej czysty, zaś dalej, gdy wyjechaliśmy na szosę, poczęło mię obrzucać błotem z kół. Wreszcie dobrnęliśmy jakoś do Landwarowa. Tam przeczekaliśmy ów deszcz na ganku sklepu Burtymowicza, w którym kiedyś braliśmy. Przy sposobności przyczepiłem do roweru Tatusia numerek i pojechaliśmy dalej. Jechać było niezbyt dobrze, bo dął wielki wiatr, wprawdzie niezupełnie naprzeciw, ale też dużo szkodzący. Tak dojechaliśmy do Wilna. Zenek zostawił rower na Legionowej, ja zaś pojechałem na Zwierzyniec. Miszka już jest w Wilnie. Potem poszedłem na górę Boufałową, gdzie spotkałem się z Zenkiem. Z nim poszliśmy się na Wileńską rejestrować. Ja już byłem zarejestrowany przez wuja Rafała. Po tym poszwendaliśmy się jeszcze po mieście i ja znowu poszedłem na Zwierzyniec. Z Zenkiem umówiłem się spotkać na Legionowej. Na Zwierzyncu dowiedziałem się, że mnie zarejestrowano jako Szymona Firkowicza, bo wuj pomylił się. Więc zarejestrowałem się prawidłowo i po obiedzie wyruszyłem do domu. Na Legionowej czekałem na Zenka chyba z godzinę, aż wreszcie dowiedziałem się, że on o 1³⁰ wyjechał. Z powrotem wracałem sam. I... o losie! Wiatr znowu był prawie z przodu. Jednak gdy przyjechałem, to czuło się, że odważyło się 60 km. Ale gdy zjadłem obiad, to zmęczenie owe przyszło. Następnie zawałem się na siano spać i spałem jak zabity aż do rana.

Dnia 24 sierpnia 1940 roku, sobota. Oto dziś mija rok, gdy w niepodległym państwie polskim, jak długie ono było i szerokie, bo od szczytów Karpat po piaszczyste bałtyckie brzegi, od „niemieckiego” Poznania po Wilno „litewskie” lub Lwów „ukraiński”, mignęło jak błyskawica słowo jedno, lecz zawierające treść tysięcy: „mobilizacja, mobilizacja, mobilizacja”. Kto żyw był, odrywał się od pracy codziennej i spieszył do pułku z wiarą w zwycięstwo młodego oręża polskiego, a w piorunującą klęskę wroga.

Dnia 31 sierpnia 1940 roku, sobota. Tydzień od 24-go do dziś minął bez niezwykłych zdarzeń. Przez trzy dni młóciłem żyto, najpierw sam, a jeden dzień z Kułakowem. Dziś wieczorem udało się nam złapać Londyn. Przemawiał niejaki Ciołkosz, członek Rady Narodowej: „Jutro mija rok, jak się zaczęła wojna. Wojna? Nie, raczej agresja niemiecka. Hitler zawsze, we wszystkich podbitych państwach przed zmotoryzowanymi oddziałami wysyłał „piątą kolumnę”, a potem tworzył nowy rząd i... już było po zwycięstwie. Jednak jak Polska Polską, takiego rządu mieć nie będzie”.

Dnia 1 września 1940 roku, niedziela. Mija rok, gdy na spokojne miasta i wsie polskie, odbudowywane własnym ich mieszkańców trudem z gruzów zeszłej wojny, spadły pierwsze bomby i nawiedzili je pierwsi wy-

słannicy śmierci — z ckm-ów samolotów niemieckich. Mija rok, gdy bohaterska, przeszło milionowa armia polska rzuciła się w odmet walki ażeby bronić swych praw do życia. Rzuciła się ze słowami: „Za wolność ojczyzny”. W tej samej chwili niemieckie oddziały pancerne poszły w ogień za... Właściwie za co? Chyba tylko dla dzikich zachcianek Hitlera. Poszły, żeby wszystko wokół siebie ścinać, zabijać, palić, ażeby wszystkim chcącym bronić wolności, posyłać śmiercionośne pociski, ażeby wyrwać wolność narodowi polskiemu, wolność tak przez nich samych ukochaną. I ów żołnierz pancerny spotkał żołnierza bagnetowego, żołnierza? Raczej Bohatera, który szedł z bagnetem na czołg i śmierć zadawał najeźdźnikowi lub padał i użyźniał krwią swoją ziemię bronioną.

Dnia 3 września 1940 roku, wtorek. Dziś słuchaliśmy radia z Londynu. Ja przed komunikatem położyłem się i zasnąłem. Po godzinie spania czuję szturchanie. Po odzyskaniu przytomności usłyszałem słowa Tatusia: „Wstawaj, Raczkiewicz przemawia”. I oto słyszę słowa, słowa płynące z głośnika, a wygłaszane gdzieś w tonącym we mgłach jesiennych Londynie. Płyną słowa spokojne, zrównoważone, stanowcze, jak gdyby ze stali gorącej wykute, słowa, które lepiej jak kule przebijają pierś i dochodzą do serca. Lepiej, bo kula wejdzie i wyjdzie, one zaś zostają. Słowa, które lepiej niż bomba rozłupująca czaszkę dostają się do mózgu. A głos, dysponujący tymi słowami, mówił. Mówił o brutalności Niemców dokonanej przed rokiem, o bohaterstwie Polaków, o Anglii, nad której skalistymi brzegami startuje Orzeł Biały, ażeby oglądać zwycięstwa. „Dlaczego Niemcy zwrócili swą broń przede wszystkim przeciwko Polakom? Dlatego, że Polacy na swych sztandarach mieli słowa: «Za naszą wolność i waszą»”. Po skończonym przemówieniu raptem z głośnika płyną znajome dźwięki, niesłyszane przeze mnie prawie od roku, bo od dnia, w którym z Tatusiem chodziliśmy do państwa Urbanowiczów na radio. Od dnia jesiennego 39 roku. Tony owe mówią: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my...”. Raptem przerywają się, a ów znajomy głos mówi: „W tym są zawarte nasze myśli i uczucia”. A orkiestra gra cały Hymn. I oto co widziałem. Płakał pan Lewin, chlipała jak bóbr Mama, miałem i ja na oczach łzy. Tony owe dźwięczą i teraz w uszach. I kto wie? Może zostaną zagłuszone dopiero przez mocniejsze, bo bliższe, grane przez trąby wojsk maszerujących, a krzyczące na całą okolicę słowa trzy i jedno: „Wolność, wolność, wolność”.

Dnia 5 września 1940 roku, czwartek. Będę pisał o 5 września 39 roku. Od [rocznicy] dnia, w którym po błyskawicy „mobilizacja” padł grom „wojna”, mija dzień piąty. Pancerne niemieckie oddziały zmotoryzowane do-

tarły pod mury Warszawy. Dotarły, ażeby zatrzymać się pod nimi na 23 dni, niektóre po to, ażeby dalej nie ruszyć. Dotarły, ażeby niewinną krwią polskich obrońców i swoją własną zbryzgać jeszcze raz mury stolicy, zbryzgiwane już nie raz i nie dwa. A potem te mury powalić. Wówczas była jeszcze armia, a dziś zostały tylko oddziały polskie walczące za wolność ojczyzny o tysiące kilometrów od niej, w odległej Anglii i jej koloniach. Jeździłem dziś do Trok. Gdy wróciłem, zastałem p. Urbanowicza, Alejuna, Głucha i naszych nad litrem. Obecnie u nas malują ściany, więc jemy w Tali sypialni. O 11¹⁵ wszyscy słuchali Londynu. Powiedział, że pod względem samolotów 1:3, a pod względem pilotażu 1:6 Anglia góruje nad Niemcami. Może są to cyfry trochę przesadzone, ale gdyby nawet było 1:1, to też nieźle.

Dnia 7 września 1940 roku, sobota. Wczoraj zwieźliśmy koniczynę, która już chyba z miesiąc stała na polu i gniła. Bowiem przez cały ten czas prawie dzień w dzień padał deszcz. Wreszcie we czwartek i piątek trochę wysuszyło. Ale wieczorem znowu deszcz. Wszystkie zboże, oprócz żyta, gnije. W ogóle lato tegoroczne nie jest podobne do lata. W pierwszych jego miesiącach suszyło i suszyło, aż ziarno w ziemi leżące nie miało wilgoci do kiełkowania. A gdy już trochę wyrosło, poczęło moczyć i moczyć, aż ziarno będące w kłosach całkiem porosło i wypuściło liście. Dziś pojechałem do Trok do *kiensa*. Miałem przywieźć z Trok fotografie, które we środę robił tu Gabka Dubiński¹⁸³. We środę bowiem chciałem zrobić kilka zdymek¹⁸⁴ dla siebie. Więc jadąc z Trok zrobiłem widok na Troki z najwyższej góry na ścieżce. Potem przyjechaliśmy do nas robić zdymkę tartaku. Jednak gdy zobaczyli robotnicy, co robimy, na gwałt zechcieli fotografować się. Doszło do tego, że na dziś przywiózł gotowych 60 odbitek. Wracając do Trok, zrobił fotografię leśniczówki w Bobrówce, niegdyś p. Urbanowicza. Ale Gabka przywiózł je sam do nas i ma jeszcze zrobić 80, które przywiezie we wtorek. Mnie też jeszcze kilka robi. Londyn śmiał się dziś z niemieckich matematyków. Bo Niemcy ogłosili tonaż zatopionych przez nich statków angielskich (przeszło 4 miliony). W drugim komunikacie była cyfra większa niż w pierwszym (całkiem naturalnie), zaś w trzecim komunikacie figurowała cyfra większa niż w pierwszym, ale mniejsza niżli w drugim. „W jaki więc sposób niemieccy matematycy doszli do tej cyfry? Komunikat niemiecki nie mówi. Może dodając do liczby ton z drugiego komunikatu tony potem zatopionych statków i otrzymując cyfrę mniejszą niżli była poprzednio” — drwi Londyn. — „W rzeczywistości zaś jest ich nie przeszło 4 miliony, ale tylko przeszło 1 milion”.

¹⁸³ Gabriel Dubiński (1924–1999), syn Eliasza.

¹⁸⁴ Zdymki — zdjęcia.



Leśniczówka w Bobrówce.



Tartak w Leśnikach, 1940 r.



*Pracownicy tartaku w Leśnikach, 1940 r.
Z prawej strony w górnym rzędzie stoi autor; poniżej — Sławek Abkowicz, od prawej w rzędzie
dolnym siedzą Lewin i Z. Urbanowicz.*

Dnia 12 września 1940 roku, czwartek. Prawie przez cały dzień pada deszcz. Wreszcie wieczorem trochę uspokoiło się, więc pojechałem do Trok. Zabrałem zdymki od fotografa. Sławek i ja śpimy już w domu od poniedziałku, bo nie ma w stodole miejsca i zimno już.

Dnia 13 września 1940 roku, piątek. Jak zawsze — deszcz. Oto już kończą się wakacje i nie można na ostatek pohulać choć trochę. Musiałem jechać do Strakiszek do krawca, który nam szyje ubrania. Co to była za jazda! Po błocie i bez błotników, ze skaleczoną lewą nogą (którą skaleczyłem, jadąc z Markiem do Ropiej prosić na niedzielne *mila*¹⁸⁵ do Malowanki¹⁸⁶) i bez prawego pedału. Ale jakoś dojechało się do krawca, a potem

¹⁸⁵ Uroczystość przyjęcia do społeczności i nadania imienia chłopcu. W tym wypadku chodzi o Bogusława Pileckiego, „Globusa”, syna Awji (ur. 1940).

¹⁸⁶ Malowanka — majątek, w którym mieszkała rodzina Pilekich, pełniąc w nim przez trzy pokolenia obowiązki zarządców. Obejmował 160 dziesięcin gruntu przekazanych przez władze państwowe Karaimskiemu Zarządowi Duchownemu w chwili powołania hachamatu trockiego w 1863 r. Dochody z majątku, który był jednocześnie letnią rezydencją hachama, przeznaczone były na utrzymanie osób sprawujących funkcje religijne.

do Landwarowa do Antoniewicza. Ten poprawił mnie pedał i przykręcił błotniki. Teraz można przynajmniej jechać.

Dnia 14 września 1940 roku, sobota. Byłem z Tatusiem w *kiensa*. Potem wróciłem z Gabkiem Dubińskim do Leśnik i Gabka robił zdyмки. Zrobił kilkanaście nam. Potem pojechałem z nim do Trok jeszcze raz i zrobiłem ostatnią fotografię dla siebie: grób Halinki. Wracałem do domu już wieczorem przy świetle księżyca. Jednak przyjemnie jest na tej drodze i w ogóle w Leśnikach, szczególnie w taką noc. W Leśnikach oglądam chyba ostatni raz taką noc jesienną w tym roku.

Dnia 15 września 1940 roku, niedziela. Ostatni dzień wakacji. Dziś jest *mila* w Malowance. Nasi pojechali wozem z Uściłłą, ja zaś pojechałem jeszcze rowerem do Zenka, bo miałem tam zapomniane rzeczy jeszcze z „połowu ryb”, a potem przyjechałem do domu i po zabraniu teczki wyruszyłem do Malowanki. Wczoraj, przed wyjazdem z Gabkiem do Trok dostałem od Rodziców w prezencie zegarek ręczny, obiecany mi przed dwoma laty, gdy zdałem egzamin do gimnazjum. „Za to, że w tym roku pracowałem na polu i niejeden lit zaoszczędziłem”. Do Malowanki jechałem przez Troki na przewóz¹⁸⁷. Ponieważ nigdy tamtędy nie jechałem, więc nie znałem drogi i musiałem kilka razy o nią pytać. Wreszcie jakoś dobrałem się i dopiero na miejscu dowiedziałem, że jest inna droga od tej, którą jechałem, bardziej ubita i lepsza, bo ta to naprawdę nie należała do zbyt dobrych. Przyjechałem już w czasie nabożeństwa, po którym zasiedliśmy do stołów. Z Wilna było dużo gości, m.in. Hachan¹⁸⁸ i wuj Rafał. Wreszcie pod wieczór, po wychyleniu kilkunastu kieliszków wyjechałem do Wilna, tam bowiem mam teraz mieszkać. Marek Juchniewicz będzie uczyć się w rzemieślniczej. Fajna droga jest na kostce, zwłaszcza dla rowerów. Przyjechałem do Wilna już pod wieczór. Z Leśnik przyjechał Sławek Abkowicz w sprawach tartaku. Jest także Maniuk, który przyjechał ze swej szkoły¹⁸⁹.

Dnia 16 września 1940 roku, poniedziałek. Rok szkolny 1940/41 z dniem dzisiejszym został rozpoczęty. Ja do budy nie poszedłem, bo po pierwsze bolała mnie noga, a po drugie padał z rana deszcz.

Dnia 17 września 1940 roku, wtorek. Dziś poszedłem do budy. Podzielili nas już na klasy. My uczymy się w tej samej co i w pierwszej klasie. Oto znowu zaczynają się owe dni jesienne, a potem zimowe, w których

¹⁸⁷ Na przewóz — na skróty (zamiast jechać szosą, można było przeprawić się łodzią z parku w Trokach).

¹⁸⁸ Hadży Seraja Szapszał (1873–1961), syn Marka, przywódca duchowy Karaimów.

¹⁸⁹ Chodź o szkołę rolniczą w Bukiszkach, do której Emanuel Abkowicz uczęszczał w latach 1940–1942.

trzeba do obiadu wysłuchiwać gadania profesorów, czyli „towarzyszy nauczycieli”, a po obiedzie przeżuwać to w domu. Pod jednym tylko względem mam szczęście: nasz zeszłoroczny „profesor” od litewskiego nie uczy już nas (choć, niestety, litewski jest jeszcze), z tego powodu nie będziemy zmuszeni wysłuchiwać go przez 4 godziny na tydzień. Jest bowiem teraz „ważnym” inspektorem, ale mimo swego awansu nie może sobie kupić grzebienia i zaczesać po ludzku włosów, które mu po staremu spadają na oczy. Nasze gimnazjum, jak zresztą i każde w Wilnie, jest koedukacyjne. W naszej klasie jest (mało, bo tylko) pięć dziewczynek.

Dnia 20 września 1940 roku, piątek. Wyruszyłem rowerem do domu. Jechałem do kaplicy szosą wileńską, następnie szosą grodzieńską do toru (na trockiej prawią most) i torem aż pod sam dom.

Dnia 21 września 1940 roku, sobota. Pojechałem do Trok do *kiensa*. Po *tiefinla* zajechałem do Matejuna¹⁹⁰ po zdjęcia robione tydzień temu. Było ich razem 92 szt. Moje, robione u Halusi wyszło bardzo ciemne, bo i robione było już wieczorem. Litery są bardzo słabo znaczne, ale z biedy można je rozróżnić. Do sprzedania zostawiłem je Sławkowi. Bo jutro żegnam Leśniki i jadę do Wilna.

Dnia 22 września 1940 roku, niedziela. Rano pojechałem jeszcze do Trok. Wracając spotkałem Tatusia jadącego do Trok. Po obiedzie wyruszyłem do Wilna. Wiatr jest prawie że z tyłu. Toteż do Wilna przyjechałem w krótszym czasie niżli z Wilna do Leśnik. Gabrys czekał mię bardzo i nawet wkładał pasjanse, czy przyjadę. No i wyszło oczywiście, że przyjadę.

Dnia 24 września 1940 roku, wtorek. Przyjechała z Leśnik Tala. Ona podała podanie na uniwersytet i teraz mają być badania. Wyszła tam jakaś hadka kombinacja. Mianowicie w Wilnie miała być chemia. Tala chciała iść na farmaceutykę. Ale musiałaby jechać do Kowna. Więc podała na chemię. Tymczasem w niejakiś czas po tym przenieśli do Wilna i farmację. Wtenczas podała podanie na farmację, ale bez żadnych dokumentów, gdyż te były na chemii. No i teraz może być, że ani tu, ani tu nie popadnie. Chodzi więc teraz co dzień do sekretariatu, ażeby coś wydębić.

Dnia 28 września 1940 roku, sobota. Ponieważ mam w Wilnie rower, więc nie widzę powodu, ażeby chodzić do budy i nogi bić. Toteż jeżdżę tam na rowerze przez Mickiewicza i potem Wileńską. Do tego dochodzi jeszcze to, że moja noga skaleczona jeszcze wówczas w Ropiejach nie zagoiła się. A więc pojechałem i dziś, mimo że jest sobota. O losie! Gdybym

¹⁹⁰ Właściciel zakładu fotograficznego w Trokach, mieszczącego się przy ul. Wileńskiej róg Kościelnej (obecnie Vytauto róg Birutės).

wiedział, jaką za to zapłatę otrzymam, to bym raczej poszedł. Bo oto wracając do domu po Wileńskiej, naleciałem na jakiegoś szczeniuka. Było to w ten sposób, że on jechał po lewej stronie naprzeciw mnie. Ja chciałem go wyminąć po lewej (mojej), on zaś widząc mnie skręcał na prawą (jego), to znaczy na tę samą stronę co i ja. Skutek był ten, że ja jadąc zdrowym gazem (bo trzeba być wariatem, żeby jechać po kostce wolno), rąbnąłem przednim kołem w jego ramę. Dzięki temu moje tylne koło prawdopodobnie wystartowało w powietrze i jednak opadło z powrotem na zhańbioną jezdnię, ja zaś przetoczyłem się przez ster i wylądowałem wraz z rowerem na jezdni, mokrej od deszczu, a mój niefortunny towarzysz spotkania wylądował na jezdni, ale jego rower miał wygodniejsze lotnisko, bo służył za nie jego były pasażer. Podymując się¹⁹¹ z owej kostki, słyszałem, jak coś do mnie darło się po litewsku owe „lotnisko”. Ja jednak nic nie rozumiejąc, zszedłem oczywiście na prawą stronę i doprowadziłem się do porządku. Gdy odwróciłem się, to już ani „lotniska”, ani „samolotu” nie było. Więc pożyczwszy od jakiegoś rowerzysty pompkę, napompowałem przednie koło i „szczęśliwie”, z błotnymi plamami wróciłem do domu.

Dnia 29 września 1940 roku, niedziela. Przyjechał z Leśnik wczoraj wieczorem Sławek. I dziś był na tyle wspaniałomyślny, że zafundował nam, to znaczy Miszku i mnie, kino. Złapawszy jeszcze dwóch kompanionów w postaci Marki i Józiuka Firkowicza¹⁹² wyruszyliśmy do Luxa¹⁹³.

Dnia 1 października 1940 roku, wtorek. Znowu *sawpadenje*¹⁹⁴ i znowu na Wileńskiej. Mam ja do niej szczęście. Ale tym razem nie na rower, tylko na człeka. Ale też wyszło szczęśliwie, bo mnie tylko beret na suchą tym razem kostkę zleciał, a tamten sterem po boku dostał i jeszcze burę od milicjanta, że nieuważnie chodzi, bałwan. Bowiem już Wilno zostało oswobodzone od owych sławnych „metr osiemdziesiątek”, czyli litewskich policjantów. Ostatni raz widziałem takowego 15 września, gdy jechałem z Malowanki do Wilna. A on nie tylko mnie widział, ale jeszcze miał zaszczyt do mnie przemawiać. Bo ja jechałem „bez rąk”, gdyż chciałem, zobaczywszy, która godzina, włożyć do kieszonki zegarek. Raptem za placem Łukiskim przy Sierakowskiego wylazi na jezdnię i pokazuje, żebym się zatrzymał. Stałem jakieś 20 m za nim. A on lezie, kiwając do mnie. Kiedyś, za czasów „smetonowskiego reżimu” pierwsze zdanie albo czasem i całe „przemówienie” bywało wygłaszane po litewsku albo w naj-

¹⁹¹ Podymać się — podnosić się.

¹⁹² Józef Firkowicz (1924-2009), syn Szymona, Ułłu Hazzana, późniejszy hazzan w Trokach.

¹⁹³ Kino w Wilnie.

¹⁹⁴ *Sawpadenje* — ros.: zbieg okoliczności.

lepszym razie po rosyjsku, niezależnie od tego, czy „słuchacz” rozumiał co, czy też nie. A teraz wszyscy jakby na komendę nauczyli się po polsku rozmawiać. Toteż podszedł do mnie i od razu po polsku mówi, że chyba chcę zarobić 3 lity tak jeżdżąc, że tak jeździć nie można itd., itd. Ja mu odpowiedziałem, że nie wiedziałem o tym, że chciałem zobaczyć godzinę i wreszcie stereotypowe: „więcej nie będę”, w co nie bardzo wierzyłem. On mnie znowu zasypał całym worem podobnych do powyższych frazesów. „Metr osiemdziesiąt” musiał wreszcie, biedny, zostać, a ja odjechałem. Został, ażeby już więcej nie wyjść na ulicę w swym galowym, wypchanym watą mundurze. Oj, chyba się rozplaczę nad jego niesprawiedliwym przeznaczeniem. Tala pojechała dziś do Leśnik.

Dnia 2 października 1940 roku, środa. Rano jeździłem na dworzec do Zenka po Sławki paszport. Po lekcjach wróciłem na Zwierzyniec i zostawiwszy teczkę oraz trochę wcisnąwszy, wyruszyłem, oczywiście na rowerze, do domu. Jechałem już poprzednią drogą, to znaczy szosą grodzieńską i potem torem. Odpoczywałem przy moście, który przechodzi ponad torem, a potem za nadleśnictwem. Przyjechałem do domu jak raz na obiad, na kibiny. Oczywiście, był p. Urbanowicz. Jest u nas teraz pewien Niemiec z polskim nazwiskiem, Barski. Ja pojechałem do domu z tego powodu, że jest już zimnowato, a tam mają dla mnie przerabiać zeszłoroczny płaszcz. Jednak do miary jeszcze nie ma, a nawet nie wiadomo, kiedy będzie. Bo krawiec nie ma czasu. Po obiedzie więc pojechałem do Mataczynowej pytać, czy może ona weźmie się poszyć. Ale niestety nie, gdyż Marysia już zaczęła jeździć do budy, a ona sama nie ma tyle czasu. Wróciłem więc i pojechałem jeszcze popróbować szczęścia do Żukiszek. Tam zajechałem do pp. Urbanowiczów spytać o adres krawcowej. U nich czekałem z kwadrans, ażeby z p. Urbanowiczową pójść do niej. Tymczasem p. Urbanowiczowa zmywając talerz, w pewnej chwili powiada, że u nich nie ma tyle talerzy do zmywania, co u nas (bo u nas to naprawdę całe stosy). Ale ja, o pani!, jestem pewny najzupełniej, że nie pożałowałabyś pracy dla ich zmywania, byleby ich było o dwa więcej. Chciałabyś, pani, bardzo mieć do zmycia dwa ich jeszcze! Ja bym też tego gorąco pragnął! Potem poszliśmy do krawcowej, która dzięki wstawiennictwu p. Urbanowiczowej podjęła się zrobić mi kurtkę. Wreszcie znalazła się taka.

Dnia 3 października 1940 roku, czwartek. Dziś jest święto *Rożyszczana*¹⁹⁵. Pojechałem z Tatusiem do Trok do *kiensa*, zaś Tala ze Sławkiem chodzili. Po *tiefinla* zaszedliśmy do Babuni. Mieszka ona już nie tam, gdzie

¹⁹⁵ *Rożyszczana, rożyszczyna* — potoczna wymowa Rosz Ha-Szana (początek roku rolniczego).

mieszkała w lecie. Bowiem w Trokach obecnie stoi wojsko, któremu potrzebne są mieszkania. Więc wszystkich z lepszych mieszkań powyrzucali. Taki też los spotkał i Babunię. Wuj Michał przeniósł się do *szammasza*¹⁹⁶, a Babunia zajęła dwa pokoiki u Januszkiewiczów. Tylko płacze i przejmuję się na darmo. Wracając, zajechałem do Matejuna, aby oddać mu forszę za fotografię. Już on nawet kartkę do Tatusia pisał, którą przesłał przez jakiegoś robotnika, żebym oddał mu prędeż albo forsa, albo fotografię. Dzięki Bogu, kartka ta nie doszła do Tatusia, gdyż ugrzęzła w moich rękach. Jeździłem potem do Strakiszek po mój płaszcz, który miał przerabiać Baranowski. Gdy wróciłem od niego, zawiozłem ów płaszcz do Żukiszek, do krawcowej i dałem miarkę.

Dnia 4 października 1940 roku, piątek. Pod wieczór woziliśmy owies z pola do stodoły. Jeszcze nawet niezbyt suchy. Ale już reszta wyschnie w stodole. Ot, jakie to lato w tym roku. Kiedyż to tak bywało, żeby w październiku jeszcze zboże na polu stało, kiedy o tej porze już prawie kartofle skopane.

Dnia 5 października 1940 roku, sobota. Po obiedzie jeździłem do pierwszej miary do krawcowej. Druga ma być w poniedziałek, ale ja już nie będę na nią czekać. Pomierzą więc na kogoś innego. Gajowy Pietruszkiewicz, owy parszywy Litwin, który sam nie wie, kim jest i czego chce, został przeniesiony do Rykąt. Bo w ostatnich czasach na spółkę ze swą żoną podał donos na Tatusia, że ten kradł mu jakieś klamki w baraku, cement itp. bajery. Ale ponieważ były to tylko bajery, więc „oskarżony” zostaje na miejscu, a „oskarżyciel” wyjeżdża. Ot i nie spełniły się obietnice jego żony, że ona stąd wszystkich gajowych polskich wraz z leśniczym na czele powygrza i że ci oczywiście wyjadą do... Kazachstanu, a sami Litwini zostaną „w swej odwiecznej ziemi, okupowanej przez 20 lat przez złodziejskie rządy polskie (żeby tej język spuchł!), aby niepodzielnie Nią władać”.

Dnia 6 października 1940 roku, niedziela. Deszcz. Zwykły jesienny dzień i jesienny deszcz-kapuśniak. Przychodziła rano Danusia po woltomierz p. Urbanowicza, który był u nas zostawiony. Tatuś chodził do Trok i przyniósł 15 baterii do radia, gdyż anodowa już się wyładowała. A ja mam takiego pecha, bo zeszyłem razem nie było akumulatora, a teraz baterii i nie można Londynu posłuchać. Po południu jeździłem do Żukiszek do pp. Urbanowiczów z woltomierzem, gdyż Danusia go nie zabrała, bo był on schowany u Tatusia. Deszcz już przestał padać, natomiast czuć i widać jesień. Brzozy

¹⁹⁶ *Szammasz* — posługacz przy kienesie, odpowiednik kościelnego. Podówczas był nim Aleksander (Achiezier) Szpakowski (1870–1953), syn Szemoela Abrahama.

już żółkną, dzięki czemu i droga jest miejscami żółta. Na polach nic już nie ma oprócz kartofli. Chciałem dziś jechać do Wilna rowerem, ale Tatuś powiada, żeby rower zostawić i jechać pociągiem jutro. To i Romek z tego skorzysta, bo czasami podjedzie do budy. Potem aż do wieczora graliśmy w karty, najpierw ze Sławkiem, a potem we cztery z Tatusiem i Zubrewiczem, w „66”. Mama pojechała do Trok, bo jutro jest tam kiermasz.

Dnia 7 października 1940 roku, poniedziałek. Rano z Talą wyruszyliśmy do Wilna. Obecnie jest od dziś zmieniony rozkład: pociąg odchodzi o godzinę później. W Wilnie siadłem na arbon, pojechałem na Zwierzyniec i zaraz z powrotem do budy. Od dziś będą chodzić Olek Dubiński i Misza Firkowicz. Chodzili oni do trockiego seminarium, ale tam wszystko po litewsku, więc ani trochę nie rozumieją. A ponieważ od dziś zaczął chodzić pociąg z N. Trok, więc i oni dojeżdżają. Jeździ także Heniek Lichodziejewski, siostrzeniec p. Soroki.

Dnia 11 października 1940 roku, piątek. Po lekcjach poszedłem na dworzec spotykać Sławka, który miał dla mnie coś przywieźć. Bowiem jutro *Kippur*¹⁹⁷. Przyjechawszy więc z dworca fajnie napchaliśmy swoje kałduny¹⁹⁸ i do *kiensa*. Maniś też przyjechał jeszcze wczoraj.

Dnia 12 października 1940 roku, sobota. Cały dzień byłem w *kiensa*. Wyszliśmy dopiero o pół do ósmej wieczorem.

Dnia 16 października 1940 roku, środa. Jutro *Sukkot*¹⁹⁹. Dziś wieczorem jest więc *tiefinła*. Był na nim Marek, który już mieszka nie u Dubińskich²⁰⁰, ale w bursie. Po *tiefinła* odprowadziłem go aż do gimnazjum Orzeszkowej. Gdy wróciłem, zastałem już Mamę, która przyjechała dziś do Wilna.

Dnia 17 października 1940 roku, czwartek. Do budy poszedłem. Mama była u pp. Witortów. Panna Stacha pracuje obecnie jako sprzątaczką wagonów i dostaje 5 litów dziennie, za które obecnie nie można kupić kila masła, bo te kosztuje 6,20. Oto los tej, która ma maturę i 1 rok politechniki.

Dnia 18 października 1940 roku, piątek. Po południu o piątej Mama z Talą pojechała do domu aż do poniedziałku.

Dnia 20 października 1940 roku, niedziela. Rano poszedłem z Miszkiem do Dody Nowickiego²⁰¹ po bańki na miód. Wczoraj przyjechał Ma-

¹⁹⁷ Święto Pojednania, karaim.: *Boszatłych kiuniu*.

¹⁹⁸ W Święto Pojednania od zachodu (dnia poprzedniego) do zachodu słońca obowiązuje całkowity post.

¹⁹⁹ Święto Namiotów, karaim.: *Chydy Alaczychlarnyn*.

²⁰⁰ Jehoszuwa Dubiński syn Szymona (1879–1949), „Krawiec” i Kamila (1979–1958), córka Ananiasza Dubińskiego.

²⁰¹ Dawid Nowicki (1888–1953), syn Samuela.

niuś. Potem wstawialiśmy okna dubeltowe. Pod wieczór jakoś źle poczułem się czuć. Gdy zmierzyłem gorączkę, było 37,4. A więc położyłem się do łóżka. Ober boli głowa.

Dnia 21 października 1940 roku, poniedziałek. Do budy nie idę. Marniś pojechał do Żukiszek, a Tala wróciła.

Dnia 23 października 1940 roku, środa. Czuję się już trochę lepiej, więc po południu nawet wstałem. Ale pod wieczór znowu podniosła się gorączka.

Dnia 24 października 1940 roku, czwartek. Rano miałem normalną temperaturę i zostałem. Dziś jest ostatni dzień *Sukkot*, ale ja do *kiensa* nie mogłem iść. Miska do budy nie idzie, bo im nie trzeba. Chodzi on na 3 godziny i uczy się w gimnazjum Piotra Skargi w gmachu gimnazjum Zygmunta Augusta. Jutro idę do budy.

Dnia 25 października 1940 roku, piątek. Poszedłem do budy. Olek już uczy się nie w naszej klasie, ale przeniósł się do 7f. Z Trok przyjeżdżał Czyż, wuja połownik. Przywiózł kartofle, zaś zabrał nasze bańki. Zawsze z Trok będzie łatwiej przewieźć je do nas.

Dnia 26 października 1940 roku, sobota. Jadę na niedzielę do domu. Po lekcjach przyszedłem na Zwierzyniec, a potem na dworzec. Pociąg obecnie odchodzi o piątej godzinie. Jechałem razem z Zenkiem i Marysią Mataczynami i z Halinką Tomaszewiczówną. Marysia uczy się w naszej budzie w VI kl. Obecnie Michał Ławrynowicz pracuje u Tatusia w kancelarii. Pan Lewin przed moim przyjazdem pojechał do Wilna, zaś tartak miał dziś ostatni dzień swego żywota. Bowiem teraz staje na miesiąc remontu i potem będzie iść przez całą zimę. Całe szczęście, że go utrzymali na miejscu.

Dnia 27 października 1940 roku, niedziela. Tatuś pojechał rano rowerem do Trok. O dziesiątej godzinie przyjechał z Wilna wuj Rafał. Ja poprawiłem swój rower (gdyż był on przecież w rękach Romki) i też wyruszyłem do Trok. Marek wczoraj przyjechał z Wilna. Jadąc za most, spotkałem go przy jakiejś litewskiej ciężarówce. Przystanąłem więc i ja, i nawet trochę zmarzłem w nogi. W Trokach dziś pogrzeb i wesele. W jednym dniu smutek i radość. Wesele Szymona Chorczenki²⁰² i Wieri Tynfowiczówny²⁰³ z Litwy, tej samej, która rej wodziła w Wilnie. Wracając do Trok zajechałem do Halusi. Jakże odmienny tam wygląd niż był kilka miesięcy temu! Wtenczas było zielono i białe od kwiatów, a teraz tylko żółto od liści. Wieczorem robiłem lekcje. Majątek trockiego magistratu, który

²⁰² Szymon Chorczenko (1912–1987), syn Mojżesza, „Chlyzia”, z zawodu fryzjer.

²⁰³ Wiera Chorczenko (zm. 1968).

dzierżawił Głuch, został już rozparcelowany i miedza, po której tak dobrze było jeździć do Trok, została zaorana, zaś na jej miejsce zrobiono nową.

Dnia 28 października 1940 roku, poniedziałek. Rano o siódmej wybrałem się do Wilna. Przy tym o mało nie spóźniłem się na pociąg. Dziś p. Urbanowicz jechał do Wilna. Z pociągu w Wilnie poszedłem do szkoły, a potem po lekcjach na Zwierzyniec.

Dnia 29 października 1940 roku, wtorek. Przyjechał z Trok wuj Rafał z nowością, że Grecja bije się z Włochami. Dotychczas w Wilnie o tym wcale nie było słyhać.

Dnia 30 października 1940 roku, środa. Przyjechał z Leśnik Sławek ciężarówką, która przyjechała po cegły na remont tartaku. Sławek, ponieważ ta ciężarówka będzie jeszcze przyjeżdżać kilka razy do Wilna, ma zamiar sprowadzić nią swe drzewo do Wilna, bo furmanki drogie.

Dnia 1 listopada 1940 roku, piątek. Wszystkich Świętych. Dzień ów kiedyś był dniem święta, dziś — pracy. W budzie już przez cały ten tydzień każdy zeks od siebie oznajmia, że trzeba będzie iść do budy.

Dnia 2 listopada 1940 roku, sobota. Zaduszki. Dzień tak samo jak wczorajszy — święta i tak samo jak wczorajszy — pracy. W budzie nauka całkiem normalna, obecni są prawie wszyscy. Cóż zrobisz — mus. A tam, gdzieś o 30 km na zachód od Wilna na wzniesieniu w lewym rogu trockiego cmentarza płonie świeczka, której płomyk nierównomiernie huśta się w powietrzu. Jedna świeczka na wzniesieniu naturalnym z drugim usypanym 15 miesięcy temu, druga zaś trochę w bok w naturalnym wgłębieniu, ale na wzniesieniu usypanym jakiś miesiąc temu, pod którym leży Litwinka, Pietruszkiewiczówna. Ta bowiem ciężko chorowała jeszcze przed rokiem szkolnym, a wkrótce zmarła. Los zrządził, że leżą niedaleko siebie. Dwie dziewczynki o podobnych nazwiskach, charakterach odmiennych. Na górze — Polka, w dole — Litwinka. Na wzniesieniu sprzed 15 miesięcy na pewno huśta się płomyk, na wzniesieniu usypanym miesiąc temu — nie wiem. Ja będąc tu, w Wilnie, mogę tylko za tę, co na górze, powiedzieć „Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niech jej świeci na wieki wieków. Amen”. Słowa te śpiewano 15 miesięcy temu na dziedzińcu leśniczówki w Bobrowce, niegdyś p. Urbanowicza, dziś — zakajannego²⁰⁴ Litwina.

Dnia 4 listopada 1940 roku, poniedziałek. Wieczorem raptem zjawiła się w Wilnie Mama. Przyjechała dlatego, że gdy w lecie Tatuś kupował radio, to podpisał kilka weksli, które miały być co miesiąc opłacane. Tym-

²⁰⁴ Zakajanny — ros.: zagorzały.

czasem przedtem weksli nie przysyłano, a teraz nadeszło od razu kilka oraz zawiadomienia o protestowaniu 3 sztuk.

Dnia 5 listopada 1940 roku, wtorek. Mama pojechała do domu. Ja wybieram się pojechać w tym tygodniu do Leśnik, bo będą u nas młócić, a w budzie będzie kilka dni wolnych z powodu 23-ej rocznicy Rewolucji Sowieckiej. Zaczynają się już 7-go i będą aż do niedzieli.

Dnia 6 listopada 1940 roku, środa. Rano pojechałem do budy. Bowiem jeżdżę do budy rano samochodem, oczywiście na gapę. Udaje się to prawie zawsze (dotychczas przynajmniej), gdyż bardzo dużo jeździ. Ja lokuję się zazwyczaj na schodkach. Otóż dziś miały być dwie lekcje. Ale była tylko jedna, bowiem na rysunki nie przyszedł zeks. Na trzeciej przyszedł wychowawca i poszliśmy do auli na akademię, na której były, jak zresztą można było spodziewać się, same propagandowe bajery. Po akademii poszli od razu wszyscy do domu. Ja zaś podszedłem do inspektora (tego, co uczył nas kiedyś biologii) prosić o zwolnienie z jutrzejszej „parady”. Ten mnie odesłał do dyrki. A dyrka mówi, żeby iść do inspektora. Ale ostatecznie po wytłumaczeniu mu, o co chodzi, zezwolił bez żadnych pytań na to, żeby inspektor zwolnił mnie. Poszedłem więc szukać takowego i po wielkich mozolach odnalazłem, ale nie tego, gdyż jest ich dwóch. Stałem więc pod drzwiami do pokoju i czekam. Tymczasem wszedł do pokoju nauczycielskiego dyrka i zaraz przysłał inspektora, tego, co nas w zeszłym roku litewskiego uczył. Ten wylaź na korytarz, z włosami oczywiście na oczach i z papierosem w zębach (pałił „Savo”, najtańsze z tanich — inspektor się kompromituje przed uczniami, paląc ten sam gatunek papierosów, co oni). Powiedziałem mu, że ojciec mi zachorował i muszę być w domu. On uwierzył i tylko trochę poburczał, że „będzie zły przykład”. Pieron, fajnie nauczył się przez wakacje po polsku gadać. Ale ostatecznie pozwolił, bo mu przecież dyrektor „zezwoił”. Poszedłem potem na Zwierzyniec i stamtąd na dworzec. Miasto przybierają na moc i potęgę w czerwień. Na każdym większym budynku siedzi „baćka Stalin”. Jadąc do domu chciałem oszukać kolej na 20 centów i oszukałem się na 70. Bo kupując bilet do Trok, dałem 2 lity i zapomniałem powiedzieć, żeby dał zniżkowy. Gdybym brał bilet do Leśnik, nie mógłby mi dać całego, bo byłoby za mało forsy. Wyniosłoby więc 1,20 lita, a tak 1,90. W pociągu spotkałem p. Gąsiorowskiego. Nie ma on pracy i siedzi w Landwarowie. Jechałem z Mataczynami.

Dnia 7 listopada 1940 roku, czwartek. Rocznicą „Wielkiej Rewolucji Październikowej”. Myślałem, że będą dziś u nas młócić i to właściwie było powodem mego przyjazdu do Leśnik, ale gdzie tam. Takie „wielkie

święto”. Wszyscy robotnicy z tartaku z p. Urbanowiczem na czele poszli do Trok na defiladę, zaś Tatuś pojechał do Landwarowa. Pan Urbanowicz do Trok poszedł, ale już z nich nie wrócił, został bowiem tam aresztowany przy NKWD. Opowiadał o tym p. Lewin. Dziś cały wieczór upłynął pod wrażeniem tego. Oto dwa pytania: wypuszczą go, czy też nie wypuszczą?

Dnia 8 listopada 1940 roku, piątek. Rano pojechałem do p. Urbanowiczowej. Jednak nie zastałem jej w domu, gdyż poszła do Trok dowiedzieć się o mężu. Z Żukiszek pojechałem do Trok, do sklepu. Ale nic nie dostałem, bo sklepy dziś zamknięte. Zaraz więc wróciłem i zacząłem palić łaźnię. Paliłem aż do obiadu, a o 3¹⁷ z pożyczonym od Zenka biletem pojechałem do Wilna po akumulator. Ale po prawdzie to tylko według rozkładu o 3¹⁷, bo litewskie pociągu chodzą bardzo punktualnie i przyszedł tylko z 45-minutowym opóźnieniem. Ja już nawet chciałem zostać, ale mnie p. Lewin, który jechał także do Wilna, namówił. Z Wilna pociąg miał odejść o piątej. Myślałem więc, że już nie zdążę, bo do Wilna przyjechałem o 5⁰⁵. Ale zdążyłem, bo tamten odszedł o 5²⁵. Idealna punktualność. Wieczorem poszliśmy do łaźni. Był stryj J. Dubiński, a potem Sławek przywiózł jego żonę²⁰⁵ i dzieci z Trok²⁰⁶. W tym czasie, gdy ja byłem w Wilnie, przychodziła do nas p. Urbanowiczowa. Więc p. Urbanowicz w Trokach siedzi. Siedzi za to, że jest prawdziwym Polakiem. O tej jego prawdziwości świadczą dwa niezbite fakty. Jeden z nich miał miejsce jeszcze w zimie, gdy w Bobrowce był jeszcze leśniczy Sieniunas. Mianowicie p. Urbanowicz pracował jeszcze w „kancelarii” swego byłego leśnictwa. (Nazywało się, że kancelarii, bo właściwie robił wszystką robotę za siebie i za Sieniunasa.) Wkrótce jednak przyszło zawiadomienie o zwolnieniu p. Urbanowicza. Wówczas Sieniunas, jako gorący patriota litewski, pragnąc powiększyć ilość obywateli Litwinów, namawiał p. Urbanowicza do tego, aby ten podał się za Litwina, a wtedy otrzyma posadę itd., itd. Pan Urbanowicz wyśmiał go, mówiąc, że z takiego papierowego Litwina nie będzie miała żadnej korzyści ani Litwa, ani on. No i został zwolniony. Ale został Polakiem, a nie Litwinem i poszedł korować papierówkę. Szczęściem dla niego postawiono w Leśnikach tartak. Następnie drugi fakt. Zaraz gdy przyszli bolszewicy, poczęli go ciągać na badania i chcieli zeń zrobić donoszczyka, który by im donosił o byłych polskich oficerach, policjantach itp. W przeciwnym razie zagrożono aresztowaniem. Prawdziwy Polak nie mógł

²⁰⁵ Kamila z Pilekich Dubińska (1905–1990), córka Szymona, ciotka autora.

²⁰⁶ Dubińscy: Biana (1929–1956), Zofia (ur. 1931), później po mężu Robaczewska, Emilia (ur. 1933), później po mężu Nowicka, Michał (ur. 1935), Alina (ur. 1937), później po mężu Ławryniewicz, Julian (ur. 1939).

wydawać swych współziomków (może o takich nic i nie wiedział). Toteż dnia 7 XI 40 r. p. Zygmunt Urbanowicz, były leśniczy w Bobrowce poszedł do Trok i z nich więcej nie wrócił. Zostawił w Żukiskach żonę i córkę, ale zostawił ich ze spokojnym sumieniem, że ojciec i mąż nie zdradził. Biedna p. Urbanowiczowa. Piętnaście miesięcy temu córka, teraz mąż.

Dnia 9 listopada 1940 roku, sobota. Przychodził rano Zenek w sprawie przeniesienia, gdyż chcą oni przenieść się do baraku, bo im bardzo niewygodnie mieszkać 5 km od przystanku. Ale obecny nadleśniczy nie zezwolił na to i kazał składać podanie. O dziesiątej przyjechał z Wilna p. Lewin i z Landwarowa p. Bolsziowa z Nuną. Stefa chodziła do Żukiszek. Pani Urbanowiczowa już poszła do Trok. Zaś po południu o godzinie piątej chodziłem do niej ja ze Sławkiem. I nie znaleźliśmy jej, gdyż jeszcze nie wróciła. Wracając, poszliśmy na Bobrowkę, myśląc, że może po drodze spotkamy się, ale gdzie tam! W nocy dziś wypadł śnieg i leży przez cały dzień. Jest mróz. Był u nas p. Stawiarski.

Dnia 10 listopada 1940 roku, niedziela. Ponieważ na czwartek i piątek przypadało święto, dzień odpoczynku z niedzieli przeniesiono na sobotę, aby były trzy dni pod rząd wolne. Natomiast dzień pracy z soboty przeniesiono na niedzielę. Dziś więc trzeba pracować. Pojechałem do budy. Chciałem zostać w domu na młócenie, ale Tatuś odradził. Do Wilna zjechałem bez biletu, bo nie było go gdzie kupić, gdyż kasjerka nie przyszła. W budzie nauka normalnie, nieobecnych tylko kilku, tak jak codziennie. Z Onuszyшек miał przyjechać dziś komisarz i zabrać od p. Urbanowicza kluczy oraz rozdzielić jego pracę na pozostałą administrację tartaku.

Dnia 11 listopada 1940 roku, poniedziałek. Dzień 11 listopada jeszcze dwa lata temu był obchodzony z wielką pompą, defiladami itd. W zeszłym roku nauki nie było. W tym zaś roku jest nauka i w ogóle nie odczuwa się wrażenia, że był ten dzień kiedyś dniem święta. Dzień 11 listopada został, niestety, przesunięty na 7-go. Gdyby tak wiedzieć na pewno, czy kiedyś w przyszłości będą defilowały oddziały w dniu 11 XI i jeszcze jakimś, będącym rocznicą równą tej z jedenastego, z tą tylko różnicą, że jedenastego był obchodzony po raz pierwszy w 1918 r., a ten — jeszcze nie wiadomo, kiedy: w 42, 41 czy w 43 roku. I najważniejsze — czy w ogóle będzie. I ważne — jeżeli będzie, to gdzie? Czy dożyjemy go?

Dnia 13 listopada 1940 roku, środa. Wuj Rafał pojechał do Leśnik i powiózł dla Sławka jego marynarkę. Wuj dziś wrócił. Pan Urbanowicz siedzi, żona z nim widuje się.

Dnia 14 listopada 1940 roku, czwartek. Sławek przyjechał z Leśnik. Teraz z braku jednego członka administracji, tzn. p. Urbanowicza, podzielili jego funkcję na pozostałych trzech. Sławek więc często przyjeżdża do Wilna „w sprawach służbowych”. Opowiadał on, że w niedzielę Tatuś dał po główce Pietruszkiewiczowi. Było to w ten sposób. W niedzielę Tatuś z Mamą pojechali po jakichś tam sprawach do Trok. W dniu tym wszyscy gajowi mieli w Trokach sądy z ludnością o błacone drzewo. Tam też Tatuś spotkał się z nimi. Gajowi koniecznie chcieli z Tatusiem wypić. Więc u brata leśniczego Uściłły zebrali się wszyscy i zdrowo pociągnęli. Wreszcie po trzecim litrze Pietruszkiewicz począł gadać o tym, że jego „niewinnego, spokojnego” człowieka Tatuś wygryzł z Leśnik do Rykąt itp. Po tych 3 butelkach zapomniał „o pewnej drobnostce, małej przysłudze”, którą wykazał²⁰⁷ Tatusiowi, pisząc do nadleśnictwa donos i plotkując po całej okolicy o leśniczym — pozostałościach po Polakach, który mu tytoń w zimie ukradł, itp. bajery. Nie dziw, bo zdaje się, że pod wpływem alkoholu człowiek staje się skromnym. Tatuś więc chcąc mu o tej „przysłudze” przypomnieć, zajechał ręką na główkę czcigodnego, spokojnego Litwineczka. A ten na ziemię. (Mimo, że za małą przysługę zazwyczaj mało płaci się.) Jednak podniósł się, więc Tatuś podwyższył zapłatę. Biedak! Wszystko, co do mieszkania Uściłły przyniósł na butach, musiał wynosić na ubraniu. Jak to fortuna kołem się toczy! Wreszcie Tatuś wyszedł pakować się na wóz. Zaś Kułakow zaczął znosić paczki na wóz. Gdy wszedł do mieszkania, a w tym czasie Pietruszkiewicz podniósł się z ziemi i myśląc, że Kułakow to Tatuś, zaczął się do niego suwać. A że u niego ręka jest trochę większa niż u Tatusia, więc już po tym Pietruszkiewicz, przypomniawszy o swojej przysłudze względem leśniczego, pozbył się zamiarów agresywnych i wyszło mu to na korzyść, zaś Uściłły na niekorzyść, bo musiał zamiatać podłogę, tak zaś nie potrzebowałby.

Dnia 16 listopada 1940 roku, sobota. W mieście funkcja doglądania porządku została oddana nowej milicji mundurowej. Chodzą po ulicach całkiem nieuzbrojeni, nie tak jak władza wykonawcza „za czasów smetonowskiego reżimu”, a i oczywiście bez „bananów”²⁰⁸. Stuprocentowy kontrast. Bo o ile tamtych, uzbrojonych od stóp do głowy (mieli bowiem na wysokich czapach jeszcze sterzącą przyczepkę z — pancernej — blachy, której wierzch znajdował się chyba 240 cm od chodnika), padło kilkunastu, to z tych, całkiem nieuzbrojonych, na pewno wszyscy doczekają chwili, w której będą musieli swój ubiór ściągać. Winna temu kontrastowi była guma²⁰⁹.

²⁰⁷ Wykazać — tu: oddać.

²⁰⁸ Banan — policyjna pałka gumowa.

²⁰⁹ Chodzi o brak uzbrojenia w gumowe pałki.

Dnia 23 listopada 1940 roku, sobota. Po lekcjach wróciłem na obiad i potem wyruszyłem do miasta sprzedawać znaczki pocztowe. Byłem w dwu sklepach. W jednym chciałem 3 lity, to dawał 2, zaś w drugim 5 litów., to dał 3,5. Gdy wróciłem, zastałem już Sławka i Maniusia. Dziś jest dwudziesta rocznica ślubu cioci Nataszy z wujem Rafałem. Wieczorem chodziliśmy do Nowickich. Ale nic tam nie było. Myśleliśmy, że będzie tanculka²¹⁰. Posiedzieliśmy więc trochę i wróciliśmy do domu. Maniuka boli noga, bo jest skaleczona. Pan Urbanowicz już prawdopodobnie został z Trok wywieziony do Wilna. Albo i dalej.

Dnia 24 listopada 1940 roku, niedziela. Od rana piłowaliśmy na zmianę drzewo. Połowa została popiłowana w zeszłą niedzielę, a dziś dokończyliśmy resztę. Po obiedzie poszliśmy do Julusia. Graliśmy tam w oczko. Przegrałem coś koło lita. Misza też. Ale za to Maniuk wygrał. Ja nie mam do kart szczęścia.

Dnia 30 listopada 1940 roku, sobota. Już od zeszłej niedzieli, tzn. od 24-go wprowadzono obok lita litewskiego ruble Związku Sowieckiego. A dziś puścili bajer, że od jutra lity w ogóle nie będą chodziły. Toteż dziś w całym mieście kolejki do sklepów, szczególnie do „maistasów”²¹¹. Do-tychczas Litwini jeszcze się rzucali ze swoją „*Musu Lietuvą*”²¹², ale teraz pewno i oni osiadą. Jadę dziś do domu. Pociąg odszedł dziś z idealną punktualnością, gdyż tylko z 5-minutowym opóźnieniem. Zazwyczaj bowiem dochodzi ono do 30 minut. O litewsko-sowiecką punktualności! Dużo można o tobie powiedzieć. W domu Rodziców nie zastałem, gdyż Ci pojechali do nadleśnictwa na pożegnanie jakiegoś tam „letuwasą”. Chodziłem do łaźni, co mnie się dobrze opłaciło, gdyż takowa w Wilnie kosztuje chyba z 1,5 lita. Pana Lewina nie ma. Jest tylko p. Kalecki²¹³.

1 grudnia 1940 roku, niedziela. Mama z Tatusiem wrócili o piątej rano. Jak raz wówczas nie spałem. Pierwszym pytaniem Mamy było, czy ja przyjechałem. Potem, ponieważ dziś mróz i Mama trochę zmarzła, przysła do stołowego, gdzie spałem, pogrzać się przy piecu. Odchodząc podeszła do mnie i mówiąc słowa pozornie nic nie mówiące, bo tylko „Oj, ty mój...”, pocałowała. Jednak z tych trzech zrozumiałem wszystko, co miały one wypowiedzieć. Kochani rodzice, czym się wam odpłacę? Na razie uczyć się, uczyć się i jeszcze raz uczeniem popędzać. Okazuje się, że pan Urbanowicz został już wywieziony. Została w Żukiskach żona i jedna córka, zaś niedaleko Trok,

²¹⁰ Tanculka — potańcówka.

²¹¹ Maistasy — sklepy mięsno-spożywcze, z lit.: *maisto* — spożywczy.

²¹² *Mūsų Lietuva* (lit.) — nasza Litwa.

²¹³ Pracownik tartaku.

przy drodze, którą on jechał z Trok ostatni raz, córka druga, którą Bóg po to chyba zabrał z tego padolu łoż, aby nie oglądała tej rozdartej ojczyzny, a potem rodziny. [...] Dałby Bóg, aby ta jego podróż z Trok nie była ostatnią, ale tak mi się zdaje, że ja już więcej p. Zygmunta Urbanowicza nie ujrzę (oby tak się nie stało!). Trzy tygodnie temu, gdy wychodził on od nas do Trok na defiladę, wyszedłem na ganek i gdy rzuciłem na niego wzrokiem, coś jakby mi szepnęło, że widzę go po raz ostatni. Tatuś po południu jeździł do Żukiszek zapytać p. Urbanowiczową, czy czego nie potrzebuje, lecz niestety nie zastał jej, bo była w Wilnie. Wieczorem przyszła do nas ciocia Zina²¹⁴, która ma coś szyć. Słuchaliśmy radia z Londynu. W komunikatach podano, że Grecja zdrowo bije Włochów. Potem zaś, jak co niedzielę, przemawiał jakiś ksiądz. Otóż tych wszystkich męczenników-Polaków porównał on z tymi, których Sienkiewicz opisał w powieści „Quo vadis”: „Tak jak tamci oddawani lwom na pożarcie za czasów Nerona, tak i ci męczennicy z czasów Hitlera oczekują Zmartwychwstania!” Czego to łatwo można się domyślić, bo ani Neron, ani Hitler nie są nieśmiertelnymi. Tym to może uczuciem kierował się ów z Żukiszek. Bo gdyby nawet zmartwychwstająca Ojczyzna wybaczyła mu jego ewentualny uczynek, to on sam nie wybaczyłby tego sobie. Dlatego wyjechał...

Dnia 2 grudnia 1940 roku, poniedziałek. Jadę do Wilna, zostawiając znowu na miesiąc Tych kochających i kochanych.

Dnia 5 grudnia 1940 roku, czwartek. Do budy nie trzeba, bo dziś jest „święto ogłoszenia konstytucji stalinowskiej”. Wczoraj z tego powodu musiałem przez dwie godziny drzeć swe struny głosowe, gdyż (śmiech powiedzieć) zapisał mnie zeks do chóru i to na „basy”. W Wilnie jest od wczoraj do jutra Sławek. On to teraz całymi dniami rozjeżdża. Na dworze znowu ciepło, mimo że już przecie grudzień. Ale za to deszcz, co dla mnie niezbyt na rękę, bo trochę buczki przemakają od gwoździ. Ale oni to już zasłużone, bo od polskich czasów jeszcze nie zelowane.

Dnia 6 grudnia 1940 roku, piątek. Tala dostała stypendium 180 rubli, co równałoby się 18, jeżeli nie mniej, złotym. Bo płaszcz 800 lub 1000 rb., materiał (kiedyś 6 zł) — 60–70 rb., zelówki (kiedyś 2,5 zł) — 30 rb. Ot, gdzie „raj na ziemi”. I co dla mnie sprawia istną biedę, w ogóle nie ma gwoździ ani podkówek.

Dnia 8 grudnia 1940 roku, niedziela. Tala wczoraj pojechała do Leśnik i dziś wróciła, zaś wuj Rafał dziś pojechał do Trok w poszukiwaniu pracy. W Wilnie nie dają. Tymczasem w nocy wypadł śnieg, a mrozu nie ma, więc błoto.

²¹⁴ Zinaida Firkowicz (1912–1988), córka Bogusława, ciotka autora.

Dnia 10 grudnia 1940 roku, wtorek. Wuj wrócił z Trok. Pracy nie ma. Natomiast przywiózł mi „zarządzenie”, abym jechał na niedzielę do domu. Ja z przyjemnością skorzystam.

Dnia 14 grudnia 1940 roku, sobota. Zgodnie z zarządzeniem jadę dziś do domu. Już są mrozy i śnieg. Ale w Wilnie gołe ulice.

Dnia 15 grudnia 1940 roku, niedziela. Już jest jaka taka sanna. Ja przyjechałem do domu dlatego, że mają mnie szyć kozuch. Krawiec ze Strakiszek ma przyjść jutro. Londyn po prostu triumfuje. Anglicy pobili na łeb na szyję Włochów w Egipcie. W ogóle teraz komunikaty z Londynu aż błyszczą od nadziei w przyszłość. „Dziś Wyspy Brytyjskie to nie tylko twierdza mogąca odeprzeć ataki wroga, ale to już twierdza mogąca je zadawać”. Włosi zaś dostają. I to od Grecji. Z samego początku wojny na Półw. Bałkańskim Włosi wtargnęli do Grecji, zajmując spory szmat kraju. Teraz już są wyparci z Grecji, a walki toczą się na terytorium Albanii, gdzie na makaroniarzy spadają raz po raz ciosy. Mussolini pokazał, co umie. Niedługo, gdy Hitler zajmował Austrię, wysłał do niego depeszę: „Ja panu tego nigdy nie zapomnę”, bo Mussolini nie stawiał mu trudności w zajmowaniu. Teraz można oczekiwać depeszy Hitlera do Mussoliniego: „Ja panu tego nigdy nie daruję”.

Dnia 16 grudnia 1940 roku, poniedziałek. Krawcy (bo jest ich dwóch) przyjechali i już szyją. Jutro rano jadę znów do Wilna.

Dnia 18 grudnia 1940 roku, środa. Wieczorem siedziałem w stołowym na Zwierzyńcu i robiłem lekcje. Wtem otwierają się drzwi i wchodzi jakiś jegomość. Z początku nie poznałem, kto to. Lecz w chwilę później widzę przed sobą wuja Garę²¹⁵ z Oszmiany. Okazuje się, że on dostał przepustkę i przyjechał do Wilna „zwiedzić sklepy”. Bowiem u nich po prostu nic nie ma. Dotychczas jeszcze ciągnęli polskimi zapasami, lecz i te w końcu muszą się skończyć.

Dnia 19 grudnia 1940 roku, czwartek. Wuj Rafał jedzie do Trok, ja idę do budy, a wuj Gara mobilizuje cały dom i wyrusza do ataku na „pozycje burżuazji” w postaci sklepów prywatnych i na „pozycje sowieckie” w postaci „Rut”²¹⁶ i „Maistasów”. Kontrrewolucjonista! Po powrocie ze szkoły przekonałem się z wyglądu pokoju, pod którego ścianami stały paczki i paczuszki różnego kalibru, że wuj jest pierwszorzędnym strategiem, zaś od dziennikarza w postaci Miszki dowiedziałem się, że atak na „pozycje burżuazji” dał najlepsze skutki. Jakoż wieczorem wszystkie po-

²¹⁵ Gabriel Robaczewski (1901–1987), syn Elisieja.

²¹⁶ Ruta — sieć sklepów ogólnospożywczych.

ciski zostały załadowane do worka-kolubryny, który miał odbyć drogę do Oszmiany. „Kontrewolucjonista” chciał jechać pociągiem, ale mu się to nie udało, wyruszył więc wieczorem do miasta wraz z swą armatą, skąd miał wozem przebierać się do domu. Wuj Rafał wrócił z Trok bez żadnego skutku. Chodziłem do szwagra p. Lewina z Tali zegarkiem.

Dnia 21 grudnia 1940 roku, sobota. Nareszcie jedno półrocze, co prawda krótsze od drugiego, już odwalone. Manius też już został odpuszczony na wakacje, które tak jak i u nas mają trwać do 6 stycznia. Ja zbieram się i jadę do domu. Tala jeszcze zostaje w Wilnie, aż do wtorku. U nas w Leśnikach jeszcze tartak nie idzie i nie wiadomo, kiedy pójdzie. Tymczasem u nas mieszka jakiś brakarz²¹⁷. Wuj Gara miał z Oszmiany telefonować do nas, ale nas nie było.

Dnia 22 grudnia 1940 roku, niedziela. Tatusz poszedł do Trok i wrócił razem z Zarkiem Firkowiczem²¹⁸. Bowiemy kroimy dziś byka na mięso. Rżnięcie i oprawianie ciągnęło się aż do wieczora.

Dnia 23 grudnia 1940 roku, poniedziałek. Poszedłem rano do p. Urbanowiczowej z rybą. Przy sposobności połączyłem baterie do radia. Teraz mieszka u niej była nauczycielka, p. Arciszewska. Przeniosła się ona do p. Urbanowiczowej, aby tej nie była taką straszną samotność. Pani Urbanowiczowa jeździła do Wilna onegdaj i chciała coś nie coś dać mężowi. Tymczasem stała przez 9 godzin w kolejce i nie zrobiła nic, bo ostatecznie przestali urzędować i przyjmować. Po powrocie do Żukiszek zacząłem z Zenkiem palić łąnię, którą zdrowo napaliliśmy. Tartak ciągle stoi.

Dnia 24 grudnia 1940 roku, wtorek. Wigilia Bożego Narodzenia. Dzień radości i jeszcze głębszego smutku niż na przykład w zeszłym roku, nie mówiąc już o wcześniejszych. Bo w niejednej rodzinie (np. w jednej z Żukiszek) dzisiejszy opłatek został skropiony łzami. Nie szczęścia, jak to bywało niegdyś, lecz smutku, jak to jest teraz. Chodziłem ze Sławkiem aż pod Strakiszkę, odprowadzając Stefkę, która poszła na wigilię do domu. Kostek²¹⁹ też.

Dnia 25 grudnia 1940 roku, środa. Pierwszy dzień Świąt. Mama z Tatusiem pod wieczór chodziła do p. Urbanowiczowej. Jakiś człowiek wrócił niedawno z Łukiszek i opowiadał, że podobno siedział z p. Urbanowiczem. Pani Urbanowiczowa więc miała iść do niego po wiadomości. Hej! Gdzież wy, o lata minione!! Gdzie te wieczory, gdy co roku jeździliśmy do Bob-

²¹⁷ Brakarz — pracownik zajmujący się klasyfikacją jakościową i wymiarową surowca drzewnego.

²¹⁸ Zarach (Zenon) Firkowicz (1906–1958), syn Salomona, „Zarka”. Posiadał uprawnienia do karamskiego uboju rytualnego.

²¹⁹ Osoba niezidentyfikowana.

rówki do państwa Urbanowiczów „na choinkę”, gdy potem sankami wracaliśmy drogą, po której obu bokach rosła świerki, pokryte w zimie białą pokrywą śniegu. Jeno wspomnienia po tych latach szczęśliwych i beztro-
skich pozostały. Wspomnienia coraz bardziej zaciemniające się.

Dnia 28 grudnia 1940 roku, sobota. Jeździłem do Wilna z akumulato-
rem. Z powrotem jadąc kupiłem bilet do Trok (bo zawsze jadę albo w ogóle
bez biletu, albo z biletem do Trok). Przejechawszy Troki chciałem przejść
w drugi koniec wagonu i przechodząc spotkałem konduktora. Nie chciałem
mu pokazywać tego biletu, wyciągnąłem więc stary miesięczny. Ale on
skombinował i pociągnął mnie do starszejszego. Na szczęście w tym czasie
dojechaliśmy do Leśnik. Wyrwałem się i najechałem²²⁰. Popadłem²²¹ jak
raz na dziennik londyński (bo zamiast akumulatora postawiłem baterie od
telefonu). Mówił o niejakiem Niesiołowskim²²², czynnym obrońcy War-
szawy, którego Niemcy rozstrzelali. Idąc na śmierć, został zapytany, czego
pragnie przed śmiercią. Odparł im: „Od was niczego. Zbliża się czas, gdy
wszystkie mogiły, którymi pokryły się pola i lasy Rzeczypospolitej we
wrześniu ubiegłego roku, zostaną krwawo pomszczone. A zemsta ta już
niedaleko” — oto słowa, które przyleciały na falach eteru z tonącego we
mgłach Londynu do pokrytych śniegiem świerkowych lasów leśnickich.

Dnia 29 grudnia 1940 roku, niedziela. Dziś jest praca, bo niedziela
została przeniesiona na środę, na Nowy Rok. Tatuś dał mi trochę roboty,
mianowicie przepisywanie numerów. Ile za to będę miał, nie wiem. Mama
była dziś w Trokach. Okazuje się, że Miszka z Maniukiem chodzą w Wilnie
na robotę i dostają po 7 rb. dziennie. Tylko ja, gdy chciałem iść na robotę
w tartaku, usłyszałem, że to nie wypada, że jak to będzie i na tem skoń-
czyło się. Tak jak i w lecie.

Dnia 31 grudnia 1940 roku, wtorek. Od czasu, gdy przenieśliśmy się
z Koźliszek pod Wilno, co roku spotykano u nas Nowy Rok. Było więc
tak, gdy byliśmy w Landwarowie, potem w Raczkunach, aż wreszcie
w Leśnikach. Najhuczniej i najweselej było chyba dwa lata temu w Leśni-
kach. Nic dziwnego: można było się wówczas weselić, bo było przecież
wszystko w porządku. Byli wtenczas goście z Wilna, Landwarowa, no
i z Bobrówki. W zeszłym roku już nie było tak samo, dziś zaś w ogóle nic
nie ma. Przyjechał z Wilna Maniuk i pojechał ze Sławkiem do Trok.
W domu został tylko p. Kalecki i jeden brakarz, który teraz u nas mieszka.

²²⁰ Najechać — tu: uciec (gwara uczniowska).

²²¹ Popaść — z ros.: trafić.

²²² Postać niezidentyfikowana.

Tala też w Trokach. Oni robią tam spotkanie Nowego Roku. Ja wolę zostać w domu. Pierw myśleliśmy, że będzie może mowa Raczkiewicza, ale nic nie było prócz pozdrowień i życzeń noworocznych Sikorskiego, wygłoszonych przez spikera. A więc Nowy Rok spotykałem „w łóżku”. Żegnamy stary i mamy do niego żal, że nie uczynił zadość naszym życzeniom z zeszłego roku. Przesuwamy więc je na nowy. Może on będzie trochę więcej wyrozumiały.

1941

Dnia 1 stycznia 1941 roku, środa. O roku tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy!!! Mamy nadzieję, że naszych życzeń nie puścisz mimo uszu. Oby nie było tak! Z Trok wrócili samym wieczorem. Maniuk już w Wilnie. Mama z Tatusiem zostali zaproszeni do Mataczynów. Pojechali więc (bo przyjeżdżał Grygielun²²³ z koniem Tomaszewicza) i wrócili w nocy. Pan Lewin też przyjechał.

Dnia 2 stycznia 1941 roku, czwartek. (Jeszcze nie odzwyczaiłem się pisać zamiast 41 – 40). Po obiedzie poszedłem do Żukiszek pod pretekstem odniesienia woltomierza. Jednak niczego nie dowiedziałem się, bo p. Urbanowiczowa w Trokach. Tylko tyle, że do Trok wróciło kilka osób zabranych jeszcze w lecie. A więc badania²²⁴ trwały tak długo. Hej! Nie traćmy jeszcze nadziei! Oby moje przeczucia z 7 XI stały się płonne.

Dnia 3 stycznia 1941 roku, piątek. Mama będąc 1-go u Mataczynów umówiła się, że dziś pojedzie z Tomaszewiczem i Grygielunasem do Kowna. Bo podobno tam wszystko taniej niż w Wilnie (nie dziw, bo stąd pompują kontrrewolucjoniści z Białorusi). No i dziś wszyscy troje pojechali do ataku na pozycje litewskie w Kaunasie²²⁵.

Dnia 4 stycznia 1941 roku, sobota. O dziesiątej przyjechała Mama. Nocowała ona w Landwarowie. Przywiozła różne rzeczy i to rzeczywiście po cenach tańszych niż było tu. (Chyba, że teraz i w Wilnie potaniało.) A na dworze mróz znowu rozpanoszył się. Zima ta staje się podobna do zeszłorocznej. Teraz dochodzi już do trzydziestu stopni.

Dnia 5 stycznia 1941 roku, niedziela. Ferie zimowe skończone. Zbieram się dziś i jadę do Wilna. Razem jedzie także Sławek. Pociąg dziś chciał chyba zająć przynajmniej drugie miejsce w spóźnianiu, ale to mu nie udało się, bo doszedł tylko do 40 minut. I musi biedny zostać na trzecim czy nawet na czwartym miejscu. W Wilnie są zmiany w mieszkaniu. Mianowicie

²²³ Gajowy litewski.

²²⁴ Badania — tu: przesłuchania.

²²⁵ Kaunas — lit.: Kowno.

mieszkanie jest na tyle zimne (ściany z piłowin), że mimo palenia pieców dwa razy na dzień, jest bardzo zimno, zwłaszcza że ostatnimi dniami mróz dochodził do 35°. Z tego powodu Miszka i ja sypiamy razem z dziadem²²⁶, a Tala na miejscu wuja, który obecnie jest w Trokach. Pod wieczór przyszła p. Urbanowiczowa. Przyjechała ona do Wilna, chcąc dać coś niecoś mężowi. Ale mimo że miała z trockiego NKWD zezwolenie na danie niektórych rzeczy, to przyjęli tylko prześcieradło, zaś małej torebki na tytoń i jaśka nie wzięli. Pani Urbanowiczowa przyszła dziś na Zwierzyniec nocować. Przez cały wieczór Gabrys dawał koncert śpiewacki. Tak jak w zeszłym roku. Wspominając te czasy, Gapcio przypomniał, że była tam jakaś starsza dziewczynka. Pani Urbanowiczowa zamyśliwszy się chwilę, odparła potrząsając głową: „Nie, moje dziecko, już wówczas tej starszej nie było”.

Dnia 6 stycznia 1941 roku, poniedziałek. Idę już na dziewiątą do szkoły. Maniś zaś wyrusza rano na szukanie pracy, bo stamtąd, gdzie pracował w czasie ferii, wywalili go. Jednak nigdzie jej nie znalazł. Przyjechała dziś Tala. Oznajmiła, że Tatuś przysłał mnie 10 rubli jako wynagrodzenie za przepisywanie. 5 rubli dał już mi przedtem. Ja jednak tego czerwonce nie przyjąłem. Powodów jest kilka. Mianowicie w piątek wieczorem Tatuś poczuł, że ode mnie niesie papierosami. Zaraz więc potem powiedział w kancelarii przy Sławku i Miszku Ławrynowiczu, że już nie będzie dawać mi forsy. Potwierdził to w niedzielę, gdy wyjeżdżałem do Wilna. (Usłyszałem urywek rozmowy z Mamą, gdy Tatuś powiedział, że lepiej te pieniądze odda na *kiensa*). Dziś więc mocno zdziwiłem się, dowiedziawszy się o tym czerwonce. Bo skoro był to mój zarobek, to przypuszczam, że łatwiej byłoby oddać mnie samemu, nie zaś przez posłańców, którzy przy tym wygłaszają szumne mowy, że to ostatnie pieniądze przeznaczone dla mnie itd. Tala niby to z tego bardzo ucieszyła się.

Dnia 10 stycznia 1941 roku, piątek. Jednak mimo poniedziałkowej radości, dziś Tala chciała ofiarować mi ten czerwonec i zrezygnować, jak sobie wyliczyła, z 12 ciastek. Ale niech go lepiej Tatuś odda na *kiensa* lub Tala trochę pożywi się. Mnie bowiem forsa niepotrzebna. Bowiem wczoraj skutecznie zamyśliłem jeszcze sprzed kilku tygodni i zapomniałem o sposobie zatruwania świata dymem tytoniowym, który pamiętałem od 2 sierpnia, a zwłaszcza w owe letnie ranki, gdy pasłem z Miszką krowy.

Dnia 12 stycznia 1941 roku, niedziela. Przyjechał z Trok wuj Rafał. Jak zawsze bez niczego. Bo wszędzie potrzebują rekomendacji kompartii²²⁷.

²²⁶ Abraham Szemoel Abkowicz (1857–1941), syn Ananiasza.

²²⁷ Kompartia — z ros., skrót od partia komunistyczna.

Wujowi obiecano już takową, ale dotychczas nie było posiedzenia kompartii z powodu wyborów (do czego, to ja sam dokładnie nie wiem, oprócz tego, że do Rad), które odbywają się właśnie dziś.

Dnia 14 stycznia 1941 roku, wtorek. Umarł nasz były profesor niemieckiego, p. Jastrzębski. Z tego powodu dziś niektóre klasy najechały z lekcji i poszły na pogrzeb. My jednak z samego rana na to nie odważyliśmy się, ale poszliśmy z piątej i szóstej lekcji, tylko nie na pogrzeb, ale do domu. Pani Urbanowiczowa będąc w Wilnie, oddała do ładowania swój akumulator. Gdy wuj Rafał był u nas w sobotę, jak raz przyszła p. Urbanowiczowa i prosiła, aby jej przysłać go. Chodziłem więc po obiedzie na Tatarską. Jednak już sami oni nie wydają akumulatorów, a trzeba iść z kwitem do autotrestu²²⁷ i tam dopiero dają zezwolenie na wydanie. Należy oczekiwać, że w najbliższej przyszłości w ogóle przestaną ładować. Z akumulatorem poszedłem na dworzec i oddałem go Marysi, aby dowiozła do Leśnik.

Dnia 15 stycznia 1941 roku, środa. Nasz wychowawca wyklada geografę. Przedmiot ten jest właśnie dziś. Spodziewaliśmy się, że cała lekcja przejdzie na gadaniu, jak to było już kilka razy, gdy nasz psor poczynął mówić na temat wychowawczy. Oczywiście rozmowa przy umiejętnym jej podtrzymywaniu toczyła się przez całe 45 minut. Dziś jednak nadzieje nasze zawiodły. Mianowicie zeks ograniczył się tylko do lakonicznej uwagi, aby tego na przyszłość nie robić i dając dowody swej wspaniałości przystąpił do lekcji. Jednak w tym roku nie uprawia się takiego bałaganu, jak to było w roku szkolnym ubiegłym.

Dnia 20 stycznia 1941 roku, poniedziałek. Popołudniowym pociągiem przyjechała Mama. Nareszcie wybrała się do Wilna „tak, bez interesów”. Ponieważ mieszkamy teraz tylko w dwóch pokojach, więc Mama poszła nocować do miasta. Zaś na noc podnosi się mróz. Wieczorem 25°.

Dnia 21 stycznia 1941 roku, wtorek. Do budy nie trzeba z powodu mrozu (−28°). Co prawda to dziś i tak nie ma sensu iść do budy, bo będą 3 lekcje, a potem akademie z powodu jutrzejszej rocznicy śmierci Lenina. Mama wszystkich już zwiedziwszy, przyszła wieczorem na Zwierzyniec. Mówiła, że Anglicy zdrowo kłują Włochów. Misza poszedł do szkoły, bo pod wieczór temperatura podniosła się. Poza tym wszyscy siedzieliśmy w domu. Raptem słyhać dzwonek. Schodzę otwierać drzwi, zaś zaraz za mną wyszedł wuj. Jakiś człek mówi, że przywieźli Maniusia do szpitala, bo podobno jest u niego coś ze ślepą kichą. Wuj siadł na sanie i pojechał razem do szpitala. Ciocię to uderzyło jak obuchem po głowie. Mama zaraz

²²⁸ Autotrest — radzieckie zjednoczenie samochodowe.

po tym poszła do miasta. Potem Misza przyszedł ze szkoły. Wuj przyszedł zaś po dziesiątej. Okazało się, że już po operacji. Bo gdy tylko przywieziono Maniusia do szpitala, położono go zaraz na stół. Zaraz po przyjeździe wuja zjawił się wuj Gara. Ja poszedłem do mamy powiadomić ją o stanie rzeczy. U Kobeckich już Mamy nie zastałem, więc poszedłem do RojECKICH²²⁹. Mama miała już nie przychodzić na Zwierzyniec i jutro rano jechać, jednak gdy dowiedziała się o przyjeździe wuja Gary, zdecydowała na powrót. Idąc zaszła do Kobeckich, aby poprosić o klucz, gdyż chciała tam nocować. Babcia Wiera²³⁰ przyszła także na Zwierzyniec. Ale wuj Gara tym razem przyjechał nie tak jak przedtem, tylko po to, aby zwiedzić sklepy, ale dostał urlop i chce starać się o otrzymanie tu pracy i potem sprowadzić całą rodzinę. Zeszłym razem, gdy wracał z Wilna do domu ze swym bagażem, został zahaczony na granicy, ale jakoś się wykręcił. Ostatecznie tak się zagadali, że nocować do Kobeckich poszliśmy ja z Miszkiem, a nie Mama. Jutro rano Mama z wujem jadą do nas.

Dnia 22 stycznia 1941 roku, środa. Wstaliśmy coś koło dziesiątej i po śniadaniu pomogliśmy Julukowi popiłować drzewo. Następnie, po uskutecznieniu małego interesu handlowego (Misza kupił gumę na obcasy, pochodzącą z garażów arbonowych²³¹ i znajdującą się u Jula za pośrednictwem Jurka, który tam pracuje, ja zaś ograniczyłem się do sznurówadeł skórzanych, pochodzących z wagonów), przyszliśmy na Zwierzyniec. Mróz opadł.

Dnia 23 stycznia 1941 roku, czwartek. Znowu do budy. Ale tam radosna nowina. Jutro idziemy na narty. Z tego powodu dziś chodziłem do Marka Kozyrowicza, aby pożyczyć narty. Ale nie znalazłem jego mieszkania, którego co prawda nie bardzo pilnie szukałem, bo pogoda jakaś niewyraźna, deszcz pada itd.

Dnia 24 stycznia 1941 roku, piątek. Wstając nie wiedziałem jeszcze, czy pójdę, czy też nie. Ostatecznie zdecydowałem się na to drugie, bo pada taki mokry śnieg. Wczoraj zeks mówił, że narty podobno można będzie dostać w schronisku. Ale gdyby to było pewne, to może opłaciłoby się ciągnąć się aż za Antokol. Ale jeśli tylko „podobno”, to chyba nie warto. Do tego mam ober zdrowy katar.

Dnia 25 stycznia 1941 roku, sobota. Dziś wcale nie żałuję, że wczoraj nie chodziłem. Bo malcy mówią, że śnieg lepił się, a na zeksa czekali do

²²⁹ Isaj Rojecki (1881–1954), syn Eliasza i Elżbieta ze Szpakowskich (1901–1982), „Liza Sza”.

²³⁰ Weronika ze Szpakowskich Kobecka (1885–1975), córka Alfonsa, „Wiera Alfonsowna”.

²³¹ Garaże arbonowe — warsztaty autobusowe.

dwunastej koło katedry (bo ten powiedział, że przyjdzie na dziesiątą — litewska punktualność, widać często jeździ pociągami, a te mają chyba jakieś specjalne patentowane promienie działające na pasażerów i nakazujące im postępować według zasady pociągów). Wieczorem przyjechał Sławek. Otrzymał on, zresztą jak i wszyscy malcy w jego wieku, powołanie. Na razie trzeba stawić się na badania, a najpóźniej za 9 miesięcy do wojska. Ot, czego doczekali się!!!

Dnia 26 stycznia 1941 roku, niedziela. Wuj ze Sławkiem chodzili do szpitala. Więc operacja mimo bardzo spóźnionej pory udała się. Bowiem ropa rozlała się już między kiszki i z tego powodu trzeba będzie Maniusiowi bardzo długo leżeć, bo za pomocą jakichś sączków ropę tę ściągają. Cóż! Tylko trocki Krasnych potrafił taką operację spartaczyć, choć tamta nie była tak straszna. Tala pojechała dziś do domu, bo ma znowu wakacje.

Dnia 28 stycznia 1941 roku, wtorek. Znowu mróz. Do budy nie idę. Ciocia z Gabrysiem poszli do szpitala. Wuj chodzi na Wilczą Łapę²³² na pracę fizyczną. Ja sam siedzę w domu. Misza przyniósł wczoraj niepotwierdzoną jeszcze wiadomość, że we Włoszech rewolucja, Mussolini najechał, północne Włochy zajęte przez Niemców, a południowe przez Anglików. Podobno wiadomość tę podawało radio londyńskie. Dziś o tym samym mówił Juluk. Oby takie wiadomości (jeszcze dwie), tylko potwierdzone, na kamieniu rodziły się — można w tym wypadku powiedzieć stylem Sienkiewicza. Wuj Gara pojechał do Oszmiany.

Dnia 2 lutego 1941 roku, niedziela. Wuj poszedł do Maniusia. Następnie poszedłem ja z Miszkiem. Ale tylu od razu nie wpuszczają. Ja więc poczekałem, aż wyszedł wuj i potem z jego kartką poszedłem. Maniusz zbłądł i wygląda już po dwóch tygodniach o wiele gorzej niż przedtem. Można spodziewać się, co będzie po sześciu. Leży w łóżku ciągle, prawie ciągle na plecach. Chodząc do szpitala i z powrotem, byliśmy tuż przy Łukiskim więzieniu. Ulica. Po jednej jej stronie normalny płot, za którym jest ogród, dom, pokoje, po drugiej zaś mur, na nim jeszcze szczelny płot czy ściana, nie wiem, jak to nazwać, z drzewa, której wierzch chyba z sześć metrów od ziemi. Na rogach tego „płotu” strażnicy w budkach. Za nim zaś widać budynki, a w nich korytarze, cele. W celach ludzie i bohaterzy. Taki jest powierzchowny wygląd Łukiszek. Co nie dojrzy oko, może wyobrazić mózg — „miesiącami w celi bez spaceru”.

²³² Wilcza Łapa — dzielnica Wilna przy wyjeździe w kierunku Trok.

Dnia 4 lutego 1941 roku, wtorek. Nasz zeks od matematyki, powszechnie znany pod imieniem Kowboja, ze wszystkich stopni najbardziej lubi dwóje. Niedawno w szóstej postawił ich szesnaście. Dziś odczuł tego skutki. Bowiem w czasie lekcji u nas wrzucił ktoś do klasy jakiś zapalony przedmiot, który wydawał bardzo nieprzyjemną woń (takie sztuki palili w zeszłym roku bardzo często). Zeks tak przestraszył się, że aż zapomniał wyskoczyć na korytarz łapać złoczyńcę, jak to zrobił onegdaj, gdy do nas wrzucili kosz na śmiecie. Zresztą i wtenczas bez skutku. Oznajmił nam tylko, że nie będzie miał u nas dodatkowych lekcji za nasze złe zachowanie (bo wszyscy zaczęli śmiać się). Wuj pojechał do Trok. Ciągłe w poszukiwaniu pracy. Ja zaś po powrocie z budy chodziłem do szpitala. Manius przy tej sposobności ogolił się. Doktor pozwolił mu już wstawać i trochę chodzić. Wuj wrócił wieczorem bez żadnego skutku.

Dnia 8 lutego 1941 roku, sobota. Jadę do Leśnik. Trzeba już zawitać tam po przeszło miesięcznej nieobecności. Pociąg odchodzi teraz nie o piątą, ale o szóstą. W Leśnikach jest o siódmą. Ale jednak znać już, że przybyło dnia. Kiedyś odchodził o piątą i było już całkiem ciemno, teraz zaś do Landwarowa można jeszcze czytać. Aby do wiosny!!! A co prawda to już się stęskniłem do słońca, ciepła, zieleni, do pędu rowerem. W Wilnie to dotychczas jeszcze nie wiadomo, czy te wiadomości z 28 I są prawdziwe, czy też nie. Dopiero w domu dowiedziałem się, że niestety, nie odpowiadają prawdzie. Ha! Trudno będziemy czekać dalej. Jeno że Włochów w Afryce biją, biją i jeszcze raz biją. Po prostu pędzą jak stado baranów. Fort pada za fortem, umocnienie za umocnieniem, twierdza po twierdzy. Kilometry jeden po drugim są przebywane przez zwycięskie oddziały angielskie. Jeńcy, karabiny, armaty, czołgi i wielbłądy przechodzą w ręce zwycięzców. Staje się faktem, że wojna nie może być pasmem zwycięstw jednej strony. Może nam jeszcze zajaśnieje słońce swobody. A jednak, gdy przyjedzie się do Leśnik, czuć od razu jakieś inne powietrze tak w dosłownym znaczeniu, jak i w przenośni. Widać, jaka to błogosławiona rzecz — praca. Tala obecnie dojeżdża do Wilna pociągiem, gdyż co dzień nie trzeba na wykłady.

Dnia 9 lutego 1941 roku, niedziela. Cały dzień przesiedziałem w domu. Jednak jak to niedziele, szybko przechodzą.

Dnia 10 lutego 1941 roku, poniedziałek. Znowu do Wilna. W pociągach tłok, że po prostu nie ma gdzie wepchać się. Dostałem od Zena²³³ zaproszenie na odwiedzanie go w bibliotece, w której czeka na pociąg.

²³³ Chodzi o Zenka Mataczyne.

Dnia 11 lutego 1941 roku, wtorek. Korzystając z wczorajszego zaproszenia po obiedzie chodziłem do gimnazjum Zygmunta Augusta. Znalazłem Zena w bibliotece. Przesiedziałem u niego z półtorej godziny.

Dnia 13 lutego 1941 roku, czwartek. Gdy wróciłem ze szkoły, zastałem w domu... Maniusia. Okazuje się, że go po prostu wyrzucili ze szpitala z powodu braku miejsca. Dziś na przykład robili 6 operacji. Maniusiowi trzeba będzie jeszcze chodzić na przewiązki²³⁴. Dzięki Bogu, że jeszcze dobrze z tego wszystkiego wyszedł. Bo już przecie ropiło się. Jednak, ile to znaczy doktor, a raczej dobry doktor, bo na przykład taki trocki Krasnych to nie doktor, jeno partacz.

Dnia 15 lutego 1941 roku, sobota. Dziś u nas w Leśnikach urządzają zabawę w baraku. Od chwili jego pobudowania jest to już druga zabawa. Pierwsza była 30 kwietnia 1939 r. Ale cele ich różnią się od siebie bardzo. Dochód z tamtej był przeznaczony na FON²³⁵ i POP²³⁶, a ten... Sam nie wiem, na co. Ma być otwarty czerwony kącik²³⁷. Na taką nie warto jechać. Poszedłem dziś do Zenka i wziąłem dwie książki.

Dnia 19 lutego 1941 roku, środa. Nowy bajer! Od dwóch lat chodziliśmy w szkole w butach i nic się nie działo, a teraz przemyśleli, aby chodzić w pantoflach. Od dziś trzeba było już z nimi się zjawić, a ponieważ nie wszyscy do tego przystosowali się, więc dziś pół szkoły poszło do domu. Do szatni dyżurnych nie puszczają, aby nie błacili ubrania czy butów, na których „niską cenę” nie można zresztą narzekać. A więc siedzą tam woźni, którzy teraz mają przynajmniej co robić. Na brak zajęcia nie może się przecież i dyrka uskarżać (przy drzwiach pilnuje) i pomagający mu inspektor.

Dnia 20 lutego 1941 roku, czwartek. Poszedłem do Zenka, jednak nie widziałem go, bo to wejście, przez które zwykle wchodziłem, zastałem zamknięte, a przez korytarz nie puścił mię woźny ze Skargi²³⁸.

Dnia 22 lutego 1941 roku, sobota. Miałem zamiar jechać dziś do domu. Ale wszystko mnie pomieszało jutrzejsze święto „czerwonej armii”. Mianowicie jutro trzeba iść na marsz ku czci tej ostatniej na 15 km. W budzie nam powiedzieli, że kto dziś pójdzie na narty i zdobędzie odznakę jakąś tam, temu jutro nie trzeba będzie ciągnąć się. Poszedłem i ja. W schronisku na Rowach Sapieżyńskich przesiedzieliśmy do czwartej (od pół do pierwszej), nim dali

²³⁴ Przewiązki — zmiana opatrunku.

²³⁵ Fundusz Obrony Narodowej.

²³⁶ Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej.

²³⁷ Czerwony kącik — kącik propagandowy.

²³⁸ Gimnazjum im. Piotra Skargi.

nam narty, które nawiasem mówiąc były całkiem namoknięte wodą i nie smarowane. Ponieważ dziś jest odwilż, więc śnieg do nich lepił się bardzo. Na 3 km było przeznaczone 22 min. Na przeszło 25 jadących przyjechało na czas 3. Ja jechałem 27 minut. Do domu wróciłem już za ciemnem. Dlatego nie mogłem pojechać do domu. Wuj miał dziś dowiedzieć się w sprawie pracy, którą miał dostać w kooperatywie. Ale ponieważ odprawiał rano *tie-finla*, poszedł tam po południu i... nic nie znalazł, bo miejsca już były zajęte. A był tak pewny, że dostanie. Gdy wracałem z malcami ze schroniska, napędzili²³⁹ nas żołnierze. Na przedzie orkiestra, potem Rosjanie, we środku Litwini i na końcu znowu Rosjanie. Szli z muzyką, chcąc pokazać fason, co im się nie bardzo udawało, bo Litwini ciągną się jak dziady kalwaryjskie. A jednak gdyby tak jakiś z Zachodu, z Anglii czy Francji, przybysz zobaczył, jak oni idą ze śpiewem i muzyką, to naprawdę chyba nie połapałby się, jaka tu jest obłuda i co pod tym płaszczykiem kryje się straszego po prostu.

Dnia 23 lutego 1941 roku, niedziela. Misza poszedł na marsz, ja jednak siedzę w domu. Dość się wczoraj nalatałem. Już od tygodnia przenieśliśmy się do stołowego spać. Bo nie jest już zimno i nawet w nie opalanym pokoju można wytrzymać. Na dworze już od pewnego czasu odwilż, a w mieście to w ogóle nie ma śniegu. Już połowę zimy odwaliliśmy. A tęskni się już do wiosny.

Dnia 27 lutego 1941 roku, czwartek. Manius jedzie do Trok poszukiwać pracy. Była tu p. Dubińska²⁴⁰ i powiada, że może jemu zrobić protekcję, bo stołuje jakichś urzędników w Trokach. Wuj chodził w poniedziałek i wtorek do zarządu tych spółdzielni. Zawsze z jednakowym skutkiem — czekać. Może po dziesiątym...

Dnia 1 marca 1941 roku, sobota. Jadę do Leśnik. Ale — nowy bajer! Znieśli bilety zniżkowe. Dotychczas płaciłem do Leśnik rubla, a teraz 2. Tala urządziła dziś w Wilnie swe imieniny. Napięła w domu różnych różności i ze Sławkiem powiozła do Wilna. A w Leśnikach znowu dziś (według p. Kaleckiego) przyjechał konno z Trok milicjant i zabrał ze sobą p. Żylińskiego, byłego polskiego policjanta z Landwarowa. Pan Kalecki wypłacił mu pieniądze (bo pracował na tartaku), zaś gdy zapytano milicjanta, czy trzeba wziąć jakieś rzeczy, ten odparł: „Nie, on prędko wróci”. Pan Żyliński napisał list ostatni raz na kawałku szarego papieru: „Dn. 1 III 1941 r. o godz. 14 pod eskortą udałem się do Trok”. Ona²⁴¹ zrozumie...

²³⁹ Napędzić — dogonić.

²⁴⁰ Beata z Łobanósów Dubińska (1870–1950), córka Józefa, żona Eliasza.

²⁴¹ Chodzi o żonę p. Urbanowicza.

Dnia 2 marca 1941 roku, niedziela. Odwilż w całej pełni. O ile w zeszłym roku koniec lutego i marca początek był zimny, o tyle w tym — ciepły. Przy radiu zerwała się antena. Łaziłem więc na dach ją zawieszać. Lecz gdy naciągnąłem, zerwała się ze słupa. Szczęściem można było związać. Następnie przywiązałem ją z kijem do komina. Pani Urbanowiczowa jest zdaje się chora. Mama chciała do niej pójść, ale zabrakło czasu, bo nie ma Stefki.

Dnia 3 marca 1941 roku, poniedziałek. Znowu do Wilna. Na Zwierzyniec przyszedłem po lekcjach. Wywoziłem z wujem śnieg, aby tając, nie zalewał składzika. Potem chciałem spuścić się do studni po wiadra, których jest tam trzy: jedno Poziemskiego i dwa nasze, utopione przeze mnie. (Jedne jeszcze w jesieni.) Polazłem tam po szczeblach, które są wmurowane w cembrowiny. Dla „bezpieczności” przywiązany łańcuchem. Ale ponieważ kilka szczebli w dole było wyłamanych, wróciłem więc bez niczego na górę. A mnie ober podobają się takie podróże. Spuszczasz się po ciemku.

Dnia 4 marca 1941 roku, wtorek. „Kaziuk”. Jednak nie taki całkiem jak bywał. Kiedyś cały plac Łukiski był po prostu zapchany ludźmi. A teraz powystawiali kioski aż tam, przy Wilii, gdzie kiedyś tylko resztki były. Wstydziło się widać stawiać ich na placu, bo by utonęli w jego ogromie. Zresztą tyle ich jest, co wystawił „Maistas”, „Pienocentras” itp. Piszczalek, zabawek, obwarzanek itp. ani śladu. Tylko błota to chyba więcej niż bywało. Bo już przecie ciepło, wiosna na nosie. Hurra!!! Wróciłem już do Wilna w kurtce. Kozuch niech czeka do następnej zimy. Dziś z powodu tego „Kaziuka” najechaliśmy z szóstej lekcji — litewskiego. Zeks potem robił oblavy po korytarzach i w szatni, i zahaczył kilku. Ale jakoś się wykręcili.

Dnia 5 marca 1941 roku, środa. Polazłem, a raczej pojechałem dziś znowu do studni. Bo dziś to było z trochę większą precyzją. Siadłem na koł²⁴² przywiązany do łańcucha i zjechałem aż na sam dół. Tam stanąłem na spuszczonej uprzednio drabinie i począłem łapać wilczkiem²⁴³ wiadra. Wyłowiłem wszystkie i wyciągnęli potem mnie z powrotem. Fajnie tam siedzieć na dnie. Z Trok przyjechał Maniuś. Jak zwykle bez niczego. Kazali czekać do 15-go. Może coś będzie. Ale ja wąpię.

Dnia 7 marca 1941 roku, piątek. Pierwszy raz po zimowej przerwie było dziś *tiefinta* w *kiensa*. Ale mimo, że na podwórzu ciepło, tam jeszcze zimnowato. Dziś nocuje w Wilnie Tala. Przyznano jej 200 rubli stypendium. Przedtem miała 100.

²⁴² Koł — tu: kołek, belka.

²⁴³ Wilczek — rodzaj haka, bosaka.

Dnia 8 marca 1941 roku, sobota. Po pięciu lekcjach jeszcze akademii. Żeby to jeszcze po trzech, to nie tak jeszcze strasznie było by siedzieć przez dwie godziny i słuchać, co oni tam bałboczą (dużo słów, mało sensu). Jeszcze część artystyczną to można słuchać, bo nawet nieźle wykonują. Fajnie śpiewał chór. Ja dotychczas (przez ten trymestr) nie chodziłem nań, ale trzeba będzie teraz zacząć to skuteczniać. A przez resztę akademii to można spać.

Dnia 10 marca 1941 roku, poniedziałek. Dziś są skutki najechania z litewskiego we wtorek. Ale do dzisiejszego dnia nie wspomniał o tym ani półsłówkiem. A gdy skończyła się piąta lekcja, to znaczy już po dzwonku, jak zaczął gadać jak nakręcony. Co prawda, nasza klasa miała u niego markę. A on dlatego: „Ja chciałem was poznać nie jako uczni, ale jako ludzi. Bo wy jesteście Polacy, a ja Litwin. I okazało się, że się przeliczyłem w sądzie o was. Wy może i jesteście dobrymi Polakami, ale zaufać wam nie można”. Taka była mniej więcej przemowa. Po lekcji, gdy wyszedł z klasy, malcy poszli go przeproszać. Mówi, że będziemy dalej dobrze ze sobą żyć. „Pierw trzeba pomyśleć, a potem zrobić”.

Dnia 11 marca 1941 roku, wtorek. Wieczorem zaczyna się *Purym*. Było w *kiensa tiefinla*. Ja czytałem²⁴⁴. Jednak już nie tak gorąco robiło się, jak to było na *Kippur*. Od wczoraj począłem chodzić na chór, czego w ciągu całego tego trymestru nie robiłem. Chór prowadzi obecnie nie ten Litwin, który był przed Bożym Narodzeniem, ale nasz polski jeszcze zeks, znany powszechnie pod przydomkiem „Balonik”, który (ten przydomek) uzyskał dzięki swemu nieprzeciętnemu brzuskowi i łysej jak kolano czaszce. Ale jednak fajnie uczy.

Dnia 13 marca 1941 roku, czwartek. Ciocia Natasza poszła nareszcie do doktora. Dotychczas, mimo ustawicznych bólów tego nie zrobiła, sam nie wiem, dlaczego. A dziś [lekarz] powiedział, że ma ciocia chorą wątrobę i dał jakieś lekarstwo. Ciocię w ogóle nie można było zaliczyć do ludzi najzdrowszych, teraz doszły do tego ciągle troski o byt materialny i w związku z tem cięższa praca. Bo dziś na przykład chodził wuj znowu do tych spółdzielni. Ciągle z jednakim skutkiem. Gabrys od kilku dni chodzi do nowo odkrytego²⁴⁵ przedszkola. Ten przynajmniej nie będzie siedział całymi dniami na dole u Poziemskich, z czego wielkich korzyści nie odnosił.

Dnia 14 marca 1941 roku, piątek. Maniuk wstał rano i pojechał do Trok, bowiem w tych dniach ma się wyjaśnić, co będzie z jego „posadą”. Kto jak kto, ale on jest najlepszych myśli, w przeciwieństwie na przykład

²⁴⁴ Chodzi o czytanie modlitwy podczas nabożeństwa.

²⁴⁵ Odkryte — z ros.: otwarte.

do mnie. Marzy już nawet, co za zarobione pieniądze kupi, niemalże już wybiera fason ubrania. Lecz, niestety, wszystkie te jego marzenia zostały dziś rozwiane przez jeden papierek czy raczej bibułkę, na której było wypisane, że nie jest on przyjęty. Niepotrzebnie więc pojechał do Trok. Ja chodziłem dziś do wileńskiej łaźni, gdzie spotkałem się z jakimś uchodźcą, który mi począł opowiadać różne historyjki ze swego prywatnego życia.

Dnia 15 marca 1941 roku, sobota. Maniusz przyjechał samochodem ciężarowym z Trok. Jedne szczęście, że nie traci jeszcze nadziei. W budzie powiedziała mi Marysia²⁴⁶ (bowiem uczę się z nią w tej samej budzie, nawet przy tym samym korytarzu), że Mama powiedziała, abym dziś przyjechał do domu. Ponieważ jest ładna pogoda, więc jadę o czwartej trockim pociągiem. W pociągu spotkałem się z trockimi chłopcami. Dojechałem z nimi do Starych Trok, a następnie przyszedłem do domu. Słońce świeci, śnieg topnieje, wiosna zbliża się. Na torze nie ma już w ogóle śniegu. Marzec jest w tym roku ciepły.

Dnia 16 marca 1941 roku, niedziela. Pani Urbanowiczowa mówiła, że słyszała, iż można uzyskać pozwolenie widzenia się z uwięzionymi w Wilnie. U Tatusia jest w kancelarii bardzo dużo roboty. Toteż Michał Ławrynowicz i jeszcze jakiś facet z Ołony²⁴⁷ pracowali przez cały dzień i wieczór, i potem zostali na kolację, przy której ów „facet” począł opowiadać, jak w lecie zeszłego roku urządził u siebie seanse spirytystyczne. A właściwie to nie on miał ten projekt, ale jego syn, który po prostu bawił się w to ze swymi rówieśnikami. Lecz potem okazało się, że ów spodeczek naprawdę pokazuje. I między innymi pokazał (nawet w kilku językach), że ów upragniony dzień nie jest jeszcze tak blisko, bowiem dopiero 11 VI 1943 r. Długo czekać, przeszło 2 lata. Niejeden nie przetrzyma.

Dnia 17 marca 1941 roku, poniedziałek. Wiosna pokazała swe oblicze i znowu uciekła. Bo rano w Wilnie było 15° mrozu. Czyżby na nowo miały nastać mrozy?

Dnia 18 marca 1941 roku, wtorek. Wuj pojechał do Trok na kiermasz po cielaka, bowiem oswobodziciele poczynają już pokazywać, co umieją. W jatkach mięso niby jest, ale dają kupującym nie według ich woli, lecz jak sami chcą. Dziś jest dzień paryskiej komuny. Dobra okazja do pokrzyżowania „niech żyje towarzysz Stalin!”. Dlatego wieczorem urządzono akademię i zarazem „uroczystość” przejścia naszej szkoły pod opiekę przez Wileńską Fabrykę Tytoniową. I rzeczywiście: na akademii każde przemó-

²⁴⁶ Maria Mataczyno, siostra Zenka.

²⁴⁷ Miejsowość 5 km od Leśnik.

wienie było zakończone wyżej wymienionym okrzykiem. Nie rozumiem, jak im to nie znudzi się. Gdy wracałem do domu wieczorem, ulice były już zasypane śniegiem, który w dalszym ciągu padał. A już by chciało się ujrzyć tę wiosnę pachnącą życiem i zielenią promienną, uśmiechniętą. A tu ciągle wiatr, śnieg, mróz. Jakby mało tego było w styczniu, lutym.

Dnia 20 marca 1941 roku, czwartek. Przyjechał z Trok, a raczej z Leśnik wuj Rafał z Mamą, która przyjechała do Wilna, aby po sklepach połązić.

Dnia 21 marca 1941 roku, piątek. Sławek dostał wyrównawcze i przyjechał także do Wilna. Kupił sobie na kostium²⁴⁸. Mama też kupiła sobie płaszcz za 200 rubli (kiedys może z 45) i Tali pantofle (100 rubli w stosunku do 15). Jeździłem z Mamą na dworzec, aby pomóc ciągać te pakunki. Na dworcu Mama spotkała się z Talą i pojechała do domu. Co do widzenia się z więźniami, to można to skutecznie, ale jedynie za pozwoleniem z Trok.

Dnia 22 marca 1941 roku, sobota. Od dziś poczynają się ferie wiosenne (nie wielkanocne, bo ta będzie za parę tygodni). Pakuję więc swe manatki i jadę do domu. Po feriach będę prawdopodobnie dojeżdżać. Pościągę przepełnione. Ja ze swymi paczkami nie mogłem wepchać się do środka i musiałem jechać z Gabkiem Dubińskim na breku²⁴⁹, co, trzeba przyznać, nie stanowiło wielkiej przyjemności, bo pogoda jest paskudna.

Dnia 23 marca 1941 roku, niedziela. Jedziemy do Trok piec *tymbył*. Ciągłe wiatr i śnieg. Ale jakoś dojechalśmy. Piekliśmy nie jak zwykle u babuni, bo jest ona przecież wyrzucona ze swego mieszkania, ale u Chorczenków. Mówiąc nawiasem, dzień przeszedł bardzo wesoło. I wszystka prawie wesołość była oparta na sercach... z ciasta²⁵⁰. Mianowicie Tala zrobiła sobie serce tymbyłowe, przysypała cukrem i po upieczeniu schowała, by uchronić od czyichś zębów. Ale nie udało się, bowiem Saszka Kapłanowski²⁵¹ wyszedł schowek, wziął serce i na oczach „piekarki”, ku ogromnej jej rozpacz, za jednym zamachem zjadł je. Potem, aby zemścić się, Tala do spółki z ciocią Leną²⁵² zrobiła kilka serc i przysypała je solą. Gdy były już one gotowe, ciocia poczęła drażnić się z pożeraczem, aby go przymać. Jakoż wkrótce dopięła celu. Jedne popadło się Tatusiowi, który pokosztowawszy sól, odłożył serce, drugie zaś, tak jak za pierwszym razem, za jednym zamachem zgryzł Sasza. I potem musiał biec na podwórze wypłuć. Wieczorem po nas przyjechał koń i koło jedenastej wyruszyliśmy

²⁴⁸ Kostium — z ros.: garnitur.

²⁴⁹ Brek — nieosłonięty pomost.

²⁵⁰ Serca tymbyłowe — modelowane i zdobione aplikacjami wypieki z ciasta tymbyłowego.

²⁵¹ Aleksander Kapłanowski (1915–1986), syn Joachima.

²⁵² Helena z Chorczenków Pilecka (1903–1987), żona Szymona, primo voto Eszwowicz.

do domu (Tala pojechała wcześniej pociągiem). Wszystko jest pod śniegiem. Pola, lasy, cmentarz trocki. A nad śniegiem w noc ciemną i pochmurną wiatr zimny śnieg niesie.

Dnia 24 marca 1941 roku, poniedziałek. Drugi dzień wakacji. Wstałem o dwunastej. Po śniadaniu i obiedzie gotowałem i oczyszczałem z Mamą воск. Tala przywiozła z Wilna słoninę na wysyłkę do Niemiec dla wuja Józefa [Firkowicza]²⁵³. Ale można wysyłać tylko 10 kg. Z powodu czego nie można będzie wysłać *tymbyłu*, tyle ile trzeba byłoby im.

Dnia 26 marca 1941 roku, środa. Po południu Stefa poszła do Żukiszek do miary. Ja razem z nią też do krawcowej. Oddać do szycia wiatrówkę i spodnie. Gdy wróciłem do domu, pod wieczór otrzymał Tatuś kartkę od p. Urbanowiczowej, w której „Bardzo proszę Pana o przysłanie do mnie technika radiowego, p. Sławka Pileckiego. Wie pan, nie umiem połączyć baterijek i nic nie wychodzi”. Nie wiem, czem zasłużyłem na tak huczny tytuł „pan technik radiowy”. Hmm. Jutro więc po południu idę.

Dnia 27 marca 1941 roku, czwartek. Zgodnie z życzeniem p. Urbanowiczowej sunę do niej. Zaniósłem jej obiecaną kiedyś przez Mamę książkę „Dyktator zwariował”. Ale ów „technik” nie wywiązał się ze swego zadania. Baterie połączone, akumulator wczoraj naładowany i — nic. Widocznie coś się stało w aparacie. Pani Urbanowiczowa była wczoraj w Wilnie. Jednak w sprawie męża nic się nie dowiedziała. Chodziła do więzienia, posłuchała, co tam rozmawiają i wróciła. Jednak jakie to musi być uczucie, gdy tak przychodzi pani Urbanowiczowa, która wie, że oto tu, w tym samym gmachu siedzi jej mąż w jakiejś celi, który nie wie, że tu w tej chwili jest ktoś bliski mu. Obecnie sądy, sądy, skazania na 5, 8 lat, wszystko w głąb Rosji. Ale to jeszcze ci, którzy siedzieli już po 7-8 miesięcy. A pan Urbanowicz jeszcze — piąty... Nasi byli stołownicy Lewin i Kalecki już od tygodnia chyba wyjechali. Lewin do Onuszyszek, a Kalecki do domu.

Dnia 28 marca 1941 roku, piątek. Szósty dzień ferii. Od rana palą łaźnię. Drzewo hadkie, mokre, nie pali się po ludzku. Toteż i nie bardzo dobrze napaliło się. W łaźni był stryj Józef Dubiński. Oczywiście po niej zrobili poparcie monopolki.

Dnia 29 marca 1941 roku, sobota. Z jakimś człekiem ze Strakiszek pojechałem wraz z Mamą do Trok na *tiefinla*, które obecnie odbywa się u Firkowiczowej Anieczki²⁵⁴, byłej żony byłego prezesa. W Trokach przed kooperatywą kolejki. Wszystko po mąkę, której dali po 1 kg. A potem

²⁵³ Krasiniec, gdzie pracował, znajdował się w Generalnej Gubernii.

²⁵⁴ Anna z Mickiewiczów Firkowicz (1902–1990), wdowa po Józefie Firkowiczu (1894–1939), synu Abrahama.

w ogóle przestali dawać. Teraz wy do poniedziałku wolni — powiada jakiś pracownik spółdzielni. Łaskę zrobił! Byłem u babuni, która obecnie szykuje paczkę do Krasinca. *Tymbytu* nie będzie w ogóle posyłać, obawia się bowiem, by mu to nie zaszkodziło na opinię. Najwięcej tłuszczów. Tego tam brak. Do domu wyruszyłem pod wieczór. We dnie niby odwilż, a na noc znowu bierze mróz. W ogóle pogoda psiacza. Wróciłem już za ciemnem. Mama została w Trokach nocować.

Dnia 30 marca 1941 roku, niedziela. Ósmy i ostatni dzień ferii. Mama miała przyjechać pociągiem. Lecz jak przez telefon powiedziała, spóźniła się na pociąg i chciała iść piechotą. Ale gdzie tam: przez noc i dzisiejsze przedpołudnie zawiąło i te ślady ścieżek, które jeszcze wczoraj istniały. Parobek Uściłły pojechał więc po Mamę i przywiózł ją. Tatuś w Landwarowie na zebraniu. Pani Wołczacka dzwoniła dziś z Landwarowa, prosząc Tatusia, aby przyjął na wypłacie forszę, którą tu zarobił p. Wołczacki. Ot, do czego doszło. Były nadleśniczy musi dziś wozić kłody w lesie, w którym kiedyś pracował jako nadleśniczy. U leśniczego, niegdyś swego podwładnego. Jak to fortuna kołem się toczy...

Dnia 31 marca 1941 roku, poniedziałek. Kończące ferie. Osiem dni przeszło jak z bata wystrzelił. Przeszło, by minąć na zawsze, by zostawić po sobie kilka wspomnień, a potem zatrzeć się pod naporem innych lecących jedno za drugim w niezbadaną przestrzeń. Jakby się gdzieś bardzo spieszyły. Tu świt, zaraz południe i wnet wieczór zapada. Dzień przeszedł. To samo z drugim, trzecim, dziesiątym, setnym... Mijają, by nie powrócić. Zdaje się dawno to była zeszłoroczna Wielkanoc? Rękę podać. A tu już rok przecież. Przeszło lato i jesień, przeszła już prawie zima, że się człek nie obejrzał. Przejdzie życie całe i też się nie obejrzy. A jednak... Przeszedł rok. Cóż. Nic dziwnego. A ile w ciągu tego roku przemieniło się. Ileż twarzy i dusz się zmieniło. Jedni odchodzą, inni przychodzą. I tak sunie czas. Nic go nie wzrusza, nic nie obchodzi. Zimny, niewzruszony...

Dnia 1 kwietnia 1941 roku, wtorek. Prima aprilis. W budzie na lekcjach bałagan. Z historii najechaliśmy i zamknęliśmy się w ósmej. A do drzwi przyszedł inspektor i dawaj stukać. Małec jeden (Lichodziejewski zdaje się) nie wiedząc, kto za drzwiami stoi, krzyczy mu: „Chcesz po głowie?”. Zeks bojąc się konfuzu²⁵⁵, zawrócił się i poszedł. Po tych bałagańskich lekcjach poszedłem na Zwierzyniec po swe rzeczy, których nie miałem jak zabrać przedtem. A więc jeżdżę. Rano pociąg z Leśnik o 7²⁷, a z powrotem o 7. Ale już dnie są dłuższe, więc nie szkodzi. Natomiast Tala

²⁵⁵ Konfuz — wstyd.

wybiera się do Wilna. Wynajmuje u Cioci pokój, na obiady chodzić będzie do stołówki studenckiej, a śniadania i kolacje gotować sobie. Ciocia Natalia chora. Coś jest wewnętrznego. Z wątrobą zdaje się. Wuj siedzi w domu, a cioci oprócz pracy fizycznej takie ciągle troszczenia się o środki materialne nie idą na zdrowie. Wuj mówi, że gdyby tylko chciał, to może w każdej chwili dostać pracę fizyczną. Poluje jednak na umysłową, ale jak dotąd jest marnym myśliwym. Ciocia na Wielkanoc przyjedzie do nas.

Dnia 2 kwietnia 1941 roku, środa. Ponieważ mam dziś iść do Żukiszek do miary, więc przyjechałem o czwartej trockim pociągami. Ze Starych Trok przyszedłem i potem po obiedzie do Żukiszek. Pogoda, a z tego powodu i droga, bardzo marna. Jednak miary nie było, bo krawcowa w Wilnie. Zaszedłem więc do p. Urbanowiczowej. Ostatnio chodziły pogłoski, że p. Urbanowicz dostał 8 lat. Pani Urbanowiczowa też o tym od osób trzecich słyszała, co jednak nie odpowiada prawdzie. Siedziałem przeszło pół godziny. Wreszcie odważyłem się oddać p. Urbanowiczowej fotografię grobu Halinki, robioną we wrześniu zeszłego roku. Gdy tylko odwinąłem papier, p. Urbanowiczowej wyrwało się: „Halinki!”. Następnie wzięła fotografię w ręce i patrzyła na nią, głową potrząsając. Żal patrzeć! Potem poczęła pytać, kiedy fotografię robiłem i od razu zauważyła, że musiało to pod jesień, kwiaty bowiem poczęły już przekwitać. Mówiła, że chciała zrobić taką fotografię, gdy kwiaty owe były jeszcze w pełni swego życia. Jednak nie udało się to, bo Matejun nie mógł się wybrać. Żałowała bardzo, że liter nie można rozróżnić, bo fotografowano już pod wieczór. Potem pokazała mi p. Urbanowiczowa fotografie z pogrzebu. Ładne są, wyraźne. Każdą wstęgę można odczytać. Ale wszystkich tych fotografii — tylko po jednym egzemplarzu. Ma p. Urbanowiczowa zamówić jeszcze po jednym dla swej siostry z Grodna, która niedawno tu przyjeżdżała. „Szkoda, że nie miałam tej fotografii przed jej przyjazdem”. O Pani! Gdybym wiedział, że sprawię Ci przyjemność, nie zaś wywołam ból w Twym sercu, rozdzierając mniej więcej już może zabliźnione (nie mówię o zagojeniu, bo to chyba nieprędko nastąpi) rany przez wspomnianie tego grobu na trockim cmentarzu, dawno byś, o Pani, te zdjęcie miała. Wracając zaś do zdjęć z pogrzebu, to jest ich dużo. Jedno przedstawia wieniec ułożony już na grobie (czego w rzeczywistości nie widziałem w sierpniu owego roku), z białą wstęgą. Wieniec, który ja z Zenkiem niosłem, wstęga, którą ja z Zenkiem pisałem. Czarnymi literami na białym płótnie: „Nieodżałowanej Halince — dzieci Rodziny Leśnika”. „Za to bardzo ci dziękuję” — oto słowa p. Urbanowiczowej odnoszące się do fotografii grobu. Gdybym wiedział...

Wreszcie opuściłem ten mały domek stojący na samym końcu wsi Żukiszki i ruszyłem do domu. Gdy po kilkuset krokach odwróciłem się, aby jeszcze nań spojrzeć, nic nie zobaczyłem. Bowiem nad samym dachem domku czerwone zachodziło słońce i w oczy raziło nieznośnie. I pomyśleć, że to tych rzeczy, które są obecnie w owym domku małym, dotykała się kiedyś Ona, żyła z nimi, bawiła się nimi. Ona, odległa teraz od nich o kilka kilometrów, zimna, nieczuła. I potem jeszcze przez piętnaście miesięcy z tymi rzeczami obcował On, Bohater, odległy obecnie od nich o kilkadziesiąt kilometrów. Ciepły i czujący jeszcze. Lecz...

Dnia 4 kwietnia 1941 roku, piątek. Znowu idę do Żukiszek, do miary. Z tego powodu przyjechałem do St. Trok trockim pociągiem. U pani Urbanowiczowej nie byłem.

Dnia 5 kwietnia 1941 roku, sobota. Obecnie chór w budzie jest we czwartki i soboty. We czwartek byłem na nim. Po niedawnej olimpiadzie międzyszkolnej uczymy się nowych pieśni. Ja od razu nie mogę zahaczyć melodii tak na fest. Toteż, ponieważ basy siedzą tuż przy zeksie, zostałem prędko zahaczony. Balonik (nasz zeks prowadzący chór) powiada mi, że nie mogę jeszcze śpiewać w chórze. Na pocieszenie rzekł mi, że może z czasem ta możliwość przyjdzie. Ale nie dam za wygraną.

Dnia 6 kwietnia 1941 roku, niedziela. Babunia piecze dziś u Ławrynowiczów *tymbył*. Idę więc do Trok pomagać. Poszedłem oczywiście ścieżką. Rano mgła była gęsta, nie można więc było na dalszy dystans coś rozróżnić. Toteż potem musiałem kilka razy obchodzić rozlane w dolinach wody. Ale wreszcie dobiłem się do Trok. Zaszedłem do Juchniewiczów. Tam też dziś pieką. Potem za most. Pomagałem do wieczora. Aż o godzinie szóstej wyruszyłem do domu. Wywróżyłem, że trzeba iść ścieżką. I dzięki temu wlażłem do wody. Dobrałem się już prawie o zmroku. Tala jest dziś w Leśnikach. Będąc w Trokach, zaszedłem do Matejuna w sprawie fotografii. Chciałem zamówić tę z cmentarza dla p. Urbanowiczowej i oprócz tego kilka z pogrzebu dla siebie. Matejun obiecał poszukać te filmy i zrobić. Czy znajdzie, nie wiem.

Dnia 8 kwietnia 1941 roku, wtorek. Przyjechałem trockim pociągiem. Pan Lewin, który przedtem pracował na leśnickim tartaku i który potem wyjechał do Onuszyszek, teraz znowu przyjechał do Leśnik. Litwina tego, co był na jego miejscu, gdzieś przeniesiono. W ogóle jakoś ten tartak nie ma szczęścia do Litwinów, czy Litwini do niego. Nie mogę tego ze stuprocentową pewnością powiedzieć. Ale faktem jest, że Litwin, który na nim pracował, niejaki Żylonis, uciekł czy też wywalono go. To samo było z Ży-

lińskim, co prawda pół Litwinem, ale zawsze mającym przynajmniej zapach litewski. No i wreszcie to samo z tym niedawnym — Skapcewiczem. Ale w tym roku drzewa jest na placu do woli. Coś koło 7 tys. m³. Ober wielki kawał pola założony. Ale tartak, czy jego kierownicy, jakby tego nie widzieli. Zamiast tego, żeby już teraz począć piłować ten materiał, ku czemu jest już czas najwyższy, tartacznicy bawią się razem z tartakiem, piłując coś innego. Bo aby począć piłować na dobre materiał, trzeba puścić tartak na dwie zmiany. A komu na tym zależy? Chyba nie Lewinowi, który pracując obecnie na jedną zmianę, dostaje to samo, co by dostawał pracując na dwie. Jemu lepiej pracować 8 godzin niżeli 16 na dobę. Więc ten odpada. Któż jeszcze zostaje? Dyrektor. (Jeden dyrektor na kilka tartaków.) Ale ten, jak zresztą większość obecnych dyrektorów, nie bardzo się chyba rozumie w swym fachu. Któż jeszcze? No oczywiście: rada najwyższa w Kownie, która na swych posiedzeniach rozważa ważniejsze sprawy: co dokonano już, a co trzeba jeszcze. Referaty na „już” są umieszczone na jednej kartce, a na „jeszcze” — to kartek bez liku. Ciągłe nowe i nowe. Z nich wszystkich przebija się jedna myśl: „Podnieść produkcję, podnieść dobrobyt robotnika”. Cisza!!! Ważne obrady. Nie ma czasu mówić o leśnickim tartaku. Niech poczeka! Tartak czeka. Jak to? Nawet nie beczynnienie. Co dzień przez osiem godzin puszcza dym i parę. No przecie i materiał czeka. Jeszcze jak cierpliwie. Czeka i to nie beczynnienie. Czeka i przez 24 godziny na dobę traci na wartości. W końcu dojdzie do tego, że straci na 1 m³ — 100 rubli. A tych metrów sześciennych jest — 7000. Oto jeden mały przykład z polityki gospodarczej K-Raju. Pan Lewin przywiózł ze sobą fajny aparat fotograficzny. I dużo sobie i mnie obiecuje po nim.

Dnia 9 kwietnia 1941 roku, środa. Wielkanoc zbliża się. A w Wilnie kolejki. Rano, gdy szedłem z Zenkiem do budy, widziałem już stojące kolejki. Wracając sam w takiej stałem. Po mąkę. Stałem i nie dostałem. Już dochodziłem do kasy, aby kwit wziąć, gdy ogłosili, że już mąki nie ma i kiedy będzie, nie wiadomo i koniec. Wyszedłem ze sklepu.

Dnia 10 kwietnia 1941 roku, czwartek. Dziś chór. Za namową kolegi Żuka, który zresztą nie musiał zbyt usilnie prosić, poszedłem. Gdy wszedłem do sali, już tam byli zebrani. Jak raz Balonik coś tłumaczył. Zaraz po zamknięciu przeze mnie drzwi, ktoś odezwał się drwiąco: „O, główny bas przyszedł”. Jakoż ja podszedłem do Obalona i powiadam: „Przyszedłem śpiewać, panie psorze”. Ten uśmiechnął się i mówi, żebym siadał, co uczyniłem lokując się koło Żuka. Ale już po prześpiewaniu pierwszych pieśni zeks powiada, żebym nie śpiewał, tylko słuchał. Słuchałem, trzymając nuty

dla zeksa, bo przy pianinie podstawka na takowe została złamana. Po skończeniu Żuk podchodzi do mnie i mówi, żebym się tym nie zrażał, że gdy on był w moim wieku (obecnie jest w dziesiątej), to też jeszcze nie mógł śpiewać. Ba! Jeszcze nawet takiego głosu nie posiadał. Potem poszliśmy na pierwsze piętro do „00” i on począł mię uczyć, jak dobre tony wydobywać itd., itd. Rzeczywiście teraz on stanowi podporę wszystkich basów. A fajny malec.

Dnia 11 kwietnia 1941 roku, piątek. Jutro Wielkanoc. Pierw mówiono, że będą trzy dni wolne. Ale gdzie tam. Dziś *hagada*. Przyjechałem o czwartej trockim. Ale pogoda ober hadka. Odwilż, śnieg, mróz.... Wszystko na przemian. Więc na *hagada* nie pojechaliśmy do Trok. Powody są takie: zwykle ten wieczór spędzaliśmy u Babuni, teraz zaś Babunia nie ma gdzie przyjmować. Tak komu zaś nie opłaca się robić kłopotów. Sławek też do domu nie pojechał. Spędziliśmy więc ten uroczysty wieczór w domu. Czy następny będziemy tak spotykać — Bóg to jeden wie. Wuj Gara przyjechał we środę do Trok. Z całą rodziną. Zawsze przy swoich lepiej. Jak spotykają dziś Wielkanoc tam w Krasieńcu, nie wiadomo. Może w ogóle nie spotykają, bo po pierwsze nie wiedzą, że to dziś właśnie, po drugie nie mają z czym spotykać. Babunia zdaje się jeszcze nie wysłała paczki, bo gdy 6-go wybuchła nowa wojna, na Bałkanach, myślała, że i tu coś będzie. Ale gdyby i wysłała, to i tak *tymbyłu* tam nie było, bo mogłoby to zaszkodzić na stosunki wuja.

Dnia 12 kwietnia 1941 roku, sobota. Mama z Tatusiem pojechali rannym pociągami do St. Trok, gdzie musieli czekać 40 minut, a potem pociągami do Trok. Ja zaś trochę później poszedłem piechotą. Tala (która wczoraj z Wilna przyjechała), Romek i Sławek zostali w domu. Do Trok było nawet dobrze iść. Podmarznięty po nocy grunt trzymał dobrze. Przed słupem²⁵⁶ w Trokach napędziłem wuja Garę z Ciocią²⁵⁷ oraz Elą, Irawą i Walą²⁵⁸. Szli na *tiefinła*. Poszedłem więc razem z nimi. Wuj i ciocia wyglądają jeszcze jako tako. Ale dzieci — pożałuj Boże! Widać, że przez dwa lata nic im nowego nie sprawiono. Płaszczki krótkie i szerokie dzięki temu, że zapas wypuszczono. Z tego powodu płaszczyk jest w pasy bardziej i mniej wypłowiałe. Po *tiefinła*, które odbyło się w *kiensa*, poszliśmy do Babuni. Jakoś tam wcisnęliśmy się w ten pokój i zjedliśmy obiad, po któ-

²⁵⁶ Słup — potoczna nazwa stojącej na ulicy Karamskiej w Trokach kolumny-kapliczki z rzeźbą św. Jana Nepomucena.

²⁵⁷ Zuzanna z Firkowiczów Robaczewska (1903–1983), córka Bogusława, ciotka autora.

²⁵⁸ Elżbieta (ur. 1930), późniejsza żona Ananiasza Bezekowicza, Irena (ur. 1932) i Walentyna (1935–2009) późniejsza żona Szymona Pileckiego, entomologa na Uniwersytecie Rolniczym w Kownie.

rym poszedłem na pocztę dzwonić do Tali. Tala ze Sławkiem mieli przyjechać pociągiem do Trok. Zachodziłem także do Matejuna po fotografie, ale nie zastałem go w domu. Powiedziała mi tylko jego żona, że zdjęcia są prawdopodobnie jeszcze niegotowe. Potem poszedłem z malcami do Szurki Zajączkowskiego grać w karty. Graliśmy do wieczora. Potem znalazłem u babci Soni Kobeckiej, u której obecnie mieszka wuj Gara z rodziną, Mamę. I wkrótce potem wyruszyłem do domu. Mama została w Trokach. Wracając zaszedłem jeszcze do fotografa. Niestety, zdjęć nie zrobił. Powiada, że nie znalazł tych błon, gdyż są one zwalone wszystkie razem. Trudno i bardzo szkoda! Natomiast znalazł u siebie fotografię taką: pokój w starej bobrowskiej leśniczówce. Po lewej stronie stoi kanapa, po drugiej zaś... Po drugiej stoi trumna. W głębi, zaraz za trumną okno zawieszone firanką. Obok trumny świece, za trumną, przy głowie świece. A w trumnie... W trumnie Ona. Cała w bieli. Przy głowie znać, jakby welon, chociaż na twarzy nie można go rozróżnić. Ręce bielutkie złożone na brzuchu, a w nich paciorki różańca. Naokoło zaś, u głowy i nóg, i po bokach w trumnie kwiaty, kwiaty, kwiaty... Najwięcej białych... Z prawej strony pada blask od okien, toteż lewą część jej twarzy znać dobrze, prawa zaś w cieniu. Powieki na oczach zamknięte. Zamknięte na wieki... Na lewo, od okna, tuż nad kanapą wisi kwadratowa makatka z kwiatami rogiem do góry. Kwiaty też białe. Fotografię tę oczywiście kupiłem. Wyszedłszy od Matejuna szedłem do domu. Wieczór cichy był. Niebo z zachodu zarumienione zachodem słońca. Rumieniec ten z wolna przygasał, aż wreszcie, gdy na tę górę najwyższą wlałem, stał się całkiem wyblakły. Z góry widać było w oddali czarniejszą plamkę cmentarza trockiego. Wieczór był cichy, na noc brał mały mroźnik. Lecz mnie było ciepło... Nad głową wisały chmury, płynące z wolna na wschód. Gdy wróciłem do domu i po kolacji wszedłem do saloniku, przez okno można było dojrzeć, jak zza chmur wyłaził księżyc. Okrążył księżyc w pełni. Jemu jednemu jest wszystko jedno, co się tu, na tej ziemi dzieje. On ciągle taki sam. Oświeca w jednej chwili i Leśniki, i Żukiszki, i Troki, i Łukiszki. W jednej chwili zakrada się do okien i tu, i tam i oświeca te pola, na których coraz mniej jest śniegu z dniem każdym, na których z dniem każdym widnieją coraz większe kawałki oswobodzonej spod śniegu czarnej ojczystej ziemi. On ciągle ten sam.

Dnia 13 kwietnia 1941 roku, niedziela. Dziś na mnie kolej zostać wdomu. Tatuś z Romkiem poszli do Trok, Stefa do Strakiszek, a ja siedzę w domu i piszę te oto słowa: Dałem już w południe krowom, niezbyt co prawda dużo, bo karmy braknie. Następnie napiłem je i teraz przed chwilą

słuchałem Londynu o szóstej. Mówił o tej Ojczyźnie, której ciałem wróg się podzielił. Ciało chwilowo zabił, lecz dusza żyje. Przedtem też pisałem. Aż od zeszłej niedzieli opisałem po kolei. Niedawno przychodził jakiś człek po bilety na zabawę, którą dziś urządzają w baraku. Czy pójdę, nie wiem. Z Trok przyjadą chyba pociągami o siódmej. A teraz pół do szóstej. Właśnie przyszła Stefcia. Zaszła i od razu złapała za fotografię, niedawno przez mnie opisywaną, która na stole leżała. „A któż to?” — pyta. Gdy powiedziałem, powiada: „Ale co za dziewczyna? Cała w kwiatach. A matce żal po takiej”.

Dnia 15 kwietnia 1914 roku, wtorek. Wczoraj byłem w budzie i żaden zeks nic mnie nie powiedział w sprawie nieobecności w sobotę. A dziś na litewskim zgłaszam się, że nie umiem lekcji. A zeks mówi: „Ty i w poniedziałek nie byłeś”. Ja mu mówię, że przecie byłem. A on: „Na, dobrze, dobrze”. (Oczywiście po litewsku.) Jakby to jego był interes. Mnie wychowawca nic nie mówi, a on sunie nos. Michał Ławrynowicz, który dotychczas w Leśnikach w kancelarii pracował, został od dnia dzisiejszego zwolniony.

Dnia 16 kwietnia 1941 roku, środa. W budzie nowy bajer. Ponieważ ober dużo było nieobecności, więc ogłoszono nowe zarządzenie. Mianowicie za opuszczenie jednej lekcji (najechanie) wywalają z budy. Hm! To już nie bardzo przyjemnie. Ale to jeszcze nie wszystko. Za trzy spóźnienia też to samo. Jeszcze gorzej. I na wagary nie można pójść, bo za opuszczenia nieusprawiedliwione dni znowu jakiś bajer. Przyjechałem trockim pociągami i tu przyszedłem piechotą. Przyszedszy, zastałem p. Urbanowiczową z Danusią. Była u nas prawie od rana. Wysłuchawszy dziennika, poszła do domu. A w dzienniku nawet zdrowo mówili. Powiada, że w Poznaniu Niemcy zakładają uniwersytet niemiecki, w którym mieliby ci panowie Niemcy zapoznać się z Polakami i ich naturą. Ale ja myślę — powiada autor przemówienia — że ci panowie Niemcy zapoznają się z Polakami i ich obyczajami bez uniwersytetu. Pewne niemieckie pismo powiada, czy raczej pisze, że kwestia uniwersytetu w Poznaniu zostanie rozwiązana dopiero po zakończeniu wojny. I ja tak myślę — drwi odległy Londyn przez swego spikera Polaka.

Dnia 18 kwietnia 1941 roku, piątek. Ostatni dzień naszej Wielkanocy mija. Jakoś święta przeszły i nie musieliśmy w tym roku *chamieciovac*²⁵⁹. Jak będzie na przyszły rok? Któż to może wiedzieć. A dziś Jugosławia podpisała z Niemcami zawieszenie broni czy pokój. Dość tego, że bić się prze-

²⁵⁹ *Chamieciovac* — z karaim.: jeść zabronione w czasie Paschy potrawy (np. chleb na zakwasie).

staje. Jak w zeszłym roku Belgia, tak dziś Jugosławia. A to pogorszyło sytuację Grecji. Póki co, biją się jeszcze. Czy długo, nie wiem.

Dnia 19 kwietnia 1941 roku, sobota. Wracałem o czwartej. W pociągu spotkałem Marka [Juchniewicza]. Powiada, że dziś oni chcą zrobić *chamiećlamiak*²⁶⁰. Zaprasza mnie do Trok na dzisiejszy wieczór. Ja nie od tego. Rower już złożyłem, a błota podobno już nie jest dużo. Ale z początku nie bardzo na to zgadzał się Tatuś. Powiada, że błoto, a wieczór i nie ma gdzie nocować, i jeszcze pół kopy nieszczęść. Już nawet zrezygnowałem z poprzednich zamiarów. Ale raptem zjawili się z Trok goście: stryj Józef Juchniewicz z ciotką Niną²⁶¹, jego brat Szymon z żoną²⁶² i jego siostra²⁶³. W pewnej odpowiedniej chwili poruszyłem znowu ten temat. Pan Szymon stanął po mojej stronie i jakoś zwyciężyliśmy. Jadę więc. Na Bobrówkę. Jednak drodze daleko do nazwy „dobra”. Do Bobrówki w lesie jeszcze połowa drogi śniegiem i lodem pokryta. A tam dalej gościniec, nasypyany jeszcze zeszłej jesieni. Ja jechałem nim pierwszy raz i nie jestem bynajmniej zachwycony. Piasek. I w ogóle pogoda też hadka. Pamiętam, jak trzy lata temu Mama posłała mnie do p. Urbanowiczowej po foremkę tortową. A ja machnąłem do Trok (konno) i nawiasem mówiąc, wygrawszy tam z 15 orzechów, wróciłem przez Bobrówkę do domu. Wtenczas na Wielkanoc była pierwszorzędną droga. A w tym roku — błoto. Ba! Śnieg jeszcze leży! No, ale jakoś dobiłem się do Trok. Zajechałem od razu do Zajączkowskich. Zastałem już tam całą kompanię grającą w karty. Już dwa ćwiartuki²⁶⁴ były kupione. A było nas tylu: Marek Juchniewicz, Olek Dubiński, Tolka Ławrynowicz²⁶⁵, Szurka Zajączkowski, którego ojciec także przy-mazał się²⁶⁶, i ja. Nawet nic nie poczuło się (oczywiście po wypiciu). Co to znaczy?! Pół litra na sześciu. Nocowałem u Marki [Juchniewicza]. Wróciliśmy do niego około jedenastej.

Dnia 20 kwietnia 1941 roku, niedziela. Zimno jak lichy. Wczoraj przy-najmniej było słońce, a dziś i to za chmurami. Natomiast trochę deszcz kropi. Razem z Gabkiem Dubińskim poszedłem do Matejuna. Myślałem, że Gabka, który zdjęcia te robił, łatwiej znajdzie filmy z nimi. I że będzie chciał szukać. Bo może Matejun z braku czasu i chęci nie bardzo to usku-

²⁶⁰ *Chamiećlamiak* — karaim.: zakończenie obowiązującego w czasie Paschy okresu zakazu spożywania niektórych potraw.

²⁶¹ Nina z Pileckich Juchniewicz (1896–1984), córka Szymona, ciotka autora.

²⁶² Maria z Kobeckich Juchniewicz (1897–1979), córka Gabriela Aleksandra, „Marynia”.

²⁶³ Anna z Juchniewiczów Szpakowska (1889–1947), córka Marka.

²⁶⁴ Ćwiartuk — gwar.: ćwierć litra wódki.

²⁶⁵ Towiasz Ławrynowicz (1923–2005), syn Józefa.

²⁶⁶ Przyplątał się.

teczenia. Ale i z tego nici. Matejun powiada, że wszystkie te filmy są zwalone gdzieś tam u niego na strychu, że on szukał już kilka razy, ale nie znalazł. Jednym słowem, chyba nie da się już odbić. Może tylko sfotografować zdjęcia, które są. Ale i to nie będzie dobrze, bo wyjdą nie tak wyraźne. Jeszcze raz — szkoda. Wracając do domu, zajechałem do Halusi. Po zeszłorocznych kwiatach ani śladu nie ma. Chyba badyle po nich zostały powyrywane, bo ziemia jest jakby zruszana. Miał kwiatów — wilgotna po niedawnym śniegu, czarna i pachnąca wiosną, ojczysta ziemia. A na niej kawałki stopionej ze świec stearyny, zostały tu chyba po ostatnich Zaduszkach. Stearyna, która ostygając na grudkach ziemi, zlepiła się z nimi. Zamiast zeszłorocznej zielonej trawy — uschnięte źdźbła. Pod krzyżem leży wiązanka gałązek świerczanych. Takie same są w dzbanuszkach. Tylko że trochę starsze. Na nagich jeszcze gałązkach brzoź i na sosen wysokich konarach siadają ptaszki i śpiewają pieśń tryumfu — pieśń wiosny.

Do domu wróciłem jak raz na obiad. Zaraz po nim stryj Józef pojechał pociągiem do domu. Reszta towarzystwa została jeszcze. Wieczorem w baraku zabawa i przedstawienie pt. „Gwałtu, co się dzieje!”²⁶⁷. Na przedstawienie przyszła i p. Urbanowiczowa z Danusią. Treść jego była taka: jest trzech mężczyzn, którzy siedzą pod pantoflami swych żon. Z brodami, w chustkach na głowie i z koszykami, idąc na rynek, obradują nad sposobem uwolnienia się spod jarzma. Zjawia się dwóch jakichś młodzieńców, którzy chcą im pomóc w tym. Prowadzą oni politykę taką, że chcą zabijać w sobie wszystkie niewiasty, każdą osobno. Wreszcie zostają ujęci przy pomocy mężczyzny będącego w służbie u kobiet i oskarżeni o namawianie ujarzmionych do buntu. Teraz jeden z młodzieńców puszcza w ruch całą swą elokwencję i uzyskuje tym odłożenie sądu. W międzyczasie poszły słuchy, że trzeba bronić się przed jakimiś wrogami. Teraz kobiety samowolnie oddają władzę w ręce mężów, aby tylko ci bronili się. Zaraz po przedstawieniu p. Urbanowiczowa poszła do domu. Był już wieczór. Cichy, pochmurny, bez wiatru. Wiosenny, wilgotny wieczór. Szła z Danusią, która rozprawiała na temat przedstawienia. Jakże inaczej było dwa lata temu. Gdy w baraku była zabawa. O wiele weselsza od dzisiejszej. Było chyba po dziesiątej, gdy poszedłem do baraku, aby zobaczyć, co tam słychać. Muzyka gra, pary tańczą. Poszedłem szukać Mamę i, o losie! Idąc po ciemku po kłodzie pośliznąłem się i w następstwie tego wkułiłem się jak długi do błota. Cały bok. Wróciłem do domu myć się i więcej już nie chodziłem.

²⁶⁷ Komedia Aleksandra Fredry.

Dnia 21 kwietnia 1941 roku, poniedziałek. Goście jadą razem ze mną pociągiem. W St. Trokach przesiadają. W sobotę, dnia 19 IV (historyczna data) wydano zarządzenie, aby wszyscy uczniowie piątych, szóstych i siódmych klas obcięli włosy. „Żeby ich pokręciło!” — można powiedzieć, uprzednio przeprosiwszy. Teraz, gdy do końca roku został miesiąc czasu, włosy ścinać. Ale dziś do budy puścili. Może tylko postraszyć chcieli w braku innego zajęcia. Cóż poradzić?!

Dnia 23 kwietnia 1941 roku, środa. Naszego wychowawcy starego, tzn. tego, który był od początku roku, wyrzucono z budy. Za co — nie wiem. Mamy teraz nowego. Nazwiskiem Bartoszewicz, zawodem — konstytucja. Ale sprawę wziął w swe ręce od razu. Nawet ostro. Mnie dali niżkowe obiady w Klubie Uczniów. Po 40 kopiejek. Dziś poszedłem do tej stołówki na Żeligowskiego i spotkałem tam Zabołowicza. On także tam jada. A teraz ma malec biedę. Z tego powodu, że ma malarskie zdolności, wszędzie chcą, aby coś na 1 maja namalował. W budzie już od kilku dni zwalniają go z lekcji do pracowni, a dziś i w stołówce przystali²⁶⁸. Z Trok przyjechał do nas wuj Rafał. Jutro pojedzie do Rudziszek. Podobno jest tam jakaś praca. Czy dla niego — nie wiem.

Dnia 25 kwietnia 1941 roku, piątek. Zeks wyznaczył kilku malców, a między innymi i mnie, do ozdabiania klasy. Wszędzie propaganda, propaganda i jeszcze raz propaganda. Ciągłe szykują się do 1 maja. Pytałem zeksa od rysunków, który prowadzi tę robotę, ile na to dano. Powiada, że koło 1000 rubli dała sama dyrekcja, nie licząc zbiorów w klasach. A mnie się tak zdaje, że gdyby tę forszę przeznaczyć zamiast na gwiazdy, na lepsze obiady w stołówkach, to czerwona gwiazda zyskałaby więcej wyznawców.

Dnia 26 kwietnia 1941 roku, sobota. Aby defilada na 1 maja wypadła znośnie, trzeba nauczyć się chodzić. Toteż dziś poszliśmy to uskutecznić. Pogoda psiacza, deszcze, zimno. Poszliśmy gdzieś na Zakret²⁶⁹, tam orkiestra stanęła na chodniku, a my chodziliśmy tam i z powrotem przed nią, okrzykami „ura” odpowiadając na jakieś zdania naszego „kochanego inspektora”. Ten, gdy włożył płaszcz i kapelusz, wygląda na zawodowego pijaka. Tak jakby pół życia w knajpie spędził. Policzki obrosnięte itd., aż hadko opisywać. Zresztą typowy inspektor średniej szkoły. A mnie to dziś porządnie za skórę zalażł: nie puścił na pierwszą lekcję, bo włosów nie ściałem. Jednak trzeba poddać się losowi. Tylko oczywiście skróć trochę. Na goło — za nic.

²⁶⁸ Przystawać — z ros.: zaczepiać.

²⁶⁹ Zakret — park w zakolu Wilii.

Dnia 27 kwietnia 1941 roku, niedziela. Mama chodziła po obiedzie do p. Urbanowiczowej. Sama bieda. Aby żyć, trzeba mieć ku temu jakiekolwiek przynajmniej warunki materialne. A co robić, że te bardzo szybko wyczerpują się. Powiada p. Urbanowiczowa, że siostra zapraszała ją do siebie, do Druskiennik. „I wiem, że tam przy dwóch pracujących i ja przeżyłabym, ale z Trok wyjechać nie mogę. Z nimi związana jestem na całe życie. Tu straciłam wszystko, co miałam najdroższego: córkę, ojczyznę, męża”. Siedzi i płacze, mówiąc. Biedna kobieta! A z mężem to tak jakby się już pożegnała. Ale ja jeszcze nie tracę nadziei. A może...

Dnia 30 kwietnia 1941 roku, środa. Tak wczoraj, jak i przedwczoraj maszerowaliśmy. A dziś dano już spokój z tym, natomiast po 3 lekcjach popędzono nas na akademię. Nasz wychowawca był przewodniczącym prezydium. Przed powołaniem go na to stanowisko przyszedł do nas i powiada, że gdy on będzie powoływał członków do prezydium, a szczególnie gdy powie „całe politbiuro ze Stalinem na czele”, bić mocno brawa. „Już ja zobaczę ze sceny, kto nie będzie bić”. I jak to można nazwać? Parszywy reżym. Po akademii poszedłem na Zwierzyniec po Sławka kostium. Jednak jeszcze niewykupiony. Na dworzec przyszedłem po 5⁴⁰. W wagonie spotkałem Zenka. Powiada, że ze źródeł miarodajnych słyszał, że na dalszych torach stoją okratowane wagony. Owe „miarodajne źródła” były na moście, ponad tymi wagonami i słyszały, że z wagonów płynęła pieśń polska „Rota”. Śpiewana była przez polskie piersi, które przedtem siedziały na Łukiszkach. Dłgie, zielone, z oknami okratowanymi wagony, a w nich oni — bohaterzy! „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...” — coś zrobicie, biedacy, gdy was nie pytano o zdanie. Załadowano i koniec. „Nie damy pogrześć mowy...” — tego może i dokonacie. Mowy przynajmniej nie wydrą wam z piersi. Bo tak to zostaliście załadowani i pojedziecie. Jadąc przez ziemię ojczystą będziecie stać przy tych oknach okratowanych i będziecie patrzeć, niejeden po raz ostatni, na tę ziemię, która właśnie wiosną wita. Niejeden z was jedzie na wieki, jedzie, by więcej nie wrócić. Niejeden z was będzie patrzeć po raz ostatni na tę ziemię przez okna okratowane wagonu jasnozielonego, pędzącego po poszerzonym torze na wschód. Ostatecznie, dlaczego rok 1941 ma się w czymś różnić od 1831 czy 1863? Dlaczego wówczas mogli najlepsi synowie ojczyzny iść na wschód, a nie mogą jechać w 1941? Wszak tylko około stu lat różnicy w czasie. No i w sposobie podróżowania jest trochę różnicy: wówczas poruszano się z szybkością 5 km na godzinę, a teraz 50 km na godzinę. No i w tym, że wówczas był wiek XIX, a teraz jest XX. Poza tem nic się nie zmieniło. Wreszcie nasz pociąg ruszył. Dwa razy mignął mię-

dzy przerwami innych, bliżej stojących wagonów jasnozielony kolor. Hej! Może właśnie tam, za tą ścianą siedziała jakaś bliska istota. Może i ta z Łukiszek. Lecz nasz pociąg gnał. Minął wszystkie tory i sunął w przód. Stałem wychylony przez okno. Hej, wichru mi, pędu, powietrza! Żeby smagał po twarzy, oczach, włosach. Żeby dech tamował. Lecz i to nie było w 100% wykonane: pociągi Litewskiej SRR nie mają zasady jechać szybko. Jest czas!

Już na zboczach zielenieje trawa. Przychodzi wiosna. My ją tu witamy. A jak będą witać ją Oni — Tam? Chyba nie tak jak my. Bardzo żałuję, że nie przyszedłem na dworzec trochę wcześniej. Bo bym poszedł na ów most. Może i ja coś słyszałbym. Coś z tych wagonów.

Dnia 1 maja 1941 roku, czwartek. Do budy powiedziano przyjść na 8¹⁵. A mój pociąg przyjeżdża do Wilna o 8²⁰. Przyszedłem więc później, lecz wcale się nie spóźniłem. Zaszedłem do klasy, a zeks po sprawdzeniu obecności powiada, że jednego trzeba do niesienia gwiazdy. „Kto na ochotnika? No, może Pilecki poniesie”. Żeby ciebie zarębało!!! Ja wcale nie jestem ochotnikiem! Na boisku pytam go, dlaczego to właśnie ja. A on odpowiada, że tak każdy może zapytać. Przyczepił się i już. Nie myśli wcale ustępować. No trudno. Pogodziłem się z losem, tylko kołnierz nastawiłem i kozyrek²⁷⁰ jak najniżej. Stoję przed szeregami w oczekiwaniu na gwiazdę, aż tu raptem inspektor woła mnie do siebie i wstawia do szeregu w kl. VII f, bo tam jednego brakowało do ósemki. Hurra! Inspektorze! Czasami (to słowo trzeba trzy razy podkreślić), możesz być fajnym malcem! Stoję. Gwiazdę poniósł ktoś inny, którego inspektor na uhad²⁷¹ wyciągnął z szeregu. Kołnierz można odłożyć, bo nie można powiedzieć, by było zimno. Wyszliśmy o dziesiątej. Następnie staliśmy do pierwszej gdzieś za placem Łukiskim, a o drugiej skończyła się cała szopka. Podobno nas filmowali. (Jednak nie trzeba było odkładać kołnierza.) Ale mimo poświęcenia na ten cel kilku lekcji, okrzyki nie były zbyt głośne. W każdym razie na próbach było lepiej. Po wszystkim poszedłem na Zwierzyniec. Potem chodziłem z wujem do krawca, ale Sławka kostium niegotowy. W Leśniakach zabawa. Wstęp bezpłatny. Toteż było ludzi trochę. Jak oni tańczyli — nie mam pojęcia. Bo do dwunastej to można było porządnie komuś po nogach połażyć. A od dwunastej to już chyba tańczący tworzyli jedną masę. I na nogi wleźć nie można, bo nóg podnieść nie ma jak. Bufet o północy był już rozkupiony. W bufecie miała być p. Urbanowiczowa. I bardzo chciała być. Ale cóż, kiedy zawsze znajdzie się jakiś błat²⁷². Tym razem

²⁷⁰ Kozurek — z ros.: daszek czapki.

²⁷¹ Na uhad, na ugađ — gwar: losowo, na chybił trafił.

²⁷² Błat — tu: znajomości.

było ich dwóch — Cyranowski i Suchowierski. „Komitetczyki”. Dlaczego, nie wiem. Mówił „nie”, może nie przypuszczając, że odbiera możliwość zarobku²⁷³ żonie bohatera. Cóż szkodzi powiedzieć „nie” zamiast „tak”. A jej bieda, zgryzota, rozgoryczenie...

Dnia 3 maja 1941 roku, sobota. Mieliśmy trzy, a właściwie tylko dwa dni „świąt”. Jutro natomiast do budy. Ja wczoraj wstałem z bólem głowy. Potem paliłem łaźnię i wreszcie wieczorem było po wszystkim. Dziś jestem chory na dobre, głowa i oczy. Więcej nic. O 13³⁰ słuchałem przez radio występu naszego chóru szkolnego. Ja na razie nie śpiewam. Mówią nawet coś niecoś na tym znający się, że mam fajny głos. Ale będziemy próbować już na przyszły rok. Teraz też czasem chodzę na chór, ale tyle tego! A ładnie śpiewali. Toć dziś przecie Trzeci Maja. Sto pięćdziesiąt lat temu. Sto pięćdziesiąt... Dziś, w 150 rocznicę tego dnia naród polski kontynuuje walkę o wolność. Nie przestraszył tych bojowników los tych, co swą krwią ziemię ojczystą użyźnili, ni tych, którzy w lufy karabinów wrażeń patrzyli, w lufy mające w ich pierś plunąć stałą i ołowiem, ni tych, którzy w obozach koncentracyjnych głodem przymierając, marny swój żywot pędzą, ni tych, którzy z wagonów jasnozielonych rzucali tęskne spojrzenia na pola, wolne ptaki itd., czy tych, którzy o głodzie i chłodzie w lepiankach Sybiru żyją. Bojownicy Rzeczypospolitej na razie tego nie widzą, na razie dla ich oczu to nie istnieje. A o tej ich walce donoszą pisma niemieckie, jak np. „Warschauer Zeitung”, które pisze, że w ostatnich czasach wydarzyło się 15 zbrojnych napadów Polaków na Niemców. Pismo nazywa oczywiście tych bojowników złodziejami.

Dnia 5 maja 1941 roku, poniedziałek. Mama pojechała do Trok. I przyjechała z taką nowością: do Firkowiczów przyszedł list z Kijowa, pisany, jak sam autor przyznaje w końcu swego dzieła: „...któż zgadnie, że... gwoździem!”. Powiada: „Trochę drapie, ale to nie szkodzi”. Tor między Landwarowem i Oranami dziś poszerzają, coś zdaje się o 7 czy 9 cm. Jak można przypuszczać, zacznie się bałagan.

Dnia 8 maja 1941 roku, czwartek. Wczoraj już chodziłem w domu, a dziś jadę do Wilna. Ale nowa nowość. W budach i urzędach praca zaczyna się od pierwszego o ósmej godzinie. Pociąg nasz musi przychodzić według rozkładu 8²⁰. Lecz wyraz „musi” można zamienić wyrazem „mógłby”. Lecz że piątego poszerzono tor, więc pociąg czasem przychodzi z półtoragodzinnym opóźnieniem. Czas ten spędza zazwyczaj pod semaforami. Jest ich dużo: Landwarów, Ponary i kilka w Wilnie. Z tego powodu do budy przy-

²⁷³ Zarabotek — z ros.: zarobek.

chodzę na drugą lub trzecią lekcję. Ha! Mamy przecież czas. Życie jest — jakie? Z powodu nadzwyczajnej okoliczności można powiedzieć tak: „Życie jest długie”.

Dnia 9 maja 1941 roku, piątek. O maju! maju! Cóż sobie myślisz? Przecie dziś już dziewiątego. Dziewiątego maja. I śnieg pada jak w styczniu. Z powodu wielkiego spóźnienia pociągu musiałem siedzieć na peronie i obserwować — śnieg. Wiatr dmie, a śnieg ląduje na ziemi. W ciągu połowy godziny ziemia była cała pokryta białą powłoką. O maju! O maju!

Dnia 15 maja 1941 roku, czwartek. Na linii Wilno-Orany kursują wagony polskie z Białorusi. Ich konstruktorzy przewidywali widać wielką taniżnę biletów czy też długość podróży, bo zrobili oprócz ławek półki do spania lub do leżenia i grania w karty. I nawet nie pomylili się. Ja mam karty. Co więcej trzeba? Oprócz dobrych chęci — nic.

Dnia 16 maja 1941 roku, piątek. W Leśnikach została otworzona spółdzielnia. „*Wsiewo jest*’. *Połnaja ławka wsiewo. I spiczki — 5 kopiejek*”²⁷⁴. Gdzieniegdzie butelka z wódką stoi. A mąki i cukru to zapomnieli przywieźć. Ale to głupstwo. „*Zawtra przywieziom. Da u nas wsiewo jest*”²⁷⁵. W spółdzielni tej miała pracować p. Urbanowiczowa. Jednak... Jak nie idzie, to wszędzie. W niedzielę przychodziła do nas, ale ani Mamy, ani Tatusia nie było. Przychodziła więc w poniedziałek. I potem była w Trokach, aby złożyć podanie o przyjęcie. Był tam wówczas i obecny subiekt, który udał się tam z tym samym zamiarem. Jednak widząc tam p. Urbanowiczową — mimo że sekretarz bardzo odradzał p. Urbanowiczowej tego czynu, mówiąc, że to będą małe bardzo pobory, że to się nie opłaci tam leżę itd. (ciekawe, skąd taka troskliwość) — chciał już zaniechać tego zamiaru. Ale po wyjściu p. Urbanowiczowej tenże sam sekretarz począł wyjaśniać całą sprawę przed przypadkowym podsłuchiwcem. Powiedział, że nie chcą oni przyjąć p. Urbanowiczową ze względów nam wiadomych, ale że posada opłaci się itd. Wówczas — powiada obecny subiekt — bez skrupułów złożyłem swe podanie, poczekałem trochę na tego, od którego zależało przyjęcie, a ten przyszedłszy, podania p. Urbanowiczowej w ogóle nie czytał, a od razu przeczytał moje, napisał na nim „*Prinjat*”²⁷⁶ i gotowe. Z tego wynika, że rodziny zabranych muszą przymierać głodem, chociaż „*wsiewo jest*”.

Dnia 17 maja 1941 roku, sobota. Po powrocie z budy pojechałem pod wieczór do Żukiszek do krawcowej. Zajechałem także do p. Urbanowiczowej.

²⁷⁴ *Wsiewo jest*’... — ros.: Wszystko jest. Sklep pełen wszystkiego. I zapalki po 5 kopiejek.

²⁷⁵ *Zawtra*... — ros.: Jutro dostarczymy. Przecie u nas jest wszystko.

²⁷⁶ *Prinjat*’ — ros.: Przyjąć.

wej. Lecz, niestety, nie zastałem jej w domu. Potem jadąc rowerem usłyszałem głos Danusi dochodzący z nowobudowanego domu po drugiej stronie drogi. Zatrzymałem się, podszedłem do domu, spytałem Danusię, lecz i ona nie wiedziała, gdzie jest jej Mamusia. Pojechałem więc do domu. Jechałem przez Bobrówkę, koło leśniczówki. Koło leśniczówki, w której obecnie mieszka Litwin. Nowa, ładna, przed samą wojną pobudowana, jakby specjalnie dla niego. A obok stoi stara. Poczerniała już od zniesionych na swych bokach upałów lata, wichrów i deszczów jesieni i mrozów zimowych. Stoi między wielkimi drzewami, rozpuszczającymi właśnie pąki wiosenne, wyciągającymi swe gałązki ku zachodowi, aby złapać ostatnich kilka promieni czerwonych zachodzącego w tym czasie słońca. Gałązki te zasłaniają trochę okna i ściany. Okna i ściany, za którymi przed dwoma laty płynęło spokojne życie rodziny o tym samym przymiocie, za którymi jak uciał dwa lata temu jedna główka niezmordowanie chłoneła wiedzę, szykując się do egzaminów w gimnazjum Elizy Orzeszkowej. Czyż można było wówczas przypuszczać, jakie będą dalsze jej losy?! A może ktoś coś przeczuwał. Może ona sama. Stałem i myślałem. A od strony Żukiszek płynęły słowa jakiejś pieśni, być może z tego nowo budującego się domu.

Dnia 18 maja 1941 roku, niedziela. Z Rudzisk przyjechał wuj Rafał. Dostał on tam posadę i pracuje jako kasjer już od dziesiątego. Ja jeździłem do Trok Tatusia rowerem. Ale zimno jeszcze na dworze.

Dnia 19 maja 1941 roku, poniedziałek. W sobotę koniec roku. A potem do 11 czerwca egzaminy. Aż słodko robi się, gdy o nich pomyślę. Tymczasem zaś pytają i pytają. Nie nadążyc odpowiadać. Toteż dziś nocuję w Wilnie, aby mieć więcej czasu. Jutro będzie pytać z historii, a ja „ni czorta” nie umiem. Jednak więcej bałaganiło się z Gabrysiem i Maniukiem, który jest dziś w Wilnie, niż uczyło się historii. Jedną lekcję fajnie umiem. Jeżeli o nią zapyta, będzie wszystko w porządku.

Dnia 20 maja 1941 roku, wtorek. Na pierwszą i drugą lekcję nie poszedłem. Bo po cóż? „Pociąg spóźnił się”. Zwłaszcza gdy tak ładnie słońce świeci. I historia nie lezie do łba. Ale co będzie, to będzie. Miałem 4+. Jeżeli dziś zahaczę dwa, to i tak będzie 3 na okres i 4 na rok. Jest czego przejmować się! Historia, trzecia lekcja. Przychodzi Moczułski i powiada zeksicy, że nas doktorka wołała na zastrzyki (przeciwytyfusowe, bo w Wilnie obecnie panuje tyfus). Wszyscy malcy idą. Ja i jeszcze ktoś zostajemy, aby pierw odpowiadać. Zeksica: „Pilecki! Proszę odpowiadać”. „O czym?”. „Proszę o Batu-chanie”. Hurra! Zdaje się, że nie jestem hipnotyzerem, ale zapytała to, co ja umiałem. Dwie daty trochę przekręciłem, ale to nic. Czwórka jak

w banku. Sunę na zastrzyk! Z historii egzaminu nie ma, przeto odwalone na amen. Po otrzymaniu świadectwa okazało się, że postawiła pięć.

Dnia 21 maja 1941 roku, środa. Można zaśpiewać piosenkę „Cud się stał pewnego razu... Tartak ruszył na dwie zmiany...”. Jeszcze w poniedziałek. A dziś, tylko już bez cudów — stanął. Zdrowa katastrofa stała się. Pękło ramię od tłoka idące na koło, pochyliło²⁷⁷ oś tego ostatniego, popsuko cylindry. Jednym słowem — szkoda gadać. Z kilka tygodni będzie odpoczynku. Dla niego — nie szkodzi.

Dnia 22 maja 1941 roku, czwartek. Do budy nie idę. Nie ma już po co. Zwłaszcza, gdy może zapytać z niemieckiego. Tu nie może być szansów, że zapyta o to, co umiem, jak na historii, bo takich tematów nie ma. Lepiej pojechać do Trok. Marysia Mataczynówna zaś wozila do budy „moje” rysunki, aby pokazać je zeksowi, bo ten chciał mi dwóję wlepić. Ale gdy jemu pokazała, zeks mówi, że ja i tak nie mam jej [dwój]. Błat! Tyle mi napędził strachu i czasu zmarnował. Musiałem bowiem pożyczyć w budzie rysunki i odkalkować je. Niełatwa robota. I na marne.

Dnia 23 maja 1941 roku, piątek. Dotychczas żyłem, nie wiedząc, że mam pod bokiem (w spichrzu) po prostu żyły złotodajne w postaci pustych butelek. Dziś biorę 5 sztuk i wiozę do Wilna. Powinno być 2,5 rubla. Ale w Wilnie okazało się, że żyły nie są bynajmniej niewyczerpalne. Dostałem tylko rubla. Za dwie butelki. Reszty nie przyjęli, bo są one jeszcze sprzed kilkudziesięciu tygodni i na nalepkach mają cenę w litach. Poszedłem do budy. Lekcji nie ma. Malcowie poszli na Belmont²⁷⁸, ponieważ jest bardzo ładna pogoda. Ja już dziś bez płaszcza. Przyjechałem więc o 10⁰⁵ do domu. O 4¹⁸ znowu jadę do Wilna z sześcioma butelkami.

Dnia 24 maja 1941 roku, sobota. Ciepło już zupełnie. A dziś mieliśmy czas poddawać się działaniu życiodajnych promieni słonecznych; pociąg spóźnił się o godzinę. Leżeliśmy cały czas na odkosie przy przystanku i „uczyliśmy” się. Mówię „lišmy”, bo nie byłem tam jeden. Był Zen, Stach Mickiewicz i Gieniek Czerwiński, który jest z nas wszystkich chyba najszczęśliwszym: koniec nauki. A u nas jeszcze egzaminy. Od poniedziałku do 11 czerwca. Można pół swojej wagi stracić. Ale ostatecznie po godzinie przyszedł pociąg i przerwał nam przyjemną rozmowę i nie mniej dobre przyjmowanie promieni. Wleźliśmy do służbowego przedziału (już bowiem podróże na półkach zarzuciliśmy jako niezbyt wygodne) i ulokowawszy się tam na całego, poczęliśmy układać plan naszego życia popołudniowego,

²⁷⁷ Pochylać — tu: powyginać.

²⁷⁸ Belmont — malownicza dzielnica Wilna z przełomem Wilenki.

składając po 4,70. Wtem pociąg zatrzymał się. Po wyjściu z przedziału, który z niemałym żalem musieliśmy opuścić, zauważyliśmy, że na tym samym torze stoi pociąg towarowy. Gdy doszliśmy na trójkąt²⁷⁹, zobaczyliśmy ostatni wagon w tym stanie: przednie jego podwozie stało na oralskim torze, tylne zaś na trockim. Przeskoczyło ono jakoś na zwrotnicy. Wreszcie na 10⁰⁵ przyjechaliśmy do Wilna. Sunę od razu do budy. Tam akademii. Opalałem się. Pod koniec tylko na część artystyczną poszedłem. Po całym balu udałem się na Zwierzyniec. Powróciwszy na dworzec, kupiłem dwie ćwiartki, kiełbasy i chleba, i ruszyłem do pociągu, w którym dowiedziałem się, że Zen pojedzie o szóstej. Ja więc pojechałem o czwartej i miałem czekać w Leśnikach na Zena i Gienka (Stacha nie braliśmy pod uwagę, bo on nie chciał brać w tym udziału). Jednak w Leśnikach przyłączył się i on do nas. Ponieważ Zen nie pił z powodu — jak twierdził — bólu serca, więc Stach jego zastąpił. Po zakończeniu uczty trochę się czuło. Rok szkolny jest więc, dzięki Bogu, zakończony. Tylko te egzaminy!

Dnia 25 maja 1941 roku, niedziela. A jednak dowiedzieli się. Wczoraj Mamie powiedziała Zenka matka, no i wieczorem dowiedzieli się wszyscy. Ale ponieważ ja wówczas już spałem, więc mnie zaczęli badać dopiero dziś. Nie bardzo dużo z tego skorzystali, a ja dowiedziałem się, że wczoraj Tatuś powiedział, iż na zakończenie roku to nie szkodzi. A dziś mnie mówi, że u nas to wszystko nie tak jak powinno być: inni piją po egzaminach, a my przed. Nie bieduj, Tatusiu! Można i przed, i po.

Jadę do Trok. Po drodze nabrałem trochę przyłaszczek i zawiozłem je na pagórek trockiego cmentarza. Zielono już i ptaszki śpiewają. Pod krzyżem stały w wodzie przyłaszczki, opadłe już trochę. Swoje umieściłem na gałązkach świerku. Gdy byłem tam ostatni raz w zeszłym roku na jesieni, był tam w dole nowy grób. Myślałem, że to Pietruszkiewiczówny. Dziś okazało się, że nie. Postawiony jest pomnik, a na nim figuruje: Ona²⁸⁰ Suśławicziute. Po wyjściu stamtąd pojechałem do Trok. Wróciłem pod wieczór. W Leśnikach zabawa. Ale nie w baraku, tylko w lesie, na zbudowanej tam podłodze. W bufecie jest p. Urbanowiczowa. Był Zen z Marysią. A mnie nie ma ochoty bawić się, tańczyć. Nie wiem sam, dlaczego. Jednakże nie dlatego tylko, że jutro mam egzamin. Smutno i już. Wróciłem o dziesiątej, pouczyłem się trochę ruskiego i spać.

Dnia 26 maja 1941 roku, poniedziałek. Jedziemy do Wilna z biciem serca. Nawet może z przyspieszonym. Przyszedłem do budy i dowiedzia-

²⁷⁹ Schodzące się tory kolejowe.

²⁸⁰ *Ona* — litewska forma imienia Anna.

łem się, że na egzaminie będą tematy, których ja nie będąc na lekcjach, wcale nie słyszałem. Więc Kroppówna poczęła mi opowiadać. Wreszcie po jedenastej (zamiast o dziesiątej) wprowadzili nas do klasy. Był ktoś z komisariatu²⁸¹. Pierwsza odpowiadała Hantzówna. Denerwuje się, jakby na śmierć szła. Wreszcie wyzwał mnie. Z zamkniętymi oczyma wziąłem bilet i siadłem namyślać się. W tym czasie była pauza. Miałem więc 35 minut do namysłu. Potem już tego błata z komisariatu nie było. Był tylko nasz zeks i drugi jeszcze, też z naszej budy. Odpowiadało się, jakby to nie na egzaminie, lecz na lekcji. I zdaje się, że cztery zachylił. Mam jednak szczęście. Połowy nie umiejąc, zdać na cztery.

Dnia 27 maja 1941 roku, wtorek. Egzaminu dziś nie mam. Przychodziła p. Urbanowiczowa z rachunkami z bufetu. Zachodziła do nas. Ja nic się nie uczę. „Co będzie, to będzie”.

Dnia 28 maja 1941 roku, środa. Polski piśmienny. Miało być dyktando, lecz dziś przychodzi zeksica i pisze na tablicy temat: „Dzień 1 maja”. I tu bez tego nie mogli obejść się. Zacząłem bajerować, napisałem przeszło cztery strony i oddałem.

Dnia 29 maja 1941 roku, czwartek. Wczoraj geometrii nie uczyłem się, bo spodziewałem się, że dziś do dwunastej godziny będzie czas. A dziś: przyjechawszy do Wilna (nawet bez spóźnienia), ruszyłem z Lichodziejewskim do budy. Dzień ładny, słońce dobrze przygrzewa. Przyszliśmy, usiedliśmy, nie chowając się od słońca na ławeczce (na boisku) i „uczymy się”. Uczymy się, to znaczy trzymamy na kolanach otwarte zeszyty. Gdyby to wystarczyło! Po kilkunastu minutach przyjeżdżają „Nowowilejki”, czyli Hantzówna, Kroppówna i Pyszyńska²⁸². Ta pierwsza usiadła na ławeczce i udaje pilną. Zaś dwie ostatnie jako bardziej pilniejsze idą do cienia. „Uczymy się” dalej. Twierdzenia same po prostu leżą do głowy, pod zamaszystymi pociągnięciami ołówka padają jedno po drugim zadania, cyrkiel nie ustaje w pracy. Jednocześnie wszystkie trzy chyba głowy (co do jednej — mogę ręczyć) marzą o tym, co będzie po 11 czerwca, gdy egzaminy będą już tylko marą jakąś, która minęła. Z przyjemnością stwierdzają, że słońce dobrze już grzeje, że przyjemnie jest opalać się, siedząc na ławce i czując obok siebie „Nowowilejkę” i chcą (czy chce) odgadnąć, jakie będzie pytanie za kilka godzin w obrzydłej klasie. Pytanie z geometrii!!! Ostatecznie jedna z głów stwierdza (mając za podstawę długoletnie doświadczenie), że przecież ręka nią kierowana ma szczęście i wyciągnie łatwy bilet, z powodu czego nie warto uczyć

²⁸¹ Komisariat — tu: kuratorium.

²⁸² Mieszkały w podwileńskiej Nowej Wilejce.

się. Ale dla zabicia czasu (do egzaminu jest jeszcze około 3 godzin) można zapytać „ją”, jak na przykład „znaleźć w trójkącie punkt, z którego wszystkie trzy boki trójkąta byłyby widoczne pod tym samym kątem”. Do lewego ucha mego dolatuje odpowiedź: „Przeprowadzić dwusieczną kątów”. „Nie” — odpowiadam. „Tak” — oponuje „Nowowilejka”. „A o zakład”. — Co szkodzi wygrać? Podajemy ręce. Lecz o co? „O ćwiartuka”. Cóż zrobić, gdy „Nowowilejka” nie pije? „O piwo” — można powtórzyć to samo. Więc o co? Lichodziejewski jako sędzia podpowiada: „O całusa”. Hantzówna, czyli „Kotek” i „Nowowilejka” w jednej osobie chce wyrwać swą prawą rękę i dopomaga jej lewa. „A, sama przebiłaś!”. „Lichy” jako sędzia domaga się szybszego uregulowania długów. Ja bowiem w kilkanaście sekund udowodniłem (na rysunku, który był kiedyś robiony w klasie na lekcji), że moja prawda. Jednak powiadam, że jestem bardzo cierpliwy, wobec czego Lichy milknie. Po pewnym czasie, po przeniesieniu się do cienia, poczynam: „*Paceluj mienia, patom ja tiebia, patom ty mienia, garaczej agnia, la la la la la, la la la la la, patom wmiestie my razcelujemsia*”²⁸³. (Nie darmo mam cztery z ruskiego i śpiewu). „Kotek” zawstydzony, chce odejść, lecz przyrzekam „że więcej nie będę”. Pyszyńska orzeka, żem w „kimś” zakochany. Och!

P.S. Na geometrii poszło jak po maśle. Jedna ręka moja wyciągnęła, druga narysowała, głowa odpowiedziała, komisja zapisała. Wszystko w porządku. „Opisać koło na trójkącie”. „*Paceluj mienia, patom — la la la...*”

Dnia 31 maja 1941 roku, sobota. Pojechałem rano do Trok, do *kiensa*. Miałem potem o pierwszej wrócić i z Zenkiem uczyć się fizyki. Wróciłem, lecz nie uczyłem się: Zenek pojechał do Wilna. Nocował u nas p. Etmajer, obecny pracownik kooperatywy.

Dnia 1 czerwca 1941 roku, niedziela. Zielone Świątki. Mama, Tatuś i Sławek pojechali do Trok. Ja „uczę się”. Dokonując tego, zabłądziłem do Tali albuma, w którym są fotografie z wyświęcenia baraku. Na jednej z nich jest ona. Jednak, niestety, nie cała. Widoczna jest tylko część twarzy. Patrzałem, patrzałem... Potem, w ogóle nie wiedząc na co, wybrałem fotografie i przewróciwszy na drugą stronę przeczytałem: 30 IV 1939 r. Trzydziestego kwietnia! Dlaczego nie domyśliłem się zrobić tego wcześniej?! Trzydziestego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku! A dziś, po dwudziestu pięciu miesiącach jest także zabawa. Ale jakże inna. I jak to na świecie wszystko szybko się zmienia. Jak ludzi spotyka los, o jakim może im nigdy nie śniło się. Bo czy na przykład mogła Haluś 25 miesięcy

²⁸³ *Pacaluj mienia...* — ros.: Pocałuj mnie, potem ja ciebie, potem ty mnie goręcej niż ogień, potem razem się rozcałujemy. Fragment romansu „*Oczy cziornyje*”.

temu przypuszczać, że zostało jej tylko trzy miesiące życia? Czy mogła przypuszczać, że po czterech i pół w sali, w której wówczas grała muzyka i tańczyły rozbawione pary, i w drugim pokoiku, w którym jej Mamusia przy bufecie była i sprzedawała, otrzymując pieniądze na FON i POP przeznaczone, będą nocować żołnierze polskiej rozbitej armii? Że wówczas to będzie pięcioramienna gwiazda ze wschodu niosła "prawdziwą wolność"? A czy mogła przypuszczać, że po 18 miesiącach, po roku i pół jej ojciec znajdzie się na Łukiszkach? Że wreszcie po upływie miesiący dwudziestu pięciu jej Mamusia będzie także w bufecie sprzedawać, aby na chleb sobie i dziecku zarobić? Że będzie przyjmować należność w największej części za alkohol rublami? Rublami ze „stalinowskim słońcem” i gwiazdą? A zwracać się do niej będą czasem po litewsku. A może? Może coś jej duszy o tym już wówczas mówiło. Może dlatego odeszła stąd, aby nie być zmuszoną patrzeć i widzieć to, czego jej oczy niebieskie znieść by nie mogły. Poszedłem na tę zabawę około dziesiątej. Jest to już druga zabawa odbywana pod gołym niebem. Bowiem w baraku nie ma miejsca. W tej samej sali „czerwony kącik” i spółdzielnia, i „stołówka”, a raczej lokal do rozpijania wódki. Tej idzie najwięcej.

Dnia 2 czerwca 1941 roku, poniedziałek. Ustny z polskiego. Mam szczęście do tych „socjalistycznych tematów”. Trzeba to i z polskiego wyciągnąć: „Życie robotników na podstawie *Powracającej fali* Prusa”. Oczywiście, że trzeba bujać. A że na brak fantazji nie mogę się bardzo skarżyć, więc podobno cztery jest.

Dnia 4 czerwca 1941 roku, środa. Egzamin dopiero o dwunastej. Pojechałem więc na Zwierzyniec. Trzeba bowiem było odstawić tam teczkę. Potem przyszedłem do budy. Wszyscy już byli w szatni. Wreszcie puszczone nas do klasy, w której raptem poczęła lecieć wieść, że Zocha Polakówna umarła na tyfus. Na razie nie chcieliśmy w to wierzyć, łapiąc się kurczowo myśli, że może to pomyłka, bajer itd. Zupełnie tak, jak łapałem się takiej samej w sierpniu 1939 roku, gdy mi na współ jeszcze śpiącemu Romek w stodole oznajmił: „Halusia...” Myślałem, że od Mamy usłyszę słowo „nie”. Lecz usłyszałem: „Tak”. Dziś było prawie tak samo. Przyszli wreszcie zeksy i nasz wychowawca (dziś mieliśmy konstytucję) rozwił nasze nadzieje jednym zdaniem: „Muszę wam powiedzieć pewną bardzo smutną wieść: wasza koleżanka, bardzo dobra koleżanka, jak i uczennica, odeszła. Opuściła nas”. Tak, więc prawdziwe! Potem powiedział kilka zdań na temat pogrzebu, wieńca i koniec. Przystąpiono do egzaminu! Jakby nic szczególnego nie wydarzyło się. Po egzaminie powiada

„Kotek”, że nie może jeszcze w tę wieść uwierzyć. I tak Zofia Polakówna, dziewczynka, która jeszcze kilka tygodni temu śmiała się, uczyła, żartowała, która tak jak wszyscy szykowała się do egzaminów, mimo iż ze mną zakładała się „o pół setki”, że takowych nie będzie, żyła i oddychała, dziś nic nie czuje. Jest nieczuła, zimna... Może i ona przypuszczała, że dla niej tych egzaminów już nie będzie. Już nasza klasa nie będzie rozbrzmiewać twym śmiechem srebrzystym, twymi okrzykami: „Odczepcie się”. Minęło na wieki... „Co minęło, nie powróci”. A kto wie, może ona przed egzaminami, a któryś z nas po egzaminach... Tymczasem zaś męcz się z nimi, ucz się. I po co? Czekaliśmy, póki zda druga grupa. Byliśmy na korytarzu, schodach. Hantzówna, czyli Kotek powiada, że jednak szkoda jej, że to już koniec roku. Że już rozstaniemy się po to, aby z niektórymi spotkać się po dwóch i pół miesiąca, po to, aby z niektórymi rozejść się na zawsze. A potem przejdzie rok, dwa, pięć, zapomni się wreszcie, że kiedyś z takim czy taką większość czasu zawartego w 10 miesiącach spędzono. Może spotka się kiedy dwóch przyjaciół z ławy szkolnej, jeden spojrzy na drugiego, nie pozna i pójdzie dalej, swą drogą życia. „Gdy nasze młode lata szybko przelecą w dal, to w sercu pozostanie tęsknota, smutek, żal”. Wreszcie każdego z nas spotka wcześniej czy później ten los, który spotkał już dziś Polakównę. Wówczas zacznie się właściwe życie!

Dnia 6 czerwca 1941 roku, poniedziałek. Niedziela minęła i znowu do Wilna. Piśmienny z algebry. Przewalił się już i ten. Dzięki Bogu! Potem Karabon²⁸⁴, mój sąsiad z ławki i najzaufańszy kolega, przyniósł do budy próbną fotografię, robioną w sobotę na zakończenie roku (24-go). Fajnie wyszła. Poszliśmy więc potem zamawiać odbitki, a tego dokonawszy, ruszyliśmy na Mickiewicza w poszukiwaniu błon fotograficznych. Wszędzie jedno pytanie i odpowiedzi: „Są błony do apar... — Nie, nie ma. — A będą? — Będą. — Kiedy? — Nie wiem”. Opowiadał „Karabin” przebieg wczorajszego pogrzebu. Powiada, że kupili ładny wieniec i poszli całą klasą na Rossę, do kostnicy. Tam pozwolono im jeszcze po raz ostatni rzucić okiem na twarz siną niedawnej koleżanki w nauce i psotach, ściąganiu. A potem zamknięto ją na wieki i trumna, spoczywszy na barkach sanitariuszy ruszyła na miejsce przeznaczenia. Było dwu zeksów: wychowawca i Litwin, Petras Ažuolas. Gdy na cmentarzu odmawiali modlitwę, wychowawca stał, zaś Litwin wraz ze wszystkimi klęknął, przeżegnał się. Jednak z niego zdaje się fajny malec. Więc już ją pożegnali. Już ją przykryła ziemia — na zawsze!

²⁸⁴ Kolega z klasy, przezywany „Karabin”, po wojnie zamieszkał we Wrocławiu.

Szybko się wszystko na świecie dokonuje. Dawno to jeszcze się śmiała, rozmawiała. Było i minęło...

Dnia 7 czerwca 1941 roku, sobota. Na egzamin jadę, nic nie umiejąc. I nic się nie uczę. Przesiedziałem do dwunastej obok „Nowowilejki”, która zakuwała na moc i potęgę. Przyglądałem się temu z pogardliwym uśmieszką. Lecz po egzaminie mogły się one uśmiechać. Już znaczy mamy osiem poza sobą, lecz jeszcze dwa przed! Oby się prędzej przewaliły! Oby prędzej można było swobodnie odetchnąć, nie mając przed sobą biologii czy fizyki. Żeby można było coś robić, nie obawiając się, że ściągnie się przez to jedną dwójczkę więcej do notesika zeksa. A nie powiedziałbym, że chce się go zbyt obciążać. A na placu zdaje się fajna praca jest. Zen wyciągał po 10 rubli dziennie. A jednak... A jednak potem, gdy już ta biologia i fizyka przyłączy się do „ośmiu” — żal chyba będzie tych murów starych i grubych, tych młodych i cienkich, i w ogóle tego, co minęło. A szczególnie tych lat, lat... Tych beztroskich, sielskich, anielskich. No trudno, taka już jest konstrukcja ludzkiej natury. Gdy jest, to nie docenia, gdy minie — żałuje. I mimo że ludzkość myśląca liczy kilka tysięcy lat, to jednak ci, którzy już mają za sobą lata i doświadczenie, nie mogą nauczyć młodszych, z latami przed sobą, jak właściwie żyć trzeba. Dopiero każdy musi iść sam i przekonać się, że zamiast domniemanych róż kolce można znaleźć, zamiast szukanych idei — stuprocentowe rozczarowanie. Lecz nie zrażajmy się!

Dnia 9 czerwca 1941 roku, poniedziałek. Egzamin dopiero o dwunastej. Mając więc rano trochę czasu, pojechałem na Zwierzyniec. Posiedziałem tam trochę i do budy. Słońce świeci, mocno grzeje, drzewa zielone. Idąc tak Mickiewicza i nie patrząc na wystawy, może się nawet zdawać, że mamy rok 1939. W byłym gimnazjum im. E. Orzeszkowej trwają egzaminy. Tylko ta jest różnica, że zdają tam uczniowie gimnazjum Zygmunta Augusta, bo ich budynek jest zajęty pod szpital. Zaś dwa lata temu w takie same dni jasne i ciepłe przechodziła przed tym budynkiem Ona — Haluś, by potem w tych murach swą wiedzę pokazać. Wówczas egzaminy i teraz. Tylko jakże odmienne tematy na nich poruszane. I pośród tych zielonych drzew, nad drzwiami budynku powiewa czerwona chorągiew, zaś z boku przybita tablica: „Wileńska szkoła średnia im. W. Lenina” — głosi czarny napis w języku rosyjskim.

Dnia 10 czerwca 1941 roku, wtorek. Egzamin ostatni odwalony. Mamy więc już wszystkie dziesięć za sobą. Czuje się człowiek wolnym, swobodnym. Ostatni dzień tych wysiłków i już spokój. Żegnajmy się z klasą, z całą budą. Trzeba będzie przyjść jeszcze do niej po świadectwa i koniec. Egza-



*Pożegnalne zdjęcie w podwórzu Gimnazjum im. Adama Mickiewicza.
Autor stoi w środkowym rzędzie czwarty od lewej.*

min był już zakończony, a jednak nie rozchodzili się jeszcze do domów. Jeszcze wszyscy siedzieli grupami na korytarzowych oknach, na dole w szatni i na schodach i rozmawiali, żartowali, śmieli się. Jeszcze tylko raz czy dwa zobaczymy się i koniec. A potem wszyscy z tej klasy rozejdą się. I zapomni się, że byli w niej: 1. Aleksandrowicz Ali, który od Bożego Narodzenia przeniósł się do popołudniówki, 2. Arcimowicz Wacław, 3. Aszakówna Jolanta, 4. Bartoszewiczówna Sabina, chyba najdumniejsza ze wszystkich dziewczynek, o największym o sobie mniemaniu i minach księżniczki, 5. Bartoszkówna Halina, która z Grodna w zimie przyjechała, jedna w klasie drugoroczna (została na drugi rok jedna z całej klasy), 6. Ciapara Jerzy — nasz gospodarz, 7. Diczkaniec Piotr, 8. Jałowiecka Leokadia i 9. Jegier Aleksander, ci dwoje, którzy w lutym do Niemiec wyjechali, 10. Gajewski Napoleon, 11. Gryniewiczówna Stanisława, 12. Hantówna Halina — „Kotek, Koteczek, Kociątko” i jedna z trzech „Nowowilejek” w jednej osobie, 13. Heicz Jerzy, 14. Kanclerzówna Maria — od Bożego Narodzenia prawie — chorowała, 15. Karabon Iścisław, mój sąsiad z ławki i najbliższy przyjaciel, 16. Kolendo Zbigniew, 17. Konstantynowicz Jan, 18. Kroppówna Halina, pospolicie nazywana „Kropką” lub po prostu „Punktem”, druga z „Nowowilejek”, 19. Lebecka Danuta, dla

czarnej swej cery „Murzynem” nazywana, 20. Legawiec Ryszard, nasz prymus, pod koniec roku chory i przepuszczony bez egzaminów do ósmej klasy, 21. Lichodziejewski Henryk, 22. Moczulski Henryk, 23. Norkiewicz Mieczysław, 24. Nuszek Aleksander, 25. Pawełczykówna Stanisława, 26 i 27. Janusz i Jerzy Piotrowscy, 28. (tu następuje moje nazwisko), 29. Płodowski Zbigniew, jeden z lepszych uczniów, 30. Polakówna Zofia, którą wszystkie koleżanki i koledzy na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzili, 31. Pyszyńska Regina — trzecia „Nowowilejka”, 32. Sienkiewicz Jerzy — największy amant, 33. Siudek Antoni, 34. Skowroński Eugeniusz — rodem z Landwarowa, bałagańszczyk²⁸⁵ i gimnastyk — pierwsza klasa!, 35. Styczyńska Anna, 36. Symonowicz Henryk, 37. Sztutas Eugeniusz, przez dziewczynki „Żrebakiem” nazywany, 38. Urbanowicz Władysław, 39. Zabulewicz Czesław, nasza chluba artystyczna, malarz, którego dwa wielkie rysunki zdobiły naszą klasę i którego gruby brulion zdobiły podobizny wszystkich prawie naszych przedstawicielek płci pięknej, 40. Żmijewska Jadwiga. Czterdziestu ich było. Czterdziestu rozejdzie się w świat, każdy swoją drogą. Ale na razie trzeba iść jeszcze biegać. Poszliśmy z gimnastykiem na Zakret i zrobiliśmy tam setkę i tysiąc. Potem poszedłem na Zwierzyniec i z Gabrysiem przyjechałem do Leśnik. Ten już od kilku miesięcy wybierał się do nas, aż wreszcie dziś jego marzenia spełniły się. Ja skończyłem naukę.

Dnia 11 czerwca 1941 roku, środa. Pojechałem jeszcze do Wilna. Zaszedłem do budy. A tam jeszcze męczą się z tymi egzaminami. Och! Jakże szczęśliwym czuje się człowiek, gdy pomyśli, że to już nie stoi przed oczyma mara geografii, konstytucji, litewskiego... Jednak nie osiągnąłem dziś swego celu. Było nim: znaleźć Kowalunasa (basa w chórze i sympatii „Kropki”) i poprosić u niego o słowa jakiejś pieśni. Kropce bowiem chodzi o zdobycie próbki charakteru jego pisma. A ja zyskałem na tym fotografię!

Dnia 12 czerwca 1941 roku, czwartek. Boże Ciało. Pojechałem z bzami do Trok. W nocy wypadł deszcz. Powietrze jest lekkie, pachnące mokrą trawą i liśćmi. Tak samo na drodze, tak i na cmentarzu. Wróciłem do domu i pocałem razem z Talą, która jest dziś w domu, gracować ogródek. Raptem zjawia się Zenek i powiada, że chcą oni dziś urządzić oblanie egzaminów. Dwie ćwiartki spirytusu miałem już od rana. A że nie było czym zagryzać, więc poszli do Trok i przynieśli. Ulokowaliśmy się w bufecie i lu! Pod koniec to nawet trochę poczuło się. Ponieważ zaś podłoga do tańca jest darmowa, a orkiestra także (Józef Czerwiński miał harmonię)

²⁸⁵ Bałagańszczyk — rozrabiaka.

i dziewczynki były na miejscu, więc można było i potaćczyć. „Żyjmy więc, póki czas, może jutro nie będzie nas”.

Dnia 13 czerwca 1941 roku, piątek. Trzeba do budy. Mieli niby wydać świadectwa, ale trzeba poczekać jeszcze do 17-go. Do wtorku. Zaś w poniedziałek klasa urzęda wycieczkę do Werek i następnie do Zielonych Jezior. Zeks bardzo żałuje, że nie można dostać błon fotograficznych. Powiada: „Zostały wykupione, a kiedy nowy transport przyjdzie — nie wiadomo”. Idioto ciemna! Mogę ci zaręczyć, że nieprędko. Nie bardzo się nimi pocieszysz. Ja chyba na wycieczkę nie pojadę, bo kombinuję od poniedziałku na pracę. Jeszcze we wtorek zobaczymy się i...

Dnia 14 czerwca 1941 roku, sobota. A może i nie. Bo dziś zaczął się ruch. Jeny wagony okratowane suną po szynach, a samochody po drogach. Piątek z rodziną, Nowacki z rodziną, Kucewicz to samo²⁸⁶. Kto wie, może dzisiejszej nocy oni, a jutrzejszej — my. Może spotkamy się z którymś z owej czterdziestki aż hen! o dziesiątki tysięcy kilometrów od Wilna. Ale tymczasem Piątkówna wyjechała, a do kancelarii trzeba pracownika. Pan Lewin obiecał, że od poniedziałku weźmie mnie (o ile doczekamy).

Dnia 15 czerwca 1941 roku, niedziela. Jakoś jeszcze żyjemy. Jeździłem do Trok. Na zapasowym torze stoi 8 zwykłych, towarowych wagonów. Po peronie chodzą ludzie w zielonych czapkach. W rękach mają karabiny z cienkimi bagnetami. Przeciw komu? Po co są te karabiny i bagnety? Te zwierzęce postacie spacerujących. Czyżby przeciwko tym, co siedzą w wagonach bez wody, jedzenia, chleba? Tyle tylko, co im przyniesie jakaś miłosierna postać. Da i ucieka.

Dnia 16 czerwca 1941 roku, poniedziałek. Idę więc do roboty. Do roboty, o jakiej rzadko się marzyło: siedzę w kancelarii i piszę, rachuję, kubizuję²⁸⁷. Ale gdyby ktoś podliczył całą mą robotę, otrzymałbym zapłatę, około dwu rubli. Za dwie godziny. Ponieważ takiego nie można znaleźć, więc liczy się osiem godzin i płaci się za tyleż dniówkę. Wszystko w porządku. No bo przecież „pracuję”. Wieczorem była p. Urbanowiczowa z Danusią. Powiada, że jest już całkiem przygotowana do wyjazdu. Mówi o tym wyjeździe tak, jakby otrzymała już o nim jakieś pewne zawiadomienie. Wychodząc, chciała coś powiedzieć i zapłakała. Odwróciła się na chwilę, szybko się opanowała i całkiem już spokojnie powiada, że „w razie czego” może w lipcu wysłać Tatuś 10 rubli dla p. Urbanowiczowa. Gdy wyszła, dopędziłem ją na drodze i dałem fotografię otrzymaną od Matejuna:

²⁸⁶ Mowa o aresztowaniach i wywózkach.

²⁸⁷ Kubizować — obliczać objętość drewna.

Halusia w trumnie. Jej może się bardziej przyda niżli mnie. O 8⁰³ jadę do Wilna. Jutro trzeba do budy. Po cóż więc mam nocować na piwnicy²⁸⁸, jak to było nocy zeszłej, gdy mogę wypaść się porządnie w Wilnie. W tym samym wagonie jechali sowieccy żołnierze. A z nimi jakieś kobiety. Śpię, jakby ich ze skóry obdzierano. W tym samym przedziale jechały trzy Litwinki i dwie bolszewiczki. Gdy w drugim końcu wagonu zaczęły wyć, ruskie milczą, a Litwinki poczynają także nucić, potem przyśpiewują, aż w końcu na dobre przyśpiewują. Czort ich wie, czy się one chcą podlizzać, czy już aż na tyle są zaślepione. Ale jednak, gdy w Landwarowie zobaczyły wagony z okratowanymi okienkami, do których podjeżdżał parowóz, zaś na peronie tłuma ludzi, osiadły trochę, miny trochę rozjechały się. W Wilnie także biorą. Do Abkowiczów kilka razy zajeżdżali, kogoś szukając, ale gdy spostrzegli swą pomyłkę, wracali z powrotem. Poszliśmy więc z Miszkem do miasta. Ponieważ zaś nie ma w kawiarniach wódki, trzeba było zadowolić się piwem. *Wsio rawno*²⁸⁹. Łada dzień po niedzieli może się rozjeździemy na zawsze.

Dnia 17 czerwca 1941, wtorek. Do budy po świadectwa, a potem na Pióromont²⁹⁰ na olimpiadę. Ponieważ spóźniłem się, więc świadectwa nie dostałem i musiałem iść ze wszystkimi na całą tę olimpiadę. A tak bym najechał. Wychowawca miał dać potem. Lecz z Pióromontu gdzieś najechał, świadectwa zaś u niego w szufladce. Pojechałem więc i nic nie skorzystałem. Oprócz tego, że się raz jeszcze zobaczyło ze swymi koleżankami i kolegami. Nie wszyscy już byli. Może niektórzy siedzą w wagonach. No nie! Rozeszliśmy się w Wilnie, możemy się spotkać w Ałma-Acie, Frunze itp. z „Nowowilejkami” czy z kimś.

Dnia 20 czerwca 1941 roku, piątek. Praca wre. W kantorze nie mam roboty na całe osiem godzin. Toteż poszedłem na tartak. Praca wre pełną parą. Maszyna sapie, podryguje z wielkiego rozpędu. Tłoki jeżdżą po naoiliwionych łożyskach, tam i z powrotem, tam i z powrotem, koła rozpędowe kręcą się. Potem transmisje, transmisje i gatar. Piły jeżdżą w dół i do góry z szaloną szybkością. Za każdym jej ruchem sypią się w dół opiłki. Kłoda, popychana czterema zębatymi walcami sunie naprzód. Poprzez głuchy szurgot pił od drzew przebijają się cienki, dzwoniący jęk krajzy²⁹¹, przebijająca się swymi dwoma okrągłymi piłami przez jądro desek. Spod obu pił

²⁸⁸ W obawie przed wywózką przez Sowietów rodzina Pileckich nocowała poza domem, w ogrodzie, nad pomieszczeniem piwnicznym.

²⁸⁹ *Wsio rawno* — ros.: wszystko jedno.

²⁹⁰ Pióromont — dzielnica Wilna.

²⁹¹ Krajza, krajzega — piła tarczowa.

sypią się w dół opłuki. W niektórych godzinach daje się słyszeć jeszcze cieńszy głos: szmergiel jeździ po zębach piły. Wprawdzie ręka maszynisty podsuwa mu coraz to nowe i nowe. Powietrze przeszywa ostry dźwięk, a pod szmerglem można w biały dzień, na tle jasnych promieni słońca zauważyć nieprzerwany strumień czerwonych iskier. Wszędzie tempo, tempo i jeszcze raz tempo. Pracy.

Sowiecko-niemieckie stosunki nie są zbyt wyraźne. Przynajmniej Londyn dzień w dzień tak mówi. Niemcy skoncentrowali na granicy 110 dywizji wojska. Sowiety także pchają wojsko na granicę, mówiąc, że to „na manewry”.

Dnia 21 czerwca 1941 roku, sobota. Przyszedł z Trok stryj Awja²⁹² z Simkiem²⁹³ i Maniusiem²⁹⁴ oraz Simka Juchniewicz²⁹⁵. Poszli wieczorem. Natomiast przyjechali Litwini z nadleśnictwa „na raki”. Jednak wzięli tyle wódki ze sobą, że chyba sami będą raków udawać. Pojechali do Opaciszek na jezioro. I mają w nocy łapać raki!

Dnia 22 czerwca 1941 roku, niedziela. Koło godziny dwunastej przyjechali „z raków”. Widzieli ich tyle, co i ja. Po dzienniku o dwunastej z Moskwy przemawia Mołotow. I oto co oznajmia: „Niemieckie samoloty zbombardowały miasta rosyjskie. Było to o godzinie czwartej rano. O piątej niemiecki poseł w Moskwie wręczył Mołotowowi wypowiedzenie wojny”. Więc już! Dzień 22 czerwca to data historyczna. Wojna! Wojna! Słowo krótkie, złożone tylko z pięciu liter. Ale to nie zwykłe litery, wypisane farbą drukarską czy atramentem. To słowo, którego każda litera jest wypisana innym materiałem, każda litera co innego zawiera. Pierwsza: „w” — to jeszcze błyszczące kolumny wojska, czołgi, sunące na swych gąsienicach po drodze ku granicy, to samoloty wyciągiwane z hangarów i ładowane bombami. Druga „o” to pierwszy przelot nad granicą, pierwsze salwy, pierwsze serie, pierwsze trupy, bomby. Trzecia „j”, to walki, stosy trupów, stosy połamanej broni, samochodów, czołgów. To ciągłe bombardowania z samolotów i armat, pożary, trupy... Czwarta „n”, to już nadludzkie zmagania się, coraz więcej lejów po bombach, coraz więcej krwi, coraz większe zniszczenie, głód, chłód. Już armie ważą los zwycięstwa. Komu i kiedy przypadnie. Dopiero piąta i ostatnia „a”, to już koniec. Po kilkuletniej wojnie ludzie mogą spokojnie odetchnąć. Mogą kłaść się spać bez obawy, że im w nocy na głowę bomba spadnie. Dziś zaczął się drugi akt wojny niemiecko-sowieckiej. Już latają samoloty. Nad Wilnem słysząc wybuchy, tak

²⁹² Awja Pilecki (1893–1962), syn Szymona, zarządca w Malowance, brat ojca autora.

²⁹³ Szymon Pilecki (ur. 1927), syn Awji, brat cioteczny autora.

²⁹⁴ Emanuel Pilecki (1936–1989), syn Awji.

²⁹⁵ Szymon Juchniewicz (ur. 1927), syn Józefa.

samo jak 22 miesiące temu. Pan Lewin przyjechał z Wilna i mówi, że Niemcy zbombardowali Porubanek²⁹⁶. Jenó kłęby dymu widać.

Dnia 23 czerwca 1941 roku, poniedziałek. Drugi dzień wojny niemiecko-sowieckiej. A już drogą przy Strakiszkach suną niemieckie czołgi. Jeden Niemiec przyjeżdżał do nas po wodę. Młody szczeniak, może dwiętnastoletni, jedzie przez las, w którym pełno jeszcze jest sowieckich żołnierzy, nawet bez karabinu. Pod wieczór zaczęła się niedaleko wałynka²⁹⁷. Powietrzem wciąż wstrząsają coraz to nowe wybuchy. Tatusz jeździł na skraj lasu i powiada, że widać jak na dłoni, jak palą się wsie.

Dnia 24 czerwca 1941 roku, wtorek. Bolszewików już nie ma. Zginęli gdzieś, jakby ich kto miotłą wymiotł. Szwendają się tylko niedobitki czerwonej armii po lasach. Chodzą głodni, bez ducha. To tylko z Moskwy drą się: „Nasza niezwyciężona armia”. Tymczasem „niezwyciężona” rozpadła się w ciągu trzech dni. „Niezwyciężeni” chodzą po stronach²⁹⁸ i proszą chleba. A jednak żal, gdy się na któregoś zobaczy. Oczywiście nie na politruka czy enkawudzistę, ale na tego prostego, niewinnego szeregowca. Bo i on szedł pod batem. Opowiadał jeden, że 15-go wzięli go do wojska, a 22-go zaczęła się wojna. Nie wie, jak trzymać karabin, którym końcem strzelać. Wszak oni przez 20 lat czekali na tę wojnę! Jakaż jest różnica między żołnierzem niemieckim a sowieckim: jeden jedzie wypasiony jak kaban, zażera biały chleb i konserwy, a drugi, chudy jak deska, dwadzieścia lat cierpiał głód, na końcu popadłszy do wojska, dostał słonej, czarnomorskiej ryby. Został nazwany niezwyciężonym i posłany na front. Przez dwa lata jechali na zachód, wieźli armaty, czołgi, karabiny... A gdzież się to podziało teraz. To mi organizacja!

Dnia 26 czerwca 1941 roku, czwartek. Minęło dwa lata! Minęło dwa lata od tej ostatniej majówki nad jeziorem w Opaciszkach. A dziś, dziś, po tych dwóch słonych roczkach można tylko myślać jakoś przebijać się przez nawał tych 731 ciężkich dni. Minęło, by nie powrócić, minęło, by zatrzeć się w pamięci. Ładny był dzień. Słońce i wiatr, potem deszcz, cisza, znowu słońce. Łódką z jednym wiosłem i z drugiego połową przez trzciny, przez żółte lilie. Lilie na długich badylach w łodzi. A potem badyle w tych rączkach, które po trzydziestu ośmiu dniach stały się blade, bladziutkie, a żółte płatki kwiatów na mych plecach, ramionach. Cóż, żółte płatki na

²⁹⁶ Porubanek — potoczne określenie lotniska w Wilnie, od nazwy pobliskiej wsi (obecnie dzielnica Kirtimai).

²⁹⁷ Wałynka — bitwa, potyczka.

²⁹⁸ Po stronach — tu: opłotkami, ukradkiem. Głodni żołnierze radzieccy prosili ludność cywilną o chleb.

badyłach umieszczonych w Jej rączkach zmusiły ręce, które dziś piszą te słowa, do odwrotu. Półtora wiosła poczęło manewrować, łódź zawróciła i pojechała między trzciną i żółtymi kwiatami do brzegu. Hej, czasy, czasy minione! Hej, wy, dwa lata, wy 731 dni!!! Gdybyż można było was cofnąć. Cofnąć nie na długo. Na tyle, by móc jeszcze raz przeżyć dzień 26 czerwca 1939 roku. Dziś, po upływie 731 dni od tej chwili na prośbę p. Etmajera, naszego „kooperatiwuszczyka”²⁹⁹ poszedłem do kooperatywy pomagać mu sprzedawać. Ludzie to jednak nachały. Łazą na głowę po prostu, cisną się, pchają. Była i pani Urbanowiczowa. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę oczekuje powrotu męża. Niektórzy bowiem wracają do domów.



Zniszczony czołg sowiecki przy drodze na Bobrówkę.

Dnia 28 czerwca 1941 roku, sobota. Wybrałem się do Trok do *kiensa*. Przed słupem spotkałem ciotkę Tamarę Firkowiczową. Pyta mię, czy to prawda, że p. Urbanowicz wrócił. „Pierwszy raz słyszę o tym” — odparłem. Koło poczty Romka Ławrynowicz zadaje to samo pytanie. Babunia też słyszała o tym. Gdybyż to było prawdą. Do domu wracałem z Miszkiem. Po drodze wleźliśmy do sowieckiego czołgu³⁰⁰. Idę i wyobrażam sobie: „Zacho-

²⁹⁹ Kooperatiwuszczyk — z ros.: członek kooperatywy, spółdzielni pracy.

³⁰⁰ Przy wjeździe do Trok stał zniszczony przez Niemców czołg.

dzę do pokoju i widzę p. Urbanowicza. Siedzi i opowiada”. Albo: „Siedzi p. Urbanowiczowa. Tak samo jak przedtem zmartwiona. Na pytanie, czy p. Urbanowicz wrócił, odpowiada: «Ciągle go czekam»”. Dwa obrazy, jakże od siebie odmienne. Jeden to już wszystko w porządku, drugi — daleko do tego. Wróciwszy do domu, na pytanie to usłyszałem odpowiedź zbliżoną bardzo do obrazu drugiego. Więc trudno, trzeba jeszcze czekać.

Dnia 30 czerwca 1941 roku, poniedziałek. Zaszedłszy pod wieczór do pokoju, zastałem w nim p. Urbanowiczową. Mówiła właśnie, że chyba popadnie do domu wariatów. Żeby to przynajmniej wiedzieć, co z nim. Wywieziony czy nie. O piątej (żyjemy już według czasu niemieckiego) — Londyn. Na początku oznajmili, że wielki Polak, muzyk i polityk w jednej osobie, Ignacy Jan Paderewski życie zakończył. Umarł na posterunku, na obczyźnie (w Ameryce), walcząc o wolność „naszą i waszą”. Następnie podano z płyty przemówienie wygłoszone przez niego przed ośmiu dniami. Z głośnika wydobywają się słowa, które zostały wypowiedziane 8 dni temu głosem, który już dziś nie żyje. Głos stary, słaby... Lecz słowa! To słowa mocne, stalowe. Słowa, które przypominają Kazachstan, Gestapo, które mówią o postawie Polaków, o ich niezłomnej woli, nieugiętym duchu. Przy aparacie siedzi postać. Głowa schylona ku ziemi, na siwiejących już włosach — czarna, żałobna wstążka, zawiązana w kokardkę. Wstążka, kto wie, może symbolizująca żałobę już potrójną: pierwsza — to Polska, druga — Haluś, a trzecia może — pan Zygmunt. W ręku nosówka³⁰¹, co chwila dotykająca niebieskich oczu. Po skończonym przemówieniu głowa podnosi się. W oczach są łzy. A usta mówią: „Nie, ducha polskiego nie złamie nikt, ni NKWD, ni Kazachstan, ni Gestapo, ni Sybir”. I mnie łzy naszły do oczu, gdy patrzę na tę twarz bohaterki, na oczy zaszłe łzami, oczy krzyczące na świat cały: „Chociażbyście mieli siłę tytanów, nie złamiecie, pierony”. Potem mówi p. Urbanowiczowa, że w nocy spać nie może. Ciągle czeka i czeka. Byle stuk, już się zrywa, nasłuchuje: może to on. Lecz za każdym razem — nie. Ciągle zerka w okno, lecz za każdym razem nie może dojrzeć — jego. Wyobrażam sobie to uczucie, tę mękę duchową, tę walkę nerwów między sobą — i wszystko ciągle, dniami i nocami, bez końca... O Panie! Spraw, aby zerwawszy się któregoś razu, ujrzała we drzwiach — Jego!

Doszły do nas wieści, że w Trokach znaleziono spisy tych, którzy mieli być załadowani do wagonów. Oczywiście między innymi byliśmy tam i my. Więc siedzielibyśmy w tych wagonach i my, i p. Urbanowiczowa

³⁰¹ Nosówka — chusteczka do nosa.

z Danusią, i setki, tysiące innych. Szczęściem dla nas — wybuchła wojna³⁰². Enkawudziści sami załadowali się.

Dnia 1 lipca 1941 roku, wtorek. Pani Urbanowiczowa chodziła dziś do Landwarowa. Bowiem p. Żaliński, ten sam, który kilka miesięcy temu został zabrany przez sowieckich milicjantów z placu w Leśnikach, powrócił do domu. Chciała więc p. Urbanowiczowa coś od niego dowiedzieć się. Ale i z tego nic. W sprawie p. Urbanowicza niczego się nie dowiedziała, oprócz tego, że był on przesłuchiwany razem z p. Żalińskim. Ale to już bardzo dawno. Co z nim teraz, nie można zgadnąć. Czy wywieziony, czy rozstrzelany, czy może gdzieś idzie, dobierając się³⁰³ o żebraczym chlebie do domu. Bo cóż można zgadnąć z takiej mieszaniny: na przykład p. Żaliński wydostał się z wagonu. Był już załadowany i wraz ze swymi towarzyszami niedoli czekał na odjazd. Ponieważ kolejarze wiedzieli, o co chodzi, nie bardzo spieszyli z podaniem parowozu. Wreszcie enkawudzistom zrobiło się za ciepło, więc porzuciwszy swój posterunek, uciekli. Wówczas więźniowie zostali uwolnieni. Jednak strażnicy, skombinowawszy widać, o co chodzi, wrócili i tych, których zastali jeszcze, porozstrzelali. I zgadnij, do której grupy należał pan Zygmunt. Może siedzi jeszcze w jakiej celi, może w wagonie czerwonym zdąża na południowy wschód, a może jego dusza połączyła się już z Halusią. Bóg to jeden wiedzieć może. A tymczasem tym, którzy jeszcze żyją, tym, którym imię „Zygmunt” jest drogie, coraz bardziej rozstrajają się nerwy, coraz na sercach ciężej. Ha! Trudno, już taki widać nasz, istot zamieszkujących glob, jest los. „Życ i przygotowywać się do innego życia, cierpieć”.

Dnia 3 lipca 1941 roku, czwartek. Od samego rana mieliśmy gości: Niemcy. Przyszli rano i koniecznie daj im pięć kur. Mama wytargowała na dwie. Ale to nie koniec. Przyszli potem znowu. I znowu chwycili cztery. Pod wieczór przyszli szukać świń. Gdy tego nie znaleźli, przyczepili się do krów. Koniecznie pokaż im, gdzie się one pasą. Wreszcie poszli sami i złapali Kułakowa ciełuszkę, za którą dali pastuchowi 30 fenigów. Śmiechu warte! Jednak potem poszli do nich, to wypłakali 20 marek. Ale niech zabierają. W każdym bądź razie lepiej oddać tu, niżeli byłoby to wszystko zostawić i wyjechać do Kazachstanu. Niech zabierają, byleby zostawili tyle, aby można było przeżyć jakoś. Byle do końca wojny przetrzymać. A potem porozmawiamy!

³⁰² Chodzi o wojnę niemiecko-sowiecką.

³⁰³ Dobierać się — dojeżdżać, docierać, dostawać się.

Dnia 4 lipca 1941 roku, piątek. Pierwszy *urucz*. Do Trok jednak nie ma jak iść. Pełno wszędzie wojska. Na *zierat*³⁰⁴ też chyba nie pójdą. Pan Etmajer przyszedł dziś robić koniec z kooperatywą. Jeszcze rozprzedał trochę szmalcu³⁰⁵, kawy i herbaty. Kupiłem szmalcu dla p. Urbanowiczowej i zawiozłem go jej. Spytałem, czy nie ma żadnych wiadomości. Owszem, są! Lecz nie chciałbym w ogóle takich słyszeć. Powiada p. Urbanowiczowa, że dostała wiadomość, na której zgodność z prawdą może liczyć. Wiadomość ta mówi: tych wszystkich, których nie zdążyli załadować do wagonów, rozstrzelano na Łukiszkach. Wyprowadzono wszystkich na plac spacerowy, ustawiono w szeregi, a karabin, kierowany ręką bolszewickiego zbira, rozdał jednakową porcję ołowiu dla wszystkich. Po chwili całe szeregi podrygiwały w ostatnich agonii śmierci na spacerowym placu. Według wszelkiej możliwości w szeregu tym znajdował się i p. Urbanowicz. Tak, więc tych, których nie załadowano, spotkał cięższy los. Nie ujrzą już nigdy ani żon, ani swych dzieci, ani Wolnej Ojczyzny. A teraz z Moskwy podają pięć razy dziennie dziennik po polsku. Teraz! Teraz te pierony opamiętały się. W drugim dniu wojny uciekali. Oni, którzy drwili z „polskich panów”, uciekali o wiele wcześniej niż „polskie pany”. Ale uciekali nie tak samo. Na pamiątkę po sobie zostawili trupy niewinnych ludzi. Jednych podusili w wagonach, drugim dali porcję ołowiu, trzecich wysłali na głodówkę w słone stepy Kazachstanu. A potem dopiero wybrali się sami. Oby ich bomby niemieckie nie ominęły! I teraz, teraz te zbiry krwawe, te bolszewickie, czerwone złodzieje, te bandyty pierońskie, teraz oni pięć razy dziennie krzyczą swymi zalanymi krwią niewinnych ludzi gardłami do narodu polskiego. Pięć razy dziennie pchają jeszcze ludziom tę parszywą obłudę. Nawołują do wojny z Niemcami, do niszczenia niemieckich czołgów, do partyzantki. A spytać, za co to? Za ich czerwone, zalane krwią ludzką sztandary. Czy może, według obłudnych słów Moskwy, „za wolność narodów”. Owszem, niszczyć niemieckie czołgi z hasłem „za wolność narodów”, ale nie takich, które swą wolność chcą czerpać z Kremla. Pięć razy dziennie wołają „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Tak, łączcie się dokoła partii bolszewików. Bolszewików, strzelających niewinnych ludzi w więzieniach, duszących w towarowych, świńskich wagonach. Łączcie się, ale nie dokoła partii! Jeszcze jedno: nawołując do walki z Niemcami, obiecują wolną ojczyznę Polakom. Oni, którzy szli wyswobadzać narody zachodniej Ukrainy

³⁰⁴ *Zierat* — karaim.: cmentarz karański. Zgodnie z tradycją w pierwszy *urucz* (post) Karaimi w Trokach odwiedzają cmentarz.

³⁰⁵ Szmaliec — gwar.: smalec.

i Białorusi spod „jarzma polskich panów”, teraz im obiecują wolną, potężną Polskę. Dają słowo, ciekawa polityka. Jeden idzie wyswobadzać, a drugi ujarzmiać. Obaj idą pod czerwonymi sztandarami, obaj wołają „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Teraz rozumiem: jeden w Polsce mordował, a drugi z Moskwy krzyczy: „To nie szkodzi. To dla waszej wolności!”. Pierony, zbiry i złodzieje w jednej osobie mieszczące się! Osoba idąca pod czerwonym sztandarem! Osoba walcząca o wolność narodów, o lepszy świat, o zniesienie uścisku klas pracujących, a jednocześnie o ujarznienie ich i oddanie pod władzę NKWD, drzyj!!! Wyśługiwana przez 23 lata kara zbliża się! Bóg wysłuchał i zrozumiał krzyki żon i dzieci, wołających o sprawiedliwość. Drzyjcie, celownicy karabinów maszynowych.

Dnia 5 lipca 1941 rok, sobota. Poszedłem razem z Talą do Trok. Byliśmy na *tiefinla*. Rudziskim traktem idzie pełno wojska. Same tabory: wozy z budami, zaprzężone w parę koni. Koła grzęzną w piasku, konie męczą się. Z tego powodu dużo u kogo pozabierali koni, zostawiając w zamian swoich. Już nie słychać tu wybuchów. Ani bombowych, ani armatnich. Front lotem błyskawicy przesunął się na wschód, na ziemie rosyjskie, gdzie nad rzeką Berezyną „niezwyciężona armia czerwona” po raz pierwszy stawiała większy opór najeźdźnikowi. Wojna! Wojna!

Dnia 10 lipca 1941 roku, czwartek. Dzień upływa po dniu, bez żadnych nowości. Gorąco, że ledwo można wytrzymać. Dochodzi do 40°C. I w ogóle nic nowego. Na froncie także. Niemcy nie podają żadnych komunikatów, zaś Sowiety głoszą o odpieranych atakach, o dziesiątkach zбитych³⁰⁶ samolotów itd. Ile w tym jest prawdy, a ile blagi — nie można skombinować. O p. Urbanowiczu nic nowego nie słychać. Tylko do Wilna przywieziono z Mińska kilkanaście wagonów poduszonych ludzi. Tych podobno, których stąd chwymano. Pani Urbanowiczowa miała iść do Wilna w celu zasięgnięcia jakichś wiadomości. Może na Łukiszkach czy w Czerwonym Krzyżu. Biedna kobieta! Jak los na nią się zaciął. Potrójna żałoba! Była u niej przedwczoraj Mama. Jest już wcale bez nadziei. „Czuję — powiada — że dalej przez życie będę musiał iść sama”. Bo dlaczego Los pozwolił powrócić innym, a jemu nie!? Tymczasem rząd sowiecki zwrócił się do Rządu Rzeczypospolitej przez swego ambasadora w Londynie Majskiego z zamiarem nawiązania stosunków dyplomatycznych. Rząd polski rokuje w sprawie uwolnienia polskich jeńców i wywiezionych, i stworzenia z nich armii polskiej, tak jak w Anglii. Tak, więc prawdopodobnie z nich to zostanie utworzona Armia, która na ostrzach swych stalowych bagnetów

³⁰⁶ Zbić — tu: zestrzelić.

przyniesie nam — Wolność! Zostaną oni uwolnieni, aby iść do zwycięstwa. Ojczyzna zwróci im wszystko. Honor, wolność, ziemię ojców i dziadów, w którą swój trud i pot wkładali, wolne życie. Jeny tych lat przesiedzianych w niewoli, tego zdrowia, które tam zjedli, nie wróci im nikt. Jeny tym, którzy swe życie za wolność innych położyli, nie wynagrodzi nikt na ziemi. I zostaną ciche mogiły bohaterów rozsiane po całej niemal Azji, nie mówiąc już o Europie. Będą spoczywać kości polskie w słonych stepach Kazachstanu, na polach koło Moskwy, między skałami Uralu, pod krzewami głuchoj tajgi syberyjskiej, czasem na tundrze północy. Mało tego! Mogiły takie znajdują się i w Afryce, i w Ameryce, tak Północnej, jak i Południowej. A małoż ich będzie w oceanach!? We wszystkich spoczywają ciś bohaterowie, którzy życie swe w obronie wiary i wolności oddali. Którzy wolności tej nie mieli walcząc. Walczyli o nią dla innych. Swym hasłem bojowym, na sztandarach i w sercach wyrytym, mieli cztery tylko słowa: „Za wolność waszą i naszą”. A spoczywają Oni — czasem w mogiłach zbiorowych. Nad nimi drzewa szumią, wiatr śpiewa, fale pędzą. Mówią oni o wolności. Z tych mogił cichych powstaną. Ba! Już powstają mściciele! Coraz to nowe i nowe hufce idą do walki. W ogień, jak do tańca. Wszystkie serca, wszystkie umysły są i może nawet nieświadomie spojone jedną myślą. Wszyscy dążą do jednego celu. Cel ten, odległy jeszcze, ale zbliżający się z każdym dniem ma na imię Zwycięstwo — Wolność.

Dnia 13 lipca 1941 roku, niedziela. Rano byłem w Żukiszkach. Zaszedłem do p. Urbanowiczowej. U niej nic nowego. Jutro idzie do Wilna. Ma tam obejść wszystkie ścieżki, aby coś niecoś dowiedzieć się. Wzięła mapę i poczęła pytać o front. Potem mówi, iż słyszała, jakoby jeden transport znalazł się w Rydze. I rzeczywiście, nie można nawet przypuszczać, gdzie się może znajdować p. Urbanowicz, o ile nie stał on w szeregu na placu więziennym przed karabinem. Są dziesiątki możliwości. Może pojechał na Mińsk. A stamtąd? Na Moskwę czy do Kazachstanu? Może pojechał do Leningradu, przez Rygę. Ale jeszcze jedna kwestia. Czy jadąc nie trafił pod bomby, czy się nie zadusił? Czy w ogóle zdołano transport tak szybko przeciągnąć, że nie znalazł się on na linii frontu. A więc trzecia kwestia: jeśli żyje, to czy u bolszewików, czy u Niemców? Ot, i bądź tu mądry. Odgadnij, jak jest! A tymczasem tu noce bezsenne, wypatrywanie oczu. Ciągła niepewność, coraz bardziej siwiejące włosy. Ale cóż można poradzić?!

Litwini dali jeszcze jeden dowód swej przewrotności. Jeszcze raz zmienili swą skórę, ideę postępowania. Jednak miał słuszność p. Lewin, mówiąc jeszcze w zeszłym roku, że „jemu starczy, aby tylko wiatr poczuć”. Była Litwa

smetonowska. I byli smetonowcy. Jeszcze jacy zajadli. Szaulisi i tautininkasy „pracowali” dla dobra swej ojczyzny. Praca ta polegała na twórczości. Ale nie na budowie fabryk, zakładów itd. O nie! To wymagałoby za dużo wysiłku. Oni tworzyli co innego. Pracowali gumowymi pałkami i stworzyli tysiące wrogów. W czerwcu 1940 roku powiał wiatr ze wschodu. Gotowe! Cóż łatwiejszego, jak przewrócić kozuch, podskoczyć, klasnąć w ręce i krzyknąć: Hurra! Niech żyje nasz wódz i oswobodziciel, towarzysz Stalin! Ci sami szaulisi i tautininkasy stali się w ciągu kilku godzin komunistami. Takimi nawet, którzy wydawali innych. Gdzie brakło faktów, Litwin musiał wzywać kogoś do pomocy, aby ruszyć mózgiem. To nie są bajki, to są fakty! Pietruszkiewicz³⁰⁷ i Kiszkis działali. To ci, o których wiem na pewno! A inni? Wszyscy tacy sami! Przeszedł rok. W ciągu niego tautininkasy (narodowcy) i komuniści (dziwna składnia) w jednej osobie działali. Występowali na mi-tingach, krzyczeli, wskazywali. Nastął czerwiec roku 1941. Dmuchał wiatr z zachodu. Cóż robić? Kozuch przewrócić! Kiszkis krzyczy: „Heil Hitler!”. Dziś był u nas jeden ich przedstawiciel [...] — Waszkialis. On, który przed trzema tygodniami przed Żydami na przednich łapkach skakał, dziś na pytania takiego nie odpowiada. Tu już wchodzi w grę kultura i wychowanie! Tu już i przewrotność, i chamstwo! Chwali się, iż jakiś generał mówił mu, że nie będzie już Polski. Ale będzie Litwa. Będzie miała Grodno, Białystok, Brześć, Nowogródek. Niemalże Murmańsk, Odessę i Władywostok. Generał i to chyba oddałby. Gdyby kilka litrów było. Potem dałby w mordę (inaczej nie można określić) i przepędziłby won. Idioto ciężka! Półgłówku! Tobie zdaje się, żeś już jest prezydentem tej Litwy mocarstwowej. Tak było i w 1939 r. Gdy wam dano się pobawić Wilnem, krzyczeliście, śpiewaliście, czort wie jak darliście się „*Mūsų Vilnius, mūsų*”. Przyszli bolszewicy. Także marzyliście. Myśleliście, że tu będzie nie tak jak w całej Rosji. Że wam zrobią raj na ziemi, że będziecie lepszymi od innych. Po roku towarowe wagony pokazały, że tak nie będzie. A dziś to samo. Jeszcze nie nauczono was, że marzeniami żyć nie można. Marzcie więc! Choć na tym odbijcie. Dał wam Stalin Wilnem się pobawić, da może Hitler Białymstokiem czy Nowogródkiem. Nie na długo! Bądźcie tego pewni. Hitler kładnie³⁰⁸ swych żołnierzy nie dla Litwinów, lecz dla siebie. I tak już jest przyjęte między ludźmi, że gdy kogoś prowadzi się na szubienicę, wypełnia się ostatnie jego życzenie. Mogą wam oddać. A wy ciągle cieszcie się. Macie z czego. Zakrztusiliście się Wilnem, zadławicie się Grodnem.

³⁰⁷ Opisujący wcześniej gajowy Pietruszkiewicz.

³⁰⁸ Kładnąć — tu: poświęcać.

Dnia 15 lipca 1941 roku, wtorek. Pan Lewin chodzi jak struty. Sam nie wie, co robić. Czy iść do domu, czy siedzieć tu. Tymczasem tu też nie ma całymi dniami co robić, zaś takie próżnowanie nie wychodzi na dobre dla umysłu, który całymi godzinami nie robi nic innego oprócz myślenia. Natomiast, co jest w domu — także nie wiadomo. A tartak jak stanął 23-go, tak i stoi. Oczywiście obecna władza litewska nie może na ten temat powziąć żadnego postanowienia, ma bowiem zajęcie bardziej ważne i połatniejsze — rabowanie po nocach kooperatyw.

Dnia 17 lipca 1941 roku, czwartek. Nareszcie zjawił się buchalter tartaku. Przyjechał on z Wilna. Powiada, że już poczynają pomału doprowadzać do porządku sklepy. Wydano kartki, dzięki czemu unika się kolejek. Ale oprócz chleba mało co można dostać. A i tego nie ma za wiele — 250 gramów dziennie na osobę. Oprócz tego prawie nic. Całkiem zrozumiałe powody: sklepy nie są jeszcze uporządkowane, a ze wsi mało kto wiezie, bo Niemcy napędzili strachu na konie³⁰⁹.

Dnia 18 lipca 1941 roku, piątek. Ponieważ p. Urbanowiczowa powinna była już wrócić z Wilna, poszedłem dziś do niej po wiadomości. Ale nie są one bardzo pocieszające, bowiem nic konkretnego nie ma skąd się dowiedzieć. Była p. Urbanowiczowa u pewnego człowieka, który siedział z p. Urbanowiczem do piątku, 20 czerwca. W dniu tym przyszli więzienne zbiry, wywołali z celi p. Urbanowicza i razem z innymi, którzy dzielili z nim chleb więzienny, został on zaprowadzony do jakiegoś innego budynku. Co było dalej — nie wiadomo. A oto reszta wiadomości: p. Urbanowicz siedział przez pierwsze cztery miesiące sam jeden. Następnie został przeprowadzony do innej celi, ogólnej. Dziwnym zbiegiem okoliczności siedział przez tydzień razem z Jankiem Wróblewskim³¹⁰. Po tygodniu jednak z wielkim hałasem i krzykiem został rozdzielony. Ponieważ Janka ciągle łudzono nadzieją wypuszczenia, więc p. Urbanowicz napisał list na 3 podaniowych arkuszach (po jednej stronie) do żony. Jednak Janek nie wrócił. Po przeniesieniu go do innej celi prowadzono między sobą ciągłą korespondencję. Listy pisano nikotyną osiadłą na przewodzie fajki (w ten sam sposób był napisany i list do p. Urbanowiczowej) i chowano je pod jakimiś klapami w ustępie. Janek doniósł potem, że list do p. Urbanowiczowej zaszył pod podszewkę i odda go przy najbliższej sposobności. Nadszedł dzień 20 czerwca. Było to pod wieczór. Strażnicy podchodzili do każdej celi i wywoływali kogoś. Podeszli i do tej, w której siedział p. Urba-

³⁰⁹ Ludność obawiała się rekwizycji koni.

³¹⁰ Sąsiad z pobliskiej wioski.

nowicz. Następnie słuch po nim zaginął, gdy tylko poszedł on do owego budynku. Prawdopodobnie jednak został załadowany do transportu, który zdążył odjechać z Wilna. Podobno są pod Orszą i Mińskiem obozy z tymi, którzy tam pojechali. Może i on tam jest. Będąc w Wilnie dowiedziała się p. Urbanowiczowa, że nasz były profesor rysunków, Iwancow został jako sympatyk komunizmu aresztowany. Taki sam los spotkał chyba i naszego wychowawcę, o ile nie zdążył on najechać. Mnie w każdym razie wiadomość ta nie zasmuciłaby. Zasłużyli na to w zupełności. Po co pchali się? Karierę chcieli zrobić. Niechże ją skończą na Łukiszkach. Chcieli dojść do niej przez cudze łzy i krew. Po drodze nie zważali na żadne przeszkody. Dbali tylko o siebie. Jeśli ktoś nie chciał im kroku dotrzymać, ten jechał na południe lub pod ściankę. Niech teraz oni popróbują tego chleba.

Dnia 19 lipca 1941 roku, sobota. Pojechałem do *kiensa*. W Trokach dowiedziałem się, że można tam naładować akumulator, bowiem takowy jest już od kilku dni nieczynny. Wróciłem więc do domu. Jechałem przez Żukiszki, ponieważ trzeba było powiedzieć p. Urbanowiczowej, że już nie ma potrzeby prosić we młynie o naładowanie. Pani Urbanowiczowa opowiedziała mi przygodę obecnego leśniczego Milewskiego, jaka spotkała go w Żukiszkach. Mając osobistą urazę do pewnego gospodarza, poszedł doń z gajowym, aby przyczepić się do drzewa. Wzięli konia i koniecznie chcieli drzewo to zabrać. Jednak baby tak się uparły, że nie dały. Pobiły konia, wyłajały ich samych do tego stopnia, że obaj Litwini musieli zrobić sromotny odwrót. Wyłajały od kłumpiaków, chamów, g... itd. Powiadają: ty nam nie leśniczy, mamy swego. A jednak ludność tutejsza bardzo jest przywiązana do swego byłego leśniczego. O, gdybyż on powrócił. Ludzie tańczyliby chyba z radości. Ale jego jak nie ma, tak nie ma. Potem przyszedłem do Trok i zaniósłem akumulator. Wróciłem już ciemnym wieczorem.

Dnia 22 lipca 1941 roku, wtorek. Och! Po miesięcznym odpoczynku nareszcie ruszył tartak. Właściwie to już wczoraj poczęło się, ale praca prawdziwa jest dopiero dziś. Pracuje tylko jedna zmiana, z powodu czego u mnie jest jeszcze mniej roboty niż było przed wojną. Ach prawda! Więc to już miesiąc, jak poczęła się wojna. Niemcy zaparli się daleko na wschód. Ale im dalej lażą, tym trudniej jest z dostawą nafty, benzyny, amunicji itd. Podobno walki toczą się straszne. Jednak Sowiety coraz bardziej odsuwają się na wschód. I właściwie nie ma się czemu dziwić! Spotkały się dwa kolosy. W jednym machina wojenna jest już tak wypróbowana, że wszystko idzie, no!, po prostu jak w maszynie. Każdy trybik, każde kółko ma swoje zadanie i cel (oby przedzej któreś z nich nawaliło). A tam? Tam u steru pań-

stwa siedzą tacy, którzy sami przez siebie tak byli zabujani o niezwyciężonej armii, o „mądrej stalinowskiej polityce”, że teraz chyba nie mogą się opamiętać, skąd to bierze się. Gdzież niezwyciężona armia, gdzie mądra polityka. Wszystko leci na łeb, na szyję. Bo jak można być armią niezwyciężoną, jeśli jej oficerowie — to same chamy, ledwo od sochy oderwani. Mógł taki politruk z czerwoną gwiazdą na rękawie ładnie krzyczeć na mitingach według z góry wyuczonej formułki. Mógł on te same słowa powiedzieć i tu, i tam. A raptem znalazł się oficer sowiecki na froncie. Ej, bratku, tu już formułek za mało. Tu trzeba kombinacji. Można wypuścić w ciągu dwudziestu lat ludzi z nazwiskiem „inteligencja”. Można to zrobić „ponad normę”. Na przykład 200, mało? 300% nadwyżki. Ale co z tego? Wyszedł chłopek od sochy, posiedział 10 lat w szkole i już nazywa się i n t y l i g e n t . A co on wyniósł ze swej dziesięcioletniej szkoły? Ha! I ja wiem coś o tym. Uczyłem się przecie w sowieckiej (co prawda niezupełnie jeszcze, bo nie zdążyli jeszcze profesorowie zjechać do sowieckiego poziomu) szkole. I... zapomniałem to, co umiałem przedtem. „No, jeszcze konstytucja to ważny (mało! — najważniejszy) przedmiot. A reszta? E! To głupstwo”. I żeby chociaż wszyscy urzędnicy sprawujący władzę mieli tę „dziesięciolatkę”. Ale większość to tacy, którzy ledwo mogą się podpisać. Na ich to barki zwała się wielka odpowiedzialność za zwycięstwo. Wątpię, czy się potrafią wywiązać dobrze.

Nad Leśnikami czas od czasu lecą samoloty. Suną na tle nieba z hukiem majestatycznym bombowce, z wściekłym szyderczym warkotem pościgowce i myśliwce. Suną na wschód, aby dokonywać dzieła zniszczenia. Wracają ze wschodu, uniknąwszy pocisku. Od czasu do czasu przemknę przez Leśniki towarowy pociąg z wojskiem i benzyną. Ja wam dodam na drogę otuchy: Łamcie głowy i jedni, i drudzy!

Dnia 25 lipca 1941 roku, piątek. Pojechałem z Kułakowem do młyna. Byliśmy tam o dziesiątej. Ale maszyna nie bardzo chciała ruszyć. Kręciliśmy koła, rozkręcaliśmy je i nic. Dopiero po dwunastej jakoś ruszyło. Zmleliśmy dopiero o szóstej. Potem zawieźliśmy mąkę dla babuni i na ósmą powróciliśmy do domu. Mimo to dniówka w tartaku jest.

Dnia 26 lipca 1941 roku, sobota. Jest cichy wieczór lipcowy. Słońce niedawno zaszło za horyzont. Niebo jest jeszcze zaróżowione jego ostatnimi promieniami. Nad Leśnikami rozpościera się cichy, ciepły wieczór lipcowy. Mrok coraz gęstszy wylazi z zakamarków, opuszcza swe daytime legowisko między drzewami i krzewami lasu i wychodzi na świat boży. Wyjdźmy na podwórko! Przejdźmy przestrzeń zarośniętą trawką zroszoną

już rosą wieczoru, zajdźmy do ogródka. Tu można delektować się czystym powietrzem wiejskim. Można go wciągać pełnymi haustami, napełniać nim płuca. I można w nim wyczuć wiele zapachów. Z jednej strony dolatuje woń kwiatów, z drugiej zaś zapach miodu, który swe źródło posiada w ulu. Mniej więcej tak samo jest i tam, w miejscu odległym stąd o jakieś cztery kilometry. Tak samo pachną kwiaty. Zaś między pniami brzozy prześwieca się niebo zorzą zachodu zaczerwienione. Jest uroczysta cisza między tymi brzózkami, niemal taka sama jak między kamiennymi filarami kościoła. Jeno czasem zmać ją daleki odgłos ujadania psów. I nadal jest cichy, ciepły wieczór lipcowy. Nazwy miejsca tego można się łatwo domyśleć. Gdy jeszcze dodamy, że między tymi pniami brzóz widnieją starsze lub nowsze ramiona krzyży, że na jednym z nich można przy ostatnich blaskach wieczoru przeczytać słowa: „Halusia Urbanowiczówna...”, nazwa miejsca tego sama porusza ustami: cmentarz... I kto wie, może ten wieczór odczuwa także jeszcze ktoś, znajdujący się gdzieś w obozie na wschód stąd położonym. Może i on przenosi się myślami między te brzozy i krzyże. Nazwisko jego brzmi: Zygmunt Urbanowicz. Ale nie jest bynajmniej ciągle tak cicho. Czasem między ciszę wieczoru wmiesza się inny głos. Zrazu daleki i cichy, lecz szybko zbliżający się, a więc i na mocy przybierający. Wreszcie można już zrozumieć po głosie, co jest jego źródłem: samolot. Jakoż w chwilę później znad lasu wysunie się stalowy ptak. Na chwilę ryknie swymi silnikami, zajęczy linkami przerzynającymi ciche powietrze, błysnie jeszcze zieloną i czerwoną ostrzegawczą lampką i zniknie za drugą ścianą leśnickiego lasu. Zniknie, lecz każe myślom przenieść się hen, na wschód. Tam, dokąd podąża on sam. Kto ma chociaż odrobinę wyobraźni, może sobie łatwo przedstawić obraz walki. Te tysiące czołgów pędzących pod huraganowym ogniem artylerii na siebie, zderzanie się ich ze sobą i stalową kaszę po chwili z nich powstałą, kaszę, obficie kraszoną ludzką krwią i mięsem. Nad tym wszystkim krążą w „cichym” powietrzu lipcowym na kształt sępów czy czarnych wron — stalowe ptaki. Czas od czasu oderwie się od któregoś z nich większy lub mniejszy pakunek, doleci do ziemi, stuknie o nią i rozsieję wokół odłamki i zniszczenie. Ziemia pod nimi jęczy. Zali można uprzytomnić sobie ten ogrom walki i zniszczenia?! I wszystko to jest stworzone dla jednego człowieka, który chce zaspokoić swe ambicje komunikatami z frontu. On, który rozkazał budować tych artystów, występujących obecnie na teatrze wojny — samoloty i czołgi, pchając je do walki, sam jest od niej daleko. On siedzi w Berlinie i cieszy się, że nie wszędzie można oglądać w spokoju zachód słońca, nie wszędzie

można oddychać cichym powietrzem. Cieszy się dlatego, iż w niektórych miejscach łuny przysłaniają zachód słońca, zaś powietrze jest przepojone zapachem nie kwiatów, lecz siarki, prochu spalonego i krwi ludzkiej.

Dnia 27 lipca 1941 roku, niedziela. Jadę do Trok. Ładna jest do nich droga. Najpierw kręcącą się między drzewami ścieżką, wysypaną żółtym igliwem, a następnie drogą aż do następnej ścieżki. Tylko nie leśnej, lecz polnej. Wjeżdżam na tę najwyższą górę. Cudny widok rozpościera się tam, w dali! Widnieje kolorowa szachownica pól. Tu ciemnozielona płachta kartofli, tam trochę jaśniejsza zieleń — owies i jęczmień, tam znowu nabierające już koloru żółtawego płachty falującego pod tchnieniem południowo-wschodniego wiatru żyta. Gdzieś tam widnieje biały kwiat gryki. Za tą szachownicą widnieje kilka domków, w stronę których przedziera się wąski pasek ścieżki. Przedziera się on między łanami zbóż, wdziera się na pagórki, to znów opada w doliny. Wreszcie łączy się z traktem, który pod Trokami zlewa się z traktem odchodzącym na Żukiszki. Tam, w dali widać biały gmach z wieżami; to kościół trocki, zaś na prawo lasek. Pośrodku niego stoi murowana brama.

Ale dosyć będzie zatapiać się we wspomnieniach z dni przeszłych. Rower, zwolniony z hamulca, znowu rusza naprzód. Szybko zjeżdża z góry, aby nabrawszy rozpędu, wjechać na drugą. W uszach szumi wiatr. Rower wpada między żyto, po obu stronach ścieżki rosnące. Ciężkie kłosa uderzają po szprychach, nogach. Żyto minięte. Po lewej stronie biała gryka, pachnąca miodem. Nad nią brzęczą pszczoły, najpilniejsi robotnicy świata. Rower i tu długo nie czeka. Z cichym szumem opon, tnących o kamyczki ścieżki, posuwa się wciąż naprzód i naprzód. Znowu żyto. Znowu cienkie brzęczenie świerszczy. Cały krajobraz tonie w ciepłych i jasnych promieniach słońca. W uszach szumi wiatr, wytwarzany szybkim pędem. Włosy są rozwichrzone na wszystkie strony. Gdzieś tam poprzez falujące łany żyta przedzierają się żeńcy. Poza nimi leżą na ściernisku żółte kłosa, powiązane w snopy.

Dnia 31 lipca 1941 roku, czwartek. Jest u nas p. Żaliński. Ten sam, który pracował tu w zeszłym roku i potem siedział na Łukiskach. Opowiadał swoje przeżycia. O tej dzikiej samotności, o braku jakiegokolwiek zajęcia. Ciągłe ta sama cela, ciągle ten sam odgłos kroków więziennych zbirów, chodzących po korytarzach. Te same badania nocne, na których po raz setny powtarzane te same pytania szablonowe i odpowiedzi. Jedzenie podawane nieraz w niemytych spluwaczkach. A najgorsze jednak to brak zajęcia, a więc myślenie. Przez te miesiące więziennej ciszy można

wszystko przemysleć od A do Z. „Stamtąd dopiero ocenia człowiek czar wolności”. I rzeczywiście, największy to jest skarb człowieka. Niestety, nie każdemu pozwala się z niego korzystać.

Dzisiaj przenoszę się spać do stodoły. Trzeba korzystać póki można z letniego powietrza i zapachu koniczyny. Kto wie, może za rok nie można będzie tego skutecznie. Zaraz po dzienniku, w którym mówiono o nawiązaniu stosunków sowiecko-polskich, wymianie ambasadorów i utworzeniu polskiej armii w ZSRR z wywiezionych i internowanych Polaków, idę spać. Ale nie od razu kładę się. Bo czyż nie przyjemnie jest przedtem położyć się na zielonej trawie i „zafajkowawszy”, patrzeć w niebo? Patrzeć na mrugające punkciki gwiazd, na siedem gwiazd mrugających Wielkiej Niedźwiedzicy i... marzyć. Przenosić się myślami w czasy minione i odgadywać, co będzie za rok, dwa...? Ale marzyć nie tak, jak to robią Litwini. Ich marzenia pozostaną tylko marzeniami, a moje... Moje staną się rzeczywistością! Pan Urbanowicz według opowiadań p. Żalińskiego znajduje się w drodze. Powiedział mi o tym jakiś gość, który siedział razem z nim, ale potem rozłączył się z powodu nadarzającej się okazji przyjechania. Podobno więc p. Urbanowicz idzie do domu z Mińska.

Dnia 2 sierpnia 1941 roku, sobota. W tartaku dziś wypłata. Dostałem 63 rub. 84 kop. Mam i z tamtej wypłaty. Razem przeszło sto rubli. Ale co z nich? Leżą w szufladce i odpoczywają. Bo nic nie można dostać. Ani w sklepach, ani prywatnie. Żyto kosztuje przeszło 100 rub. cetnar³¹¹ (5 kg). Masło 30 rub. W ogóle nic a nic. Wszystkie sklepy w Trokach zamknięte oprócz spożywczego, przy którym kilometrowa kolejka.

Po zakończeniu pracy nabrałem kwiatów i powiozłem do Trok. Wszak jutro już druga rocznica. Dwa lata minęło jak z bata wystrzelił. Tyle zmian przesunęło się nad ziemią! Na grobie Halusi posadzone są kwiaty, które jednak jeszcze nie kwitną. Tylko w dzbanuszkach stoją zwiędłe od słońca kwiaty. Zamieniłem je świeżymi. W górze przelatują czarne wrony i kraczą złowrogo, niżej na drzewach siedząc śpiewają ptaszki.

Dnia 3 sierpnia 1941 roku, niedziela. Trzeci *urucz*. Poszliśmy wszyscy do Trok. Po południu, wracając do domu, chciałem zajść na miejsca z dniem dzisiejszym związane. Trzeciego sierpnia... Ciepło było. Powietrze stało nieporuszone żadnym wiatrem. Z nieba na ziemię zlewały się potoki żaru. Byłem może z dziesięć metrów przed bramą. Patrzałem na lewo. Między żelaznymi krzyżami żołnierskich mogił przechodziła jakaś panna. Wtem usłyszałem skrzyp bramki wejściowej, a zaraz potem doleciał mię

³¹¹ Cetnar, centnar — mowa o tzw. centnarze lwowskim równym 51,84 kg.

dźwięk słów: „O! Sławek! A cóż on tu robi?”. Równocześnie spostrzegłem p. Urbanowiczową, wychodzącą z Danusią zza bramki. Słowa te były skierowane do tej ostatniej. W chwilę później byliśmy obok siebie. Przywitaliśmy się. Usta p. Urbanowiczowej wymówiły znowu te same zdanie, tylko skierowane tym razem bezpośrednio do mnie. Cóż miałem mówić? Powiedziałem, że idę do domu z Trok. Pyta, dlaczego tędy? Przecie tamtą drogą przez ścieżkę jest bliżej. Począłem tłumaczyć, że właściwie nie, bo tam robi się krąg na prawo, a tu na lewo. Wprawdzie nie wierzyłem temu. Przerzuciła się na inny temat. Na pytanie: „Co nowego?” odpowiedziałem, że nic nie wiem, bo znowu się wyładował akumulator. Pożegnałem się, p. Urbanowiczowa spieszyła się. Ruszyłem dalej. Szedłem szosą, po której w listopadzie zeszłego roku przemknął samochód, uwożąc w nieznane p. Urbanowicza, potem skręciłem na prawo. Przeszedłem tor. Szyny uciekały w dal. Przed półtora miesiącami przesunęły się po nich koła kilkunastu wagonów, uwożących na wschód kilkadziesiąt rodzin. Koła te wystukiwały na tych zimnych szynach: w nie-zna-ne, w nie-zna-ne, Ka-zach-stan, Sybir, w nie-zna-ne. Rzeczywiście: w nieznane... Szedłem dalej, zataczając krąg polnymi drogami. Nie wiem, czy uwierzyła, że nie jest on znowuż większy od tamtego. Gdzieś zza górki dolatywał turkot wozu. Na małej łączce rozmawiały dwie kobiety. Upływał dzień Trzeciego Sierpnia. Dzień Drugiej Rocznic. I upłynął w dal.

Dnia 6 sierpnia 1941 roku, środa. Pojechałem do Trok. Babunia, którą za czasów krwawych rządów stalinowskich ciemnych pachołków wyrzuciono z jej własnego domu, przeniosła się z powrotem na stare mieszkanie. Z Wilna przyjechał wuj Rafał. Ludności tamtejszej poczyna już zaglądać w oczy głód. Teraz, gdy są owoce, ogórki, jarzyny. Co będzie w zimie — można przypuszczać.

Dnia 7 sierpnia 1941 roku, czwartek. W Wilnie wychodzi obecnie polska gazeta pt. „Goniec Codzienny”. Gazeta, która po prostu roi się od propagandy antysowieckiej i proniemieckiej. Ale że nie można tego ze sobą skleić, więc wychodzi groch z kapustą. Na jednej stronie redaktor głosi o krwawym terrorze w armii sowieckiej, której żołnierze nie chcą się bić i w popłochu uciekają przed zwycięskim orężem niemieckim, na drugiej — o krwawych walkach z oddziałami sowieckimi, które nawet okrażone ze wszystkich stron walczą do upadłego, próbując nawet kontratakować. I zrozumi tu w tej kaszy, co jest właściwie. Faktem tylko jest, że tzw. „Blitzkrieg” poczyna przemieniać się w wojnę pozycyjną, czemu Niemcy chcą ze wszystkich sił zapobiec. W nr 13 tej gazety z dnia 7 sierpnia 1941 r. w rubryce: „Poszukiwania zagi-

nionych” można przeczytać następujące słowa: „Do byłych więźniów politycznych! Kto by wiedział o losie mojego męża Zygmunta Urbanowicza, więźnia politycznego, aresztowanego przez bolszewików dnia 7 XI 1940 r. i więzionego na Łukiszkach do 20 VII 1941 r., jakoby wywiezionego w dniach 22-23 czerwca 1941 roku, uprzejmie proszę o powiadomienie żony. Poczta (Trakai) Troki, wieś Żukiszki, Franciszka Urbanowiczowa”. To na stronie czwartej. Zaś na trzeciej Mieczysław Ambrożewicz, który powrócił z więzienia mińskiego. Opisuje on swoje przeżycia. Oto gdy siedział w celi podziemnej, wilgotnej, ciemnej: „Gdy się oczy nieco oswoją ze światłem, można czasem zobaczyć jakiś niewyraźny podpis, wyskrobany czymś twardym na gładziznie ściany. Za piecem, tam, gdzie najrzadziej bieleją i żółną wapna, odczytać można było w celi Nr 47 „podwału” napis zwykłą szpilką wydrapany: „...i nasze będzie za grobem zwycięstwo...” Janusz So... (dalszy ciąg zamalowany), harcerz wileńskiej drużyny (zamalowane), skazany na karę śmierci... 14 lutego 1940 r...”

Dnia 9 sierpnia 1941 roku, sobota. Pojechałem do Trok do *kiensa*. Tak jak przedtem bolszewicy, tak teraz Niemcy poczynają przerzedzać ludność. Już poczęli aresztowywać podejrzanych o należenie do komsomołu³¹² i kompartii. To jednak nie szkodzi. Kiedyś ciągaliby oni, niech teraz oni pojedzą sami więziennego chleba. Nie wiem, czy będzie im smaczny. Ale nie szkoda mi ich.

Dnia 13 sierpnia 1941 roku, środa. Mijają dni wakacji. Mijają szybko, nieubłagane. Jeszcze pół miesiąca i miną całkiem. Ale nie jestem tego zupełnie pewny. Może wakacje tegoroczne będą trwały przez całą zimę, bowiem sprawa tegorocznej nauki jest jeszcze kompletnie ciemna. Nie wiem, jak szybko ona się wyświetli, przypuszczać jednak należy, że nie będzie zbyt pomyślna. Już kilka razy chciałem jechać do Wilna dowiedzieć się, co tam słychać, odwiedzić stare mury gimnazjum, zabrać stamtąd swe świadectwo. Bo przecież nie wiem jeszcze swych stopni egzaminacyjnych. Przy tym może by się spotkało kogoś z byłych „towarzyszy pióra” czy może „towarzyszek ściągania”. Jednak za każdym razem przeciwko moim planom stoi przeszkoda niepokonana w osobie Tatusia. Nie wiem, dlaczego obrał on sobie takie stanowisko, ale dość tego, że za każdym razem znalazł się jakiś pretekst. Chciałoby się jednak tej zimy posiedzieć w domu, by nie trzeba było zakuwać litewskiego, historii czy łaciny, a z drugiej strony żal, że się to już skończyło. Chciałoby się jeszcze spotkać się z „Nowowilejkami” (kto wie, może są one już gdzieś w Kazachstanie czy na Syberii) i innymi

³¹² Komsomoł — komunistyczna organizacja młodzieżowa w ZSRR.

malcami oraz dziewczynkami. Ale wszystko to, to tylko projekty i marzenia. Co i jak będzie, nie można wcale wiedzieć czy nawet przypuszczać.

Dnia 15 sierpnia 1941, piątek. W Trokach doroczny kiermasz. Ale jakże się różni od tych sprzed dwu czy trzech lat. Miast straganów z obwarzankami i pierniczkami, różnymi zabawkami itd., miast karuzeli, tylko tłumy ludzi, którzy przyszedli, aby coś zobaczyć względnie kupić. Kupujących mnóstwo, sprzedających w ogóle brak. Żadnych procesji nie było. Pojechałem z Gabrysiem do Trok dopiero po południu. Już tylko spotykaliśmy „kiermaszników” tłumnie powracających do domów. Troki powoli opróżniały się. Ja też niedługo je zaludniałem. Poszedłem z Maniusiem do Ławrynowiczów, po czym wykąpawszy się wyruszyłem do domu. Ale dowiedziałem się od Manusia, że do dnia dzisiejszego w Wileńskim Technikum były przyjmowane podania o przyjęcie. Miszka zdał takowe. Ja nie. Nie miałem jak, bo przecie do dziś o tym nie wiedziałem. To skutki tego, że nie pojechałem do Wilna.

Dnia 17 sierpnia 1941 roku, niedziela. Nareszcie moje gadanie odniosło skutek: jadę dziś do Wilna. Może jeszcze uda się coś tam dokonać w sprawie dalszej nauki. Wyjechałem po obiedzie. Nie licząc odpoczynków, jechałem godzinę i 40 minut. Misza w Wilnie. Aby wiedzieć, o której iść do budy po dokumenty, pojechałem tam dziś. Jakoż znalazłem na drzwiach ogłoszenie. Od 10 do 14. Ale nie na tych drzwiach, na których spodziewałem się je ujrzeć. W budynku naszego gimnazjum są dwa wejścia z ulicy. Jedno było przeznaczone dla zeksów, drugie dla nas. Otóż przy wejściu dla zeksów stoi Niemiec na warcie. To samo przy bramie na boisko. Byłe wejście dla uczniów jest obecnie wejściem do kancelarii.

Dnia 18 sierpnia 1941 roku, poniedziałek. Najpierw pojechałem pod Halę, ale nic tam nie dostałem. Pojechałem do budy i zabrałem moje stopnie. Potem jeździłem z Miszką do Technikum, gdzie dowiedziałem się, że podania można składać do 5 września, a 10-ego będą egzaminy z matematyki i litewskiego. Wilno! Oto jego obecny wygląd. Wszystkie sklepy, oprócz bardzo nielicznych, spożywczych zamknięte. Na ulicach ruch bardzo słaby. Mimo że samochody komunikacji miejskiej nie chodzą, to jednak widać bardzo mało przechodniów. Oto jeszcze jeden szczegół. Nie po chodniku, lecz po jezdni idą po prawej stronie ludzie, opatrzeni w żółte łaty kształtu sześcioramiennej gwiazdy. To Żydzi. Nie widać między nimi wcale młodych chłopców ani mężczyzn, same kobiety. Czas mija szybko. Nie obejrzałem się, a już było południe. O pół do szóstej wyruszyłem do domu. Na szosie, tak jak i wczoraj, pełno wojska i kurzu. Gdy przejdzie samochód,

nie widać nic dalej, jak na pięć metrów. Oprócz tego pełno wozów. Na jednym z nich jechał do Wilna Maniuś. Niestety, mimo że tak bardzo tego pragnąłem, nie spotkałem w Wilnie nikogo z ławy szkolnej. Przejeżdżając Mickiewicza zauważyłem tylko Żmijewską, ale z nią nie rozmawiałem. Byłem także u kolegi Karabona, lecz i tu nico: wyjechał on gdzieś z Wilna. Co do dalszej nauki — także nic nie wiem. Na takie pytanie odpowiedział mi sekretarz: jeszcze nie ma żadnego rozporządzenia. Rozmawiając z nim widziałem tylko, jak żołnierze niemieccy znosili z aut do naszej budy łóżka. Chyba będzie tam szpital. Nie może więc być mowy o nauce. Został jeszcze jeden „szans”: Technikum.

Dnia 21 sierpnia 1941 roku, czwartek. Tatuś z Talą postanowili jechać do Wilna. Ale od samego rana jak zaczął padać deszcz, to padał prawie do wieczora. Podróż więc odłożono do jutra, o ile na to pozwoli pogoda.

Dnia 22 sierpnia 1941 roku, piątek. Pogoda odpowiadająca. Tala na pożyczonym rowerze i Tatuś wyruszyli do Wilna. Ja zaś pożyczwszy rower u Michała Ławrynowicza pojechałem do Trok do kooperatywy. Tam jednak nic nie dostałem. Zabrałem z Trok akumulator, który tam był zostawiony do ładowania i jadę do domu. Po co mam tłuc się po bruku, kiedy zaraz obok mam chodnik. Wjeżdżam więc nań i sunę. Raptem spotykam litewskiego policjanta. Ten krzyczy: „*Sustok*³¹³, *sustok!*”, ja dalej, zjechawszy na jezdnię, słyszę „*Sustok!*” z drugiej strony. Trzeba stać. Policjant pyta, czemu jadę po chodniku. Nie odpowiadam, ale pytam: „Proszę?”. Wówczas mówi to po polsku. Tłumaczę mu, że bałem się strząść akumulator. Powiada, żebym jechał na posterunek. Pojechaliśmy. Mimo jego przynaglania, jechałem jak najwolniej. Wreszcie wchodzimy na posterunek. On po głośnym uderzeniu w obcasy melduje, że złapał Polaka, który jechał po chodniku i wiózł akumulator, więc ma radio itd. Ja mu od razu: „A skąd na przykład pan wie, że ja jestem Polak?” Zmieszał się biedak! Okręcił się kilka razy i stanął po drugiej stronie. Głos zabrał jeden z dwu siedzących za stołem. Kto jesteś? W tym czasie podchodzi drugi łamaniec i pyta, czy mam dokumenty i czy jestem Litwinem. Daję legitymację i mówię, że nie. — A kto? — Karaim. — *A karaimas* to to samo, co *żydas!* — krzyczy ten zza stołu. To samo powtarza ten gruby i oczywiście w okularach, trzymający legitymację. Ja mu na to: „Jest pan zdaje się litewskim policjantem pod władzą niemiecką i nie zna pan niemieckich zarządzeń. Bo jest takie, wydane przez Hitlera i mówiące, że Karaimi nic z Żydami wspólnego nie mają!”. Ostatnie słowa mówiłem wśród jego hałasu i bicia pięścią w ba-

³¹³ *Sustok!* — lit.: stój!

lustradę. Bo przeżuwszy w swej mózgownicy pierwsze me zdanie, opamiętał się, że zwracam mu uwagę. „Ty mi będziesz prawo wskazywać!” — krzyczy, po każdym słowie bijąc pięścią. (Idiota!!!) — To samo co Żydzi. Obkrojone — pokazuje na palcu. Ja udaję, że nie rozumiem. Wysuwam lewą rękę i mówię: — Co? Palec? Mam całe! — Nie, nie. (Tu nastąpiło jakieś litewskie słowo) — Nie rozumiem. Co takiego? „Publika” trzęsie się od śmiechu. Idioci do kwadratu!!! Powiada, że mnie do piwnicy wsadzi. „Proszę bardzo” — słyszy mą odpowiedź. Więc na razie mówi, żebym usiadł na ławie. Zabieram legitymację, rzucaną przez niego w uniesieniu na balustradę i siadam. On to wychodzi, to wchodzi z powrotem. Ja stałem, oglądałem zawieszoną na ścianie fotografię z czasopisma niemieckiego. W tym czasie pyta siedzący przy stole: „Jak familia?”. Nie odpowiadam. „Jak nazwisko?”. Mówię: „Pilecki”. „Piliackas” przekręca mój obławca³¹⁴. Siedzę znowu. Pokój zaludnił się policjantami. To wchodzi, to wychodzą. Jest ich jak psów w budzie u hycła. Powietrze drży od stuków obcasów i machania rąk, podnoszonych do kozyrków. Każdy obydwoma rękami podciąga sobie z tyłu bluzę pod pas. Prawdziwy teatr marionetek. Idioci do sześcianu. Jeszcze nie tak dawno, za czasów smetonowskich trzęśli się nad Karaimami jak kot nad pęcherzem, „hucznie” ich nazywając „dziećmi Witoldowymi”. Teraz krzyczy: „*Karaimas to Žydas*”. Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że nie chcieli Karaimi iść razem z Litwinami do partyzantki w czasie ucieczki bolszewików. Celem jej (partyzantki, nie ucieczki) było mordować niewinnych, rabować podróżujących, grabić sklepy. Gdy Karaimi do tego rąk swych nie przyłożyli, przekonali się Litwini, że jednak nie można nazywać tych pierwszych ani „dziećmi Witoldowymi”, ani też „kolegami po fachu Litwinów”. Trzeba więc ich pogrążyć. Dziś Litwin krzyczy „Karaim to Žyd”. O przewrotności litewska! Szczęśliwy, kto cię nie zna! Niestety, Hitler nie dał Litwinom władzy w 100%, mimo że generał jego obiecał to Vaszkelisowi³¹⁵. Przyszedł znowu ów w okularach. Ponieważ nie miałem przy sobie zezwolenia na rower, chciał się już nim pożywić. Pyta, który mój. Pokazałem. Popatrzył, zmarszczył się. Nie odpowiadał mu widać. Nie wytrzymałby jego ciężaru. W tym czasie wszedł tam Romek Ławrynowicz. Powiedziałem, że chcę zabrać rower. Ponieważ i on potwierdził, że Michał ma zezwolenie z niemieckiej komendantury, więc nie mieli już co mówić. Ale jakże tak wypuścić mię. Zatelefonował gdzieś, pytając, czy można mieć Karaimowi radio. Potem

³¹⁴ Obławca — słowo wymyślone przez autora.

³¹⁵ Pracownik pobliskiej stacji kolejowej.

kazał napisać coś, że u Pileckiego jest aparat Philipsa, trójlampowy i koniecz. „A czegoż ty udawałeś króla?” — pyta mię, wyciągając te mniemanie z tonu mych odpowiedzi. Powiadam, że wcale tak nie było. Któryś siedzący za stołem zaklął pewnym zdaniem rosyjskim. Tak! Tak się wyrażają litewscy urzędnicy. Kultura ich jest widać bardzo wysoka. Bo przecie okulary noszą. Idioci do potęgi szóstej i chamy do sześcianu. Wreszcie pozwolili mi jechać do domu.

Dnia 29 sierpnia 1941 roku, piątek. Do obiadu wybierałem się w podróz, zaś po — pojechałem. Jadę do Wilna, aby złożyć podanie do Technikum. Podanie można wszak złożyć. Można także składać egzamina! Ale co będzie z nauką? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. W każdym razie jednak 70% na to, że będą z niej nici. Do podania trzeba dołączyć świadectwo szkolne. Lecz za huczna to nazwa. Prawdziwa jego nazwa brzmi: „Pazymejimas” (zdaje się bez błędu), co odpowiada polskiemu słowu „zaświadczenie”. Widnieje na nim kilka podpisów wychowawcy, który chyba gryzie teraz ziemię lub mury więzienia. Wypisane cyframi stopnie są następujące (1-szy trymestr, 2-gi trymestr, 3-ci trymestr, stopień roczny, egzaminacyjny i końcowy): sprawowanie się 5, 5, 5, 5, —, 5, litewski 3—, 3+, 4+, 4, 2, 3, polski 3, 4, 4, 4, 3/4, 4, rosyjski 4, 3+, 4, 4, 4, 4, niemiecki 3, 3, 3, 3, —, 3, przyroda 4, 5, 5, 5, 4, 4, algebra 3, 3, 3, 3, 4, 4, fizyka 4—, 4—, 4, 4, 4, 4, geometria 4, 4, historia 4—, 4—, 5—, 4, —, 4, rysunki 3, 3, 3, 3, —3, śpiew 4, 3, 4, —4, gimnastyka 4, 3, 3, 3, —, 3, konstytucja 3, 4, 4+, 4, 5, 5. Zenek, który w zeszłym roku uważany był za jednego z lepszych uczniów, miał przed egzaminami średnią arytmetyczną stopni taką samą jak u mnie. Po egzaminach — nie wiem. Ale przypuszczam, że także mało się różniło, o ile nie była podobną do mojej. Do Wilna przyjechałem po godzinie i 45 minutach drogi.

Dnia 30 sierpnia 1941 roku, sobota. Po rannym *tiefinla* pojechałem z Miszkiem do swej starej budy. Tak przy bramie, jak i obok drzwi, stoją niemieccy żołnierze. Kancelaria załatwia interesantów przez okno, w sprawach ważniejszych potrzebna jest przepustka. Właśnie taką mi dali. Wszedłem po żelaznych schodach na pierwsze piętro. Tyle razy tutaj bywałem! I jestem teraz. Można zauważyć wielkie zmiany. Po pierwsze: wszystkie portiery, jako też ryciny, upiększenia z czerwonej bibułki, gazetki ściennie etc. gdzieś znikły (chyba w piecu). Po drugie: nie ma także tego tętna życia młodzieńczego, jakie można było tu zauważyć jeszcze nie tak dawno, przed trzema miesiący. Są natomiast niemieccy żołnierze. Niektórzy z nich chodzą w koszulkach. Na korytarzu szatni stoi stół, przy którym zaspokajają sobie

głód. Po otrzymaniu podpisu dyrektora ruszyłem z powrotem. Jeszcze raz dane mi było przejść po tym korytarzu, po schodach. Raz jeszcze wzrok przesuwiał się po drzwiach, po tabliczkach z numerami wiszącymi nad nimi. Minęły te czasy, gdy numery te były oglądane co dzień. Nie wiem, czy wróćą. Ale jeśli tak, to chyba niepodobne. Minęły przed oczyma twarze koleżanek i kolegów. Nasze nici życia zetknęły się ze sobą, by rozbiec się znowu. Każda ku swemu przeznaczeniu. No trudno. Kroppówna, Hantzówna, Pyszyńska... Może jutro i one tędy przejdą. I one o tych miejscach życia pomyślą. Wyszedłem. Pojechaliśmy pod Hale. Tam obecnie skoncentrował się cały handel. Można kupić, sprzedać, zarobić. Kupiwszy 0,5 kg drożdży pojechaliśmy do Technikum, gdzie złożyłem podanie. Wróciliśmy do domu. Pod wieczór poszliśmy do kina na „Zwycięstwo na Zachodzie”. Zwykły propagandowy film niemiecki. Kto i z kim się bije, trudno zrozumieć. Tylko chmury dymu, rozbite i popalone czołgi, strzelające raz po raz armat i trupy. Ale ani jednego trupa niemieckiego. To samo z czołgami, samolotami itd. Tylko oni niszczyli. Ich nie. Wróciliśmy do domu już po ciemku. Dziko obecnie wygląda Wilno. We dnie głucho i pusto, w nocy ciemno. Ulice i mieszkania prywatne zaciemnione. Tylko gdzieś tam błyska światło z niemieckich mieszkań. Im można. Oni nie obawiają się nalu. Oni mogą wydać całe miasto pod bomby nieprzyjacielskie.

Dnia 31 sierpnia 1941 roku, niedziela. Jadę do domu. Po drodze pełno wojska niemieckiego. Ale już nie są to wojska zmotoryzowane. To już starsi i całkiem młodzi. Idą na wschód. Prawdopodobnie pod Leningrad. Idą, by więcej nie powrócić, nie ujrzeć więcej rodziców, ni żon czy dzieci. Taki los. Wszak idą za „Wielkie Niemcy” Hitlera. Deszcz leje, wiatr, ślota. Jednym słowem psia pogoda. Lecz to nie przeszkadza maszerować. Po obiedzie pojechałem do p. Urbanowiczowej. Zawiozłem jej drożdże. Siedzi i rozmawia z siostrą Janka Wróblewskiego, wywiezionego razem z p. Urbanowiczem. Nie ma o nich „ni słuchu, ni ducha”. Nic nie dały ogłoszenia w gazecie. Mamy dziś trzydziestego pierwszego sierpnia. Ostatni dzień drugiego roku wojny. Także ostatnia noc. Noc cicha, księżycowa, bezwietrzna. Księżyc chyli się, chyli dochodzi do czubków drzew, mija je, zapada między gałęzie. Jeszcze błyska między nimi. Wreszcie błysnął po raz ostatni. Zginął. Ostatnia noc. Jutro poczyną się rok trzeci. Trzeci rok zmagania się armii. Jedenasty tydzień, jak niemieckie oddziały pancerne przekroczyły granicę sowiecką. Jedenasty tydzień, jak sowiecka „niezwyciężona armia” cofa się na wschód. I nie ma się czemu dziwić. Tu organizacja, tam dezorganizacja, tu żołnierz, tam niewolnik. Weźmy

przykład najbliższy: leśnicki tartak. Bolszewicy posadzili tu dyrektora. No jakże. Może kiedyś krzyknął na mitingu: „Niech żyje nasz nauczyciel Stalin!”. Więc trzeba go mianować dyrektorem. Przedtem był zwykłym robotnikiem. Cóż więc może on rozumieć się. Dlatego obecnie na placu leżą tysiące fesmetrów³¹⁶ drzewa, które się psuje. Takie wypadki można spotkać na każdym kroku. Nic więc dziwnego, że „niezwyciężona armia” cofa się ciągle na wschód.

Dnia 1 września 1941 roku, poniedziałek. Przychodziła p. Urbanowiczowa. Dwa razy. Raz na piątą, a potem na 10³⁰. Przemawiał Sikorski, a potem jakiś Anglik. Jednak nie takie to już przemówienie, jak było w zeszłym roku. Nie ma w nim tego smutku, wyciskającego łzy. To już nadzieja. Już jesteśmy przecie o rok bliżej do zwycięstwa. Dwa lata minęło. Ile w ciągu nich się zmieniło. Ile rządów już przeżyliśmy. Jeszcze dwa lata temu był polski. Potem sowieckie bezprawie, potem znowu smetonowska Litwa, rząd sowiecki przy wytężonej pracy NKWD i teraz hitlerowskie Niemcy. Pięć prądów całkiem sobie niepodobnych. Każdy z nich zahaczył o kogoś znajomego, bliskiego czy krewnego i poniósł w nieznane. Pani Urbanowiczowa poszła po dzienniku. Taka sama noc księżycowa, jak wczoraj. Cicha, że dzwoni w uszach, światła³¹⁷, jesienią pachnąca.

Dnia 2 września 1941 roku, wtorek. Dziś żną jęczmień. Ja znosiłem snopy i ustawiałem je w rząd. Jesień. Niebo zasnute chmurami, z których czas od czasu spadnie na ziemię deszcz. Nosilem snopki. Raptem słyszę w górze jakieś pojedyncze, lecz częste głosy. Zadarłem głowę w górę. Na tle szarych sunących z wiatrem chmur widać dwa klucze żurawi: jeden większy leci na przodzie, drugi, mniejszy — w tyle. Lecą na południowy zachód, tam, gdzie miesiące zimowe nie są tak ciężkie do przeżycia. Szczęśliwe, wolne. Nie krępuje ich żaden rząd. Z Wilna przyjechała ciocia Natasza. Jest ona od dłuższego czasu chora na wątrobę. Choroba ta stała się obecnie tym cięższa, że nie można dostać nic odpowiedniego do jedzenia. Dają w Wilnie ćwierć kilo szarej bułki. Trzeba tymi 250-ma gramami przeżyć. Bo mięsa nie można. Do bułki dochodzi herbata w postaci przegotowanej wody, bez cukru. Takie jest życie w Wilnie.

Dnia 5 września 1941 roku, piątek. Rano trochę młóciłem, potem paliłem łaźnię. Stefcia dziś od nas odchodzi. Wychodzi ona za męża. Wprawdzie nie bardzo chce, ale idzie na razie do domu, aby się namyślić. Bo

³¹⁶ Właśc. festmetr — miara objętości drewna, równa około 1,5 m. sześć.

³¹⁷ Światła — jasna.

bardzo cisną bracia i narzeczony, a ona ma o sobie bardzo wielkie wyobrażenie i mówi, że ma czas.

Dnia 9 września 1941 roku, wtorek. Miałem jechać do Wilna, bo jutro egzaminy w Technikum. Rano pojechałem do Trok. Tam spotkałem matkę Miszki Firkowicza. Powiada mi, że Miszka w liście z Wilna napisał, że egzaminy zostały odłożone, na kiedy — jeszcze nie wiadomo. Dość, że jutro nie będzie ich. W takim razie dziś nie ma po co jechać na noc. Pojadę jutro.

Dnia 10 września 1941 roku, środa. Pobili rekord: za godzinę i trzydzieści minut w Wilnie. Przyjechawszy do Wilna dowiedziałem się, że Miszka poszedł na egzaminy, a moje będą jutro. Nie bardzo więc spiesząc, pojechałem do mojej przyszłej (prawdopodobnie) budy, aby dowiedzieć się, o której godzinie i z czego. Przyjechałem. Zobaczyłem na rozkład i nic nie rozumiem. Jest tam ósma i siódma klasa. Do której ja mam składać, tego nie wiem. Czekam więc. Doczekałem się wreszcie składających. Wyszedł Miszka Firkowicz i powiada, że już po egzaminach. Było z litewskiego i algebry. Przyjechałem za późno. Gdy mu przedstawiłem swą wczorajszą rozmowę z jego matką, mówi, że wcale tego nie pisał. Przeczytał w gazecie, że termin składania podań został przedłużony do dnia dzisiejszego. Więc przypuszczał, że egzaminy także zostaną odłożone. W Trokach zrobili, że już zostało to dokonane. Poszedłem do inspektora. Powiedział, że będę mógł składać 26 września. Mam więc jeszcze pół miesiąca wakacji. Po obiedzie pojechałem z Miszkiem Abkowiczem pod Hale, a potem na rynek Kijowski³¹⁸, któremu gwara wileńska nadał szumną nazwę „Brechołka”. Od słowa rosyjskiego *brechat* — szczekać. I rzeczywiście bardzo trafna nazwa. Ludzi tam mnóstwo. Jedni sprzedają, drudzy kupują. Każdy chodzi i od czasu do czasu wymawia nazwę jakiegoś przedmiotu: papierosy, kamyki do zapalniczek, bibułka. Inni, którzy mają poważniejsze rzeczy, po prostu noszą ją i pokazują. Wreszcie każdy natknie się na takiego, który przyszedł tu po to, aby coś zahaczyć. Wówczas następuje wymiana kilku słów i albo przedmiot przechodzi do innego właściciela, albo też ten odchodzi z niczym, a tamten dalej spaceruje. Niektórzy, którym szkoda zbyt drogie obecnie zelówki, rozkładają swój towar na ziemi i czekają na amatora. Naprawdę „Brechołka”. Jednak nie ma tu wcale Żydów. Ci bowiem zostali już zamknięci w ghetto, którego granicami są ulice: Zawalna, Rudnicka, Niemiecka i Trocka. Okna domów stojących po stronie ghetto na tych ulicach mają odstraszały wygląd. Okna i drzwi na wszystkich piętrach są zabite deskami. Ulice boczne prowadzące

³¹⁸ Bazar położony na skrzyżowaniu ulic Kijowskiej (Kauno) i Piłsudskiego (Mindaugo).

do tego miejsca żydowskich mąk są zagrodzone ścianą z desek, na kilka metrów wysoką, w której widnieje mała bramka. Przy niej stoi wykonawca służący niemieckich planów — litewski żołnierz z karabinem.

Dnia 11 września 1941 roku, czwartek. Jadę do domu. Z zachodu wieje silny wiatr, bardzo utrudniając podróż. Niesie on ze sobą bure, ciężkie chmury, które częstują ziemię strugami deszczu. Jednym słowem — bardzo hadko jechać. Przejechawszy Landwarów, między miasteczkiem a przejazdem kolejowym spotkałem kolumnę prowadzoną pod konwojem litewskim. Dokąd, nie wiem. Ale albo do Ponar³¹⁹, albo do Wilna. Z tych pierwszych nie ma nikomu powrotu. Przyjechawszy do domu, dowiedziałem się, że dużo kogo aresztowali. Wszystko Polacy. Zaczyna się.

Dnia 12 września 1941 roku, piątek. W nadleśnictwie jest nowy nadleśniczy. Taki, który potrzebuje od urzędników pracy. Jest także jeden „stary” urzędnik. Taki, który nie bardzo chce się przemęczać. Przyjeżdża więc tutaj i siedzi całymi tygodniami. Jego nazwisko brzmi: Vaszkelis. Ten sam, któremu wyższy oficer niemiecki obiecał potężną, mocarstwową Litwę. Oficer odjechał, on pozostał. Niestety, mieszka obecnie nie w tej wymarzonej i wywalczonej swymi rękami Litwie, ale w zwykłej niemieckiej prowincji Ostland. Litewski rząd siedzi w Berlinie, niemiecki komisarz rządzi Ostlandem. Vaszkelis tymczasem siedzi przy kolacji i chwali się swymi wyczynami. Swą walką „za wolną ojczyznę”. Opowiada, jak strzelał swych „śmiertelnych wrogów” — Żydów. „Wrogów” — z którymi za smetanowców całował się, a zeszłej zimy popierał Monopol Spirytusowy. Dziś ich morduje. Bo wieje wiatr taki. Opowiada, że zabił kilku w Kownie i w Landwarowie. Uważa siebie za bohatera. Za takiego, którego wolna Litwa powinna odznaczyć Krzyżem Walecznych. Bo jakże! Przecie mordował. Kogo? To mało ważne. Że bezbronnych — to głupstwo. Vaszkelis jest bohaterem. Ciekawe, dlaczego nie stworzą Litwini korpusu na front. Dlaczego tacy Vaszkelisowie nie pójda na front ze swą walecznością. Jest odpowiedź: bo są na to za podli. Tam trzeba nastawiać swą głowę, tu można strzelać bez obawy o swe życie. Przy słowie „bez obawy” trzeba dodać „na razie”. Ciekawe, co może myśleć taki bohater o swej przyszłości. Czy myśli, że zawsze będzie Ostland? Chociaż wątpię bardzo, czy może on w ogóle coś myśleć. Przynajmniej na takiego wygląda. Gruby, obwisły. Na obwisłej, opitej mordzie (innym słowem nie można ją trafnie określić) są

³¹⁹ Dawna miejscowość lotniskowa pod Wilnem, w latach 1941-1944 miejsce masowych egzekucji, gdzie według szacunków zgładzono około 100 tys. osób, Żydów (ok. 70 tys.), Polaków (ok. 18 tys.), Rosjan, Romów.

umieszczone okulary. [...] Obwiśla, wykarmiona morda pijaka. I to nazywa się urzędnik. Oczywiście litewski. To nazywa się „intyligent”. To cham spod ciemnej gwiazdy. I to tacy właśnie chcieli, ba! chcą jeszcze — rządzić. To jest wzór litewskiego „intyligenta” i urzędnika, który powiada, że skończył średnią szkołę w Niemczech. Znać po nim jego wysoką kulturę. Byłem w Trokach. Poprosił mię wuj Gara, abym zajechał do Bobrówki i wykupił drzewo. Zajechałem. Siedzi tam Litwin. Swym charakterem, kulturą i wyczynami — stuprocentowy Vaszkelis. (Zresztą każdy z nich taki sam.) Zajmuje stanowisko leśniczego. Mieszka tam, gdzie kiedyś mieszkał p. Urbanowicz. Porównać w myślach jednego i drugiego! Co za kontrast. Tamtego los rzucił gdzieś o tysiące kilometrów, ten tutaj rabuje sklepy. Gdzież sprawiedliwość!? Czy długo każe na siebie jeszcze czekać? Ale gdy nadejdzie, będzie chyba sprawiedliwa. Wówczas porozmawiamy!

Dnia 13 września 1941 roku, sobota. Rano przyszedł Marek [Juchniewicz]. Pojechaliśmy z nim do Bobrówki. Chciał on także wykupić drzewo, ale jest ogromniasta kolejka. Pojechaliśmy więc do Trok. Ja musiałem stać w kolejce po mięso. Śmiechu warte! Dają po 20 deko na osobę na tydzień. To się człowiek naje. Potem Marek pojechał do Bobrówki. Do wieczora graliśmy z malcami w karty.

Dnia 15 września 1941 roku, poniedziałek. Pojechałem do Trok po chleb i do kooperatywy. Chleb w Trokach dają w ten sposób: rano i po południu. Po południu dają przez godzinę urzędnikom bez kolejki. Wygląda to mniej więcej tak: z dwu stron ciśnie się do okna kolejka, pośrodku zaś ponad głowami stojących wydaje się chleb. W tym wypadku kartki istnieją tylko dla oka: Litwinom przysługuje w Trokach większa norma niżli dla Polaków. Jedna osoba, dwie czy trzy, dają 2 kg chleba. Trzeba tylko krzyknąć: „*Poniale! Duokit man!*”³²⁰. Taki, który ma większe znajomości ze sprzedawczynią, zachodzi przez czarne wejście. Tam kartek w ogóle nie trzeba. Norma chleba zależy od stopnia znajomości. Ludność cywilna stoi w kolejce i czeka, aż skończy się wreszcie litewska procesja. Wówczas dają jej po 200 g na osobę. Kto dociśnie się pierwszy, dostanie, kto nie zdąży, idzie do domu spoglądając na kartkę. Dadzą jutro, może pojutrze, najpóźniej za kilka dni. Uwaga: za kupony zaległe chleba nie otrzyma się. Prawie taki sam system istnieje w kooperatywie. Poszedłem tam. Właśnie wczoraj przywieźli produkty. Ponieważ „ktoś” „kiedyś” „coś” poniósł³²¹, więc trzeba wyrównać budżet, aby nie było deficytu. Z tego powodu cena masła

³²⁰ *Poniale! Duokit man!* — lit.: Panienko, daj mi!

³²¹ Ponieść — tu: ukraść.

podniesiona została z 15 rubli na 32 ruble. Wyraz „ktoś” można zastąpić słowami „urzędnicy litewscy”. Zamiast „kiedyś” — „w nocy”. Zamiast „coś” — „wszystko”. Tak z grubsza wygląda system kartkowy. W kooperatywie są także godziny dla urzędników. Stoi policjant i wpuszcza do środka. Zachodzę. Policjant jest ten sam, który mię onegdaj zahaczył na chodniku. Toteż dziś, po moim wyjeździe, począł na cały głos krzyczeć w sklepie: „A, to ten, co z akumulatorami jeździ po chodnikach”. Powiada, że przyszedłem za późno (za mną przychodzili jeszcze Litwini), toteż muszę wyjść. Powiadam, że nie wyjdę. Napisał w swej księdze protokół. Dlatego, że jechałem po chodniku i mam prawo słuchać radio. Litwinom można było przyjść później. Ale nic nie wskórał: zostałem w sklepie.

Dnia 20 września 1941 roku, sobota. Wczoraj przybyła do nas p. Stacha Witortówna. Przyniosła cały plecak starych firanek, spódnic itd., aby na wsi wymienić je na produkty żywnościowe. Inaczej w Wilnie przeżyć nie sposób. Pojechałem pod wieczór do Trok. Do „klubu”. Wygrałem 12 rubli. Romek zaczął chodzić do trockiego seminarium. Zen dotrzymuje mu towarzystwa.

Dnia 22 września 1941 roku, poniedziałek. Troki przeżywają to, co Wilno już przeżyło. Wypędzają Żydów z ich dotychczasowych mieszkań. Dziś Tatuś był w Trokach. Wracając spotkał właśnie Żydów, których pędzili z Rudziszek. Wieczorem był z Trok Alejun. Powiada, że trockich mają [wypędzić] w nocy. Pan Lewin, dowiedziawszy się, czym to pachnie, zdecydował się iść do rodziny, która mieszka w Gudogaju³²². Tam nie ma Litwinów i nie ma tych okropności, jakie są tutaj. Idzie jutro rano. Dziś był u nas po raz ostatni. Wreszcie nadeszła chwila pożegnania, gdy człek podając rękę, nie wie, czy nie ostatni to już raz. Gdy odchodzi się w nieznane.

Dnia 23 września 1941 roku, wtorek. Może godzinę czy dwie po wyjściu Lewina przybyła po niego z Trok policja. Jakże się rozczarowała! Spisali tylko rzeczy, które po nim zostały. Z Trok wypędzono wszystkich nad ranem, o godzinie piątej. Przywieziono ich wszystkich łódkami do domów KPW³²³. Co z nimi będzie, nie wiadomo. Ale przyjechawszy z Trok, Vaszkelis powiada: „Ot co!” i pokazuje ręką ziemię. Bardzo się z tego cieszy. Z opowiadań tych, którzy widzieli, co się dziś w Trokach działo, można wynioskować — okropności.

Dnia 25 września 1941 roku, czwartek. Tala pojechała wczoraj do Wilna i przysłała list, że egzamina będą w sobotę. Jednak Misza powiada,

³²² Miasteczko w okolicy Grodna.

³²³ Kolejowy Pensjonat Wypoczynkowy.

żebym przyjechał dziś. Aby więc nie wyszło tak, jak to było zeszłym razem, warto pojechać wcześniej. Jadę więc dziś. Do południa nosiłem na polu pożyty kartoflanik³²⁴, po obiedzie zaś, zaopatruwszy się w artykuły spożywcze, jadę do Wilna. Po drodze, w Landwarowie napędziłem wuja Rafała, który jechał koniem z Trok, także do Wilna.

Dnia 26 września 1941 roku, sobota. Egzaminy piśmienne. Składających je jest 310. Niczego sobie. Jest 6 grup. Zenek także przyjechał wczoraj na egzamin. I... jesteśmy w jednej grupie. Najpierw matematyka. Siedzieliśmy obok siebie i robiliśmy zadania na spółkę. Wyniki oczywiście takie same. Następnie litewski. Dają temat „Rudno”, czyli jesień. Słownik pracował. A zeks mu nawet nie próbował przeszkadzać. No, jakoś się odwaliło. Na tę intencję postanowiliśmy pójść do kina. Poszliśmy do „Ogniska” na „Noce majowe”. Przesiedzieliśmy nawet dwa seanse. Uściłło przywiózł dziś drzewo. Pani Urbanowiczowa przysłała jakiś list, by go oddać w Wilnie.

Dnia 28 września 1941 roku, niedziela. Maniusz jest w Wilnie. Rąbaliśmy dziś obrzynki, które wuj dostał w tartaku. Potem pojechaliśmy z Miszkciem do miasta szukać adresatki listu p. Urbanowiczowej. Wreszcie znaleźliśmy.

Dnia 29 września 1941 roku, poniedziałek. Jest taki piękny, jesienny dzień. Ciepleszy niż wczorajszy czy przedwczorajszy, bo słoneczny. Dzień jesienny. Słońce grzeje trochę, ale nie tak przecie, jak to było kilka miesięcy temu. Właśnie w taki piękny dzień słoneczny — o losie! — trzeba składać egzamin. Aż żal. Taka piękna pogoda, słoneczna, a tu siedz w tych murach surowych, tchnących jeszcze wilgocią po niedawnym remoncie i wysilaj swą mózgowicę! Czyż nie ironia losu?! Wreszcie można wyjść! Egzamin mamy poza sobą.

Idziemy właśnie z Zenkiem Parkiem Bernardyńskim³²⁵. Układamy sobie plany na przyszłość. Na tę najbliższą. Co będzie z bursą, z nauką. Ale takie to jeszcze chwiejne, takie niepewne. Bo na matematyce przecie nie całkiem mi dobrze poszło. Bo trudno powiedzieć, że dobrze, skoro zeks oznajmił mi, że matematykę trzeba znać, a nie filozofować. Lub „to jest wierutne głupstwo”. Dwa, jak w chińskim banku³²⁶. Jedno słowo „ściął się”³²⁷ i z wszystkich planów jeno rozwiana mgła.. Ale szczęśliwy człowiek się czuje, że ma tę sobotnią i dzisiejszą mękę już za sobą. A można się nawet

³²⁴ Kartoflanik — łodygi kartofli po wykopkach.

³²⁵ Park Bernardyński — park w Wilnie założony przez zakonników w XV w. Obecna nazwa Ogród Serejkiski — lit.: *Sereikiškių sodas*.

³²⁶ Jak w chińskim banku — gwar. uczn.: na pewno, jak w banku.

³²⁷ Ściąć się — oblać, nie zdać egzaminu.

uśmiechnąć. Ale nie tak jak to się robiło w czerwcu. To uśmiech ledwo widoczny, jesienny... Jesień!... Już przyszła, ta z pięknymi złotymi dniami, z czerwienią sadów. Taka polska jesień z „babim latem”. Właśnie z drzewa oderwał się żółty liść. Zatańczył, pchnięty ostrzejszym prądem powietrza, który go zmiotł trochę w bok. Leci dalej, zatacza półkola, wiruje w jesiennym powietrzu. Może w swej drodze, w swych ostatnich chwilach żywota przerwał cieniutką nitkę „babiego lata”. Wreszcie doleciał, upadł i spoczął obok swych braci. Spoczął na zielonym jeszcze kobiercu trawy. Taki cichy, słoneczny dzień jesienny. Gdy tam grają armaty, warczą samoloty, padają trupy, tu na ziemię padają cicho liście. Taki los! Co będzie za rok? Może wówczas już my zagramy na armatach, karabinach maszynowych. A słońce świeci smuto. Wieczorem poczyna się *Kippur*. Do domu nie ma jak jechać, bo jestem związany ogłoszeniem przyjętych, co ma być jutro.

Dnia 30 września 1941 roku, wtorek. Ziściły się me marzenia sprzed dwóch lat i sprzed roku. Dziś obchodzimy *Kippur*, nie będąc zmuszonymi patrzeć na czerwone flagi. Tak było dwa lata temu. Troki przedstawiały smutny widok. Sklepy zamknięte, natomiast na magistracie wisiały dwie flagi czerwonego koloru. Niektórzy pod wrażeniem niedawnej klęski wojsk polskich popadli w apatię. Był już ciemny wieczór. Wracaliśmy wtedy z Markiem z kienesy. Rozmowa toczyła się na temat, który był w „owych czasach” najczęściej poruszany. Raptem Marek powiada, że nie ma zdrajcy nad Polaka. Gdyby nie był to wieczór kippurowy, dałbym mu w twarz. (Mimo że tak się nie stało, dziś zmienił on swe przekonanie.) Na niektórych domach wisiały czerwone płachty. Ich wąskość świadczyła o pochodzeniu. Była to część polskiego sztandaru. Tak beznadziejnie zwisały w ciemny wieczór jesienny ku ziemi. Czas od czasu poruszał nimi wiatr jesienny. „O Panie, spraw, aby na przyszły rok ich nie było”. Niestety, następny *Kippur* nie przyniósł poprawy. Jenó, że czerwone flagi pochodziły już nie z polskich, lecz z litewskich. W tym roku już się ziściły prośby: nie ma czerwonych sztandarów. Minęło. Przyszły i poszły, zostawiając po sobie, jak ich sztandary, czerwoną krew, łzy niewinnych. Minęły. Na ich miejsce przyszły inne, czerwone z białym kołem i czarną swastyką. Także wycisnęły już swój znak: krew i łzy. O Panie! Spraw, aby na przyszły... Może nie na przyszły, to za dwa lata, ale spraw. A w to nie wątpimy.

Dnia 1 października 1941 roku, środa. Do Technikum po wyniki chodziłem, wyszedłszy z kienesy wczoraj. Jednak niczego się nie dowiedziałem. Idę więc dziś. Miszka idzie już na lekcje. Przyszedłem: wiszą trzy listy. Przyjęci, złożyli, ale nie przyjęci, nie złożyli. Ja, o dziwo! jestem na

pierwszej. Zen na drugiej. Tego się nigdy nie spodziewałem. Ale... Składających było 420. Na pierwszej liście 70, na drugiej 167, na trzeciej 168. Nie rozumiem. Po pierwszych egzaminach było około 100 „złożonych”. Jeżeli było 70 miejsc, po cóż było robić jeszcze egzaminy. Sytuacja wyjaśnia się: było za mało Litwinów. Ponieważ po drugich egzaminach takich się nabrało, więc dla tamtych można napisać: złożył, ale z powodu braku miejsc nie przyjęty. Bo miejsca zajęli Litwini. Miszka Abkowicz i Firkowicz także przyjęci. Z Trok była dziś furmanka. Furman opowiada, że wczoraj w Trokach Litwini załatwili się ze wszystkimi Żydami. Postrzelali wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci.

Dnia 2 października 1941 roku, czwartek. Nareszcie dopiąłem: przyjęli mnie do bursy. W takim razie można jechać do domu. Pojechałem.

W Leśnikach wszyscy pod wrażeniem tragedii, jaka się rozegrała w Trokach. Rozstrzelano 1704 Żydów. Z całej okolicy. Rudziszki, Landwarów, Wysoki Dwór, Troki. Litwini wykazali swe bohaterstwo. Z karabinami tylko szli do ataku na okopy, nad którymi stali Żydzi o okręconych koszulami głowach. Byli na tyle bohaterzy, że dzieci nawet nie strzelali — młócili ich po prostu kolbami. Bohaterstwo godne Litwinów. 1704 ludzi. Jedno jest, co do czego ludzkość przekonała się w 100 %. Krew niewinnych nie milczy.

Dnia 3 października 1941 roku, piątek. Pojechałem do Trok. Ale miasto to, to już nie Troki, to raczej Trakai. Na ulicy rzadko kiedy spotka się człowieka. Znajomego w ogóle nie spotkasz, choćbyś przeszedł miasto tam i z powrotem. Jakieś nowe typy, przeważnie litewskie. Mieszkańcy Trok (oprócz Litwinów) siedzą w domach, ciągle pod wrażeniem tragedii, której odgłos nieprędko się zatrze w pamięci. Gdzie nie zajdziesz, wszędzie można dowiedzieć się szczegółów, w całej rozciągłości.

Dnia 4 października 1941 roku, sobota. Wybieram się jechać do Wilna. Mam przepustkę na pociąg, jednak nie całkiem formalną. Ale może jakoś tam będzie. Rozkładu pociągów nie ma w ogóle. Wiadomo tylko, że idą we środy i soboty. Trzeba więc iść i czekać na dworzec. Wyszedłem z domu o dziewiątej. Pociąg przyszedł o dwunastej. Szczęściem pogoda jest piękna. Taka typowa jesień polska. Drzewa liściaste można odróżnić z daleka: są one już żółtawe. Czasem, przy silniejszym podmuchu, oderwie się żółtawy płatek, by potańczywszy na wietrze wylądować na ziemi. Przyjemnie jest grzać się w złotych promieniach jesiennego słońca. Wprawdzie nie tak przyjemnie, jak w promieniach słońca wiosennego. Na przykład jak to było wówczas, gdy jeszcześmy składali egzaminy. Ale mimo to jesień ma także swoje uroki. Tam, niedaleko kobiety kopią właśnie

kartofle. Hen w górze szybują czarne wrony, z pewnością gdzieś na pagórek, na wspólną naradę. Wreszcie doczekałem się pociągu. Przyjemnie jest grzać się na słońcu, ale niezbyt przyjemnie czekać na pociąg. Do Wilnajechałem bite dwie godziny, przestrzeń, którą polska motorówka przebywała w przeciągu 35 minut. W Wilnie poszedłem do Witortów, potem do cioci Lizy [Rojeckiej]. Następnie poszedłem do bursy. Musiałem tam przez pewien czas czekać na kierownika. Miałem doskonałą sposobność do obserwowania typów. I nie byłem nimi bynajmniej zachwycony. Same typu parobków, pastuchów itd. Przyjemne towarzystwo. Wreszcie natknąłem się na owego kierownika. Jak się później okazało, był on tylko prowiantowym. Ale w braku wyższej władzy, chce on widać pokazać, że także coś znaczy. Powiada mi, że mu się tak podoba i on mię nie przyjmie. (Mimo, że przez dyrektora już zostałem przyjęty.) Poszedłem więc do Technikum. Stamtąd do dyrektora bursy. Ten mi napisał kartkę, że mnie muszą przyjąć. Gdy pokazałem tę kartkę „prowiantowemu”, ten mi od razu sypie, że bursa jest dla Litwinów, zwłaszcza „partyzantów” i Polaka doń nie przyjmą. (Widocznie skombinował z mojej wymowy litewskich słów, że nie jestem Litwinem.) Powiadam, że nie jestem Polakiem, a Karaimem. On na to, że jeśli tak, to mogę nocować, ale jeść na razie nie. Żebyś się zarąbał. Łaskę mi robi, że pozwala tam nocować i to dlatego, że nie jestem Polakiem. Obyś się powiesił! Dlatego, że ktoś był „partizanem”, rabował sklepy i podróżnych, obecnie ma pierwsze prawa. Jeszcze się przed nim legitymuj. Poszedłem więc na noc do Abkowiczów. Tymczasem już się namyślałem, czy nie rzucić *k'czertiam*³²⁸ całą tę naukę. Ale z drugiej: Polsce będą potrzebni technicy. A więc! Dla ciebie! Polsko! Poprzez urągania litewskich chamów. Poczekaj! Niestety, na razie

„Nam nie szumią nad głową sztandary,
Chyba czasem zaszumi bór stary,
Chyba wichry po polach zbłąkane
Tryumfalne nam wieją fanfary.
Jeno sen nasz! Jest cudnym sen złoty,
Sen Wolności — co marzy się w Sławie”³²⁹.

Dnia 6 października 1941 roku, poniedziałek. Według obecnego rozkładu lekcji mamy w poniedziałek 4 godziny warsztatów. Dziś były po raz pierwszy. Przyszedł zeks i począł nas oprowadzać po wszystkich halach pracowni. I rzeczywiście jest co oglądać, będzie gdzie i czego uczyć się. Wszę-

³²⁸ *K'czertiam* — ros.: w diabły.

³²⁹ Fragment „Szarych rot” autorstwa poety legionowego Józefa Mączki.

dzie maszyny, tokarki, silniki, transmisje. Skórzane pasy przeskakują z koła na koło, ząb za ząb się zazębia. Tempo!... Właśnie byliśmy w dziale elektromechanicznym. Tempo! Transmisje z zawrotną szybkością przeskakują z kół silników na prądnice. Wiek XX dyszy parą, porusza się prądem. Tempo!... Wyszliśmy stamtąd. Idziemy dalej. Przechodzimy koło schodów. Właśnie wchodzi po nich jakiś człowiek. Na lewej piersi i łopatce widnieją żółte gwiazdy sześcioramienne. To człowiek całkiem pozbawiony praw, dlatego że jest Żydem. Może mu Niemiec dać w łeb lub Litwin, w Ponarach rozstrzelać i któremu to jako zasługę zapisano będzie. Dwudziesty wiek... Gdyby nie te maszyny, tłoki, prądnice i tokarki, można byłoby przypuszczać, że to nie jest XX wiek, w którym ludzkość chwali się swą cywilizacją, wysoką kulturą (niemiecką zwłaszcza) itd., że to raczej dawne, zapadłe średniowiecze, o którego znęcaniu się nad ludźmi tyleśmy słyszeli na lekcjach historii czy polskiego. Mało tego: tu nie może być porównania z średniowieczem, bo jeśli wówczas zadawano męczeńską śmierć, to zadawano temu, kto na nią zasłużył. Obecnie nie ma tego. Czy winien, czy nie, musi nosić łątę, musi iść do Ponar i przyjmować kulę. Bo jest Żydem. Gdzież jest niemiecka wysoka kultura, o której tak dużo można usłyszeć od Litwinów. Czyżby świadczą o niej tylko czołgi i samoloty, trupy niewinnych i łąty na piersiach i plecach?

Po lekcjach poszedłem do bursy. Prowiantowego nie ma. Gdzieś wyjechał. Był owy *videjas*³³⁰ (jak się okazało, przy Polakach był woźnym w Technikum), który mi pisał kartkę. Powiada, że już nic nie może zrobić. Po wielkim krzyku z mej strony pozwolili mi zjeść obiad. Posadzili przy drewnianym stole na kozłach, naleli do misy kartoflanki, w której pływały trzy (dosłownie) grzybne skwarki i bez chleba dali jeść. *Vis á vis* usadowiło się kilku „partyzanów”. Paczki³³¹ chamskie, rugają się jak chamy itd. Więc z takimi miałbym mieszkać cały rok? O nie! Za dumne jak dla mnie towarzystwo. Nie róbcie dla mnie łaski. Potem będą pędzić ich, to i mnie się oberwie. Bądźcie więc wy dumnymi „litewskimi partyzanami”, a ja zostanę małym Karaimkiem, stuprocentowym przyjacielem Polaków. Po „obiedzie” wyszedłem, mówiąc, że znów na noc powrócę. Żegnajcie mi!

Dnia 7 października 1941 roku, wtorek. Misza poszedł do budy, ja zaś jadę do domu. Jak raz rano popadłem na pociąg. Całą drogę jechałem na schodkach. Trzeba się naradzić, co robić z mieszkaniem. Jeździłem do Trok i musiałem staczać formalne bitwy o chleb.

³³⁰ Właśc. *vedėjas* — lit.: kierownik.

³³¹ Paczka — tu: grupa.

Dnia 8 października 1941 roku, środa. Jadę do Wilna. Stało na tym, że Mama przyjedzie do Wilna w piątek i rozejrzy się w sytuacji. Na pociąg czekałem na przystanku przez trzy godziny. A nie jest zbyt ciepło.

Dnia 10 października 1941 roku, piątek. Piątą i szóstą lekcją była mechanika. Przyszedł Litwin i bębni coś po litewsku. Do tego trochę się jąka i sepleni. Po prostu nie można nic zrozumieć. Siedzi się na lekcji jak na tu-reckim kazaniu i nic nie rozumie. Żeby chociaż w klasie było ciepło. Ale i tego nie ma. Na ścianach i suficie widnieje mokrymi plamami nie-oschnięty jeszcze tynk. Zimno jak w psiarni. Okręcisz się w płaszcz, ręce wsuniesz do rękawów i słuchasz, co on treli. Wreszcie z tego wszystkiego chce się spać. Po cóż więc spać w klasie, gdy można w domu bez litewskiego koncertu. Na dwóch ostatnich nie było już cierpliwości siedzieć. Najechaliśmy. Ogarnia mnie jakieś zniechęcenie do tej całej nauki. Lepiej pojedę do domu i pójde na tartak, to przynajmniej będzie jakaś korzyść. Tymczasem przyjechała Mama. Poszła do Mońki Łopatty³³² w sprawie mieszkania. I sam nie wiem, co robić. Jechać — to wszystko kończone, zostać — nic i tak nie wyjdzie. Bo coś z tego siedzenia. Tylko kosztuje to życie w Wilnie. A wiem, że w tym roku nie bardzo będzie z czego.

Dnia 11 października 1941 roku, sobota. Dziś jeszcze poszliśmy do budy. Można jeszcze popatrzeć. Może jakoś się zachęcimy. Wracając do Technikum, zaszliśmy (z Miszkim) do mej starej budy. Na drzwiach bowiem jest ogłoszenie, że trzeba wybierać dokumenty. Zaszedłem, ale tym razem bez przepustki. Były drzwi do szatni otwarte. Zaszedłem. Cała szatnia jest zavalona jakimiś skrzyniami, stołami itd. Oddano mi dokumenty. Stare świadectwo szkoły powszechnej, metrykę. Wszystko z pieczęciami polskimi z Orłem. Hej, czasy! Jakże szybko minęliście. Jak się to nie mogło dostatecznie ocenić wasze dni. Gdy już wychodziliśmy, sekretarz pyta, czy jestem z Trok. Mówię, że tak, więc pyta, czy dużo stamtąd zabrano (tzn. aresztowano.) Powiadam, że owszem, „trochę”. Więc oni już wiedzą!!!

Już trzeba wychodzić. Nie ma już co tu robić. Można najwyżej zatrzymać się, obrócić i rzucić spojrzenie, być może ostatnie, w tamtą stronę — w stronę jadalni, schodów na górę. Tu schodziliśmy co dzień po lekcjach, tu schodziliśmy po każdym egzaminie, by się podzielić wrażeniami, tuśmy się wreszcie rozeszli. Za tymi oto oknami jest boisko. Przyjemnie było grać się na nim w promieniach wiosennego słońca między egzaminami. Potem iść na nie, gdy się nie wiedziało, co będzie, gdy będziemy z nich wychodzić. Minęło! Ale... Misza już mówi „Chodź”. Jemu się spie-

³³² Marcin Łopatto „Markuń”.

szy. On nie wie, o czym myślę, czemu tak długo tu stoję. Trzeba więc iść. Od drzwi rzucam jeszcze spojrzenie. Hej! Już po wszystkim. Drzwi są na sprężynie: zamykają się szybko i głośno. Już jesteśmy na ulicy. W teczce mam dokumenty. Już wszystko skończone. Ciekawe, co jest teraz z Pyszynską, Hantzówną, Kroppówną, z nimi wszystkimi?!

Dnia 12 października 1941 roku, niedziela. Przyjechała rowerem Tala. Od Markuniów nie ma jeszcze odpowiedzi, ale przypuszczalnie będzie ona odmowną. Może więc coś wyjdzie u Kobeckich. Trzeba się jednak uczyć.

Dnia 13 października 1941 roku, poniedziałek. I rzeczywiście nic z Łopattami nie wyszło. Wczoraj więc chodziliśmy do Kobeckich. Stało na tym, że zostanę u nich. Mama pojechała już do domu. Ja dziś przenoszę się. U Abkowiczów nie mieszkam w tym roku dlatego, że po pierwsze jest dalej chodzić do budy, a po drugie tu będę miał wszystkie pomoce naukowe i osobę Jurka, który mi będzie mógł pomagać, po trzecie ciocia Natasza jest przecie chora, po cóż więc obciążać ją?

Dnia 19 października 1941 roku, niedziela. Miał przyjechać do Wilna Tomaszewicz. Miałem więc dziś dużo chodzenia. Rano chodziłem do Wiktortów w sprawie jakiejś tam transakcji, przeprowadzonej między nimi a Mamą. Potem byłem u cioci Lizy. Tomaszewicza nie ma. Chyba więc dziś nie przyjedzie. Pod wieczór przychodził Marek Juchniewicz. Mieszka on obecnie w Wilnie, chodzi do szkoły rzemieślniczej na II kurs.

Dnia 21 października 1941 roku, wtorek. Hej! Może i nie jest tak źle żyć na świecie. Przyszliśmy z Miszkiem do budy, tymczasem do klasy wwała się inspektor z listami. Powiada, że klasy nasze będą podzielone na cztery z dwóch. (Teraz już się znalazło miejsce, z którym tak ciężko było zaraz po egzaminach. Oczywiście miejsce znalazło się dla Litwinów.) Zrobiono trzy klasy litewskie i jedną — we snach wymarzoną! — polską z małą domieszką litewskości. „Zeksowie” — Polacy po większej części nic sobie nie robią z zarządzeń surowo im zabraniających wykładać po polsku i rzną pełną parą. Litwini mają także trochę poważania, starają się gadać jaśniej i wolniej.

Dnia 24 października 1941 roku, piątek. Jurek wychodzi z domu o siódmej rano. Powraca o piątej. Dopóki jego nie ma, w domu jest cicho, spokojnie. Gdy zegar (w radio) wybija godzinę szóstą, do mieszkania wchodzi nowy prąd — prąd życia. Dowcipy sypią się jak z rękawa, pieśni jak z głośnika. Czasem podłoga zaskrzypi od szybkich uderzeń Jurkowych butów. Jest pełen życia, werwy. Ucisza się, gdy idzie spać.

Dnia 28 października 1941 roku, sobota. Wyszedłem dziś z domu trochę wcześniej, ponieważ miałem przed lekcjami załatwić się z matematyką. Z tego powodu szedłem sam (zwykle chodzę z Miszkiem). Droga trwa od 30 do 35 minut. Jest sporo czasu do myślenia i nikt w tym nie przeszkadza, bo ludzi jest o tej porze dnia na ogół mało. Idę właśnie przez aleje Ogrodu Bernardyńskiego. Już nie ma liści na drzewach, sterczą tylko nagie konary, jakby żebrząc o jałmużnę. Otrzymują ją często w postaci śniegu i deszczu. Między drzewami prześwieca się coraz bardziej przybliżający się brzeg Wilii z ulicą Kościuszki. Właśnie rozgrywa się na niej scena, na którą można natknąć się o każdej porze dnia. Prowadzą niedobitków czerwonej armii. Po to, aby przedstawić sobie ten widok, trzeba go oglądać naocznie. Inaczej będzie trudno. Na przedzie idzie Niemiec, często nawet bez karabinu, a za nim w czwórki ustawieni byli krasnoarmiejcy. Obrośnięci, od pół roku chyba nie goleni, brudni, z nastawionymi kołnierzami w swych szynelach koloru samodziału wiejskiego. Z tyłu idzie też Niemiec lub Litwin. O ile ten ostatni, to oczywiście z karabinem i bagnetem. (Im mniejszy, tym większego pragnie fasonu.) Po minach tych, którymi los tak ciężko miota, można wywnioskować, że w żołądku także nie jest zbyt pełno. Czasem któryś odezwie się do przechodnia: „Pan, daj zakurit”. Już ich minąłem. Nasuwa się pytanie: o co chodzi właściwie w tej wojnie? Czyżby tylko o obustronne okłamywanie się? Czyżby po to tylko rozgłośnia warszawska śle przez cały dzień w przestworza słowa „Krasnoarmiejcy! Przechodźcie na naszą stronę, skierowawszy uprzednio swe bagnety przeciwko waszym komisarzom! U nas znajdziecie schronienie przed ich barbarzyństwem i terrorem”, aby potem znowu te istoty, noszące nazwę człowiek zakuć w kajdany, zbić w szeregi eskortowane przez Litwinów, zdusić w ciasnych celach, zagłodzić śmieszną wprost racją żywności. Nie, po to, aby to uzyskać, nie warto chyba podnosić rąk do góry. Nie warto rzucać karabinu, pozbywać się honoru żołnierskiego. Lepiej chyba paść na polu boju, aby wróg miał tę świadomość, że idzie on jako wróg, nie jako wyzwoleniec spod jarzma. Ładna rzecz wyzwolić, by znowu zakuć w niewolę. Lecz oto znowu oddział skazańców. Stoją na miejscu. Przed nimi Litwin z żółtą opaską. Niektórzy podskakują na bruku, by się trochę rozgrzać. Inny pociera uszy, trzeci jeno patrzy na przechodniów. Z każdej twarzy wygląda trwoga, rozpacz, rezygnacja.

Dnia 29 października 1941 roku, środa. Jak co dzień, tak i dziś idę do budy. Sprawia nie do opisania męki takie siedzenie przez siedem, osiem godzin. Gdybyż były ciepłe klasy. Ale gdzie tam do tego. Skrzydło, w któ-

rym się uczymy jest niedawno wybudowane. Jeszcze nie ma założonej instalacji centralnego ogrzewania. Dlatego w klasach jest psiaczo zimno. Na suficie i ścianach widnieją mokre plamy pozostałe po tynkowaniu. W ogóle nie ma w szkole iście szkolnego życia. Nie ma tego, co było kiedyś... Teraz przychodzi się do budy, aby tylko odwalić te siedem czy osiem godzin. Jednak „odwalanie” ich nie jest aż tak bardzo łatwe. Po dzwonku trzeba nałożyć kołnierz u palta, dobrze okręcić szalik, mocno wcisnąć się między poły i nałożyć rękawice lub wsunąć ręce nawzajem w rękawy, usiąść na taboreczku i zawzięcie pracować palcami u nóg, by zbyt szybko nie marzły. A jednocześnie trzeba także słuchać. Prawdziwa męka jest wówczas, gdy trzeba pisać. Ręce muszą opuścić rękawy. Profesor w płaszczu oczywiście biega po klasie przez całą lekcję z małymi przystankami, niezbędnymi dla narysowania czegoś lub napisania. Szczęśliwym się człowiek czuje, gdy wreszcie dzwonek. Można wówczas pójść na stare schody i pograć się przy kaloryferach. Lecz jakże jest się nieszczęśliwym, gdy dzwonek rozbrzmiewa powtórnie. Znowu na czterdzieści pięć minut. Misza [Abkowicz] od tych operacji przeziębził się i nie był wczoraj i dziś w budzie. Nachalnie³³³ kaszle. Po obiedzie chodziłem do niego.

Dnia 30 października 1941 roku, czwartek. Pod wieczór przyjechała Tala. Dobierała się do Wilna w budce towarowego pociągu. Bardzo przyjemna jazda, tylko nie przy takiej pogodzie. Chodziłem dziś do Marki [Juchniewiczza]. Wybieraliśmy się z nim jutro razem jechać do domu, mamy bowiem trzy dni wolne (miało być dziesięć, ale zmniejszyli na intencję ferii zimowych). Tymczasem on ma podobno otrzymać skądś rower, więc chyba przyjdzie się mi dobierać samemu. Tak jakoś ciężko na duszy i sercu... Sam nie wiem, dlaczego. Odczuwam to już od kilku dni. Nie ma tego humoru, jaki bywał kiedyś. Bo rzeczywiście nie ma czym się cieszyć. Gdy się mocniej wsłuchać w to, co się wokół dzieje, to daleko jest do wesołości. Chociaż chyba nie u wszystkich tak. Na przykład Jurek był dziś w humorze szaleńczym. To znaczy nie dosłownie, ale w „szalenie dobrym”. Przez cały wieczór dawał nam lekcje dowcipów, kawałów i śpiewu.

Dnia 31 października 1941 roku, piątek. Dwie pierwsze lekcje to gimnastyka. Ponieważ takowej nie ma, więc idę na 9⁵⁰. Jeszcze w zeszlą niedzielę przyszedł list od p. Lewina³³⁴. Donosi on, że do domu dobrał się, aczkolwiek zaznacza, że omawianie przygód zostawia na lepsze czasy. Chyba więc takowe były jednak. Miał jednak szczęście. Gdyby spóźnił się

³³³ Nachalnie — tu: bardzo.

³³⁴ Zdołał uciec na Białoruś przed Niemcami.

na dwie, trzy godziny, byłby podzielił los tych 1704 [rozstrzelanych], którzy swe mogiły znaleźli tuż przy Trokach. Brrr! Człowiek wzdryga się na samą myśl o tym, a jednak znaleźli się tacy, którzy do tych moglił wtręcali. Do budy szedłem z Miszkiem. Dochodząc do Placu Katedralnego zauważyliśmy jakiś nadzwyczajny ruch i tłum. Idziemy dalej. Raptem na rogu Cielętnika³³⁵, na gałęzi drzewa, tuż obok ławki widać wiszącego człowieka, u którego na piersiach wisi tablica z jakimś napisem, którego jednak nie czytaliśmy. Fu! Co za niesmak. Przez cały czas pobytu w budzie nie mogłem od siebie odpędzić tej myśli. Ponieważ chcę dziś jechać do domu, więc zwolniłem się z ostatniej lekcji. Wracałem z budy sam. Człowiek ciągle wisiał, ciągle też gromadzili się ludzie, aby go oglądać. Przystanąłem. Na owej tablicy było po polsku napisane „hwytający i ukrywający żydowskiej własności”. Było to także po niemiecku i litewsku, tylko może z trochę lepszą gramatyką i pisownią. Jeżeli więc za to mają wieszać ludzi, to prawie wszystkich litewskich „inteligentów” musiałby spotkać ten los. Ale nie spotka. Im można. Przy trupie stoi na warcie uśmiechnięty litewski policjant. Po obiedzie poszedłem na dworzec. Po przedłużeniu przepustki wlaźłem do towarowego wagonu, mającego iść na Landwarów. Ludzi napchano jakby do Kazachstanu. Dojechałem do Landwarowa, stamtąd obok toru piechotą. Wyszedłem o piątej. Poczynało już ciemnieć. Potem wypełzną z lasu księżyc i oświecił mi drogę. Czasami między drzewkami widnieje biała plama śniegu. Wisielca, być może, już zdjęli. Podczas gdy jedni głoszą o wysokiej kulturze i cywilizacji XX wieku, drudzy wieszają na publicznych placach, niemal tak jak to bywało w zamierzchłym średniowieczu. Do domu doszedłem o szóstej trzydzieści, całkiem już po ciemku.

Dnia 1 listopada 1941 roku, sobota. Po wczorajszej podróży spałem do jedenastej. Potem wybrałem się do Trok rowerem. Tam założyliśmy klub. Jest Marek, Gabka Dubiński i cała trocka kompania. Graliśmy u Wićki Szpakowskiego. Podczas akcji począł padać śnieg. Gdy wyszedłem jechać do domu, cała niemal ziemia była pod białym welonem. Dojechałem dobrze. Zachyliłem³³⁶ dziś osiem i pół rubla.

Dnia 2 listopada 1941 roku, niedziela. Zaduszki, przypadające w tym roku w niedzielę, zostały przeniesione na dzień jutrzejszy. Chciałem pojechać dziś do Trok, do Halusi, ale taka paskudna pogoda, że nie sposób się dobrać. Wypadł śnieg, który zależnie od pory dnia pokrywa się skorupą lub poczyna topnieć pod deszczem i znowu zamarzać.

³³⁵ Cielętnik — Park Zamku Dolnego w Wilnie.

³³⁶ Zachylić — tu: wygrać.

Dnia 4 listopada 1941 roku, wtorek. Trzeba już na powrót dobierać do Wilna. Będę próbował jutro pociągiem, bowiem towarowe zatrzymują się czasem, gdy kierownik ruchu przyjeżdża lub odjeżdża. Sławek chodził do Trok, by dostać pozwolenie na przewóz kartofli do Wilna. Tam w ogóle jej³³⁷ nie mają. Chodzą i po koszyczku pożyczają, przy sposobności narzekając na Babunię, że nie przysyła. Jakby to ona musiała się o wszystkich troszczyć.

Dnia 5 listopada 1941 roku, środa. Wczorajsze plany pomieszały się. Jadę do Wilna nie pociągiem, lecz koniem z Uściłłą. Wyjechaliśmy o jedenastej. Póki dobraliśmy się do szosy, była pierwsza. A nie było tam więcej jak 5 km. Taka hadka droga. Miejscami lód, śnieg, naga ziemia. Siedząc z początku na wozie, mijaliśmy wolno pagórki i dolinki. Przejechaliśmy las, następnie część pola. W stronie Leśnik nad lasem wznosił się w górę słup dymu z tartaczego komina. Wreszcie zasłonił go jakiś wyższy pagórek. Żegnajcie chyba aż do Bożego Narodzenia. Wkrótce musiałem zleźć z wozu, bo zrobiło się nachalnie zimno. Usiadłem dopiero na szosie, na której też czas od czasu trzeba było zeskakiwać z wozu i biec, by się rozgrzać. Koło szóstej byliśmy w Wilnie. Przy Legionowej dwóch pijanych Litwinów przeszukiwało wóz. Szukali chyba samogonu. Gdy pokazałem przepustkę, odczepili się.

Dnia 7 listopada 1941 roku, piątek. W budzie nadal jest psiacho zimno. Idąc trochę się rozgrzewa, więc na pierwszej lekcji można z biedy siedzieć. Ale potem! Nakłada się rękawice, szczelnie owija w płaszcz z nastawionym kołnierzem i starając się jak najgłębiej wcisnąć między sukno głowę, siada na taburecie. Zeks, w płaszczu oczywiście, biega (szybko chodzi) po klasie. Czasem podejdzie do tablicy, coś napisze i dalej w wędrówkę! Po kilkunastu minutach poczyną zachodzić w nogi. Trzeba szybko ruszać palcami! Ale i to nie pomaga! Przez głowę przeciskają się myśli. Ach! jak to dobrze, gdy jest ciepło, gdy nie potrzeba ruszać palcami w butach. Przez drugie ucho wlatują słowa wypowiedane przez zeksa. Raz brzmią one w rogu przed tobą, po chwili dolatują z drugiego rogu klasy, z tyłu. Między dźwiękami głosu ludzkiego: stuk, stuk, stuk... Ach! jaką muzyką brzmi dzwonek, krzyczący „Pauza!”. Można wyrwać się na dziesięć minut na schody, po-grzać się przy kaloryferach. Lecz dziesięć minut upływa szybciej niż 45. I znowu!... Gdy wieczorem, położywszy się do łóżka, poczynam zasypiać, słyszę głos: „*Vertikaline projekcja*”³³⁸. Otwieram oczy. Ej! To się słyszało na geometrii wykreślnej! Było zimno wówczas! Poczynam spać dalej.

³³⁷ Tu: gwar. ta kartofla (rodzaj żeński).

³³⁸ *Vertikaline projekcija* — lit.: rzut pionowy.

Wtem „Wektor ma cztery właściwości” — „*Vektoris turi keturi ypatybes*”. Znowu budzę się. To mechanika. Zimno! Aby znowu zasnąć, trzeba przewrócić się kilka razy z boku na bok. „*Nenykstamumo desnis...*”³³⁹. Ki pie-ron! Kiedyż to się skończy. Znowu chemia. Wreszcie zasypiam. Na jutro znowu przez osiem godzin w zimnej klasie.

Szedłem z Miszkiem rano do budy. Mija rok. Tak samo jak wówczas, cicho i wolno padają na ziemię białe płatki śniegu. Tak samo jak wówczas, wiatr mówi, że zima już blisko. Mija rok. Wówczas byłem w domu, w Leśnikach. Tędy, gdzie idę dziś, maszerowały bezduszne manekiny, bezdusznie krzyząc: „Hurra towarzyszu Stalinu! Hurra!”. W tym oto domu, w siedzibie NKWD skryzalizował się rozkaz: „Zabrać”. Rozkaz, który w Trokach wykonano bez drżenia rąk. Wówczas byłem w Leśnikach. Tak samo padały cicho płatki... On był u nas i wychodził z p. Lewinem do Trok. Na taką samą szopkę, jaka była tutaj. Krzyć „Ura!”. Był w czarnej kurtce, w butach. Siedział w stołowym. Potem, przypiąwszy czerwoną wstążeczkę, w kokardkę spiętą, do klapy, wyszedł. Widziałem, jak szedł. I pomyślałem: „Ostatni raz... Et! dureń jestem”. Lecz powrócił tylko p. Lewin. Niestety, ostat... A może jeszcze nie. Może powróci w butach, w szynelu, z trzema gwiazdkami na kołnierzu i czapce! Hej! Niezbadane są Twoje wyroki, Panie!

Dnia 9 listopada 1941 roku, niedziela. Rano przychodził Misza po kartofle. Mówi, że dziadek [Abraham Szemoel Abkowicz] jest bardzo słaby (już od kilku dni) i nieprzytomny. Koło dwunastej przyszedł wuj. Już było po wszystkim. Dziadek życie swe zakończył około jedenastej. Wuj głowił się, jakby dać znać do Trok. Potem przyszedł wieczorem i prosi, abym, mając przepustkę, pojechał do Trok. Cóż zrobić. Trzeba jechać. Jest diablo zimno.

Potem zdążyliśmy z Jerzym grać w tysiąc. Po pewnym czasie przyłączył się Juluś w oczko. Było to koło jedenastej. Zacząłem nachalnie przegrywać. Pojechało 20 rb., potem począłem pożyczać. Im dalej, tym gorzej. Zjechałem dzięki Jerzemu, który począł umyślnie przegrywać, aby wyrównać mój budżet. Punkt kulminacyjny był przy 105 rb. Robiło się ciepło i zimno na przemian. Kończyliśmy kwadrans po pierwszej z 10 rb. przegranej. No, dość tego. Dostałem „tanią nauczkę” — jak powiada Jerzy. Więcej nie!

Dnia 10 listopada 1941 roku, poniedziałek. Już się zbierałem wychodzić na dworzec, gdy przyszedł wuj Rafał. Mówi, że rozmyślił się. Nie ma sensu jechać mnie, bo nie wiadomo, kiedy dojadę. A dziadek chciał, by go pochowano w Trokach. Poszedł więc wuj telefonować (po znajomości oczywiście). I odniosło to skutek. Ja więc zostałem. Potem przyjechała

³³⁹ *Nenykstamumo dėsnis...* — lit.: prawo zachowania...

z Trok furmanka. Ciocia Wiera, otrzymawszy z Trok wiadomość o chorobie babuni Soni³⁴⁰, pojechała.

Dnia 14 listopada 1941 roku, piątek. Wczoraj w szkole nie byłem, bo przeląknęłam się zimna. Dziś 13° zimna. Misza poszedł na ósmą, a ja nie chcąc być na gimnastyce, wybrałam się na dziesiątą. Po drodze zaszedłem do Tali na Królewską. W pół godziny potem byliśmy z Miszką znowu. W budzie jeszcze wczoraj powiedzieli, że do poniedziałku nie trzeba do budy, bo ober zimno. Ponieważ Misza wczoraj po trzech lekcjach najechał, więc o tym nie wiedział.

Dnia 17 listopada 1941 roku, poniedziałek. Już czwarty dzień mych wakacji. Albowiem w piątek poszedłszy do szkoły, zastaliśmy klasę całą w dymie. (O chłodzie w ogóle nie ma co mówić). Z tego powodu zostaliśmy zwolnieni do dziś. Dziś zaś robiliśmy z Miszką spis: on poszedł, ale nie mówił o nas nikomu (oprócz Jula). Poszedł i... po dwóch godzinach powrócił. Dziś była tylko jedna lekcja. Jutro „ma być ciepło”. Siedzę więc w domu. Uporządkowałem zeszyty i czekam. Gdy tylko będzie ciepło, poczynam uczyć się na potęgę.

Dnia 19 listopada 1941 roku, środa. Właściwie to dopiero dziś zrobiło się trochę „ciepłowato”, przeniesiono nas do innej klasy, na trzecie piętro. Jakoś można w tej klasie wytrzymać. Przy tym zmieniono wychowawcę. Dano jakiegoś Litwina, gimnastyka. Od razu dał wypełniać ankiety. Potem, gdy zobaczył, że dużo jest Polaków, powiada, iż jest mocno tym zaskoczony, gdyż powiedziano mu, że w klasie nie ma żadnego Polaka. Potem począł ich namawiać, że może kto ma jakieś podstawy do przyznania się do jakiejś innej narodowości, to niech to uczyni, gdyż być może Polaków będą wyrzucać (podobno był rozkaz od Niemców, by Polaków w ogóle do I klasy nie przyjmować), nie dadzą im stypendiów itd. „Może więc ktoś, oczywiście dla własnej wygody, no tak, tak, mając jakieś podstawy itd. może po ojcu czy matce? Oczywiście, to jest własna nieprzymuszona wola, no tak, tak...”. Nikt nie zmienił oczywiście. To już mi się poczyna nie podobać. Tak samo jak niegdyś, trzy, cztery czy pięć lat temu nie podobało mi się odnoszenie się Polaków do Żydów (raczej jednostek z ogółu polskiego), Białorusinów czy może nawet po części do mnie samego (dobrze pamiętam te wypadki w powszechnej, ba, w gimnazjum nawet! Zaznaczam, że chodzi o ustosunkowanie się nielicznych jednostek, które jednak zdarzały się), tak samo nie podoba mi się odnoszenie się do Polaków, że ty dostaniesz, boś Litwin czy nawet Ka-

³⁴⁰ Szoszanna Kobecka, córka Szałtiela Chorczenko (teściowa Wiery Alfonsownej, matka Kamili Firkowiczowej „Bogusiowej” — babki autora).

raim, a on nie, bo Polak. Jest rok 1941. Już 1941 lat temu Chrystus głosił, że wszyscy są równi. Dziś temu Hitler zaprzecza. A świat jest wielki. Po cóż więc mordować się za to, że ktoś jest Niemcem, Żydem, Anglikiem czy Polakiem? Gdyby sprawiedliwie podzielić się, każdemu starczyłoby miejsca. Pod tym względem jestem całkowitym demokratą. Wszyscy muszą być równi. Zamiast więc prowadzenia orężnych bojów, czyż nie lepiej byłoby przystąpić do sprawiedliwego podzielenia się światem?

Dnia 22 listopada 1941 roku, sobota. Aby dojść do swojej klasy, musimy przejść przez korytarz, w którym ulokowała się klasa druga (Litwini), następnie zaś salę, w której ci ostatni często grają w piłkę. Wówczas nie można przejść, chyba że chce się narazić na cios piłką w łeb lub dołek. I to biją jakby niechcący, przez nieuwagę. Dziś więc zebraliśmy się całą komandą. Wówczas raz rzucili. Gdy zobaczyli, że mogą dostać od innych po głowie, zaprzestali. Ale tak mi się zdaje, że dojdzie między nami do „wałynki”³⁴¹. Tylko niech oni zaczną!

Dnia 25 listopada 1941 roku, wtorek. Po powrocie z budy poszliśmy z Julem na Stefańską po kosze przysłane z Trok. W tym czasie ciocia Wiera obijała boki w kolejce po cukier (10 deko na osobę na tydzień). Kolejki kilometrowe, bo zaczęli dawać chleb, czego nie było już od dwu tygodni. Ja brałem w tym udział dwudziestego. Wiem, co za smak. Trzeba przez kilka godzin walczyć o miejsce, aż wreszcie coś niecoś dadzą. Na ulicy za zimno, w sklepie za duszno. Litwinom bez kolejki!

Dnia 1 grudnia 1941 roku, poniedziałek. Już od dłuższego czasu sprawa stypendium była na martwym punkcie. Dopiero dziś ruszyło. W wiesili listę stypendystów. Klasy litewskie dostały chyba w 100% podań. W naszej klasie dali tylko dziewięciu. Żadnemu Polakowi nie przyznali. Misza i ja dostaliśmy po 200 rubli miesięcznie od 1 września. Ale na razie „dostaliśmy” tylko na liście. Kiedy wypłacą — nic nie wiadomo. Trzeba czekać.

Dnia 3 grudnia 1941 roku, środa. Tak jakoś dziko tu, w Wilnie. Dzień w dzień do budy, aż do wieczora, a potem trzeba znowu siedzieć i przeżuwać to, co się palnęło na lekcjach. Całkiem nie ma życia, takiego beztrockiego, sztubackiego. O, gdzie tam! Daleko od tego. Ciągłe coś gniecie. Wojna! Gdy siadę robić lekcje, gdy wezmę chemię czy litewski, chce się to rzucić w ziemię, uciekać od tego. Dlatego często zakładamy pokera. Juluś, Jerzy i ja. Siadamy i stukamy przez godzinę, dwie. Para, stryt, full... O wiele przyjemniej niż: „*Tautosaka tai yra pasaka, kuri eina...*”³⁴² Z ja-

³⁴¹ Wałynka — tu: bójka.

³⁴² *Tautosaka...* — lit.: Legenda to jest opowiadanie, które biegnie...

kimże utęsknieniem czekam ferii. Podobno będzie z miesiąc czasu. Przy- najmniej może trochę się odpocznie od tego świństwa. Chciałoby się już pojechać do domu. Stęskniło się już trochę. Jak obecnie wygląda tartak, plac, las w pierwszym puchu.

Dnia 5 grudnia 1941 roku, piątek. Pierwsze dwie lekcje — gimnastyka. Gdy po niej przyszedłem do klasy, chodziły już słuchy, że płacą stypendium. I rzeczywiście, poszedłszy do kancelarii, spostrzegłem stojącą już kolejkę. Stałem. Ale dali nie tak jak napisali, bo tylko za dwa miesiące. Czteryście rubli wybulili! Czteryście rubli! Zdaje się pokaźna sumka. Ale ceny. Jeżeli liczyć na cukier — 4 złote przedwojenne. Mąka — także 4 złote. Bo wszystkie ceny w porównaniu z cenami przedwojennymi podskoczyły o 100 razy. Otrzymałem więc 4 złote.



„Kiwanie” w warsztatach Technikum. Autor z dziesięciokilowym młotem.

Dnia 6 grudnia 1941 roku, sobota. Warsztaty. Przez cztery godziny trzeba kiwać³⁴³. Ale wolę stukać dziesięciokilowym młotem, niżeli siedzieć na litewskim. Potem poszedłem na dworzec. Chciałem przedłużyć przepustkę. Ale nie udało się. Dają tylko na Nową Wilejkę, mimo że pociąg chodzi i na Orany. Skierowali mnie do dyrekcji kolejowej, ale tam nieczynne już.

³⁴³ Kiwać — tu: pracować.

Dnia 7 grudnia 1941 roku, niedziela. Aby wiedzieć, kim jesteśmy, skąd pochodzimy itd., Hachan czyta³⁴⁴ u siebie takie wykładowiki. Ponieważ dużo jest zainteresowanych, więc stworzono dwie grupy. Wykłady ciekawe, tylko mają ten minus, że są prowadzone w języku rosyjskim. Ale dobrze słuchając, można dowiedzieć się dużo ciekawych rzeczy. Dziś było o pochodzeniu religii, o cechach i podobieństwach z innymi.

Dnia 8 grudnia 1941 roku, poniedziałek. Dzień wolny od nauki, ponieważ jest święto. Dziś wreszcie jest wielka nowość, oczekiwana od dwóch lat. Wczoraj, dnia 7 grudnia 1941 roku Daleki Wschód został ogarnięty pożogą wojenną. Stany Zjednoczone wystosowały Japonii ultimatum takiego rodzaju, że tej ostatniej nie zostało nic innego, jak tylko rzucić się w odmęt walki. Japońska flota wojenna poczęła bombardować bazy i okręty Stanów Zjednoczonych, po czym poseł z Waszyngtonu wręczył wypowiedzenie wojny. Coraz to szersze kręgi zatacza ogień wojenny, coraz więcej ludzi traci swój skarb największy — życie. Natura ludzka wtrąca istoty w walkę, w beznadziejne zmagania w ogniu pocisków i bomb.

Dnia 11 grudnia 1941 roku, czwartek. Niedzielne wypadki o światowym znaczeniu pociągnęły za sobą nieodzowne następstwa: państwa Osi wypowiedziały wojnę Ameryce. Nieubłagana ręka historii zapisała jeszcze kilka kartek tłustym drukiem. Cały świat już stanął w kłębach dymu, w huku armat i między odłamkami rozrywającymi się bomb. Przeżywamy Drugą Wojnę Światową. Chwila to niezmiernej wagi, gdy jednostki padają dla ogółu, dla obrony nadwyreżonej już nieco cywilizacji, dla obalenia tyranii. Będzie co opowiadać potomności! Poczęło się na Polsce. Poszło o tzw. korytarz. Już jak przez mgłę zarysowują się kontury końca. Niemcy będą się bić z Sowietami do straszного obu stron wyczerpania. Następnie Anglia uderzy na kontynent swymi czołgami, przemierzając uprzednio zniszczone bombami tereny wroga. Jednak Sowietom jeszcze nie koniec. Nastąpi on po wojnie z Japonią. W Sowietach rewolucja, powstaje czysto demokratyczna Rosja. Japonia, wyczerpana wojną na dwa fronty, musi wreszcie ulec Stanom Zjednoczonym, które wspólnie z Anglią dyktują warunki pokoju. Powstaje nowy świat, zbudowany na zasadach demokratycznych, w którym między szeregiem wolnych narodów poczytne miejsce zajmuje Polska, ze stolicą Kresów Północno-Wschodnich, Wilnem. Ale jeszcze długo czekać. 550 dni. Bo jak „powiadają ludzie”, koniec ma nastąpić w lecie czterdziestego trzeciego.

³⁴⁴ Czytać — tu: z ros. wygłaszać.

Dnia 14 grudnia 1941 roku, niedziela. Ponieważ haniebnie skonfuzyłem się na klasówce z geometrii wykreślnej, siedziałem dziś i uczyłem się jej, aby móc poprawić. Wieczorem także siedziałem i wciskałem w głowę wiedzę. Wtem dzwonek. Ktoś poszedł otworzyć. Raptem słyszę: „Sławek, mama przyjechała!”. Słyszę i nie wierzę. Myślę, że się ze mnie nabijają. Ale nie! Czysta prawda!!! Przyjechała razem z Uściłłą. Ach! Książka na bok. Jest ciekawsze zajęcie. Chociaż trochę się wytrącić z ram codziennej „wegetacji”. Dużo ciekawych nowin! Jedną z najważniejszych to to, że powrócił do domu Jutkiewicz z Zazdrościa³⁴⁵, tzn. Pietuszek, który był wywieziony przez bolszewików w pierwszym dniu wojny. Oto co on opowiada: od razu powieźli ich do Leningradu. Towarzyszy podróży miał dużo, bo powieźli czterdziestoma przeszło samochodami. W Leningradzie dali im trzy dni czasu na „przygotowanie” się do drogi. Przygotować się to znaczyło kupić coś z żarcia. Przez trzy dni chodzili we dwóch, mając jako eskortę czekistę i dostali 2 kg chleba. Pewnego razu zaszli do sklepu, w którym ujrżeli na wystawie ładne pierniczki. Poprosili o nie. Sprzedająca tylko uśmiechnęła się, zaś czekista powiada „*Da czoż, wy nie widite, czo to s drowa?*”³⁴⁶. Na wystawie drewniane pierniczki, w sklepie nie ma chleba! Nie będąc nigdy przedtem w Leningradzie, nie mógł zauważyć różnicy między obecnym jego wyglądem a uprzednim. Ale sądząc po obecnym, nie mogło tam być nic pięknego. (To znowuż nie zgadza się z zdaniem dawnych jego mieszkańców.) Domy stoją jak jakieś rudery, brudne, od ćwierć wieku nie malowane, na ulicach brud, śmiecie, to samo na dworcu kolejowym. Ludzie o mało nie załatwiają się na ulicach i dworcowych salach. Na wszystkich twarzach widnieje piętno głodu. Wreszcie transport odszedł. Wszystkich Litwinów, zwanych tam „litowskimi sobakami” od razu odtransportowano za Ural. Ponieważ i on był z Litwy, czekał i jego ten los. Jednak po drodze, za namową jakiejś Cyganki, uciekł ze swym towarzyszem z wagonu. Dalej, jadąc jako krewny Cyganki, przemierzył tysiące kilometrów, aż dotarł do Połtawy, gdzie przez dziesięć tygodni pracował w kołchozie. Za zarobione tam zboże, po zajęciu Połtawy przez Niemców, kupił ze współnikiem, litewskim Żydem, konie i wóz, i dostawszy od Niemców przepustkę, jadąc przez sześć tygodni, dotarli wreszcie do Trok. To, co widział i co przeżywał przez te kilka miesięcy, nie da się opisać na kilku kartkach, na to trzeba ksiąg. Toteż, jak powiada, gdyby miał trochę talentu pisarskiego, mógłby opisać — ot, takie tomy. (Przy ostatnich

³⁴⁵ Zazdrość — osada pod Trokami, w której mieszkała rodzina Jutkiewiczów (nazwa występowała zarówno w rodzaju żeńskim, jak i męskim).

³⁴⁶ *Da czoż...* — ros.: Czyż nie widzicie, że to z drewna?

słowach ruch ręki wskazuje, że rzeczywiście byłyby niezbyt cienkie.) To, co widział w kołchozach, co przechodził w czasie przemarszów wojsk, pierw sowieckich, potem niemieckich. Te walki, bomby, pociski, stosy trupów i połamanych maszyn. Potem podróż koniem przez sześć tygodni, wspólne przeżycia z towarzyszem i wreszcie jego śmierć, a swoje wybawienie. Bowiem towarzysz podróży, Żydem będąc, został tu aresztowany, a raczej sam się oddał w ręce policji. Bowiem tyle przeszedł, by powrócić do ojczystego miasteczka (pochodził z Pren), do matki i siostry, i tu przyjechawszy dowiaduje się, że ani matka, ani siostra już nie żyje, że zginęły z rąk „litowskich sobak”. Nie zostało mu nic innego, jak tylko zginąć. Mając więc paszport i dokumenty wydane mu przez policję, wrócił do niej i powiedziawszy, kim jest, pogrzebał ze sobą 26-letni wiek, znajomość francuskiego, angielskiego i niemieckiego. Pierwej sam kilka nocy płakał, potem po nim płakano w Zazdrościach. Powróciwszy z takiej drogi, dał Pietuszek dowód, że można i stamtąd powrócić. Może więc i jeszcze ktoś powróci. Może powróci i ten z Bobrówki. Tymczasem p. Urbanowiczowa dostała od męża list z 20 czerwca z Wilna. Co w nim jest, nie wiem, ale cóż może być?! Jeżeli więc dwudziestego był w Wilnie, to chyba został wywieziony. Jeśli więc nie trafił pod niemieckie bomby, może jeszcze powróci, niosąc nam ze sobą wyzwolenie. Hej!!!

Dnia 15 grudnia 1941 roku, wtorek. Z powodu przyjazdu Mamy, do budy dziś nie idę. Natomiast poszedłem z Mamą do Zajączkowskich³⁴⁷, potem do Rojeckich³⁴⁸. Na dwunastą miał już być koń. Jednak Uściłłę obowiązuje jak zawsze trzygodzinne spóźnienie. Przyjechał o 3¹⁰. Mama zdążyła tylko pójść do cioci Nataszy, która jest obecnie ciężko chora: ma na dwunastnicy ranę wielkości grochu. Nie może nic jeść, oprócz bułki, mleka i masła. A skąd to teraz wziąć, kiedy nawet chleba nie bardzo dają. Masło też już przestali dawać, a o cukrze, mleku, kaszach itd. w ogóle nie ma co marzyć. Mama pojechała po trzeciej. Ja nadal tu.

Dnia 16 grudnia 1941 roku, środa. W całej Litwie według notatek prasy poczyną szerzyć się tyfus plamisty. Z powodu tego zamknięto wszystkie szkoły oprócz kowieńskich i wileńskich, kościoły, kina, zabroniono zbierania się rynków³⁴⁹, jako też wszelkich zbiorowisk. Mnie się jednak zdaje, że przyczyniają się do tego inne powody. Otóż szkoły zamknięto z powodu wysokich wydatków, jakie ich utrzymanie pociąga za sobą. Co

³⁴⁷ Rodzina mecenasa Izaaka Zajączkowskiego, ojca Marianny późniejszej Abrahamowicz; mieszkali na ul. Gimnazjalnej nieopodal gimnazjum im. Orzeszkowej.

³⁴⁸ Isaj i Liza Rojeccy.

³⁴⁹ Chodzi o zakaz handlu na bazarach.

do kościołów, to od dawna prowadzi się przeciw akcję antyreligijną. Rynki rozpędzono dlatego, że po prostu władzom wygodniej jest wszystko wypompować od gospodarza i odtransportować to w głąb Niemiec, niżli dać dla miejscowej ludności. Cóż może obchodzić komisarza Hingsta³⁵⁰, podpisującego zarządzenia, że tu ludzie głodują, gdy jest to samo z jego bliskimi, krewnymi może, w Niemczech. Do wszystkiego tego dołącza się obawa nalotów lotniczych. I jest dobry płaszczyk — tyfus plamisty panuje.

Dnia 18 grudnia 1941 roku, czwartek. Wczoraj do budy nie poszedłem, gdyż miał być litewski, a ja ni czorta nie umiem. Ale dziś poszedłem. W klasie na pierwszej lekcji jest na tyle ciemno, że nie można w ogóle pisać! W ogóle nie wiem, czy długo jeszcze pociągnie nasza szkoła. Z jednej strony tyfus plamisty, a z drugiej Niemcy, którzy u nas stoją. Jestem pewny, że nie bardzo im się podoba całe te zawracanie głowy. Toteż dziś z pierwszej lekcji najechaliśmy do ustępu, zostawiając w klasie dwóch delegatów, którzy mieli zawiadomić zeksa, że więcej nie przyszło. Przyszedł zeks, stary polski profesor Wierzbicki, mechanik. Powiada, że można pospać. Potem zwolnili i idziemy do domu. Po drodze spotykamy inspektora. Jest nas dziewięciu. — A dokąd? — pyta. — Zwolnieni. — Dlaczego? — Mało przyszło. Zeks milczy. — Hm. Nie bardzo mało. No idźcie. Ale jutro przyjdziecie? — *Taip, taip, ateisim!*³⁵¹

Dnia 20 grudnia 1941 roku, sobota. Nareszcie! Lekcje jeszcze miały być dziś, ale nie było właściwie. Na warsztatach popsuły się pompy powietrzne, więc nie było jak rozpałić ognisk. Po warsztatach skończyła się nauka. Kupiłem sobie gotownię³⁵², bo z Jerzego [gotowni] nie bardzo chce mi się korzystać. Wolę mieć swoją. Zapłaciłem 250 rb. A dobra popadła się³⁵³.

Dnia 21 grudnia 1941 roku, niedziela. Nareszcie jutro do domu. Bo jednak prawda, że wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej. Na ogół na mieszkanie w Wilnie nie mogę narzekać, oprócz tego, że jest tu bardzo brudno. Wizytówki kotów mogą leżeć tygodniami, dając o sobie znać w sposób niezbyt przyjemny. Ale i to ma swoje usprawiedliwienie, że przeciw ciciu (a raczej babuniu) nie może, sama będąc w domu, obieć wszystkie sklepy, stać w kolejce, zgotować i wszędzie posprzątać. Wszak teraz pomocy nie dowołasz się, a z domu rano wszyscy wyszedłszy, powracają późnym wieczorem.

³⁵⁰ Hans Christian Hingst, komisarz okręgowy miasta Wilna.

³⁵¹ *Taip*... — lit.: tak, tak, przyjdziemy.

³⁵² Gotownia — tu: komplet przyborów kreślarskich.

³⁵³ A dobra popadła się — gwar. : dobra mi się trafiła.

Nareszcie doczekałem się! Jadę do domu odetchnąć świeżym leśnym powietrzem. Wieczorem chodziłem z Julem do Tali, aby umówić się co do jutrzejszej podróży. Spędziłem u niej z godzinę na czytaniu i tłumaczeniu przepowiedni Wernyhory z 1893 roku.

Dnia 22 grudnia 1941 roku, poniedziałek. Obładowawszy się odciągającymi ręce tłumokami, ruszyliśmy na dworzec. Tam trzeba trochę popracować, aby wydostać się na peron. Juluk też jedzie, ma przepustkę na imię Józefa Firkowicza. Musieliśmy więc wszyscy kombinować³⁵⁴. Ja mając najważniejszą, występowałem w roli tragarza. Jedną walizkę wzięła Tala, trzy ja. Wszyscy mówimy, że idziemy do *Bahnhoffiziera*³⁵⁵, by przystemplować przepustkę, każdemu chodzi tylko o to, aby przedostać się do wagonu. Tylko ja jeden poszedłem przystemplować i — o dziwo — natrafiłem na takiego, co machnął ręką i przyłożył pieczętkę. Dziwne to. Jeden nie chce, odsyła do *Gebietskommissara*³⁵⁶ czy dyrekcji kolejowej, podczas gdy drugi daje przepustkę. Też u nich bałagan! Wreszcie wszyscy znaleźliśmy się w wagonie. Ten, kto jeździł polskim pociągiem, pod słowem „wagon” rozumie czysty, światły wóz, z przedziałami o lśniących, politurowanych ławkach. Tu jednak jest coś innego: zwykły czerwony towarowy wagonik z dwoma wysokimi szczelinami w postaci okien. W nim pełno stłoczonych ramię przy ramieniu ludzi — podróżnych. Każdy z nich zanim tu dostał się, musiał obejść wszystkie niemal instytucje kolejowe, aby uzyskać przepustkę. Tak jeździ się niemieckim pociągiem. Redaktor „Gońca Codziennego” miał na tyle bezczelności, by napisać artykuł, że Anglia zmuszoną jest wprowadzić ograniczenie ruchu osobowego na swych kolejach, ponieważ te są mocno przeciążone. Z tego wynika, że nie próbował on nigdy jechać kolejami niemieckimi. Gdybym miał na tyle naiwności, aby przypuszczać, że cenzura „Gońca Codziennego” nie przekreśli go, napisałbym do tej „poczytnej” wileńskiej gazety artykułik pt. „Jak trzeba kombinować, aby przejechać 30 km na «nieprzeciążonych» kolejach Wielkich Zwycięskich Niemiec”. Wreszcie po kilku atakach strachu, spowodowanym zjawieniem się niemieckiego konduktora, który poczynił sprawdzać przepustki, udało się nam dojechać do Leśnik. Nareszcie w domu. W domu zastaliśmy sławnego dziś Pietuszka, owego pątnika, co przemierzył drogi i kołchozy ZSRR.

³⁵⁴ Aby dostać się do pociągu, wymagane były wydawane na czas określony przepustki.

³⁵⁵ *Bahnhoffizier* — niem.: oficer dworcowy.

³⁵⁶ *Gebietskommissar* — niem.: komisarz okręgowy.

Dnia 24 grudnia 1941 roku, środa. Jul wyruszył do Trok. Jakże smutna jest tegoroczna wigilia, mimo że nosi miano wigilii zwycięstwa. Nie można jej porównać z żadną z ubiegłych. Komisarz na kraj litewski powodując się podniosłym celem ochrony społeczeństwa od plagi tyfusu, rozkazał zamknąć wszystkie kościoły. Czymże więc jest wigilia i samo święto bez kościoła, mszy i pasterki? Czymże jest kucja³⁵⁷ bez maki, której wydrukowanej na kartkach porcji nie wydały sklepy? Czyż trzeba bolszewików? Podczas gdy ministerstwo propagandy głosi o pochodzie krzyżowym na wschód, by oswobodzić ludność od bolszewików, by dać jej możliwość modlenia się w odnowionych świątyniach i nieskrępowanego obchodzenie świąt, komisarze zamykają kościoły i cerkwie, nie dają ludności z czym świętować. System iście bolszewicki. Z jednej strony propaganda, z drugiej — twarda rzeczywistość.

Dnia 25 grudnia 1941 roku, czwartek. Azali uczucia i myśli, które kłębią się pod czaszką pod wpływem słów „Tu mówi Londyn...” na papier przy pomocy pióra przelać można?! Nie! Tego, przypuszczam, nie dokona żadne pióro, a przynajmniej moje. Oto dziś na przykład, o piątej, po zwykłym wyliczeniu stacji i fal, które niosą w świat te dźwięki poczęli śpiewać kolędy. Kolędy! No i coś dziwnego. Wiele stacji robi to samo obecnie. A jednak w tej londyńskiej jest coś szczególnego. Bo stacja „Vilnius” także czasami śpiewa. Ale jakże odmiennie. Jak już wspomniałem, moje pióro nie jest w stanie tego wypowiedzieć. Potem na przykład odczyt o polonezie. Zdaje się nic nadzwyczajnego. Odczyt o polskim tańcu i nic więcej. A jednak w ramach jego można mówić nie tylko o tańczeniu w takt muzyki. Można powiedzieć i o tańcu, któremu przygrywają armaty. Jakoż skorzystano ze sposobności. I poprzez fale eteru płyną słowa, które głoszą o polonezie tym, którzy są rozrzućeni po całym świecie i którzy dążą do celu jednego. Jak podobny jest chód tych, którzy idą po ulicach Londynu czy poprzez suche piaski Afryki, czy też po błotach, moczarach i bezkresnych równinach Związku Sowieckiego. Wszyscy idą tym samym krokiem, krokiem z poloneza. Wszystkich myśli unoszą się tu, do ojczyzny. A kto wie, może jest taki, co idąc do obozu polskiego, gdy wiatr w oczy śniegiem niesie myślą przenosi się do wsi Żukiszek i zapytuje siebie „Jesteścież wy tam? Czy was zastanę?”.

Dnia 27 grudnia 1941 roku, sobota. Trockie *kiensa*, tak zresztą, jak i wszystkie świątynie i miejsca większych skupisk publiczności, zostało

³⁵⁷ Kucja — na Wileńszczyźnie tradycyjna potrawa wigilijna, zalewa makowa z miodem i bakaliami podawana ze „ślizikami”, czyli kuleczkami z ciasta drożdżowego.

zamknięte rzekomo z powodu grożącej epidemii tyfusu plamistego. Dlatego do Trok poszedłem w południe. Pusto tam i głucho, jak na bezludnej wyspie. Czas postanowiliśmy uprzyjemnić kartami. Wracalem około ósmej, całkiem po ciemku. Śniegu za mało jest jeszcze na sannę, jednak ziemia jest nim mocno przyprószona. Toteż gdy wszedłem na tę najwyższą górę, oczom moim przedstawił się widok bezkresnej białawej równiny. Bezkresnej, bo horyzont jest niewidoczny, a ziemia z niebem stanowi jedną całość. Tylko wyteżywszy nerwy wzrokowe można dostrzec ciemniejsze zarysy lasku. Wyobrażam sobie, jak tam teraz musi wyglądać. Biały krzyż, pod nim białawe, śniegiem przyprószone wzniesienie. Tam, gdzie niegdyś było białozielono od kwiatów, dziś jest tylko białawo od śniegu. Przyprószone także śniegiem litery na białej tabliczce głoszą to, co niegdyś głośiły: Halusia...

Dnia 30 grudnia 1941 roku, wtorek. Gdy wróciwszy ze stodoły zaszedłem do pokoju, zastałem w nim p. Urbanowiczową i p. Arciszewską. Przyszły, aby dla pocieszenia serc usłyszeć kilka słów z Londynu. Niestety, akumulator wyładowany i radio nieczynne. Posiedziały trochę, podyskutowały na temat nowego roku i w mroźną księżycową noc poszły do domu.

Dnia 31 grudnia 1941 roku, środa. Roku starego dzień ostatni zakańcza nam ostatecznie bilans wydarzeń, które miały miejsce w ciągu ostatnich 365 dni. Front wschodni, na który są obecnie zwrócone oczy całego świata, przedstawia widok całkiem odmienny niż sześć miesięcy temu. Armia „Wielkich Niemiec”, która dotychczas inicjatywę działania w swych szponach dzierżyła, musiała ostatnio oddać pierwszeństwo wrogowi. Teraz nie atakuje, lecz kontratakuje, nie posuwa się naprzód, ale powoli cofa się. Genialne plany genialnego Hitlera poczynają zawodzić. Ten geniusz XX wieku poczyną, zdaje się, błędąć. Armia jego cierpi widać porządny chłód, bo gazety nawołują już do „dobrowolnych” ofiar w postaci futer. Cóż nam przyniesie rok, jutro poczynający się? Być może koniec wojny sowiecko-niemieckiej, może początek jakiejś innej. Chyba jednak jeszcze nie koniec tej zawieruchy, która ogarnęła swymi krwawymi skrzydłami cały niemal świat. Szczegóły przyszłość pokaże. Cierpliwości!

Nowy Rok spotykaliśmy podobnie jak ten, który już uszedł. Pod wieczór przyszedł Marek Juchniewicz, z którym chciałem iść do Trok. Mówił, że chyba będą jakoś spotykać. Ale potem rozmyśliłem się. Cóż tam może być? Chyba trochę samogonu rozpiją i koniec na tym. U nas też nikogo i nic nie było. Akumulator wyładował się, więc na zbyt słabych telefonicznych [bateriach] posłuchaliśmy Londyn i poszliśmy spać.

1942

Dnia 1 stycznia 1942 roku, czwartek. Oto i nowy rok już nadszedł. Przekonałem się już, że od tych, nowych, nie można od razu za dużo prosić, gdyż są zdolne beczelnie zaśmiać się i odrzec nachalnie. Dlatego też od tego, dzisiejszego, proszę, oby był przedostatnim rokiem niewoli, co daj Boże, amen.

Pogodę mamy dziś śliczną, trochę mroźną i słoneczną. Taką, jak przystało na święto. Pod wieczór przyszły p. Urbanowiczowa z Danusią i p. Arciszewska. Było to przed samym dziennikiem. Mocno wytężając słuch, coś niecoś usłyszeliśmy. Po zakończeniu odegrano „Jeszcze...”. Miło było słuchać! Po plecach aż ciarki przechodzą. To mnie! A cóż dopiero muszą czuć one?! Potem siedliśmy wszyscy do stołu grać w karty. Pani Arciszewska, Tatuś i Sławek osobno, my zaś wszyscy w kierki. Dlaczego dzień dzisiejszego Nowego Roku tak krańcowo różni się od tych minionych, sprzed trzech czy czterech lat? — zadaję sobie po raz któryś to samo pytanie. Bez względu na rękę losu kieruje ludzkimi pionkami na globie naszym według swego zadania. Nie wiem, być może, że każde jej posunięcie jest — jakby rzec językiem ziemskim — obmyślane. Jednakowoż w początkach działania nie raz nasunie się myśl: dlaczego właśnie tak? I dziś właśnie nasuwa się pytanie: dlaczego w tym gronie dzisiejszym brak jeszcze dwu osób? Co do jednej, być może, los sprawi jeszcze, iż nadejdzie taki dzień Nowego Roku czy jakiegoś innego święta, że przy leśnickim stole zasiądzie znów on. Przypuszczam, że wówczas karty schowają się, na wierzch zaś wyjdą wspomnienia z tych dni, które właśnie przeżywamy. Ale ta druga?! Minęło! Minęło i więcej nie powróci. Dlaczego los... — nasuwa się znowu to samo pytanie. Powraca ono nie raz. Myślę o tym, ilekroć spojrzę na nie: na p. Urbanowiczową i Danusię. Po kolacji trójka znowu gra. Nasz klubik rozpadł się, ustępując miejsce pogawędce. Było tak do trzeciego wydania londyńskiego dziennika. Po nim goście wyruszyli do domu. Poszedłem ich ze Sławkiem odprowadzić. Doszliśmy do słupa stojącego na rozstaju dróg do Żukiszek, Bobrówki i Żuk. Cudna noc. Księżyc w pełni wędrując po

granatowym, nabitym gwiazdami niebie wysyła na ziemię potoki złotego światła, których dobroć można na tej właśnie drodze zauważyć. Droga mknie między dwoma ścianami wysokich, stuletnich świerków, na których rozłożystych konarach obrał legowisko niedawno wypadły śnieg. Śnieg skrzypi pod nogami. Gdyśmy się już rozstali i wracałem do domu, obróciłem się, by raz jeszcze z tego zakrętu spojrzeć w tunel drogi. Gdyby nie zimno, można byłoby tak przez całą noc stać i patrzeć, patrzeć...

Dnia 2 stycznia 1942 roku, piątek. O południu wybrałem się do Trok, gdyż doszły nas słuchy, że mają „coś dawać”. I rzeczywiście dawali mięso. Mrozik przechodzi 20°. Ludzie stoją na ulicy, pod ścianami i drzwiami sklepu. Urzędnicy, to znaczy prawie wyłącznie Litwini, mają prawo wstępu bez kolejki. Toteż gdy ktoś z nich przepycha się do drzwi, zaraz za nim ludzie pchają się, aby bliżej do drzwi. W ten sposób szyba została wyciśnięta. Wówczas złagodnieli i wpuszcili do środka. Następnie chleb. I tam to samo. Pchają się bez porządku, jeden przez drugiego. Zanim dadzą te 250 g, porządnie wyciskają nogi i boki. Są tacy, co stoją od rana czy południa do późnego wieczoru i odchodzą, nic nie otrzymawszy. Nazajutrz dzisiejsze kartki są nieważne. Wreszcie jakoś dostałem chleb, załadowałem do wózka, na plecy i do domu. Przyszedłem wcale nie wcześniej.

Dnia 5 stycznia 1942 roku, poniedziałek. Chyba od przeszło już roku wybierają się wuj Michał z żoną do nas. Trudno im to szło — trzeba przyznać. Wreszcie dziś jakoś się rozkołysali. Przyjechał także p. Dodek Nowicki³⁵⁸. Gdy rozmowa zjedzie na temat wojny, każdy, niezależnie między kim i gdzie się toczy, przepowiada koniec na 43 rok. Jeden opiera swe wywody na jakichś przepowiedniach (np. wuj Michał na przepowiedni jakiegoś mnicha francuskiego z XV w.), drugi — na swej własnej polityce i strategii, trzeci znów — po prostu tak sobie czuje. Zdań tych można usłyszeć dużo, bo gdzież teraz nie jest poruszany tak aktualny temat. Na drugim planie — wojna wschodnioeuropejska. Jaki jej koniec będzie, — któż może przewidzieć. Tak jednak poszeptują, że znajdzie w niej koniec i „młot i krzyż splugawiony”. Tu zimno, a jak musi być tam?! Też gadają, że tędy wożą Niemców z odmrożonymi kończynami. Nie mogę twierdzić, tak jest czy nie: transportu takiego nie oglądałem. Dziś tak się zagrali w karty, żeśmy się doczekali czwartego wydania londyńskiego dziennika o ¹⁴⁵ w nocy wg naszego czasu. Okazuje się, że powtarzają to, co mówią w trzecim wydaniu. (We Francji nagle zginął jakiś ważny urzędnik ministerstwa. Tak poginą wszyscy zdrajcy — powiada spiker.)

³⁵⁸ Wspomniany wcześniej Dawid Nowicki.

Dnia 6 stycznia 1942 roku, wtorek. Goście nadal goszczą przy okrągłym stoliku. Ja wybrałem się do Trok, jednak wróciłem z drogi, gdyż ta jest bardzo zawiana. Potem przyjechał z Trok Juluk, aby stąd udać się do Wilna. Wakacje kończą się, niestety. Trzeba znowu jechać do Wilna. Nie bardzo tego pragnąłem ze względu na to, że trudno jest tam się utrzymać. Z tego, co dają na kartki, nie sposób jest wyżyć. Normy są zbyt małe. Dotychczas ciągle coś przysyłano z Leśnik. Jednak teraz i to staje się trudniejsze, bo do miasta w ogóle Litwini wspólnie z Niemcami starają się nic nie dopuszczać. Wszystkie furmanki są rewidowane i oczyszczane z wszelkich produktów. Litwini szczególnie prowadzą politykę byłej „partyzantki”. Po prostu rabują. Toteż ceny wolne są bardzo wysokie. Dla Leśnik to zaopatrywanie mnie i Kobeckich nie jest, w każdym bądź razie bardzo lekkie. Ale na razie stanęło na tym, że pojedę.

Dnia 7 stycznia 1942 roku, środa. Goście rano wyjechali. My, to znaczy Juluś i ja, też mamy zamiar wyjechać. Przeszły 3 tygodnie zbijania bąków. Jeszcze na koniec pojeździliśmy na deskach — szczątkach dawnych nart — po ogrodzie, aby obwiązać pozostałe po mrozach smetonowskiej zimy drzewka. Potem trochę krojenia sieczki i zbieranie się do drogi. Pociąg przyszedł o 7⁵⁰. W wagonie pasażerskim nie ma miejsca. Trzeba do towarowego. Przeciskając się między i przez tłumoki (przeważnie Litwinów), dobrnęliśmy w zaciszny kąteczek i przycisnąwszy się do swych paczek, aby nie było zimno, ruszyliśmy. Litwini, chcąc zagłuszyć Polaków — poczynają śpiewać. Wówczas konduktor, Niemiec — krzyczy: *Ruhe, Ruhe!*³⁵⁹ Na pewien czas uspokaja się. Po Ponarach poczęli szczekać i pisać, i miauczeć, i ostatecznie rugać się — nie było konduktora. Staliśmy dość długo w Landwarowie, potem pod Wilnem. Przyjechaliśmy o 10¹⁵. Chodzić można do dziesiątej³⁶⁰. Trzeba czekać do piątej rano. Poszliśmy do poczekalni I klasy. Nikogo tam nie było, kelner zamknął drzwi. Myśleliśmy się dobrze tam przespać. Ale... Przyszło dwóch Litwinów „metrosiemdziesiąt” i wyprosilili stamtąd. Wreszcie znaleźliśmy cudem wolne jeszcze miejsce i usiadłszy, poczęliśmy się kiwać. Po dworcu łązi pełno żołnierzy, przeważnie Hiszpańców³⁶¹. Śpiewają, zaczepiają przedstawicielki płci pięknej. Słowem zachowują się jak straceńcy.

Dnia 8 stycznia 1942 roku, czwartek. Nie można powiedzieć, że dobrze wyspaliśmy się. Coś około szóstej poczęliśmy się zbierać do drogi.

³⁵⁹ *Ruhe, Ruhe!* — niem.: cisza, cisza!

³⁶⁰ Obowiązywała godzina policyjna.

³⁶¹ Hiszpanie służący w armii niemieckiej.

Manatki przez plecy i poszliśmy. Podczas niefortunnego zdejmowania walizki z ramienia stuknąłem nią o ziemię, skutkiem czego pękła buteleczka z atramentem, zalewając sery i pościel. Jednym słowem, podróż z przygodami, tylko że na razie pękają tylko butelki, nie bomby. Do budy oczywiście nie poszedłem, jako też i jutro chyba nie pójdę jeszcze.

Dnia 10 stycznia 1942 roku, sobota. Dziś poszedłem, ale powróciłem z powrotem, bo zapomniałem znaczków, bez których obecność na warsztatach nie jest zaliczana. Natomiast dowiedziałem się rzeczy niezbyt pocieszającej: rok szkolny kończy się prawdopodobnie 1 kwietnia, po czym pojedziemy do pracy do Niemiec. To uśmiecha się nie bardzo! Obecnie w całym Generalnym Komisariacie Litwy prowadzi się na szeroką skalę akcję agitacyjną, której celem jest ściągnąć robotnika do Niemiec. Bardzo więc być może, że mając takie zbiorowisko młodzieży, jakim jest szkoła, nie omieszka pan Komisarz nałożyć na nią łapkę. Praca, jak praca. Ale jechać do Niemiec na głodówkę, to niech jadą lepiej Litwini, oswobodzeni przez swych oswobodzicieli. Ja wolę nie.

Dnia 11 stycznia 1942 roku, niedziela. Wszelkie zebrania są zabronione, gdyż są obawy, że przy ich pomocy będzie roznoszona zaraza nieistniejącego tyfusu. Tym samym odczyty, wygłaszane przez Hachana na temat „Karaimi” musiały być przerwane. Dziś jednak rozpoczęły się u Zajązkowskich³⁶². Poszedłem tam z Jerzym [Kobeckim]. Są one dosyć interesujące, tylko dla mnie mają ten minus, że prowadzi się je po rosyjsku.

Dnia 13 stycznia 1942 roku, wtorek. Pogłoski o naszym wiosennym wyjeździe do Rzeszy przybierają coraz bardziej na prawdopodobności. Obecnie się mówi w ten sposób, że rok szkolny musi być zakończony do 1 kwietnia, potem zaś, o ile nic nie będzie stało na przeszkodzie, będziemy uczyć się dalej. Zaś w razie jakiejś epidemii czy z powodu jakichś innych, nieprzewidzianych obecnie okoliczności, gdy nauka będzie utrudniona, wyjedziemy na praktykę do Niemiec. Wątpię, czy praktyka ta będzie zbyt przyjemna. Wątpię także w to, że będziemy mieli okoliczności, pozwalające dalej uczyć się. Wczoraj wieczorem przyjechała do Wilna Tala. Podobnie jak ja, przyjechała po dziesiątej. Ponieważ jednak dla niej pobyt na dworcu był bardziej nieprzyjemny niż dla mnie, więc w nocy dorożką przebiegała się do domu.

Dnia 16 stycznia 1942 roku, piątek. Kiedyś, zimą 1939/40 r. chodziły tutaj słuchy, że z Warszawy wszystkie panny są wywożone na linię Zygfryda. Dziś prawie to samo dzieje się w Wilnie. Tylko ta jest różnica, że

³⁶² W mieszkaniu mecenasa Izaaka Zajązkowskiego, prezesa Gminy Karaimskiej.

obecnie panny znikają i nie wiadomo, gdzie się podziały. Potem po jakimś tygodniu wracają albo w ogóle ślad ich znika. Gdy obserwuje się ulice wieczorem, po godzinie szóstej, rzadko można zauważyć kobietę. W ogóle przechodniów jest bardzo mało, a ci co są, to prawie wyłącznie mężczyźni. Powiadają ludzie, że te, które znikają, są poddawane badaniom lekarskim. A potem...

Dnia 17 stycznia 1942 roku, sobota. W sobotę mamy pięć lekcji. Cztery — warsztaty i jedna — niemiecki. Ostatnią — niemiecki — mieliśmy nie w swej klasie, lecz obok, w sali gimnastycznej. Zapewne nikt nie przeczuwał, że w kilka godzin po naszym wyjściu będzie tu szalał ogień. Gdy Jerzy wieczorem powrócił do domu, opowiadał, że około trzeciej wybuchł pożar. Płomienie wylażyły przez dachówkę na zewnątrz. W klasie obok tej sali byli Niemcy. Może więc i ich trochę podsmaliło, co daj Boże!

Dnia 18 stycznia 1942 roku, niedziela. Wybrałem się z Miszkim do Leśnik. Poszliśmy na dworzec. On miał starą przepustkę Juluka, ja zaś nową, swoją, ale także nieważną. Jakoś teraz zaostrzono sprawdzanie, bo nie przepuścili ani jego, ani mnie. Wróciliśmy więc z niczym do domu. Mogłem jechać koniem, ale lepiej trzeba zostać, aby jutro dowiedzieć się o tym pożarze.

Dnia 19 stycznia 1942 roku, poniedziałek. Poszedłem rano do szkoły. Po drodze spotykałem takich, którzy już wracali do domu. Jednak doszedłem aż do bramy, przy której stoi niemiecka warta i nikogo nie puszcza, nie wyłączając profesorów i robotników warsztatowych. Chciałem pójść do kancelarii po przepustkę, ale nie puścili. Powiada wartownik, że jutro zaczniemy już może uczyć się. Profesorowie powiadają, że nic sami nie wiedzą, a o początku nauki zawiadomi się uczniów pisemnie. Czort ich rozbierzy³⁶³.

Dnia 20 stycznia 1942 roku, wtorek. Poszedłem znowu, tylko trochę później. Tak jak wczoraj stoi wartownik, który jednak dziś puścił mnie do kancelarii. Dostałem starą przepustkę, przy pomocy której uda się może otrzymać pieczęć *Bahnhofsoffiziera*. Nie wiedząc, co mam robić, postanowiłem zatelefonować do domu, co mi się wreszcie na głównej poczcie udało. Dowiedziałem się, że jutro będzie Niewiarowski, więc będę mógł pojechać do Leśnik. Z pociągu nic nie wyszło, bo na dworcu skierowano mnie do b. dyrekcji, gdzie — z góry wiadomo — nic nie uzyskam.

Dnia 21 stycznia 1942 roku, środa. Niewiarowski przyjechał ze znacznymi po drodze stratami: Niemcy odebrali mu w Dolnej tłuszcz, śmietanę, woreczki z mąką i fasolą, i do tego jeszcze ciepłą chustę. Co oni z tym będą

³⁶³ Rozbierzy — z ros.: zrozumie.

robić, nie można zgadnąć. Chyba jednak pokroją na szaliki czy onuce. Widać z tego, że im mróz porządnie daje się we znaki. Wreszcie załadowaliśmy się na sanie i w drogę. Mróz zdrowo dziś ciśnie. Ale że koń dobry, więc nawet przyjemnie jechać. Tylko wiatr szumi i spod końskich kopyt grudki śniegu wylatują. Wreszcie około 6-tej dojechałem do Leśnik.

Dnia 24 stycznia 1942 roku, piątek. Z Wilna wyjeżdżając myślałem, że już więcej uczyć się nie wrócę. Tak mi się i teraz zdaje. Bo i tak, i tak z tego roku nic nie wyjdzie chyba. Rzucić teraz, to znaczy zrezygnować w ogóle na przeciąg wojny. Uczyć się dalej, to znaczy, że kończyć ten rok, a potem wyjechać do Niemiec i być może więcej nie wrócić. Do tego jeszcze to, że im dalej, tym gorzej jest i ciężiej z życiem. A w Wilnie tym bardziej — coraz trudniej jest przeżyć. Tak więc wykombinowałem, że nic z tego nie wyjdzie, a trzeba od razu szukać jakiejś roboty. Już nawet mam na oku kolej, gdzie obecnie i Zenek pracuje.

Dnia 24 stycznia 1942 roku, sobota. U Romka Ławrynowicza miały być w poniedziałek chrzciny³⁶⁴. Tala miała być chrestną. Dlatego dziś przyjechała koniem z Wilna. Tymczasem chrzciny zostały odwołane. Mówi Tala, że w Technikum od poniedziałku mają się już zacząć lekcje. I sam nie wiem, jak robić. Z jednej strony — nie ma jak, z drugiej — żal, że trzeba już zakończyć. Chciałoby się uczyć jeszcze.

Dnia 25 stycznia 1942 roku, niedziela. A jednak pojedę znowu do Wilna. Szkoda marnować tyle czasu i wysiłków pokonanych w tym roku. Kosztowało to już niemało! I teraz, gdy do końca roku zostało już tylko dwa miesiące (prawdopodobnie), nie opłaca się marnować tych czterech, które mam już za sobą. Tak mam szansę na ukończenie tego roku i otrzymanie jakiegokolwiek papierka. W razie zaniechania nauki szanse te odpadają. Co do wyjazdu do Niemiec, to Tatuś powiada, że można będzie w nadleśnictwie otrzymać papierek, że jestem zapotrzebowany jako przyrządowy robotnik do pracy w lesie, tak że chyba wyjazdu zdołam uniknąć. Pojadę do Wilna chyba jutro.

Dnia 26 stycznia 1942 roku, poniedziałek. Przed naszym wyjazdem do Wilna Mama ma zazwyczaj prawdziwe urwanie głowy. Tak jest i dzisiaj. Ciągłe coś pakuje, składa, zawija. Wreszcie wieczorem wychodzimy, wówczas może odetchnąć. Jedziemy, jak zwykle, towarowym. Szczęście, że nie ma zbyt wielu ludzi w wagonie, można więc swobodnie poruszać się, czego zachodzi potrzeba, gdy poczynają marznąć nogi. Po kilku dłuższych postojach dotarliśmy do Wilna o 9²⁵. Zanim przebraliśmy się przez dworzec

³⁶⁴ Urodził się Józef Ławrynowicz (1942–2009), „Dziudźka”.

i pogawędziliśmy z policjantami, którzy koniecznie chcieli nam sprawdzić bilety, było już pół do dziesiątej. Potem musieliśmy zdrowo spieszyć się, aby zdążyć przed dziesiątą do Tali. Kilka razy mieliśmy, a ściślej mówiąc Tala miała porządnego stracha na widok szwendających się całym grupami Niemców. Ale dotarliśmy szczęśliwie, po czym na położonym na ziemi materacu ległem spać. Jutro mamy lekcje.

Dnia 28 stycznia 1942 roku, środa. Do budy idę dopiero dziś, bo wczoraj przeląknęłam się dwóch klasówek. W mieście jest pełno Niemców. Widać na nich skutki niedawno przeprowadzanej zbiórki ciepłych rzeczy: są i tacy, którzy mają na szyi damskie kołnierze. Lisy z obciętą głową i nogami grzeją niemiecką „zwycięską armię”. Są tacy, którzy widzieli obrońców „Wielkich Niemiec” z damskimi mufkami. Nie mogę stwierdzić, prawda to czy nie, bo sam nie widziałem.

Dnia 29 stycznia 1942 roku, czwartek. Dnia 1 lutego kończy się pierwsze półrocze. Teraz więc przez ten tydzień po prostu męczą nas tymi klasówkami i odpowiedziami. Przeważnie wszystko po litewsku, bo nawet polscy profesorowie, którzy wykładają częściowo po polsku chcą, aby odpowiadać po litewsku, gdyż takie mają zarządzenie. Wczoraj do godziny wpół do drugiej siedziałem nad kreśleniami, dziś będzie chyba to samo. Z litewskiego dziś klasówka na drugiej lekcji. Litwin pyta ustnie. Mnie jakoś omija. Siedzę przy pierwszym stole. Jakże więc można powstrzymać się od słówka, gdy on męczy przy tablicy. Szepczę pomaleńku. Zeks nic. Potem jak nie zerwie się: „Pilecki, a kto pytał?”. Powiadam, że nikt. „Po co więc mówisz?”. „Ja nic nie mówię”. Jak nie rzuci się Litwin, a ja mu udowadniam, że teraz nic nie mówiłem. A on: „Ale przedtem”. „Przedtem mówiłem, ale teraz nie”. Litwin wprost oszalał — mówiłem mu całkiem spokojnie. „*Marsz isz klasies*”³⁶⁵. Wariat! Dziwię się, jak mu struny głosowe nie popękały. Zabieram się i wychodzę. Idiota!!! Patrzę na nich, jak na takich, co z kajdankami na rękach idą na szubienicę. I jest mi jakoś lżej. Niedawno mówiono o skróceniu nauki do 1 kwietnia. Teraz jest już nowe zarządzenie, że szkół zawodowych to nie tyczy i nauka będzie do 15 czerwca. Zrozum ich! Co dzień nowe zarządzenia. Do 1 kwietnia mogą znowu odwołać.

Dnia 30 stycznia 1942 roku, piątek. Do dziś nachalnie groziła mi jedna dwójka — z geometrii wykreślnej. Zeks Litwin mówi tylko po litewsku, przy czym mówi nie za wolno. Dziś jednak zdołałem ją podciągnąć, przypuszczalnie więc nie będzie żadnej. Sala na najwyższym piętrze, która właśnie ucierpiała od pożaru, jest obecnie usilnie naprawiana. Wypalił się

³⁶⁵ Właśc.: *Marš isz klasēs* — lit.: marsz z klasy.

kawał sufitu, przez który można obecnie ujrzeć niebo. Robotnicy postawili kozły i na nich stojąc, latają dach.

Dnia 31 stycznia 1942 roku, sobota. *Mila* w Trokach zostało odłożone z zeszłej niedzieli na jutro. Toteż dziś Wilno żyje zbieraniem się do drogi. Jerzy z Romkiem Zajączkowskim poszli już rano piechotą. Lus³⁶⁶ i Jul wybierają się jutro końmi. Z ich wybierania się widać, jakby to specjalnie po nich była furmanka. Tala także oczywiście jedzie. Ja bym także chciał pojechać, ale gdzież tam! I tak wszyscy wyjeżdżają. Mnie zostaje zostać w „domu”. (Domem nazywam obecnie i ten, przy Tartakach³⁶⁷.) Gdybyż chociaż kto zapytał, czy może chcę jechać. Ale skądże! Każdy rwie się sam, jakby bez niego tam nie obeszło się. No, trudno. Z chrzcinami zeszło się także wesele (Marek Kozyrowicz z Niną Firkowiczówną³⁶⁸), więc pcha się do Trok i żuk, i żaba. Tala, być może, więcej do Wilna nie wróci, bo otrzymała wiadomość, iż może w Trokach dostać pracę. Nie wiadomo, jak się tam naradzą. Byłem wieczorem u cioci Lizy. Niestety, Londynu nie mogą już u nich słuchać, bo pojawiło się bardzo ostre zarządzenie, zabraniające słuchania zagranicznych rozgłośni, gdyż „żydowsko-plutokratyczna propaganda nie robi zbyt dobrze na ducha słuchających jej”. Oni po trochę słuchają, ale mnie nie ma już jak. Tam usłyszałem pogłoski, które przeszły już chyba przez dziesięć ust, zanim dotarły do mych uszu: że ciocia Wiera³⁶⁹ po prostu umiera z całą rodziną z głodu. Faktem jest, że ciocia czasem, a nawet zbyt często bieduje, że nie ma tłuszczu, nie ma chleba, nie ma nic. Doprawdy, za dużo tego gadania! Potem takie wiadomości obiegają miasto. „Dziwię się” — powiada ciocia Liza — „dwie pensje i sublokator nie najgorszy musiałyby chyba wystarczyć”. No bo fakt. Jak żyją ci, którzy nie mają ani dwu pensji, ani sublokatorów. A jakoś jednak żyją i może nawet mniej narzekają! A tu nie jest jeszcze tak strasznie.

Dnia 1 lutego 1942 roku, niedziela. Wyruszenie w podróż poczęło się z samego rana. Jul poszedł na Gimnazjalną, skąd miały odjechać sanie, ale jeszcze za wcześnie. Lus³⁶⁶ ma jechać ze Zwierzyńca. Ruch, szukanie czegoś itd. Jul poszedł znowu, ale nie pojechał, bo nie było już miejsc. Więc... poszedł pieszo. Po co? Nie wiem. Co go tam tak ciągnęło, żeby 30 km stukać po mrozie. Nie rozumiem. Lus³⁶⁶ pojechała koniem. Ja siedzę w domu.

³⁶⁶ Olga Kobecka (1918–1984), córka Awenira Kobeckiego, siostra Julia, późniejsza żona Józefa Jutkiewicza.

³⁶⁷ Tartaki — ulica, przy której mieszkali Kobeccy.

³⁶⁸ Nina Firkowicz (1921–1987), córka Szymona, Ułhu Hazzana.

³⁶⁹ Gospodyni autora, „Wiera Alfonsowna”.

Dnia 6 lutego 1942 roku, piątek. Tala przyjechała znowu do Wilna po... swoje rzeczy. Otrzymała już w Trokach pracę i teraz zostało jej tylko pójść do uniwersytetu, aby zdać przybory do badań i pożegnać go. Wiozła do mnie mięso itd. i odebrali jej to niemieccy złodzieje, którzy polują wespół z Litwinami na wszystkich drogach i drożynkach. Jest to po prostu złodziejstwo czy rabunek. Raczej to drugie. Tala więc wyjeżdża. Nie dlatego bynajmniej, że nie chce już się uczyć, o nie! To raczej sprężyna Tatusia, który mocno boi się, że może jej „coś” się przytrafić od Niemców. Jest to wojsko bez czci i wiary, tak przynajmniej wygląda z ich dotychczasowych postępów z kobietami, które nieogłędnie popadły w ich ręce. Co tu zresztą dużo gadać!? Rozumiemy się przecie! Tam będzie Tala pod bokiem, to chociaż jej troski nie będzie; tam dotychczas spokojnie.

Dnia 7 lutego 1942 roku, sobota. Ze szkoły chodzimy zazwyczaj we trzech: Miszka, ja i nasz kolega, Chocianowicz. Wczoraj i dziś szło wojsko. Oglądaliśmy je, gdy szło po 3-go Maja³⁷⁰, obok gmachu byłego Sądu Okręgowego, potem NKWD. Po to, aby wyobrazić sobie wygląd tych żołnierzy, trzeba ich koniecznie widzieć. Idzie piechota na przemian z wozami. Cóż za wygląd! Nie wiem, czy chociaż u 10% idących jest ten zapal, o jakim głośno krzyczą gazety. Idą, bo pcha ich rozkaz, a w razie odmowy kula w łeb. Jeden szedł za wozem, na którego boku trzymał rękę. Taka beznadziejna mina, taki krok przywłóczysty. Idzie tak jeden obok drugiego, jeden za drugim. W dal nieznana, w dal najeżona bagnetami. Nie jest to marsz triumfalny. Dla nas, stojących tak na chodniku, to dobre widowisko. Zaraz, za 10 minut znajdziemy się w ciepłym mieszkaniu, zjemy obiad. Oni idą tak może przez cały dzień. Nie przez jeden nawet. Co dzień krok za krokiem, noga za nogą. Śnieg pada wielkimi płatami. Naprawdę, z żadnego chyba opisu nie wyobrazi sobie ten, kto nie widział marszu takiego na własne oczy, jego wyglądu. Idą i idą. Wszystko to mięso armatnie. Gdzieś, w nocy czy we dniu, między drzewami czy w polu śniegiem pokrytym, każdy z nich prawdopodobnie położy swą głowę. Rozszarpany czy zmiażdżony, czy po prostu zaginiony... A u każdego z nich jest matka i ojciec, bracia czy siostry. Czyż jedna matka opłakuje już syna, czy jedna jeszcze będzie. Wszystkich pcha do tego szaleńcza wola jednego człowieka. Nie wiem, ma-że on sumienie!? Przyjemnie bywało kiedyś, jeszcze kilka lat temu słuchać, jak ci, którzy przeżyli Wielką Wojnę, opowiadają o swych przejściach. Ale czy ktośkolwiek starał się zrozumieć wewnętrznie opowiadającego? Ot, po prostu imponowały mu czyny bohaterskie starszego,

³⁷⁰ Ulica 3 Maja, obecnie 16 Lutego (*Vasario 16-osios*).

nieraz też pomyślał, że fajno by było wyruszyć w pole ze świstem kul i dźwiękiem pałaszy. Myślał tak, bo słyszał tylko o czynach. Bo opowiadający nie mógł, po prostu nie zdołał wypowiedzieć, co to jest wojna moralna. Huk armat, naciskanie spustu i wytryskujące strumienie salw z luf karabinów maszynowych, okryte dymem bojowe okręty po zwycięskiej wymianie huczących ładunków, a szczególnie piękne walki powietrzne wśród śpiewu linek i warkotu motorów — ha, czyż nie piękne, czyż to nie pociągające?! Ale marsze całodzienne o chłodzie i głodzie nieraz, ale płacz matek i rozpacz ojców, ale ta wojna moralna, której nie można wyśpiewać — to co? To już nie bardzo pociągające. Ale tylko dla tych, którzy to już widzieli. Tym, którzy tego nie znali, nie istnieje to. A że w wojnach rzadko biorą udział ci, co raz już walczyli, przeto trudno będzie — może się myłę — stworzyć taką ludzkość, która by wojen zaprzestała. Czyż nie lepiej żyć spokojnie? Kiedyś już walczący odpowie: lepiej, kto nie zna walki moralnej, odpowie: co szkodzi popukać.

Dnia 9 lutego 1942 roku, poniedziałek. Tala pojechała wczoraj z Nie-wiarowskim do domu, na mnie zaś spadła misja w sprawie pieniędzy, które trzeba odebrać od Michała Jutkiewicza³⁷¹, co to wzięli u nas drzewo i teraz za nie nie płaci. Poszedłem więc dziś do niego. Zdobył się jakoś na 250 rubli (całość sięga 1000), przy czym ciągle usprawiedliwia się, czemu oczywiście nie wierzę, za dużo bowiem o nim słyszałem. Po prostu jest to człowiek, który nie liczy się wcale z długami. Oddaje wówczas, gdy już inaczej nie można się wykręcić.

Dnia 10 lutego 1942 roku, wtorek. Wreszcie namyślili się wypłacić stypendium za grudzień i styczeń. Za jeden miesiąc 20 rubli, za drugi 25. Śmiechu warte! 200 rubli — to dziś to samo, co było 1,5-2 złote. Nawet dwu kilo cukru nie kupisz. Gdyby jeszcze dawali w czas! Bo w każdym bądź razie miesiąc czy dwa temu przedstawiały one większą wartość jak teraz. W grudniu można było kupić kilo mięsa za 20 rb., dziś dochodzi do 45. To, co dają na kartki, w ogóle człowiekowi zdrowemu nie może wystarczyć. Oto na przykład: tygodniowe normy są następujące (w gramach) chleb: 1700, cukier 100, mięso 250, oliwa 100, krupy 100, mąka 250 (widnieje to tylko na kartce, bo w sklepach jest rzadko), masło 250 (od dwóch miesięcy w ogóle nie dają). Oprócz tego soli 50 g., no i kilka paczek kawy zbożowej, której całe stosy leżą w kredensie i czekają na mleko i cukier. Oprócz sklepów spożywczych wszystkie inne są zamknięte, a na pozwolenia, które niby to wydają, nie można często w ogóle nic znaleźć.

³⁷¹ Michał Jutkiewicz (1900–1975), syn Efima, „Kaban”.

Dnia 11 lutego 1942 roku, środa. Przychodzę z budy do domu, a tu wprost rozpacz: nie przywozi Niewiarowski drzewa. Ciocia, będąc w ogóle bardzo łatwo przestraszającą się i rozpaczającą, dziś w ogóle nie znajdowała sobie miejsca. „A co to może być, a może odebrali (oj, oj), a może on już w ogóle nie przywiezie! A czymże ja będę paaaaalić?!”. Umiejętnie dobierając słowa, daje do zrozumienia, że powinien byłbym pójść na pocztę zatelefonować. Ja nie mam czasu, choć spal się. Na jutro chemia, mechanika i litewski! Litewski. Treść całej Odyssei (4 strony) wykuć po prostu po litewsku na pamięć. Gdy podaję myśl, że może Juluś pójdzie, ten milczy. Gdy wychodzę do komisariatu, aby starać się o pozwolenie na kupno spodni³⁷², Jul czyta książkę. Gdy pytam, czy będzie mógł pójść na pocztę, odpowiada, że nie. Iść do Trok on mógł, na pocztę nie może. Trudno! Poszedłem sam. Rozmawiałem z Tatusiem, potem z Mamą. Powiadają, że Niewiarowskiego zaparli³⁷³ na przymusowe roboty do lasu, na razie więc nie może przyjechać. Moja dzisiejsza wizyta u Jutkiewicza została uwieczniona znowu 250 rb. Na resztę — czekać.

Dnia 14 lutego 1942 roku, sobota. Mieliśmy mieć cztery dni wolne, aż do środy i wybierałem się do domu piechotą, razem z trockimi chłopcami. Tymczasem dziś znowu zarządzenie, że świąt nie będzie (święta miały być takie: poniedziałek, święto niepodległości, niegdyś niepodległego państwa litewskiego, wtorek — Zapusty i środa — Popielec). Litwini chcieli widocznie zrobić poniedziałek, jako dzień między świętami, także wolnym. Jednak Niemcom to nie w nos. Kazali pracować. Trzeba więc zostawać w Wilnie. Nie ma jak iść. Juluś pojechał do Trok, aby sprowadzić kartofle. Tych bowiem, które przywieziono jesienią, już nie ma. Gdy nie ma do jedzenia nic innego, pchamy bulbę³⁷⁴.

Dnia 15 lutego 1942 roku, niedziela. Już znowu otworzono kościoły, kina i pozwolono zbierać się. Hachan korzystając z tego, nadal prowadzi swe odczyty. Dziś był w *midrasz*. Gdyby tam było chociaż trochę cieplej, można by było wytrzymać. Przed odczytem było *tiefinła*. Potem, po obiedzie przyszli „bursacy”, to znaczy Marek Juchniewicz, Gabka Dubiński i Józiuk Firkowicz. U nich także świąt nie ma. Siedzieli tu do wieczora, graliśmy w szachy, potem w szmena³⁷⁵.

³⁷² Chodzi o przydział na odzież, tzw. *order* (lit.).

³⁷³ Tu: zabrali.

³⁷⁴ Bulba — z ukr.: kartofle.

³⁷⁵ Szmen — gra w karty, odmiana bakarata. Nazwa pochodzi od fr. *chemin de fer* — droga żelazna.

Dnia 16 lutego 1942 roku, poniedziałek. Idziemy do budy. Na każdym domu wiszą dwie flagi: litewskie i niemieckie. Litwini chociaż to sobie wywalczyli, że pozwolono im wywiesić flagi. W budzie żadnej litewskiej klasy nie ma. Natomiast polskie — liczniejsze, jak zazwyczaj. Profesorowie też wszyscy są.

Dnia 17 lutego 1942 roku, wtorek. Buda tak samo świeci pustymi litewskimi klasami. Po pięciu lekcjach idziemy do teatru na Pohulance, który obecnie nazywa się litewskim³⁷⁶. Byliśmy na „Pod ojcowskim poddaszem”. Tak piąte przez dziesiąte zrozumieliśmy. Kiedyż, o kiedyż będziemy mogli znowu chodzić na takie [przedstawienia], jak „Rejtan”, „Gałązka rozmarynu” itp. W czasie przerw łążą po korytarzach Litwini, niezbyt cicho między sobą szwargocząc. No trudno, na razie trzeba czekać i zacisnąwszy zęby czekać.

Dnia 18 lutego 1942 roku, środa. Popielec. Litwini mogą przez 3 dni zrobić święta, możemy my przez jeden. Wczoraj postanowiliśmy nie iść do budy. Siedzę więc w domu. Przyjechał dziś Sławek Abkowicz z Leśnik. Nareszcie wybrał się odwiedzić rodziców. I to nie tyle dla rodziców, ile dla spraw tartaku.

Dnia 21 lutego 1942 roku, sobota. Niewiarowski miał dziś przywieźć drzewo, a ja chcę z tego skorzystać i pojechać z nim do domu. Ale w budzie teraz nowy bajer: nie można opuszczać lekcji, chcąc zaś, trzeba uprzednio się zwolnić. Poszedłem więc dziś do budy, aby tego dokonać. Słyszałem, że dyrka daje zwolnienia, inspektor zaś niechętnie. Idę do dyrki i... zastaję tam inspektora. Dyrka wspólnie z inspektorem zwolnienia nie dał. Cóż robić! Sprawowanie mam już zmniejszone do 5 minus za opuszczanie lekcji. Niech więc jeszcze zmniejszają się, ale ja takiej okazji nie przepuszczę. Koń jest, ciepło, słońce tak pięknie świeci i nie pojechać do domu?! Nie ma frajerów! Jadęęę! I pojechałem! Gdy słońce grzeje, czuć już, że do wiosny niedaleko. Oby było jak najkrócej!

Dnia 23 lutego 1942 roku, poniedziałek. Już znowu z powrotem do Wilna. Nie można powiedzieć, że pociągiem jest przyjemnie jeździć. Wyjechałem z Leśnik o siódmej, w Wilnie byłem o 9³⁵. Potem leciałem jak wariat, aby zdążyć przed dziesiątą. Przyszedłem dziesięć po. Ale dobrze.

Dnia 27 lutego 1942 roku, piątek. W stosunku do M. Jutkiewicza począłem robić się już nachalnym i wyrwałem od niego resztę długu.

Dnia 28 lutego 1942 roku, sobota. Postanowiliśmy z Miszkciem dobrać się do Leśnik. Jak — to obojętne. I po lekcjach wyruszyliśmy pie-

³⁷⁶ Teatr na Pohulance — założony w latach 1912–1913 jako teatr polski, działał do roku 1940.

chotę. Każdą mijającą nas furmankę zaczepialiśmy słowami: „Pan, można podjechać?”. I pchaliśmy się na sanie. Trochę więc udało się przejechać, resztę zaś oddrałowaliśmy. Do Landwarowa jeszcze ludzko było, ale tam dalej — pozał się Boże! Wiatr taki, że z nóg zbija, droga zaniesiona, kroku postawić nie można. Ale jakoś dobrnęliśmy. U nas dziś „bal” — dwudziestolecie urodzin Tali. Zaraz po naszym zjawieniu się przyjechali z Trok goście: kilka panien i chłopców. Bawili się do piątej rano, potem pojechali do domu. Będą spać chyba do wieczora jutrzejszego. Nogi bolą...

Dnia 1 marca 1942 roku, niedziela. Okazuje się, że Tala, nie doczekawszy się dwudziestu lat, mogła już być żoną, a przynajmniej — narzeczoną. Oświadczył się jej Szurka Nowicki³⁷⁷, jednak osiadł na koszu. Tala czeka widać na innego, sercu przyjemniejszego. Może i doczeka się.

Dnia 3 marca 1942 roku, wtorek. Chciałbym jechać do Wilna dopiero jutro, ale dowiedziałem się, że, być może, pociąg nie pójdzie. Jadę więc z Tatusiem do Trok, aby stamtąd z Ławrynowiczem dobierać się do Wilna. Miszka pojechał wcześniej. Konik nasz, mimo młodego wieku i wprawy, dobrze jednak chodzi. Ciągnie jak stary, biegnie przez całą drogę i, co główne, nie robi już kawałów. Słońce świeci, leśniczówka w Bobrówce tonie w promieniach życiodajnych, dostęp których przysyłają trochę nagie dziś konary lip. Kiedyż będą one znów zielone? Tęskno już do nich, a mróz ciągle ciśnie i ciśnie, chociaż na słońcu jest już dosyć ciepło. Dojechałem do Wilna i całkiem nie zmarzłem. Jutro do budy nie trzeba — „Kaziuk”. Wieczorem, mniej więcej około pół do dziesiątej w domu jakby wybuchła bomba. Pan Józef Jutkiewicz [„Agronom”] oświadczył się Lusi Kobeckiej i został przyjęty. Byłem wówczas w kuchni i piłowałem z Julem drzewo. Raptem wychodzi on i powiada Julowi: „Do widzenia, szwagierku!”. Ten zrobił wielkie oczy. Dopiero wówczas nastąpiło wyjaśnienie. Potem poczęło się dopiero gadanie. A jak, a co itd. Wszyscy dostali jakby obuchem w łeb. Szczególnie ciocia. W jej życiu, bądź co bądź, to ważny wypadek. A ważności tej oni nie odejmują.

Dnia 4 marca 1942 roku, środa. Ciocia Wiera otrzymała wczoraj list z Trok, od cioci Soni³⁷⁸. Jak wszystkie inne, tak i ten czytała głośno. Oczywiście doniesiono w nim, że Tala już prawie wychodzi za mąż, że ma około pół tuzina adoratorów, przy czym była wzmianka, żeby Jurek nie spał itd. Wczoraj wieczorem ciocia długo coś szeptała z Jurkiem, dziś rano usłyszałem słowa w rodzaju tych: „ona dobra dziewczynka, nie można jej nic

³⁷⁷ Aleksander Nowicki (ur. 1917), syn Józefa „Mojfieta”, lekarz.

³⁷⁸ Występuje wcześniej jako „babcia Sonia”.

zarzucić” czy coś w tym rodzaju. Tak mi się zdaje (nie wiem, może się mylę), że to coś na konto Tali. Jerzy już wybiera się na niedzielę do Trok... Wszak dziś „Kaziuk”. Ale „Kaziuk” tylko w kalendarzu. Na Łukiszkach zamiast straganów robotnicy pod kierownictwem Niemców stawiają jakieś garaże czy coś w tym rodzaju. Cały plac pokrył się wielkimi desczanymi budami. Podobno było kilka furmanek, ale ja w ogóle nie chodziłem patrzeć. Widziałem nawet kupione serce pierniczone wielkości dawnej obwarzanki. Trzeba było zdobywać je szturmem.

Dnia 5 marca 1942 roku, czwartek. Wieczorami zbiera się u nas cały „babski kołchoz”. Mają dwa tematy do wałkowania: pierwszy — to bliskie wesele, drugi — to sprawa Hachana. I rzeczywiście jest o czym mówić. Sprawa jest tego rodzaju: chcąc wyrazić wdzięczność Jego Ekscelencji za jego walkę z Niemcami, walkę o wywalczenie dobrego imienia dla Karaimów (rzeczywiście miał o czym myśleć, na każdym kroku musiał sypać dowodami itd.) postanowiły wileńskie domy zrobić Mu podarek. Jakie teraz mogą być podarki? Postanowiono kupić masła, mąki, jaja itp. produkty. Zebrano po 100 rub., kupiono co można było i poniesiono paczkę. I, jak niektórzy spodziewali się, Hachan paczki nie przyjął. Prawdopodobnie ktoś powiedział przedtem, w jaki sposób zbierano, że jeden dał chętnie, dziesięć innych z grzeczności i obawy przed językami. Dość tego, że Jego Ekscelencja nie przyjął i w porządku. Wileńskie panie mają o czym mówić. A ja na tym cierpię. Bo jak zacznie się od godziny piątej, to do późnego wieczora rozmowy, krzyki itd. Jak robić lekcje, trudno powiedzieć, trudno też robić. Ale dotychczas jakoś udaje się.

Dnia 8 marca 1942 roku, niedziela. Ciocia z Jurkiem wybierali się do Trok. Ciocia została z powodu braku miejsca na saniach, wiozących gości na wesele, które ma być dziś w Trokach (Ada Firkowiczówna³⁷⁹ z Borkiem Firkowiczem³⁸⁰), Jerzy zaś wybrał się. Pół pieszo, pół sańmi. Jul pojechał już przedwczoraj. Rano było 35° mrozu, w południe — 10° ciepła. Marzec już, słońce trochę już grzeje. Tylko ta bieda, że w nocy mróz jak w styczniu. W południe, gdziekolwiek tylko grunt chociaż trochę jest pochylony ku południowi, śnieg przemienia się w wodę, która jednak, gdy tylko wydostanie się poza zasięg promieni słonecznych, znowu ścina się, znowu jest śliska. Prędzej by już wiosna, prędzej by ciepło było. Zaraz mógłbym co tydzień na rower i do domu. Ale niestety, na razie to tylko marzenia.

³⁷⁹ Ada Firkowicz (ur. 1923), córka Szymona, Ułłu Hazzana.

³⁸⁰ Bogusław Firkowicz (1917–1973), syn Salomona.

Dnia 9 marca 1942 roku, poniedziałek. I stało się, jakom przewidywał. Jurek oświadczył się Tali. Nie wiem, co było w Trokach, wiem tylko, co było w Wilnie. A jako było — opowiem (ze wszystkimi oczywista szczegółami, bo jakże inaczej). Musiałem być dziś na Ludwisarskiej w artelu³⁸¹. Wracałem więc po Jasińskiego. Na rogu tejże z 3-go Maja spotykam wuja Isaja Rojeckiego, który winszuje mi. Pytam z czym? Powiada, że dziś u nas, w Leśnikach, zaręczyny Tali z Szurką Nowickim. Ha! To ci bajer. Postanowiłem iść na pocztę dowiedzieć się. Ale pierw trzeba zjeść obiad. Wchodzę do pokoju, ale nikt nic nie mówi — znak, że jeszcze nic nie wiedzą. Poszedłem do kuchni. Zachodzi tam i ciocia. Dyplomatycznie pyta, czy nic nowego, bo podobno Tala wychodzi za... Jerzego. Hm! A cóż to takiego!? I ostatecznie za kogo. Lecę więc do telefonu. Zaraz po moim zapytaniu: „co słyhać?” powiada Tatuś: „Możesz powinszować”. „Ale — krzyczę — z kim?”. Okazuje się, że z Jurkiem zgadała się jeszcze na weselu w Trokach, następnie zaś Jerzy wyruszył do Leśnik i około drugiej wyszedł do Wilna. Z powodu b. złego połączenia nie mogłem z nimi dłużej gawędzić i wypytywać. Przyznam się, że mina ma przypuszczalnie zrzędła. Gdy dowiedziałem się, że Tala wychodzi za męża, byłem zadowolony. Gdy dowiedziałem się, za kogo — ochłonałem. Sam nie wiem — dlaczego? Przyszedłszy do domu, zastałem już tam Jula, który powrócił z Trok. Ciocia więc już wiedziała. Trzeba było ją widzieć. Że tak powiem „gęba od ucha od ucha”. Około siódmej przybył Jurek. „Cześć, szwagier”.

Dnia 10 marca 1942 roku, wtorek. I tak rozpoczęła się druga fala powinszowań i odwiedzin. Gdy przychodzę ze szkoły, już kogoś zastaję. I tak potem aż do późnego wieczoru, jak w kotle. Jeden przychodzi, drugi wychodzi, w kółko, w kółko. Z odrabianiem lekcji coraz gorzej. Jedno szczęście, że teraz jakoś nie pytają.

Dnia 11 marca 1942 roku, środa. Aż śmiesznie się robi, gdy rodzina Kobeckich poczyną budować swe plany na przyszłość. Tali wesele będzie chyba dopiero w lecie czy też w jesieni. Dziś konferują już nad urządzeniem życia po weselu. Już niemal szukają mieszkania, już się umawiają, kto, gdzie i jak będzie żył. Oto porównanie: gdy zawarczy samolot czy jakiś wybuch huknie, ciocia nie wie, gdzie się podziać. Budując plany, nie bierze jakby pod uwagę tego, że obecnie, więcej jak kiedyś, bo wojna się toczy, jesteśmy pionkami, rzucanymi przez wicher zawieruchy. Nie można przewidzieć, co z nami będzie za kwadrans, a cóż dopiero, gdy chodzi o okres

³⁸¹ Artel — zrzeszenie drobnotowarowych wytwórców w Rosji. Tu: spółdzielnia szewska.

pół roku. Po prostu takie przelewanie z pustego w próżne, jakby nie było o czym więcej mówić.

Dnia 14 marca 1942 roku, sobota. Cywilny ślub Lusi. Ciocia robi z tej okazji coś w rodzaju *kielezmiaku*³⁸². Przyjechała Mama, Tala i Sławek koniem. Sproszono całą niemal wileńską młodzież, tak, że nawet nie bardzo było miejsca na tańcy. Około dziesiątej trochę się rozluźniło; starsi poszli do domu. Całą moją dzisiejszonocną tragedią było to, że przecież nie umiem tańczyć. Przesiedziałem całą noc, zatańczywszy zaledwie kilka razy walca. Pożal się Boże! Moje tańczenie panna by nazwała deptaniem po nogach. Dlatego też po kilku eskapadach zaniechałem w ogóle prób. Oprócz tego zagrałem przez noc kilka partii szachów i to była moja zabawa. No, nie licząc oczywiście gryzienia Jurka, który przez całą noc nie odstępował Tali. Po piątej poczęli się wszyscy rozchodzić. Poszła i Żenia Kobecka³⁸³, dziewczynka, która mi się najbardziej podobała. Jednak szkoda, że tak prędko. Nic nie będzie! Poczynam uczyć się tańczyć! I to jak najszybciej.

Dnia 15 marca 1942 roku, niedziela. Szkoda, że tak mało! Prędzej by się kończyło to (chciałem nieprzyzwocie się wyrazić)... Ta wojna. Prędzej by się już człowiek czuł wolnym, swobodnym, panem swojej woli i czasu! Niestety, na rychły koniec nie wygląda. A, po prawdzie powiedzieć, zbrzydło to już zupełnie. Ale cóż zrobić? Mama wyjechała po południu do Leśnik. Też szkoda, że tak prędko. Najwięcej chyba jednak żałuje Jurek, który w dodatku musiał dziś pracować. Jemu to już całkiem nie w nos. Taką okazję przepuszcza!

Dnia 19 marca 1942 roku, czwartek. Och nareszcie! Ziściły się przepowiednie Vaszkelisa, jeszcze sprzed pół roku: w skład Nowej Europy, budowanej przez „Wielkiego Wodza Wielkich Niemiec” weszło nowe państwo, Państwo Wielkie i Mocarstwowe, Nowa Litwa! Zwiększyła się o Mińsk, Białystok, Łotwę i Estonię, zmniejszyła się o... Vilnius i Kaunas. Huczno było, a jak było, opowiem. Już od dni kilku chodziły pogłoski, że Litwa ma odzyskać niepodległość. A że plotek chodzi dużo, więc i tę za taką przyjęto. Dziś historia dała możliwość przekonania się niewiernym, że z Mocarstwową Litwą liczyć się trzeba. Lusja przyszła wcześniej niż zwykle i mówi, że był do fabryki telefon z Kowna, żeby przerwać pracę, bo ogłoszono niepodległość. No trudno, fortuna kołem się toczy! Policja poszła po domach napędzać niewiernych do wywieszania chorągwi. Po godzinie poszła napędzać do zdejmowania. Litwa swą mocarstwowość za-

³⁸² *Kielezmiak* — karaïm.: uroczyste zaręczyny.

³⁸³ Eugenia Kobecka (ur. 1926), córka Michała.

kończyła (oby wszyscy „Wielcy” tak zakańczali). Litwini — nos na kwintę! Chodzą słuchy, że popędzą ich na front. Nie wiem, czy ci tegoroczni zwycięzcy spod Ponar z jednaką ochotą pójdą pod Moskwę. Z pewnością z Żydami lżej było niż może być z bolszewikami. To już całkiem niedobrze. Ale to głupstwo. Ważniejsze jest to, że Wielka Litwa odniosła piorunujące zwycięstwo. Nawet w „Vilniusie” (a może i w „Kaunasie”) nie pozwolili Niemcy litewskich chorągwi wywieszać. Ciekawe, jak się czuje Vaszkelis. Z całego huku — dali dla Ostlandu pewną gospodarczą autonomię.

Dnia 21 marca 1942 roku, sobota. Mimo to, że za tydzień pojedę już na święta, trzeba jeszcze i dziś sunąć do Leśnik; krawiec przerabia dla mnie coś niecoś. Nie mając czym jechać, wybrałem się piechotą i jechałem prawie całą drogę. Od Wilczej Łapy do kaplicy na jednych saniach, potem przeszedłem może ze dwa kilometry i zaczępiłem się za drugie, z których, spotkawszy około nadleśnictwa Tatusia, przesiadłem się tylko na nasze saneczki i dojechałem aż do domu. Okazuje się, że frazes: „Panie, może pan podwiezie trochę...” lepszy jest od „Pan! Można podjechać?”. W domu zastałem p. Urbanowiczową i Danusię. Rozmowa oczywiście często zjeżdżała na temat mądrej polityki Litwinów, którzy nie naruszając swej armii, potrafiliby wywalczyć sobie niepodległy byt.

Dnia 22 marca 1942 roku, niedziela. Lepiej jechać niżli iść. To chyba każdy zrozumie! Toteż złożyłem dziś Tatusia rower i wybrałem się na nim do Wilna. Wyjeżdżając nawet nie przypuszczałem, że może być tak dobrze jechać. Po obu stronach szosy leżą wały śniegu z niej zrzuconego, które miejscami dochodzą chyba do 2,5 metra wysokości. Między wałami zaś zaśnieżona szosa. Śnieg ubity jak kamień i gładki jak asfalt. Do tego taki lekki wiatr w plecy i słońce — a podróż staje się cudowną. Między białymi, wysokimi wałami śniegu mknie rower. Czasami wał z którejś strony przerywa się. Wówczas odkrywa się nieraz piękny widok. Gdyby tak mieć ze sobą dobry aparacik i kilka błon do niego, można by było zrobić mnóstwo pięknych zdjęć. Jeszcze raz stwierdziłem — fortuna kołem się toczy. Gdy kiedyś, jakiś miesiąc temu prosiłem Jurka, żeby poprosił jakiegoś Niemca jadącego po transport do Niemiec czy Prus o kupienie dla mnie błon fotograficznych, on śmiał się, zbywał mię pustymi obietnicami z dnia na dzień i kończyło się na tym. Powiedziałem mu kiedyś: poczekaj, może przyjdzie się tobie o coś mnie prosić. Odwdzięczę się! On odpowiadał, że o co tam on może prosić. U mnie!? To już całkiem niemożliwe. Doczekaliśmy się dnia dzisiejszego. Trzeba trafiać, że Tala dała list do Jurka. Doprawdy biedny! Musiał przez cały wieczór chodzić za mną i prosić o ten list. Po prostu skam-

łał. Wreszcie znudziło się mi. Oddałem list przed pójściem spać. Jerzy znowu hardy, znowu obiecuje. Może doczekam się, że pozbędzie się hardości. On jeszcze nie może zrozumieć, że fortuna kołem się toczy.

Dnia 23 marca 1942 roku, poniedziałek. I oto doczekaliśmy się tego, na co czekaliśmy i czego obawialiśmy się przez dziewięć miesięcy. Doczekaliśmy się nalotu. Romek Zajączkowski pomaga mi w biedzie: uczy tańczyć. Uczył i dziś. Patefon gra, my szurgamy³⁸⁴, okiennice zamknięte. Nie słyszeliśmy ani alarmu, ani bomb, ani odwołania, ani nawet stukania sąsiadów do ścian. Po odwołaniu alarmu przyszedł do nas Wacek zawiadomić, że taki był. Był, ale już nie ma? No to w porządku. Okazuje się, że jeszcze nie całkiem. Bo oto znowu przeciągle wyją syreny. Wyszedłem na ganek. Niesłychać samolotów, słychać tylko warkot silników, dochodzący ze wszystkich stron. Nie można zgadnąć, gdzie nie ma samolotu: są wszędzie. Raptem, gdzieś w stronie dworca widać błyski. Seria. Kilka szybko następujących po sobie błysków, zaczerwieniających niemal połowę nieba. Wyraźnie rysują się na ich tle kontury domów. Potem kilka sekund ciszy i słychać detonacje. Jakieś słabe, myślimy, że to artyleryjskie. Jeszcze kilka takich. Wtem gdzieś wysoko w górze, prawie tuż nad nami, wykwita silne światło, które szybko rozżarzyło się, a potem widać, jak wolno sunie ku ziemi. Spadnie jednak z boku. Oświeca ziemię, jak księżyc w pełni. Lotnicy korzystają: widoczne są błyski. Romek w czasie alarmu poszedł do domu. Lampa gaśnie w powietrzu, lecz błyski trwają. Czerwona rakietka wyskakuje zza jakiegoś budynku i spokojnie zatacza łuk na niebie, potem gaśnie. Ciągłe błyski. Potem trochę się uspokajają. Gdzieś nad nami sunie samolot. „Swoj” leci — powiadamy. Syreny ryczą przeciągle i urywanie. Jakiż ostry jest ich głos. Przeżywają powietrze jak nożem: koniec!!! Poszliśmy w końcu spać około jedenastej. Nie ma po co siedzieć. Ciocia Wiera była oczywiście w strachu.

Dnia 24 marca 1942 roku, wtorek. Okazało się, że nie było ani jednego strzału, ani jednego „swojego” samolotu. Trzeba było, aby lotnik tego samolotu, który szybował tuż nad nami, nacisnął niechcący spust. Na głowy nasze spadłby gorący deszcz. W budzie nauki prawie nie było. Tylko na chemii mówimy, że nie możemy odpowiadać, bo całą noc nie spaliliśmy itd. I ona nam sunie klasówką. My nie piszemy. Przesiedzieliśmy tak z pół godziny. Widząc, że nie piszemy, wzywa do tablicy. Mnie, siedzącego przy pierwszym stole, najpierw. Mówię, że nie mogę, że mnie boli głowa itd. Ona następnego. Nikt nie idzie. Litwinka za dziennik. „To wy moje lekcje bojkotujecie” i wyleciała. Ciekawe, co z tego wyjdzie. Na ul. Mickiewicza

³⁸⁴ Szurgać — tu: tańczyć.

spotkałem dziś Vaszkelisa. Mówi: „No co, pobili”. „Ano zdrowo dziornęli³⁸⁵” — odpowiadam. „No, nie mam czasu, trzeba iść” — oto streszczenie naszej rozmowy. Nie wiem, gdzie tak spieszył. Zdaje się, nie ma już co rabować. A może tych zbombardowanych. Wczoraj zbombardowano nawet dosyć celnie i dokładnie. Dali trochę po Niemieckiej, Halach i w ogóle w tamtym rejonie. Takowoż w koszary żydowskich gołoworezów³⁸⁶ — litewskich bohaterów spod Ponar. Pobiło podobno ich około czterdziestu.

Dnia 25 marca 1942 roku, środa. Nasz „bojkot” chemii nie pozostał bez echa. Dziś jak raz jest sesja. Przyszedł po lekcjach wychowawca, Litwin Matujza na przesłuchanie winowajców. Ma on tę właściwość, że nie może mówić, nie krzycząc. Gdy rozmawia ze mną, ja też krzyczę, gadam jak najęty, udowadniam. Teraz w ogóle stara się ze mną nie mówić. Jednak doszło do tego, że przyszło mi usprawiedliwiać nasz czyn. Wreszcie poszła morda. Obok naszej klasy jest ustęp. Po kończonym dialogu z wychowawcą ktoś tam zaszedł. We drzwiach natknął się na wychodzącego stamtąd inspektora. Najprawdopodobniej nie przyszedł on tu, aby załatwić się. Przyszedł raczej, aby podsłuchać nasze usprawiedliwianie się i w ogóle całą rozmowę. Obyś się zamordował, [...] pieronie!!! Tu się wyjaśniła twoja rola w Technikum. Stawianie nam dwójek i szpiegowanie nas. Chyba że jednak zdrowo nas oskarżają. W noc bombardowania Wilna wszyscy widać pracownicy „Gońca Codziennego” mieli pozatykane uszy. Ażeby chociaż słówkiem pisnęli na temat bomb. Pojawiła się tylko wzmianka o tym, jak zachowywać się w czasie alarmów lotniczych.

Dnia 27 marca 1942 roku, piątek. I oto się wyjaśniło. Ja dostałem cztery ze sprawowania, cała zaś klasa upomnienie. Wszystko skupiło się na mnie, sam nie wiem, dlaczego. Przecież nie ja byłem inicjatorem. Chyba dlatego, że ja pierwszy odmówiłem wyjścia do tablicy. Ale przecie przed lekcją powiedziałem, że całą noc nie spałem i nie mogę odpowiadać. Ale dobij się z nimi do czegośkolwiek. I nie ma sprawiedliwości na ziemi. Na sesji bronił nas profesor Grykenis, nasz fizyk, Litwin, całkiem do innych z jego rodu niepodobny. Wprost — człowiek.

Dnia 29 marca 1942 roku, niedziela. Wczoraj wieczorem począł Jerzy kantować³⁸⁷ się do roweru. Dziś pojechał do Leśnik. Dałem się jeszcze raz naciągnąć. Obecnie marzę o możliwości fotografowania w lecie. Chcę zrobić zapas błon. A więc — trzy błony. Płacę za nie rządową, niemiecką cenę. Jego rzecz — poprosić Niemców jadących do Niemiec, aby stamtąd je

³⁸⁵ Dziornąć — gwar.: uderzyć.

³⁸⁶ Tu: morderców.

³⁸⁷ Kantować — tu: przymawiać się, robić aluzje.

przywieźli. Trzy błony i pewien mały remoncik w rowerze. „Ode mnie biedy nie zaznasz” — powiada. Zobaczymy. Gdy wieczorem powrócił, coś już kręci. Ale to nic. Teraz już on nie obiecał, ale zobowiązał się. Ma czas do 5 kwietnia.

Dnia 30 marca 1942 roku, poniedziałek. Już się wyrwałem z Wilna. Jadę rano do domu. Droga nie jest zbyt dobra, szczególnie za Landwarowem, bo śnieg już miękki. Aby do wiosny.

Dnia 31 marca 1942 roku, wtorek. Palę łaźnię. Pod wieczór przyszedł Jul z Trok. Dziś już *hagada*. Poczyna się Wielkanoc. W tym roku jeszcze można ją jakoś obchodzić. Któż wie, jak będzie na przyszły. Może zmieni się na lepsze, chociaż tak wygląda, że raczej nie. Do Trok nie jemy, tam i tak mają głowy zajęte.

Dnia 7 kwietnia 1942 roku, wtorek. Siedzimy bez służącej. Od czasu odejścia Stefki przemieniło się już kilka. Ostatnia była zapisana na wyjazd do Niemiec. Poszła na badanie i nie powróciła więcej. Nie ma teraz więc żadnej. Mama ma roboty przez głowę, ja pomagam trochę. I tak przewala się dzień po dniu. To krowom dać, to napoić, to znów do piwnicy po zmarznęte kartofle, które trzeba wybierać dla krów, aby reszta zdrowych nie pomarzła. Jednym słowem — ciężkawato.

Dnia 9 kwietnia 1942 roku, czwartek. Przeszły wakacje. I znowu do Wilna. Osiodłałem swego konia, siadam na siodełko, naciskam pedały i sunę. Pomału kilometry odsuwają się za plecy. Spuszczając się z góry przed Wką, z daleka już słyszę szum. Będąc na moście, podjeżdżam do balustrady. Co za widok! Woda, która w lecie przechodzi przez jeden otwór, teraz ledwo się przeciska przez wszystkie. Potem leci po pochyłych deskach w dół. Co za pęd, co za siła, co za moc, ukryta w tych metrach sześciennych wody. Zlatuje w dół, ale nie zaznaje jeszcze spokoju. Odbija się sama o siebie i wyskakuje spienioną ścianą w górę, chyba na przeszło dwa metry. Piana opada, znowu odbija się o fale, znowu leci do góry, zatacza łuk w powietrzu i już trochę dalej wpada w odmęt, aby już więcej nie powstać. Czarna woda buszuje, huczy, syczy, cofając się przy brzegach podmywa żwir, tworzy po obu końcach mostu straszliwe wiry. I huczy, huczy. Rzuca z mostu jakiś patyk. Gdzie tam. Tyle go widzisz, dopóki dostanie wody. Potem pokryty falą i pianą przepada w wirach. Cudowny widok! Tchnie mocą i siłą. Można wyobrażać, co się dzieje na przykład na Niagarze. Tam dopiero musi być potęga.

Dnia 10 kwietnia 1942 roku, piątek. Poszedłem do budy. Całą klasę spotkałem zgromadzoną przy bramce. Mówią, że żadnego Litwina nie ma

w budzie, po cóż więc my mamy uczyć się. Czyśmy gorsi od nich? Na tym stanęło. Rozeszliśmy się do domów. Cioci Wierze to na rękę. Przynajmniej ma kogo posyłać to na Gimnazjalną, to na Zwierzyniec, to jeszcze gdzie. U nich już ruch. Dziś już pieką bułki³⁸⁸, szykują krupnik³⁸⁹ itd. Jak to zwykle przed weselem. Ruch pełną parą.

Dnia 11 kwietnia 1942 roku, sobota. Całkiem urwanie głowy. Z Trok przyjechał Jul. Ciocia na niego, że tak długo siedział w Trokach, gdy tu tyle roboty. Było wówczas sporo ludzi. Jul jak nie rzucił się. „To może ja z powrotem pojedę? Do widzenia”. Po prostu nachał. Ciocia od razu przycichła. Stworzyły się dwa obozy: jeden stoi za tym, żeby na tańce przynieść się do *midrasz*, drugi stoi przeciwko temu. Ciocia twierdzi, że w *midrasz* nie będzie czuła się gospodynią, że tacy w rodzaju „Hrabiego” napiją się i zaczną robić ruch i bałagan, pierwszy zaś obóz powiada, że tu nie sposób będzie tańczyć w takim pokoiku. Ja jako „gorący tancerz” w pierwszym. W ogóle to samo mówi Jerzy i cała tańcząca publika. Ciocia i Lusia krzyczą „nie”. No i postawiły na swoim. Będzie na miejscu całe wesele. Za to młodzież zebrała się w *midrasz* dzisiaj wieczorem, aby trochę wprawić się. Było sporo. Dużo przyjechało już z Trok. Nie wiem, gdzie się oni jutro pomieszczą. Błón, które miałem otrzymać do Jerzego za rower, ani śladu nie ma. Gdy pytam go o nie, odpowiada — będą. Żartuje sobie ze mnie. Chciałbym na ten temat pomówić poważniej — on ciągle potrafi wymigać się. Tak oto: „ode mnie krzywdy nie zaznasz”. Bohater znalazł się. Ostatecznie o te błony skamleć nie będę. Może przyjdzie się jemu o coś prosić.

Dnia 12 kwietnia 1942 roku. I *wot*³⁹⁰ nadeszło wesele. Już od rana na Tartakach ruch. Nie tylko w jednym domu przy Tartakach, ale w ogóle na Tartakach. Najpierw wynoszenie zbędnych, mogących przeszkadzać rzeczy, potem ustawianie stołów itd., itd. No, zresztą to się samo przez się rozumie. Z Leśnik przyjechali wszyscy w pełnym komplecie. O pierwszej miał się rozpocząć *kieleszmiak*. Oczywiście znana karaimska punktualność obowiązuje: poczęło się po drugiej. Po zakończeniu się jego podchodzi do mnie Żenia Kobecka i przypina mi asystencki kwiatek. Mimo swej woli, sam nie wiem dlaczego, poczynam się głupio czerwienić. Aby jakoś to zamaskować, staram się szybko wyjść z sali.

Już młode małżeństwo stoi w *midrasz* i czeka na dorożki. Proponuję pannie Żeni pójść naprzód. Idziemy. Za mostem nadpędzają nas jadący.

³⁸⁸ Ozdobne bułki weselne.

³⁸⁹ Krupnik karaimski, w odróżnieniu od litewskiego, robiony jest na cukrze, nie na miodzie.

³⁹⁰ *Wot* — ros.: oto.

Mieszkanie Kobeckich jest przepełnione. Drużba w swym pokoiku nie mieści się. Przy stole siadają panny i kilku kawalerów. Reszcie przychodzi się stać. Po kolacyjce, jak na obecne czasy dość dobrej (mamy przecież już trzeci rok wojny), w mieszkaniu jest gorąco i sino od tytoniowego dymu. Między Żenią a Musią³⁹¹ powstaje projekt wyjścia na spacer. „A ty nie chcesz pójść?”. — Owszem — odpowiadam (a myślę „bardzo”). Romek [Zajączkowski] także zdecydował się. Wyszliśmy razem, ale szybko rozłączyliśmy się. Bo tamci szli jakoś ospale, chociaż nie można powiedzieć, że w takich wypadkach Romek jest ospały. Żenia skarży się, że boli ją od tego dymu głowa. Rozmawiamy trochę, chociaż niezbyt to się klei. Coś tam na konto nowych budynków na Łukiszkach, coś o wiośnie, Wilii, gimnazjach. Całkiem niewinne. Doszliśmy do Orbisu³⁹². Tam spoglądaliśmy na linię frontu³⁹³. Wracaliśmy trochę szybciej. Po drodze spotkaliśmy kilku „staryków”³⁹⁴. Dzięki Bogu! Może się trochę tam rozluźni. Gdy przyszlismy, już poczynano tańczyć. Mimo kilkudniowych treningów tańca, opornie to jakoś idzie. Chociaż — przyznam nie bez pewnej dumy — o wiele lepiej niż zeszyłem razem. Szczęściem najwięcej grano tango, co u mnie jakoś wychodzi. Walca w ogóle nie próbowałem, chociaż też może by wyszło — nie chciałem się konfuzić. Jest nachalnie gorąco. Ciągłe trzeba wychodzić ochładzać się.

Dnia 13 kwietnia 1942 roku, poniedziałek. Jak zawsze, pod koniec jest więcej odpoczywających i więcej miejsca na sali. Żenia tańczy ciągle. [...]

Jedno mam postanowienie, które będę wykonywać z nachalnością godną samego Hitlera: do wesela w Leśnikach muszę się nauczyć tak tańczyć, aby nie być zmuszonym do odpoczywania. Trochę się przespałem. Może odrobinę więcej jak 3 godziny. Potem przez cały dzień to na Zwierzyniec, to z powrotem na Tartaki. Po obiedzie leśniczanie wyjechali. Wieczorem znowu się zebrało towarzystwo. Oczywiście wodzirejem — Romek.

Dnia 16 kwietnia 1942 roku, czwartek. Przeminęło wesele, przeminęła radość. I znowu dni się wloką i godziny, szare, jednostajne. Szare nie w znaczeniu szarości nieba. O nie! Dziś na przykład — już bardzo jasny, prawdziwie wiosenny dzień. Wiosną pachnie. Gdyby nie to słońce — dnie byłyby superszarymi. Ono jeszcze trochę dodaje otuchy. Znowu szkoła, znowu litewszczyzna. Ciągłe będąc w szkole, siedząc na lekcjach myślę

³⁹¹ Maria Jutkiewicz (1926–1987), córka Arkadiusza, późniejsza żona Marka Juchniewicza.

³⁹² Biuro podróży mieszczące się przy ul. Mickiewicza.

³⁹³ W tym czasie w oknie Orbisu wisiała wielka mapa, na której zaznaczano aktualne ruchy wojsk niemieckich w kierunku wschodnim.

³⁹⁴ Staryki — tu: starsi.

o niej. Piętnastego. Jak dziko jest na niemieckim. Pewien tekst czytamy w różnych czasach. Zdanie po zdaniu, kolejno. Gdy do mnie dochodzi kolejka, pytam sąsiadów, w jakim czasie teraz czytać. Gorączkowo szukam swe zdanie i po przeczytaniu znowu zapadam w zadumę. Jeszcze wczoraj i przedwczoraj w mej szarudze wewnętrznej były przebłyski słońca. We wtorek — przyszła pod wieczór ze swą babcią, wczoraj, po tym niemieckim, a potem jeszcze litewskim (!!! — nie wiem, jak to przeżyłem), przyszedłszy do domu, zastałem ją. [...] Ale trzeba kończyć już! Dochodzi godzina dwudziesta czwarta.

Dnia 18 kwietnia 1942 roku, sobota. Jestem na rozstajnych drogach! Nie wiem, czy jechać dziś, czy jutro. Na Zwierzyńcu miała się zebrać wieczorem młodzież. I zostałem. Poszedłem na Zwierzyniec, ale tam nic nie było. Nawet nikt nie przyszedł. Ale nie żałuję, że nie pojechałem. Okazało się, że jest w Wilnie. Była razem z babcią. O losie. Jak raz siedzieliśmy z bursakami i graliśmy w szmena. Jak przedtem namawiałem, żeby zagrać, tak raptem począłem namawiać do kończenia. Wyszliśmy razem. My na Zwierzyniec, one do miasta.

Dnia 19 kwietnia 1942 roku, niedziela. Jak na nieszczęście przyczepił się do mnie Czaprocki³⁹⁵. Jechaliśmy razem. Wprost nie można z nim jechać. Nie jedzie, ale sunie się. Nareszcie w Landwarowie odczepiłem się od niego. Wówczas poczułem w uszach wiatr. Co za dzień. Nie kwietniowy, ale prawdziwie czerwcowy. Przyjechawszy poszedłem do lasu. Dzień jest ciepły, słoneczny, prawdziwie wiosenny. Przejszć się po lesie to prawdziwa przyjemność. Pod nogami szeleszczą wilgotne zeszłoroczne liście. W powietrzu słychać brzęk owadów. Przezeń się przebijają wyższy, cieńszy śpiew ptaków. Gdzieś od północy dolatuje raz po raz krzyk sowy. Hu-hu-hu-huhu-huhu!!! Podłoga zbudowana przy bolszewikach dla tańców jest zasłana liśćmi. Na poręczach wystąpiły od słońca kropelki żywicy. Słońce grzeje mocno. Przez umysł przenika myśl: „Co tu będzie za dwa, trzy miesiące, gdy Leśniki zapelnia się weselnikami?”. Z boku, między nieoliścionymi jeszcze gałązkami leszczyny i olchy bujają motyle. Szczęśliwi, bo wolni... Hen, na wierzchołkach strzelistych świerków wiszą kiście zeszłorocznych szyszek. I słońce świeci... Wnet na pole wyjdzie rolnik z pługiem — walczyć o chleb. Lekki powiewek wiatru niesie po podłodze zeschło-wyblakłe liście. Jakiż jest przecudny śpiew triumfującej wiosny. Za kilka dni w lesie stanie się niebiesko od przyłaszczek. Po południu przyszła z Trok Mama. Na spółkę z Talą postanowiły wyciągnąć ode mnie, co czuję do Jerzego. I półsłówkami wy-

³⁹⁵ Józef Czaprocki (ur. 1925), syn Daniela.

ciągnęły! Dokombinowali się, że czasami nieodpowiednio się wyraża itd. Tala bardzo zmartwiona, że nie przywiozłem od Jerzego listu, który zostawiłem w szufladzie biurka. Mają porozmawiać jeszcze z nim.

Dnia 20 kwietnia 1942 roku, poniedziałek. Przyjechałem rano od razu do budy. Wieczorem Jerzy począł dopytywać się o list od narzeczonej. Ale że wcześniej powiedziałem cioci, że takiego nie mam, więc szybko odczepił się. Był wówczas Romek Zajączkowski. Oddaję Jerzemu list od Tali. Gdy zobaczył go, aż spotniał. Śmieję się z tego. Zaznaczył mi, że teraz nie myśli nawet o zwrocie trzech błon (długu za rower). No dobrze, jeżeli uważasz, że to ciebie zwalnia od obowiązku oddawania długów, to trzymaj je!!!

Dnia 21 kwietnia 1942 roku, wtorek. Po dwóch lekcjach cała buda poszła na wystawę „Czerwonego Terroru”. Ja oczywiście zwałem. Było co oglądać! Przyjechałem do domu. Ciocia z tego skorzystała. Gdy byliśmy tylko we dwoje, poczęła przemówienie. Wstęp polegał na stwierdzeniu, że Jerzy, zdaje się, nie był w stosunku do mnie niemożliwym, że obchodził się tak jak i z innymi, itd. Potem inny temat: nieoddanie listu. „Jest to najstraszniejszy czyn, jaki można sobie wyobrazić: niewykonanie zobowiązania”. Nie chciałem rozpuszczać zbytnio języka. O zobowiązaniach mogłbym też coś powiedzieć. Ale co tam. Nie z nią mam o tym mówić. Na zakończenie stwierdziła, że mnie wprost nie poznaje. Dotychczas uważała mnie za tak dobrego, „niemal za trzeciego syna”, ale teraz... O nie! Nie spodziewała się tego. No trudno! Może i nie można stawiać mnie na równi z dwoma synkami. Cóż mogę poradzić. „Jerzy taki, zdaje się, dobry chłopiec”. Może... Powiedziała nawet ciocia, że wobec takiego stanowiska jednego z członków rodziny, Jureczek powinien zrezygnować z planów na przyszłość, z Tali. Ha-cha-ha-cha! *Smieszno priamo*³⁹⁶! Wysłuchałem wszystkiego do końca. Cóż innego miałem robić? Szkoda, że ciocia nie wie o wypadkach na Zwierzyńcu, ba, nawet na Tartakach. Ciocia wmawia to samo Jerzemu. Że musi tę sprawę rozstrzygnąć itd., itd. On zaś mówi, że nie ma co rozstrzygać z jego strony.

Dnia 25 kwietnia 1942 roku, sobota. Jadę do domu. Sprawa z Jerzym na razie nierozstrzygnięta. On nie zaczynał, no, a ja nie chciałem, bo to właściwie jego rzecz, gdyż ja chciałem jeszcze kiedyś z nim porozmawiać — on żartował. Może teraz sam pofatygować się. W domu też dużo gadania na ten temat. Dosyć już tego gadania. Wszystko w kółko, wszystko chcą wiedzieć.

³⁹⁶ *Smieszno priamo* — ros.: po postu śmiesznie.

Dnia 26 kwietnia 1942 roku, niedziela. Całkiem niespodziewanie zjawił się Jerzy. No, to dobrze. Wreszcie rozpatrzę. W stosunku do niego byłem mocno zimny. Starałem się nawet nie gadać. Przy obiedzie poczęli zagadywać. Na razie bardzo niewinnie. Jerzy miał jechać do Trok, ale namówiono go, żeby został. Pojedziemy razem do Wilna. Został. Przed odjazdem począł Tatuś przymawiać, że trzeba się pogodzić itd. Pojechaliśmy. Właśnie począł prosić deszcz. To już całkiem nieprzyjemnie. Za Landwarowem, gdy wyjechalismy na szosę i mogliśmy trzymać się obok siebie, Jerzy zagadnął, co oprócz błon (!!!) mam do niego. Poradziłem to odłożyć na inny raz, bo tak jadąc mówić, nie wychodzi. Pieroński wiatr, deszcz i ciemno. Jerzy z workiem jedzie wolno, a mnie zimno, aż niemal zębami szczękam. Przyjechałem zmarznięty na kość i z nachalnym bólem głowy. Po drodze przyczepił się do nas jakiś Litwin i kantował się do mięsa, ale dowiedziawszy się, że uczę się w Wilnie, puścił nas. Inaczej by poniósł.

Dnia 28 kwietnia 1942 roku, wtorek. Jak ja nie zachorowałem — nie wiem. Wczoraj cały dzień bolała głowa i dziś trochę. Przekonałem się, że nic nie umiem z algebry i trygonometrii. A tu już koniec roku na nosie. I... egzaminy. Począłem uczyć się jak wariat.

Dnia 30 kwietnia 1942 roku, czwartek. Wróciwszy wczoraj ze szkoły, zauważyłem na stole kilka nowelek. Począłem przerzucać tytuły: „Bartek Zwycięzca”, „Niemczaki”, jeszcze jedna czy dwie, „Siłaczka”... „Siłaczka”, „Si-łacz-ka”... Coś przypominam sobie. Jak przez mgłę przypominam jakąś młodą dziewczynę chorą i umierającą. Podobno przystojna. Ach tak! Przypomniałem. Lekcja polskiego w zeszłym roku. Przerabiamy „Siłaczkę”. Profesorka dała Polakównie nowelkę, aby przeczytała ją klasie. Siadła przy stoliku profesorskim i czytała. Słuchaliśmy. Tak! Doktor Obarecki, Obrzydłówek, umierająca nauczycielka. Kolega Zabolewicz siedział na pierwszej ławce i coś rysował w swym grubym brulionie z podobiznami niektórych koleżanek i kolegów. Potem, po jakimś czasie, gdy gruchnęła wieść o śmierci Polakówny, okazało się, co rysował. Jakże była dobrze narysowana. Jak na fotografii. Siedzi przy stole i patrzy w książkę. W „Siłaczkę”. Było to około roku w przeszłość. Nie wiem, co mi się przypominało. Czy to obrazek, skreślony w „Siłaczce” ręką autora, czy też drugi, kreślony mą własną wyobraźnią. Niewiasta rozpalona gorączką leży w łóżku. Blond włosy porozrzucane po poduszce. Umierająca... Jeszcze godzina, może trochę mniej czy więcej i wszystko skończone. Ciało pocznie stygnąć. No, po prostu — wszystko skończone na tym padole ziemskim. Nie wiem, którą zobaczyłem, biorąc „Siłaczkę” do ręki. Mogła to

być ta, która o tamtej czytała. Mija już rok. Nie mogę wprost wypowiedzieć tego uczucia, którego doznaję w piersi, gdy pocynam głębiej wspominać te czasy sprzed roku. Wiosna, słońce, gimnazjum i jeżdżące karetki pogotowia, krzyczące: „Tyfus!”. Minęło! Minęło, jak mija wszystko, na zawsze, bezpowrotnie... Potem tyfus, bomba czy jakie inne лихо i wszystko zakończone. Kończone... U niektórych pozostają wspomnienia... Na razie świeże, potem coraz bardziej zatarte i po wszystkim. Taki los... Dziś począłem przerzucać kartki „Siłaczki”. Co za wspomnienia...

Dnia 1 maja 1942 roku, piątek. Świat żyje obłudą! Wszędzie, na każdym kroku, o każdej porze obłuda i obłuda. W zeszłym roku szliśmy z czerwonymi transparentami i gwiazdami po ulicach Wilna. Przed gimnazjum Orzeszkowej. Jakiś oficer (nie wiem, dla chleba czy idei — komunista) dał się „*Tawariszczu Stalinu, ura!*”. Gazety pisały o wielkiej manifestacji mas pracujących, o tych, którzy szli wolni od ucisku burżujów. Którzy nieśli rewolucję! Dla wolności mas. Tych mas, które zakuwało NKWD. Azali trzeba większej obłudy? Po roku: gazety piszą o wielkim pochodzie przeciwko bolszewizmowi, o obronie Europy przed nawałą czerwonych. Dzień 1 maja. Odczyty, przemówienia. Dosyć mam tego! Dosyć obłudy. Tak jak najechałem z szeregów, gdy szli na „Wystawę Czerwonego Terroru” (pokazywano fotografie z podziemi NKWD, zapomniano pokazać tych spod Ponar), tak najechałem dziś z akademii. Po prostu nudzi mnie to przelewanie z pustego w próżne. Z jednej strony socjalizm, z drugiej socjalizm — narodowy. Stalin chce rządzić i gnieść, i Hitler to samo. I mordują się. Trzebaż większej obłudy? Im czort wie, o co chodzi, a padają miliony. Za co, dla kogo? Daleko mnie jest do komunisty (tak jak i do hitlerowca). Ale powiem: wszyscy muszą mieć prawa do życia. Czyż na świecie miejsca za mało? Po cóż darc się, po co kłaść miliony? Po co tyle obłudy!!!!

Dnia 2 maja 1942 roku, sobota. Jutro ma być ostatni odczyt Hachana. Chciałby on, aby potem odśpiewano kilka piosenek karaimskich. Toteż zbieramy się u p. Szpakowskich³⁹⁷ przy Kasztanowej na próby. I mnie wciągnęli. Chcą wykorzystać „kiepurowski głos”. Byłem już raz. Dziś znowu. Przyszła do nas Żenia. Po przeszło tygodniowym pobycie na wsi zawitała znowu do Wilna. Dowiedziawszy się, kto bywa na próbach, zdecydowała się pójść tam także. Och, jak przyjemnie! Jakże dobrze, że pani Wala³⁹⁸ spóźniła się. Od piątej siedzieliśmy tam i czekaliśmy. Nie mogę powiedzieć, że się nudziłem. Głupi był, który wymyślił te kartki, tzn. flir-

³⁹⁷ Szymon Salomon Szpakowski (1880–1974) i Elżbieta z Chorczenków (1888–1969?), „Gdańscy”.

³⁹⁸ Walentyna z Łobanosów Sulimowicz (1910–1998), córka Józefa, hazzana wileńskiego i łuckiego.

towe, na których jest wypisane kilkanaście różnorodnych zdań. Ale czasami mogą się one przydać. Bawiliśmy się. [...] Niestety, p. Wala znała się trochę na zegarku. Przyszła wkrótce. Przerwała nam. Poczuliśmy śpiewać. Śpiewałem jak dziki. Kończyło się i to. Wróciliśmy do domu.

Dnia 3 maja 1942 roku, niedziela. Witaj Maj, Trzeci Maj! Poszliśmy na Zwierzyńiec. Z odczytu nic nie rozumiałem — wcale nie słuchałem. Śpiewaliśmy. Była. Oczywiście z babcią. Potem, nie wiem dokładnie kiedy, poszła. Rozchodzili się wszyscy. Z Miszkiem razem wyszedłem i ja. Mam co robić. Dostałem książkę Piaseckiego „Piąty Etap”³⁹⁹. I jeszcze ta algebra i trygonometria.

Dnia 7 maja 1942 roku, czwartek. „Piąty Etap” — to książka, która podobała się mi bardzo. Mało tego, po prostu wywarła wrażenie. Nie wiem, może komuś imponuje wystrzałami, naganami czy granatami. Mnie nie. Jeżeli podobała się, to wcale nie tym. Można tam znaleźć cały szereg pięknych myśli. Myśli, nad którymi nieraz zastanawiałem się, jeszcze zanim wziął „Piąty Etap” do ręki. Na przykład po każdym ważniejszym zdarzeniu u „Zabawy” następują krótkie obrazki z życia innych. Oto, gdy Zabawa, wolny, przechodził granicę, gdy śpiewał nad nią, wówczas w podziemiach GPU katowano jego kolegów. W tym samym momencie gdzieś w odległym New Yorku milionerzy świetnie się bawili. To przykłady, jak los potrafi ludźmi się bawić. Przykładów tych jest mnóstwo. Autor bardzo, jak mi się zdaje, trafnie kreśli kontury życia ludności w Sowietach. Jedna burżuazja poszła pod ściankę, rządy objęła druga, dziesięć razy podlejsza, chcąc wykorzystać, wyssać z każdego i wszystkiego soki, a niepotrzebną powłokę wyrzucić. Zresztą — czyż my tego nie przeżywaliśmy? Ta tylko jest różnica, że to, cośmy widzieli, to już dorobek 20 lat, „kultura”, tamto zaś to było w zarodku dopiero. Zdaje się, że mało co zmieniło się. Kultura w rzeczach kulturalnych cofnęła się wstecz. Kultura sadystów kroczy naprzód. W ogóle trudno jest z wszystkiego wypowiadać się. Brak czasu, chęci i — drygu w palcach.

Maj. Maj tegoroczny podobny do ubiegłego. Zimno, ponuro jak w październiku. Jakże mocno uzależniony od pogody nastrój człowieka. Zimno i ciemno na powierzchni — to ciemno i zimno w duszy. Poszedłem na Zwierzyńiec. Czasami mam napływ jakiegoś dziwnego uczucia. Siadę — to mogę siedzieć, stoję — to stać i patrzeć przez okno. Coś gniecie mostek, jest smutno i obojętnie. Nie mogę sobie wytłumaczyć tego. Po prostu

³⁹⁹ Autobiograficzna powieść Sergiusza Piaseckiego (1901–1964) o pracy agenta wywiadu na polsko-radzieckim pograniczu (napisana w więzieniu w 1934 r.).

wszystko obojętne. Gdy w takim momencie zapalę jeszcze papierosa, to już w ogóle trup. Choć ty idź i top się. Potem to stopniowo przechodzi, nie-raz pod wpływem zmiany otoczenia, czasami sam się do tego zmuszam. Poczynam ruszać się, podśpiewywać. Gdy szedłem z Miszkiem ze Zwierzynca — to samo. Dzikie uczucie, daję słowo. Depresja duchowa. Wegetacja! Ponure, zachmurzone niebo, w powietrzu wilgoć, z boku wiatr. Duszy czegoś brak. Czy ja wiem, czego?

Dnia 9 maja 1942 roku, sobota. Jerzy musi jutro pracować. Korzysta z tego Jul i jedziemy razem. Gdzieś tam poczyną już zielenieć trawa, chociaż na ogół jest jeszcze zimno. Od przejazdu pojechałem sam, a Jul do Trok szosą. Leśniki! Wy, do których, będąc w Wilnie, tak mocno tęsknię. Między kłodami ściętego drzewa [...], gdzie przyroda panem największym jest, tam stoi dom. W tym domu tętni życie, tam myślą chyba czas od czasu o mnie, gdy ja już zasypiam w Wilnie. Jeszcze cztery tygodnie. Przejdą, jak strzelił. I wówczas będę wolny. Wrócę tu i będę kiwać jak wariat. Mam chęć do pracy fizycznej. Z przyjemnością wziąłbym do rąk i pług zamiast litewskiej książki.

Dnia 10 maja 1942 roku, niedziela. Jestem po prostu wściekły. Cały dzień zmarnowałem na składanie swego roweru, na którym chciałem jechać do Wilna. Niestety, nic nie wyszło. Potem pojechałem do Trok. Miałem razem z Julem jechać do Leśnik, a potem do Wilna. W Trokach „nawaliła kicha”. Musiałem iść piechotą. Załatałem i wyjeżdżamy. Ach! Te pożegnania, pocałunki. I pomyśleć: jeszcze cztery tygodnie. Toć „ogromnie dużo”!

Dnia 12 maja 1942 roku, wtorek. Wieczorem, a raczej po obiedzie poszedłem do cioci Lizy. Zazwyczaj bywałem tam wieczorem, gdy oprócz mnie był zawsze jeszcze ktoś. Dziś nie było nikogo. Ciocia wybiera się przenosić do Trok, tylko nie może znaleźć furmanki. Poczęła mówić na temat cioci Wiery. Mówić jest o czym! Między wileńskimi plotkującymi kobietkami ciocia jest osławiona z tego, że zawsze jej coś brakuje. Bywa na przykład tak: przychodzi ktoś i w rozmowie zachodzi pytanie „Co u Kobleckich?”. Odpowiedzi bywają takie jak „Dziś nie mają chleba” czy też „Dziś nie ma czym palić” itd. Po prostu naśmiewają się z niej. Tego już nie rozumiem! Bo co na takie pośmiewiska wystawiać się. Wojna wszak. Nie wiem, czy jest w Wilnie rodzina (nie licząc oczywiście Litwinów i Niemców), w której by czegoś nie brakowało. Ale czy każdy chodzi i skarży się? Wszak nie da przecie nikt. Często przychodzą do cioci jej przyjaciółki, jak p. Raisa Abkowiczowa, p. Szpakowska i inne. Ani razu nie słyszałem, aby któraś z nich tak płakała jak ciocia Wiera. To nie mam

kartofli, to drzewa, to chleba, to tłuszczów. O wszystkim musi wiedzieć całe miasto. W ogóle tego nie rozumiem. Po co to? I tak przecie nikt nie da. Ubolewania te są tym śmieszniejsze, że ciocia żyje z dwóch (plus tytoń) poborów. Jak mają żyć ci, którzy mają jedną pensję? I na pewno tak nie płaczą. [...]

Dnia 23 maja 1942 roku, sobota. Mamy dwa dni wolne. Jadę do domu z porządnym worem na bagażniku — to moje i Jula rzeczy. U niego już nauka kończona. Razem z Miszkciem drałują do Trok. Jerzy pojechał już wczoraj i miał brać ślub cywilny. Gdy przyjechałem do Leśnik, okazało się, że jeszcze nie wziął, bo brakowało jakiegoś papierka. Moje niedostarczenie listu Jerzego Tali, które to wywołało tyle domysłów i mów cioci Wiery, odniosło jednak pewien skutek. Jak przedtem Jerzy śmiał się i żartował z moich szczerych chęci porozmawiania z nim na tematy dotyczące nas obu, tak potem sam taką rozmowę nawiązał. Po wyładowaniu jemu całego zapasu żalów, stosunki nasze poprawiły się znacznie, mimo że trzech błon jeszcze nie widziałem. Powiada, że prosił kilku Niemców, ale żaden nie przywiózł. Zamówienia są i teraz. W takim wypadku mogę czekać. Teraz jesteśmy zupełnie po przyszłoszwagrowsku.

Dnia 26 maja 1942 roku, wtorek. Co za szczęście! Egzaminów nie będzie!! Mało tego: rok szkolny do pierwszego czerwca. Stopnie już wystawione, lekcji nie ma prawie. Dziś na przykład poszliśmy do budy, ale tam nic nie było. Przyszedł wychowawca, pomagaliśmy mu spisywać stopnie i kończyło się na tym. Nareszcie! Rok jakoś przewaliliśmy, można odpocząć od litewszczyzny „na łonie przyrody”. Mam zamiar czas od czasu odwiedzać Wilno. Na razie zaś pękam z nudy. Przyszedłem, a raczej przyjechałem z budy i nic, pustki. Siedzę w domu i czekam. Na co, sam nie wiem. Właściwie wiem: na kogoś. Może przyjdzie. Ale nie przychodzi. Minuty upływają i ciągle pusto. Pojechałbym do domu, ale nie ma jak: przeprowadzają spis ludności i komunikacja międzymiastowa jest do piątku wstrzymana. Trzeba więc siedzieć. Gdybym chociaż dostał coś Piaseckiego! Niestety, nie ma i tego.

Dnia 27 maja 1942 roku, środa. Wybrałem się przynajmniej do domu zatelefonować. Mama powiedziała, abym kupił tu rozsady kwiatów. Właściwie ja sam zaproponowałem. Kwiaty można kupić w szkole ogrodniczej, gdzie pracuje p. Niusia Kobecka⁴⁰⁰, matka Żeni. Trzeba więc w sprawie nich dowiedzieć się u p. Kobeckich. Co mnie kosztuje tam pojechać? Zdaje się, że nic. Pojechałem. Pani Niusi nie było. [...] Gdy przyszła, dowiedzia-

⁴⁰⁰ Anna z Szyszmanów Kobecka (1904–1993), córka Józefa, primo voto Rojecka.

łem się, że kwiaty są, a można się o nich dowiedzieć tam, na miejscu. Siedzieć dalej nie było czego. Już i tak przeszło pół godziny. Żegnam się i wychodzę. Spuszczam się ze schodów (mieszkają na piętrze — mieszkanko przyzwoite, kilka, dwa czy trzy pokoje i kuchnia. O porównaniu z tym, na Tartakach, mowić nie może), biorę rower i wychodzę z klatki schodowej na dziedziniec. Przy siadaniu na rower widzę w oknie na piętrze jej głowę. Wyjeżdżam. Trzeba będzie jeszcze poszukać okazji!

Dnia 29 maja 1942 roku, piątek. Jest nowa!!! Przedwczoraj była p. Tatiana⁴⁰¹. U mnie jest miód do sprzedania. Ma wziąć kilo sobie i być może jeszcze jedno, co do którego jeszcze nie wiedziała na pewno. Trzeba więc dowiedzieć się. Pojechałem. Byli wszyscy w komplecie. [...] Żenia wybiera się dziś na wieś. „Szkoda — powiada p. Anna — że nie umiesz jeździć rowerem. Tak byś pojechała, a tak trzeba iść”. Słowo po słowie i doszło do tego, że podjąłem się nauczyć ją jeździć. Ale kiedy? W niedzielę? Powiadam, że mnie nie będzie. Będę w Leśnikach. Proponuję poniedziałek albo wtorek. „Dobrze”. [...]

Byłem w budzie. Tam już nic nie ma. Było kilku malców. Pograliśmy w szachy i poszliśmy do domu. Ciepło jest już.

Dnia 30 maja 1942 roku, sobota. Rano przyjechał Niewiarowski, z którym ma jechać do Leśnik ciocia Wiera. Jutro czy też dziś jeszcze. Jerzy bierze cywilny ślub w Trokach. Ja w budzie nie byłem. Bo i czego. I tak nic już tam nie ma. Leśniki: Przyjechałem do domu. Pod wieczór pojechaliliśmy do Trok z Tatusiem. Czekaliśmy do pół do dziesiątej na Jerzego i nie doczekaliśmy się go. Pojechaliliśmy rowerami ścieżką. Tala jechała z tyłu koniem i na rogatce spotkała Jerzego, który jechał z Leśnik przez Bobórkę. Zabrała go więc i przywiozła do Leśnik. Po kolacji więc założono radę. Otóż jutro prawdopodobnie odbędzie się ślub cywilny. Kościelny⁴⁰² ma być w końcu lipca, wesele w Leśnikach. Już uchwalono drużbę i gości. Ja będę z Żenią, zdaje się w drugiej parze. Fajno jest, chociaż wolałbym w pierwszej. Ale mniejsza z tym. Gdzie — nie robi różnicy. [...]

Dnia 31 maja 1942 roku, niedziela. Pojechaliliśmy na rowerach do Trok. Młodzi i ja. Sekretarz obiecał dać dziś ślub. Około godziny dwunastej poszliśmy do Magistratu. „Poszliśmy” — to znaczy: młodzi, świadkowie w osobach wuja Michała [Firkowicza] i cioci Leny oraz ja z Julusiem jako eskorta. I nic tam nadzwyczajnego nie było. Sekretarz, Litwin, z mordą kabana, zapisał młodych imiona i nazwiska, to samo ze świadkami, wypisał

⁴⁰¹ Tatiana ze Szpakowskich Kobecka, córka Michała (1873–1957), „Tatiana Michajłowna”, babka Żeni.

⁴⁰² Chodzi o ślub w kienesie.

metrykę, wciągnął do jakichś ksiąg i koniec na tym. Wyszliśmy stamtąd. Nie mam już siostry Pileckiej — mam Kobecką. Potem przyjechał koniem Tatko. Ja z Julem pojechaliliśmy rowerami. Młodzi i świadkowie piechotą. Tatuś zaś zabrał babunię Kamilę, wuja Garę i Abkowiczów (ciocia Natasza mieszka obecnie w Trokach, dziś zaś przyjechał wuj Rafał). Wszyscy przywalili się do Leśnik. Około siódmej wyjechałem z Jurkiem do Wilna. Ja z transportem wieprzowiny, on z połamaną ośką w przednim kole. Musiał od Waki drałować piechotą, przyszedł około północy.

Dnia 1 czerwca 1942 roku, poniedziałek. Com się nalatał z tym mięsem — trudno opisać. Było ono przez kilka dni w piwnicy, dziś zaś ciepło bardzo. Do Karaimów z nim nie pójdziesz, a Polaków mało znam. Latałem więc jak wariat. Z początku brałem po 180 rb., potem jednak, koło południa poczęło pachnąć. Musiałem więc ustąpić trochę. Nareszcie opchnąłem. Razem przeszło dwa tysiące. Dziś wszak poniedziałek. Pamiętam odpowiedź: „Dobrze”. No więc jadę około czwartej. Zachodzę do mieszkania, witam się. Pani Anna powiada: „Tylko co pomyślałam: ot obiecał i nie przyjechał”. Siadam. Trzeba trochę poczekać. Żenia wkłada zamiast klumpi pantofle i wychodzimy. Opuszczam siodełko, podnoszę ster⁴⁰³, sadowię ją na rower, chwytam z tyłu za bagażnik i — ruszamy. Opornie to na razie idzie. Co krok, to na bok. [...] Jeździliśmy tak do wieczora. Pod koniec mogła już jechać sama, chociaż raz wyszło niefortunnie. Zawaliła się na żwirze i uszkodziła kolano. Jeszcze raz przejechała się, potem poszła do domu. Powróciła z obandażowaną nogą. Więcej już nie jeździliśmy. Zaszedłem jeszcze do mieszkania. Potem pojechałem. Po drodze zajechałem do Miszki. Ten siedzi w mieszkaniu sam, bo wuj w Trokach. [...]

Dnia 2 czerwca 1942 roku, wtorek. Znowu jadę na lekcję. Dziś idzie już lepiej. Żenia jeździ sama, trzeba ją tylko posadzić na rower. Ponieważ jeździ po ulicy, muszę więc wszystko jedno chodzić z końca w koniec. Chciałem więc nauczyć zakręcać na ulicy. W tym celu biorę za bagażnik i przytrzymuję. Czasami wychodzi, jednak bardzo rzadko. [...]

Dnia 3 czerwca 1942 roku, środa. Pojechałem rano do budy. Tam nic nowego. Niektórzy profesorowie wydali swoim klasom świadectwa i zakończyli rok. Nasz wychowawca taki łamawik⁴⁰⁴, że nawet nie trudzi się przyjść do szkoły. Ze względu na to, że pożyczam Markowi rower, pojechałem na Zwierzyniec wcześniej. Dziś miałem trochę mniej biegania. Jeździ już sama, sama też już siada. [...] Inaczej jakoś czuję się przy Żeni,

⁴⁰³ Ster — kierownica.

⁴⁰⁴ Łamawik — łamaga.

nizeli przy tak kimś. To znaczy inaczej pod względem prowadzenia rozmowy. Jeszcze z czasów wesela Lusi pozostało „panna Żenia”. Trochę to wprawdzie zaciera się już, ale rzadko mówię per ty. Gdy chcę powiedzieć „Czy nie zmęczyłaś się?”, mówię „A jak tam ze zmęczeniem? Bardzo wielkie?”. Jakiś dziwny styl. Może właśnie dlatego trudniej idzie rozmowa, niżeli np. z Tamarą⁴⁰⁵. Trzeba skończyć z tym. [...]

Dnia 4 czerwca 1942 roku, czwartek. Żłób z Marka. Przyjechał dopiero około czwartej. Od razu pojechałem na Zwierzyniec. Dziś to już nie biegałem. Żenia sama jedzie, sama siada, sama zsiada. Ja ulokowałem się przy młynie i w czasie, gdy Żenia jechała w drugi koniec ulicy, siedziałem lub przechadzałem się nad stawami. Uroczy jest ten młyn! Gdy wracała, kilka minut odpoczywała. Wówczas rozmawialiśmy. [...] Od początku wojny nie była w Trokach. Mówi, że chciałaby zobaczyć je, ale chyba nic z tego nie wyjdzie. Proponuję swe usługi i ramę rowerową. Tak jakby żartem. [...] Ale czas szybko leci. Trzeba już wybierać się. [...] Gdy przyjechałem do domu, żartują: „To może odwalimy za jednym stołem?”. Nie wiem, jak to do nich doszło. Chyba może Jul?

Dnia 5 czerwca 1942 roku, piątek. Mając okazję i kilka orderów⁴⁰⁶ na kupno materiałów, wybrała się Mama do Wilna. Wróciła wieczorem, razem przyjechał Miszka. Był dziś w budzie, potem szukali wychowawcę w mieszkaniu i nic. Jest w Wilnie, ale do szkoły nie przychodzi i w domu nie zastali go. Tak i nie wiemy, czy potrzeba nam pracować na roli, jak innym szkołom, czy nie.

Dnia 10 czerwca 1942 roku, środa. Tatuś chciał, abym szedł kiwać do tartaku, tak jak w zeszłym roku. Mi się to nie bardzo uśmiecha. Iść tam i pracować za pół kilo chleba dziennie — nie warto. Mam lepsze plany. Nie wiem tylko, czy nie pogruchoce ich policja litewska. W dzisiejszych czasach rower to majątek. Siadłem nań, pojechałem do Trok, kupiłem tam $\frac{3}{4}$ cielaka na bagażnik i do Leśnik. Stąd wybierałem się do Wilna. Jednak musiałem do wieczora siedzieć w domu, bo myślałem, że będę miał okazję na samochód. Wolę jechać maszyną ze względu na towar, gdyż tak łatwo można wpaść w ręce policji. W końcu jednak pojechałem rowerem i na szczęście nie spotkałem ani jednego policjanta. Udało się.

Dnia 11 czerwca 1942 roku, czwartek. Od rana począłem targować. Około południa spuściłem mięso. Myślałem jednak, że będzie lepiej. Płaciłem po 60 rb., sprzedawałem po 80-90. Teraz, w ostatnich dniach spadła

⁴⁰⁵ Tamara Poziemska (1924–1970), córka Jakuba Poziemskiego, siostra „Piziutka”.

⁴⁰⁶ Order — tu: zamówienie.

cena na produkty żywnościowe. Przedtem było po 100-110. Rano, z mięsem jeszcze chodziłem na Zwierzyniec do Kobeckich. Obiecałem, że przyjadę pod wieczór na „lekcję”. Kupiłem łańcuch do roweru i pojechałem. Żenia była w domu. Pojechaliśmy. Jeździ już całkiem dobrze. [...] Jeszcze przed „lekcją”, gdy siedziałem i czekałem na Żenię przebierającą się do drogi, pyta p. Anna, gdzie będzie wesele. Odpowiadam, że w Leśnikach. „Szkoda. Tak i my poszlibyśmy zobaczyć, a w takim razie nie uda się”. Mówię, że to nic strasznego, że można i do Leśnik pojechać. „A nie, to już nie uda się. Żenia chciała szyc sukienkę, ale już chyba nie będzie”. O naszych planach na wesele nic nie mówię. Bo i po co? Nie moja rzecz. Nie wiem tylko, może tam ciocia Wiera szepnęła coś p. Tatianie [...]. Dostałem od Jerzego jedną błonę, jeszcze za rower. Chciałem ją od razu wykorzystać, ale aparat pożyczili „bursacy”. Jutro jadę już do domu. Kupiłem trochę materiału i nici na handel.

Dnia 13 czerwca 1942 roku, sobota. Pojechałem do Trok do *kiensa*. Potem, po obiedzie — szmen. Znudziło się już to. Co sobotę idą do *midrasz*, siadają przy stole i rzną przez kilka godzin. Aż hadko, tacy *kartiożniki*⁴⁰⁷. Ja, gdy jestem w Trokach, dotrzymuję im towarzystwa. No bo i co robić? Po prostu można w tej dziurze pęknąć z nudy. Te kilka starszych roczników mają przynajmniej odpowiednie koleżanki. My — nie. Albo szmen, albo siatkówka. Częściej to pierwsze.

Dnia 15 czerwca 1942 roku, poniedziałek. Wybrałem się z Izaakiem Jutkiewiczem na Litwę. Jedziemy rowerami. Mamy trochę materiałów, które chcemy mieniać na tytoń. Wstałem o trzeciej. U Izaaka⁴⁰⁸ byłem po czwartej. Dopóki wybrał się on, była już chyba piąta. Siadamy na rowery, naciskamy pedały i suniemy. Droga jest dobra, wiatr z tyłu. Jedziemy bardzo dobrze, zbytnio nie spiesząc się. Odwalamy około piętnastu kilometrów. Dojeżdżamy do byłej granicy polsko-litewskiej. Granicą jest właśnie droga, po której jedziemy, po jednej stronie pola — polskie, po drugiej wysoki, świerkowy las — litewski. Ciągnie się tak przeszło kilometr. Kiedyś chodziły tu warty polskie i litewskie, przekradali się przemytnicy i szpiedzy, po prostu była tu granica, niezbyt zaprzyjaźnionych ze sobą państw, dziś jest pusto. Czasem przejdzie jakaś furmanka lub rowerzysta-przemytnik. Rower szybko sunie. Za każdym obrotem pedała pięć metrów przestrzeni ucieka w tył. Gdy obrócę głowę do tyłu, widzę uciekający spod koła trakt, drzewa i zboże. Zjeżdżamy z góry, potem pod mniejszą górkę. „Gra-

⁴⁰⁷ *Kartiożniki* — ros.: karciarze.

⁴⁰⁸ Mieszkał w Zazdrości.

nica” — krzyczy Isaczka. Więc już jesteśmy na terytorium dawnej Litwy. Rubikon przekroczony. Jedziemy tak z kilka godzin. Kraj bardzo górzysty. Same góry i doliny. Między górami stoją gdzieś tam stare chaty. Mimo że zboże jest na ogół ładne, chaty nie są wcale lepsze od naszych, polskich. Wcale też nie widać, żeby rolnik żył tak bardzo bogato, jak to niektórzy opowiadają. Nie wiem, może tam dalej, ale tu — słomiane strzechy. Wysoki Dwór minięty i jeszcze ze dwadzieścia kilometrów. Poczynamy pracę. Zostawiamy u pewnego Litwina rowery, bierzemy worki na plecy i idziemy. Przechodzimy w bród jakąś rzeczkę i poczynamy chodzić od chaty do chaty. Ja spełniam rolę tłumacza i zachwalacza. Mało kto umie tam po polsku. Czy może tylko nie chcą mówić — nie wiem tego. W każdej chacie pytam, czy jest tytoń. Potem dodaję, że mamy trochę materiałów, jedwab, perkal itd. Najczęściej Litwini rzucają się oglądać, ale potem odchodzą bez niczego. Albo za drogo, albo w ogóle nie mają tytoniu. Wreszcie wymieniliśmy. Wypiliśmy u jednej mleka z bułką (jedzą, chamy, białą, pszenną bułkę), przeszliśmy rzeczkę i wróciliśmy do rowerów. Tam odważyliśmy tytoń, który się od nich należał, zjedliśmy jajecznicę, załadowaliśmy bagaż i w drogę. Dostałem 3,5 kg tytoniu, a wiozę 12 kg, bo u Isaczki nie ma bagażnika. Pełny wór. Z powrotem jednak trudniej. Po pierwsze — bagaż, po drugie — pod wiatr, po trzecie — droga ciągle pod górę. Wysoki Dwór omijaliśmy. Nałożyliśmy ładnych kilka kilometrów po lichej leśnej drodze. Sam piasek i góry. Około ósmej dotarliśmy szczęśliwie do Zazdrości. Odpocząłem trochę i jazda do domu. Czuć, że odważyło się ze 130 km. Szczególnie w kolanach i łydkach.

Dnia 17 czerwca 1942 roku, środa. Talka miała jechać do Wilna samochodem, chciałem więc przez nią posłać tytoń. Ona się jednak spóźniła. No więc tytoń z walizki do worka i na bagażnik. Jedziemy z Talą do Wilna. Dojechaliśmy szczęśliwie. Nikt mnie nie zaczepiał. Dowiedziałem się od cioci Wiery, że już wczoraj przychodzili dowiadywać się ze Zwierzyńca, czy nie przyjechałem. A więc biorę do kieszeni kilka liści i jadę tam. Zastaję tylko Żenię wiążącą⁴⁰⁹ jakiś sweter. Więcej nikogo. Ach, przepraszam — jeszcze piesek zwany Norką. Pani Anna poszła z Irą⁴¹⁰ na wieś, p. Tatiana w mieście, Jurka⁴¹¹ także nie ma. Jesteśmy tylko my. Żenia opowiada wszystkie wileńskie nowiny. Że latają w biały dzień sowieckie samoloty (ktoś tam sam widział czerwoną gwiazdę), że Litwini uszczelniają okna w obawie nalotów gazowych i mnóstwo innych. [...] Proponuję jej prze-

⁴⁰⁹ Wiazać — z ros.: robić na drutach.

⁴¹⁰ Irena Kobecka (ur. 1929), córka Michała, siostra Żeni.

⁴¹¹ Jerzy Kobecki (1928–1989), syn Michała, brat Żeni.

jażdżkę na rowerze. Nakłada płaszcz i wychodzimy. Ona siada i jedzie, ja zaś wolno idę na uliczkę, po której zwykle jeździ. Dziś już nie zadowolili się nią. Pojechała na dalsze. Już po dziewiątej wróciliśmy. Zaszedłem jeszcze do mieszkania. Jurek już był, p. Tatiana zaraz przyszła. Reflektuje na kilo tytoniu.

Dnia 18 czerwca 1942 roku, czwartek. Nalatałem się z tym tytoniem do syta. Nie opłaca się wozic go do Wilna. Myślałem, że wezmę drożej niż w Trokach, ale nie. I trzeba jeszcze latać i szukać nabywcy, i trzeba robić cioci kłopotu i strachu. Chciałem jechać dziś do domu, ale nic nie kupiłem. Mam forsę i nie mogę dostać materiału. Kupiłem nici i pończochy. Trzeba więc nocować. Jadę na Zwierzyniec. Ona jeździ, ja siedzę koło młyna. Jest cudny wieczór po deszczu, tylko że za zimny.

Dnia 21 czerwca 1942 roku, niedziela. Jadąc do Trok, zajechałem do Halusi. U niej „nic nowego”. Tak się przynajmniej zdaje. Tak samo jak rok czy dwa lata temu, stoi biały krzyż z tabliczką, tak samo słońce suszy kwiaty i ziemię, na której stoją w dzbanuszkach. Są posadzone jakieś, ale bardzo wątłe na razie i małe. Zdawać by się mogło, że nic się nie zmieniło. A jednak jak dużo. Gdy rzucisz okiem wokół, można spostrzec nowe mogiły, których kiedyś nie było. Czas robi swoje. Przesuwają się godziny, a każda za sobą coś niesie. Mimo że tu oprócz krakania wron nic prawie nie słychać, czas ciągle coś niesie nowego. Tu zaś cicho, jak dawniej. Przechodzisz koło mogił, patrzysz na nie, czasem nawet tabliczkę przeczytasz, ale tak to na ogół obojętnie. A przecież każda z nich zawiera tyle historii. Niejedna nie mniej może od tej, nad którą rozpościera ramiona krzyż biały. Ale co to może kogo obchodzić! Każdy myśli o sobie, czasem jeszcze o kimś, a reszta — *naplewat*⁴¹². Tak już skonstruowany ten świat. Trudno.

Ile razy Jerzy przyjeżdżał do Trok czy Leśnik, tylekroć coś mu nawalało w rowerze. Tak też i dziś. Zgubił wężyk od pompki, a że dętka nachalnie spuszcza, więc nie mógł jechać na nim do Wilna. W tym czasie podkręciłem się ja. Pożyczyłem mu swój rower. Obiecał mi wykombinować siodełko, bo na moim wprost nie sposób jeździć. Niech popróbuje, co za smak, to może prędzej będzie miał lepsze. Ja zaś na jego rowerze kiwałem się do domu. Więcej tam było pompowania, jak jechania. Dla siodełka i to warto.

Dnia 27 czerwca 1942 roku, sobota. Poszedłem do Trok. Poszedłem, bo nie mam na razie na czym jeździć. Miszka pojechał jakoś na rowerze Jerzego do Wilna i miał wrócić na moim, ale jakoś nie widać go. Ja cały tydzień przesiedziałem w domu, nigdzie nie mogliśmy się wybrać. Mie-

⁴¹² *Naplewat* — ros.: napłuć, w znaczeniu: mieć w nosie.

liśmy jechać koniem po pszenicę, ale jakoś nic nie wyszło. Isaczka zajęty swymi szynkami, które wozi do Wilna, bo mogą się popsuć, ja zaś sam nie mogłem jechać, bo nie miałem roweru, a także i dlatego, że samemu niezbyt dobrze. On zawsze lepiej zna wszystkie dróżki, aby w razie natknięcia się na policję można byłoby skutecznie najazd. I w ogóle mało co może być w takiej drodze! Muszę więc czekać na niego i tymczasem siedzę na ogrodzie i pielęgnuję grzędę. Też zajęcie. Wolę jednak odwalać 130 km dziennie niż siedzieć na grzędzie. Przesiedziałem w Trokach do wieczora i Miszki nie doczekałem się, mimo że miał dziś przyjechać. (Według informacji tych, którzy go wczoraj widzieli).

Szmen kwitł. Przesadziłem⁴¹³ około 150 rb. Trzeba już jednak z tym kończyć. Lepiej począć grać w gry więcej myślane, a mniej azardowe⁴¹⁴.

Dnia 4 lipca 1942 roku, sobota. Byłem w Trokach, dziś już na rowerze z porządnym siodełkiem. We środę byliśmy z Izaakiem na Litwie pod Jezną. Chodziliśmy po chatach, wreszcie namacaliśmy Litwiaka z tyto-niem. Izaak zepchnął swój towar i ja część swego. Potem myślałem, że pojedziemy jeszcze szukać, ale on nie. Koniecznie do domu! Przywiozłem tylko 4 kg i połowę towaru. Tytoniu jeszcze nie sprzedałem — doprowadziła mnie Raja Łopattówna⁴¹⁵, która przez dwa dni zwodziła, że weźmie tytoń, a potem obejrzała się, że nie ma pieniędzy. Tfu, z takimi kupcami. Dziś wziąłem trochę na komis, bowiem wybieramy się znowu. Tym razem koniem, bo chcemy kupić pszenicy. Idę na noc do Zazdrości, bo chcemy wcześniej jechać.

Tala miała na swej służbie istne piekło. Pracowała ostatnio w punkcie kartkowym. Punkt jest dosłownie oblężony przez tłum, który krzyczy, domaga się, nawet łączy się z urzędnikami. Po długich mękach została dziś Tala zwolniona. Nareszcie kończą się narzekania.

Dnia 5 lipca 1942 roku, niedziela. Pod Jezną. Po całodziennym wałęsaniu się po Litwie wylądowaliśmy wreszcie u pewnego Litwina na nocleg. Wyjechaliśmy o szóstej rano. Mamy dziś pierwszy ciepły dzień, prawdziwie letni, w tym roku. Posuwaliśmy się z szybkością 7 km/godz. po trakcie. Ciepło, słońce grzeje, tak że nawet nie jest tak źle na wozie. Jeździłem już dwa razy tędy, ale dopiero dziś mogłem porządnie przyjrzeć się krajobrazowi, przedtem bowiem więcej musiałem uważać, żeby nie popaść na jakiś kamień, co by mogło spowodować nawalenie dętki, niż puszczać spoj-rzenia w dal. Same góry. Kraj tak pofałdowany, że ciągle tylko zjeżdża się

⁴¹³ Przesadzić — przepuścić, przegrać.

⁴¹⁴ Azardowe — z ros.: hazardowe.

⁴¹⁵ Raisa (Raja) z Łopattów Zajączkowska (1897–1956), córka Szymona.

z góry i z powrotem się na nie wdrapuje. Gdy z jakiejś większej góry zobaczysz w dół, to dojrzysz falujące łąny zbóż. Tu, bliżej, koło Wysokiego Dworu, jeszcze nie tak, ale tam dalej — zboże jak na pokaz. Gdy człowiek wejdzie weń, schowa się z głową, Litwa, pachnąca chlebem, Litwa sypiąca zbożem. Jeno lud nie wart jest tej ziemi! Gdzieniegdzie, w miarę polepszania się ziemi coraz większe i porządniesze, stoją poprzylepiane do zboczy gór chaty. Wreszcie, ominąwszy Wysoki Dwór i Stakliszki, poczęliśmy poszukiwania pszenicy. Jeden chciał na zamianę po 1800 rb. za centnar i tylko na wymianę. Izaak nie wziął. Ja potem po namyśle wróciłem — i już pieron nie oddał. Gdy byliśmy tu pierwszy raz, chciał po 1500 na pieniądze. Potem jeździliśmy od chaty do chaty i wypytywaliśmy, ale nikt nie ma. Jeden miał, ale chciał 2000. Wreszcie koń ledwo ciągnął się. Zajechaliśmy tam, gdzie braliśmy zeszłym razem tytoń i tu będziemy nocować.

Wieczorem przychodzili tu sąsiedzi. Jeden z nich mówił, że jakich 35 km w stronę Olity jest tytoń [tańszy] o połowę niżli tu. Trzeba będzie tam się wybrać. Tu nic nie wychodzi. Z tytoniem także. Takiej ceny jak my chcemy, nikt nie daje, tytoń liczą po 1200, podczas gdy w Trokach rzadko taką płacą, zaś ceny materiałów doskonale znają. (Jest stąd około 40 km do Kowna.)

Dnia 6 lipca 1942 roku, poniedziałek. Pod Wysokim Dworem. Dziś było prawie to samo co wczoraj. Wstaliśmy o piątej i pojechaliśmy dalej, przez rzekę do Podreżyszek. Tu postawiliśmy konia i znowu na poszukiwania. Chodziliśmy z workiem od chaty do chaty i nic. Wszystko wypompoowało Kowno. Odległości między zagrodami po kilkaset metrów, tak że w nogi zaszło. Ciągłe te same pytania: *Ponas, gal turit' kvečiu parduoti?* „*Ne.*” „*O gal tabaką. Gal pameinit' norite?*”⁴¹⁶. Wówczas on wypytuje, co i jak daje nam śmieszną cenę, czasem dla nas na stratę. Wreszcie dostaliśmy z wielkim trudem centnar za 2000 i jedziemy z powrotem. Stoimy właśnie w lesie pod Wysokim Dworem i karmimy konia. Izaak leży na trawie, ja na wozie. Jeszcze 30 km. Już odjazd. Godz. 15⁵⁵.

Leśniki. Dojechaliśmy szczęśliwie. Ostatnie 15 km od byłej granicy, było bardzo wesoło. Izaak opowiadał swe przeżycia w wojsku i miłości.

Dnia 7 lipca 1942 roku, wtorek. Pojechałem do Trok. Tytoń mój odesłany jest do Malowanki, ale pieniędzy jeszcze nie ma. Tymczasem malcy zrobili „trampolinę”. Potem dobrze z niej poskakaliśmy. Wieczorem znowu jeździłem, bo Simka Juchniewicz miał być w Malowance. Przyjechał i przywiózł z powrotem tytoń. W Trokach dają mi po 700. Żeby ta cała Raja

⁴¹⁶ Właśc.: „*Ponas, gal turit' kvečiu parduoti?*” „*Ne.*” „*O gal tabakos. Gal pamainyt' norite?*” — lit.: Proszę pana, może ma pan pszenicę do sprzedania? Nie. A może tytoń. Może chce się pan zamienić?



Od lewej: Adolf Tynfowicz „Awuncik”, Sławek Pilecki, Michał Firkowicz, Michał Abkowicz, Romek Firkowicz. Troki, lipiec 1942 r.



Autor z Michałem Abkowiczem na trockim jeziorze.



Izaak Jutkiewicz „Isaczka” z Talą, lipiec 1942 r.

zamordowała się, tak mię podprowadziła. Tak bym dawno go sprzedał. Teraz cena na tytoń pada. Nie ma forsy i nie ma handlu. Chciałem jechać do Wilna, ale bez pieniędzy nie ma po co. A stęskniłem już za Żenią i tym uroczym młynem. Dziś przez dłuższy czas siedział u nas Izaak. Robiliśmy zdjęcia, bowiem ja mam obecnie pożyczoną Leicę⁴¹⁷. Idę dziś na noc na pole pilnować koniczyne, którą niektórzy kradną w nocy.

Dnia 9 lipca 1942 roku, czwartek. Wczoraj na rynku sprzedawali Jutkiewiczze tytoń. Ja ze swoim nie poszedłem. (Mój bowiem też jeszcze nie sprzedany.) Dziś byłem w Trokach. Myślałem, że znajdę amatora, ale nie ma. Zrobiliśmy więc kilka zdjęć i jadę dziś do Wilna z tytoniem. Może tam pójdzie lepiej.

Dnia 10 lipca 1942 roku, piątek. Zatrzymałem się na Tartakach, tytoń zostawiłem u wuja Rafała, aby cioci i Lusi nie napędzać strachu. Począłem handel od Poziemskiego⁴¹⁸. Kupiec w rodzaju cioci Raji. Patrzył, patrzył, wąchał, chuchał, palił i ostatecznie zawyrokowawszy, że dobry tytoń, dał po 800 rb. Śmiech z takich kupców! Pojechałem do Kobeckich. Zawiozłem parę listków. Żenia, która właśnie tylko co wstała, miała iść komuś tam za-

⁴¹⁷ Leica — marka aparatu fotograficznego.

⁴¹⁸ Jakub Szymon Poziemski (1979–1956), syn Józefa, *szammasz* wileński.

proponować. Odpowiedź na dwunastą. Pojechałem jeszcze do jednego. Też wzięłby. Jednym słowem tytoń do wieczora sprzedałem, ale nie wszystek. Połowa została, bo są to same badyle. Litwin nas oszukał. Pod wieczór pojechałem do Żeni. Znowu poszliśmy, a raczej ja poszedłem pod młyn, a ona jeździła. Mam ze sobą aparat. Chciałem zrobić kilka zdjęć. [...] Przy młynie, potem nad Wilią, potem poszliśmy na most strategiczny⁴¹⁹. Rozmowa lepiej już idzie, jak przedtem. Mówię do niej *per* ty. Opowiadałem jej o swych podróżach na Litwę, ona mnie o życiu w Wilnie. Miałem zamiar jechać dziś do domu, ale z powodu fotografii i miłej rozmowy pozostanę jeszcze. Dziś nie zdążyłem. Umówiliśmy się na jutro, gdy będzie ładna pogoda, zrobić kilka zdjęć na łódce i w Zakrecie. Gdy już miałem jechać, przyszła jakaś pani, chcąc tytoń. Ale gdy go zobaczyła, spasowała. Kobiecey byli na tyle uprzejmi, że podjęli się te badyle pokroić i potem komuś zepchnąć. No więc w porządku. Jadę na Tartaki.

Dnia 11 lipca 1942 roku, sobota. Poszedłem na *tiefinla*. Pogoda ładna, słoneczna. Dużo sobie obiecywałem po dzisiejszych zdjęciach. Miałem iść po południu. Ale... Jak na złość po południu zaczął padać deszcz. Przyszła jak raz p. Tatiana i powiada, że Żenia wyszła do miasta i wracając, zajdzie. No więc w braku zajęcia lepszego grałem z Jerzym w szachy, sunąc mata po macie. Nie rozumiem, co się z nim dziś stało. Tak łatwo daje się. A deszcz ciągle pada. Już po siódmej. Idziemy na Zwierzyniec. Żeni jeszcze nie ma. Jurek, jej brat, pokazuje mi swoje znaczki pocztowe. Wreszcie przychodzi ona, a po pewnym czasie p. Anna. [...] Zatrzymałem się znowu na tyle, że jechać już nie było jak, czego i nie bardzo pragnąłem, bo po deszczu będzie pełno wody.

Chciałbym być na Tali weselu w pierwszej parze i to nie tyle z powodu siebie, ale jej. Ona na pewno wolałaby być w pierwszej. Ale jeszcze nic pewnego. Może i będę. Jeszcze wszak cztery tygodnie. (Wesele ma być 9 sierpnia.)

Dnia 12 lipca 1942 roku, niedziela. Do domu przyjechałem około drugiej, bo związałem się z Marcinem Łopatto, któremu ciągle psuł się rower. Wreszcie koło Waki zostawiłem go, bo mu pękł łańcuch. Został na drodze prawić go. W domu zastałem Miskę i Jula. Ten ostatni musi jutro stawić się w *Sozialamcie*⁴²⁰, chce więc pożyczyć rower. Dałem mu, chociaż ciągle sobie obiecywałem, że nie będę pożyczając, bo rowerowi to niezbyt zdrowo.

⁴¹⁹ Drewniany most dla pieszych na Zwierzyńcu w kierunku Ponar.

⁴²⁰ *Sozialamt* — niem.: urząd socjalny.

Dnia 13 lipca 1942 roku, poniedziałek. Pod wieczór przyjechał Isaczka na tartak po deski. Potem koń pojechał do domu, a on zaszedł do nas zabrać sobie szczeniaka. Gdy on zachodzi, rozmowa zaraz schodzi na temat wesela. Tak było i dziś. Często-gęsto mówi się o drużbie. Ciągłe nie mogą się zdecydować nad pierwszą parą. Czy ja i Jul, czy Izaak i Włodek⁴²¹. Izaak rzeka się na moją korzyść, ale na razie rozstrzygnięcia nie ma. Dziś poczęli mówić w ogóle o weselu, a raczej o przyjęciu i ślubie. O ślubie, bo dziwiątego ma być jeszcze jeden — „Paderewskiego”⁴²², który chce zrobić swój wcześniej. Nam więc przyszłoby czekać, aż oni skończą. A ponieważ punktualność karańska jest znana, więc powstał projekt, aby naszym młodym ślub dał wuj Rafał bezpośrednio po ich ślubie. Na konto przyjęcia to już trochę gorzej. Tatuś podał projekt, żeby robić je u babuni Za Mostem. Izaak gorąco go poparł. Zaczęli nawzajem utwierdzać się w przekonaniu, że gdyby wesele było tu, w Leśnikach, to okolicami poczęliby szemrać i dochodzić źródeł, z jakich to Tatuś mógł czerpać dochody na przyjęcie tylu gości. (Jeżeli bowiem warunki się nie zmieniają, ma ich być sporo.) Oczywiście obiektem byłaby kasa leśnictwa. Mnie się to nie bardzo podoba. Wywozić wesele z domu i po co? Aha! Jeszcze jedno. Skąd wziąć tyle furmanek? To znaczy można ich wziąć, ale potem furmani będą sterczeć nad głową. Wiadomo wszak — chłop zawsze chłopem. Według mnie i z furmankami nie byłoby tak źle: Zazdrość, Malowanka, Ławrynówicze, Ropieje i jeszcze kilka i wystarczy. Co zaś do gadania okolicznych, no to niech sobie. Kto jest czysty, nie potrzebuje się obawiać tych języków. Klasyczny przykład — to Pietruškevicius z 1940 r. I tak poszliśmy spać około pierwszej, bliżsi do wesela w Trokach, nie w Leśnikach. Co do mnie, to ja osobiście gorąco pragnąłbym wesela w Leśnikach.

Dnia 16 lipca 1942 roku, czwartek. Szesnastego lipca stuknęło mi siedemnaście wiosen. Od dziś dnia osiemnasta. Kończyła się „swoboda”. Od dziś podlegam rejestracjom, wyjazdowi do Niemiec itd. Muszę też wybierać paszport. Myślałem, że uniknę tego, że wybiorę dopiero polski, ale nie! Ostatnio pojawiło się zarządzenie, że wszyscy 17-letni muszą do 1 sierpnia zaopatrzyć się w paszporty. *Nieko nepadarysi!*⁴²³ Będę miał na pamiątkę. Siedemnaście lat! To ostatecznie jeszcze niewiele, ale o wiele więcej niż czternaście czy piętnaście. Więcej nie tylko o te dwa czy trzy lata! Jeszcze dwa, trzy lata temu przedstawiałem sobie świat i ludzi o wiele inaczej niż

⁴²¹ Włodzimierz Zajączkowski (1914–1982), syn Józefa-Awji.

⁴²² Chodzi o ślub Michała Kapłonowskiego (1919–1994), syna Joachima z Anną Szpakowską (ur. 1924), „Niurą”, córką Mikołaja.

⁴²³ *Nieko...* — lit.: nic nie poradzisz.

dziś. Świat jak świat, ale ludzkość. Zdawało się mi, że człowiek żyje, aby innym pomagać, a przynajmniej nie szkodzić. W ciągu tych trzech lat przekonałem się, że bynajmniej tak nie jest. Więcej u ludzi jest złości i chęci wykorzystania niżli wspomaganie. Nie wiem, może wpływają na to warunki wojenne. Ileż obłudy, kłamstw, ileż tych zwierzęco-egoistycznych ruchów. Czasem taki mały, zdawałoby się, nic nie znaczący odruch, gest czy zdanie, a jak wiele w sobie zawiera. Okazuje się, że rzadko komu można wyświadczyć jakąś przysługę. Najczęściej za uprzejmość i dobre chęci płacą w ten sposób, że sobie potem zadajesz pytanie: po co to robiłem? Nie przeczę, spotykam i dziś jeszcze ludzi, jakby się zdawało, chcących w niepowodzeniu dopomóc, ale kto wie, może jutro czy pojutrze i tam będzie rozczarowanie. Życie to nie jest żart, czego własnym karkiem i własną pięścią nie przełamiesz, to zmiażdży cię i wbije w ziemię. Rzadko znajdzie się taki, który zechce cię usunąć spod padającej belki lub belkę na bok zepchnąć. Więcej o tym jest w nowelkach, wierszykach i książkach niżli w codziennym życiu.

Rano przyjechał Isaczka za interesami do Tatusia. Potem się zasiedział, został na obiad, przy którym z okazji osiemnastki rozdusiliśmy pół litra. Potem, po obiedzie Tatuś częstuje papierosem Mamę, Isaaka, potem podaje mnie. „Dziękuję, nie warto” — powiadam. „Bierz” — mówi Tatuś. Biorę. „Cóż — mówi Tatuś — rok za rokiem coraz większy”. Ech! Dosyć tego! Nie chcę się tu bardzo rozczulać. Szkoda czasu!

Dnia 6 sierpnia 1942 roku, czwartek. Ruch już na moc i potęgę. Mama z kilkoma pomocnikami z Trok piekłą się w kuchni od rana do nocy. Ja też nie mogę skarżyć się na brak zajęcia. Dziś jeździłem do Wilna. Miałem kilka spraw związanych z nadchodzącą niedzielą. Właśnie wracałem z miasta, gdy na rogu Tartaków zauważyłem Żenię. Po chwili i ona mnie zobaczyła. Przywitaliśmy się. Interesuje teraz wszystkich, kiedy będą furmanki. A będą w sobotę. Żenia ma przyjechać z matką i babką. Do domu jechałem z Miszkiem. Wieźliśmy na zmianę jeden drugiego. Dojechaliśmy tak do Landwarowa. Tam musiałem zostać, a on poszedł do Trok piechotą.

Dnia 8 sierpnia 1942 roku, sobota. Więc to już jutro? Tak, to już jutro. Dziś ostatnie przygotowania. Ustawiamy stoły, nosimy ławy. Młodzi pojechali rano do Trok. Ja w chwilach trochę wolniejszych zawzięcie przebieram nogami. Ma to być walc. Samemu coś wychodzi, ale jak to będzie na sali — nie mogę powiedzieć. Do Wilna pojechał koń. Nawet dwa, zdaje się. Jednego z nich oczekuję przez cały dzień. Wreszcie przyjechali około piątej. Była tam i Żenia. Przyjechali, trochę się pokręcili, przesiadli

się na drugiego konia i pojechali do Trok. Trochę później wybrałem się i ja. Napędziłem ich już w Trokach. Pojechałem naprzód, mam bowiem jeszcze zebrać trochę naczyń. Mieliśmy iść za most na forszpil⁴²⁴. Ale niestety! Zanim wybrałem się pójść po Żenię, forszpil już się rozleciał. Natomiast bawili się u p. Nowickiego⁴²⁵, gdzie piekli *reszatkalar*⁴²⁶ na tamto drugie wesele. Żenia tam poszła. Poszedłem i ja. Gra radio, pary tańczą. Żenia też. W czasie przerw wychodzi do przyległego pokoiku, gdzie sobie rozmawiamy. [...] Niestety, ta dziesiąta godzina wszystko psuje. Trzeba jechać do domu. Mam jeszcze ze sobą walizę z naczyńmi niepośledniej wagi.

Dnia 9 sierpnia 1942 roku, niedziela. I oto nadszedł dzień, tak przeze mnie oczekiwany. Oczekiwany jeszcze od Lusi wesela. Na razie jest dobrze. Jest Żenia i będzie ze mną w drugiej parze. Tak będzie jednak lepiej. Po co mamy być skrępowani jakimiś obowiązkami? W pierwszej jest Isaczok z Doktorówną⁴²⁷ i Sławek [Abkowicz] z Marianną⁴²⁸. Do Trok jadę rowerem. Zatrzymałem się najpierw przy cioci Soni. I... po chwili właśnie przyszła i Żenia. Potem spotkaliśmy się za mostem, na *kielieszmiaku*. [...] Potem ubieranie Jerzego⁴²⁹, z powrotem za most i jedziemy do kienesy. Żenia w różowej sukience, jakimś tureckim czepku na głowie i z bukietem kwiatów w ręku — to cudo! Biorę ją pod rękę i idziemy. W *kiensa* po prostu tłumy. Gorąco jest nieznośnie. Wreszcie wychodzimy, siadamy na wóz i jedziemy. Tym samym wozem jedzie Romuś [Zajączkowski] ze swą asystentką — Zosią Pilecką⁴³⁰, p. Anna i inni. Wiatr z tyłu, więc jedziemy cali w kurzu. Romuś oczywiście działa⁴³¹. Wreszcie przyjeżdżamy do Leśnik. Po oczyszczeniu się od kurzu siadamy za stół. Po prawej stronie Żeni siedzi Isaczka, potem jego dama. Często muszę odrywać się od stołu i lecieć do kuchni, przeto jakoś nie jest zbyt dobrze. Isaak ze swą asystentką też nie czuje się za dobrze. Wstajemy od stołu, nie czekając końca, mamy już

⁴²⁴ Forszpil — wieczór panieńsko-kawalerski.

⁴²⁵ Prawdopodobnie Józef Nowicki (1882–1937), syn Mojżesza, „Mojfiet”.

⁴²⁶ Reszetka — bułka weselna, ozdobny wypiek z drożdżowego ciasta (*-lar* — końcówka l. mn. w j. karaïmskim).

⁴²⁷ Nadzieja z Łopattów Pilecka (ur. 1924), córka Konstantego, później żona Gienka Pileckiego.

⁴²⁸ Marianna z Zajączkowskich Abrahamowicz (1925–1990), córka Izaaka, później żona Zygmunta Abrahamowicza.

⁴²⁹ Po uroczystości zaręczyn *kielieszmiak*, a przed pójściem do kienesy pan młody ubierany jest przez mężczyzn — kolegów i seniorów, udzielane mu są w tym czasie żartobliwe porady. Następnie prowadzony przez drużbów udaje się do domu, gdzie panna młoda ubierana jest przez kobiety, po czym cały orszak udaje się do kienesy.

⁴³⁰ Zofia z Pileckich Nowicka (ur. 1927), córka Michała Pileckiego, później żona Aleksandra Nowickiego.

⁴³¹ Tu: adoruje panny.

dosyć. Idziemy za tor na przechadzkę. W głowie czuć trochę krupnik. Potem stoły wyrzucono i poczęto tańczyć. Mimo długotrwałych treningów walcowych, po pierwszej próbie zrezygnowałem z niego. Pozostało tylko tango i foxtrot. Ale mimo to czuliśmy się, a ściślej mówiąc czułem się (o niej nie mogę tego powiedzieć, bo nie wiem) doskonale. Często przechadzaliśmy się, raz nawet dłuższy czas siedzieliśmy na kłodzie. Jednym słowem — romantycznie. Ona ciągle mówi na temat nauki. Ja bym wołał inny, ale trudno. Przekonałem się, że nie bardzo bezpiecznie, gdy Izaak począł jej chwalić urodę, mówiąc, że teraz Niusia [Nowicka] będzie Miss nr 2, a ona nr 1, nie został zbyt dobrze zrozumiany. Potem Żenia mi powiada: „Ależ on nudny”. [...] Czas od czasu wracamy na salę, aby przetańczyć kilka razy i znowu wychodzimy.

Dnia 10 sierpnia 1942 roku, poniedziałek. Niestety, czas sunie się szybko. Podano znowu do stołu. Tym razem tylko w jednym pokoju. Zasiadli tylko starsi. Drużba miała też być, ale póki doszła, miejsca już nie było. Dla nas miał być stół drugi. I tu właśnie wyszła cała heca: druga para w ogóle jeszcze nie wiedziała o tym, żeby siadać do stołu. Poszła tylko pierwsza. Usiadła przy stole zarezerwowanym dla Litwinów i... przez ciocię Lenę została wyproszona. Szczęście, że nas tam nie było. Przynajmniej nie potrzebowałem się czerwienić. Ale to nie koniec! Podczas gdy oni jedli, my siedzieliśmy w saloniku. Żenia i ja, potem przysiadł się Izaak i naprzeciw Żeni usadowił się Ośka [Poziemski, „Piziutek”], który przyszedł z tamtego wesela już trochę pod gazem. Co nie przysunie się do Żeni, to ta nogą odsunie krzesło. Pizia ze skóry wyłazi i nic. Potem poszedł po długich namowach wybijać czeczotkę⁴³². W tym czasie wyszedł Jerzy i po prostu zepchnął go ze sceny. Gdy poproszono młodzież na herbatkę, runęła cała lawina, szczególnie tych, którzy przyszli z tamtego wesela około północy. Były w pokoju trzy stoły. Nie wiedziałem, który miał być dla drużby. Żenia zaproponowała usiąść przy całkiem innym, jak musieliśmy. Obok siadł Ośka. Czekamy na herbatkę. Brak szklanek... Samowar nie gotuje się jeszcze. Ośka począł łapać i dusić muchy. Raptem Żenia wstaje i wychodzi zza stołu. Myślałem, że zaraz wróci, ale nie. Wychodzę i ja. Szukam ją długo, aż wreszcie znachodzę⁴³³ w sypialni siedzącą na łóżku. Poczynam namawiać do powrotu. Mówi, że z takim chamem w ogóle nie chce siedzieć. Myślałem, że znajdę inne miejsce, ale gdzie tam! Wszędzie oblepione. W tym czasie dano hasło do wyjścia. Puścił je Tatusz, któremu dopiekło zachowanie się tych nieproszonych gości. Z ich powodu musieli ucierpieć

⁴³² Wybijać czeczotkę — tańczyć.

⁴³³ Znachodzić — znaleźć.



Jurek z Talą, Troki 1942 r.



Jurek i Tala z rodzicami autora, Leśniki 1942 r.

i proszeni. Żenia poczęła szukać matkę. Już niektórzy wypili herbatę, szklanki były wolne. Żenia znalazła. Gdy teraz chcieliśmy wypić, poczęli przynaglać, matka z babką. Jednym słowem wyszło dziko. Wszyscy poczęli wychodzić. Ano, trudno! Poszliśmy. Ja poszedłem odprowadzić trochę. Gdy byliśmy na łączce, za ścieżką, wschodziło właśnie słońce. Cudny widok. Stali i zachwycali się. Doszedłem do rogatki. Potem wracałem w pełnych promieniach słońca. Spotkałem Miszkę. Mówi, że gdy my wyszliśmy, w sypialni zebrali się baby i już mię chcą żenić, tak zwróciłem swym dzisiejszym zachowaniem się ich uwagę: przez cały czas nie odstępowałem Żeni. [...] Czuję żal do cioci Leny. Jeszcze miesiąc temu, gdy gotowaliśmy krupnik, obiecała pół litra tegoż. Gdy przyszedłem po niego, zrobiła wielkie oczy: „Teraz? Może potem trochę”. Jakby wielką łaskę robiła. Całą noc malcy pili — ja nie, bo miałem obowiązki. Gdy wreszcie chciałem z malcami trochę się trącić, ona pyta: „Teraz?”. Mnie nie było, a jakiemuś tam Czesiowi z Wilna było, bo on miał beczelniejsze oczy i więcej prosił. Ot, i szukaj tu sprawiedliwości na tym świecie. Kto weźmie nachałem, to ma. Kto chce iść uczciwą drogą — ten zostaje fircykiem⁴³⁴.

Po kilku godzinach snu pojechałem do Trok. Niestety, już pojechały do Wilna. Spóźniłem się jakieś dwie godziny. Żenia mówiła mi, że z przyjemnością została by w Trokach na kilka dni, ale w domu jest roboty dosyć. „Miliony z nieba nie padają”. No więc pojechała. A taki dziś cudny dzień. Tylko na kajaku jeździć. Szkoda, ale trudno. Myślałem, że zrobimy sobie zdjęć, ale i z tego nici. Miałem dwie błony. Jul miał dostać aparat, ale chciał za to 12 zdjęć. Ja nie dałem, bo ostatecznie czy to moja rzecz starać się aparat na Jerzego ślub i płacić jeszcze za to. Potem przyszli pożyczać błonę. Jedną dałem, drugą zaś miałem zamiar wykorzystać potem sam. Jul wyprztykał wszystkie zdjęcia i przyleciał po błonę. Pytam go, co dla mnie. A on mi: dam 5 zdjęć. Obyś pękł! No i on chodził z aparatem, a ja z błoną. Mogłem mu przecież dając pierwszą błonę, postawić warunek, że potem dostanę do swej dyspozycji aparat. Myślałem, że mam do czynienia z ludźmi, tym bardziej swoimi. Okazuje się, że tak nie można. Gdy Julukowi trzeba było jechać do Wilna, pożyczałem mu rower bez targowania się. Gdy ja chcę zrobić kilka czy kilkanaście zdjęć, on mi stawia warunki. Tak, taki jest świat. Coraz bardziej odczuwam urazę do ludzkości. Każdy w swych egoistycznych zamiarach zapędza się aż do niemożliwości i śmieszności. [...]

⁴³⁴ Zostaje fircykiem — tu: nie jest poważnie traktowany.

Dnia 13 sierpnia 1942 roku, czwartek. Jerzy ma dziś ostatni dzień urlopu. Wybierają się więc do Wilna. Mają jechać koniem, na którym ja będę „furmanić”. Mieliśmy zamiar wyjechać zaraz po południu, ale od rana leje taki deszcz, że nie sposób o tem myśleć. Wreszcie około piątej wyjechaliśmy. Jerzy na rowerze do Landwarowa, potem ja przesiadłem się na rower, a on za furmana. Czas od czasu z góry padają krople. Pojechaliśmy od razu na Zwierzyniec, tam bowiem, u wuja Rafała mają się na razie ulokować młodzi. Gdy tylko zajechaliśmy, począł tak dawać deszcz, że strach było wyjść na dwór. A ja musiałem zająć się jeszcze koniem. Moje dzisiejsze zamiary wzięły w łeb na całym froncie. Zamierzałem przyjechać wcześniej rowerem i mieć możliwość spędzenia kilku chwil przy Moniuszki. Wszystko to przez ten deszcz, no i po części dlatego, że między Landwarowem a kaplicą⁴³⁵ pełniłem rolę łącznika między młodymi a wujem Rafałem, który jechał przed nimi, a na koniec popsuł się jeszcze rower. Tfu, z takim szczęściem.

Dnia 14 sierpnia 1942 roku, piątek. Do południa lało. Potem rozpoczęło się wypogadzać. Zanim przywiozłem z Tartaków łóżko, uporządkowałem miejsce postoj konia i przyszykowałem się do drogi, było już koło czwartej. Mam do Trok pasażerkę za 200 rb. Co to szkodzi? Przed samym odjazdem zjawiała się Żenia. Och! Niestety, musiałem już jechać i zresztą było dużo ludzi. Dowiedziałem się tylko, że na przyszły tydzień wybiera się do Trok.

Dnia 19 sierpnia 1942 roku, środa. Wybrałem się dziś do Wilna rowem. Wziąłem kartofli, chleba itd. i ląduję od razu na Zwierzyncu. Teraz mam przynajmniej porządniejszy zajazd. Bo tamten „śmierdzący katuch”⁴³⁶ na Tartakach zbrzydł mi już do szczytu. Młodzi urządzili się w pokoju niegdyś sympialnym. Urządzili się nawet dosyć dobrze. Mimo to, że Tala wyjeżdżając, przez cały prawie dzień płakała, potrafiła jednak urządzić się i gospodarzy nawet nie najgorzej. Właściwym celem mej dzisiejszej podróży było zrobienie operacji w nosie, która ma zażegnać mój chroniczny katar. Poszedłem więc do Czerwonego Krzyża, a tam mówią mi, że operować mogą w poniedziałek i trzeba sześć dni leżeć w szpitalu. Tego się przestraszyłem! Poszedłem wieczorem do Szalewicza⁴³⁷. Ten coś podłubał w nosie i powiedział przyjsć za tydzień. Zaraz po mym przyjeździe do Wilna wręczyła mi Tala karteczkę od Żeni, gdzie ta ostatnia prosi, żebym będąc w Wilnie koniecznie do niej zaszedł. Na ulicy spotkałem p. Annę. Zgodnie z ostatnim zarządzeniem zapisała się wraz z Żenią na roboty rolne. Na razie w *Arbeitsamcie*⁴³⁸

⁴³⁵ Kapliczka pod Wilnem opisywana przez Mickiewicza w „Powrocie Taty”.

⁴³⁶ Katuch — tu: kurnik, zagroda dla kur.

⁴³⁷ Włodzimierz Szalewicz, mąż Emilii z domu Pileckiej, lekarz laryngolog.

⁴³⁸ *Arbeitsamt* — niem.: urząd pracy.

powiedzieli czekać. No więc idę! Ciągle muszę sięgać do kieszeni po chusteczkę, bo po zabiegu Szalewicz z nosa strasznie kapie. Żenia w domu. Ktoś tam jest obcy, wychodzimy więc do drugiego pokoju. Tu trochę swobodniej. Projektujemy więc w ten sposób: ona pożyczycy u sąsiadów damski rower i pojedziemy jutro razem do Trok. Wreszcie bowiem zdecydowali, że Żenia przed pracą na roli i potem całozimową nauką musi przecież trochę „podaczować się”. Gdy przyszła p. Anna, wszystkie nasze plany rozleciały się. Powiada, że jest przeciwna wszelkim pożyczkom, zwłaszcza u takich wierzycieli, a że ja jeszcze na ulicy podjąłem się zawieźć Żenię rowerem, więc ostatecznie na tym stanęło. Jutro po południu wyjazd. [...] Wieczorem, starym zwyczajem, odsuwam⁴³⁹ z Jerzym kilka partyjek szachów. Ten ma w nowym mieszkaniu jedną niewygodę: za wysokie sufity. W ostatnich bowiem czasach swego pobytu na Tartakach, po obiedzie kładł się na kanapę i po prostu dosłownie pluł w sufit. Jemu tam też widać już zbrzydło. Chyba tylko ciocia Wiera mogłaby tam żyć jeszcze z piętnaście lat. Ano, niech żyje!

Dnia 20 sierpnia 1942 roku, czwartek. Przebywszy pół nocy w pociągu, a resztę na dworcu, przyjechał dziś rano Tatuś. Wybierał się do Wilna już od wiosny i wybrał się wreszcie, gdy zatęsknił za córunią. Ze wszystkich bowiem Leśniczan najbardziej chyba odczuwa jej nieobecność Tatuś. Ja zaś jadę rano do Bukiszek do szkoły rolniczej, tam, gdzie był Maniuk, a teraz ma podobno być nasz Romka. Potem pojechałem do swojej budy. Tam na razie pustki. Ma się rozpocząć 15 września. Można też składać podania do bursy. Trzeba będzie złożyć. W tym roku chciałbym mieszkać w bursie. Przynajmniej nie trzeba nikomu kłaniać się ani nikogo zbytnio obciążać. Gdyby nie przyjęli, trzeba by było kombinować jakoś z Talą. Bo do cioci Wiery bardzo bym nie chciał.

Było już koło siódmej, gdyśmy wybrali się do Trok. Przez strategiczny most, potem na Legionową i prosto do Trok. Przed sobą mam Żenię, za sobą worek. Jedzie się na ogół dobrze, pod góry idziemy. Z początku prawie nie rozmawialiśmy, potem zaś pod koniec rozgadaliśmy się na dobre. Za Landwarowem prawie się ściemniło, trzeba więc było dobrze uważać, żeby nie wpakować się gdzieś na kamień. Ładnie bym wyglądał w takim wypadku! [...] Dowiozłem ją prawie do szpitala. Dalej nie chciała, bo boi się plotek. „A — powiada — niech tylko zobaczy chociaż jeden Karaim, zaraz będą grzmieć obie gminy”. I ma rację.

⁴³⁹ Odsuwać — tu: rozgrywać.

⁴⁴⁰ Pałac Tyszkiewiczów w Zatroczu.

Dnia 21 sierpnia 1942 roku, piątek. Pojechałem do Trok. Jeździliśmy łodzią. Ona, Miszka i ja. Pojechaliśmy na zamek, potem do pałacu⁴⁴⁰, następnie aż za prom. Miszka spełniał sumiennie rolę reportera. Ciągłe sprawa w ruch migawkę aparatu. Zrobiliśmy kupę zdjęć. Żebyż tylko wyszły. Do domu wróciłem samym wieczorem. Mama poczęła mówić, że tak długo siedziałem, a w domu tyle roboty itd., itd. Może trochę i za długo, ale cóż zrobisz. Wszak trzeba było. Najgorsze to to, że Tatuś przyjechał z Wilna i od razu musiał iść na pole wozić żyto.

Dnia 22 sierpnia 1942 roku, sobota. Pojechałem oczywiście do Trok. Po drodze, zaraz za rogatką, zakręcił się w tylnym kole konus⁴⁴¹. Dociągnąłem rower do cioci Soni. Gdy zaszedłem do niej, ciotka już od progu poczęła oznajmiać: „Czy ty wiesz, czy wiesz!? Taka ładna panienka do Trok przyjechała i już trzy dni siedzi, a wy o niczym nie wiecie! Ot, gdzie duraki!”. Słucham sobie i myślę: „Kto durak, a ktoś sumasszedszyj”⁴⁴². No, ale idę do *kiensa*. Żenia już stoi przy schodach. Po *tiefinla* poszła od razu do domu. [...] Poszedłem za most, poczęstowali mię obiadem. I namówili, że właściwie łodzią jeżdżą już w sobotę⁴⁴³. [...] I znowu w towarzystwie Miszki jedziemy. Pojechaliśmy na Kariszok⁴⁴⁴. Mówię, że warto się pokapać. [...] Żenia pływa tylko tam, gdzie można dostać do ziemi. Namawiam, żeby zdobyła się na odwagę i popłynęła głębiej, ale nie chce. Czasem ją podtrzymuję. Miszka wreszcie skusił się także. Ale nie na długo. Zagniewał się za jakieś głupstwo, ubrał się i milczał jak mur. Pojeździliśmy jeszcze trochę i wróciliśmy do domu. Roweru nie udało się naprawić, musiałem więc drałować piechotą. W domu Mama znowu czyta mowę⁴⁴⁵. Co prawda, niezbyt to przyjemnie słuchać. Zapytałem, czy ostatecznie nie mogłem przez dwa dni posiedzieć w Trokach, że z tego powodu taka rewolucja. Trochę ucichło, ale sytuacja niemniej naprężona.

Dnia 23 sierpnia 1942 roku, niedziela. Dziś miodobranie. O Trokach ani marzyć! Do obiadu chodziłem razem z Tatusiem koło uli, a potem szedłem do wieczora tytoń. Pogoda po prostu cudowna.

Dnia 24 sierpnia 1942 roku, poniedziałek. Dalszy ciąg miodobrania po południu. Poszedłem więc do Trok prawić rower. Ze stryjem Juchniewiczem prędko to nawet poszło. Potem mając jeszcze trochę czasu, pojechaliśmy na łódce. Musiałem zajechać jeszcze za most. Tam nasiadła się

⁴⁴¹ Konus — stożek dociskowy.

⁴⁴² Sumasszedszyj — ros.: wariat.

⁴⁴³ Poprzednio łodziami nie pływało się w sobotę.

⁴⁴⁴ Kariszok — wyspa na jeziorze Galwe.

⁴⁴⁵ Czytać mowę — Tu: robić wymówki.

cała łódka Robaczewskich [Ela, Irka, Wala], a przedtem były jeszcze Juchniewiczówny⁴⁴⁶ i pojechaliśmy razem na Płytnicę⁴⁴⁷ kąpać się. Pokąpailiśmy się nawet dość dobrze. Tylko żeby nie ta szarańcza dziewczynek! Byłoby jeszcze lepiej. Ale pozbyliśmy się ich prędko. Pojechaliśmy jeszcze na jezioro, tylko ten czas. Musiałem już wracać do domu.

Dnia 26 sierpnia 1942 roku, środa. Mama wybiera się do Wilna. Jedzie dziś samochodem, który bierze na placu drzewo. Ja muszę przetłumaczyć metrykę na litewski, która potrzebna będzie do bursy. „Muszę” więc jechać do Trok. Pojechałem, metrykę oddałem, a potem — łódki lub kajaka szukałem. Ale nigdzie nie ma. Poszliśmy więc do parku, wzięliśmy łódkę i pojechaliśmy. Nie była jeszcze w rezydencji Wulfa⁴⁴⁸ w Zatroczu. Pojechaliśmy tam. Okazuje się, że nie jest ona bynajmniej taka milcząca, jakby to się mogło wydawać podczas naszych podróży z Miszkiem. Wówczas mówił przeważnie tylko on, dziś mówiliśmy na spółkę, nawet dosyć wesoło. Pojechaliśmy od Wulfa do gorzelni, a potem obok pałacu Tyszkiewiczza. W tym czasie poczęły jakoś nadciągać chmury, mogące lada chwila pokropić nas. Ale zdążyliśmy. Żenia jutro wybiera się już wyjeżdżać. Szkoda! A ja chyba i nie będę miał jutro czasu. Obawia się, że już jutro nie będzie miała co robić. Bo już Szurka Nowicki zakończył swój urlop, a więcej nikogo prawie w Trokach nie zna. Raz ciocia Sonia dała jej jako towarzysza Wićkę Szpakowskiego, to potem Żenia nie mogła tej przejażdżki przeboleć. Bo Wićka bardzo wypytywał ją, kto się jej najlepiej podoba, a na koniec chciał się koniecznie dowiedzieć, czy ma Żenia zamiar wyjść za mąż. Z takimi więc nie chce jeździć i w ogóle nie polega na wyborze ciotki. No, a innych nie ma. Cóż więc robić? Jechać do domu.

Dnia 31 sierpnia 1942 roku, poniedziałek. Miałem jechać raniutko razem z Jerzym do Wilna, ale w nocy dała taka burza, że ja zostałem i wybrałem się trochę później. Mam teraz ćwieka: jutro trzeba się rejestrować w budzie. Podobno popędzą do lasu stawiać metry⁴⁴⁹ dla budy. Niezbyt to przyjemne, ale cóż, nic nie poradysz. Jul dziś zarejestrował się i jutro wyjeżdża do Bezdan. Ja poczekam do jutra, bo ma przyjechać Miszka i trocka *kamanda*⁴⁵⁰. Pójdziemy razem rejestrować się, to i pracować razem bę-

⁴⁴⁶ Córkę Józefa Juchniewiczza: Zofia (ur. 1931), później żona Bogusława (Sławka) Abkowicza i Anna (ur. 1936), później żona Romualda Szpakowskiego.

⁴⁴⁷ Płytnica — pływaczka na jeziorze Galwie w okolicach obecnego ośrodka sportów wodnych „Dynamo”.

⁴⁴⁸ Dygnitarz niemiecki rezydujący w pałacu Tyszkiewiczów.

⁴⁴⁹ Stawiać metry — wycinać drzewo dla szkoły.

⁴⁵⁰ *Kamanda* — ros.: drużyna, tu: kompania.

dziemy. Myślałem jeszcze, że może doktor da zwolnienie, ale nie dają, pierony. Takich amatorów mają chyba pod dostatkiem. Właśnie szedłem od doktora, gdy na Mickiewicza spotkałem Żenię. Szła gdzieś do koleżanki. Zatrzymaliśmy się i nawet dobrą chwilę porozmawialiśmy. Ona też zdaje się wyjedzie na czterotygodniowe rolne roboty. Nic nie zrobisz. Wyjedziemy wszyscy. Powiada, że chciała iść na lody, ale zimno, więc chyba nie warto. Zaproponowałem swe towarzystwo. Zgodziła się. Poszła tylko jeszcze do koleżanki, a ja na Tartaki. Spotkaliśmy się na rogu i ruszyliśmy do Rudnickiego⁴⁵¹. Lody są, ale długo trzeba wyczekiwać. [...] Ja ułoko- wałem się na Zwierzyńcu, doprowadziłem więc ją do samej bramki⁴⁵².

Jutro więc idziemy się rejestrować.

Dnia 1 września 1942 roku, wtorek. W trzecią rocznicę wybuchu wojny rejestrujemy się do rąbania lasu. Co będzie w czwartą? Może wreszcie rejestracja do marszu na Kowno? Przyjechał Miszka i cała trocka *ka-manda*. Tamci poszli od razu rejestrować się i otrzymali przydzielenie do Ponar. Ja z Miszką poszliśmy potem. Do Ponar już nie dawali. Poszliśmy do kierownika prosić, aby dał nam do Ponar. On powiada, że może przyjąć, ale ze swymi narzędziami. Dobrze, o co chodzi? Ale powiada, żeby przywieźć narzędzia do Wilna, to wtedy da. Co nie targowaliśmy się! (Właściwie to ja tylko mówiłem, bo Miszka tylko stał i słuchał.) Ale nic nie pomogło. No więc trzeba jeszcze raz nocować i iść jutro.

Dnia 2 września 1942 roku, środa. Poszliśmy znowu. Powiadam, że już przywieźliśmy narzędzia, które są w Wilnie. Wówczas dał. Jadę więc dziś do domu, a jutro na pracę. Przed wyjazdem poszedłem jeszcze do Żeni. [...] Byli wszyscy w komplecie, nawet p. Michał⁴⁵³, który się podobno ukrywa. A że było to w ich porze obiadowej, więc koniecznie mnie zostawili na obiad. Żenia sprawuje w domu stanowisko całej gospodyni. Sama gotuje, smaży, podaje. Pod koniec zaproponował mi p. Michał naftę, którą miałbym na Litwie zamienić na pszenicę, słoninę itd. Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie, bo mało już czasu i te przekłete metry w Ponarach... Ja jednak wolę spotykać Żenię na ulicy czy tak, na jakimś terenie bardziej neutralnym niżli odwiedzać ją w domu. [...] „Pani babcia” ciągle mówi o wojnie i desantach lub o innych miejscowych „karaimskich nowościach”. (Dziś o wyjeździe na Krym.) Mówi ciągle po rosyjsku, ja staram się w tymże języku odpowiadać, co mi się nie zawsze udaje. Czasem odpo-

⁴⁵¹ Cukiernia na rogu ulic Mickiewicza i Arsenalskiej, przed wojną miejsce spotkań poetów i dziennikarzy.

⁴⁵² Bramka — furtka.

⁴⁵³ Michał Kobecki (1905–1987), syn Eliasza, ojciec Żeni.

wiadamy po polsku, a ona nadal po rosyjsku. Siedzę więc tylko i potakuję: „*No da, da, kanieszno*”⁴⁵⁴. [...]

Chciałem złożyć podanie do bursy, ale nie miałem jednego papierka. Chociaż małe mam nadzieje na przyjęcie, z powodu swej czwórki ze sprawowania i nielitewskiego pochodzenia, ale co szkodzi popróbować? Ciocia Wiera gorąco mię od tego kroku odciągnąć pragnie, przedkładając, że tam mogą być różne desanty (które oczywiście miałyby pochodzić z ubrań mych współtowarzyszy, a nie zza frontu sowieckiego) i w ogóle, co to za życie w bursie, ja jednak próbuję. Desantów może jakoś uniknę, życie — wiem, że nie będzie mocno przyjemne między Litwinami, a że nie będę tak obciążać Leśnik, to fakt. Z zasady zaś i ze swych młodocianych przekonań nie lubię nikomu zbytnio się kłaniać, ani też nikogo sobą za bardzo obciążać. Co do tego zaś, to wiem na pewno, że do bursy nie będą potrzebowali moi kochani rodzice przysyłać takich koszy, jak to było w zeszłym roku do Tartaków. Życie z Litwinami nie należałoby na pewno do przyjemności, ale ostatecznie może człowiek przetrzymać gorsze sytuacje. Gdyby tak mieć kogoś życzliwszego, ze swoich, coś w rodzaju Miszki, to i całkiem chyba nie byłoby tak źle. Gdyby z bursy nic nie wyszło, przypuszczalnie zamieszkałbym u Tali, chociaż na razie oni sami nie mogą sobie znaleźć odpowiedniego locum. No, ale to na razie plany, być może cokolwiek za dalekie. Na razie myślę o tym, że jutro przyjdzie się ciukać siekierką. Pojechałem dziś jeszcze do Trok. Zeszłoroczni bursacy razem będą kiwać. Dziś jeszcze pojeździli na żaglówce, a jutro suniemy razem na pracę. Pani Urbanowiczowa zdecydowała się w końcu na wyjazd do Druškiennik do swej siostry. Czasem strona materialna przemawia mocniej i dobitniej niż moralna. Zdecydowała się na razie rozstać z Trokami i pewnym miejscem niedaleko Trok, miejscem tak bardzo związanym z jej życiem. Na razie, bo może za rok, przyszłego lata, znowu tu zawita, ale już nie w takich okolicznościach jak teraz. Może już będziemy oglądać skutki mąk i cierpień tych, którzy są dziś od nas o tysiące kilometrów.

Dnia 3 września 1942 roku, czwartek. Wyjechałem z domu rano, około ósmej. Mieliśmy się spotkać w Starych Trokach z trockimi. Gdy przyjechałem tam, okazało się, że troccy pojechali już koniem. Dopędziłem ich w chwili, gdy dziadzia Juchniewicz wracał już koniem do Trok, a malcy objuczeni pakunkami drałowali na Świętniki. Obładowali więc mój rower i odtąd szliśmy razem, kierując się według sztabówki i informacji chłopów. Doszliśmy tak do leśniczówki Goby. Niedaleko niej spotkaliśmy całą ko-

⁴⁵⁴ *No, da...* — ros.: tak, tak, oczywiście.

mandę z zeksem z naszej budy na czele, która szła na pociąg i miała jechać do Wilna po narzędzia, których tu zabrakło. Przyszliśmy do leśniczówki. Na dziedzińcu stoi kocioł i jakieś dziewczynki gotują obiad. Pełno Litwinów! Pojechałem z Markiem do wsi Czarnobyl poszukać jakiejś stodoły. Ale potem rozmyśliliśmy się. Trzeba najpierw dowiedzieć się, gdzie będziemy pracować. Wróciliśmy. Przenieśliśmy się z dziedzińca za płot i robimy bibę. Potem dali jeszcze z kotła zupy. No więc wszystko w porządku. Pogoda ładna, słońce świeci... W tym czasie przyszedł Miszka Abkowicz, który przyjechał do Ponar pociągiem, a potem drałował. No, teraz to już wszystko w porządku naprawdę. Jest nas sześciu w paczce: Marka [Juchniewicz], Józef [Firkowicz], Gabka [Dubiński], Miszka [Abkowicz], ja i jeszcze jeden Polak z Trok, który już pracował, ale teraz przyłącza się do nas. Zwać go: Wołodzia. Lepimy z Markiem dętkę, po czym wyjeżdża on do Trok po piły i siekiery, gdyż tym, którzy pracują ze swymi narzędziami, zmniejsza się norma o 5 metrów. Mamy zatem 20. Poszedłem z Miszką na poszukiwanie kwatery i wkrótce ją znaleźliśmy. Potem zaparł nas jakiś „starszejszy” z patriarchalną siwą brodą do stawiania stołów. Było nawet wesoło. Wreszcie po kolacji poszliśmy spać do stodoły, gdzieśmy się zatrzymali. W stodołach leśniczego przepełnienie. Litwiaki śpią niemalże jeden na drugim. U nas zaś nawet dość dobrze. Marek miał przyjechać dziś, ale nie ma go. Przyjedzie chyba jutro. Z niecierpliwością czekamy go, szkoda bowiem czasu. Może przywiezie aparat, zrobimy kilka zdjęć!

Dnia 4 września 1942 roku, piątek. Przyjechał dopiero około dziesiątej. Przywiózł piły, siekiery i kliny, ale aparatu — nie. Sławek u kogoś tam zostawił, nie było więc jak zabrać. Idziemy od razu do lasu. Wkrótce podpiłowane drzewa ze świstem gałęzi przeryzujących powietrze i trzaskiem pni poczęły lecieć na ziemię. Spuściliśmy kilka sztuk, a potem trzeba je było ciąć na metrowe kawałki, szczepać⁴⁵⁵ i składać w stosy. Ale pracując całą grupą, więcej, mankierowaliśmy⁴⁵⁶ jak robiliśmy. Każdy spodziewa się na kogoś, a sam tylko dla oka rusza się. Skutek był taki, że zrobiliśmy dziś po metrze na osobę. Do tego Marek skaleczył sobie nogę. Wieczorem idziemy na kolację. Dają po $\frac{3}{4}$ litra kawy czy herbaty, sam nie wiem, jak to można nazwać, niby to trochę podsłodzonej. Jemy jak w przyzwoitej kawiarni: siedzimy lub leżymy na zielonej trawie, zaś zamiast orkiestry śpiewają nam Litwini. Krzyczą jak nieboskie stworzenia! Treść tych pieśni jest na ogół monotonna i — jak dla nas — nudna. Ciągłe o marszu i ciągle o ja-

⁴⁵⁵ Szczepać — rąbać na szczapy.

⁴⁵⁶ Mankierować — objąć się.

kiejś „wolnej Litwie”. Ciągłe „*Laisva Lietuva*” i „*Laisva Lietuva*”⁴⁵⁷. Ciągłe w kółko leżę sobie na trawie i siorbię gorącą lurę. Słucham także słów pieśni i myślę: Szaleńcy! O czym wy marzycie?! Gdzież ta wasza „*Laisva*”? A oni ryczą z podwojoną energią. Nad ogółem męskich głosów wybija się jakiś wyższy jeden czy dwa. Oprócz tego kilka wysokich: to śpiewają kucharki, które w międzyczasie rozdają na prawo i lewo tę gorącą wodę, zwaną hucznym imieniem.

Dnia 5 września 1942 roku, sobota. Wstaliśmy zaraz po wschodzie słońca. Dostaliśmy znowu „kawy” i idziemy do lasu. Znów jeżdżą piły, stukają siekiery i uderzają brzozowe lagi o kliny. Dzień ciepły, słoneczny. Jesień w tym roku ładna, wprost nadzwyczajna. Sobota... Gdzieś w Trokach i w Wilnie w kienesach hazzanowie odprowadzają nabożeństwo. A tu, w lesie niedaleko leśniczówki Goby musi człowiek kiwać jak dziki, nie gorzej jak w każdy inny powszedni dzień. Tak samo jak wczoraj rozłupują się bierwiona, stukają siekiery... Sobota... Tam, gdzieś, ludzie czują, że mają święto, tu tego całkiem nie czuć. Zatraca się w ogóle uczucie, że dzień ten jest dniem świątecznym. Kiedyś, przy bolszewikach, gdy naznaczono raz niedzielę jako dzień pracy, ktoś powiedział: Ot, jakoś dziko dziś, w święto każą pracować... A tu, czy to bolszewiki, czy Niemiec, wszystko jedno, kiwaj i nic nie gadaj! Dobrze by jednak było, gdyby tak stworzyć swoje państwo, swój chociażby okręg autonomiczny. Czyżby po wojnie demokracje, obiecujące wolność wszystkim, nie pomyślały o tym? Dobrze by było... Pracę zakończamy dziś wcześniej i wybieramy się do domów. Kamanda sunie piechotą, a ja wiozę Marka. Dowiożem go tak do Starych Trok, gdzie właśnie napędziliśmy piechurów. Dalej poszli razem, a ja do domu. Z Wilna przyjechali Jerzy z Talą. Tam podobno nic nowego. W Leśnikach także. Lista chętnych wyjazdu na Krym coraz bardziej wyciąga się. Całkiem zapomniałem wspomnieć na tych kartkach o tym, że podczas swego ostatniego pobytu w Wilnie byłem na zebraniu poświęconym wyjazdowi Tatarów na Krym. Tatarzy, uważając Karaimów za jeden z trzech szczepów, które tworzą narodowość tatarską, zaproponowali im, aby jechać razem. Na Krymie ma być utworzone jakieś państewko czy też okręg autonomiczny tatarski. Na razie musimy się tego trzymać! Mają być utworzone trzy czy cztery grupy wyjazdowe. Jesienią roku bieżącego, wiosną i latem roku przyszłego. Ma być tam dana ziemia i domy w takiej ilości i wartości, jaką zostawia się tutaj. No więc niektórzy już się zapisują. Zapisał się nawet Sławek Abkowicz. Gdy Mama zapytała, czy naprawdę ma

⁴⁵⁵ Szczepać — rąbać na szczapy.



*Praca przy pozyskiwaniu drewna na opał dla szkoły, autor na pierwszym planie.
Goby, wrzesień 1942 r.*



„Lesopowalka”, czyli piłowanie i zwalanie drzew.

zamiar wyjeżdżać, powiada: „Co ja, wariat?”. Zapisuje się na wszelki wypadek. Tych mają podobno zwalniać od wyjazdu do Niemiec. Nasza rodzina na razie milczy. Gdyby to po wojnie, no to jeszcze, ale dziś? Rzucać tu wszystko i jechać tam, na niepewne i do tego pod protekcją Niemiec. A co będzie, jak ich rozgromią na wiosnę czy latem?

Dnia 9 września 1942 roku, środa. Ponieważ wczoraj było święto jakieś tam litewskie, więc na pracę idziemy dopiero dziś. Paczka nasza już się po trochę rozpada. Miszka dostał zwolnienie od lekarza, Marek także. Wczoraj byłem w Trokach i umówiłem się z resztą, że ja wyruszę dziś rano, oni zaś mieli iść wczoraj wieczorem. Jakież więc było me zdziwienie, gdy przyjechawszy dziś do Gobów, nie zastałem nikogo. Złapałem więc jakiegoś Litwiaka, który o dziesiątej jeszcze siedział na dziedzińcu i ostrzył piłę, i z nim oraz jego towarzyszem ruszyliśmy do lasu. W czasie obiadu przyjechał Wałodzia rowerem. Dzwonił dziś do *Švetimos Valdyby*⁴⁵⁸, gdzie mu powiedzieli, że nie mający pełnych siedemnastu lat nie mają obowiązku pracy. Przyjechał więc dziś po rzeczy swoje i Józiuka. Z Gabkiem w ogóle nie wiadomo, co będzie. Musiałby przyjechać, bo on zdaje się nie ma żadnego zwolnienia ani nie jest za młody. Na razie więc kiwamy we trzech. Stawimy osikę. Nie można powiedzieć, żeby się Litwiaki bardzo przepracowywali. Odpijujemy kawał i już stoi, w boki podparłszy się. Muszę go prawie co razu wytrącać z zadumy. Po tamtym drugim, który szczepa, też nie widać wielkiej do pracy chęci. Słowa nie ma z kim zamówić. Pytam ich, czy bardzo mają dużo czasu do rozpoczęcia nauki. Okazuje się, że do 21-ego. „A czy zdążycie?”. „O, jeszcze mamy czasu. Jak weźmiemy się, *na chadu*⁴⁵⁹ pójdzie”. Nie wiem, kiedy wreszcie wezmą się. Nie wiem, czy długo jeszcze z nimi wytrzymam. Chyba nie.

Dnia 10 września 1942 roku, czwartek. Wczoraj namyśliłem się. Noc była cudna. Gwiazdy świecą, cicho, tylko technie już zbliżającą się jesienią. Po wlaniu w siebie ½ litra zupy i tyleż kawy z chlebem poszedłem spać. Dziś śpię jak „tuz”: na wozie wymoszczonym słomą pod dwoma kocami. Siadłem jeszcze na pniaku pod stodołą i marzę. Wszystko byłoby dobrze, ale tylko że nie ma do kogo słowa zamówić⁴⁶⁰. Bo słów litewskich nie liczę. Są jeszcze moi kwaterodawcy, ale z nimi też bardzo nie dyskutuję. Raczej oni mi opowiadają o postępowaniu obecnego leśniczego. Nie dostaniesz drzewa, nie dawszy jajek lub samogonu. [...] Ale żeby tak było z kim po-

⁴⁵⁸ *Švetimos Valdyba* — lit.: Wydział Oświaty.

⁴⁵⁹ *Na chadu* — ros.: od ręki, natychmiast.

⁴⁶⁰ Zamówić — zagadać.

gwarzyć po przyjacielsku, ot, na przykład Marek. Myślę tak sobie, aż tu raptem gdzieś w dali, w stronie Wilna odrywa się od ziemi jakiś świecący punkt i sunie w przestworza. Potem drugi, czerwony. I ten na pewnej wysokości gaśnie. Po chwili trzeci, znowu normalny... Rakiety... Po chwili trzy trzaśnięcia, jakby karabinowe strzały, a może przy wyrzucaniu tychże rakiet. Jeszcze chwilę posiedziałem i poszedłem spać. Namysliłem się, że nie ma sensu tu siedzieć. Dostanę zaświadczenie, że pracowałem na roli. Co się mam zabijać?! Dla kogo? Za co! Poszedłem więc do wicekierownika, zeszlórocznego kolegi z początku roku szkolnego Mogilnickiego i powiadam, że chcę jechać, że raczej muszę. Musiałem jeszcze zebrać gałęzie w kupy, potem tamten odebrał metry i w porządku. Spakowałem wszystkie manatki i jadę. Jadę!

Dnia 19 września 1942 roku, sobota. Kilka dni młóciłem pszenicę, potem żyto. A dziś pojechałem do Trok. Tam też nic nowego. Nauka miała rozpocząć się 21-go. Ale telefonowałem do budy i powiedzieli mi, że odłożono do piętnastego. Byczo jest! Mamy więc jeszcze trochę wakacji. Z Trok wróciłem wcześniej. Jutro *Kippur*. Chciałem więc pojechać potem, wieczorem. Aż tu czort nastał Niemca z *Feldkommandantury*⁴⁶¹, jednego z tych, którzy byli na Tali ślubie. Przyjechał na polowanie. Musiałem więc sprawować rolę tłumacza. Od biedy nawet mogłem się z nim rozgadać. Potem Tatuś z nim poszli do lasu. Do Trok jechać było już za późno. Przyszli z lasu już po zmierzchu. Siedzieliśmy do wpół do jedenastej po trochu gawędząc. Jutro rano idzie z Tomaszewiczem na kozła.

Dnia 20 września 1942 roku, niedziela. Niemiec poszedł do lasu i nic nie zabił. Pojechał do Wilna i ma przyjechać jeszcze po południu. Ja jadę do Trok. Pogoda paskudna. Przyjechałem do Trok i rozczarowałem się: w kienesie nie ma nic. U hazzana trochę się zebrało, trochę za mostem, u Ławrynowiczów. Niektórzy w ogóle w domu siedzieli. Zatraca się całkiem poczucie świąteczności. *Tiefinla* było do dwunastej. Potem o piątej miało zacząć się znowu. Ja około trzeciej ruszyłem do domu. Trzeba czekać Niemca i z nim gadać. Przyjechał. Poszedł znowu do lasu. Zabił gołębia. Dziś było mi trochę lżej, bo trochę zabawiała go Mama. Pokazywał moc fotografii z Ukrainy.

Dnia 21 września 1942 roku, poniedziałek. Pojechałem pod wieczór do Wilna. Od rana woziłem się z tytoniem. Nadziewałem go na druty, potem wysuszony już składałem i wiozę z kilo do Wilna pokrajać. Przyjechałem przed ósmą. Na Zwierzyńcu jest Miszka i Maniuk, poszedłem więc

⁴⁶¹ *Feldkommandantur* — niem.: komendantura polowa.

około dziesiątej na Tartaki. U Jula już nauka rozpoczęła się, tylko my mamy „marę”⁴⁶².

Dnia 22 września 1942 roku, wtorek. Od samego rana aż do późnego popołudnia latałem za różnymi sprawami. To z miodem, to z tytoniem, to znowu z akumulatorem. Wreszcie zakończyłem. No... pojechałem na Mo-niuszki. Zaszedłem. „Babcia” z „mamą” — jak zwykle — szyją. Jest także „tatuś”. Żeni nie ma, po chwili jednak przychodzi. [...] Będąc na balkonie, widzieliśmy, jak Irena [Kobecka] jeździła po ulicy moim rowerem. Potem przeszliśmy do pokoju. Długo jeszcze gawędziliśmy sobie, gdy wtem z przyległego pokoju dochodzi głos p. Anny sztorcującej Irenę. (Pióro moje jest tak złe, że muszę przejść na ołówek.) Wkrótce okazuje się, że to o tę jazdę na rowerze poszło. [...] „Nie o rower chodzi, ale o to, że ona miała robotę i nie robiła jej, ale poszła jeździć. Aha! *Ot gdzie собака zaryta!*”⁴⁶³ [...] Jest już po szóstej. Trzeba ruszać. Wychodzimy. Na łóżku leży p. Michał, [...] przy maszynie zaś p. Tatiana. [...] Jadę jeszcze do Tali. Chcę dziś jeszcze jechać do domu. Pomału zapada zmierzch. Maniūs z Ośkiem ciągle stroją ze mnie dowcipy. Ciągłe dopytują o „teściową” itd. Jeden przez drugiego przebąkują coś o wczorajszym z nią widzeniu itd. Tych dwóch nie rozumiem wcale. Jeszcze Oskę bardziej. Toć przecie dawniejszy mój „rywal”. Teraz więc, gdy w tym punkcie poniósł klęskę, chce chociaż ze mnie trochę się, bez powodu i sensu zresztą, ponabijać. Ale Maniuk to już całkiem ciemny typ. On zresztą taki już jest. W jego charakterze leży chęć wyśmiania kogoś, wyszydzenia, dokuczenia. A im boleśniej, tym lepiej. O tym już miałem możność kilka razy przekonać się. Raz, było to jeszcze na weselu, pierwszy podał myśl takim jak sam błatom⁴⁶⁴, żeby złożyć mi powinszowania z powodu rychłego ślubu, drugi raz był taki wypadek: po odczycie (w Wilnie) na konto wyjazdu na Krym, staliśmy grupką w *midrasz*. Podchodzi doktor Łopatto⁴⁶⁵. Podaje komuś tam rękę, potem Jerzemu. Myślałem, że teraz moja kolej. Wyciągam rękę. Całkiem nie zauważyłem Tatiany Michajłowny, ku której właśnie doktor wyciągnął rękę. Stał tak blisko mnie, że swą ręką prawie że się otarłem o jego — i musiałem ją cofnąć. Potem doktor przywitał się ze mną. Ja wykręciłem się i odszedłem. Przyznam, że był to moment nie z najprzyjemniejszych. Maniūs krzyczy do mnie z połowy sali: „Kolega co? Kolega!?”. Gdybyśmy byli we dwóch, rąbnąłbym go w zęby. Dziś to samo. Chęć wyśmiania i dokuczenia

⁴⁶² Mara — tu: wolne.

⁴⁶³ *Ot gdzie собака...* — ros.: oto gdzie pies pogrzebany.

⁴⁶⁴ Błat — tu: drab, bandyta

⁴⁶⁵ Konstanty Łopatto (1896–1974), syn Romualda.

wyłazi na każdym kroku. Dziś przyczepił się do „teściowej”. O co mu chodzi — daję słowo — nie rozumiem. Taki typ. Cóż poradzisz?

Otóż jadę dziś wieczorem do domu. Gdy wyjeżdżałem, było już ciemno. Ale na szczęście świeci księżyc.

Dnia 26 września 1942 roku, sobota. Jak zwykle w sobotę, jadę do Trok. Jak zwykle w sobotę — cała „trocka kamanda” gra w szmena. Zaszedłem tam. Całkiem zresztą bez pociągu. Ot tak sobie, zobaczyć trochę. Przyznam, że to już mi dokuczyło. Prawie od początku wojny co tydzień tak się zbierają. Kiedyś bywałem częstym bywalcem. Dziś jest to już coraz rzadziej. Zbierają się starzy towarzysze: Tolka [Ławrynowicz], Szurka [Zajączkowski], Miszka [Abkowicz] — to scyzoryki i z amatorów Jul [Kobecki], Józiuk [Firkowicz], ja, czasem Marek [Juchniewicz]. Ci trzej pierwsi, no to gracze. Szurka jak pożyczył na weselu 5 rubli, to do dziś je oglądam. Każdy z przyjemnością pali — cudzesy. Dziś stał się cud: Tolka kupił „Vesty” i z miną bohatera częstował palących i niepalących. Poczynam więc to zajęcie zarzucać. Dziś zaszedłem, posiedziałem ze 20 minut, zostawiłem 3 marki⁴⁶⁶ i pojechałem. U nich rachunki dochodzą do 20 i więcej. Ja zamiast tego wolę w domu popisać. Mało ostatnimi czasy jest ku temu możliwości. Ciągłe jest coś robić. Przedwczoraj i wczoraj kopałem ze Stefką kartofle. We czwartek w czasie kopania zaczął padać deszcz. Schroniliśmy się w lesie, pod jakimś świerkiem. Umie całować!

Pisać byłoby o czym, tylko że za mało jest trochę czasu i talentu. Kiedyś, mając więcej wolnych chwil, postaram się odtworzyć sytuację z ciocią Lizą [Rojecką].

Dnia 30 września 1942 roku, środa. Znowu zabrałem się do kopania kartofli. Kopie nas co roku sześciu. Ale są to kopaczki Uściłły, z naszej zaś strony jesteśmy we dwoje ze Stefką, gdyż naszej kartofli jest więcej posadzonych niż Uściłły. Kopiemy więc razem ze Stefką. Ja to ciągle staram się nie kopać z resztą. I tak, gdy oni idą z jednego końca pola — my z drugiego. Wszak zawsze we dwójkę najlepiej. Kiwam więc od rana do wieczora jak dziki i ze strachem myślę o litewszczyźnie, którą wkrótce przyjdzie się zakuwać.

Dnia 3 października 1942 roku, sobota. Rano pojechałem do Trok. Prawie od razu po *tiefinla* wróciłem do domu. Markowi noga już prawie się zagoiła. Lekcje już u nich zaczęły się, ale oni siedzą w domu, bo sprawa burs na razie jeszcze nie wyjaśniła się. Jadąc do domu spotkałem Jula, który przyjechawszy pociągiem do Leśnik, drałował teraz do Trok. Przyjechała także Tala pociągiem, a potem rowerem Jurek. Jedząc obiad, Jerzy pyta,

⁴⁶⁶ Obowiązywały zarówno marki niemieckie, jak i ruble.

czy Tatuś zgodziłby się za 1000 rb. przeprowadzić elektryczność. Za 1000 rb? Za 2 kg masła? Patrę na niego, jak na człowieka z 42°C [gorączki]. A on powiada, że w swoim H.K.P.⁴⁶⁷ może wykombinować dynamko i akumulatory, jako też żarówki, przewody etc., ma zaś jakiegoś znajomego elektrotechnika, który by zrobił dla niego, a raczej dla jego teścia, gratisowo całą tę kombinację. 1000 rb. kosztowałoby śmigło do wiatraka i względnie kolacja majstrowi. Ha! W Leśnikach elektryczność! To, o czym marzy się od dobrych kilku lat, zjawia się tak nagle i nieoczekiwanie. Toć to dar boży — tak by można było nazwać. Jerzy opowiada szczegółowo. Że dynamo już jest i prawdopodobnie w następną sobotę przyjechaliby razem z elektrykiem stroić⁴⁶⁸ całą tę sztukę. Daję słowo, wierzyć się nie chce. Czy to sen, czy to jawa? Tak się na razie zdaje, że coś w rodzaju niewypełniających się snów. A zresztą — kto to wie!?!

Dnia 4 października 1942 roku, niedziela. Jul wczoraj wieczorem przyszedł do Leśnik „na łaźnię”. Dziś więc jest całe towarzystwo. Po śniadaniu jadę do Trok. Znalazłem mięsa do Wilna, a potem zajechałem do Marki. Tam jeszcze z Miszkciem pokąpałem się. Woda jednak niezbyt ciepła. Potem namówili mnie na kwadransik do *midrasz*. Zachodzę, a oni rzną w oko. Kiedyś sobie powiedziałem nie grać w tę grę, ale dziś skusiłem się, ofiarowując na ten cel 2 ruble. Wkrótce schowałem je do kieszeni. Grałem na wygranych. W końcu 100 rb. od Miszki i 45 od Mińki⁴⁶⁹. Ponieważ ten dziś wyjeżdża do szkoły, więc dostał od nas dobrą naukę na karciane długi: Miszka zabrał dokumenty i powiedział, że nie odda ich, aż będą uregulowane długi. Nie wiem, jak to się kończyło, ale Miszka pojechał. Dziś razem z Romkiem pojechał do Bukiszek, tam, gdzie kiedyś był Maniuk. Tala z Jerzym też pojechali dziś wieczorem pociągami.

Dnia 8 października 1942 roku, czwartek. Od poniedziałku miałem iść do Skarbowskiej⁴⁷⁰ kopać kartofle. Był między nami ten projekt już od 10 dni. Gdy poszedłem do niej, poczęła kręcić. Powiada, że mają przyjść kopaczki. Dała mi śmieszna cenę. No więc nie poszedłem. W domu miałem roboty z tytoniem itd. Szkoda. Tyle czasu siedziałem i nie widziałem tylu możliwości, których pełno dokoła. Miałem szans⁴⁷¹ na samogon. Można było zrobić ładną forszę. Dziś, niestety, jest już za późno. Do czwartku tylko mam czas, a trzeba by było zemleć żyto (trocki młyn nieczynny), oddać,

⁴⁶⁷ *Heereskraftfuhrpark* — wojskowe warsztaty samochodowe.

⁴⁶⁸ Stroić — z ros.: budować.

⁴⁶⁹ Michał Nowicki (1924–1990), syn Józefa („Mojfieta”), „Mińka”, „Miniak”.

⁴⁷⁰ Sąsiadka.

⁴⁷¹ Szans — gwar.: szansa.

wypędzić, sprzedać itd., co przecie nie zawsze idzie jak po maśle. Dziś więc młóćę groch.

Dziś u nas, w Leśnikach, wielkie poruszenie. Miny na torze. To w każdym bądź razie wielka nowość. Niedaleko nas, może jakieś 2 km, torowy znalazł dziś podłożone pod szyny miny na obu torach. Po jednym torze przeszły już dwa czy trzy pociągi, przecinając druty, jednak podobno była zamoczona bateria i eksplozja nie nastąpiła. A kto wie, może gdyby nastąpiła, wisielibyśmy obecnie na jakichś suchych gałęziach. Wszakże u nich takie porządki. Żołnierza zabili — 400 rozstrzelać, pociąg wysadzili — powiesić. Kogo, to nie gra roli. A w Trokach już powiedzieli, że w Leśnikach dwa pociągi wylecieli w powietrze. Ot, co robią jęczyczki!

Dnia 9 października 1942 roku, piątek. Z tysięcy samogonowych przerzucam się na setki mięsne. Biorę dziś pud wołowiny i ciągnę do Wilna. Jestem prawie bez grosza, trzeba więc robić forszę. Do Wilna przyjechałem dobrze, całą drogę święcony deszczem. Dziś trochę sprzedałem, resztę jutro. Najnieprzyjemniejsze jest to, że trzeba tę robotę wykonywać w sobotę. No, ale trudno, tak wyszło. Tak było mięso.

Dnia 10 października 1942 roku, sobota. Do południa już mięsa nie było. Rozprzedałem wszystko dobrze, po 13 marek. No więc około 600 rubli czystego dochodu. To nawet nie jest źle. Kupuję jeszcze drożdże dla samogońszczyków. Tu po 470, tam po 650. No i koniec. Jednak Jerzy na serio zamierza zelektryfikować Leśniki. Dynamo już jest, tylko trzeba je wywieźć z garaży. Czeka więc na jakiegoś znajomego szofera. To samo z akumulatorem. Potem trzeba jeszcze zamówić śmigło i można wieźć do Leśnik. Dziś już wybierali się zakładać instalację, ale pojedzie tylko Jul. Ponieważ ja nie mam co już tutaj robić (bowiem Żenia z matką jest od trzech tygodni na robotach rolnych w jakimś tam majątku), więc jadę z nim razem. Są już kontakty, żarówki z gniazdkami, puszki rozgałęzieniowe, drut itd., jedziemy więc już robić początki. Wyjechaliśmy dość późno i od Starych Trok musieliśmy iść piechotą, bo Jul po ciemku walił się z koleiny w koleinę, a torem teraz niebezpiecznie jeździć. W domu wszyscy bardzo się zdziwili, myśleli bowiem, że w zeszłą sobotę Jerzy mówił ot, tak sobie — ale w możliwość zainstalowania światła tak łatwo nie uwierzyli. Nie wiem, co to będzie z chwilą, gdy pod leśnickim dachem zabłyśnie elektryczna żarówka, gdy radio pocznie działać, czerpiąc energię z gniazdka na ścianie. Ma bowiem być wirownik przetwarzający 12 V na 90. Nie wiem, jak to będzie wyglądało w rzeczywistości, nie mogę sobie wyobrazić. A może to już być prędko, za tydzień, dwa. Obecnie radia nie

słuchamy, nie ma bowiem baterii, a i akumulator słaby. Jednak na froncie wałynka idzie. Niemcy stoją już od 73 dni pod Stalingradem (Carycyn) i ani rusz nie mogą go wziąć. Armia, która w zeszłym roku brała setki kilometrów dziennie, miliony jeńców i niezliczone ilości broni i amunicji, dziś stoi 73-ci dzień pod miastem i nie może go ugryźć. Gazety wielkimi literami donoszą o zdobyciu kilku domów, zaznaczając, że „po zaciętych walkach”. O Afryce i innych frontach w ogóle nic nie wiadomo. Tymczasem w oczy niemieckiej armii zagląda nowa zima rosyjska. Nie wiadomo, jak z nią będzie!

Dnia 11 października 1942 roku, niedziela. Rano pojechałem do Trok i zaraz wróciłem. Jul przybija do ściany i sufitów druty, po których ma wkrótce popłynąć ożywcza energia. Pomaga mu trochę p. Monia Łopatto, który przyjechał jeszcze wczoraj. Niestety, ja nie mogłem dostać świdra, Julowi zabrakło drutu, musieliśmy więc robotę przerwać. Jul pojechał do Trok, potem zaś do Wilna. Przyjeżdżała Stefka, zabrała drożdże. No więc forsa jest. Teraz trzeba zrobić jeszcze jakąś kombinację i wówczas do budy. Dziś zresztą, jak i w każdą niedzielę, jak w młynku. Ciągłe ktoś przychodzi, przyjeżdża, kręci mozgi⁴⁷². Dziś na przykład p. Stacha [Witortówna]. Ciągłe nudzi, nudzi, aż hadko robi się. Sprzedaje jakiś kozuch, jednak tu nic nie wyszło, nałożyła więc go na siebie, płaszcz zaś zostawiła, żebym jej przywiózł. Tragarza znaleźli. Dziś musiałem jechać do Trok, żeby zawieźć wujowi Rafałowi sutannę, teraz komuś płaszcz do Wilna. Jakby ja nie miał co wozić. W ogóle rzadko zdarza się dzień, żeby kto nie nakręcił się na obiad (czasem kilku), nie mówiąc już o niedzieli, bo wtedy to w ogóle tylko skacz koło przygodnych podróźnych. I każdy myśli, że on pierwszy, że to nic nie szkodzi.

Dnia 12 października 1942 roku, poniedziałek. Złapałem nowy szans: handel cukrem. Gdy wieś otrzymuje na kartki cukier, nie zużywa go. Niektórzy więc sprzedają po 200-250 rb. W Wilnie zaś dochodzi do 350. Po cóż więc mam peckać się⁴⁷³ mięsem, kiedy jest czystszy interes. I nie popsuje się, ani pobije. Trzeba popróbować. Jadę do Strakiszek. Na razie jednak nic nadzwyczajnego. Stefki nie zastałem, sam zaś nie bardzo wiedziałem, u kogo to może być. Znalazłem w jednym miejscu 2 kg po 250. Szkoda, że tak mało już czasu. Ale może można będzie zrobić jeszcze coś potem, gdy będę przyjeżdżał do domu.

Aż zimno robi się, gdy pomyślę o szkole i o [...] litewszczyźnie. Jak tam będzie z tegoroczną nauką, na razie nic nie wiadomo. Zwłaszcza z miesz-

⁴⁷² Kręcić mozgi — zawracać głowę.

⁴⁷³ Peckać się — brudzić się, paćkać.

kaniem. Co do bursy, to jeszcze nic konkretnego, myślę jednak, że ma czwórka ze sprawowania swoje robi. Był jeszcze jeden projekt mieszkać razem z Talą. Ale oni sami szukają mieszkania i nie mogą go znaleźć. Teraz jest jakieś na Jasińskiego, sześciopokojowe. Miałoby być na spółkę z Dubińskimi, „Krawcami”. Dwa pokoje nam, cztery im. Ale nie chcą wydać orderu⁴⁷⁴ na takie mieszkanie. Taki projekt nawet mi przypadł do gustu. Mieć swój pokój i swoich ludzi wokół, nikomu się nie kłaniać, móc robić co się chce. Żeby nie gadali tak przez cały wieczór baby, jak to było w zeszłym roku u cioci Wiery. Ale kiedyż to na razie projekty. Najgorzej jest właśnie z tymi dwoma pokojami. Na Zwierzyńcu zaś też słaba szansa. Po pierwsze cholernie zimno, po drugie ciocia Natasza wybiera się na zimę do Wilna, po trzecie — kawał drogi. Tak, że wybieram się do Wilna i nie wiem, do kogo. Ciocia Wiera zaprasza do siebie, ale to mi się niezbyt uśmiecha. [...]

Dnia 14 października 1942 roku, środa. Więc to już, niestety, ostatni dzień! Jutro już przyjdzie się zasiąść za jakimś stołem i słuchać gładzenia litewskiego. Ale dziś na razie korzystam ze swobody. Pojechałem do Zazdrościa na rynek, kupiłem masła, zaś przedtem jeszcze miałem kupionego cukru i wybieram się do Wilna. Jadę po obiedzie. Gdy począłem składać wszystkie manatki, nabrało się ich nawet sporo. To swoje, to dla Romka, to znowu dla Tali. Wyjechałem dopiero o piątej. Między St. Trokami a nadleśnictwem pierwszy raz musiałem prawić rower. Była u mnie pęknięta podpórka od bagażnika. Jakoś się trzymała. Aż tu raptem wyskoczyła, włożyła w szprychy, schyliła się pod kątem 90°. Póki naprawiłem, poczęło już ściemniać. A potem! Pożałuj Boże, co to była za podróż. Co pewien czas trzeba było złązić i maderować⁴⁷⁵ po ciemku kluczami. Stało się już całkiem ciemno. Na niebie połyskują jasne punkciki gwiazd... Dojechałem tak do kaplicy. Była już ósma. Do tego jeszcze gęste opary mgły. Bojąc się, żeby nie zeskoczył znowu bagażnik, pojechałem dołem, a nie serpentyną. Zjeżdżając trochę hamowałem, ale jednak jechałem zdrowo. Raptem gdzieś się zapadam. Potem jasny błysk w oczach i ciemno. Podnoszę głowę. Opośdala zarysowują się drzewa. Na zębach coś trzeszczy. Po chwili podnoszę się, wypływając z ust piasek. Uczucie mam niezbyt przyjemne. Czuję, że cała lewa część twarzy zalepiona jest piaskiem. Przeciagam dłonią po czole. Coś mokro-lepkiego... Krew. Teraz siadam na rower i jak dziki jadę dalej. Gdy potem na Tartakach przyjrzałem się w lustrze, zobaczyłem krew na czole, krew na nosie, krew nad ustami i pod lewym okiem.

⁴⁷⁴ Order — tu: przydział.

⁴⁷⁵ Maderować — majstrować.

Wszystko to przykryte warstwą ziemi. Jak jeżdżę ja na rowerze już od ośmiu lat, podobnego wypadku jeszcze nie miałem. Tak zaczynam rok szkolny. Nie wiem tylko, na dobrą to, czy na złą wróżbę. Może cały rok krwawy będzie. W takim razie szkoda mi bardzo Litwinów.

Dnia 17 października 1942 roku, sobota. Oto już trzeci dzionek chodzę do budy. Tam Litwinów co niemiara. Do pierwszej klasy przyjęto 567 uczniów. Cokolwiek! Nie to, co w zeszłym roku — 70. Oczywiście sami Litwini. Jestem z Miszkim na [wydziale] II mechaniczno-instalacyjnym. Dziś sam nie wiem, po co zapisałem się na ten dziki wydział. Trzeba było na mechaniczny. Teraz staramy się przejść, ale nie wiem, czy coś z naszych podań będzie. Na razie chodzimy, nic nie robimy i — w porządku. Jutro jadę do Leśnik po „długiej rozłące”.

Dnia 23 października 1942 roku, piątek. Sam nie wiem, jak można określić podobny tryb życia, jaki prowadzę obecnie. Nie mam stałego kąta, nie mam jeszcze gdzie się przytulić. Obiady i w ogóle jem na Zwierzyńcu u Tali. Gdy wuj Rafał jest w Trokach, tamże i nocuję. Gdy zaś ten przyjeżdża do Wilna, sunę kiwać na Tartaki, do cioci Wiery. Na Zwierzyńcu zimno, choć psów pędzaj. Ostatnio postawiliśmy żelazny piecyk, więc w jednym pokoju można jeszcze jakoś wytrzymać. Ale reszta... Szkoda gadać. Gdy nocuję na Zwierzyńcu, spóźniamy się stale do budy. Bo — rano pod kołdrą tak ciepło, a w pokoju... Brr, nie chce się w ogóle o tym myśleć. Szwendam się więc jak bezdomny włóczęga z ulicy na ulicę: z Tartaków na Grodzką, z *Lentpiuviu* na *Liubarto*⁴⁷⁶. Z mieszkaniem na razie nic nie słychać. Było tu jakieś na widoku, ale nam wychwycili sprzed samego nosa. Więc szukamy nadal i nadal pokutujemy na miejscu. Najwięcej to ma chyba tego Tala. Przedtem męczyła się dzień w dzień nad horrendalnie dymiącą płytą, teraz zaś pół dnia siedzi przed niezgorzej puszczającym dym piecykiem. Nie zazdroszczę jednak losowi kobiet! Dzień w dzień, co mówię?! — kilka razy na dzień coś miesza, kręci, warzy, ciągle w kółko, w kółko, w kółko... Gotuje, praży, smaży, potem wszystko to znika przy stole, znowu szyj, szoruj, a skończywszy to, poczynaj myśleć, co zaraz zaczynać gotować. W kółko co dzień to samo. Toć to oszaleć można by. I to pomyśleć, że tak egzystuje jakaś chyba czwarta czy piąta część ludzkości. Idiocstwo. I właściwie co to jest — życie? Oprócz małych przerw, człowiek całe życie kiwa jak dziki osioł po to, aby mieć chleb, ten popychacz do nowej serii pracy, dla nowej dawki chleba! Jakież to jest płaskie. I tak żyli przez

⁴⁷⁶ Nazwa ulicy Tartaki została przetłumaczona przez władze litewskie na *Lentpjūvių*, natomiast nazwa ulicy Grodzkiej zmieniona na *Liubarto*.

stulecia, mało, przez tysiąclecia! Oczywiście oprócz nielicznego ułamka procenta „filozofów”, którzy pracują i żyją dla nauki i wiedzy, którzy to takowoż dążą do tego, aby ułatwić ludzkości sposób zdobywania — przepraszam — żarcia. Zresztą, po co o tym pisać i mówić. Wszak było to przez tysiąclecia i będzie. I nie wiem, czy znajdzie się taki, który by potrafił to jakoś zmienić. A gdy tylko ludzie mają możliwość na pozwolenie sobie czegoś większego od opychania się, poczynają budować armaty i czołgi, niszczą wszystko do podstaw, aby znowu mieć co robić dla chleba. Takie oto dzikie myśli przychodzą mi.

Dnia 14 listopada 1942 roku, sobota. Już przeszło dwadzieścia dni nie pisałem! Bynajmniej nie dlatego, że nie było co! Było i było czasami może nawet za dużo, ale jakoś nie było okazji, czasu, a może po części i chęci. Mówią bowiem, że dla chcącego nic trudnego. Ale żeby nie było zbyt wielkiej luki, trzeba coś niecoś omówić. Otóż przenieśliśmy się już na Lwowską. Oczywiście nie może tu być porównania z mieszkaniami poprzednimi. W jednym pokoju jest Jerzy z Talą, ja zaś też po większej części tam przebywam, śpię zaś i czasem, gdy trzeba trochę dłużej posiedzieć, robię lekcje — w drugim pokoju. Jednym słowem pod tym względem całkiem dobrze. Ładnie, przyjemnie, czujesz człowiek, że jesteś w ludzkim mieszkaniu. No, już jak zacząłem tak pisać, to będę punktami: (mam dziś możliwość — w mieszkaniu nikogo nie ma, Jerzy w Leśnikach, Tala z gospodarzami na Tartakach). Punkt drugi — to buda. Z początku byłem razem z Miszkiem na mechaniczno-instalacyjnym. Instalacja wodociągów? Pomyśleć tylko! Instalować wodociągi — i to mnie! Mnie dawajcie maszyny, kotły, transmisje, motory spalinowe i Diesla, wielkie piece etc., etc. O! To ja rozumiem — ale nie rury wodociągowe czy coś w tym rodzaju. Chodziliśmy więc z Miszkiem do dyrki. Ale nie wyszło nic. Oni w ogóle kładą wielki nacisk na ten wydział, dając większe ulgi itd. Chcą widocznie mieć więcej tych instalatorów. W tym czasie przyjechał właśnie z Trok wuj Rafał. Uchwaliliśmy z Miszkiem, że trzeba jego nakręcić, żeby poszedł pomówić. A on ani w tę stronę! Ot, gdzie typ ojca wzorowego! Powiada: „Zapisaliście się, to i siedźcie!”. Po kilku dniach przyjechała Mama. Poszła do dyrki, pogadała, wyłożyła, o co chodzi, no i w porządku. Dyrka wezwał mnie (akurat miałem wówczas wolną lekcję) i dawaj namawiać, że to nie ma sensu, że ten wydział ma przyszłość ogromną itd., ale wreszcie powiedział, że jeśli będzie miejsce w mechanicznej, to przeniesie. Na jutro poszedłem doń znowu, z podaniem. Było to 29 X 1942 r., zdaje mi się po piątej lekcji. Rozmawiał właśnie telefonicznie. Mówił właśnie o ilości uczniów w poszczególnych klasach. Podałem mu podanie. „Panui

Vilniaus Aukšt. Technikos Mokyklos Direktorius: Simono Pileckio, II-mech. inst. mokin. gyv. Vilniuje, Lentpiūvių 10.6. Prašymas. Maloniai prašau p. Direktorių perkelti mane iš II mechanikos-instalat. klasės į II mechanikos klasę. Vilnius, 1942-X-19d. Pilecki. ⁴⁷⁷ Kończył rozmawiać i zwracając się do mnie znowu zaczął namawiać. Że to przyszłość itd., itd.! Przy tym nadpisał na podaniu kolorowym ołówkiem słowo „*Perkelti*” ⁴⁷⁸, po czym data. I namawia w dalszym ciągu. A ja począłem się wahać. I wiem, że chwila ta nie powtórzy się więcej. Że tu trzeba albo tak, albo nie. On widząc to, przytyka czerwony ołówek do papieru i pyta: „*Sunaikinti?*” ⁴⁷⁹. Wahałem się kilka sekund i krzyknąłem wprost: „*Ne!*”. Oddał podanie. Wyszedłem. Twarz mi paliło jak ogniem. Był to moment, który pchnął mnie na rozstajnych drogach na lewo — drogą serca. Prosta z wizjami banknotów została w tyle. Przyszłości!!! Jeśli kiedyś oglądnę się za tą drogą prawą i pożałuję, no, to zrządzenie losu. Dziś jestem całkowicie na lewej. Przyszłości! Pamiętaj! Było to po piątej lekcji, dnia 29 października 1942 roku! Potem na podaniu nadpisał stary wychowawca: „*Iš sarašo II mech. inst. isbrauktas*” ⁴⁸⁰. Podpis oraz słowo nowego wychowawcy inż. Ostrowskiego „*Irasytas*” ⁴⁸¹. No więc z tym było skończone. Miszka został na starym, ja na nowym. I dziś też jeszcze nie żałuję. Punkt trzeci musiałby być właściwie pierwszym, ale jako najśladzszy, zostawiłem na sam koniec. Było to już dosyć dawno. Poszedłem do Żeni. Właśnie kilka dni temu powróciła z tej swojej pracy na roli. Opowiada, że było to wprost horrendalne. I mieszkanie, i wyżywienie, i sama praca. Zaniósłem jej owe zdjęcia, które robiliśmy w Trokach. Oglądały wszystkie po kolei, córka, matka i babka. Potem pokazywały mi zdjęcia jakiejś tam swojej krewnej ⁴⁸², robione na statku, w Paryżu, gdzieś w Chinach itd. Było to już kilka tygodni temu. Miałem zamiar dziś się wybrać, ale tak się złożyło, że nie wyszło.

Jutro jadę do domu. Ma już podobno być zakończona elektryczność, chociaż nie wyobrażam sobie, że to może już być.

Miszka Abkowicz jest w położeniu nie do pozazdroszczenia. Siedzi na Zwierzyńcu sam, w mieszkaniu zimnym i wielkim. Wuj rzadko przyjeżdża do Wilna, i to na kilka dni. Miszka je obiady w stołówce. No, jakie to są

⁴⁷⁷ *Panui Vilniaus...* — lit.: Do Pana Dyrektora Wileńskiej Wyższej Szkoły Technicznej. Szymon Pilecki II-kurs mechaniczno-instalacyjny, zamieszkały Lentpiuvių 10.6. Podanie: Bardzo proszę Pana Dyrektora o przeniesienie mnie z II klasy mechaniczno-instalacyjnej do II klasy mechanicznej. Wilno, dnia 1942.10.19. Pilecki.

⁴⁷⁸ *Perkelti* — lit.: przenieść.

⁴⁷⁹ *Sunaikinti* — lit.: zniszczyć.

⁴⁸⁰ *Iš sarašo...* — lit.: z listy II mech.-inst. skreślony.

⁴⁸¹ *Irašytas* — lit.: wpisany.

⁴⁸² Lubow Kobecka (1908–?), córka Eliasza, siostra ojca Żeni.

obiady, to można wyobrazić. Można zarzucić kilka i nic nie poczuć. Siedzi w domu jak w pustyni, nie bardzo nawet mając drzewo na opał. Przedwczo-
raj przyjechał wuj i oznajmił, że chyba trzeba będzie Miszce rzucić naukę
i iść pracować, bo matka chora, trzeba pomagać. Sławek nie ma całkiem
smykałki, przynosi do domu 100 rb. i całymi wieczorami gra w karty, Ma-
niuk też szwenda się; to trzeba jeszcze tego oderwać. Miszka chodził wczor-
raj jak struty. Dziś już weselszy — sytuacja zdaje się poprawiła się.

Dnia 16 listopada 1942 roku, poniedziałek. Przyjechałem wczoraj do
Leśnik. Obiecana kiedyś przez Jerzego elektryczność miała właśnie wczor-
raj dojść do skutku. Ale na razie — znowu nic. Postawili dynamo na słupie,
stoi więc, warczy śmigłem i... ni czorta. Nie mamy pojęcia, co to jest. Dziś
więc byłem w Trokach i miałem leżeć na słup, przywiozłszy słupolazy. Jed-
nak nic nie wyszło, bo słup jest za cienki. Trzeba więc było go znowu wy-
kopywać i wszystko odkręcać.

Dziś wieczorem jadę do Wilna. Mam przepustkę i jadę pociągiem. Jest to
w tym roku trochę wygodniej niż w zeszłym. Zamiast zeszłorocznych, zim-
nych, towarowych wagonów kursują osobowe, aczkolwiek nieludzko prze-
pełnione. Odchodzi z Leśnik pół do siódmej, jednak zazwyczaj późni się.
Dziś o siódmej (obecnie żyjemy według czasu starego, takiego jak był ostat-
nio w Polsce) ciemno już całkiem. Wgrużam się⁴⁸³ do wagonu. Wszystkie
miejsca zajęte. Trzeba stać. Z drugiego końca wagonu dolatuje litewski śpiew.
Boże się pożał! Co za przepite, hadkie głosy. Wtem w przedziale z drugiej
strony kilka razy brzęknęły struny gitary, a potem odzywa się silny, piękny
baryton. Śpiewa jakieś tango po polsku. Śpiewa tak przez całą drogę do
Wilna, oczywiście z dłuższymi przerwami. „*Wołga, Wołga, mat’ radnaja*”,
„*Tango Nauturno*”⁴⁸⁴, „*Towariszcz, pojedziem daloko*” i moc innych. Wprost
przyjemnie słuchać. Raz rzewnie i tęsknie, to znów silnie, rytmicznie, w takt
kół wagonu. Daję słowo, przyjemnie słuchać. Pociąg pędzi w ciemną noc,
za oknami szybko migają iskry lokomotywy, uciekające w tył, przez drugie
okno czasami zagląda księżyc, chwilowo uwolniwszy się spod płaszcza
chmur. Przy tym wszystkim brzęk strun gitary. Prawdziwy obraz wojennego
podróżowania. Och, gdyby on nie stał tyle na stacjach!

Dnia 17 listopada 1942 roku, wtorek. Gdy w zeszłą niedzielę jechał
do Leśnik Juluk, posłałem przez niego 4 kg drożdży. Dotychczas był na
tym dobry zarobek. Drożdże wziąłem u Poziemskiej⁴⁸⁵. Okazało się, że są
nic nie warte. Całkiem nie dają potrzebnej reakcji. Odniosłem więc je do

⁴⁸³ Wgrużać się — z ros.: ładować się, pakować się.

⁴⁸⁴ Właśc.: *Tango notturno*.

⁴⁸⁵ Nina z Rojeckich Poziemska (1888–1970), córka Eliasza, „Nimeczka”, matka Józefa „Piziutka”.

niej i z pewną przemową powiedziałem, że niech zabiera drożdże, oddaje je, skąd wzięła i zwraca pieniądze. Ona jak ona. Poczęła wymawiać się, że nie jej to wina itd. No i jest trochę straty. Ale tyle tego! Byleby gorszych nie było. Z Poziemską zerwałem stosunki handlowe i „towarzyskie”.

Dnia 22 listopada 1942 r., niedziela. Poszedłem rano na dworzec spotykać rodziców. Wybrali się bowiem do nas oboje (niebывały wypadek) pociągiem. Na Lwowskiej poruszenie. Potem przyprowadzili ciocię Wierę na *nowosielie*⁴⁸⁶. Ja zaś wybrałem się na Moniuszki. Dawno już tam nie byłem. Podobno ich trochę nastraszyłem, bo gdy zapytali kto, odpowiedziałem: „Partizany”. Potem musiałem ze skrucłą sprostować na „Pilecki” i zostałem wpuszczony. Żenia — jakże ja jej współczuję — siedzi nad łaciną. Pokazała mi swoją fotografię, niedawno robioną. Zarekwirowałem. Potem przeszliśmy do drugiego pokoju. Tam pali się modny obecnie małeńki, z grubej blachy, piecyk. Siedliśmy przy nim i poczęliśmy gawędzić. Jak dotychczas — nauka, szkoła itd. Prosi o kilka książek z drugiej klasy, atlas itd. Szybko ucieka czas. Około dziewiątej przyszedł p. Michał z wielką nowiną. Koło Stalingradu mocno poharatali Niemców. Potem znów przeszliśmy do piecyka. [...] Jerzy obiecał dostać bilety na operę. Zapraszam więc Żenię. Zgadza się. Podobno w przyszłą niedzielę. [...]

Dnia 24 listopada 1942 roku, wtorek. Sytuacja polityczna w ostatnich czasach znacznie poprawiła się dla aliantów. W Afryce został wysadzony desant angielsko-amerykańskich wojsk, które haratają na łeb na szyję uciekające oddziały generała Rommela. Atak idzie w dwóch kierunkach: od strony Egiptu oraz od Atlantyku. Chodzi o zdobycie Tunisu. Ósma oraz część dziewiątej armii, działających od strony Egiptu, prą naprzód. Padł Tobruk, padło Bengazi, padło wiele Niemców i Włochów. Tobruk, przez dwa lata broniony przez Anglików, jakoś w lecie raptem został zdobyty przez Niemców. Jak szalała wówczas propaganda niemiecka!!! Anglicy zagrali — Niemcy wzięli Tobruk, teraz Anglicy grają inaczej — Niemcy lecą na łeb na szyję. Z drugiej strony Afryki wojska amerykańsko-angielskie zdobyły Algier, zdobyły część Tunisu i obecnie zdobywają miasto Tunis. Niemcy starają się go dziko bronić. Nic nie będzie, moi mili, przychodzi kres. Dosyć mąk, dosyć ofiar. Drugi front działa. Tymczasem Niemcy musieli ze Wschodu odciągnąć część sił, co spowodowało przezwyciężenie frontu przez Sowiety pod Stalingradem (Carycynem). Nogi niemieckie poczynają się zapadać. Hallo, hallo! Drugi front działa! Celem jego jest wyrzucenie Niemców z Afryki. A potem, jak powiedział Churchill

⁴⁸⁶ *Nowosielie* — ros.: parapetówka.

w ostatniej mowie, potem zostanie stworzony front trzeci — front zwycięzców. Trudno będzie Niemcom bronić się. Całe wybrzeże Skandynawii, Belgii, Holandii, Francji od strony Atlantyku i Morza Śródziemnego, Włochy, Grecja... Wszystko to narażone na desant, wszystkiego trzeba strzec, wszędzie bronić. Z Sowietami powinno się też załatwić. Jeśli nie Niemcy i Japonia, to Anglia. Oho, trzeba wiedzieć, co to Anglia! Tam też nie idioci rządzą. Teraz już można na pewno powiedzieć: „aby do wiosny”. Żenia prosiła mnie o książkę geografii. Znalazłem ją i na stronie 209 znalazłem nadpis: „23 V 1940 r. Niemcy doszli do La Manche. Milionowa armia alian-tów odcięta w Belgii. Alianci bombardują przesmyk, przez który Niemcy przewożą benzynę, amunicję i żywność. Wojska aliantów chcą odciąć woj-ska niemieckie we Francji od Niemiec. Szczęść im Boże!”. A niżej: „Czy to może być, żeby prawie po roku wojny nie usłyszymy o zwycięstwach Anglików. Hitler ma 15 VIII 40 r. zawrzeć pokój. Żeby on powiesił się!”. Jest to zapiska zredagowana na którejś tam lekcji geografii. Było to 23 maja 1940 r. Dziś jest inaczej. Dziś już Hitler nie wyznacza terminów zawarcia pokoju. Dziś jemu wyznaczają. Hej! Wy, z roku 1940! Gdzież wy, którzy przepowiadaliście rychłą inwazję do Anglii i pokój zakończony całkowitym zwycięstwem Niemiec. Przepadliście! Dziś mamy głos my, którzy przez cały czas wojny wierzyliśmy w Anglię. I ona dziś nas nie zawodzi. Ciekawe, co będziemy zapisywać 23 maja 1943 r. Może będziemy stawiać kropki kulami i granatami. Hurra Alianci! Wiwat! Marsz, marsz na Berlin! Marsz, marsz na Kowno! Dziś Litwinom zmiękły ryje. Nie ma już Vasz-kelisów, nie ma Litwy mocarstwowej. Dziś powiadają: „Oho! Żeby tak Niemców bić, to i z Polakami poszlibyśmy”. Niedoczekanie — powiem wam. Nie dorośliście. Aby do wiosny. Potem pomówimy. Hurra! Niech żyje zwycięstwo!!!

Dnia 28 listopada 1942 roku. Jerzy jedzie do Leśnik. Ciągłe jeszcze męczą się z tą elektrycznością. Jak dotychczas, nie zostało nic szczególnego dokonane. Ciągłe jeszcze coś stoi na przeszkodzie, coś niezupełnie w porządku. Ja nie jadę tym razem. Miałem zamiar iść jutro z nią na „Rigoletto” do teatru, ale Litwiaki wychytali wszystkie bilety. Jutro więc idę tylko na zebranie na Zwierzyniec. Znowu tam coś na konto badań Karaimów⁴⁸⁷.

Dnia 4 grudnia 1942 roku, piątek. Zima już rozpoczęła się ponownie. Już wokół biało i biało, tak na ziemi, jak i na niebie. Gdy spojrzysz z okna naszej budy na Wilno, to bierze człowieka jakaś zaduma. Można tak stać

⁴⁸⁷ Chodzi o badania antropometryczne, którym niemieccy badacze poddawali wówczas członków społeczności karaimskiej.

i długo patrzeć, chociaż nic szczególnego zauważyć się nie daje. Wielka jakby kotlina, w której rozłożyło się to miasto, do którego tyłu jest chętnych. Hen, na horyzoncie strzelają dwa wysokie słupy radiostacji... Litwini też czasem stają przed oknem i patrzą na tę dal. Nie wiem, o czym oni tak rozmyślają. Być może, że mądrzejsi z nich chcą napatrzeć się na zapas, przewidyując niedługą ku temu możliwość, głupszy zaś, zaślepieniec, może już marzą o wiecznym tego miasta posiadaniu? A zresztą co to mnie wzrusza. Niech sobie myślą, co chcą. Jedno jest pocieszające: to już ostatnia biel, na którą się patrzy razem z nimi. Idąc rano do budy i wieczorem z niej wracając, często spotykam grupy jeńców sowieckich, pędzonych na pracę. To ci sami mniej więcej, co i w zeszłym roku tak chodzili. Tylko nie tacy sami. W zeszłym roku byli oni jeszcze jako tako ubrani. W tym roku — prawie w samych łańcuchach. Nie wiem, czy chociaż jeden procent ich jest obuty po ludzku. Wszyscy chodzą jak na kastyłach⁴⁸⁸ — na wysokich, drewnianych podeszwach. Kłumpie te spadają im z nóg, tak że posuwają się nie bardzo szybko. Ręce głęboko starają się wepchać w rękawy. Wokół nich idą Niemcy i Ukraińcy. Tym ostatnim, po wielkich obietnicach, złotym życiu i górach złota dano w końcu prawo pilnowania Białorusinów. Ale i to prawo nie jest stuprocentowe. Bardzo rzadko można spotkać Ukraińców samych. Są oni zazwyczaj mieszanymi z Niemcami. Cóż to za widok — ci jeńcy. Po prostu obraz nędzy i rozpaczy. Mało który podobny na człowieka. Reszta to tylko powłoka byłych ludzi. Obok nich idą Niemcy. Ci wyglądają jeszcze nie najgorzej. Raz wracając ze szkoły, spotkałem taki oddział. Tego widoku długo nie zapomnę. Po bruku idą ludzie na nos padający, po chodniku idą z nosami w górę! Po prostu bydło. Na samym końcu idzie po chodniku Teuton, o obwodzie chyba nie mniejszym jak pięć metrów, rozjeżdżony jak kaban, a że ciężko mu widocznie było nieść karabin na pasie tak jak inni, więc oparł go na daleko wprzód wystającym brzuszku — idzie jak dwunastu tytanów. Z jednej strony głucho o kamień uderzające podeszwy kłumpi, czasem podbite jakąś blachą ze starego pudełka od konserw, głowy jak najgłębiej wciśnięte w kołnierze, z drugiej zaś taka kolubryna z opartym na brzuszku karabinem, z bagnetem. Gazety piszą, że żołnierz niemiecki idzie przez obszary sowieckie, aby lud spod jarzma i głodu oswobodzić, aby dać im możliwość życia, aby nieść im kulturę. Gdzież ona? Tak, cała ta kultura zawarta w takich widokach. Coście dali tym „wyswobodzonym”? Starą blaszankę na podbicie drewnianego kłumpia. Czy może przestali oni głodować? Tak, cała ta kultura polega na wykazaniu, że tak było i jest: ja to człowiek, a ty to zwierzę.

⁴⁸⁸ Kastyłe — ros.: kule, tu: w znaczeniu chodzić jak na szczudłach.

Dnia 16 grudnia 1942 roku, środa. O Boże! Jak ten czas szybko mija. Zdawało się, że zaledwie kilka dni nie pisałem, trzy, może cztery, a gdy się gnałem dziś po te kartki, okazało się, że było ich już dwanaście. Znowu dwanaście dni uleciało w niezbadaną otchłań czasu, zapomnienia. Dwanaście dni bliżej końca wojny, dwanaście dni bliżej nowego życia, dwanaście dni bliżej końca... Końca — czego? Chciałem właśnie położyć tu słowo „życie”. Ale... może zamiast słowa „koniec” bardziej by się tu nadawało „początek”. „Niezbadane są Twoje wyroki” — tak zdaje się czytałem kiedyś w jakiejś nowelce Prusa. Wczoraj kończyłem czytać książkę. Ot, po prostu, może się nasunąć myśl na pierwszy rzut oka jedna z wielu, wielu istniejących. Nie „z przeczytanych”, bo jakoś już od dłuższego czasu nie bardzo dużo poświęcam czasu beletrystyce. Ale że w ostatnich dniach miałem trochę wolnego czasu, a nie chcąc się przed feriami peckać z litewszczyzną, przy tym widząc na stole jakąś książynę, wziąłem ją do rąk, więc dotrzymałem placu do końca i zamknąłem, przeczytawszy ostatnią kartkę. (Ileż tu tych zdań nalepiłem między przecinkami.) Otóż, streszczając się, książka jak wiele innych, a jednak odmienna. Pierwszy raz coś podobnego czytałem. Z kartek jej, spomiędzy zdań o zabawach, balach i życiu warszawskiej śmietanki towarzyskiej, tchnie jakimś mistycznym nastrojem. Występuje tu słynna ze swej piękności artystka warszawskiego teatru, jej dawny kochanek, jej obecny mąż i cały szereg innych. Wszyscy oni często widują jakieś przewidzenia, odgadują myśli na odległość. Jednym słowem, coś fantastycznego. Z fantazji tej wynika jednak w końcu myśl, że tam, poza granicami życia ciała ludzkiego, musi jednak żyć ludzka dusza. Nie może być, żeby wraz z ustaniem bicia serca wszystko się kończyło. Tam musi ożyć piękno stąd wyniesione, a zło także się w piękno przekształcać. Takich książek dla mnie — jak najwięcej! Mą duszę trzeba natchnąć wiarą stuprocentową w to, co wyżej pisałem. Niestety, mało było, mało jest i teraz tych czynników. Trudno mi jaśniej wytłumaczyć by było mój stosunek do religii. Umysł czuje, że to, co wyżej pisałem, to musi istnieć, bez tego bowiem życie, całe istnienie ludzi byłoby zbyt płaskie. Ale to tylko umysł. Raz, modląc się wieczorem, dziwne jakieś uczucie w sercu czułem, ale było to tylko raz, Niestety. Dawno temu, już kilka lat. W jaki sposób te czynniki dostać, nie mam pojęcia. Może drogą książek. Ale zanim jedną taką znajdziesz, trzeba przerzucić dziesięć innych, a na to nie ma czasu. Wielka w tym wina naszego duchowieństwa, że od lat dzieciństwa nie zaszczepiano wiary. Pamiętam przecie lekcje religii. Przez całe lata powtarzały się dziecinne bajeczki o Adamie i Ewie. Było to tak samo, gdy miałem lat

sześć, było tak samo i przy szesnastu. Dzisiejsze duchowieństwo to ludzie, którzy tylko chodzą i gadają, że społeczeństwo o nich nie dba, że za mało na ich utrzymanie dają. I za cóż?

Dnia 19 grudnia 1942 roku, sobota. Już kilka razy w Teatrze Miejskim szła opera Verdiego „Rigoletto”. Chciałem już kilka razy dostać bilety i ani razu nie dostałem, dopiero udało się wczoraj. Dziś więc idę do teatru. Właściwie nie idę, a idziemy, zaprosiłem bowiem Żenię. Poszedłem do niej i przed szóstą byliśmy w teatrze. Jerzy z Talą są także, tylko oni w piątym rzędzie, a my w siódmym. Towarzystwo same litewskie. Skąd ich tyle nabrało się, nie mam pojęcia. [...] Na scenie ciągle coś się dzieje, coś śpiewają. Nawet dosyć dobrze. Tylko... ciągle ta litewszczyzna.

Dnia 20 grudnia 1942 roku, niedziela. Jedziemy rano wszyscy trzej do Leśnik. Na dworcu pieroński tłok. Jednak szansa — udało mi się przeleźć do pociągu i nawet mieć siedzące miejsca. W Leśnikach nic nowego. Nie mam wprost pojęcia, co tu robić. Od trzeciej poczyną się już robić ciemno. Potem zapala się lampkę i choć ty wariuj. Przy takim świetle ni tu czytać, ni pisać po ludzku nie można. Nie wiem, może za kilka dni to się poprawi, ma bowiem już dojść do skutku ta elektryczność. Wszystko już jest w porządku, tylko za małe obroty daje wiatr. Trzeba robić przekładnie. Może już przed Bożym Narodzeniem coś i wyjdzie. Na razie zaś pusto i głucho. Może ma na to pewien wpływ i pogoda. Ta jest paskudna. Śnieg, który kiedyś spadł, całkiem stopniał, zaś z chmur gęsto zasnuwających niebo często gęsto pokropuje deszczyk. Ciągle taka lekka mgła, wilgoć... Na drogach błoto. Trzeba właściwie trochę się poduczyć, a całkiem jakoś nie ma ochoty.

Dnia 21 grudnia 1942 roku, poniedziałek. Przyjechał ze Strakiszek Baranowski, zdjął ze słupa dynamo i powiózł do siebie. Ma na środę zrobić przekładnie. Ja zaś jadę dziś jeszcze do Wilna. Może przedłużą na wakacje przepustkę? Jechaliśmy do Wilna z Talą. Pociąg szedł trzy godziny. Tłok, miejsc nie ma. Na Lwowskiej byliśmy równo o dziesiątej.

Dnia 22 grudnia 1942 roku, wtorek. Przepustki nie przedłużyli. Powiada, że dopiero można od 6 czy 7 stycznia. Wieczorem poszedłem na Zwierzyniec. Siedziałem tam przeszło dwie godziny. [...] Zaproszony zostałem na Nowy Rok, a właściwie na „przednoworoczne”. Co ze spotkaniem będzie, jeszcze nic nie wiadomo. Ma podobno być u Gienki Pileckiego⁴⁸⁹, ale to na razie jeszcze nic konkretnego. Gdyby coś było, chyba bym przyjechał.

⁴⁸⁹ Eugeniusz Pilecki (1920–1982), syn Ananiasza (z Poniewieża), mąż Nadziei Łopatto.

Dnia 23 grudnia 1942 roku, środa. Rano jadę do domu. Pociąg wyjątkowo przyszedł dobrze. Potem wyruszyłem do Strakiszek. Przekładnia jeszcze nie gotowa. Podobno będzie na jutro. Ale nie wiem, czy na razie coś będzie. Przekładnia jest 1:2. Dynamo 825 obrotowe. Wątpię, czy śmignęło da przeszło 4000 obrotów na minutę. Jest jeszcze jedna przekładnia, można więc byłoby postawić 1:4, ale ta druga jest już używana, więc może się zacinać. Na razie więc będzie taka. A potem zobaczymy. Dziś słuchaliśmy o piątej radia. Jak co środę, przemawiał prof. Stroński⁴⁹⁰. Powiada, że w tym roku może powiedzieć już nie jako życzenie, ale jako prawdę, że następne Boże Narodzenie będzie dla nas o wiele inne niż trzy poprzednie. Dałby to wreszcie Bóg!

Dnia 25 grudnia 1942 roku, piątek. Pod względem wyglądu zewnętrznego tegoroczne Boże Narodzenie mocno różni się od ubiegłych. Zamiast czystej bieli śnieżnej, zamiast świerków okrytych białym puchem, zamiast sanny, mamy dziś grudę na drogach, nagie gałęzie drzew i całkiem czarne pola. Z Wilna przyjechali dziś Tala z Jerzym. Po zaproszeniu na obiad Skarbowskiego z żoną urządzono nawet nie najgorsze popijachum.

Gdzież wy, lata minione!!! Gdzież choinki u pp. Urbanowiczów, gdzie jazda sankami drogą między dwiema ścianami białego lasu, gdy u góry mrugają punkciki gwiazd? Minęło... Minęło, by więcej nie powrócić. Dziś z tamtej leśniczówki w Bobrowce jedna spoczywa koło Trok, jednego rzucił los gdzieś, a gdzie — kto to może wiedzieć, dwie zaś są obecnie w Druškiennikach i — jak wynika z ich listów — bardzo tęsknią do tych stron, gdzie się rozstały z jednymi na czas nieokreślony, z innymi na wieki... Minęło... Jakiś głęboki sens ma to jedno słowo: „nigdy”.

Dnia 26 grudnia 1942 roku, sobota. Rano młode (a może już i nie całkiem?) małżeństwo i ja wybraliśmy się do Trok. A cóż w Trokach może być w sobotę? Oczywiście — szmen. Już bez tego nie można się obejść. Poszedłem i ja na chwilę. Przed piątą wróciłem do domu.

Dziwne choroby chodzą po ludziach. Ot, na przykład z Romkiem. Przyjechał z Bukiszek, jakoś jakby nie taki, jak zwykle. A teraz ma chorobę następującą: co pewien czas, który im dalej, tym staje się krótszy (z początku było 12 godzin), dostaje jakichś boleści w piersiach. Powiada, że pali mu piersi, jakby gorącym żelazem. Robi się wówczas jak nieprzytomny. Z przeciągłymi okrzykami „ojej” poczyną biegać po pokojach, mówiąc, że to mu przynosi ulgę. Jak poczyną się atak w nocy — cały dom nie śpi. A on

⁴⁹⁰ Stanisław Stroński (1882–1955), wicepremier, minister informacji i dokumentacji w rządzie emigracyjnym Władysława Sikorskiego.

ciągle, w kółko: oojeeejaaa, oojeeeejaa. [...] I tak w kółko, przez kilka czasami godzin. Potem stopniowo to przechodzi i aż do następnego ataku robi się całkiem normalnym. Potem zaczyna się od początku. Nikt dotychczas takiej choroby nie widział ani słyszał.

Dnia 27 grudnia 1942 roku, niedziela. Gienka, dotychczasowa nasza służąca, poszła od pierwszego dnia świąt do domu. Teraz więc jesteśmy bez żadnej pomocy, bo nowej jeszcze nie ma. Pod wieczór przyszedł Isaczka Jutkiewicz. Wieczór więc ubiegł dość wesoło. Tala z Jerzym jadą dziś do Wilna.

Dnia 28 grudnia 1942 roku, poniedziałek. Tatuś miał rano zamiar jechać z Romkiem do Wilna do doktora, ale potem się rozmyślił i wybrał się do Trok. Ja przedtem chodziłem do Narezek⁴⁹¹. Tam mieszka niejaki Rancew, podobno cudotwórca od przełęknień. Gdyż według opinii niektórych znawców jest to chyba na tle przestraszenia się. Chodziłem już raz do niego wczoraj. Dał jakąś tam „zamówioną” wodę do picia. Nie wiem, może ktoś w to i wierzy, ale mnie to jakoś do przekonania nie trafia. Pod wieczór przysła Stefcia, która ma pobyć u nas kilka dni, aż do przyjscia nowej, która będzie chyba po Nowym Roku dopiero.

Dnia 31 grudnia 1942 roku, czwartek. Z wielkich planów zazwyczaj mało co wychodzi. Tak też było i tym razem. Miałem zamiar jechać do Wilna, ale tam nic nie będzie, bo cała „młodzież” wileńska zjechała się do Trok. Mama z Tatusiem chcieli wybrać się na spotkanie do Trok, ale Isak będąc zeszłym razem w Leśnikach, namawiał, żeby raczej pozostać w domu, a on przyjedzie, z patefonem oczywiście, no i wileńscy mieli przyjechać, więc pozostali w domu. Przyjechali Tala z Jerzym, ale Isaczka nie doczekaliśmy się. Natomiast o godz. 9¹⁰ zabrzączał telefon. Dzwoni bobrówki leśniczy — Miliauskas. Okazuje się, że u niego około ósmej zjawili się goście, do których okolica już po trochu przyzwyczaja się, ale przed którymi jeszcze drży. Goście, którzy chodzą ze spluwami i karabinami, a na pytanie „Kto tam?” odpowiadają: „*Otverite, svoi*”. Następnie zaś owi „swoi” wdzierają się do mieszkania, rabują, co mogą unieść czy uwięzić, resztę zaś zazwyczaj niszczą i zagroziwszy na pożegnanie naganem czy mauserem, odchodzą w otchłań nocy. Otóż tacy to właśnie, przewędrowawszy przez mieszkanie Tomaszewicza, zaczepiwszy jednocześnie o leśniczówkę, posyłając jej kilka salw [...], zaczepili dziś wieczorem o Bobrówkę. Tym jednak razem nie poszczęściło się. Milewski, będąc przygotowanym na podobne odwiedziny, wlaź z żoną na salkę, skąd stawiał zbrojny opór. W odpowiedzi

⁴⁹¹ Wioska staroobrządkowców w pobliżu Trok.

na salwy bandytów, kierowane do okien i drzwi ze wszystkich stron domu, posłał im trzy granaty, po czym bandyci zmuszeni byli cofnąć się. Było ich podobno pięciu. Po odparciu ataku dzisiejszy Miliauskas (bo jutrzejszy Milewski) powiadomił o zajściu trocką policję. Tak jak zazwyczaj w podobnych wypadkach, spisała się po prostu dzielnie, jak przystawałoby na najslawniejszych detektywów angielskich. Przyjechało z osiem sztuk, uzbrojeni po zęby i ruszyli tropić. Jak się później okazało, bandyci ruszyli na Zazdrość, policja zaś o 90° w bok — na Żukiszki. Potem poprawili się z 90 na 180 stopni i przyszli do Mazonu, gdzie rozpędzili zabawę, wystrzelili na wiwat, aby zatwierdzić swe zwycięstwo i poszli do domów. Tak! Gdyby tamci uciekający zamiast spluw mieli rurki i beczki do pędzenia samogonu czy też kilka kilo masła, policja by nie zbłądziła. A tak... Tamci też umieją strzelać. Po cóż więc ryzykować! Można strzelać w powietrze, można ostatecznie do Żydów, ale walczyć z bandytami... To już za wielki dyshonor dla policyjnych wilków! No więc taki mamy Nowy Rok. Isak być może z powodu tych zajść w Bobrowce nie dotrzymał słowa. Bawimy się więc sami. No, oczywiście, o ile zabawą można nazwać siedzenie przy stole (choćby nawet obok samej Stefci) i pochłanianie pewnej ilości kartofli, mięsa, tłuszczów i alkoholu. Przed oczyma coraz to mętniejsza postać Jerzego — sypie jak z rękawa potokiem słów i gestów, na co reszta towarzystwa często odpowiada śmiechem. Zamiast z patefonu, z radiowego głośnika płyną dźwięki muzyki. Zaterkotał zegarek...

1943

Dnia 1 stycznia 1943 roku, piątek. Zaterkotał zegarek, Romka całkiem już zdrowy, uderzył kilka razy w blachę⁴⁹², no i w porządku! W chwilę później z głośnika płyną dźwięki: „Jeszcze Polska...”. Proponuję wstać. Słuchamy, jak wolny Londyn gra. Dobrze mu! A tu jest czwarty Nowy Rok... Cyfra 1942 odsuwa się gdzieś wstecz, coraz dalej, dalej. Już tyka zegarek innym tętnem. Już płyną przez przestrzeń sekundy inne. Roku tysiąc dwieście czterdziesty trzeci!!! Wierzmy niezłomnie, przynajmniej ja wierzę, żeś Ty już ostatni. Inaczej być nie może. Dosyć mamy już tego, dosyć! Końca prędzej!!! A koniec się zbliża... Pod koniec, to znaczy około drugiej, ledwo stałem na nogach. Pierwszym raz tak się uraczył. Ale to za ten Nowy Rok i Ostatni! Jako już powiedziałem, zakończyliśmy o drugiej. Ciekawe, jak też ten czterdziesty trzeci spotykała p. Urbanowiczowa i jej mąż. Tacy bliscy, a tacy dalecy. Ciekawe, czy oni też wierzą, że to już ostatni? Czy wspominają te czasy, gdyśmy wszyscy na Nowy Rok tu siedzieli, gdzie ja teraz te słowa piszę?

Po przespaniu się wstaliśmy dość późno. Stefcia poszła na dziś do Strakiszek, radzimy więc sami. Ja czuję się nie najlepiej, oczywiście z powodu wczorajszych i dzisiejszych kieliszków. Rano telefonował Milewski. Powiadomiono go z Trok, że jeden „gość” znajduje się w trockim szpitalu. Dobrze go uraczył! Dostał trzy razy od granatu: w szyję, brzuch i nogę. Podobno jest to „Sowiet”. Mówił, że jeszcze dwóch dostało rany, ale lżejsze — w palec i rękę. Tatuś był w Bobrowce. Opowiada, że większość szyb jest pobitych, w pokojach zaś grubo leży na podłodze tynk, poodbijany kulami ze ścian. To ci musi być widok. A zwłaszcza wówczas, gdy te kule jeszcze latały. Brzęk bitych szyb i jęk bitych ludzi. Świst kul i huk pękających granatów.

Londyn triumfuje. Ciągłe mówi, że to już ostatni rok. Pełno jest porównań tego Nowego Roku z ubiegłym. Podczas gdy kiedyś, w ubiegłych la-

⁴⁹² Uderzyć w blachę — wypić sobie zdrowo.

tach alianci byli na wszystkich frontach bici, w tym roku sami biją. I rzeczywiście. Na wszystkich czterech frontach Oś dostaje po bokach. Pod Stalingradem Sowietci ciągle odbierają nowe miasta, biorąc przy tym jeńców i sprzęt (na środkowym odcinku toż samo), w Afryce Rommel⁴⁹³ ucieka jak zając, na trzecim froncie — Alianci łupią ze swych latających fortec niemieckie i włoskie miasta, że trzaski lecą. Polscy piloci w służbie na angielskich wyspach zestrzelili pięćsetny i pięćset pierwszy samolot wroga, co stanowi około 10% ogólnej liczby zestrzelonych maszyn, no i wreszcie na froncie czwartym, japońskim także Anglicy już poczęli bić.

Co do pierwszego frontu, sowiecko-niemieckiego to może i nie bardzo jest z czego się cieszyć. Bo to, że Sowiety biorą górę, to znowuż nie jest tak świetnie. Trzeba właśnie tak, żeby tam była równowaga, aż do zupełnego wyczerpania obu stron, po czym Sowiety albo by same się załamały, albo wykończyłaby je Japonia, z Niemcami zaś dałaby radę Europa. No, ale w zeszłą zimę wojska rosyjskie także szły naprzód. Jedno jest faktem, że machina wojenna Niemiec już poczyną zgrzytać. Jeszcze trochę, jeszcze kilka miesięcy i będzie koniec. „Zwierz jest ranny i osaczony” — powiedział prof. Stroński. Jeszcze trochę, a będzie koniec i zwierzowi, i zwierzątkom — jego pełnomocnikom. Ciekawe, jak ta chwila będzie wyglądała. Ale powinna wyglądać ładnie!

Dnia 2 stycznia 1943 roku, sobota. Na plecach wyskoczył mi wrzód, na kolanie też jakieś lichy, nie mogę więc ruszać się z domu. Siedzimy więc wszyscy w Leśnikach. Do Trok nikt nie wybrał się. Zagrywamy więc w 66 i telegraf⁴⁹⁴. Po południu przyjechał ze Strakiszek Baranowski. Narreszcie się wybrał. I to nie z własnej inicjatywy, ale dlatego, że wczoraj Stefcia już mu powiedziała o wrażeniu, jakie tu wywarł swą punktualnością. Otóż przyjechał dziś, ale też jeszcze nic nie wyszło, bo trzeba nalać na oś aluminium lub babit⁴⁹⁵, którego nie ma gdzie roztopić. Zostało więc znowu do jutra. Sporą część wieczoru spędziłem dziś na kuchni, przy każdej okazji składając na ustach Stefci pocałunki. Tylko że ona na każdy głos jakiegoś poruszenia w stołowym odskakuje jak oparzona. A tam tak zawzięcie grają w woza⁴⁹⁶. Żebyż to było więcej swobody! Ale z tym przyjdzie się chyba poczekać do wiosny. Może by tak na Wielkanoc! A tak — tyle tylko, co gdzieś w stodole minutkę czy przy piecu w pokoju — gdy wszyscy są w kuchni.

⁴⁹³ Generał Erwin Rommel, dowódca wojsk niemieckich w Afryce północnej.

⁴⁹⁴ 66, telegraf — gry karciane.

⁴⁹⁵ Babit — rodzaj stopu żelazkowego.

⁴⁹⁶ Wóz — gra w karty.

Dnia 3 stycznia 1943 roku, niedziela. Baranowski przyjechał około południa. Poszli na tartak, rozgrzali babit, zalali i polazł na słup zakładać. Założył wreszcie, ale nic z tego — dziś prawie nie ma wiatru. Teraz więc, gdy już — zdawało się — wszystko w porządku, trzeba czekać na silniejszy wiatr. I, jak mi się zdaje, długo przyjdzie się czekać, bo silnego trzeba, żeby jednym dwumetrowym śmigłem ruszył dynamo. Bądź co bądź, 400 obrotów śmigła to nie tak znowuż mało. Przyszła dziś nowa służąca, Walercia i Stefcia już wybiera się do domu. Dziś ma być w Strakiszkach zabawa, więc rwie się jak woda przez tamę, ciągle popędzając młodego Baranowskiego i jego „dziadźkę”, któremu to wcale się nie śpieszy. Cóż jemu do zabawy. On woli tu popić i pośpiewać ukraińskie piosenki. Tala z Jerzym jadą dziś do Wilna.

Dnia 4 stycznia 1943 roku, poniedziałek. Idę do Strakiszek cisnąć z siemienia lnianego olej. Droga pierońska. Przez noc nasypało śniegu prawie po kolana, a dziś jeszcze podsypuje, na drodze zaś żadnego śladu. Trzeba więc brnąć jak przez pustynię. Droga jeszcze gorsza od samego mielenia lnu, które też kawał zdrowia kosztowało.

Dnia 6 stycznia 1943 roku, środa. Mama z Tatusiem pojechali do Trok, ja zaś siedzę i trochę wziąłem się za trygonometrię. Gdyby tak zamiast Walerci była jeszcze dziś Stefcia, nie zajrzałbym nawet do tego. Ale takie już szczęście: jak była ona, cały dom był pełny. Dlaczego wyjechali dziś, a nie np. tydzień temu?! Już przedostatni dzień wakacji. Przez okno tak ładnie wygląda las! Świerki całe w bieli. To gdy głowę podniosę. A gdy opuszczę — cosinus, sinus, tangens...

Dnia 8 stycznia 1943 roku, piątek. Przyjechałem wczoraj do Wilna. Dziś poszedłem do budy, ale zastałem tam pustki. Jeszcze Litwiaki za mało napili się samogonu. Zaszedłem do klasy, odśpiewałem jakiś tam „przebój” i powróciłem do domu. Nie mam pojęcia, co to ludziom porobiło się. Nigdy nie było takich kolejek, jak ostatnimi dniami. Jeżeliby powiedzieć, że są kilometrowe, nie byłaby to wielka przesada. Wszędzie! Przed „Pienocentrasem”, „Maistasem”, „Rutami” i w ogóle wszędzie, gdzie tylko „coś dają”. Poszedłem do „Ruty” H.K.P. (Dla pracowników H.K.P. jest osobny sklep spożywczy, jako też i „Maistas”). Cały lokal sklepu po prostu nabity po brzegi. Ale właśnie brała już Tala. No więc do „Maistasu”! Wieczorem poszedłem „szukać szczęścia”. Zaszedłem na Tartaki. Tam obecnie panuje atmosfera nie do pozazdroszczenia. Gdy byłem dziś rano, a oprócz mnie i cioci Wierzy nikogo nie było, ta ostatnia poczęła opowiadać swe zmartwienia. Juluk chce przenosić się do Trok, tam mieszkać i dojeżdżać pociągiem

do budy. Też ma człowiek ataki! Szału czy mądrości — tego już nie wiem. Ale to jeszcze głupstwo, chodzi o powód, który go do tego skłania. Podobno nie godzi się on ze swym szwagrem. Nie może zwłaszcza znieść tego, że on go utrzymuje, że gdy on na niedzielę przyjeżdża do Wilna, wszyscy chodzą koło niego na paluszkach, Jul zaś musi spełniać rolę — jak się wyraził — służącej. Wody przynieść, wiadro wynieść, no itd. To raptem uszczypnęło jego honor. Nie rozumiem tylko, dlaczego? Przecie w zeszłym roku tak samo wykonywał takie czynności i wcale nie uważał siebie za „służącą”. On zaś powiada, że to вина ich. Że Lusia obecnie jakaś opryskliwa, „czepia się nie wiadomo czego” (nawiasem mówiąc, szyje obecnie czepki, koszulki i pieluszki), no a „Szłapak” — „Szłapakiem”⁴⁹⁷. Muszę tu zaznaczyć, że, jak mi się zdaje, nie słyszałem nigdy, żeby Lusia „czepiała się”. [...] Ładnie by wyglądało mieszkanie siedmiopokojowe, o którym tak szeroko rozprawiano jeszcze wiosną zeszłego roku, a które miałyby pomieścić i Jutkiewiczów, i Kobeckich, i Pileckiego. Tak więc Tartaki z zeszłorocznych — tętniących życiem, werwą i humorem, pozostał dziś tylko zwykłym, niezbyt czystym mieszkaniem, w którym przez długie zimowe wieczory dwie kobiety siedzą nad wiązaniem rękawiczek i szyciem koszulek, w głowie zaś jednego młodzieńca krążą myśli o upadku socjalnym, o służących i „opryskujących”.

Od cioci Wiery ruszyłem dalej na zachód, na Moniuszki. Posiedziałem tam, pogawędziliśmy w miłym nastroju przy herbatce o napadzie w Bobrowce, w ogóle o wojnie, o przypuszczalnie szybkim jej końcu itd. [...]

Dnia 11 stycznia 1943 roku, poniedziałek. Jeszcze w sobotę wieczorem pojechali Tala z Jerzym do Trok. Tam wczoraj było *mila* u wuja Michała Firkowicza⁴⁹⁸. Mieli powrócić wczoraj wieczorem, ale przyjechali dopiero dziś koło jedenastej. W budzie dziś już ruch. Ale niezbyt to jest przyjemne być jednemu. Ba, ani Miszki Abkowicza, ani też Firkowicza nie było dziś z powodu spóźnienia pociągu. Gdy oni są, zbieramy się zwykle na przerwach przy kaloryferze na korytarzu i gawędzimy, żartujemy, omawiamy ostatnie nowości. Chociaż dziesięć minut odpoczynku po 45-minutowej litewszczyźnie. Gdy ich nie ma, nie mam pojęcia, co robić. Litwiaki zbierają się zwykle w grupy i albo coś sobie opowiadają, albo też ryczą na całą budę coś w rodzaju: „Oj lili, oj lili, oj la, oj la”. Ani słuchanie tego „oj lili”, ani też rozmawianie, gdy trzeba szukać w pamięci litewskich słów

⁴⁹⁷ „Szłapak” — Józef Jutkiewicz, „Agronom”.

⁴⁹⁸ Nadanie imienia Jerzemu Firkowiczowi (1943–1946), starszemu bratu Bogusława, „Bogusia”, antykwariusza.

i końcówek, nie należy bynajmniej do rozrywki. Ale — wszak dziś jest 11 stycznia. Według jakiejś przepowiedni za 6 miesięcy będzie koniec!

Jest u nas pewien profesor, fizyk, Litwin. Gdy przychodzi na lekcje, dwie albo trzy godziny pogadanek i wolnych wniosków, jedna godzina nauki. Nazwisko jego — Grykenis. Miszka już kilka razy opowiadał, że u nich poruszał on tematy polityczne i już szukał sobie kompanów, gdy trzeba będzie z Wilna drałować do chaty. „Wówczas pociągów nie dadzą” — powiada. Narysował przy tym na tablicy szkic swej drogi, którą przyjdzie się najeżdżać. U nas jeszcze do tego nie dochodziło, Ale dziś doszło! Jeden Litwiak powiada: „Nie wiadomo, czy my ten rok szkolny skończymy”. „A dlaczego by nie?” — pyta Grykenis. „No — odpowiadają — kiedyż na wiosnę zacznie się chyba ruch!”. Grykenis odpowiada, że jeżeli w ten sposób myśleć, to nie wiadomo, czy doczekamy jutra. Potem jeden powiada, że po tej wojnie to już chyba naród niemiecki będzie miał dosyć. „Ech — powiada profesor — pewno, że za 20 lat to już się nie ruszy, ale po jakichś stu nie wiadomo, co może być. *Musu situacija*⁴⁹⁹ — powiada — *daug durnesnė* (dużo gorsza, durniejsza — jego autentyczne słowa) i to jeszcze nie wszystko stracone. A nuż?! Przecie to nie będzie tak, jak napisać. Jeszcze nie ma czego rąk opuszczać”. Ej, brateńki, to tak cienko już śpiewacie! Dusił mnie śmiech, a Litwiaki wylupili oczy i słuchają „pro-roka”. Ej, brateńki, a gdzież Petruskiaviciusy z 1939 r., którzy, gdy ktoś powiedział, że Anglia może wygrać, czerwienieli jak indyki i gotowi byli oczy drapać!!! Gdzież wy, Vaszkelisowie z roku 1941?! Dziś pochowaliście się. A rok 1943 przynosi nam Grykenisów. Dziś, powiadacie, „na Niemców i z Polakami poszliby” — słowa Leuksminasa z II instalacyjnej.

Dnia 17 stycznia 1943 roku, niedziela. Dziś właśnie idziemy do teatru rewiewego „Ali Baba”. Tala z Jerzym pojechali do Leśnik, ja zaś siedziałem i przez całe przedpołudnie kreśliłem. Po obiedzie (końskiego bitka ani rusz nie mogłem rozgryźć) ruszyłem na Zwierzyniec. Mieliśmy dość jeszcze czasu. Koniecznie musiałem zjeść ciastko (niemałych wymiarów), a one nie rozumieją chyba, że człowiek ma określone granice swego żołądka. Potem poszliśmy. Teatr na Wielkiej. Nawet dobre są kawałki. Śpiewają i mówią po polsku, z wyjątkiem dwóch czy trzech piosenek niemieckich. Oprócz tego wspaniałe sztuki akrobatyczne. Jednym słowem jestem zadowolony na całego. [...] Gdy wróciliśmy, koniecznie musiałem zająć na kwadrans „rozegrzać się”. Kwadrans miał około 60 minut. „Starych” nie było, młodszy w drugim pokoju, a my przy piecu. [...]

⁴⁹⁹ *Musu...* właśc.: *Mūsų situacija* — lit.: nasza sytuacja.

Dnia 23 stycznia 1943 roku, sobota. Największa gorączka już mija. Jeszcze poniedziałek, a będzie już po całym balu. Można będzie znowu trochę odpocząć, pójść do teatru... Chociaż z tym będzie chyba obecnie trudniej, po Jerzym bowiem otrzymania biletów nie spodziewam się, a iść na drugi balkon — to w ogóle lepiej nie psuć nastroju. Dziś właśnie Jerzy z Talą poszli do teatru na „Trawiatę”. Dla mnie biletów nie dostał, gdyż, powiada, zamiast zamówionych sześciu dali tylko dwa. Do dzisiejszego wieczoru jeszcze myślałem, że na następne przedstawienie dostanie dla mnie, teraz już tej myśli nie mam. Zresztą ja go prosić nie będę, a jeśli on będzie proponował, wołałbym dostać w inny sposób, bez niego. Cóż, on Kobecki, ja tylko zwykły Pilecki, z dziadów, pradziadów „ziemlarob”⁵⁰⁰. Gdzież mnie do niego! Żeby ten punkt nie był ciemny, wyjaśnię. Było więc w sposób następujący: dziś po obiedzie położyłem się na kanapie. Na poduszce była zasłana wzorzysta chusteczka. Tala powiada, żebym jej nie pogniótl. Jerzy wyrywa mi spod głowy chusteczkę wraz z poduszką. Ale to wszystko żartem. Zresztą takie żarty u nas dozwolone. Potem poczynamy z Talą przerzucać się ową poduszką. Ja w nią, ona we mnie. W Jerzym odzywa się „Kobecki-gentleman”. Bierze od żony poduszkę, podchodzi do mnie. Podnoszę nogę w górę. On korzysta z okazji i gdy ja bronię swej „czulej części”, rżnie poduszką. Ja w Talę, on znowu powtarza swą czynność, ja znowu. Wówczas on wpada w trans, przechodzi raptem z żartu w całkowite „serio”, co u niego często się zdarza i z miną zranionej lwicy ogłasza, że jestem szczeniak i na podobne żarty mogę sobie pozwolić z takową, no, ze Zwierzyńca, a nie z jego żoną, bo on może dać po mordzie. „Ostrożnie, ostrożnie — powiadam — obrońco uciśnionych”. [...] Dziś zaczął w tym rodzaju. Przypiąłem łatkę do jego wychowania i uniwersyteckiego wykształcenia, wreszcie do szczycenia się kobeckowskością. A on chodzi i ciągle „szczeniak, no, kiedyż ty jesteś szczeniak”. A ja mu „student, a ja brat twojej żony”. Wówczas poprawił się, że szczeniak nie z kształtów, a z duszy, co z siostrą nie ma nic wspólnego. Tala poczyną interweniować. „No, kiedyż widzisz, ja jemu po prostu w twarz charkam i pluję, a on — nic, leży i śmieje się”. A ja rzeczywiście leżę sobie na kanapie i śmieję się w najlepsze. No bo i rzeczywiście! Może obrażać się na niego? Nie! On broni przede mną Talę. On! Talę!!! [...]

Dnia 24 stycznia 1943 roku, niedziela. Jadę rano do Leśnik. Jurek też wybiera się. Na dworzec wyszedłem wcześniej niż on, a rano nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Ale na dworcu spotkaliśmy się. Mimo że tego spe-

⁵⁰⁰ Pracujący na roli.

cjalnie nie pragnąłem (nie wiem, jak on), ale tak wyszło, że gdy poczęli wypuszczać na peron, byłem tuż za nim. Gdy wyszedłem na peron, on właśnie odchodził od jednego wagonu — nie znalazł tam miejsca. Ja do wagonu. Był jeszcze prawie pusty. On za mną. Ja zajmuję miejsce, on na przeciw mnie, mimo że były jeszcze wolne inne przedziały. Kupiłem przedtem dwie gazety, polską i litewską. Tę ostatnią, aby zobaczyć program teatru. Gdy wyjąłem je, on prosi o litewską. Potem oddając mówi: „Widzisz, tu jest program na cały tydzień”. Aha — więc tak... W Leśnikach już ze sobą rozmawialiśmy. Ktoś trzeci na pewno nie domyśliłby się naszej wczorajszej dyskusji. On stosunki znowu nawiązał. W Leśnikach nic nowego. Światła jeszcze nie ma, gdyż z powodu złego połączenia z akumulatorem ten nie mógł być naładowany. Ale chyba już wkrótce będzie. Z powrotem wracamy dziś. Pociągi chodzą tak punktualnie, że w Wilnie byliśmy po jedenastej, na Lwowskiej po dwunastej. Och, co to była za podróż. Szczególnie ten marsz do Starych Trok, a potem odwrót, gdy usłyszeliśmy gwizd odchodzącego z Trok pociągu. Po kolana prawie w śniegu, wiatr, ciemno, na karku pas z walizą...

Dnia 26 stycznia 1943 roku, wtorek. Hurra! Dostałem bilety! Dostałem bilety bez niczyjej łaski. Bez łaski Kobeckich! W sobotę więc idziemy na „Trawiatę”. Hurra!

Dnia 30 stycznia 1943 roku, sobota. Mróz znacznie mniejszy niż jeszcze kilka dni temu. Zaledwie kilka stopni. Idę więc na Zwierzyniec, a potem, razem na Pohulankę. Miejsce co prawda nie było zachwycające, ale to nic. Oprócz tego wszystko dobrze. Żenia ciągle mnie „męczyła” ciastkami. Muzyka ładna, nastrojowa. Tylko ciągle ta litewszczyzna! Gdyby nie to, byłoby całkiem dobrze. Ale zrozumieliśmy wszystko.

Dnia 31 stycznia 1943 roku, niedziela. Mieliśmy jechać wszyscy, ale że Jerzy zgubił swą przepustkę, więc jadę tylko ja jeden. Pociągi na Kowno i Dynaburg⁵⁰¹ nie chodzą. Dziś zaś ostatni dzień do Oran i Mińska. Już widać nie w głowie im ludność cywilna. Chodzi o to, aby jak najwięcej wagonów i lokomotyw uzyskać dla swych wojskowych celów. Nie wiadomo jeszcze, co będzie z trockim pociągiem. Jeżeli i ten nie będzie chodził, to nawet niezbyt przyjemnie. Na cały dzisiejszy pociąg dali dla cywilów jeden wagon. Co tam się działo, można wyobrazić. Zmieściła się tylko znikoma część podróżnych. Potem zdobyli się jeszcze na dwa przedziały. Ja wlażłem. Co z resztą, nie mam pojęcia. W Leśnikach zastałem Jula. Ten ukończył już instalację w kancelarii. Już nareszcie jest światło.

⁵⁰¹ Obecnie Daugavpils.

Tylko coś tam nie w porządku z reglerem — automatem, regulującym ładowanie akumulatora. Począłem go prawić, ale wiatr pod wieczór ucichł, więc nie było jak sprawdzić. Biorę więc go do Wilna. Jedziemy dziś na pociąg do St. Trok, w obawie powtórzenia się zeszłoniedzielnej historii. Do Wilna dojechaliśmy dobrze.

Dnia 1 lutego 1943 roku, poniedziałek. Do budy nie idę, muszę bowiem rozparcelować przywiezione wczoraj mięso. Po mieście chodzą strachy, ciągle mówią, że będą przeprowadzane obławy, aczkolwiek dotychczas zostaje tylko na gadaniu. Z tego powodu ruszyłem do miasta dopiero pod wieczór. No i szczęśliwie pozbyłem się towaru, pozostawiając w zamian 500 rb. Potem poszedłem do Miszki. Lubię z nim przebywać! Ciągłe węsoły, ciągle z nowymi bajerami. Pała podobnymi do moich uwielbieniami Julusia i jego najbliższych. Opowiada, że spotkał dziś jednego Litwiaka ze swej klasy. Ci w mocnym strachu. Ciągłe obawiają się obław i mobilizacji. W Kownie podobno w ostatnich dniach były jakieś rozruchy. W zeszły czwartek na warsztatach miałem możliwość przekonania się o uczuciach Litwinów. Ciągłe mnie dopytują, jak to będzie po wojnie, czy będzie „wolna Litwa”. „Ech, powiadam im, żeby nie te wasze ‘partyzany’ — może by jeszcze coś wyszło, a tak — trudno będzie”. Wszyscy są już przekonani o przyszłej klęsce „Wielkich Niemiec”. Chociaż jeszcze marzą o „Wielkiej Litwie”. Marzcie! Któż wam może zabronić? Macie jeszcze do wiosny czas! Jeden z nich, nazwiskiem Mogilnicki, tenże sam, który był w jesieni zastępcą kierownika w Gobach, powiada mi we czwartek: „Zobaczysz jeszcze, jak oni na wiosnę do spodni...” Uśmialiśmy się serdecznie.

Dnia 3 lutego, 1943 roku, środa. Wybierałem się jechać do domu wczoraj, ale mi pociąg odszedł sprzed samego nosa. Jadę więc dziś wieczorem, trockim. Dziś mam towarzysza: Romki⁵⁰². Ten wczoraj przyjechał z Leśnik, aby iść do swych Bukiszek. Wczoraj poszedł, a dziś już powrócił ze wszystkimi swymi tłumokami i pakunkami. Po prostu wypędzili go ze szkoły, takim był przykładnym uczniem. No i nic dziwnego. Większość czasu przebywał w domu, a i wówczas, gdy odwiedzał szkołę, też chyba bardzo o dobrą opinię nie ubiegał się. Co on teraz będzie robić, nie mam pojęcia. On chyba też nie bardzo wie. Może myśli poważnie, że po wojnie pójdzie na kilkumiesięczne kursa i zostanie inżynierem, jak to któregoś razu powiedział? To mi będzie inżynier!!! Na razie zaś rodzice mają pociechę. Przynajmniej będą wiedzieć wszystkie nowiny z placu, tartaku i baraku. Do Leśnik przyjechaliśmy około dziewiątej. Udawał on bardzo

⁵⁰² Romek — brat autora. Odmiana gwarowa.

zbiedzonego, przesiedział przez cały wieczór na krześle z głową na poręczy, nie przemówiwszy ani jednego zdania (dlatego chyba, że nie mógł znaleźć chętnych do dyskusji) i potem poszedł spać. Jutro już pewno będzie w lepszym humorze, a o wizycie na tartaku na pewno nie zapomni. Tak więc zakończyły się zmagania z losem o tytuł agronoma.

Dnia 4 lutego 1943 roku, czwartek. Poszedłem do Trok, gdyż było tam zamówione mięso. Wziąłem 13 kg, zapakowałem i zostawiłem w Trokach, po czym wróciłem do domu. Zastałem tu jak raz Isaczka. Skorzystałem z jego grzeczności i przyjechałem z nim potem do Trok na pociąg. Ten odszedł dziś wyjątkowo o czasie. W Wilnie był o dziewiątej. Przy wyjściu z peronu stoi Niemiec. Pokazuję mu przepustkę. Walizkę postawiłem obok. On pyta, czy to moje prawdziwe nazwisko na przepustce. Mówię, że oczywiście, tylko jest mała omyłka: zamiast „i” napisali „a”. (Napisano Pa-leckis) Wówczas pyta, po co jeżdżę do Wilna. Mówię mu, że uczę się. „A gdzie, tu w Wilnie czy w Mickiniai?”. (Nie mógł wymówić Miszkiniai⁵⁰³.) Powiadam, że tu, w Wilnie. „A, to — powiada — jeździsz i spekulujesz?”. „Ależ nie, skądże — oponuję. — No oczywiście, jadę do szkoły, to muszę coś niecoś wziąć, ale spekulować? Nein”. „Tak, tak — on na to — ale gdybym tak zobaczył do walizki, to bym na pewno coś znalazł”. Ładnie bym wyglądał, nie ma co! — „Spekulujesz?” „Nie.” — Tyć do walizki, a ona pełna mięsa! „Ale — mówi na koniec — ja na to zamyskam oczy. Może pan iść”. Zapytałem go, która godzina i poszedłem. Ładnie bym wyglądał, ładnie!

Dnia 7 lutego 1943 roku, niedziela. Wczoraj wieczorem byłem na Mo-niuszki. Bardzo się dziwili, jak mogę chodzić po nocach, gdy na ulicach tak łapią, ale mi się jakoś nic nie stało. Umówiliśmy się wczoraj, że dziś pójdziemy na sanki. Tala z Jerzym pojechali wczoraj do Leśnik, a ja jeszcze przed południem wybrałem się na zachód. Po drodze zaszedłem na Tartaki, potem do Miszki, no i dotarłem wreszcie do celu. Wprawdzie z początku nie byłem zachwycony projektem saneczkowania, bo jest dziś odwilż i mokrowato, ale w końcu byłem zachwycony. Poszliśmy na Karolinki. Całe rodzeństwo Kobeckich i ja. Pierońskie tam zjazdy. Po prostu cudownie. Gdyby do tego był dziś maleńki mroźnik, no to całkiem palce lizać! Mie-liśmy dwoje saneczek, jedno mniejsze, drugie trochę większe. Na mniejszych jeździła Irena, na większych — nas troje. To mi się zbyt mocno nie podobało, wolałbym bowiem jeździć we dwoje, ale z tym ostatecznie można było się pogodzić. Wywróciłem ich tylko raz, ale za to tak, że odle-

⁵⁰³ *Miškiniai* – lit.: w Leśnikach.

cieli od sanek na przynajmniej metrów pięć. Szkoda tylko, że niedużo mieliśmy czasu. Potem oczywiście musiałem zająć na obiad, a po takowym przesiedziałem do szóstej: naklejaliśmy, a właściwie wycinałem w kartkach albumu otworki na fotografie. Wreszcie wyruszyłem do domu. W butach — jezioro. A na Lwowskiej już się porządnie niepokoiłi moją długą nieobecnością. I tym, gdzie jadłem obiad?! No oczywiście, na Tartakach.

Dnia 11 lutego 1943 roku, czwartek. Przyszedszy ze szkoły, zastałem w domu Mamę. Przyjechała dziś koniem i — o losie — przywiozła z 35 kg mięsa. O Boże! A cóż z nim robić. Jeszcze 10-15, no, z biedą można opchnąć, ale 35! Poszedłem więc wieczorkiem do miasta. Dowiedziałem się, że na Zwierzyńcu potrzebuje się większą ilość na *mila*⁵⁰⁴, które ma być w niedzielę u mego instruktora, Maleckiego⁵⁰⁵. Idę tam, spodziewając się, jak mi powiedziano, jakichś 15 kg, a tu raptem — 3. Jutro się też chyba nabiegam porządnie. O szkole nie ma co myśleć.

Dnia 12 lutego 1943 roku, piątek. I stało się, jak przewidywałem. Od samego rana do samego wieczora latałem jak dziki po całym mieście, aż wreszcie po wielkich mrożach część opchnąłem. Część jeszcze została, ale to już głupstwo. Namęczyłem się, jednym słowem, do syta. Nie, więcej na razie z mięsem nie zadaję się. Chyba może potem, gdy zmieni się sytuacja.

Dnia 13 lutego 1943 roku, sobota. Jedziemy z Mamą do Leśnik. Tym razem nawet dobrze się udało, bo ze St. Trok była jak raz drezyna. Spotkałem przy tym Zenka [Mataczyń]. Siedziałem obok niego i suwałem korbą, nie wiedząc nawet, że to on. Potem dopiero, gdy odezwał się do niego Kai-cziulis, skombinowałem, z kim mam do czynienia. Siedzi więc w domu, o ile siedzeniem w domu można nazwać pracę na kolei. Dojechaliśmy więc dobrze. Światło w Leśnikach jest, jakby powiedzieć, tylko na pokaz. Do szerszego użytku jeszcze nie doszło, trzeba bowiem będzie przewijać chyba dynamo. Gdy jest bardzo silny wiatr, wówczas ładuje, ale gdy tylko trochę osłabnie, już nie ma nic, mimo że śmigło jeszcze kręci się. Brakuje więc jeszcze dwu rzeczy i przewinięcia dynamo, i zainstalowania wibratora, który przerobiłby 12 V na 100-120 V do radia. Wówczas będzie już można korzystać na całego.

Dnia 15 lutego 1943 roku, poniedziałek. Podróż dzisiaj miałem wspaniałą: rano do Trok, gdzie okazało się, że pociąg już ze 40 minut jak poszedł. Potem w kompanii jakiegoś kolejarza piechotą do Landwarowa. Tam, na szczęście, udało się od razu zagрузić się do wagonu. No i potem,

⁵⁰⁴ Urodził się Aleksander Malecki (1943–2008), syn Eugeniusza.

⁵⁰⁵ Eugeniusz („Żeńka”) Malecki (1918–1980), syn Jakuba, nauczyciel w technikum.

oczywiście z dłuższymi postojami, jazda w budce towarowego wagonu. Do Wilna przyjechałem koło dziewiątej. Do budy poszedłem na piątą lekcję i — okazuje się, że całkiem niepotrzebnie, bo właśnie Litwiaki szli do sali na akademię. Jutro bowiem rocznica „litewskiej niepodległości”. I rzeczywiście, dziś można to święto obchodzić tylko jako rocznicę dawnego święta. Ale oni nic sobie z tego nie robią. Powystrajali się jak na bal, a każdy do tego przypiął trójkolorową wstążeczkę. Gdy tylko zobaczyłem, co się święci, wziąłem obydwóch Misków [Abkowicza i Firkowicza] pod pachę i wyprowadziłem z budy.

Dnia 22 lutego 1943 roku, poniedziałek.

„Dni się wlokły i godziny. Jak ołów
Szare było niebo nad umarłym krajem.
Cóż, nie ma Polski? Nieprawda! Być musi!
Muszą Orły zakwitnąć na polskich sztandarach.
Trzeba pracy! Trzeba pracy ogromnej,
Pracy skrytej przed wzrokiem najeźdźcy i wroga...”

Było to lat temu kilka. Chodziłem jeszcze wówczas do szkoły powszechnej Nr 1 na Żeligowskiego i uczyłem się, jak i cała szósta klasa, wiersza z „Płomyka”. Mimo że, jak już powiedziałem, było to kilka lat temu, wiersza całkiem jeszcze nie zapomniałem. Dziś przypomnieli mi się jakoś i nasunął pewne porównania: „Dni się wlokły i godziny. Jak ołów, / Szare było niebo nad umarłym krajem...”

Miało to być jeszcze przed tamtą wojną. A dziś? A dziś historia rzeczywiście się powtarza. Dziś tak samo, jak kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, tak samo, jeżeli nie znacznie gorzej... Dni się wloką, wloką się tak beznadziejnie, że po prostu nie sposób tego opisać. Niebo także szare, szare gorzej niż ołów, bo i ten ma jaśniejsze odbłyски. A tu nic, absolutnie nic. Szarzyzna bezdenna, jako na niebie, tak i na ziemi, czy raczej jako na ziemi, tako i na niebie. Bo mało tego, że jest szaro w ludzkim sposobie bytowania, w ludzkim umyśle i sercu (A może? A może nie tak już całkiem szaro we wszystkich sercach? Może właśnie niektóre...?), a po prostu w skrócie: w ludzkim życiu zewnętrznym i wewnętrznym. Jakby na dobitkę szarzyzny niebo też jest od rana do wieczora zasnuwane szarymi chmurami.

Kiedyś, będąc w szóstej klasie, umiało się cały wiersz. Mówiło się go kilka razy, ale mówiło się, po większej części nie rozumiejąc treści. To znaczy nie w tym znaczeniu, że się słów czy zdań nie rozumiało, ale w tym, że sensu głębszego nie doszukał się chyba nikt. „Szare było niebo”, no to dobrze. Niech sobie będzie, że szare. „Może i rzeczywiście chmur było

dużo?”. Dziś rozumie się aż nazbyt dobrze, co oznaczało to małe słówko. I kiedyż wreszcie koniec tej szarzyzny będzie — Bóg raczy wiedzieć. Całe szczęście, że już jakoś wiosna się zbliża. Może, gdy ona obejmie ziemię w swe władanie, wyjaśnienie trochę nie tylko od zewnątrz, ale i wewnątrz.

„Trzeba pracy, trzeba pracy ogromnej”... Zaczynam więc na nowo pracować! Po krótkim odpoczynku, zaczynającym drugie półrocze, poczynam znowu brać się do roboty. Na razie daję jeszcze spokój lekcjom, bo utwierdziwszy swoje drugie miejsce w klasie w pierwszym półroczu, pocznę starać się o pierwsze w obecnym, po jakimś jeszcze, bliżej nieokreślonym czasie. Na razie zaś pragnę gorąco dostać się do porządnej biblioteki (obecnie i to nie jest bardzo łatwe) i potem począć coś tam porządnego szukać. Oczywiście nie Marczyńskiego, Wallacego czy też Karola Maya. To niech zostanie dla innych [...].

Dnia 23 lutego 1943 roku, wtorek. Klasa nasza raptem opustoszała. Dziś jeszcze było prawie normalnie, ale jutro będzie chyba znacznie inaczej, bo dziś Litwokasy zbierają się na moc i potęgę do wyjazdu. W Wilnie poczyną podobno robić się ciepłowato. Nie wiem, czy można temu wierzyć, chociażby w 60%, ale całe miasto poczęło raptem mówić o bliskiej mobilizacji. Mimo że temat ten jest już poruszony prawie od dwóch lat, z dłuższymi czy krótszymi przerwami, to w takim stopniu nie było jeszcze ani razu. Litwiaki aż się rwą do obrony swych granic od niebezpieczeństwa bolszewickiego, ale o wiele więcej pociąga ich ku sobie ciche gospodarstwo na Litwie, kącik za rodzicielskimi plecami, a do tego brak głodu na słoninę. Ten, kto kiedyś pierwszy szedł jako „partyzant” mordować bolszewików, a potem Żydów, dziś pierwszy daje nogę z Wilna. Pierwsi do wszystkiego. W przyszłości pierwsi chyba poczną mordować swych obecnych sprzymierzeńców. Bohaterzy! A niebezpieczeństwo zbliża się. Padł Stalingrad, padł Rostów, padł Charków, Woroszyłowgrad, Orzeł. Padnie chyba jeszcze niejeden punkt. Ta armia, o której Goebbels powiedział jeszcze w 1941 roku, że jest już złamana, trzeba ją tylko dobić, otóż taka to armia prze na łeb na szyję dotychczasowych zwycięzców ze wszystkich prawie pobojuwisk. Dlatego właśnie Niemcy starają się pozbierać z całej Europy wszystko, co tylko można, aby tę armię jak najprędzej „dobić”. Rzeczą więc bardzo możliwą, że mobilizacja do skutku dojdzie. W ogóle okupanci, czy raczej „wyswobodziciele”, łapią co tylko mogą. Onegdaj, zdaje się 13 lutego, rozstrzelano w Trokach czterech robotników, którzy nie oddali podatków. Wyprowadzili na rynek i na oczach przymusowych widzów postrzelali wszystkich jak psów, z pistoletu, po kolei. Podobno to samo było

w każdej gminie. Teraz chłopci podatki wiozą, aż się kurzy. Ale żeby tym się bardzo nie przejmować, kupiłem dziś bilety do „Ali Baby”. Wieczorkiem wybrałem się na Zwierzyńiec, a tam w ogóle nawet i słyszeć o tym nie chcą. To znaczy nie wszyscy, bo Żenia nie ma nic przeciwko temu, ale starsza generacja — nie ma co i mówić. Takie czasy, powiadają, że tylko w domu siedzieć. W ogóle jakoś są oni bardzo chmurni. Może z powodu p. Michała, który się skrywa, a z powodu takiego obrotu rzeczy jemu też ciepło chyba się robi. „Gdyby — powiada p. Anna — nie było innych bied na głowie, no to jeszcze, ale tak, do tych wszystkich dodawać sobie troskę o córkę, gdy jej w domu nie będzie, to już za dużo”. „Przecież dziewczynkę jeszcze nie mobilizują” — mówię — ale i to nie pomaga. No więc pójdziemy z Miszkciem.

Dnia 24 lutego 1943 roku, środa. I rzeczywiście! Dziś klasa zaledwie w czwartej części swego normalnego składu. Reszta chyba wyjechała. Do domu wróciłem wcześniej niż zazwyczaj, po czterech lekcjach, bo z reszty najechaliśmy z Miszkciem. Potem przyszło postać w kolejce. Na ogół nie jest już zimno, więc czynność ta nie była bardzo uciążliwa. Śniegu już prawie całkiem nie ma, tylko na jezdni, gdzie był on mocno zbity, nie zdążył jeszcze całkiem stajać. Na jezdni więc jest małe błotko. Raptem z daleka dolatuje śpiew. Idą Niemcy. Jakże odmienny widok od tego sprzed pięciu minut, gdy to wracali z pracy jeńcy sowieccy. Ci ledwie wlekli nogi w kłumpiach umocowane, tamci idą z pieśnią na ustach, na wesoło. Szach, szach, szach, szach — dolatuje poprzez słowa piosenki miarowy takt butów uderzających o mokre i pobłocone kamienie bruku. Na przedzie wystrojony oficer, z tyłu zwykle żołnierzyki, obładowani jak juczne konie wypchanymi plecakami i jeszcze jakimiś pakunkami, skrzynkami. Widać, jak każdy stara się chylić w przód, aby zrównoważyć ciężar ciągnącego plecaka. Śpiewają ciągle. Niektórzy, mogący widzieć trochę, a może i całkiem dobrze rozmawiać po polsku, krzyczą, aby pieśń przekrzyczeć: „Do widzenia, matko!”. Słowa skierowane do kobiet stojących w kolejce. „Do widzenia, cyganeczko!” — krzyczy inny. Inni machają tylko rękami na pożegnanie. Tych los chyba niesie na front. „Ech, wy pierony! Straceńcy!” — pomyślałem. Pieśń urywa się. Dalej idą milcząc. Nie wszyscy jednak. Niektórzy, nawet duży procent, krzyczą raz po raz: „Do widzenia”. Tak, to na front. Pod paszczę armat, pod gąsienice czołgów, pod bomby samolotów, pod granaty, szrapnele, kule... Przechodzą, kiwając się z nogi na nogę, pod ciężarem plecaków. Setki nóg niesie topniejący śnieg. Teraz odgłos już nie miarowy, sprężysty. Trochę więcej rozciągnięty, ślamazarny. Szaach — szaach...

Minęli. Już czoło wchodzi na zielony most. A może i nie taka między nimi różnica. Między tymi w klumpiach i tymi, co właśnie przez most przechodzą. Po pewnym czasie nadciąga drugi oddział. Ten trochę krótszy, nieśpiewający. Teraz już nie myślę: „pierony”. Raptem pocynam myśleć o tym, że wszak oni na śmierć — późniejszą czy wcześniejszą. Czy który wróci? Spojrzałem na ich piersi. Pod tym zielonkawym mundurem hitlerowskiego żołnierza — może niejedno serce szlachetne, niejedno bijące przyjaznym rytmem. Pod niejednym, pod wszystkimi chyba mundurami, gdzieś w kieszeni na piersi — fotografie, listy... Niejeden chyba pachnie specyficznie, gdzieś w *Heimacie*⁵⁰⁶ pisany dziewczęcą ręką. Inny może od żony, syna czy ojca. Plecak uwiera, nogi mieszą topniejący śnieg... Ale rozkaz wyraźny, jak słońce: „Na armaty”. Kultura XX wieku! A świat jest wielki!

Dnia 28 lutego 1943 roku, niedziela. Tala urządza dziś swe imieniny. Zaprosiła trochę gości w osobach swych dawnych koleżanek i ich obecnych adoratorów. Za namową cioci Wierzy zaprosiła także i Żenię. Bardzo to mi przyjemnie. Byłem właśnie wczoraj u niej. Poprosiła, abym zaszedł dziś. No więc poszedłem. Przyszliśmy na Lwowską już dosyć późno — była chyba pół do szóstej. Wkrótce też zaczęły się tańce. Ja prawie nie brałem w nich udziału. Chłopców było trochę więcej niżli dziewczynek, te ostatnie były więc *na rozchwat*⁵⁰⁷. Co nie namyśle się pójść już, poprosić, patrzeć — już zajęta. Dopiero gdy usłyszałem, że mają zamiar podawać do stołu, ruszyłem. Właśnie stanąłem u celu jednocześnie z Ilkiem Pileckim⁵⁰⁸. No — powiadam — przyjdzie się chyba na pojedynek wyzwać. Ona ruszyła ku mnie. Wkrótce wciągnięto stół i był to już koniec. Przy stole także nie byłem uszczęśliwiony: z prawej strony siedziała Niusia Czaprocka, z lewej Ilka, dalej Żenia, Żenka Pilecki, Nadzia [z Łopattów Pilecka]... Nie wiem, dlaczego Tala usadawiając gości, nie posadziła nas obok. Dopiero potem sam chwyciłem krzesło i przyflansowałem się. Ale i to nie udało się w stu procentach. No, ale *eto mielocz*⁵⁰⁹. Dość, że humor był niezły, pobawili się dobrze, tylko że na przeszkodzie stoi godzina dziesiąta. Trochę za późno się zebrali. Gdyby tak na czwartą, byłoby trochę lepiej. Trochę po dziewiątej przyszła p. Anna. Potem *na chadu* wynieśliśmy stół, chcąc jeszcze trochę pokręcić się. [...] Poszedłem odprowadzać [...] i przyszedłem szczęśliwie, około jedenastej.

⁵⁰⁶ *Heimat* — niem.: ojczyzna, kraj rodzinny.

⁵⁰⁷ *Na rozchwat* — ros.: rozchwytywane.

⁵⁰⁸ Eliaz Pilecki (1917–1990), syn Owadiasza, „Pedagog”.

⁵⁰⁹ *Eto mielocz* — ros.: to drobiazg.

Dnia 1 marca 1943 roku, poniedziałek. Oto obrazek z dzisiejszej szkoły. Przychodzę do budy na dziewiątą, bo z rana chcę spać. Druga lekcja — hydraulika. Przychodzi zeks, wywołuje mnie do tablicy, abym wypisał wszystkie wzory na obliczanie debitu⁵¹⁰. Ponieważ Litwiaki siedzą w tyle klasy, od czasu do czasu rozmawiamy po polsku. Następnie litewski. Przychodzi Nakaite i poczyną o czymś tam z Litwiakami debatować. O czym, tego nie wiem, bo właśnie czytałem książkę. Czwarta lekcja — fizyka. No, tu i mówić nie ma o czym. Kiedyś, gdy jeszcze uczyliśmy się, Grykenis opowiadał nam kawały. A teraz? Teraz w ogóle mało co mówi. Przyszedł, usiadł przy katedrze, wziął głowę w ręce i tak siedzi. Litwiaki o czymś rozmawiają — ja czytam. Piąta lekcja — mechanika. Spotykam Skawińskiego na korytarzu. Pytam, czy będzie lekcja. On mówi, że jeżeli są uczniowie, to muszą być i lekcje. Ja mu na to: „To my możemy zrobić, żeby uczni nie było. Panu profesorowi jeszcze lepiej. Nie?”. A on na to: „No to tylko tak, żeby nikt nie wiedział”. I idziemy do domu. Czyż warto więc siedzieć w Wilnie? Chyba nie. Jedziemy więc z Miszkiem do domu. Na jak długo, na razie nie wiadomo.

Dnia 4 marca 1943 roku, czwartek. Z powodu wielu interesów wybrałem się dziś do Strakiszek. Zaszedłem do Baranowskiego w sprawie śmigła do dynama (ostatnio wiatr połamał śmigło i porwał druty). Potem zaszedłem do Stefki. Idę i myślę sobie: „Zajdę, powiedzą, że jej nie ma, że gdzieś wyszła, no i wszystko. Otwieraj drzwi i najeżdżaj”. Zachodzę. Spoglądam. I cóż widzę? Stefcia siedzi przy oknie i wiąże coś na drutach. Rozglądam się po mieszkaniu. Nikogo nie ma. No wiecież państwo! Bywają zdarzenia jak w bajkach, ale bardzo rzadko. Aż tu proszę! Jak na zamówienie. No więc sadowię się obok niej na ławie, winszuję z szybkim zamążpójściem (podobno na Wielkanoc ma być ślub), ona oczywiście wmawia, że to nieprawda, no i tak lecą minuty. Po podłodze posuwa się jasny kwadrat, czy raczej prostokąt oświetlony promieniami słońca. Za oknem topnieje śnieg. Do słomek strzechy przymarznięte, a poruszane wiatrem rażno huśtają się sople zmarzniętej jeszcze w zimie wody. Pod promieniami słońca topią się i krople padają na ziemię. Już prawie wiosna! Mówimy więc o tym i owym, a właściwie o niczym. To ciekawe! A jednak mówimy. I nie ma takich ponurych przerw w rozmowie, jak to się często zdarza podczas „debatów” z Żenią. Przez okno widzimy brata Stefci. Ten jednak długo w chacie nie zabawił. Znowu jesteśmy sami. Ale o to przychodzi znowu kilku chłopaków. Siadają na ławie, potem przychodzi jeszcze kilku. To już za-

⁵¹⁰ Debit — objętość przepływającej wody.

nosi się na dłużej. Mam jeszcze iść w sam koniec wsi. Idę więc. Ona aż za drzwi wybiega. Gdy wracam — widzę ją przez okienko. Macha na mnie. Podchodzę do szybki: „Chodź, nikogo nie ma”. W chacie czuć trochę samogonem. Okazuje się, że te szkiety⁵¹¹ chcieli wódki, a przy mnie nie chcieli brać. Więc usadowili się pod ścianą i czekali. Przysuwa się całkiem blisko do mnie.[...] Widzimy znowu brata. Odsuwa się błyskawicznie.

Dziś wybieram się do Wilna. Przed wyjazdem jakoś z rozmowy doszło do tego, że Mama powiada mniej więcej w ten deseń, żebym podczas swych wizyt przy ul. Moniuszki był trochę bardziej uważniejszy, bo tamte „trzy baby” mogą mię tak wplątać, że potem będę jak ryba w sieci. Dla porównania: Sosza⁵¹² dotychczas nie rozmawia z Babunią za to tylko, że kiedyś wuj Michał [Firkowicz] asystował mocno jej córce, a potem się z nią nie ożenił. Tak że żebym był na ostrożności. Bo do Mamy doszły już wieści o tym, że nawet na obiady mię zapraszają, że listy do mnie przysyła. Jeden był — w skrócie takiej treści: „Przyjdź wcześniej, bo w Ali Babie seans rozpoczyna się o 4³⁰”, drugi zaś: „Niestety, do Ali Baby pójść nie będę mogła” — (to dodaję od siebie) przez swego brata itd. Dla porównania: Szurka Nowicki był zaproszony na obiad do Leśnik wówczas, gdy już, już coś miało wyjść między nim a Talą [...]. [...] Może ciocia Dusia⁵¹³ gdzieś u krewnych czy znajomych słówko rzekła, mogła też ciocia Raja⁵¹⁴ (tfu! z tymi ciociami!) coś bąknąć. A czyż dużo trzeba karaïmskim kumoszkom, które nawet z niczego coś mogą stworzyć. „Słyszeliście? Listy przez brata posyła. No, no, to się zanosi...” czy coś w tym rodzaju. No i oczywiście całe Troki muszą już grzmieć. Albo na obiad zapraszają chłopca. Najprawdopodobniej Łopattów, a raczej Łopattowych i Łopattówien robota. Bo nie mogę sobie wyobrazić, żeby Kobeccy to rozgłaszali. Chociaż... Troki... Troki!!! Do czegoście doszły! Zgnilizna, całkowita zgnilizna moralna. Tfu! Że też tym babom języki nie spuchną czy skołowacieją. Trzeba to tak ten fach plotkarski upodobać. Tfu i jeszcze raz tfu. Ktoś kogoś na obiad zaprosił, ktoś komuś kartkę przysłał — a już więcej jak pewne, że polują na chłopca! Szkoda tylko, że nikt nie widział nas na operze. Bo już w Trokach te zasiedziałe baby dyskutowałyby. [...] O żebyż was — ze względu na bliskie pokrewieństwo niektórych z tych cnotliwych niewiast nie mogę wzywać na pomstę sił, którymi władają niebiosa, szczególnie podczas letniej ulewy! Swoją drogą wdzięczny jestem Mamie za tę przemowę. Bo chociaż

⁵¹¹ Szkiety — smarkacze.

⁵¹² Osoba niezidentyfikowana.

⁵¹³ Dorota z Łopattów Łopatto (1897–1954), „Dusia”, córka Szymona, żona Markunia, siostra Raji.

⁵¹⁴ Raisa z Łopattów Zajączkowska (1985–1954), „Raja”, córka Szymona.

dotąd między nami nic nie było na tematy obchodzące pragnących wchodzić w związki małżeńskie, to jednak na przyszłość trzeba mieć na uwadze niektóre rzeczy.

Dnia 5 marca 1943 roku, piątek. Poszedłem więc do budy. Już przedtem słyszałem, że ta rozpuszczona jest od 15-tego, ale trzeba wszak samemu się przekonać. Poszedłem. I zastałem pustki. Wszystkie klasy jak wymiecione. Przy kancelarii kilku Litwiaków — chcą dostać przepustki, ale że dyrki nie ma, więc czekają. Rozmawiają oczywiście na tematy aktualne: Litewski Legion. Gdyby wszyscy taką mieli ochotę iść do wojska jak Litwini, zapewne nie byłoby nigdy wojen, gdyby wszyscy tak umieli mordować, na pewno nie byłoby już na świecie Żydów!

Dnia 7 marca 1943 roku, niedziela. Ponieważ z budą nic nie wychodzi, jadę do domu. Na jak długo, tego nikt nie może zgadnąć. Może już całkiem, a może jeszcze cośkolwiek i będzie?

Dnia 11 marca 1943 roku, czwartek. Tatusь był jakoś w Trokach, gdzie słyszał, że będą brać jeszcze trzy roczniki: 1917, 1918 i 1925. Powiada więc, że trzeba iść na tartak, bo stamtąd nie biorą. No, niczego nie popiszesz!⁵¹⁵ Trzeba iść, bo potem może być za późno. Poszedłem więc dziś po raz pierwszy. Z początku woziliśmy kantówki, potem z Miszkiem Ławrynowiczem obliczaliśmy materiał na załadowanie wagonu. Nie zauważyłem jakoś, aby ktokolwiek pracował, tak jak się właściwie pracuje. No i nic dziwnego! Jaka płaca, taka praca. Gdy bierze ktoś deskę do rąk, aby ją gdzieś przenieść, ogląda ją bardzo pilnie, z którejż też strony najlepiej się uchwycić. Potem — zanim się rozprostuje, zanim ją przeniesie, zanim położy i na słońce popatrzy — och, ileż sekund mija. Ja bynajmniej też nie przemęczam się. Ot, aby coś porkać⁵¹⁶!

Dnia 14 marca 1943 roku, niedziela. Ciągłe było słyhać, że od piętnastego ma się rozpocząć znowu nauka. Chociaż ja w to bardzo wątpiłem, jednak do Wilna się wybrałem. Bo i cóż to szkodzi? Na razie jeszcze w *Arbeitsamcie* zameldowany nie jestem, można by więc było w razie czego tartak rzucić, ale jak już powiedziałem, bardzo wątpię, czy zajdzie tego potrzeba.

Przewalałem się cały dzień po mieście, bez jakiegokolwiek celu. Tylko wieczorem znalazłem wreszcie cel. Nie, jak zwykle, wieczorkiem, ale późnym wieczorem, bo przyszli do nas „Paderewscy”⁵¹⁷, był także Jul, musiałem więc czekać, zanim oni wyjdą, wychodzić bowiem przy nich nie

⁵¹⁵ Nie popiszesz — tu: nic nie zdziałasz.

⁵¹⁶ Porkać — popychać.

⁵¹⁷ Anna ze Szpakowskich i Michał Kapłanowscy.

chciałem, gdyż byłoby to zbyt „podejrzane”. [...] Zachodzę. Wszyscy w jednym pokoju zgromadzeni. Oprócz normalnego składu, to znaczy „czterech bab i chłopaka”, siedzi jeszcze jakiś wieśniak. Następuje stereotypowe: *Cztoż słyszno? Kak żywiotie? Cztoż na froncie?*⁵¹⁸ itd. Moje odpowiedzi są tegoż samego rodzaju. Przeważnie z dwóch, trzech słów. Żenia chora, leży w łóżku. Wszyscy wychodzą do drugiego pokoju, ja siadam. Jeszcze tylko p. Tatiana mię męczy: *Kak-że rabotajetie?* — *Choroszo!* (już wiedzą!) — *No, a bolszewiki biut?!* (nie wiem, czy to pytanie, czy oznajmienie) — *A biut, da zdorowo!* — *Pri Charkowie zadierżali Niemcow*⁵¹⁹. Niech będzie, że „zadierżali”, chociaż tam właśnie obecnie Niemcy idą naprzód. Ale to pociągnęłoby jeszcze kilka frazesów! Rąbię więc: *A da, da, zadierżali*⁵²⁰. No i na tym na razie kończy się. [...] Ale czas leci zastraszająco szybko. Zaszła wreszcie p. Anna, kręcąc „na Żeni gardełko” gogel-mogel (co za dzika nazwa, chyba gdzieś od szczepów murzyńskich zapożyczona) i powiada, że już przecież zaraz dziesiąta. Trzeba zmiatać!

Dnia 15 marca 1943 roku, poniedziałek. „Na nas patrzy cała Europa”. Idę do budy. Tuż u jej bram spotykam Miszkę. *Na tiebie! Uczennik!*⁵²¹. Ten wraca już do domu. Ale wnet zawraca i idzie z powrotem. W budzie pustki. W niektórych klasach jest po kilku uczniów, sześciu, ośmiu. W mojej — tylko ja jeden, u Miszki toż samo. Rozmawialiśmy z prof. Gaidzią. Ten powiada, że trzeba trochę poczekać, że w tym tygodniu powinno wyjaśnić się. To samo mówi Nakaite, profesorka litewskiego. Szkoda tylko, że nie udało się porozmawiać z inż. Tarłowskim — hydraulikiem oraz z inż. Pawłowem — od trygonometrii, postrachem całej budy. Powiadają, że gdyby było z jakich czterech czy pięciu, mogłyby być lekcje. Bo na przykład w drugiej drogowej przychodzi jeden uczeń, Ponomarow i zeksy prowadzą lekcje. I... około południa przyszło jeszcze trzech Litwiaków z naszej klasy. Hurra! Więc będą lekcje. Jadę dziś do domu i we środę powracam. Toż samo i Miszka.

Dnia 17 marca 1943 roku, środa. „Hurra” prędko straciło swój blask. I dziś można go rzeczywiście ująć w cudzysłów. Przyjechaliśmy dziś do Wilna. Ja musiałem zająć do domu, miałem bowiem mięso, Miszka zaś od razu poszedł do budy. Gdy szedłem ja, zastałem go przy Zielonym Moście, czekającego już na mnie. Szkoła zakończona! Przyjechało rano pięciu ges-

⁵¹⁸ *Cztoż słyszno?*... — ros.: Co słyhać? Jak życie? Cóż tam na froncie?

⁵¹⁹ *Kak-że rabotajetie?*... — ros.: Jak się pracuje? Dobrze!, No, a bolszewiki biją?! Biją, a porządnie! Pod Charkowem zatrzymali Niemców.

⁵²⁰ *A da, da...* — ros.: A tak, tak, zatrzymali.

⁵²¹ *Na tiebie! Uczennik!* — ros.: A masz ci! Uczeń!

tapowców, wszystkich, którzy się zjawili, zapchali do pokoju nauczycielskiego, wyłamali drzwi od gabinetu dyrektora, a następnie oznajmili, że buda jest zamknięta i żeby uczniowie nawet koło niej nie pokazywali się. To samo jest w Uniwersytecie, tylko z tą różnicą, że tam były i aresztowania. Więc tak! Koniec. Teraz można już ze spokojnym sercem jechać do Leśnik i rejestrować się w *Arbeitsamcie*. Koniec.

Dnia 25 kwietnia 1943 roku, niedziela. I rzeczywiście! Gdyby mi ktoś powiedział teraz, że czas wolno się wlecze, nie uwierzyłbym mu na pewno. Bo i czyż nie? Dawnoż to było, gdy naszą budę rozpędzili, a to, jak dziś spostrzegłem, już przeszło miesiąc upłynął. Dziesiąta część roku! Ale wypadków od tego 17 marca było niemało. Aby zbyt wielkiej luki nie było, postaram się je tak pokrótce, „na kolanku” przerzucić. W kilka dni po siedemnastym, w sobotę to było, nad lasem w stronie Strakiszek ukazały się kłęby dymu. Strakiszki palą się!!! Roweru w domu nie było. Poczekiałem więc na powrót jego z Trok i wkrótce byłem na miejscu. Już było prawie po fakcie. Dymiły jeszcze porozrzucane bele z niedawno jeszcze stojących domów. Stefcia z jakąś jeszcze dziewczyną niosła przez błotnistą ulicę jakiś kosz.

[...] Tak, niedawno stały domy — a teraz już nic. Spaliły się trzy chaty, w tym ta, w której mieszkała Stefcia, oraz kilka zabudowań gospodarczych. Stefcia ze swych rzeczy wyratowała prawie wszystko, oprócz mufki, lusterka i pudru, których to rzeczy, szczególnie tej pierwszej, nie może odżalować. Jej więc jeszcze los się uśmiechnął. Bo np. u Brzozowskiego spaliło się wszystko doszczętnie, nie było bowiem nikogo w domu. U Stefci brata oprócz chaty i chlewa poszły jeszcze cztery owieczki i krowa. Trocka straż pożarna, która przyjechała z wielkim hukiem, prawie niczego nie dokonała, jeżeli nie liczyć tego, że kilka tłących się kup zaleli wodą z motopompy, którą, nawiasem mówiąc, z godzinę chyba ustawiali i zapuszczali. Gdyby wszyscy tak pożary gasili, jak ta właśnie przesławna trocka straż, nie mieliby już zapewne ludzie porządnego domu na świecie.

Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co stało się w kilka dni później. Wybrałem się do Wilna. Było to, o ile się nie mylę, w poniedziałek 5 kwietnia. Wracaliśmy całą *chewrą*⁵²²: Miszka, Marek, Awka [Ławrynowicz]. Jeszcze w Wilnie słyszałem, że w Ponarach poczyną się historia z 1941 r. Tego właśnie dnia przywieziono do Ponar kilkadziesiąt (90) towarowych wagonów. Gdy pociąg nasz dojeżdżał do Ponar, wszyscy pasażerowie stali przy oknach. Na bocznicę nie było już wagonów, tylko obok leżały różne porozrzucane rzeczy. Im bliżej do dworca, tym więcej, wreszcie pojedyncze rzeczy

⁵²² *Chewra* — karaim.: kompania.

przeszły w cały wał nawalonych na siebie worków, jakichś skrzynek oraz starego ubrania. Pierwszy człowiek, którego w Ponarach zobaczyłem, policjant litewski siedział na kupie tych łachmanów i (tegom sam nie dostrzegł, ale mówili Marek i Miszka, którzy lepszy wzrok mają) nawijał sobie na rękę krawat, po czym sunął go do kieszeni. Cały dworzec i perony Ponar roiły się od tych litewskich „bohaterów”. Przez ramiona wszystkich przewieszone lufami w dół karabiny. Jeden z bohaterów, z brzuszkiem o niepośledniej średnicy, opowiadał konduktorowi, że „pierwszy transport szedł dobrze, ale z drugiego próbowali uciekać”. Uch, co za wygląd miała ta jego nalana morda! Tfu! W dali formował się na drodze oddział „bohaterów”! A cóż za widok po stronie dworca. Po peronie chodzą ci, no, nie mogę znaleźć dla nich odpowiedniego określenia! Ci bandyci w najgorszym znaczeniu. Trzeba było ich widzieć. Co za humor, co za pogoda ducha, co za wesołość i chęć śpiewania! Obok peronu, przy korbie od podnoszenia zasłon przejazdowych, płakał jakiś kolejarz. Płakał jak dziecko i o mało sobie ubrania na piersiach nie rwał! Podobno zastrzelono mu omyłkowo żonę!

A tam dalej. Pokazywano mi jakiś kształt, który miał być podobno człowiekiem. I tam dalej, koło drzewa, i tam, tam, po obu stronach uchodzącej w las drogi. Podobno pełno. Jeden prawie przy drugim.

Pociąg rusza. Na szyldzie widnieje napis: Paneriai. Ponary! Czyż kiedyś, przejeżdżając tędy codziennie po dwa razy, mogłem przypuszczać, że takich czasów doczekam?!? Że oto z pociągu będę patrzeć na trupy pomordowanych całkiem niewinnie w większej chyba części. Pociąg jedzie. Tylko minął dworzec i perony, i oto: na odkosie⁵²³, tuż prawie przy torze i trochę dalej pełno trupów ludzkich! Dużo ich jest, sporo! Jeszcze rano byli istotami żyjącymi i czującymi, chodzili i myśleli jak każdy z nas, a teraz oto leżą, jak zwalone pnie. Jedni twarzami w dół, z rękami wyrzuconymi naprzód, inni znów z rozkrzyżowanymi, inni oczy ku niebu zwrócili, jakby o pomstę wołając Najwyższego. Och, pomsta będzie chyba straszna. Gdyby mi kto o tym opowiadał, mógłbym wierzyć czy nie. Ale tu, tu widziałem ich na własne oczy, porozciągane na tylko co oswobodzonej od lodów ziemi ciała, których dosięgły kule skierowane przez litewskich „bojcow”⁵²⁴. W dali, między rzadkimi ponarskimi sosnami widniały kupki ubrań, które już ładowano na samochody. Wieku dwudziesty! Cywilizacja, do której dąży ludzkość przez tysiąclecia! Wczoraj wziąłem do rąk podręcznik polskiego na drugą gimnazjalną. „Mówią wieki”. Mówią i mówią! O tym też powiedzą. Jest w tej

⁵²³ Odkos — nasyp kolejowy.

⁵²⁴ *Bojcy* — ros.: bojownicy.

książce cykl: „Po prawdę i piękno”. Ot wam i piękno. Ot i prawda, do której dążymy! Dziś już trochę ochłonałem, ale wówczas byłem oszołomiony. Zdało mi się, że do Litwina niezdolny będę przemówić. Gdy tego wieczora przyszedł do nas Zubrewicz, nie mogłem nań patrzeć ni słuchać. Wyszedłem do innego pokoju. To jest naród. To są ludzie. Potomności! Wiedz, kim są Litwini. Podczas gdy pod sosnami i krzakami nie ostygły jeszcze świeżo pomordowane ciała ludzi, oni chodzili i śpiewali, oni śmieli się w twarz człowiekowi... [brak stron 411 i 412 rękopisu].

[...] No więc poszliśmy. Potem zaszliśmy na piwo, no i czas już był do domu [...]. Opowiadała o ostatnich swych przejściach [...], jak to zabawiła w mieście z niejakim Lońkiem Pileckim⁵²⁵ (z Litwy) i jak potem p. Anna biegła po mieście, szukając córunki [...].

Gdyśmy wyszli z Literackiej Kawiarni, było już ciemnowato. [...]

Hagada tegoroczne w domu. Lepiej oczywiście byłoby w Trokach, ale coś poradzisz. Tam byłby inny nastrój, ale za to więcej kłopotów. Człowiek zaś, szczególnie dziś, w ciężkich czasach wojennych zmagają, często bardzo zaniechuje trudu fizycznego przeznaczonego dla zadowolenia duchowego. No trudno! Może po wojnie będzie inaczej?

Na pierwszy dzień świąt, we wtorek, poszedłem do Trok. Oczywiście, po obiedzie szmen. Innego zajęcia obecnie w Trokach znaleźć trudno.

Wczoraj natomiast przyjechało z Wilna małżeństwo. Jerzy ma dwa wolne dni.

Dnia 27 kwietnia 1943 roku, wtorek. Doszedłem jednak do wniosku, że w Trokach oprócz szmena nie może być żadnej innej, godnej uwagi, rozrywki. Tak przynajmniej jest z mego punktu widzenia. Jako jaskrawe potwierdzenie tej tezy służyć może dzień wczorajszy: na te kilka dni świątecznych zjechało do Trok sporo młodziży. Oczywiście więc zabawić się trzeba. Jak? Po karaimsku!

Dostawszy od stryja [Józefa] Dubińskiego konia, pojechałem z Miszkiem, który też przyjechał z Turgiel, gdzie obecnie pracuje w punkcie rozdzielczym, otóż pojechałem z nim do Leśnik po Mamę. Wróciliśmy do Trok, zaszedłem do Miszki. Patrzę, idzie cała hałastra, z Faceciankami⁵²⁶ na czele, potem oczywiście Siomka⁵²⁷, Awka itd. Sama elita trockiego towarzystwa. Zachodzą wszyscy do Abkowiczów. Zaszli, rozsiedli się i poczynają „bawić się”. Awka opowiada jakieś anegdoty i kawały, stare jak

⁵²⁵ Leonid Pilecki (1913–?), syn Ananiasza.

⁵²⁶ Córki Szymona Nowickiego „Faceta”: Julia (1922–1977), później żona Towii Ławrynowicza oraz Helena (ur. 1925), później żona Michała Mickiewicza.

⁵²⁷ Szymon Firkowicz (1920–1976), syn Uzii.

świat, potem sam się z nich śmieje. Jedni go słuchają, inni w ogóle nie zadają sobie tego trudu. Bo np. Wowka [Zajączkowski], będący trochę pod gazem, poczyną sobie normalną drzemkę. Ci zaś starają się jeden przez drugiego wygłupiać się. Najczęstszym tematem jest wyśmiewanie się z współbawiących się. Ech!

Poszedłem do Marki [Juchniewicza], gdzie zaraz założono szmena. Bez niego nie ma nic. Gdy na przykład w sobotę takowego nie było, też się zebrało całe towarzystwo i dawaj nawzajem wyśmiewać się. Tak ciągle w tym rodzaju: „naczelnik naokoło stacji” (Miszka Firkowicz), a ty kierownik „Lietukisu”⁵²⁸, ten znowu sędzia, a w przyszłości prokurator (Awuncik⁵²⁹, który pracuje obecnie u sędziego) itd., itd., w kółko i bez końca. Teraz przyjechał jeszcze jeden obiekt: „Gramofon” (zdrobniale od *agronom*), to znaczy Maniuk [Abkowicz] z Bukiszek, który od złośliwszych i bardziej pomysłowych kolegów dostał także nazwę „Kazadoja” (od *dojenia kóz*). No i oczywiście najnowszy okaz: „Punkto vedejas”, czyli kierownik punktu w osobie Miszki Abkowicza⁵³⁰. Tak ot i schodzi zabawa.

Wieczorem, korzystając z wolnego mieszkania Abkowiczów, postanowiono robić zabawę. W tym celu nawet porządnie dziś zmokłem, pojechawszy do Zazdrościa szukać muzykanta, którego jednak niestety nie znalazłem. „Zabawa” więc będzie, tak jak wiele dotychczasowych, przy patefonie. No i zabawa była. Zebrała się cała młodzież, postawiono patefon i poczęto się zabawiać. Gdy patefon grał, było to słyszeć nawet w całym pokoju, ale gdy wychodziły pary, całkowicie zagłuszały muzykę. Pary chodziły więc prawie *na ugad*. Inni natomiast, bardziej pełni temperamentu, z Siomkiem na czele, znaleźli więcej interesujący sposób zabawiania się. Stanęli w drugim pokoiku i gdy kto przechodził, po prostu okładano go z tyłu po głowie i plecach. To mi dopiero było śmiechu i zadowolenia, często urozmaicanego zdaniem: „odejdz, bo dam w mordę” czy czymś w tym rodzaju. Siomka próbował nawet wprowadzić do zabawy szczotkę od podłogi. Tak spędzała bal młodzież. Z powodu jednak niezbyt świetnej muzyki około jedenastej poczęli się rozchodzić. Jeszcze przed dwunastą był koniec. Siomka i Julka pod koniec już się nie bawili. Ta ostatnia bowiem wymówiła temu pierwszemu, że gdy chłopcy trochę popijali i ona u niego prosiła „pociągnąć” z kieliszka, on jej nie dał. Poszli więc poprawiać niegrzeczność wobec panny. [...]

⁵²⁸ Lietukis — sieć sklepów.

⁵²⁹ Adolf Tynfowicz (1924–1995), syn Zachariasza.

⁵³⁰ Michał Abkowicz pracował jako kierownik punktu rozdziału kartek.

Dziś zaś trockie kumoszki mają już temat do walcowania: wczorajsze powodzenie Zosi Pileckiej. Teraz już się nie dziwię całkiem, że chciały one mnie ożenić.

Dnia 30 kwietnia 1943 roku, piątek. Jeszcze przeszło dwa tygodnie temu gazety i radio rozniosły wieść o strasznej zbrodni bolszewików dokonanej w marcu czy kwietniu 1941 roku pod Smoleńskiem w Lesie Katyńskim: strzałami w tył głowy z rewolweru pozbawiono życia 10–12 tysięcy polskich oficerów wziętych do niewoli w 1939 roku. Ofiary mają przy sobie wszystkie dokumenty i odznaczenia, jako też polską walutę. Obecnie przedstawiciele Czerwonego Krzyża współpracując z niemieckimi władzami miejscowymi prowadzą prace nad odkopywaniem i zidentyfikowaniem ofiar tego bestialskiego mordu, dokonanego przez bolszewickich terrorystów. Tak powiadają Niemcy. Bolszewicy natomiast głoszą całkiem co innego. Mówią mianowicie, że wycofując się spod Smoleńska nie zdążyli ewakuować obozu polskich oficerów, wynika więc z tego, że mord dokonali Niemcy. Jest to jednak mało prawdopodobne. Dlaczego bowiem bolszewicy będąc w sojuszu z Polską, nie dali jej rządowi do wiadomości o tym, że tak znaczna ilość polskich oficerów dostała się w ręce wspólnego wroga.

Można sobie wyobrazić oburzenie Polaków i ich rządu, który zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z prośbą o wysłanie na miejsce zbrodni swych przedstawicieli dla zbadania sprawy, którą roztrząsa dziś niemal cały świat.

Przedwczoraj zaś obiegła glob nowa wieść: rząd sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. Krok ten motywują tym, że rząd polski jest w zмовie z Niemcami, że już od wielu miesięcy Sowiety zauważały, iż rząd polski coraz bardziej stacza się w dół („po równi pochyłej”) i że ostatecznie doszło do całkowitej zмовy z Niemcami, która to wyraziła się szczególnie w zwróceniu się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, któremu, jak Moskwa powiada, nie można wierzyć. Współpracując bowiem z Niemcami, narażony jest on na ich wyrafinowaną propagandę, fortele i umiejętność wmawiania. Rząd polski nie zwrócił się natomiast całkiem z prośbą o wyjaśnienie tej zagadki do rządu sowieckiego. Oczywiście nie ominięto okazji do wspomnienia not sprzed kilku miesięcy, gdy to rząd polski chciał omówić zagadnienie granic polsko-sowieckich. Nota sowiecka wówczas powiadała, dziś zaś powtórzyła, że rząd Sikorskiego, „którego całkiem nie wybierał polski naród i którego postępowania całkiem nie idą po myśli jęczącego pod niemieckim terrorem narodu polskiego”, godzi w żywotne interesa narodów radzieckiej Ukrainy, radziec-

kiej Białorusi i radzieckiej Litwy, chcąc ich rozdzielać granicami, nie zaś dążyć do ziszczenia się ich pragnień, do zjednoczenia ich w granicach niezależnych, autonomicznych państw. Na to rząd polski odpowiedział, że nigdy nie godził w interesu radzieckiej Ukrainy, radzieckiej Białorusi i radzieckiej Litwy. Spiker londyńskiego radia szczególnie położył nacisk na słowo „radziecki”. Przecież my się z nim rozumiemy!

Jednym słowem z tego nawału słów wynika jasno — stosunki zerwane, a ileś tam tysięcy polskich oficerów spoczywa w zbiorowych grobach pod Katyniem, inne zaś ileś tam dziesiątków czy setek tysięcy Polaków, których, jak to Sowiety wyraziły się, „z powodu trudności transportowych” nie można było przewieźć do Persji czy też Iraku, zostaną nadal w sowieckim raju. „Rząd polski” (tego wyrazu stara się Moskwa unikać, powiada „rząd Sikorskiego”) zapomniał o tym, że Związek Sowiecki uchronił „tyleż tysięcy Polaków od faszystowskiego terroru”.

Och, co za obłuda! A może Sowiety w 1941 roku naprawdę ofiarowali tyle wagonów i politruków dla ich ochrony w celu wywiezienia z zagrożonych terenów setek tysięcy Polaków, aby ochronić ich od hitlerowskich oprawców?! Może ładując do towarowych wagonów, strzeżonych przez „bojowników za wolność proletariatu, za oswobodzenie go od ucisku... panów”, bojowników w zielonych czapkach z czerwoną gwiazdą, może oni naprawdę działali w interesie narodu polskiego, przede wszystkim zaś w interesie samych załadowanych. Szkoda tylko wielka, że ładując Piątków, Urbanowiczów, Wróblewskich, Nowackich, Kucewiczów i tylu, tylu innych, nie powiedziano im i nam od razu, że to tylko tak, dla ich własnego dobra, dla ochrony ich od przyszłego reżimu hitlerowskich bandytów! Ludzie z czerwoną gwiazdą, symbolu wolności ugniatanego proletariatu! Dlaczegoś nie oszczędził polskiemu narodowi, o któryś tak bardzo dbający, tego wielkiego bólu niepewności? Trzeba było od razu wyjaśnić! Nie potrzebowałyby panie Urbanowiczowe łez wylewać! Powiem jeszcze raz, a gotówem powtórzyć to choćby i 100 razy: och, co za obłuda!!! Obłuda, nachalstwo, do ostatnich granic posunięte okrucieństwo, żelazna ręka, umiejąca wszystkich trzymać za gardło, a w razie potrzeby prac po mordzie, do tego zaopatrzona w nagan z tamtej strony, a w połyskujący automat po tej, mogąca wycelować w tył głowy po tamtej stronie, a dopędzić strumieniem ołowiu uciekających — po tej stronie — oto prawo i zasady, na których opierają się rządy dzisiejszych państw. I obojętnie, kto to jest, czy to osoba z „Czeki”, czy z Gestapo, z Secret Service, czy też z tej, która — jakże się ona tam nazywa? — rozkazy otrzymuje z Białego Domu,

wszystko jedno, zaopatrzeni oni w nagan z zardzewiałą lufą, czy w połyskujący automat, w kamerę gazową czy też w elektryczne krzesło, wszyscy głoszą, że walczą za wolność narodów, za zniesienie tyranii i terroru, za lepsze i jaśniejsze jutro ludzkości. (Ostatnio o „Nową Europę”).

I powiedzcież, kto kogo położy?!? Czy zastanie jeszcze nagan i automat? Czy też całkowite panowanie nad światem ogłosi wszechwładna kasetka z dzwoniącą monetą?

Gdybyż tak było! Bo w każdym bądź razie lepsza jest panująca moneta niżli panujący automat.

A tymczasem miliony kładną głowy!

I dziś naprawdę nie wiem, wspominać to, co Raciniewski opowiadał, czy też przemilczeć. Może nie wspominać, aby znów potem nie rozczarować się? Ale — powiem!

Trocki pracownik poczty Raciniewski powiedział, że przed kilkoma dniami był na pocście list do p. Urbanowiczowej przysłany przez Czerwoną Krzyż. Rozumiemy więc, od kogo! Chociaż owy Raciniewski był wówczas trochę pod gazem, chyba jednak nie bajerował! List został przeadresowany na Druskienniki, obecne miejsce pobytu p. Urbanowiczowej. No, więc jest jeszcze nadzieja. Hurra! Hurra! Ale po obecnym, ponownym przetarasowaniu umów, not i rządów, któż teraz może powiedzieć, jak będzie? Jeżeli udało się mu przejechać przez sowiecką granicę, no to w porządku, ale jeśli z powodu „trudności transportowych” został nadal w „raju”, no to nie wiadomo, czy się zeń zdrowy i żywy wyrwie. Czy mu aniołkowie z gwiazdkami nie robią Katynia! Ale miejmy nadal nadzieję!

Dnia 9 maja 1943 roku, niedziela. Na wsi jest życie!!! Ani razu dotychczas nie oglądałem wiosny w całej jej krasie. W tym roku miałem tę okazję. Bo kiedyś na przykład, jeszcze przed wojną, jeżdżąc do budy po ciążym, wyjeżdżałem z rana, a wracałem wieczorem, potem znowu lekcje, lekcje, słówka, łacińska gramatyka... Tak aż do obrzydzenia. A że się przy tych słówkach czasem z flowerem po lesie przeszło, cóż to znaczyło? A dziś — dziś jest o wiele przyjemniej. Wprawdzie chodzę i teraz z notesikiem z niemieckimi słówkami, ale to już co innego. Od tego jest cały dzień, a i to może — nie „może”, ale na pewno — ma swe znaczenie, że nie ma nad głową profesora, który dwa też może wlepić. Jednym słowem pod tym względem jest trochę lepiej. No i oglądam krasę przyrody. Jeszcze dwa tygodnie temu wszystkie liściaste drzewa świeciły nagimi konarami — zdobędę się nawet na wyrażenie poetyckie i powiem, że stały, żebrząc jakby swymi kikutami całkiem nagimi o jałmużnę. A dziś? Dziś, gdy wie-



Autor przy składowisku tartacznego drewna. Leśniki, czerwiec 1942 r.



Rodzina Pileckich przy własnym świetle. Od lewej: Sławek, Tala, Tata, Romek, Mama.

trzyk trochę dmuchnie, zaraz listeczki, całkiem jeszcze młode, lecz okrywające już zielenią konary, ruszają się jak chorągiewki, wydając romantyczny poszum. Niedawno jeszcze nagie gałązki bzu mają już dziś pączki przyszłych kwiatów, kwiatków o tak cudownej woni. Ale czyż można o wszystkim opowiedzieć? Gdy wejdę do lasu, uderza w zmysł powonienia przyjemny zapach, nie jednolity, lecz harmonijna jakaś wiazanka. No przecie i nie będę się trudził zapach ten opisać. W zimie pamięta się, że są w lesie, w lecie czy wiosną zapachy, ale jakie, tego nikt chyba nie powie. A tu ma się je na miejscu. I to tak wszędzie. Wszak ta ziemia, dziś pokryta trawą niezłej wysokości, niedawno jeszcze była mokrą, czarną mazią uwolnioną od śniegów. Nie ma to w lecie jak na wsi. I dziwię się tym mieszkańcom miasta, a Żeni w pierwszym rzędzie, którzy przedkładają miasto nad wieś. Powiada, że na wsi nie może żyć, że się nudzi czy coś w tym rodzaju. Według mnie można raczej zanudzić się w mieście, między tymi nagimi, nic nie mówiącymi murami niżli tu, gdzie się ogląda życie! Zresztą nie wiem, może to tylko mnie tak się wydaje, mnie, na wpół romantykowi. Ale gdyby mnie nie wiadomo kto chciał przekonać, że mam błędne pojęcie, nie dam się przekonać.

Dnia 11 maja 1943 roku, wtorek. Pojechałem do Wilna. Z powodu wielkiego natężenia pracy w Leśnikach, niestety, na jeden tylko dzień. Do tego miałem jeszcze do sprzedania miód, czasu więc za dużo nie miałem. Zajechałem na pół godzinki do Żeni, zostawiłem u niej swój rower. Myślę, że bezpieczniej mu tam będzie niż u Abkowiczów. Bo tu chyba nie dadzą się tak we znaki wszyscy troje niżli jeden Pizia Poziemski u Abkowiczów. No i trzeba wracać do domu, bo w tym tygodniu sadzenie kartofli, a do tego trzeba coś wreszcie zrobić z tą naszą elektrycznością. Po przewinięciu dynama ustawiłem go bez przekładni, ale okazało się, że to jeszcze nienadzwyczajnie, bo ten aresztant przewinął nie na 200 obrotów, ale chyba na jakieś 350–400. Do tego śmigło nie jest całkiem dobre, bo robione jeszcze w zimie przez Baranowskiego nie ma odpowiedniego wygięcia i nie daje odpowiednich obrotów. Teraz trzeba będzie pojechać do Opaciszek, do Kucki⁵³¹, odlać u niego podstawy pod łożyska i postawić przekładnię. Bo chociaż teraz dzięki stosunkowo silnym wiatrom mamy światło co dzień, ale jest jego tylko tyle, że na drugi dzień mało co w akumulatorze zostaje. I to palimy tylko jedną lampkę i nie siedzimy do późna. Trzeba więc będzie zrobić z przekładnią. Może wówczas nareszcie będzie po ludzku.

⁵³¹ Niejaki Kucko zajmował się śmigłami do elektrowni wiatrowych.

Dnia 22 maja 1943 roku, sobota. We czwartek było siedemdziesięciolecie urodzin Hachana. Akademię i uroczystości z tym związane odłożono na dzień jutrzejszy. Na jutro więc wybieramy się z Tatusiem do Wilna. Rano ma podobno być obchód, potem zaś jakaś *siekiermotka*⁵³². Jakże więc nie jechać.

Dnia 23 maja 1943 roku, niedziela. Wyszliśmy rano na pociąg do Starych Trok. Przychodzimy, a pociągu nie ma. Potem okazuje się, że ten będzie dopiero o dziewiątej, bo zmieniono rozkład. Tatuś więc poszedł jeszcze do domu, ja zaś zostałem czekać, bo jakby tam nie było, ale dodatkowy przemarsz sześciu kilometrów mógłby odbić się nie bardzo dobrze na moim usposobieniu wieczorem. Wreszcie dojechaliśmy do Wilna. Jedzie także cała *chewra* z Trok. Przyszliśmy na Zwierzyniec już w czasie *tiefinła*. Ale jeszcze z godzinkę i dla nas zostało. Potem wszyscy do *midrasz*. Tu porobiono ładne dekoracje i ciągle bez i bez. Co prawda nie całkiem jeszcze rozkwitły, ale w każdym bądź razie pachnący. Po przemówieniu Jego Ekscelencji, w którym zwracając się do młodzieży, podkreślił szczególnie znaczenie religii i języka jako zaprawy murarskiej spajającej poszczególne jednostki w związki, zwane narodami. Potem wystąpił chór z orkiestrą, który wykonał sporo naprawdę ładnych utworów i melodii karaïmskich. Żenia wygłosiła „solo” tłumaczenie jednego z sonetów Mickiewicza, za co potem dostała specjalną uwagę Hachana i kilka gałązek bzu. Wreszcie życzeniami złożonymi Jemu przez przedstawiciela Tatarów, batiuszkę⁵³³ oraz Karaïma (zapomniałem nazwiska, podobno Bachłansza czy Bakłasza, czy coś w tym rodzaju), który przyjechał z Berlina⁵³⁴. No i na tym się kończyło. Właściwie trzeba było już się rozchodzić, aby zdążyć na czwartą na zabawę, ale padał spory deszcz. [...] Korzystając z obecności Gabki z aparatem, zrobiliśmy kilka zdjęć, nie wiem tylko, czy będą dobre, bo było już dosyć ciemnowato. Ale zbliża się dziesiąta. Tym razem p. Anna nie ma głosu, bo właśnie wczoraj powrócił ze wsi p. Michał, który nie chce córce pozwolić na zostanie na noc. W każdym bądź razie p. Anna po naszej stronie. No a ja idę razem z nimi na Moniuszki, aby przebłagać patriarchę. [...] Z początku zdawało się, że już, już zwyciężamy, potem ojczulek wyszedł na naradę z żoną, potem powołali jeszcze córę i wrócili z minami rzadkimi. [...] Wreszcie przychodzi p. Anna i powiada, że chyba nie będzie Żenia chciała robić dla niej przykrości. Że niech się rozbiera. Żenia zdjęła żakiet, potem znowu

⁵³² *Siekiermotka* — karaïm.: zabawa (od *siekiermia* — tańczyć).

⁵³³ Batiuszka — ros.: ojczulek, tu w znaczeniu pop, duchowny prawosławny.

⁵³⁴ Chodzi o Michała (Musę) Kowszanły.

nałożyła, bo trzeba było na dole drzwi zamknąć. Wyszliśmy. Jeszcze trochę postaliśmy, a u niej już prawie łyzy w oczach się kręca. [...] Zaczęłam pocieszać.

Dnia 26 maja 1943 roku, środa. Z Wilna dochodzą ciągle wieści o mającym się podobno odbyć weselu. Mianowicie gość z Berlina, p. Kow-szanły (nie Bakłaszma!) ma się żenić z „Gdańską”⁵³⁵. Jeszcze nic to pewnego, ale w każdym bądź razie ludzie już mówią, a często zdarza się, że ludzie w ogóle mówią to, co jeszcze nikomu się nie śniło. Na razie więc przepowiadają wesele na niedzielę, a jak tam będzie — zobaczymy.

Dnia 29 maja 1943 roku, sobota. Trzeba się wybrać do Wilna. Tym razem jadę bez żadnego prawie powodu. W Wilnie spotkałem na ulicy p. Annę. I cóż się okazuje? Żenia choruje. Już prawie tydzień jak leży w łóżku, źle się czuje itd. A to szkoda! A jutro wesele, tym jakoś razem ludzie wygadali dobrze. Z Turgiel przyjechał dziś Miszka. Opowiada po prostu zdarzenia jak z bajek. Wczoraj wieczorem wyjechał z domu do Wilna, w braku innego środka lokomocji furmanką, z jakimś tam wieśniakiem. Jakież 5 km od Turgiel wychodzą raptem z lasu na drogę dwaj uzbrojeni błaty i powiadają, żeby ci złazili z wozu. Ale że na gierojów popadli, więc dostali od jednego (tnz. Miszki) pałką, od woźnicy zaś batem po karku i ujrzeli furmankę w ucieczce. Wówczas — o zgrozo! — na drogę wywała się jeszcze ośmiu takichże jak pierwsi dwaj. Teraz już uciekać nie było jak. Zostali więc wzięci do niewoli. Musieli zajechać z wozem do lasu, no i przebywać pod rozkazami zwycięzców. Ale Misza też języczek ma, począł więc wmawiać, że on też *komsomolec*, a *tawariszcza* uderzył, bo myślał, że to zwykły zbój jaki itd., itd. Wiadomo wszak, pijanemu dużo nie trzeba. A w kieszonce u wieśniaka literek samogonu na zielonym kamieniu⁵³⁶ był, więc wkrótce *tawariszczy* pochrapywali. Wówczas podróżnicy na konia i w nogi, do Wilna przyjechali dopiero dziś rano. Miał więc Michał przejścia. Żeby bardzo przyjemne, tego chyba powiedzieć nie można, bo jak sam się przyznaje, trochę się trząśł, ale że emocjonujące, to na pewno. W tamtych stronach więcej jednak jest tych nocnych gości niżli tutaj, chociaż ostatnimi czasy i w naszych krajach poczynają się pokazywać. Tam zaś cały czas dolatują ciągle ze wszech stron strzały „bojcow”. No bo i dlaczego nie? Chleb łatwy, strachu prawie że i nie ma, bo policji lepiej kilo masła odebrać czy gdzieś na ulicy psa zastrzelić niżli iść do lasu „partizanów” łapać, po cóż więc pracować?

⁵³⁵ Nina Szpakowska (ok. 1913–1975), córka Szymona, „Gdańska”.

⁵³⁶ „Zielony kamień” to soda kaustyczna lub karbid dodawane do samogonu dla sprawienia wrażenia większej mocy.

Dnia 12 czerwca 1943 roku, sobota. Zielone Świąta. Choć czas mamy wojenny, ale jednak postanowiono zarządzić w Trokach zabawę. Tym razem jednak ma to być zabawa jak się patrzy, nie taka sobie zwykła kręciołka pod patefon. Więc jutro!!! Dziś przyjechali z Wilna Tala z Jurkiem na święta.

Dnia 13 czerwca 1943 roku, niedziela. Z samego rana wybraliśmy się całą rodziną do Trok na *tiefinla*, z tym, oczywiście, aby zostać i na wieczór, względnie na noc. Pogoda co prawda nie nadzwyczajna, ale to ostatecznie nie ma dominującego znaczenia, dość, że pokapać się można było. A do kąpania się amatorów było! Jest Miszka, Wowka i cała trocka szarańcza. Więc wieczorem bawimy się. Tymczasem byli i tacy, którym do wieczora za długo było czekać, pobawili się więc we dniu. Po prostu pobili się jak ostatnie chamy ze wsi (choćaż dziś już i wsi pod tym względem obrażać nie można). I wszystko to jak w większości wypadków — na tle wódki. Głównemu uczestnikowi [...] nie nowina to, bo już nie raz po buzi dostawał, ale dotychczas zdarzało się to na tle dziewczynek, względnie mężatek. Bo np. jakoś na zabawie w zimie pobili się z Awkiem za Tamarę Tymińską⁵³⁷ [...], no ale to już więcej wypada. A dziś? Dziś po prostu za tę trzydziestostopniową wódkę. Szkoda czasu i miejsca opisywać szczegółowo, ale dość, że się poharatali, podbili pompką oko stryjowi Dubińskiemu, którego potem złoczyńcy [...] musieli na posterunku przeproszać, porwali sobie ubrania, a w końcu końców Szurka dostał od cioci Kamili Dubińskiej po twarzyczce. Jednym słowem wyrabia sobie markę. No bo może teraz i nie potrzebuje bardzo o nią dbać. [...] Ale czort ich brał! Wszak dziś zabawa, a to grunt.

Sala taneczna w muzeum. Miejsca trochę jest, na górze bufet, wprawdzie na stołach i ladach też jeszcze miejsca sporo, no ale trzydziestostopniówkę i kilka kanapek można dostać. Względnie ciastko jakieś za markę, za wodę nie płaci się. A to grunt. Bo u nas, gdy się nie wymaga floty, to już wszystko dobrze, można mieć humor, hulać względnie bić po uszach — też przecie bezpłatnie.

Robimy składkę. Podobno swoja kamanda, a Miszki dziś imieniny, trzeba więc pociągnąć, bo do tego jeszcze Rzemieślnicza zakończyła już rok, a rzemieślnicy — naukę.

Miszka oznajmia, że już. Jazda na górę. Jest stolik, a przy nim... Romka Łarynowicz z żoną⁵³⁸, Jona Rojecki⁵³⁹ — przedstawiciel słynnego Ponie-

⁵³⁷ Tamara Tymińska (1917–1988), córka Marka, z Poniewieża, później żona Aleksandra Kozyrowicza (1914–1989).

⁵³⁸ Liza Ławrynowicz (1911–1980), córka Ludwika Jutkiewicza.

⁵³⁹ Johonodaw Rojecki (1911–1976), syn Eliachu, adwokat z Poniewieża.

wieża⁵⁴⁰, no i doktor Nowicki. Ja zrobiłem oczy wielkie. Proponuję Miszkę, żeby odłożyć na potem. Powiada, że potem może nie być zakąski, wyprosić zaś ich też nie ma jak. No trudno się mówi! Muszę więc zgodzić się na przyjęcie szklanki na stojąco, nie bardzo mi się to chce, ale ulegam namowom Miszki. Czegóż się nie robi dla kolegi. Jona jakoś wstaje. Miejsce od razu zajmuje się. Może będzie na tyle inteligentny, że się domyśli. Po jednym ćwiartku czekamy. Wreszcie wstaje i oddała się doktor. Wowik z okrzykiem „hurra” wyciąga ćwiartkę, drugą... Pijemy. Wtem doktor pojawia się znowu. „A — powiada — czekaliście, póki odejdę”. Ciągnie rękę po butelkę, którą nie zdążono schować pod stół, nalewa i pije! [...] Czegoś podobnego jeszcze nie spotykałem. Ot wam i swoja paczka, imieniny i oblanie dyplomów! A swoich i nie widać, bo gdzieś zajęci czy też że miejsca nie starczyło. [...] Ech — *naplewat*’. Bawimy się dalej.

Dnia 22 czerwca 1943 roku, wtorek. Gdy przyjeżdżałem wczoraj i przedwczoraj do Trok, wracałem z powrotem do domu między dziesiątą a jedenastą. Łódeczka, wyspa, zamek czy też róże lub lilie i tak jakoś czas schodzi szybko, że się nie obejrzyysz. W Trokach bawi obecnie Musia [Jutkiewicz] oraz niejaka, bliżej nieznana p. Ala, której stara się uprzyjemnić czas Gabka Dubiński. Dziś więc pojechaliśmy także. Z mojej strony był to już chyba raz ostatni, ale to całkiem nie zmienia postaci rzeczy właśnie w dniu dzisiejszym. Otóż dziś jeszcze jeździliśmy i wracałem do domu już ciemnym wieczorem, po dziesiątej. Wjeżdżając do lasu spotykam raptem Tatusia, który mi daje znać, żebym stanął. Wszystko to odbywa się bardzo cicho i tajemniczo, bez głośniejszego słowa. Tatusi mówi, że jakichś z 20 bandytów ostrzeliwuje Mazon⁵⁴¹, gdzie natknęli się na straż pilnującą toru. „Wywiązała się więc walka na śmierć i życie”. Trzeba więc jechać na policję. Romka, który już w tym celu wybrał się też na rowerze, idzie więc „w odstawku”, ja zaś zdobywam wyniosłości i wgłębienia ścieżki. Z początku, gdy tylko wyjeżdżałem na pierwszą górkę, przeszedł mi po plecach dreszcz — byle prędzej, prędzej. Bić bandytów, żłobów, podpalaczy, morderców, bić mistycznych przedstawicieli czerwonej gwiazdy, która się nie wstydzi grobów w Katyniu, która nie przebiera w środkach dla „zgniecenia burżuazji”. Łańcuch tylko zgrzyta o zęby przekładni, koła szumią, o ścieżkę szorując. Tempo! „Maszyny zdwojoną parą naprzód!” — tak mógłby być nazwany rozkaz. A zdwojenie jest rzeczywiście. Sam nie mam pojęcia, jak

⁵⁴⁰ Poniewież (Panevežys) — jedno z tradycyjnych siedlisk karaïmskich na Litwie. W okresie międzywojennym gmina poniewieska, położona na terytorium Litwy kowieńskiej, została oddzielona granicą od pozostałych.

⁵⁴¹ Miejsowość w pobliżu Leśnik.

biorę te wszystkie zakręty, wzniesienia i przesmyki między dwoma kawałkami zaoranej roli. Pierwszy raz tak jechałem! Gdzieś naleciałem na kamień położony przez pastucha na ścieżce, wnet jednak w ciemność! Troki już prawie śpią. Mijam je jak wariat i wbiegam na policję. „*Banditai*” — krzyczę. A oni: „*Kur?*”, „*Miškiniai*”⁵⁴² — opowiadam i siadam na ławkę. Było ich czterech. Dwóch z karabinami szli chyba na patrol. Służbowy łączy się z komendantem i zaczynają debaty, mocno zakrapiane wyższą strategią. „Jeżeli oni idą z tej strony, to pójdą w tę, a jeżeli z tej, to...” Wreszcie komendant wydaje rozkaz wzmocnienia „placówek” na rogatkach. To znaczy nie wzmocnienie placówek samych, ale tylko ich czujności! Mnie zaś powiada, że nie mają ludzi, bo wszyscy są w terenie. (Przed kilkoma dniami bandyci spalili w Pietkieniszkach trzy gospodarstwa, teraz więc policja sprawia chyba pogrzebową stypę nad zgłiszczami, chcąc jeszcze przygasić je samogonem). Powiadam im: „Jutro rynek, to policja będzie, dziś bandyci — policji nie ma” i chcę wychodzić, potem jednak zaczęliśmy próbować połączyć się ze St. Trokami, z tęże osławioną strażą. Nic jednak z tego nie wyszło. Zabieram się więc jechać do domu. W drodze powrotnej tempo zmniejszone, chcę bowiem przebić oczyma ciemności i odnaleźć teczkę, która mi odczepiła się od ramy w tej szalonej jeździe na policję. Nie ma jednak nic! Dojeżdżam do lasu. Z brzegu, między pierwszymi krzaczkami stoi Tatuś z Mamą i czekają na mnie. Okazuje się, że nic strasznego nie ma. Po chwili zabieramy się i idziemy do domu. Okazuje się, że było to wszystko w ten sposób: gdzieś za Mazonem po torze szła warta litewska, która zobaczyła jadące obok toru trzy furmanki z jakimiś uzbrojonymi mężczyznami. (Nie wiem tylko, jak te „uzbrojenie” dojrżeli około dziesiątej godziny.) Jeden więc z nich, bohater XX wieku, wystrzelił ze swej koczergi⁵⁴³, ponieważ zaś tamci odpowiedzieli, więc strażnicy, chcąc ufortyfikować się w okopach, stoczyli się z odkosu w dół. Dowiedział się o tym skądś Nadeiko, który pełni obecnie czynności Zubrewicza, wywalonego z Leśnik niedawno za jakieś tam machinacje z drzewem i przybiegł z hałasem do naszych Leśnik. Tatuś wyszedłszy z domu, słyszał jakieś strzały, a że tamten twierdził, iż już Mazon ostrzeliwują, więc stąd i strach cały. Na próżno więc jeździłem do Trok, na próżno zgubiłem teczkę, której nie znalazłem i rano, pojechawszy o trzeciej na ponowne poszukiwania. Jednak chyba z tego korzyść to ta, że miałem możliwość jeszcze raz przekonać się o waleczności litewskiego narodu, któremu naprawdę o wiele lżej

⁵⁴² *Banditai*... — lit.: Bandyci! Gdzie? W Leśnikach (*Miškiniai* — litewska nazwa Leśnik).

⁵⁴³ Koczerga — ros.: pogrzebacz.

działać w lesie ponarskim niż w leśnickim. Może dlatego, że tu nie walają się stare krawaty, które można schować do kieszeni. Ech! Wreszcie szkoda słów. Wiemy wszak przecież, że Litwini mają jeszcze w przyszłości pokazać swą waleczność. Wówczas, gdy trzeba będzie się bronić przed Żeligowskimi. „Wszak nasza armia jeszcze nie naruszona”.

Dnia 7 lipca 1943 roku, środa. I tak leci, leci czas beznadziejnie, jedno szczęście, że szybko. Minął już dawno 11 czerwca, kiedy to miała się skończyć wojna, a ona jeszcze i nie zaczyna kończyć się. Stoją fronty już od kilku miesięcy w jednym miejscu i nie wiadomo, długoli będą jeszcze tak stać? Tymczasem giną i tacy, którzy na froncie nie przebywają, którym nie latają nad głowami kartacze, ale którzy wiedzą, czego szukają, którzy nie chcieli pozwolić na przejście do porządku dziennego nad grobami w Katyniu, którzy zdają sobie jasno sprawę z tego, czym są bolszewicy — bolszewicy, co rozwiązują międzynarodówkę, ale w kark jak strzelali, tak strzelają. I dziś oto patrząc na łamy „Gońca Codziennego”, oczom nie chce się jeszcze wierzyć, że te zgłoski, pisane czarnym na białym, to prawda, prawda w najstraszniejszej postaci. „Goniec” Nr 602 z 6 lipca — „Reuter podaje: Sikorski zamordowany”. „Sikorski runął z bombowcem brytyjskim”. „Ostatnie ofiary Katynia. Secret Service sprzątnęło Sikorskiego i generała Klimeckiego”. Goniec Nr 603 z 7 lipca: „Szczegóły katastrofy z generałem Sikorskim”. „Zginęli razem z Sikorskim”. „Wrażenie katastrofy Sikorskiego wśród wojsk w Bagdadzie”. Tak! Był człowiek, chodził, pracował, jeździł do Roosevelta, debatował z Churchillem, tworzył Nową Polskę i oto już trup, wyciągnięty z morza. Już nic nie powie, nie będzie przeciwstawiał się stalinowsko-churchilowskiemu planowi, będzie milczał jak kamień, nie zwróci się już do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o wyświechtanie sprawy Katynia. Tak się robi na tym świecie. Daje się samolot, w którym naraz wszystkie cztery motory przestają działać, z którego cała załoga wyratuje się, a wszyscy pasażerowie, to znaczy gen. Sikorski, szef sztabu gen. Klimecki, córka gen. Sikorskiego — p. Leoniewska, sekretarz generała Kułakowski, adiutant porucznik Podbielski, płk. Marek i płk. Gralewski wpadają w fale, przez które mieli zamiar przynieść nam wolność. I rzecz dziwna: gdy kiedyś ktoś kogoś pokroił nożem, obraził czy — Boże broń — zabił, było dochodzenie, najczęściej pojmanie złoczyńcy, sąd, prokurator, wyrok. A gdy szef państwa wpada do morza — mówi się o defekcie motorów, może też aresztuje się kogoś niewinnego, następnie przechodzi się do tłumaczeń, sprawia się pogrzeb z wartą honorową i może nawet wystrzałami armatnimi na znak, że już

zburzone wszystkie jego dążenia i walki o ogół — no i chyba że prokuratora ani wyroku nie będzie. Był — nie ma, cóż wielkiego? *Milion tuda, milion siuda*⁵⁴⁴! Kilka ludzi — cóż wielkiego?

Wojna to gra, w której raz jeden, raz drugi na górze. A że ta obecna wojna podobna jest w zarysach do wszystkich innych, chociaż bez porównania straszniejsza i okrutniejsza, ma jednak cechy ogólne. Niemcy więc byli z samego początku triumfatorami, obecnie na stanowisko te poczynają z wolna, lecz nieubłaganie wdrapywać się Anglia z Ameryką. Nie wyliczając już tylu innych uczestników w tych zmaganiach na śmierć i życie, powiem chociażby o takich Litwinach, że ci przecie też triumfowali, Wilno otrzymując. Norwegia, Belgia, Francja, Dania itd., itd., które przez tyle czasu były ciągle pod niemieckim butem, obecnie też już zapewne podnoszą głowę i rozjaśniają twarz uśmiechem, który na razie nieśmiały, z każdym dniem będzie nabierać na sile. O jednej Polsce powiedzieć tego nie można. Jedną tylko Polskę zmrok obejmuje ciągle. Jednej tylko Polsce nie wyglądać na razie zbawienia. Nie biorąc już pod uwagę tego, że niewola Polski jest najdłuższa, rzuca się od razu w oczy fakt, że Polska oprócz tego jest najbardziej w Europie pokrzywdzona. Gdy inne państwa europejskie od początku swych klęsk miały tylko jednego ciemieżcę, w Polsce było ich aż trzech, do każdego zaś z nich trzeba było na nowo przyzwyczajać się. Żadne państwo nie miało Katynia — Polska go dostała. Z żadnego państwa nie wyjechało tylu do Kazachstanu, co z Polski, żadne państwo nie potrzebuje wylewać łez za tymi, którzy gdzieś wyjechali i nie wiadomo, powrócą z powrotem? I do tego wszystkiego — żadne państwo nie walczyło i nie walczy tak jak to robi Polska.

I dziś, gdy echa brytyjskich fanfar poczynają już przelatywać nad całą Europą, wywołując na twarzach wszystkich stęsknionych do wolności pogodny uśmiech — jedynie twarz Polaka pozostaje nadal skupiona i pokryta maską zamyślenia, która po wypadku z czteromotorowym bombowcem staje się coraz grubsza. Jak to? Więc za tyle mąk i poświęceń dla sprawy wolności ogółu, „za wolność waszą i naszą” — taka jest podzięką? I teraz, gdy zdawałoby się serce Polaka powinno byłoby po prostu wyłazić z piersi z radości z bliskiego już końca wojny, serce to chowa się w pierś jak najgłębiej, znów trując się niepewnością. Bo i rzeczywiście! Czegóż można spodziewać się po Katyniu i po starcie z Gibraltaru? Jasnym jest jak słońce, że Sowiety jedną ręką rozwiązują Międzynarodówkę, drugą zaś kurczowo trzymają się starych zasad, których całkiem — jak widać — nie mają za-

⁵⁴⁴ *Milion tuda...* — ros.: milion tu, milion tam.

miaru wyrzekać się: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”. Kto zaś przeciw nam, temu trzeba przypomnieć Katyń i podsunąć pod nos zardzewiałą lufę nagana. Sikorski to stuprocentowe potwierdzenie możliwości powyższych rozumowań. W Anglii, jak zwykle, ładne słówka, a za nimi brudna polityka biznesmenów, robiących interesa i zagarniających do kieszeni złoto nie z cudzych łez, ale z krwi. Chociaż zdaje się, że te łotry mają jednak głowy na karku, to jednak gdy człowiek odwróci głowę na Wschód i spojrzy na tego czerwonego giganta, niechcący zadaje sobie pytanie — potrafiąz li oni ich wykiwać? Oni — to znaczy ci z Izby Lordów i Gmin. A trudno to chyba będzie, bo jak o tym świadczy śmierć Sikorskiego, nie Londyn dyktuje Moskwie, ale Moskwa Londynowi. No, ale mówią, że nadzieja matką głupich. W tej zaś sytuacji, w tej płataninie i gmatwaniu rządów i ich poglądów oraz apetytów my jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu, możemy więc mieć nadzieję. A tym razem w... Japonii. Jak to na świecie wszystko przewraca się do góry nogami.

Dnia 9 lipca 1943 roku, piątek. Nareszcie!!! Nareszcie młodzież karańska oczuwała się⁵⁴⁵ z tego szmenowego letargu. Nareszcie rzucili w kąt karty i zabrali się do roboty o wiele przyjemniejszej i pożyteczniejszej. Wszystko to dzięki Sieńku Kobeckiemu⁵⁴⁶. Ten poruszał swym „ruchliwym umysłem” i zorganizował przedstawienie. Niemal cała młodzież bierze w nim udział, mnie zaś też nie ominął ten zaszczyt. Będę stać na scenie i śpiewać „*Tojczoch*”⁵⁴⁷. Dziś generalna próba. Na sali zebrała się już publika w postaci dzieci oraz kilku starszych. No, jeżeli tak będzie jutro jak dziś, to lepiej by było w ogóle przedstawienie to odwołać. Dziś wychodziło to nadzwyczaj źle, o wiele gorzej niżli na próbach poprzednich. Ja, począwszy już śpiewać, zapomniałem w połowie słowa i spora chwila minęła, zanim usłyszałem, co tam za kulisami szeptał sufler. Gdy zasunęła się kurtyna, zleciałem ze sceny jak bomba. Jedne szczęście, że to dziś, a nie jutro takie zdarzenie. Chociaż za jutro też ręczyć nie można. Sam nie wiem, co to się stało. Słowa umiałem jak katarynka, a na scenie pik-mik i wyszło pszyk. Pocieszam się tylko, że do jutra może będzie lepiej. A jutro, przed przedstawieniem, jeszcze próba.

Dnia 11 lipca 1943 roku, niedziela. No. Zdaje się, że wyszło jednak nie najgorzej. Nie wiem, może miała tu znaczenie ostatnia próba, która odbyła się wczoraj przed samym przedstawieniem, może zaś częściowo i to,

⁵⁴⁵ Oczuwać się — oprzytomnieć.

⁵⁴⁶ Szymon (Sieńka) Kobecki (1911–1985), syn Aleksandra, „Waśka”, „Figofago”.

⁵⁴⁷ Piosenka o weselu. *Tojczoch* — karaime.: weselisko.

że jej artyści oswoili się ze swymi rolami aktorów. Bo bądź co bądź, znaleźć się na oświetlonej silnymi reflektorami scenie, przed całą salą przepełnioną do ostatnich granic, przed publiką, która może nawet i świsnąć niechcący, a potem po cichu omówić wszystko między sobą, to sytuacja nie taka znów bardzo świetna. A gdy do tego trzeba jeszcze dodać pewną dozę dźwięków, tonów, ruchów i całkiem już sporą część uwagi zwracać na słowa suflera, aby tak w pewnej chwili nie stanąć i potrzebować użyć sobie na czekaniu jakiegoś głośniejszego słowa — to już sytuacja nie całkiem znowuż tak jak z baśni. No, ale wszystko to już minęło i co najważniejsze, minęło dobrze. Ogólne zadowolenie można było zauważyć na wszystkich twarzach. (Nie licząc oczywiście takich, których na przykład bolały zęby lub nie było dla nich miejsc siedzących).

Co do mnie osobiście, to na taką jaskrawo oświetloną scenę wszedłem chyba że nie bledszy, jak sam reflektor. Szczęście, że zdążyłem jeszcze przed wprawieniem w ruch kurtyny zdmuchnąć sobie rękawem z czoła kropelki potu. No i jakoś tam wycisnęło się z gardła tę garść tonów i słów. Gorzej było z ruchami, bo całą lwią część uwagi miałem skierowaną w tym kierunku, gdzie miał się znajdować suflerujący Olek. Podobno nawet ktoś się wyraził, że skądże u Pileckiego taki głos mógł się znaleźć. Ale grunt się nie przejmować. To zresztą mało ważne!

Kilka, jeżeli nie po prostu sto razy ważniejszym jest fakt, że już nauczyłem się mniej więcej walczyć i dawałem się z tej okazji jak dziki na puszczy. Lepkie tango odsuwa się na plan dalszy. Grunt to walc, oberek, polka!!! Tu człek czuje, że żyje! „Zatańczmy walca, jak za daw...”

Dnia 16 lipca 1943 roku, piątek. Uległem wreszcie namowom Stefci i własnych chęci i pojechałem dziś do Strakiszek na zabawę. Pojechać — pojechałem, ale potem nawet trochę żałowałem. Przybyliśmy na miejsce, a jedna zabawa była już rozegnana, bo zaczęli się tam już bić (co na ogół rzadko obecnie w Strakiszkach zdarza się). Zaszliśmy więc (my — to znaczy Stefcia, Jania, która obecnie u nas jest i ja) do Baranowskiego, skąd dochodziły głosy muzyki. Tam muzykant umiał grać tylko polkę, więc i rąbał ją bez przerwy. Po chwili wszyscy zabrali się na „szersze tereny” i poszli na wioskę. Wkrótce uzbierała się spora gromada chętnych zabawienia się i gdyśmy zaszli do chaty mającej służyć za salę taneczną, było już nawet i za dużo. Ale to jeszcze głupstwo w stosunku do tego, co nastąpiło później. Nabrało się tylu bawiących się, że nie było gdzie po prostu iść wpechnąć. Cała sala wyglądała mniej więcej w ten sposób: w rogu siedzi muzykant i rżnie na harmonii, któremu akompaniuje czasem inny mu-

zykalny gość w sposób niezbyt złożony — po prostu zmiętoszoną czapką po strunach skrzypiec. A skrzypce w tej chwili naprawdę wywodzą swą nazwę od słowa „skrzypiec”. Na ławach przy ścianach siedzą goście, którym na środku sali już brak miejsc, gdyż tu też przepełnienie nie do opisanie. Spotniałe pary chodzą w podrygach z miejsca na miejsce całym tłumem, bo wszelki ruch indywidualny nie może tu całkiem mieć miejsca. Nad wszystkim tym unosi się jak bogini oświecenia lampa naftowa, która kopci niemiłosiernie, zatracając trochę tę swoją boskość. A od samej podłogi aż do samiutkich belek „stalowania” niezliczone drobinki pyłu. Ten razem z gorącym powietrzem po prostu pali się w płucach! Dlatego też staram się więcej przebywać na czystym powietrzu, oczywiście z kimś i bez obecności osób trzecich. Te dziewczeczki o wiele są przyjemniejsze na czystym powietrzu. O wiele lepszy widok i wrażenie sprawiają z sierpem w potokach słońca niżli z torebką w zakurzonej i zakopconej „sali tanecznej”. Na dobitkę zabawy w drodze powrotnej począł deszcz pokrapiać.

Dnia 22 lipca 1943 roku, czwartek. Z naszym osławionym światłem ciągle mam trochę biedy. Dotychczas mieliśmy światło bez przerwy, aczkolwiek akumulator nie był ani razu naładowany do zagotowania się. Dynamo jest po prostu przez fachowców, tak zachwalanych przez mego czcigodnego szwagierka, popsute. Przy najsilniejszych obrotach nie daje więcej jak pięć amperów i nachalnie się nagrzewa. Obecnie zdjąłem go ze słupa i chciałem załączyć na tartaku, aby raz wreszcie napęlnić akumulator. Ale i tam nic nie wyszło, wszędzie bowiem, jak się jeszcze raz przekonałem, potrzebna jest mocna i obmyślana konstrukcja. Gdy się coś robi „na ojra”, ma się później takie skutki, jak to widzimy z tym światłem. Już zaraz rok minie, a ciągle jeszcze coś „nawala”. Tak też było i na tartaku. Po to, aby puścić tę maszynę w ruch, trzeba takiej mocnej i dokładnej konstrukcji, że się w ogóle to nie opłaca.

Dnia 25 lipca 1943 roku, niedziela. Pojechałem do Angelik do Matulewicz, który zna się trochę na dynamach. U niego jest takie same dynamo jak u nas, przewinięte i daje do 15 A. Rozebraliśmy nasze i okazało się, że jest źle przewinięte. Ot tobie i fachowiec, który pięć kursów politechniki skończył. Trzeba więc coś na zimę innego skombinować, tylko bez pośpiechu, z namysłem!!! Jestem właśnie obecnie w kropce: czy przewijać te same jeszcze raz, czy wziąć takie same, nie przewinięte, na przekładnię, czy też przewinać inne, o wiele silniejsze, które jest u Jerzego. Ale zostaną chyba przy pierwszym projekcie, bo z Jerzym znowu na tym punkcie stosunki zaostrzyły się. Najwięcej go irytuje to, że chociaż on opiera swe

mniemanie na podstawie rad tych z politechnik, ja zaś, jak to się on wyraził — „chamów jakichś tam”, on musi na każdym kroku przyznawać, że politécnika też nie jest przecie nieomylna. A że robię tu coś niecoś bez porozumienia i poradzenia się z nim, więc uważa za stosowne w ogóle więcej się tą sprawą nie interesować. „Rób — powiada — ze swymi chamami”. Pomyślisz! Arystokracja, tylko, niestety, Bóg tytułów poskąpił. No, ale nie. Myślę, że z chamami zrobię więcej niż z nim [...].

Dnia 27 lipca 1943 roku, wtorek. Już się jednak coś niecoś dzieje na świecie! Mussolini daje już dobry przykład Hitlerowi i przez swą ucieczkę powiada: gdy Anglicy włączą do Niemiec, rób i ty to samo! I ucieka nie wiadomo gdzie. Anglicy tymczasem pędzą Włochów z Sycylii. Miejsce Mussoliniego objął król, który dotychczas siedział jak pod miotłą, i powiada: teraz wygramy wojnę. No, oczywiście, o ile zawrą natychmiast pokój, wygrają wiele żyć ludzkich. Tak, panie Hitlerku, nie tak to łatwo wygrać wojnę! Szykuj już i ty sobie samolocik. A uważaj tylko, żeby nie był taki jak ten, który przewoził Sikorskiego.

Dnia 31 lipca 1943 roku, sobota. Nareszcie po dwóch miesiącach nieustannego deszczu nastąpiły dni pogodniejsze. Nareszcieśmy się doczekali lata, gdy pora już jesieni wyczekiwać.

Wybrałem się właśnie do Wilna w sprawach tartaku. Łaziłem jak dziki po tym upale cały dzień, śrub nie znalazłem, nic nie zarobiłem i wracam do domu. Zaszedłem do ciotki Wiery. Ona całkiem się zdała⁵⁴⁸. Teraz ma nowe funkcje: nianczy całymi dniami wnuczkę⁵⁴⁹. Dziś poczęła opowiadać, jak ciężkie jest życie w mieście. Gdy trzeba za 2 kg kartofli zapłacić 2,5 marki, za dwa ogórki 2 marki, jakąś tam sałatę czy jagody marki i marki, do tego trochę grzybów — ot już i 10 RM⁵⁵⁰. A jest? — Nie ma co! Bo sama przyprawa nie zastąpi mięsa i tłuszczów. Gdy kupisz kilo mięsa, przez półtora dnia nie można kupować nic więcej, bo 10 marek dziennie to 300 miesięcznie, a cała pensja Lusi, wraz z papierosami, tyle właśnie wynosi. To sam tylko brzuch. A gdy trzeba być czystym, pod dachem i nie siedzieć po ciemku, to musi się zamknąć brzuch na kłódkę. W Trokach Leszczyński kotłami kartofle świniom daje, a w Wilnie trzeba kupować kilami. Juluczek wczoraj pojechał do Trok, dziś pojeździ kajakiem i żaglówką, przyjechawszy, też zje kartofle kupione po 12,5 rubla, bo mu z Trok wozić nie chce się czy też nie wypada. Ale może zdobyć się na gest i powiedzieć do szwagra swego brata: „Przyjedź jutro do Trok, to

⁵⁴⁸ Zdać się — poddać się.

⁵⁴⁹ Walentyna Jutkiewicz (ur. 1943), córka Józefa, później żona Ludwika Kobeckiego.

⁵⁵⁰ RM — marki niemieckie, niem.: *Reichsmarke*.

jak będzie wolna żaglówka, pouczę cię jeździć”. A gdy bierze w Wilnie w sklepie papierosy dla brata i jego szwagra, od razu po przyjeździe melduje: „No, ale więcej papierosy sam będziesz brał. Taki ścisk cholerny”. A dziesięć sztuk nie wiadomo „czy mnie w tym ścisku nie dodał, czy zgubiłem”. Toć też gest!!! No, przecież brat Jureczka!



Młodzież karaïmska, sierpień 1943 r.

Dnia 1 sierpnia 1943 roku, niedziela. Dziś wybraliśmy się całą rodziną do Trok. Dzień jest wyjątkowo ładny, co w tym roku stanowi zdarzenie o znaczeniu naprawdę fenomenalnym. Bo tak to ciągle deszcz i zimno bez końca. Ponieważ młodzież nasza zarzuciła już prawie całkowicie szmen, więc dziś nie zasiadła do stolika, ale z dziewczynkami, niestety tak w naszym towarzystwie nielicznymi, wybrali się do „lasku”, to znaczy do miejsca koło Trok, gdzie rośnie kilka sosenek, jako też niewielkich jeszcze młodziaków. Poszliśmy więc tam, przeleżeliśmy z kilka godzin, robiono także zdjęcia, czas jednym słowem upłynął tak, jak to on zwykle w towarzystwie karaïmskim robi. Leżeli na kocach, niektórzy (i ja z nimi) coś podśpiewywali, reszta łapała komary i nudziła się, wmawiając w siebie, że w tym cieniu kilku sosenek czuje się wyśmienicie i też wyśmienicie odpoczywa „na łonie przyrody”. Z dziewczynek godniejszych uwagi były

Zosia Pilecka, Musia [Jutkiewicz] i Lida [Firkowicz]⁵⁵¹ [...]. A Żenia w Wilnie! [...] Gazety dzisiejsze ogłosiły nowe rozporządzenie: wszyscy mężczyźni roczników 1918-24, którzy zostali na ostatniej komisji zwolnieni jako niezbędni w miejscowych urzędach i warsztatach, zostaną obecnie powołani do przemysłu zbrojeniowego w Niemczech lub też do Sił Zbrojnych. „Gdy cała Europa musi walczyć o wolność i dopomagać do zniszczenia bolszewizmu, nie może i Litwa pozostać na uboczu.” Wszakże i oni mają rację, bo ku zniszczeniu bolszewizmu musi cała ludzkość, za ręce się wzięwszy, dążyć. Ale tylko ci, którzy mają go niszczyć, muszą być uważanymi za coś lepszego od bolszewika i nie być traktowanymi tak, jak to jest tam, za linią frontu, jak to było przed dwu przeszło laty tutaj. Rozporządzenie zaznacza, że żadne reklamacje poszczególnych urzędów nie mają żadnego celu. Wygląda więc z tego, że nie ma żadnego ratunku!

Dnia 2 sierpnia 1943 roku, poniedziałek. Gdy w celach służbowych bywam niekiedy na placu, często widuję pociągi złożone z pullmanowskich wagonów. Aby zasłużyć na podróż tak luksusową, trzeba dostać uprzednio ranę. A jest takich sporo. Jedynie po naszej linii przebiega co dzień po kilka takich transportów tych, których wyrwał los z morza ognia i płomieni. Przeznaczenie też nie do pozazdroszczenia. Przez okna widać łóżka w dwóch piętrach, na których leżą postacie, wyglądające przez okna na mijany krajobraz. Przyjemniej jednak bez wątpienia oglądać krajobrazy przez okna pullmanów, jadąc na urlop gdzieś nad morze, czy też na wycieczkę w góry. No, ale cóż zrobić. Trzeba zmian jakichś. Niechże się przemknie więc pociąg ozdobiony znakiem Czerwonego Krzyża. Wszak spokojne życie też może się znudzić.

Jakieś nie dające się opisać uczucie przenika serce, gdy się patrzy na takie istoty, poukładane w szereg przez tyle wagonów!

Dnia 3 sierpnia 1943 roku, wtorek. Taki jest świat i ludzie. O Boże! Cóż zobaczyłem. Od wielu miesięcy nikt tu widać nie był. Nie widać, żeby tu gospodarzyła ręka jakaś, jakiejś dawnej, bliskiej koleżanki. Jeżeli taka była, to dawno, dawno już chyba temu. Na samym wierzchu grobu są, co prawda, jakieś anemiczne karykatury roślin kwitnących, ale zaprawdę — karykatury toć tylko! Jakichś kilka 10-centymetrowych łądzynek nasturcji i jeszcze ze cztery czy pięć pojedynczych kwiatków. Natomiast chwasty po bokach cieszyły się widocznie dawną tu obecnością kogokolwiek z bliskich Zmarłej. Wysokie były i rozłożyste! Ale teraz leżą już daleko od swego dotychczasowego miejsca pobytu.

⁵⁵¹ Lidia Firkowicz (ur. 1922), córka Józefa, później żona Igora Maszkiewiczca.

O, Haluś! Ty, której rysy twarzy przypominam dziś już jak przez mgłę zaledwie! Ty, wesola, roześmiana, piękna, niezapomniana! O Haluś, Ty, Polko przeczysta. Czy mogłaś kiedyś chodząc ze swymi żukiszskimi czy bobrowskimi koleżankami, bawiąc się z nimi i na jednej szkolnej ławie siedząc, czy mogłaś przypuszczać, że pamięć ludzka tak jest krótkotrwała!!! Czy mogłaś przypuszczać, że nie będzie komu przez długie, letnie miesiące przyjść na to miejsce wiecznego Twego spoczynku, chwast zerwać (nie mówię już to o posadzeniu czegoś piękniejszego i doglądaniu tego) i wyszeptać cichą modlitwę.

Ja, niestety, nie chodziłem nigdy z Tobą, nie byłem nigdy Twym tak bliskim, jak to niejedna z Żuk czy Bobrówki. Ale pozwól, że zerwę dziś ten chwast i złożę u stóp Twych tych kilka kwiatków, które — spóźnione w tym roku bardzo — dopiero rozkwitają. Przepraszam Cię, że dopiero pierwszy raz w tym roku tutaj, ale naprawdę, tak jakoś się składało, a przypuszczałem przecie, że było wielu, wielu innych, których wizyta tutaj musiałaby być więcej na miejscu.

A do tego — przecie ile razy przekraczam tę bramkę z krzyżem, tylekroć oglądam się, czy jakieś niepożądane oczy mię tu nie widzą!

Niestety, takeśmy się mało znali! A szkoda! Może niejedna myśl nasza byłaby podobna sobie. Zresztą! Cóż znaczą te puste słowa?!? Przypuszczam, a wiele dałbym za możliwość bycia tego pewnym, że znasz myśli me, zanim je przeniosę na papier. A może i nie? Bo cóż ja, zwykły śmiertelnik, znaczę dla Ciebie, która może z aniołami obecnie przebywasz.

Ja siedzę tu, a matka i ojciec Twój tak daleko od tego miejsca, dla nich świętego. Słońce świeci tu z zachodu obecnie, wiatr szumi głośno w liściach tych polskich brzoź. Przede mną tabliczka ze znanymi na pamięć słowami, wolno już zacierającymi się. Bo i rzeczywiście! Gdy serca ludzkie tak są nietrwałe, cóż znaczy ta odrobinka czarnej farby, którą do tego spędza z jej stanowiska i deszcz, i słońce, i mróz, i ślota.

A tam, w dole, pod tą warstwą ziemi, trumna, może już murszejąca, a w niej... Ty! Także już na pewno nie taka, jaką oglądałem na majówce w Opaciskach.

Obok, ze wszystkich stron czterech, groby inne. Ludzie, których całkiem nie znałaś chyba, może nigdy nie widziałaś, przeznaczeni na wiecznych towarzyszy, podczas gdy tak znani i wypróbowani przyjaciele rozlatują się Bogu widzieć, gdzie. (Może niejedna dziś hula na dożynkach.)

Człowiek to istota mniejsza od mikroba, którą wiatr halny, życiem zwany, miota po opoce ziemskiej i nie wiedzieć, gdzie rzuci, gdzie

wstrzyma. Ale słońce już się coraz bardziej chyli, droga jeszcze do Trok. Halunio! Żegnaj! Na krócej chyba teraz niż za ostatnim razem. Objaw się kiedyś, tak jak za niedawnych minionych lat. Módl się za nami.

Dnia 24 sierpnia 1943 roku, wtorek. A wniosek taki: człowiek to naprawdę istota o nieprzeniknionej duszy i sercu, którego nieznaczny tylko procent ustroju psychicznego i moralnego mogli, mogą i w przyszłości móc będą filozofowie i wybitni psycholodzy odgadnąć. Dar przyzwyczajania się do nowych rzeczy to dar, którym Natura rzeczywiście człowieka uszczęśliwiła. Bo gdyby wziąć ludzkość ogółem czy też każdą jej jednostkę pojedynczo z czasów nie tak jeszcze odległych, sprzed jakichś pięciu lat, i odebrawszy im możliwość przyzwyczajania się do nowych rzeczy, a pokazując fakty w ogólnych i nieprzystłoniętych zarysach, i przerzucić ich poprzez te 5 lat w życie dni dzisiejszych, trzeba by chyba było wszystkich bez wyjątku zamknąć na Letniej⁵⁵², nie pozwalając obsłudze sanitarnej nikomu zdjąć kaftanów bezpieczeństwa. Gdyby wziąć inteligencję, jej wystrojone damy zza okienek limuzyn, drzwi sal dancingowych i stolików restauracyjnych, w których wino i szampan płynęły nie hamowane władczą ręką pieniądza, i kazać im kopać kartofle i stawiać metry [...], gdyby przeciętnego mieszkańca, dajmy na to Leśnik, Trok czy Wilna, przerzucić z czasów sierpnia 1939 r. w sierpień roku 1943 i kazać mu przeżyć, ale to w sposób nie taki, jak np. ogląda się ciekawy film kowbojski czy też w ostateczności dramat sceniczny [...], o którym wie się, że ten artysta w nim grający, z rozpaczą w głosie krzyczący: „Umieram, zdradziłaś”, czy też „Zabiję”, w rzeczywistości myśli o tym, czy dziś smaczną i w przyjemnym towarzystwie zje kolację, i o którym się zaraz za teatralnymi drzwiami zapomina, ale przeżyć w pełnym i najgłębszym słowa tego znaczeniu przeżyć — p r z e ż y ć duszą, sercem, umysłem i ciałem w ciągu jakiegoś tygodnia, mieszkaniec taki powiedziałbym, że świat się przewrócił do góry nogami i że zaraz musi być jego koniec.

Ale gdy się przeżyło jedną wojnę, czasy litewskie, wagony eskortowane przez krasnoarmiejców, wojnę znowu na naszych obszarach, Ponary, ponowne oczekiwania krasnych i sierpień 1943 r. nie przez jeden tydzień, a przez dwieście, to patrzy się na wysadzanie pociągów sanitarnych, na zakładanie min prawie że pod lufami karabinów maszynowych, na odwiedziny nocnych bandytów, z zimną krwią rabujących, gdy tuż obok, o 30 m przejeżdża w taksówce władza, i to patrzy się na to jeszcze nie z Letniej,

⁵⁵² Mowa o szpitalu psychiatrycznym przy ul. Letniej.

ale z Leśnik, i oczekuje się, co też będzie dalej i czy dużo zabiorą, gdy przyjdą. I ma się nadzieję, że przed końcem świata jeszcze pożyje się lepiej.

I dużo było wypadków na świecie od tego 3-go sierpnia. Jednym z takich radosnych to całkowite zajęcie Sycylii przez Anglo-Amerykanów. Ale, niestety, nie same tylko radosne zdarzenia. Bo Sowiety też posuwają się naprzód. Wprawdzie tempem nader żółtim, ale jednak tempem. Na szczegółowe opisywanie brak, niestety, czasu. Obecnie cały dzień tak przelatuje, że się nawet obejrzeć nie sposób. Z tym tartakiem jestem trochę związany, oprócz tego zaś począłem się uczyć karaimskiego, każdą więc wolniejszą chwilę czasu jemu to właśnie poświęcam. W Trokach szykuje się nowe przedstawienie, trzeba więc i temu trochę czasu zostawić.

A pisać też byłoby o czym. Oto piętnastego już minęło, a młodzieży jeszcze dzięki Bogu nie zabrali. W Wilnie była komisja, zabrali tam jedynie Oskę Poziemskiego. Reszta jakoś się wykręciła, gdyż ten punkt rozporządzenia, mówiący o bezsensowności jakichkolwiek starań o zwolnienie, nie był znowuż tak bardzo okrutny i kto tylko mógł, i chciał, ten starał się i został zwolniony. Ciocia Wiera też przeżyła niemało bólu z powodu wyjazdu „najukochańszego Juluczka”, ale na darmo psuła sobie nerwy, gdyż Jerzy wyciągnął go jakimiś tam szansami już w ostatniej chwili. Ale że przesiedział przez kilka dni intensywnie szykowany przez rodzinę do wyjazdu⁵⁵³, to fakt.

W Trokach na razie o komisji nie słyhać, chodzą nawet słuchy, że będzie dopiero 15 listopada, więc *maładzioż*⁵⁵⁴ szykuje przedstawienie. Mnie obecnie bardzo trudno brać w nim udział, bo ciemno robi się już znacznie wcześniej niż przed tamtym przedstawieniem, w Leśnikach zaś bardzo narzekają, gdy jeżdżę późnymi wieczorami, gdyż ostatnimi czasy bandyci i partyzanci bardzo uintensywnili swą działalność. Przed kilkoma dniami spalili w Rudziszkach tartaczek, czym napędzili na Skarbowską gigantycznego strachu. Dzięki niemu mamy obecnie w Leśnikach co noc wartę złożoną z trzech policjantów. Dzięki nim mieliśmy w nocy z soboty na niedzielę *pierystrelkę*⁵⁵⁵, bo bohaterscy obrońcy toru, pijani szaulisi, chcąc nastraszyć policjantów, poczęli od toru strzelać. Na to obrońcy rodziny Skarbowskich odpowiedzieli dwoma przeciągłymi salwami maszynki. Pierwsza z nich postawiła mię na nogi. Słyszę jeszcze jak przez sen odgłosy pojedynczych strzałów gdzieś jakby spod lasu oraz przeciągłe pa-pa-pa-pa-pa z maszynki, która gdzieś tu niedaleko na placu stała. Wyłażę z łóżka

⁵⁵³ W oczekiwaniu na transport do Niemiec.

⁵⁵⁴ *Maładzioż*, właśc.: *molodioż* — ros.: młodzież.

⁵⁵⁶ *Pierystrelka*, właśc.: *pieriestrielka* — ros.: strzelanina, wymiana ognia.

i biegnę do przedpokoju, aby przez okno zobaczyć, czy mocno już się rozpałiło. Wyglądam przez szyby ognia, ale go jakoś nie widać. Natomiast zdawało mi się, że spod samych drzwi kancelarii znowu... pa-pa-pa-pa-pa-pa... Pach, pach, pach, pa-pa-pa-pa... No, myślę sobie, ładny początek. I co za uczucie! Na niebie jasny księżyc, wszystko oświetlone nie najgorzej, a tu spod lasu odgłosy strzałów, odgłosy, które w taką piękną noc gwiazdzistą i księżycową mają jakiegoś dziwnego romantyzmu odrobinę. Albo taka muzyka karabinu maszynowego!... Och, zdawało się, gdybyż mi tak do tej maszynki dostać się, sygnałbym ogniem stalowym na tych złodziei, rabusiów, podpalaczy, gwałcicieli, na tych, dla których nie ma słowa „dusza” i „serce”, na tych przedstawicieli „krasnoj zwiezdy”, dla której nie ma w sercu żadnego błysku przyjaźni. Sypać na tych, którzy wszystkim chcieliby Katyń zgotować. Za tysiące wywiezionych na tamten świat, za Sikorskiego. Znieść tę ohydłą gwiazdę krwawą, tę meduzę, która swymi pięcioma mackami rada by cały świat opleść i soki żywotne zeń wyssać. Znieść tych jej przedstawicieli. Ale karabiny milczą...

Dopiero po kilku minutach z przejazdu słysząc głośnie rugania się. „Widocznie Litwiaki poharatali się”. Rano okazało się, że przypuszczenia były trafne. Na drugą noc znowu niespodzianka. Ale tym razem szaulisi widocznie samogonu nigdzie nie odebrali, nie mogli więc dobrze pilnować toru. Spaliśmy już. Słyszę raptem przeraźliwe dzwonki z kancelarii. Tatuś już wstał i opowiada, że obudził się od strasznego wybuchu. Okazuje się, że tuż koło nas, trochę za placem była mina. Skarbowski zrobił oczywiście ruch, pobudził całe Troki, sprowadził straż pożarną z motopompą i policję z karabinem maszynowym, a okazało się, że... wyrwało 1,5 m szyny. Ale ruch w interesie potrzebny.

Dnia 26 sierpnia 1943 roku, czwartek. Jeżeli nie brać pod uwagę ustawicznych wybuchów min, które także już wchodzą u nas w porządek dzienny, a ściślej mówiąc nocny, oraz ciągłych, dzięki Bogu na razie bezowocnych, oczekiwań nocnych gości, to poza tym życie w Leśnikach toczy się swym głęboko wrytym torem bez żadnych nadzwyczajności. Na tartaku toż samo. Sławek, wróciwszy już do zdrowia po tej paromiesięcznej przerwie spowodowanej tyfusem, objął znowu urządowanie, uwalniając mię w ten sposób od wielu czynności. Skarbowski ręka w rękę z [Michałem] Ławrynowiczem starają się, żeby jak najmniej Niemcy skorzystali z przecieranego materiału, rozpychając go po miejscowych chętnych amatorach. Co do mnie, to naprawdę wolałbym, aby tu materiał szedł na zwalczanie bolszewizmu niżli na wyciąganie od miejscowych

samogoniarzy ich drogocennego płynu na zalewanie gardła dla wielce uważanego naszego *vedajasa*, jako też na ściąganie złotych dziesiątek⁵⁵⁷ w kieszeń nie mniej poważanego *technikinis vedejasa*⁵⁵⁸. No, ale cóż zrobić. Nie my ten świat zbudowali, a jeżeli przebudowywać będziemy, to, niestety, nie dziś jeszcze. I w ogóle atmosfera tartaczna nader ciężka. Kradnie jeden przez drugiego i jeden przed drugim stara się być świętym, narzekając, że „końca z końcem trudno związać”. Pod tym względem to najtrafniejsze określenie [...] wydał Karczewski, powiadając, że chyba nie może [...] związać końców worka. A może, według starego zwyczaju — pończochy⁵⁵⁹.

Ale mniejsza z tym. Grunt, że urznąłem sobie dziś urlopik i jadę do Wilna. Wilno! Kiedyż przybierzesz znowu swój wygląd naturalny. Ciocia Wiera siedzi zbiedzona bólem ręki, siedzi i — jak wszyscy zresztą — oczekuje z utęsknieniem końca wojny. Nawet przepowiada, że być może kończy się w tym roku. Nawet ona! Ona, taka pod tym względem pesymistka! Bez wizyty na Moniuszki oczywiście nie obeszło się. Miałem zamiar pójść tam, potem zaś zejść do biblioteki, aby choć przez jakieś dwie godzinki przełądnąć coś niecoś, czego nie można brać do domu. Ale... Do biblioteki zdążyłem zaledwie zalecieć i zmienić coś naprędce — wziąć nawet książkę, którą już czytałem. Taką jakąś siłą magnetyczną ma ten ich balkonik!!!

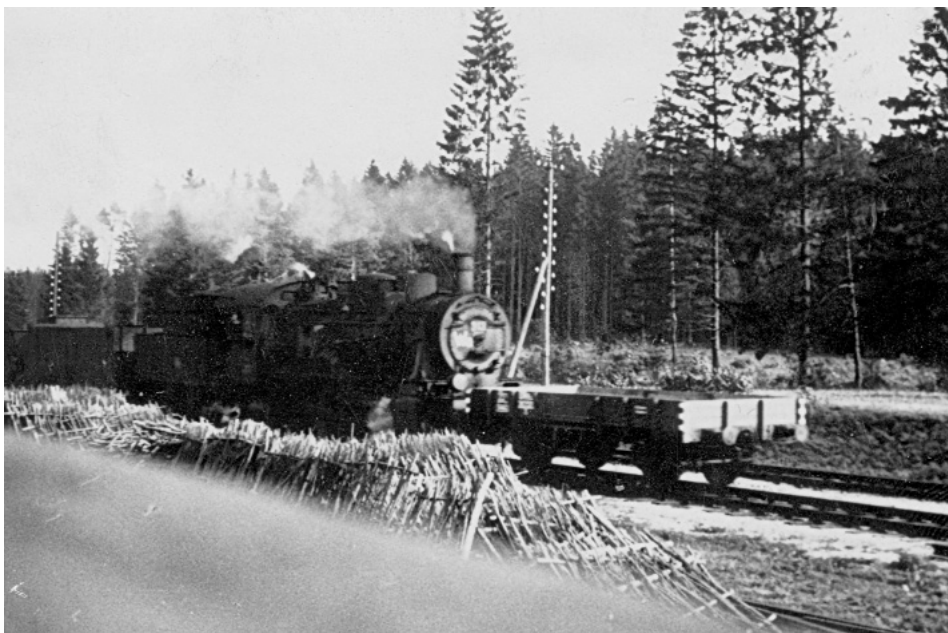
Dnia 2 września 1943 roku, czwartek. I oto już drugi dzień piątego roczku. Ach, ten czas, czas! Nadszedł piąty i ostatni! Tylko, że teraz, w tym już ostatnim, nie można mieć pewności, że ostatek się zobaczy. Pewności nawet mniej niż to było w pierwszym. Dochodzą do nas wiadomości, że w Święciańskim ewakuowano całą ludność, załadowawszy ich do wagonów i wywiozłszy gdzieś na zachód. Za co i po co — tego nikt jakoś nie wie. Jedni mówią, że w celu zwalczania bandytyzmu, inni wręcz coś innego. A jak tam było, tego chyba w ogóle nigdy się nie dowiemy.

Aby mieć namiastkę złudzenia, że się ochrania kolej od min, władze wysyłają jako ochronne patrole policję. No i wszystko jest w porządku. I władza, i „partizany”. I wilk syty, i koza cała. Chociaż z tym to jakoś nie całkiem. Bo jeżeli wilkiem mają być te właśnie patrole, to naprawdę są one syte chociażby samym swym bohaterstwem, ale jeżeli kolej postawimy w roli kozy, to nie można znowuż twierdzić, że jest ona taka już całkiem cała. Miny jak były, tak i są nadal, pociągi jak wylatywały, tak wylatują.

⁵⁵⁷ Carskie dziesięciourublowki, tzw. „dziesiątki”.

⁵⁵⁸ *Technikinis vedėjas* — lit.: kierownik techniczny.

⁵⁵⁹ Związywać końce pończochy — tu: gromadzić kosztowności.



Pociąg z platformą przednią do ew. zdetonowania ładunku wybuchowego reagującego na nacisk kół.



Kolejowy transport wojskowy.

Dziś w nocy gościł właśnie u nas taki bohater dni dzisiejszych, „*nadzieratiel*”⁵⁶⁰ patroli w osobie policjanta o głośnym nazwisku Jagiełło, wraz ze swym jakimś tam towarzyszem broni. Policjant szczególnie sławny, jeżeli chodzi o moje przeżycia. On to bowiem jakoś przed dwoma laty na trockim posterunku starał się mię przekonać, że „*Karaimas i Žydas to to samo*”, gdy znalazłem się tam po nieopatrznej jeździe rowerem po chodniku i to z akumulatorem jeszcze. Jak to los ludźmi rzuca! I nie wiedzieć, gdzie jeszcze kogo zarzuci. On chyba już o tym wypadku zapomniał, ja jeszcze nie. Może mu kiedyś przypomnę, gdy będzie jeszcze słodszy niż dziś, kiedy może znowu będzie starać się dowieść, że Karaimi toć dzieci Witoldowe, a Witold wraz z całym rodem Jagiełłów toż przecie Polacy z krwi i kości. No jakże? Jeszcze zanim się z Jadwigą ożenił, już się Polakiem czuł i Litwinów bił! Dwa zdania: „Łuny pożarów” oraz „Z dymem pożarów” mają jakoś specjalnie mistyczną moc, która przenika mię, nie mnie chyba jednego, jakimś dziwnym uczuciem, uczuciem, jakby haftowanym lekko strachem i bojaźnią przed czymś wyższym, czego nie można od razu objąć, przeciw czemu nie zawsze można się obronić.

Dziś właśnie miałem możność, stojąc na ganku leśniczówki i patrząc na zaróżowione niebo w stronie Ołony, uczucie takie jeszcze raz zauważyć.

Stali wszyscy obecni wówczas w domu. On, przesławny Jagiełło z nalaną twarzą kabana, który może na każdy poszum gałęzi ścisnął kolbę rewolweru w kieszeni, ów jego towarzysz, rozpamiętujący może, jak to było przed wiekami pod Grunwaldem, a przed lat dwudziestu kilku pod Wilnem, oraz Tatuś i Mama, staliśmy wszyscy i naradzali, gdzie też to może być. A ja myślałem o tym, czy łuny pożarów pod Zbarażem miały taki sam wygląd, czy też nie. Bo jeżeli sądzić po tym, że z podobnych sobie rąk łuny te podejmowały się, to musiałyby być takie same. Tam rozbastwione chłopstwo, tu „kulturalny bandyta”, niosący wyzwolenie spod uścisku „panów”, wyzwolenie dla kulturalnej czerni.

Ale tam Wołodyjowski, Skrzetuski, Podbiپیęta i Zagłoba mogli natychmiast lecieć na swych rączych bachmatach i czerń na szablach i kopytach roznosić. A dziś?... Dziś jeno stać i dyskutować, gdzie też to może się palić, na wszelki wypadek ściskając rewolwer!

Nie masz Wołodyjowskich i Skrzetuskich! Nie masz Podbiپیęatów i Zagłobów. Ci dwaj ostatni zleli się w jedność, ale cóż, kiedyż jednemu braknie miecza i odwagi, drugiemu forteli. Zostało więc tylko imię Longinus-as-

⁵⁶⁰ *Nadzieratiel*’ właśc.: *nadziratiel*’ — ros.: nadzorca, dozorca.

as-asa i gardziołko Zagłoby mówiące „Lepszy rydz niżli nic, w braku miodu i samogonem nie pogardzi”.

Ech! Świat dzisiejszy! Na cóż się zdały dzieła uczonych filozofów, doktorów, dzieła inżynierów i astronomów, kiedy miecz i króćce z ręki wytrącono. I cóż z tych dzieł, kiedy automat w ręku barbarzyńcy może je wszystkie z dymem pożarów puścić. I biada wam, jeśli nie napiszecie dzieła pouczającego, jak tego barbarzyńcę w ziemię na wieki wieków wcisnąć.

Dnia 4 września 1943 roku, sobota. Sala w Muzeum znowu pomieściła moc Karaimów, kurtyna znowu się rozplynęła na boki, ukazując znów dzieło Szymona, Waśkiem zwanego. Kilka kawałków bez głębszej treści wprawdzie, a takich sobie lekkich i żartem przekrapianych wystarczyło, aby sala nieraz wybuchała głośnym śmiechem i oklaskami. Ja wykonałem jedną piosenkę, śpiewając Lidzie żegnającej mię przed drogą „*tanyhsyz jergia*”⁵⁶¹ na pocieszenie: „*nie jilejs da syzlejs*”⁵⁶².

Po tym wszystkim zabawa i spirytus. Od tego ostatniego niejeden się zachwiał. Bo — trudno — gdy nie ma z kim bawić się, trzeba...

Dnia 7 września 1943 roku, wtorek. Wczoraj wieczorem byłem w Trokach. Już poszły tam słuchy, że mają do Trok przyjechać Niemcy robić taki sam porządek, jak robili w Oranach, Olkienikach, Święcianach itd., to znaczy brać ludzi. Ale jak to zwykle w takich wypadkach bywa, jedni temu wierzyli, drudzy nie. Ja umówiłem się jechać dziś do Wilna w sprawie przedstawienia, mając zamiar zająć także do Żeni, która obchodzi dziś swe urodziny i na które podczas swej ostatniej u niej bytności zostałem zaproszony. Przed samym moim wyjazdem do domu raptem przyjeżdża do Trok Tatuś i powiada, że dzwonił z Wilna Jerzy, powiadamiając, że jutro będzie w Trokach oblawa. No, to już trochę pewniejsze niż wiadomość o tym, że zapotrzebowano dla Niemców krowę. Dziś okazało się, że prawda. Na tar-tak przyszedł tylko jeden robotnik, reszty nie puszczono. Potem przyjechał Michał Ławrynowicz i mówi, że całe Troki są obstawione, nikogo nie wypuszczają, chyba że komuś jakim szansem uda się wyśliznąć. Kogo i jak biorą, nic na razie nie wiadomo. Na poczcie siedzi Niemiec i nie daje inaczej mówić, jak tylko po niemiecku. W Landwarowie też samo. Wszystkich podobno spędzili na rynek i sprawdzają dokumenty. A Tatuś pojechał jak raz dziś do Wilna koniem. Ja oczywiście z Wilna zrezygnowałem, nie warto im leżać w gardło.

⁵⁶¹ *Tanyhsyz jergia* — karaim.: w nieznaną ziemię.

⁵⁶² *Nie jilejs da syzlejs* — karaim.: czemu płaczesz i rozpaczasz.



*Grupa teatralna przed Muzeum Karaimskim w Trokach.
 Od lewej stoją: Michał Firkowicz, Józef Firkowicz, Szymon Kobecki – reżyser spektaklu,
 Aleksander Zajączkowski, Marek Juchniewicz, Szymon Pilecki – autor.
 Poniżej: Lidia Firkowicz z Halinką Kobecką na kolanach, Bogusław Abkowicz, Lena Nowicka.*

Dnia 8 września 1943 roku, środa. Obława kończona, Tatuś dojechał i wrócił szczęśliwie. Przejechał przez cały Landwarów mimo kilkunastu posterunków i przez nikogo nie został nawet zaczepiony. W Trokach na ogół obława była lekka, wzięli o wiele mniej niż w Landwarowie, gdyż podobno był tam wyjątkowo dobry naczelnik. Zwalniał z byle powodu. Mimo to jednak kilka osób wzięli. Zabrali z Karaimów trzy osoby: Julkę Nowicką, Zarki siostrę⁵⁶³ i jeszcze kogoś⁵⁶⁴.

Wieczorem niebo w stronie Starych Trok raptem się zaróżowiło, z zaskakującą szybkością przybierając na sile. Włazłszy na słup od wiatraka, mogłem obserwować, jak ogień posuwał się z piorunującą szybkością, wystrzelając coraz to w dalszych i dalszych punktach. Po pół godzinie niebo przedstawiało jedno morze czerwieni. Wkrótce okazało się, że pali się Ferma⁵⁶⁵. Raz po raz dolatywały odgłosy jakichś wybuchów. Z początku myśleliśmy, że są to odgłosy wybuchów amunicji pochowanej w zabudowaniach, potem jednak stawało się coraz pewniejszym, że są to karabinowe strzały. Rozlegały się one w ciszy nocnej tak głośno, jakby strzelano gdzieś koło Leszczyńskiego czy Soroki. Teraz stanęliśmy przed pytaniem: kto i do kogo strzela? Naprzeciwko Fermy wczorajszej nocy wysadzono pociąg. Kilka wagonów rozbiło, dziewięć wyleciało z szyn. Już druga doba, jak ruch wstrzymany. Dziś pod wieczór poszły po jednym torze. Może więc to związane z tym wybuchem. Tymczasem chodzimy wszyscy po placu wraz ze Skarbowskim i słyszymy ciągły ryk krów, kwik świń, beczenie baranów, nawet krzyk ludzi i strzały, strzały... W górę idą coraz to nowe falangi zaczerwienionego dymu, którego już całe chmury wiszą wysoko w powietrzu. Tam jest mienie i dobytek tych ludzi, tam praca i pot całego życia. Po godzinie poczęło zmniejszać się. Właśnie przyjechała ze Starych Trok dreżyna. Dowiedzieliśmy się więc, że całą Fermę puścili Niemcy z dymem. Przyjechali kilkoma samochodami, okrążyli wieś, następnie szła jedna partia, zachodziła do wszystkich chałup, kazała wszystkim wypędzać bydło i wszystkim wychodzić ze wsi, następna zaś partia szła zaraz z tyłu, polewała budynki benzyną i podkładała ogień. Niejeden wyleciał z chaty dosłownie tak jak stał, a w ślad szedł ogień i w postaci dymu unosił wszystko w powietrze! Ludzi spędzono i popędzono do Landwarowa. Potem chyba zładują na pociągi i powiozą tak, jak już tysiące powieźli — gdzieś na zachód. Oto przeżywamy drugiego Nerona, a znajdzie się chyba niejeden Sien-

⁵⁶³ Tatiana Firkowicz (1915–1987), później żona Nisana Szpakowskiego „Sańka”, siostra Zaracha, „Zarki”.

⁵⁶⁴ Prawdopodobnie Emilia z Grygulewiczów Nowicka (1903–1969), „Beneduczanka”.

⁵⁶⁵ Wioska nieopodal Starych Trok spalona przez Niemców w odwecie za działalność partyzantów.

kiewicz. Wioska była i żyła — wioski raptem nie ma, a ludzi też — Bóg wie, na jakiej poniewierce. Też może gdzieś będą dzieci rozdawać, tak jak rozdawali onegdaj w Wilnie, które wieźli spod okolic Orła. Po prostu w głowie to wszystko nie mieści się!!! Za co i po co to zrobili — na razie nie wiadomo. Strzelali zaś pierw Niemcy, potem Litwini w Starych Trokach.

Dnia 9 września 1943 roku, czwartek. Gdy w Wilnie ktoś się napije i nierówno idzie po ulicy, czy też jeden drugiemu da w łeb — policja pisze protokoły, winnych bierze się do komisariatu, potem papiery, pieczęcie, podpisy... Wreszcie jakiś sprytny dziennikarz wyłapie taką nowinę i dumnie ją umieści na szpaltach gazety. Oto na przykład „Goniec” Nr 662: „Zatrzymano pijaka. Policja znalazła w dn. 8-go b.m. o godz. 14-tej na ul. Końskiej 35-letniego Narbutowicza Leona, który był zupełnie pijany. Odprowadzono go do komisariatu i spisano protokół”. Albo znowu: „Pobił kobietę” czy też: „Dwa podrzutki”. Ale gdy pewnego wieczora cała wieś idzie z dymem, ludzi gdzieś wywozi się na los niewiadomy, gdy noc w noc wylatuje po kilkanaście wagonów, tego nie napisał i nie napisze żaden dziennikarz w żadnym „Gońcu”. I nikt nie wie, za co i dlaczego, i nikt nie ma pojęcia, czego trzeba unikać, aby nie znaleźć się w takiej sytuacji. Bo nawet my, siedząc od tej wsi zaledwie kilka kilometrów oddaleni, nie wiemy, o co tam poszło. Jedni mówią, że za rabowanie zawartości rozbitych wagonów, inni twierdzą, że nikt całkiem tam nie rabował, jedni mówią, że za przechowywanie bandytów, inni twierdzą, że nic podobnego, a w końcu końców wszyscy razem nic nie wiedzą. Wiadomo, że Fermę spalono, nie wiadomo, czy jutro nie spotka takież los St. Trok, Narezek, Leśnik. Każdy chodzi jak pod ziemią, nie wiedząc, na jakim jest świecie. We wszystkim tym jednym pocieszeniem: że może się to wkrótce skończy. Dziś Sławek przyniósł z Trok wiadomość o kapitulacji Włoch. Na razie wiadomość to nie do wiary, bo chociaż Anglia i Amerykanie już we Włoszech lądują i biją, to jednak na razie takich postępów nie przypuszczano. Ale gdyby nawet tak i było, to nie przyjmuje się tej wiadomości z taką radością, o jakiej można było marzyć kilka lat temu, na przykład za czasów kapitulacji Francji. Bo jeżeli zważymy, że sukcesami tymi trzeba dzielić się ze Stalinem, to naprawdę nie jest to takie pocieszające. Na jedno pytanie chciałoby się otrzymać odpowiedź: czy Roosevelt i Churchill mają już sposoby obalenia Stalina i jego bandy, i dlatego tak pewnie leżą, czy też naiwnie myślą, że Stalin wygrawszy wojnę, wawrzyny złoży wspaniałomyślnie na głowy Anglików i Amerykanów. Jeżeli tacy są właśnie, to niechby nawet Mussolini nie kapitulował. Pomóc by mu jeszcze w walce z bolszewizmem!!! Ale



Autor na ganku w Leśnikach z „Gońcem Codziennym”.

może cieszyć się już można?! Może już Roosevelt z Churchillem mają gdzieś w ogniotrwałych kasach plany przewrotu w Rosji?

Dnia 11 września 1943 roku, sobota. Pojechałem do Trok, wziąłem do rąk gazetę i przeczytałem: „Tchórzliwa zdrada gen. Badoglio”⁵⁶⁶. Potem wyjaśnia się, że Mussolini był u króla, domagał się wprowadzenia sroższych kar na sabotażystów i nie chcących walczyć. Potem został aresztowany, wepchany do samochodu sanitarnego i gdzieś uwięziony. Nie na długo więc wylazł ze swej kryjówki. Generał Badoglio, obecny jego zastępca w sprawach militarnych oraz król, chcą ochronić rodaków od przelewu krwi, a nie bardzo dbając o honor, zgodzili się na całkowitą kapitulację bez jakichkolwiek warunków. Tak kończyła się jedna wielkość, która chciała trząść światem. Niedaleka przyszłość przyniesie nam może koniec jeszcze dwóch.

Dnia 14 września 1943 roku, wtorek. Dziś w nocy pociąg towarowy uwiózł już byłych mieszkańców Fermy gdzieś na zachód. Kilku uciekło z pociągu jeszcze, powstała więc strzelanina, nam zaś, ciągle czekającym bandytów, zdawało się, że oto już nadchodzą. Tymczasem wypadki o świa-

⁵⁶⁶ Pietro Badoglio — włoski dowódca wojskowy i polityk, po zdymisjonowaniu Mussoliniego 26 VII 1943 mianowany przez króla premierem, 8 IX 1943 podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji Włoch.

towym znaczeniu sypią się jak z rękawa. Niemiecki wódz wygłosił mowę, w której tak poczyścił Włochów, że czytając tę mowę niejeden będzie się musiał porządnie zaczerwienić. Tak ich nikt jeszcze chyba publicznie nie poczyścił. Wprawdzie wyraził współczucie Duce, ale to tylko jemu jednemu! Tymczasem Duce znów na wolności, oswobodzony przez desant przysłany od przyjaciela Adolfa, włoski król natomiast i Badoglio uciekli z Włoch, które intensywnie okupują Niemcy z północy, a Anglicy z południa. Armia włoska istnieć przestała! Rozbrajają ją i jedni, i drudzy. Jednym słowem sytuacja włoska nie do pozazdroszczenia.

Dnia 26 września 1943 roku, niedziela. Przyjechała wczoraj wieczorem z Wilna Tala z Jerzym. Dziś mieliśmy ochotę na zdjęcia przy bladych już, ale jeszcze pobudzających do życia promieniach jesiennego słońca, ale jakoś chmury poczęły go przesłaniać, robiliśmy więc bez nich (nawet dosyć sporo). Wiatr dmucha, śmigło wiatraka kręci się, aż warczy, ładuje, ładuje, ale ciągle jeszcze za mało. Radio czynne od kilku dni znowu, donosi coraz to nowe wieści. Dziś na przykład w Anglii obchodzą trzecią rocznicę wygrania powietrznej bitwy o Wielką Brytanię. Nie wątpię całkiem, że jest tam bardzo wesoło. A gdy do tej rocznicy dojdą jeszcze wiadomości z Włoch, krzyczące o cofaniu się Niemców, gdy mówi się o partyzantach



*Od lewej: Jurek Kobecki, Mama, Tata, Anna Juchniewicz, Tala, Józef Jutkiewicz „Pietuch”.
Leśniki, wrzesień 1943 r.*

jugosłowiańskich, którzy w sile 200.000 ludzi owdąnęli całą już niemal Słowenię, gdy głosi się o gigantycznej produkcji Stanów Zjednoczonych i o leżących w gruzach przemysłowych miastach niemieckich, można w tę trzecią rocznicę wielkich zmagania o Anglię, w których Niemcy ponieśli pierwsze porażki, można całkiem bez sztuczności mieć uśmiech na twarzach i serca pełne nadziei w światłą przyszłość. Można nawet w takiej chwili ucieszyć się razem z Kremlem z wczorajszego zajęcia Smoleńska. Niemiec bity na wszystkich frontach, angielskie fanfary grają podniebne hymny, anglo-amerykańskie bandery dumnie wznoszą się coraz wyżej, a *tawariszcz* Stalin zaciera krwią spod Katynia zbrukane dłonie i na pewno przygotowuje już mapy czerwonej Europy. A Anglicy się cieszą!!!

Dziś lotnik polski z Londynu opowiada swe przeżycia sprzed trzech lat. Mówi, jak to na odgłos syren alarmowych bywało, Polacy zrywali się od obiadu, wpadali do swych maszyn, jak motory poczynęły wprawiać w zawrotny ruch śmigła, jak samoloty podrywały się z ziemi i na skrzydłach wiatru gnały na nieprzyjaciela, aby z furją plunąć strumieniem ognia i stali, i pograżać go w burzliwych falach oceanu. Pięknie to wszystko brzmi. Ale czy nie walczyliście i ginęliście przypadkiem po to, aby w granice swe wpuścić masy hołoty z czerwoną gwiazdą? Czy zamyślacie się nad tym, że Sowiety zdobyły wczoraj Smoleńsk, że walczą na przedmieściach Kijowa, że przeszli już Dniepr, że idą w tempie 15-20 km na dzień? Czy macie w pogotowiu maszyny, aby poderwać się na nich i stanąć na straży swych granic? Czy wiecie, że Sowiety idąc w obecnym tempie, wkroczą za dwa tygodnie w granice tak zwanej „*Zapadnoj Biełarussi*”⁵⁶⁷, z której w 1920 roku wyrzucił ich Piłsudski? Czy macie takiego drugiego Piłsudskiego? Bo Churchill może jeszcze mieć czas — do Londynu kawał drogi, ale czy nie przyjdzie Polakom znowu chronić się w Kazachstanie lub Katyniu przed „możliwym angielskim terrorem”?

Czy może Roosevelt z Churchillem wyobrażają, że te bandy, które noc w noc wysadzają pociągi, a uzbrojone od głów do stóp, na ich prośbę opuszczają tereny Polski, wywalczywszy miejsce dla rządów „polskich panów”?

Hej! Rooseveltcie i Churchillu!!! Czy nie zginiecie od swej własnej broni oddanej na usługi Stalina? Czy przez was wyprodukowane czołgi nie wjadą do Anglii, przejechawszy Polskę, Niemcy i Francję pod kierownictwem czerwonych batów? Czerczillem okażesz się, czy po prostu tylko Churchilllem? Bo do granic Polski zostało zaledwie 250 km. Do Wilna 400. To, że śpiewacie przez radio „Nad Wisłą czuwa wierna straż”, to nie znaczy, że

⁵⁶⁷ *Zapadnaja Bielarus* — ros.: Białoruś Zachodnia.

możemy pozbyć się tej świadomości duszącej piersi: Smoleńsk padł! Ach, gdyby nie te wszystkie czy, czy, czy, czy, czy... bez końca, gdyby nie te miny i wałęsające się bandy po kilkadziesiąt ludzi, może i my byśmy się cieszyli z wami dzisiejszą rocznicą, postęпами we Włoszech, wychodzącym z fabryk co pięć minut nowym samolotem, gruzami niemieckiego przemysłu. Może wyczulibyśmy cały ogrom radości, zawartej w obecnym okresie wojny, o którym tak się marzyło w maju i czerwcu roku 1940. Ale gdy istnieje ten ogrom „czy”...

Dnia 15 października 1943 roku, sobota. Zmuszony jestem ciągle do dłuższego milczenia przez okoliczności wokół panujące, ale teraz, jak mi się zdaje, zrzucę już wkrótce ich gnębiące jarzmo i częściej będę się mógł zabrać do książki i pióra. Przez te dwadzieścia dni milczenia dużo zdarzeń obok mnie i nawet we mnie przeleciało. Po pierwsze, a raczej musiałoby się ogłosić ten wynik na samym końcu, nie pracuję już na tartaku! W lecie 1940 roku zdanie takie mogłoby mię zasmucić, dziś jednak napawa mię głęboką radością — czort z wami, „zrezygnuję z 2 RM dniówki”, z kila masła miesięcznie! Winę czy może ściślej mówiąc, zasługę w tych zmianach ponosi nasz „opiekun” z *Heimatu*, Winkler, który obecnie dość często przebywa na tartaku (nie powiem już „naszym”). Któregoś to dnia wracałem trockim wieczornym z Wilna i spotykam się w wagonie z tymże Winklerem, który mię prosi, żebym zaszedł do Skarbowskiego i mu powiedział, aby na godzinę ósmą rano przysłał do Trok konia. Ja idę do Skarbowskiego i zastaję dom pogrążony we śnie. Idę do kaczegarki⁵⁶⁸ i mówię o tym stróżowi, który mi obiecuje raniutko powiedzieć to kierownikowi. Na jutro przybiega koło godziny dziewiątej Sławek i powiada, że mnie Winkler woła, bo musiał, biedak, piechotą z Trok drałować. Gdy wszedłem do kantory, Winkler do mnie:

— Panie Pilecki, czemu koń po mnie nie przyszedł?

— Nie wiem — powiadam. — Ja wczoraj przyszedłem do p. kierownika, ale on spał już, bojąc się więc, że dobijającego się do drzwi czy okien może wziąć za bandytę i zastrzelić, powiedziałem o tym Gajdulewiczowi, który widocznie zapomniał mą prośbę wykonać i...

— Dopsze, dopsze! Masz pan tu czeki i idź pan do Rudziszek na tartak i oddaj pan tam te czeki!

Zaczynam na nowo tłumaczyć się, ale on ciągle śle mię do Rudziszek. Wreszcie zmienia „karę” i powiada, żebym zamówił na jutro pięć wagonów. Biorę słuchawkę i zamawiam. To więc mu nie udało się. Mówi więc, żebym

⁵⁶⁸ Kaczegarka — kotłownia.



Załadunek drewna na stacji kolejowej w Leśnikach, październik 1943 r.

z nim jechał do Rudziszek, a stamtąd dobierał się piechotą do domu. Gdy wychodzi na pociąg, ja zostaję w kancelarii. Przyszło z placu trzech gońców, ale tak pierwszy, jak i ostatni osiągają jednakowy wynik. Wieczorem wraca Winkler z Rudziszek i przywozi z powrotem czeki po to, aby je Pilecki zawiózł natychmiast do Onuszysek. Ale że nie było mnie na ten czas w Leśnikach, więc potrafili weń wmówić, że na noc nie mogę przecie jechać i że zawiozę nazajutrz. Co innego, gdy mówi mi Skarbowski, że trzeba zawieźć czeki, a co innego, jak jakiś chłystek wyznacza mi karę. Na drugi dzień jadę z czekami. Było to na czwartek, dn. 30 IX. Wracam o drugiej. Michał mówi, że jest łaźnia, a ponieważ w piątek *Rożeszczona*, warto się wymyć, trzeba tylko zaczekać, aż Winkler wyjdzie stamtąd. Gdy idę znowu na plac, nie ma już tam ani Michała, ani Sławka, idę więc i ja w ich ślady. Zachodzę! W samych drzwiach stoi Winkler, chwyta mię od razu za poły marynarki i powtarzając ciągle: „Panie Pilecki, gdzie pan był dzisiaj?”, wciąga mię do wnętrza.

— W domu byłem.

— Ach, w domu był pan. No to dopsze. Pogadamy z panem — i nadal mię ciąga.

— Odczep się pan ode mnie — krzyczę mu w ucho. — Czego się pan do mnie przylepił?



Autor na wagonie załadowanym drewnem. Leśniki, październik 1943 r.

Chociaż był pijany „w drobiazgi” i z oczami na łbie, ledwo stał na nogach, jednak zrozumiał. Puścił, ale ciągle powtarza:

— Gdzie pan był dzisiaj?

Mówię mu, że byłem w domu.

— A! To był pan w Onuszyszkach? A czemu pan nie zadzwonił?

I znowu ułapił się marynarki, lecz po mym ponownym upomnieniu puścił i siadł pod oknem.

— Dzwoniłem — powiadam — niech się pan spyta kierownika.

W braku tego ostatniego zwrócił się o potwierdzenie słów mych do Michała, a otrzymawszy je, zacichł na chwilę. Nie na długo wszakże, bo po chwili zaczął na nowo w ten deseń:

— A kiego dzisiaj łaźnia?

— Co znaczy ‘kiego’? — pytam.

— No kiego, kiego łaźnia?

— Robotników.

— Nie — powiada — dziś łaźnia dla mnie.

— To może nie mogę wymyć się?

— A nie! Jak pan był w Onuszyszkach, to proszę myć się.

Po chwili jednak straciłem możność, bo powiedziawszy mu, że w ciągu może mię tylko prosić, a nie rozkazywać, wprowadziłem go w taki szal, że zaczął po niemiecku już grozić, że mię wsadzi do więzienia, że przed Wulfem będę odpowiadał, a na razie wyprosił mię z łaźni.

No i zaczął się sądny wieczór. Poleciał do kantory, zapowiedział, że może nas wszystkich postrzelać itd., itd., aż wreszcie zażądał dziennika i wybrał się do *Arbeitsamtu*, napędzając tym na Skarbowskiego porządnego stracha, bo w dzienniku dużo stoi nieobecności robotników przy pracy bez powiadomienia *Arbeitsamtu*.

W piątek raniutko przybiega Marcin [Łopatto] i woła mię na tartak, bo Winkler przyjechał i sprawdza, kto na czas stawia się do roboty. Z polecenia Winklera *Rożeszcznę* i następną sobotę odpracowałem przy krajzie, co oby mu Bóg na sądzie policzył.

Winkler już nie pojechał do *Arbeitsamtu*, tylko koło krajzy przechodził bardzo zadowolony. Począłem kombinować nad przeniesieniem się z tartaku do leśnictwa, ale tu znowu spotkałem się z lekkim oporem Tatusia, który będąc zawsze, a przynajmniej starając się być czystym od wszelkich podejrzeń, domysłów i zarzutów, zasłyszawszy w dodatku, że to Alejun spoił Niemca i żalił się mu, że Karaimi na lekką pracę lecą (to mi dopiero wdzięczność ludzka), powstrzymał na razie me zapędy. Gdy jednak w pią-

tek przyjechał znów Winkler i powiedział Karczewskiemu, żeby mi nie pozwalał całkiem przebywać w kantorze, gdy do tego rzucił się jeszcze na mnie, gdy dzwoniłem do Wilna, chcąc rozmawiać z Jerzym przez *Wehrmahtsvermittlung*⁵⁶⁹ (gdyż osobom prywatnym nie można rozmawiać z wojskową centralą) — już i Tatuś stwierdził, że trzeba z tego interesu wycofać się. Trzynastego października było już oficjalne zwolnienie z *Arbeit-samtu*. Tak więc zakończyła się moja siedmiomiesięczna kariera brakarska na leśnickim tartaku, taki miało skutek niepowiadomienie Skarbowskiego o potrzebie wysłania konia.

Tymczasem z Trok dzwonił niedawno Awuńcik, żebym przyjeżdżał natychmiast z pół litrem, bo kombinują zrobić jakąś *siekiermotkę*, chcąc naprawić swe niepowodzenia z zeszłej niedzieli, kiedy to Facecianki podtarły im dobrze nosa, nie przychodząc na umówioną tanculkę w Muzeum, a zapraszając „śmietankę towarzystwa” do siebie na imieniny i pomijając „*padonki obszczestwa*”⁵⁷⁰, jak to wyraziła się Facetowa.

Dnia 17 października 1943 roku, niedziela. Na siekiermotkę wczoraj pojechałem, ale żebym tak bardzo był z tej poprawy błędów sprzed tygodnia zadowolony — to znowuż nie można powiedzieć. Publiki było wprawdzie więcej niż zazwyczaj, przyjechały bowiem z Wilna Tamara [Poziemska] i Niusia [Czaprocka, później Michajłowicz]. Ta pierwsza weszła nawet w skład „trio”, z którym można od czasu do czasu zatańczyć, o ile oczywiście pozwala na to nędzne brzdąkanie na strunach mandoliny lub jeszcze bardziej zasługujące na słowo „nędzne” kwiczenie patefonu. Mini [Michała Nowickiego] bowiem nie było, zastępował więc go Miszka [Abkowicz], no i anemiczny duet patefonu z płytami. Wreszcie dopomagając jeszcze swym własnym gardziołkiem, można trochę poszlifować podłogę wraz z Zosią [Pilecką], Lidą [Firkowicz] czy Tamarą. Ale gdy w walcu popadnie się⁵⁷¹ z kółeczka wyrwać Anię Zajączkowską czy też Niusię Czaprocką, w kąt trzeba rzucić treningi walcowe i przejść w najpospolitszy foxtrot z domieszką tanga, bo gdy ręce otrzymują funkcję przesuwania i ustawiania worków, nie można obciążać nóg obracaniem swego ciała i to w dodatku w tempie. A gdy do tego wszystkiego trzeba jeszcze czasem mimochodem złapać w ucho całkiem niedwuznaczne „docinki i odcinki” między Faceciankami i Awuncikiem, Gabkiem czy jeszcze kimś z „*padonków obszczestwa*” — to i naprawdę nic na tych *siekiermotkach* nie ma godnego uwagi i poszanowania (oczywiście wyłączając jedynie walczyk z którąś z „trio”). Jednak nie mogę tak już

⁵⁶⁹ *Wehrmahtsvermittlung* — wojskowa centrala telefoniczna.

⁵⁷⁰ *Padonki obszczestwa* — ros.: wyrzutki społeczne.

⁵⁷¹ Popaść się — udać się.

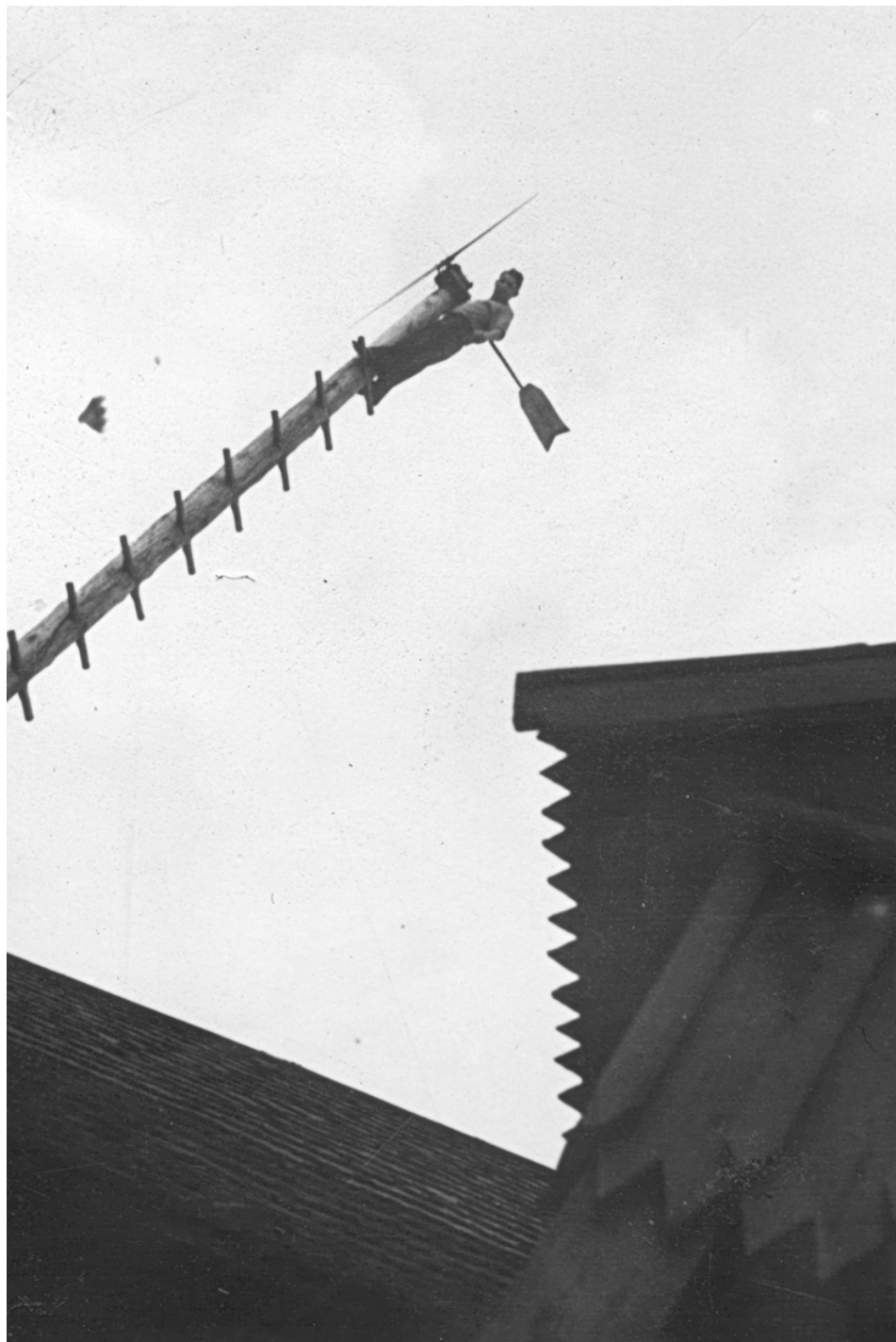


*Stoją: Luba Michajłowicz, Tamara Poziemska, Awa Ławrynowicz, Musia Jutkiewicz.
Siedzą: Elek Pilecki, Macin Firkowicz, Elena Juchniewicz,
Michał Kapłanowski „Paderewski”.*

całkiem narzekać na spędzony w Trokach wieczór — spotkałem się bowiem z Miszkiem Abkowiczem, którego dawno już nie widziałem, a z którym to z taką przyjemnością obcuje. Jego lekki sposób trzymania się, ciągły potok wymowy i „posikławy”⁵⁷² śmiechu, jego wreszcie szczerłość, która nie staje na przeszkodzie pierw wymienionym walorom, robią z niego takiego właśnie, za którego można by [...] wielu innych oddać.

Dziś więc siedzę w domu i zakładam nowe dynamo, które przywiozłem z Wilna po uprzednim przewinięciu. Silniejsze od poprzedniego powinno już nareszcie wystarczyć.

⁵⁷² Posikławy — strumienie, wodospady.



Autor przy śmigle generatora prądu.

Dnia 19 października 1943 roku, wtorek. Nareszcie! Nareszcie siedzę przy mlecznym świetle dostarczonym ze słupa i mogę pisać bez obawy, że za dziesiątym czy dwudziestym zdaniem trzeba będzie światło zgasić, aby nie dobijać i nie rozładowywać akumulatora. Na odwrót — trzeba by już dynamo zatrzymać, bo ciągle ładuje, a akumulator już się gotuje jak wrzątek na ogniu. Tylko że hamulca jeszcze nie ma, a po nocy łązić na wierzch⁵⁷³ nie bardzo chce się. Nie wiem, jak będzie na dalszą metę, ale na razie dynamo zdało egzamin na celująco. A może to tylko taki zbieg szczęśliwych wiatrów?

Byłem dziś w Wilnie. Od poniedziałku ma podobno zacząć się nauka w budzie, o ile oczywiście znowu nie przeszkodzi dziś właśnie ogłoszona rejestracja kobiet i mężczyzn od 16 do 50 lat życia.

Dnia 22 października 1943 roku, piątek. „Za oknami gra wiatr”... Tam, tam, tadram! Tylko że tango nie jest Notturmem, a właściwie nie jest w ogóle żadnym tangiem, jeno tak jakimś śpiewem męskim, być może z opery jakiejś. (A chciałoby się już usłyszeć znów taki rodzaj śpiewu, ale nie przez fale eteru, tylko prosto ze sceny.) Tak otóż dom cały pogrążony w ciszy, o ile oczywiście nie brać pod uwagę owego szumu wiatru za oknami, no i śpiewu z radia. Niestety, cisza to względna! Bo nie wiem, może nie dokończę nawet tego zdania, gdy raptem zabręczą szyby i okiennice zabarabania⁵⁷⁴ od niedalekiego wybuchu lub też dadzą się słyszeć przeciągłe serie z automatów. Bo wzorem wieczorów ubiegłych spodziewamy się podobnych zdarzeń w każdym momencie, zaraz po nastaniu zmroku. Wczorajszego na przykład wieczoru rozpoczęła się taka kanonada, żeśmy wszyscy wycofali się z domu — wprowadzie we wzorowym porządku — na z góry upatrzone pozycje, na których zaszczytne stanowisko została powołana stara jama na kartofle, znajdująca się za płotem. Dziś można już się z tego śmiać i żartować, ale żeby już tak bardzo do śmiechu było wczoraj, tego bym nie powiedział. Zaczęło się o pół do dziesiątej. Właśnie zamierzałem się zabrać do golenia, gdy raptem dały się słyszeć strzały od przystanku, najpierw pojedyncze, potem całe serie. Po chwili wpadł do nas Skarbowski i z rewolwerem w ręku krzyczy, że bandyci podpalili rakietami pociąg, a obecnie ostrzeliwiają go, okrążywszy ze wszech stron. Chociaż Skarbowski jest już nam dobrze znany ze swych zdolności blagierskich, ale teraz trudno byłoby nie uwierzyć. Przez okno widać ogień z wagonu, słyszeć także i strzały, nie ze wszystkich co prawda stron, ale kto wie, może

⁵⁷³ Na wierzch — tu: na górę.

⁵⁷⁴ Zabarabanić — zadudnić, załomotać.

były i nie tylko od przystanku. Skarbowski powiada, żebyśmy wychodzili z domu, bo zaraz mogą przyjść. Tatuś trzęsącymi się rękami napełnia swe kieszenie nabojami, bierze karabin i wychodzimy. Mama złapała jeszcze trochę ubrań i świeżo zbite masło i wyrzuciła to w krzaki tui, potem zaś wszyscy zbieramy się za płotem. Chociaż na ogół nie jest zimno, kozuch też jest na karku, ale jakoś nachalnie ziębi. Na przystanku harmider jakich mało. Strzały i krzyki, znów strzały i znów krzyki. Potem strzały ustały, a krzyki jeszcze się wzmogły. Dolatują dźwięki przerzucania jakiegoś metalu, jakby szyny zrzucano czy coś w tym rodzaju. Trwało to z godzinę. Potem ucichło, pociąg ruszył ze stacji w stronę Wilna, przebrzmiały jeszcze dwa pożegnalne strzały i wszystko ucichło. „Bitwa wygrana” — powiedział Skarbowski. Aby jednak przekonać się, czy już całe niebezpieczeństwo minęło, poszedłem do Vaičiulisa, gdzie dowiedziałem się, że wagon sam się zapalił i Niemcy sami chyba strzelali. Poszedłem więc do domu i oswobodziłem jamę spod ucisku „krwio pijców”.

Tymczasem przyjechała policja trocka do „okrążonych Leśnik” i do „płonącego transportu”, ściślej zaś mówiąc przyjechali robić chyba obławę na policjantów, którzy przychodzą „pilnować” tartaku. Gdy zaczęła się bowiem strzelanina, bohaterowie Ziemi Wileńskiej pochowali się, gdzie kto zdążył. I tak dwóch siedziało u Skarbowskiego i alarmowało Troki, jeden zaś opynął się u Vaičiulisa, bez czapki wprawdzie, ale z lwią odwagą w sercu. Bo czapka gdzieś się, cholera, zapodziała, tak że ściśle mówiąc Troki alarmowało dwóch policjantów i jedna czapka — z Pogonią oczywiście.

Dziś okazało się, że wagon zapalił się od jajecznicy, którą sobie piekł zgłodniały żołnierz, strzały zaś były z wagonu, gdzie poczęły wybuchać naboje. Ale że strachuśmy przeżyli trochę, to fakt.

Tak i dziś. W czasie tej pozornej ciszy nie wiadomo, czy gdzieś tuż obok nas nie podsuwa bolszewik minę pod szynę, czy po ciemnościach jesiennej nocy, gdy po jednej stronie naszych okien gra wiatr, a po drugiej radio, czy do tych okien nie skrada się bolszewik z automatem, aby w imię „*mirowej rewolucji*”⁵⁷⁵ pozabierać do swego użytku wszystko, co się mu spodoba, czy wychodząc potem znów w ciemność nocy, nie pozostawi kuli, tak jak to było w Połukni u znachora Tataruka, czy u Orłowskiego. Tak, że jednym słowem życie mamy jak z bajki. I wiatr gra, i radio, i automat, i szyby. I bolszewik gdzieś między drzewami przekrada się. A być może, że właśnie w tej chwili rozstrzyga się jego los. Że może wszystkie te jego wysiłki wciąganiu min okażą się nadaremne, co daj Boże amen.

⁵⁷⁵ *Mirowej rewolucji* — ros.: światowej rewolucji.

Już od kilku bowiem dni toczą się w Moskwie obrady o światowym znaczeniu. Przedstawiciele trzech mocarstw, to znaczy Anglii, Stanów Zjednoczonych i Sowietów, zeszli się wreszcie na wspólne obrady i coś wykombinują. Zapewne poruszone będą sprawy Polski i jacyż okażą się sprzymierzeńcy Polski, którym polscy lotnicy setki samolotów stracili i Londyn od bomb ochraniali. Okażą się ludźmi nie takimi, przeciw którym walczą, czy też pospolitymi dusigroszami, nabijającymi swe kieski kosztem krwi, chociażby najbliższej. Dzisiejszego właśnie wieczoru miał się spotkać amerykański minister spraw zagranicznych Hull⁵⁷⁶ ze Stalinem. Wczoraj konferował z angielskim ministrem Edenem. Rozstrzygają się losy Europy, a może i świata.

Któż wie, może właśnie w tej chwili, gdy pociąg wylatuje w powietrze, a bolszewicki zbir rabuje całe wioski, jak to już u nas nie raz bywało — „baćka” Stalin macza swe wąsiska w szampanie i barowym głosem pyta: „*Da cztóż, gaspadin Gull, addaditie nam naszu zapadnuju Bielaruss’ i Ukrainu, Litwu, Łatwiju i Estoniju, ili nie oddaditie?*”⁵⁷⁷. I cóż pan na to, panie Hullu, obrońco uciśnionych narodów i własnej oczywiście kieszeni? Bo jeśli rzekniesz jedno słowo „da” — będziesz musiał potem rzec „*da, da, da...*”⁵⁷⁸ i na takie pytania jak „*Addaditie Warszawu i Konigsberg, addaditie Bałkany i Czechy, Berlin, Paryż, Romu i Madryt, Łondon, Waszyngton i ... Nu, kak? Addaditie, ili niet? A niet, tak wot wam!!!*”⁵⁷⁹ I wzrok pański przeniesie się z szampana na zardzewiały nagan spod Katynia!...

Dnia 1 grudnia 1943 roku, wtorek. Gdybym zabawiał się w rozczłonkowanie swej głupiej bazgraniny na jeszcze bardziej pozbawione sensu rozdziały, księgi, cykle itd., to czas zawarty między 22 października a 1 grudniem 1943 r. nosiłby niewątpliwie tytuł: „W pogoni za mieszkaniem”. Pogoń to rzeczywiście była do utraty tchu i zelówek! Przez bity miesiąc czasu, prawie dzień w dzień, trzeba było lecieć ciągle pod inny adres wskazywany przez niedawno spokrewnionych jakimś znajomym znajomych moich znajomych — i jak to jedynie i wyłącznie miało miejsce przez te 30 dni, tuż od drzwi wejściowych albo najdalej z przedpokoju cofać się z powrotem na ulicę, aby lecieć, lecieć, lecieć....! Zdobywać coraz to nowe bramy, klatki schodowe, piętra po piętrach, dzwonki i drzwi,

⁵⁷⁶ Cordell Hull — amerykański sekretarz stanu w latach 1933–1944, laureat Pokojowej Nagrody Nobla w roku 1945 za zasługi w tworzeniu ONZ.

⁵⁷⁷ *Da cztóż...* — ros.: I co, panie Hull, oddacie nam naszą zachodnią Białoruś i Ukrainę, Litwę, Łotwę i Estonię, czy nie oddacie?

⁵⁷⁸ *Da, da, da* — ros.: tak, tak, tak.

⁵⁷⁹ *Addaditie...* — ros.: Oddajcie Warszawę i Koenigsberg, oddajcie Bałkany i Czechy, również Belin, Paryż, Rzym i Madryt, Londyn, Waszyngton i... No co? Oddacie, czy nie? Ach, nie, no to macie!!!

wreszcie i opadać w wizjach ciemnej przyszłości bez mieszkania, znów na gołą, mokrą od jesiennych mgieł i deszczów ulicę, aby rozpoznawszy z grubsza kierunek, znów lecieć, lecieć, lecieć!...

Czasem już, już się krystalizowały jakieś przedsięwzięcia, już, już umawiam się na konto ceny, już mieliśmy wjeżdżać w mieszkanie, gdy raptem znów wszystko się rozpryskuje jak kryształ pod ciosem kamienia i znowuż lecieć...

Nauka rozpoczęła się w końcu października, z początku trochę kulejąc, ale z biegiem czasu chód jej coraz bardziej wyrównywał się i nabierał szybkości, aż wreszcie w czasach przedostatnich sunie już pędem wcale niezgorzszym. Ja tylko jeden jestem poza jej nawiasami. Ciągłe bez stałego dachu nad głową, a co ważniejsze, bez jakiegokolwiek stalszej deski pod ręką, na której można by było pisać.

Z samego początku kilka nocy spędziłem na Lwowskiej na swym zesłorocznym miejscu, ale czasy i ludzie zmieniają się, nie zostało więc i tam bez zmian.

Ciotka Dusia [Łopatto] przebywa obecnie w Trokach, druga zaś z licznych mych ciotek, Raja [Zajączkowska] obrała sobie za stalsze lokum Wilno. Na ulicy więc Lwowskiej miejsca zabrakło, oprócz tego jakieś nieuzasadnione żale p. Łopatty do mego Tatusia na tle drzewa, którego nie można było w tym roku w Leśnikach wyrobić, stworzyły sytuację z nie-najlepszych nie tylko dla mnie — przybłędy, ale także i dla prawnych sublokatorów — Kobeckich. Korzystając więc z niewyczerpanej uprzejmości cioci Wiery, począłem nocować na Tartakach. Sytuacja stała się jeszcze lepsza. Do szkoły z rana idę z Tartaków. Potem wracam na Lwowską. Tam spędzam kilka godzin do obiadu, a czasem i kolacji, następnie zbieram matki na dzień następny i znów na Tartaki. O lekcjach więc lepiej nie wspominać, życie raczej cygańskie niż uczniowskie, do tego przepełnione żądzą zdobywania i zdobywania — wiedzy.

Na Tartakach dzień rozpoczyna się o pół do piątek rano, gdyż Jul i Lusja idą na pracę, zmierzch więc następuje także odpowiednio wcześniej. Już około dziewiątej pozostają ja jeden, któremu bogowie snu nie dają. Ale cóż, kładę się i ja, aby znowuż nie nadużywać uprzejmości, chociaż ciocia kilka razy mi nadmieniała, że w razie potrzeby mogę sobie i dłużej posiedzieć. Zapraszała mnie nawet na czas dłuższy, ale cóż, wolę wszak swój kąć niż salony w cudzych pałacach.

Mimo wszystko więc ani na chwilkę nie ustawałem w swych zmaganiach z losem. Spółka coraz bardziej poczyniała szwankować, gdyż współ-

nicy trococy coraz bardziej zatracali wątek swych dążeń i w końcu końców sami już, zdaje się, nie zdawali sobie jasno sprawy czego chcą i do czego zmierzają. Widząc więc, że z nimi chyba *do tolku*⁵⁸⁰ nie dojdę, bo to bywało tak, że jednego dnia wycofują się z pokoju, gdyż jest on bez mebli, następnego zaś lecą w inne miejsce, dowiedziawszy się, że jest tam podobnyż pokój bez mebli, ale jeszcze nie mogą się gospodarze zdecydować na wydanie — przez cały tydzień biegają po odpowiedź i wreszcie zostają przy swoim, postanowiłem sam ulokować się u Edka Pileckiego⁵⁸¹. Już, już byłoby wszystko załatwione, gdyby nie jedno zdanie cioci Wiery. „U tego żulika? — powiada. — Toż on ciebie na Łukiszki zaprowadzi! On, który potrafił z nożem w rękę żonę swą z mieszkania wypędzać!” Nad tym zastanowiwszy się, pomyślałem też sobie, że jeżeli nie u Gdańskich⁵⁸², bo tam zimno, to już w żadnym bądź razie nie u Edka — chociaż u niego ciepło. Trochę paczkę byłbym rzucił dawno, poczynali już bowiem grać na nerwach, ale jedna myśl odводziła jeszcze mnie od tego kroku: mieszkając razem z Awuńcikiem, Olkiem [Dubieńskim] i Józefem [Firkowiczem] miałbym sposobność trenować się w mych zmaganiach z językiem karaimskim. I z myślą tą jako z przewodnim sztandarem cierpiałem dalej, chociaż do Gdańskiej kilka razy miałem już iść i u niej zamieszkać. Wreszcie nareszcie! Po długich 30-dniowych mękach trafiliśmy w końcu na dwa pokoje. Adres: Antokolska 12b, właściciel Dowbór.

Pokoje ładne, meble także. Cena razem też niezła, ale dla każdego po 60 RM. Co prawda ciepłem przez te kilka dni pochwalić się nie można było, ale to może z powodu braku drzewa, którego tak *na chadu* nie można było znaleźć. Sprawy mieszkaniowe już załatwione. Obiady jadamy w *Valgisie*⁵⁸³ po dwóch na dzień — można przeżyć.

Poczynamy więc uczyć się. Dotychczas na ten temat w ogóle myśleć nie sposób było, chociaż czas już najwyższy. Mimo że liczymy się już jako klasa trzecia, to jednak kurs klasy jeszcze drugiej. Musimy go kończyć przed Bożym Narodzeniem. Każdy więc ciśnie, a na ostatku nie chce się rozstawać, bo niektóre stopnie to już dyplomowe.

Tyle więc, jeśli chodzi o sprawy bezpośrednie i w danym momencie mnie obchodzące. Jeżeli zaś rzucić okiem poza siebie, mając na względzie nie tylko tego „ego”, to zmiany też są. Jedną z takich poważniejszych, to wiadomość od p. Urbanowicza. Przyszła w pierwszych dniach listopada

⁵⁸⁰ *Do tolku* — ros.: do ładu, tu: do porozumienia.

⁵⁸¹ Edward Pilecki (1905–1980), „Aziuk”, syn Józefa.

⁵⁸² Rodzina Szpakowskich.

⁵⁸³ *Valgis* — lit.: placówka żywienia zbiorowego.



W wileńskim Technikum, autor (z prawej) z Markiem Juchniewiczem.

z Iraku, pisana przez posła czy jego sekretarza, czy tam kogoś, dziś już zresztą dokładnie nie przypominam. Otóż w odpowiedzi na poszukiwania przesyła poszukującym następujące zdanie: „Jestem żyw i zdrow, pracuję. Pisać proszę pod takim to adresem. Zygmunt”. Oczywiście, wiadomość wpłynęła rozweselając na niektóre osoby, jako też i poderwała zaufanie co do prawdomówności przedstawicieli rodu ludzkiego. Byli już bowiem i tacy, którzy głosili, że widzieli czy też wiedzieli, iż p. Urbanowicz został zamordowany, zabity czy też rozstrzelany, raz przez bolszewików, drugi znów przez Niemców⁵⁸⁴. A teraz oto — równo po trzech latach nadchodzi wiadomość: „jestem w Iraku”. Wiadomość oczywiście nie mogła dziś zrobić wrażenia takiego, jak na przykład uczyniłaby to dwa lata temu. Natura ludzka znana jest wszak ze swej słabości, umysł zaś i serce — ze zdolności szybkiego zapominania. Czas, ten nieprzeczwyciężony i wszechpotężny czynnik, mający jeśli nie największy, to przynajmniej jeden z największych wpływów na psychologię⁵⁸⁵ i duszę człowieka, swoje zdziałał.

Kwestia jeszcze dalsza, a właściwie najbliższa nas, bo najwięcej obchodząca, kwestia wojny i jej przebiegu nie zmieniła wcale swego oblicza. Tak jak była miesiąc czy półtora temu, tak i pozostała nadal ciemna — dla nas przynajmniej — i nie pozbawiona pytania o sprawy Polski.

Minęły obrady w Moskwie, minęły rozmowy polityków trzęsących światem, minęły wymiany i podpisywania deklaracji i umów, a pytanie: „Polska i wpływy w niej po wypędzeniu okupantów?” pozostało w martwym punkcie. Zresztą, nie mogę twierdzić tego ze stuprocentową pewnością, gdyż na obradach nie byłem (sekretarz — bałwan — zapomniał przysłać samolocik), być może, że coś tam i wycisnęli na ten temat, ale do wiadomości publicznej nie zostało nic podane, oprócz jednego powziętego postanowienia, które — nie wiem naprawdę — jak mogło raptem wskoczyć im do głowy, postanowienie tak nowe, efektowne, twarde i pocieszające nas — że „wojnę będą prowadzić aż do... samego jej końca”. Na coś większego nie zdobyli się!!!

Dnia 5 grudnia 1943 roku, sobota. O to, to! Ja rozumiem, że człowiek żyje, bo przynajmniej czuje to. Wszystko w tempie amerykańskim, z angielskimi zdolnościami wynalazczymi i ze stachanowską upartością w wykonywaniu: dziś już nowa nowość. Rodzice przenieśli się z Leśnik do Trok. Wczoraj już Sławek Abkowicz coś bąkał, że byli tam bandyci, ale sam nic

⁵⁸⁴ Zygmunt Urbanowicz powrócił do Polski po przejściu szlaku bojowego z Armią Andersa. Po wojnie mieszkał z rodziną w Olsztynie, gdzie pracował w oddziale Dyrekcji Lasów Państwowych.

⁵⁸⁵ Właśc.: psychikę.

konkretnego nie wiedział, gdyż to słyszał tylko od tego, któremu jakiś znajomy powiedział. Ja na niedzielę do domu nie jeździłem. Przychodzę dziś do budy i spotykam trockich kompanów, którzy wczoraj wieczorem byli świadkami przenosin z Leśnik do Abkowiczów. Okazuje się, że w sobotę przez cały dzień jeździli bandyci u Sosnowskiego na Pasiakach, pod wieczór zaś przyjechali Niemcy oraz policja wypędzać ich. Strzelali więc morowo, trafili nawet jednego robotnika z tartaku, Tichanowa, którego na miejscu pozbawili możliwości oglądania świata Bożego, potem Niemcy postrzelali się między sobą, postrzelili starego Sorokę, ale bandytów nie znaleźli. (Śniegu mało jeszcze było, nie mogli więc wytropić.) Jednym słowem narobili ruchu na całą noc, tak że ojcuzłukowie zdecydowali się uciekać czym prędzej do Trok. Na razie, oczywiście, przenosiny to tylko prowizoryczne, gdyż cała gospodarka pozostała na miejscu. Miejmy jeszcze nadzieję, że może i nie trzeba będzie jej rzucać.

Dnia 17 grudnia, 1943 roku, piątek. Nie mam wprost pojęcia, co te nasze szkolne dowództwo myśli sobie! Od wczorajszego południa jesteście już zwolnieni aż do 10 stycznia. Widzę, że dba ono o to, aby „przyszłym inżynierom” nie zawracać bardzo głowy. A to, że ci „inżynierowie” w głowie nic mieć nie będą, to znowuż nie ma tak wielkiego znaczenia! Tylkośmy zaczęli coś niecoś rozpędzać się w nauce, ledwośmy się przeczchnęli z tej zabójczej siedmiomiesięcznej przerwy, a tu zamiast tego, żeby nadpędzać szkołę, jeszcze bardziej chcą zostawać w tyle. To mi dopiero mądra polityka. A może to i tu wpływy obecnej strategii frontowej: wszędzie defensywa? Jednym słowem jeżeliby tak krótko wyrazić moje nastawienie co do tej sprawy, to powiem od razu: synowie marnotrawni! Dziw, jeśli was kara Boża nie spotka.

Tymczasem jadę dziś do domu. Do domu i nie do domu właściwie. Bo przyzwyczaiłem się pod wyrazem „dom” rozumieć przytulny, ciepły ciepłym moralnym i duchowym kątem, w którym człowiek czuje się nieskrępowanym panem swej woli. O obecnym swym domu powiedzieć tego niepodobna! Nie myślą się filozofowie, twierdząc, że człowiek wówczas dopiero może rzecz należycie ocenić, gdy ją straci. Ileż prawdy jest zawartej w tych dwóch zaledwie strofach wstępu do „Pana Tadeusza”:

„Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto się stracił...”

Nie wznosząc się dziś na poziomy myślenia na temat nieistniejącej ojczyzny, przystosuję te słowa tylko do rodzinnego domu. Czy to na ściany spojrzysz, czy przez okna na dwór wyślesz spojrzenie, czy też każdy inny szczegół chcesz porównać — wszędzie wniosek ten sam: to nie to! Jeżeli

chodzi o mnie osobiście, to jeden tylko plus w tym zamieszkiwaniu w Trokach jest: towarzystwo na miejscu. Chociaż za tym nie bardzo się upędzam⁵⁸⁶, to jednak czas od czasu kolana rozprostować nie zaszkodzi.

Dnia 21 grudnia 1943 roku, wtorek. Gdyśmy jeszcze przechadzali się czas od czasu po korytarzach „Wyższej naszej Szkoły”, któregoś razu ktoś z mych współklepaczy biedy mieszkaniowej zagadnął mnie więcej w ten sposób: „Popatrz! Czy zapisałeś się na przepustkę kolejową? Zapisz się! Pojedziem do Kowna”. Pomyślałem, że myśl naprawdę godna wykonania. No i w końcu końców dostałem przepustkę do Poniewieża. Ponieważ jednak w budzie powiedziano nam, że przepustka ważna jest tylko w dwóch dniach — 17 XII i 9 I, w Poniewieżu zaś siedzieć trzy tygodnie zamiaru nie miałem, poprosiłem Tatusia, aby postarał się o drugą przepustkę w Trokach. Mam więc obecnie dwie. Z początku miałem zamiar jechać, aby trochę *spekulnut*⁵⁸⁷, gdyż chodzą słuchy, że cukier tam po 20 marek, gdy tu po 31. Zaś Tatuś w końcu widząc, że trockim kompanom ochota do jazdy odpadła, namawiał mię, abym i ja nie jechał, gdyż zarobić można i na miejscu. Na dowód tego kupił wczoraj 30 kg cukru, aby dać mi podstawy do zarobku i odciągnąć od zamiaru wyjazdu, który to właśnie dziś miał nastąpić. Ja cukier dziś zawiozłem do Wilna, opchnąłem, zarobiłem, a jutro jednakowoż jadę. Jadę w towarzystwie Czaprockich i Jony Rojeckiego. Niespecjalnie dla zbicia kilku groszy, gdyż to można rzeczywiście robić z równym powodzeniem, siedząc na miejscu, ale po prostu dla oglądnięcia chociaż odrobinki świata, dla rozruszania kości i oczu. „Coś mię woła, coś mię nęci, w tę bezbrzeżną świata da!”⁵⁸⁸. Naprawdę coś woła i nęci. Chciałoby się oglądać te nowe krajobrazy, nowych ludzi, nowe obyczaje. Jednym słowem wszystko, co pachnie świeżością. Dość tego zaśniedziałego siedzenia na jednych i tych samych śmieciach! Charakter Karaimów trockich znany jest z słomianych płomieni — ciekawe, jak jest tam. Miało jechać czterech czy pięciu, jedzie jeden. Ten, kto najwięcej namawiał i dawał projekty, zostaje na miejscu, ten, któremu w głowie myśl taka nie powstała — jedzie.

Dziś więc wróciłem do Trok, pakuję manatki (rodzice dziś w Leśnikach), zbieram na wszelki wypadek torebki, szpagaciki, papiery i walizki, i jutro pierwszy raz w życiu — aż w tak daleką drogę.

Dnia 23 grudnia 1943 roku, czwartek. Och, gdybyż bogowie udzielili mi większej lekkości pióra. Gdybyż można było przenieść na papier myśli szybkością ich nadbiegania, nie ginęłoby ich tak wiele w przepaściach za-

⁵⁸⁶ Upędzać — zabiegać.

⁵⁸⁷ *Spekulnut* — zaspekułowować.

⁵⁸⁸ Słowa popularnej piosenki autorstwa Antoniego Wasilewskiego.

pomnienia! Poprzez wybitą ścianę świńskiego wagonu wyłania się widok Poniewieża. Na wstępie ładne czerwone budynki cukrowni, następnie dworzec, spotykający p. Tinfowicz⁵⁸⁹, ulice, znajomości nowo zawierane itd.

Po dobie podróży dobiliśmy wreszcie do portu. Po prostu przypadkiem spotkałem się wczoraj z towarzyszami podróży na wileńskim dworcu. Taki tłok, taki niebywały ścisk, jaki można sobie wyobrazić tylko przed świętami przy pociągu na Kowno. Wreszcie wepchaliśmy się do środka wagonu (o miejscach siedzących nie mówi się oczywiście) i popadliśmy w całkiem odmienne środowisko. Na ile rzadka jest możliwość usłyszenia litewskości w pociągu trockim, na tyle tu prawie, a właściwie całkiem nie słysząc polskiego języka. Moi towarzysze w osobach pp. Czaprockich⁵⁹⁰ i p. z Poziemskich Tinfowiczowej⁵⁹¹ nie chcąc się wyróżniać w tym ogóle, rozmawiają także po litewsku. Ja więcej słucham niż mówię.

Po trzech godzinach wjeżdżamy na kowieński dworzec. Tłumy oczywiście nie mniejsze jak w Wilnie, do tego zaś jeszcze sprawdzają dokumenty. Ale wreszcie przebiliśmy się przez te tłumy, spotkaliśmy się z Joną i ruszamy na miasto, aby gdzieś spędzić tych kilka godzin, dzielących nas od pociągu na Szawle. Przechodzimy obok mostu kolejowego przez Niemen, po raz pierwszy przeze mnie oglądany i jego brzegiem idziemy dalej. „Niemnie, domowo rzeko moja” — pisała podobno Orzeszkowa, o ile mię pamięć nie myli. I rzeczywiście, rzeka mająca coś z domowego, spokojnie niesie swe wody z cichym szmerem, a na jej falach wylegają się kry. Niemnie, płynący poprzez Laudę⁵⁹²! Niemnie, pamiętający Litwę Jagiellonów! Niemnie, przeżywający czasy dawnych, zbrojnych, rycerskich pochodów, Kmiciców i Wołodyjowskich! Niemnie! O czemuż nam tej ziemi nie przekazałeś taką, jakąś ją znał sam?! Lecz Niemen nieczuły. Zimny jak ta kra, co ma w nim taniego woźnicę, chociaż nie wiem, może chłód to tylko pozor. Może gdybym miał duszę Orzeszkowej, zrozumiałbym szept jego: „Powróć dawne czasy nam”.

Och, gdybyż!... Gdybyż czasy Witoldowe i Jagiellonowe!

Może nadejdzie kiedyś ta chwila, że różnica na przykład między Poniewieżem, Wilnem a Haliczem będzie minimalna, różnica czasu tylko, potrzebnego na przebycie tej przestrzeni. Zachodzimy do pp. Rojeckich. *Kun` jachszy*, *Kun` jachszy*!⁵⁹³... Następują uściski, pocałunki, wykrzykniki.

⁵⁸⁹ Eliasaf Tynfowicz (1984–1958), syn Abrahama, ojciec Tamary, późniejszej Firkowicz.

⁵⁹⁰ Rodzina Izaaka Czaprockiego (1901–1971), syna Ruwima, leśniczego z Poniewieża.

⁵⁹¹ Batszewa z Rojeckich Tynfowicz (1892–1971), córka Rafała, żona Eliasafa Tynfowicza.

⁵⁹² Region Litwy.

⁵⁹³ *Kun` jachszy* — karaim.: Dzień dobry.

*Kimnin-že ol? soradlar, bahynadohacz mienim janha. Avijeziernin Pileckinin girininkasnyn uwłu. A bilabiż, bilabiż!*⁵⁹⁴ Kwestia rozwiązana. Zapraszają do niekrępowania się. Bynajmniej nie mam tego zamiaru. Mieszkanie nie najgorsze. Cztery pokoje, pianino, podłogi froterowane, telefon. O ile chodzi o sprawy poboczne, stół na przykład, to stoją one też nie na najgorszym poziomie. Posiedzieliśmy tam kilka godzin, no i w końcu musieliśmy się ułatwiać. Na dworcu — historia znana już nam trochę. Gdyśmy wyrwali się na peron, wszystkie przedziały były już zapchane. Musieliśmy walczyć o miejsca stojące — nic nie wychodziło. Nusia pozostała w Kownie, było więc nas „tylko” czworo. Ja wreszcie wepchnąłem się do przedziału, gdzie miałem miejsce nawet nie najgorsze — stanie na jednej nodze. Dla drugiej miejsca już nie było. Oni też się gdzieś zamelinowali. Wreszcie pociąg ruszył, ja jakoś czepiałem się rękoma siatki dla ulżenia nogom i jakoś biedowałem. Litewszczyzna panuje niepodzielnie. Dziwna jest u nich jednak zdolność szybkiego bratania się. Siedzi sobie na przykład mężczyzna, zdaje się trochę ociosany, zamieni kilkanaście zdań z przygodną towarzyszką podróży i już ma się wrażenie, że oni kiedyś na pastwisku bruderszafty wypili. Już taki mężczyzna inteligent i człowiek wykształcony, sypie „ty i ty”, że lepiej nie trzeba. Dziwne, naprawdę. U nas ludzie miesiącami się znają i ciągle jeszcze o „pani i panu” nie zapominają, a tam — *na chadu*. Nie wiem tylko, dowód to niezwykle wysokiej kultury, czy też może wpływ mają pastwiska i ugory, na których naprawdę wygodnie chyba jest się kumać.

W Kiejdanach dłuższy postój. Kiejdany, grodzie Radziwiłłów! Że to jednak kiedyś ludzie mogli przebywać przestrzenie między wami i Ukrainą, Poniewieżem czy też Wodoktami i nie czuli się chyba gorzej niż w ciepłym wagonie, ale z funkcjonującą jedną nogą.

Dojechawszy do Radwiliżek⁵⁹⁵ poczułem się na innym świecie. Znowu spotkaliśmy się, odpoczęliśmy na walizkach, no i znowu trza było melinować się do pociągu, zdążającego na Poniewież. Tym jednak razem poszło najgorzej. Dali kilka towarowych wagonów, ale żeby tam tak dużo miejsca było, to znowuż nie powiedziałbym. Wreszcie doczekaliśmy się świńskiego wagonu. Siadłszy na walizce, zdrzemnąłem się trochę, jednak zimno długo nie dało odpoczywać. Wkrótce musiałem już skakać, aby rozgrzać nogi. Przed oknem przesuwają się krajobrazy, równe jak stół, bez żadnej górki czy dolinki. Krajobraz niezbyt malowniczy darami przyrody, ale ludzie sami

⁵⁹⁴ *Kimnin-že ol?...* — karaim.: Czyżże on? — pytają patrząc w moją stronę. Awieziera Pileckiego, leśniczego syn. A, wiemy, wiemy. *Girininkas* — lit.: leśniczy.

⁵⁹⁵ Radwiliżki — Radziwiłłów, stacja przesiadkowa w drodze do Poniewieża.

sobie go urozmaicają „pozlacając pszenicą, posrebrzając żytem”. Ja wolę jednak, żeby urozmaiceń tych dokonywała raczej ręka Boża niż ludzka. Takim już leń zapowietrzony. I myślę, że niedużo będę się mylić, jeśli powiem, iż jednak ta pierwsza lepiej sobie radę daje od drugiej. Bo wolę zbocza pokryte lasem w Ponarach czy wzgórza na trasie Leśniki-Troki, gdzie widzi się chociaż odrobinę urozmaicenia, niż takie bezkresne równości w słowa tego stuprocentowym znaczeniu, równiny, poprzez które można zaledwie w dali zauważyć wąskie, sine pasemko lasu, tak jak wolę „polkę” od jednostajnego „oj lili, oj lili, oj la, oj la”. Bo czyż nie bardziej pociągające jest na przykład takie jezioro opaciskie wśród wzgórz leśnych i pagórków piaszczystych, na których co prawda gryka zaledwie nasiona oddaje, ale o ileż bardziej romantycznych. A może to mnie tylko tak się wydaje. Bo teraz, w czasach, gdy materializm całkiem pochłoniął duchowość i gdy duch przez cywilizację współczesną całkowicie został poświęcony materii, nie pora może o tym mówić. We mnie jednak pozostała jeszcze chyba część krwi mych pradziadów, którzy oglądali malownicze wzgórza Krymu, którzy z Jałty słyszeli poszum morskich fal i może ten spadek pozostawiony przez pradziada połączył się częściowo z czarowną mickiewiczowską tęsknotą, wołającą: „Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie, / U Płużyn ciemnego boru / Pamiętaj zatrzymać swoje ręce konie, / By się przypatrzeć jezioru”⁵⁹⁶... Och, gdybyż jeszcze móc oglądnąć Świteż, Karpaty, Polesie! I myślę jednak, że Polesie chyba by bardziej mi przypadło do gustu, chociaż tam równiny i tu równiny. Równiny jednak poleskie posiadają wody i lasy tajemnicze, te wskaźniki utajonego chociaż życia!

Co do drugiego problemu, problemu gościnności, to zdaje się jest odwrotnie proporcjonalnie do uroku krajobrazu. Nie goszcząc nigdy u Poleszków, nie mogę o nich mieć twardego sądu, z wiadomości jednak przekazywanych za pomocą 24 liter mogę wnioskować, że taka znowuż bardzo ta gościnność wielka nie jest.

Nad drugą zaś równiną, równiną poniewieską, unosi się przyjazny duch serdecznej gościnności. Chociaż i tu nie brak mi co do niej zwątpienia. Nie gościłem bowiem u ludzi żyjących tu od tysięcy lat, tylko u przybyszy z czarownego Krymu, tak że ta gościnność może być też nie całkowitym tworem równin poniewieskich, ale raczej może mieć podwaliny założone jeszcze wśród o wiele bardziej romantycznych pagórków i potoków. Że gościnność jednak wielka — to fakt. Że większa niż trocka — to drugi.

⁵⁹⁶ Adam Mickiewicz, „Świteż”.

Dnia 24 grudnia 1943 roku, piątek. Zasadniczo to w Poniewieżu jestem dziś pierwszy dzień, bo wczorajszy cały przespałem. Poszedłem z Joną z pociągu do niego, a potem miałem zamiar iść do Pileckich na ul. Ramygolską. Tylkośmy jednak zdążyli jako tako otrząsnąć się z nieprzespanej nocy i trochę zakąsić, gdy zjawily się trzy nimfy, a raczej nimfeczki, powiadając, „że ciocia kazała im sprowadzić gościa do siebie”. Z początku nic nie rozumiałem. Jaka ciocia i jakiego gościa (choć to chyba wiedziałem najlepiej), i gdzie „do siebie”, i skąd już się o tym gościu dowiedziała. Okazało się, że Czaprocki poszedł do swej siostry, p. Robaczewskiej, żony leśniczego i powiedzeniem, że ja przyjechałem do Poniewieża i poszedłem z Joną, spowodował zjawienie się właśnie wyżej wspomnianych „nimfek” u tego ostatniego.

I — rzecz dziwna mnie samemu — krępiję się tu bez porównania mniej, niż w Trokach rodzonych czy Wilnie. Na „Ramigołkę” poszedłem więc dopiero dziś. Pileccy to właśnie rodzina kumamy stryja Michała Pileckiego, starszej już kobiety, jeszcze jednak trzymającej się nieźle. Zrobiłem więc początek handlu, zakupiwszy 10 kg niezbyt co prawda białej, ale i niedrogiej mąki. Jedno, co mi się najbardziej podobało, to ich karaïmskość. Rozmawiają jedynie i wyłącznie po karaïmsku. Poczyna mi już me współzycie z trocką *chewrą* wychodzić na dobre. Mam nadzieję, że gdy przyjadę po raz drugi, będzie jeszcze lepiej.

Gdym powrócił do „domu”, zastałem gospodarzy oraz gości w osobach Jony i Refki Tinfowicza⁵⁹⁷ za stołem. Muszę złożyć wyrazy politowania nad kieliszkami używanymi u nas; toć to naparstki za ledwie w porównaniu z poniewieskimi.

Potem Refka powiada, że warto pójść do dziewczynek. Gdzie? — Na „Ramigołkę”. O cóż chodzi? Wieczorem idziemy. Trzeba tylko odrobinkę wytrzeźwieć, nie można bowiem od pierwszego wejrzenia zakochać się, to jest — tfu! — skompromitować się, chciałem powiedzieć.

Poszliśmy więc wieczorem do jednej z nich, u której zastaliśmy już całe towarzystwo. Herbatkę z ciastkami — dobra rzecz, ale nie można jej znowu stawiać na samym szczycie dążeń. Inne dążenia, mimo że były, spełzły na niczym, gdyż przez cały czas prym wymowy dźwierzyl Żeńka Malecki, który coś tam opowiadał z przeżyć żołnierza z frontu sowieckiego. Ten oczywiście opowiadał, że Sowiety bardzo dawały po bokach! Posiedzieliśmy więc trochę i rozeszliśmy się do domów. Jutro więc ostatni dzień.

⁵⁹⁷ Rafał Tyńfowicz (1921–2003), seny Eliasafa, brat Tamary, mieszkający później w USA.

Dnia 25 grudnia 1943 roku, sobota. Mój obecny gospodarz jako też i p. Czaprocki pojechali dziś rano do Poswola czy Prowreniszek, czy też coś w tym rodzaju. Jednym słowem pojechali do jednej rodziny karaimskiej mieszkającej na prowincji. Ja zaś „składałam wizyty pożegnalne”. Łażę także po prostszych ulicach Poniewieża. Daleko nie zapuszczam się, bo i nie ma po co właściwie. Myślę, że wielkich cudów tam nie odkryję. Poszedłem jeszcze do Pileckich, to do Maleckich i dzień tak przeleciał, że patrzę — już i na dworzec trzeba się wybierać. Mam tę wygodę, że jadę dziś z Żeńkiem, będzie więc we dwóch raźniej i także zobaczę podobno Kowno, co z przewodnikiem powinno lepiej się udać niż samemu. Wśród potoku zaproszeń do dalszego odwiedzania Poniewieża, opuszczam to naprawdę gościnne miasto i maszerujemy na dworzec. Znaleźli się tacy, którzy odprowadzili na dworzec, pomogli nieść paczki, wleźć do wagonu, znaleźć miejsca. Wątpię, czy Troki zdobyłyby się na coś podobnego! Wkrótce po naszym ulokowaniu się na ławkach w towarowym wagonie z pakunkami pod głową dla lepszej pracy języka, poczęliśmy debaty, a ściślej mówiąc ja słuchałem monologu Żeńki, który dowodził, że jednak Karaimi nie zawsze potrafią się utrzymać na swoim miejscu, a na przykładzie uczniów Szkoły Technicznej (pił chyba i do mnie trochę), że mieszkają się nie do swych interesów, co jest dla niektórych jednostek zbyt bolesne itd., itd. i w końcu doszedł do wniosku, że są to „żebracy duchowi”. Mimo że jestem wrogiem niektórych poglądów Żeńki, nie mogłem jednak nie przyznać mu racji w niektórych z jego dowodów. Fakt jest faktem, że do spraw cudzych się lubią mieszać, do czego specjalne zdolności posiadają szczególnie osoby niedzisiejszej daty, i że to nie zawsze jest przyjemne — to drugi fakt. Jaki czyj wreszcie interes, co ten czy ów robi, z kim czas spędza, co myśli. Pilnuj swego nosa raczej. Na takiej pogawędce zesła prawie cała droga do Radwiliszek. Tam znowu przesiadka. Ale od Radwiliszek aż do Kowna spaliśmy jak ludzie w ciepłym i pustym wagonie.

Dnia 26 grudnia 1943 roku, niedziela. Do Kowna przyjechaliśmy bardzo wcześnie, tak że na miasto wychodzić nie było jeszcze jak. Posiedzieliśmy więc na dworcu, a gdy się trochę przewidniało, ruszyliśmy na ulice, ja jako żółtodziób, on jako doświadczony wyga i pragnący, aby jak najwięcej ludzi znało miasto, które — jak się wyraził — on kocha.

Dzień mroźny, z wiatrem, który najbardziej daje się odczuć, ale my chodzimy ciągle, on zaś do tego ciągle miele językiem: „Tu takie warsztaty, tam takie to fabryki, tam znów kościoły i cerkwie, teatry i kina, były ministerstwa i syndykaty”. Łaziliśmy tak przez kilka godzin, aż zaszedł do

Czaprockiego Leona⁵⁹⁸, mając zamiar poczekać do pociągu. Leon to były kolega Żeńki w nauce czy życiu, ciągle więc ciągną się rozmowy o kolegach, dawnych czasach... W tym jednak domu nie widać całkiem piętna wojny. Różne zakąski mięsne i jarzynowe, koniaki i torty nie świadczą o złym życiu. A on tylko technik według cenzusu, no ale z głową na karku. Czas odjeżdżać, czas, zegar pędzi nas.

Dnia 27 grudnia 1943 roku, poniedziałek. Ten jednak ostatni etap był najgorszy. Miejsca w pociągu z Kowna mieliśmy, nie leżące co prawda, ale nie możnaż przecie ciągle takich wygod wymagać. Dojechawszy do Landwarowa, wygruziłem się z wagonu, mając zamiar jechać trockim do domu. Wyłaząc nie spodziewałem się, że przyjdzie z powrotem włączyć. Okazuje się, że w tzw. Łachmaniszczach pod Wilnem wieczorem zdarzyła się katastrofa, w której naleźli na siebie dwa czy też trzy pociągi. Cały ruch zahamowany. Kiedy kowieński odjedzie — nie wiadomo. Czy trocki będzie — także. Wlazłem więc do wagonu, gdyż było tam stosunkowo ciepło (na dworcu choć ty psów pędzaj) i przesiedziałem tak aż do Wilna, dokąd przyjechaliśmy o piątej rano. Jakież było moje zdziwienie, gdy przy pociągu trockim zastałem całą *chewrę*. Okazuje się, że przyjechali oni wczoraj do Wilna do kina (też trzeba mieć ochotę!), ale że pociągu nie było, musieli czekać aż do rana. Znaleźliśmy cały przedział, chociaż całkiem chłodny. Jak to zwykle w takich wypadkach bywa, zostałem zasypany pytaniami dotyczącymi mej podróży, Poniewieża, poniewieżan i poniewieżanek. Nie mogę powiedzieć, że zrobiłem Poniewieżowi złą markę. O to już mam sumienie spokojne. Powiedziałem całkiem krótko, że nie równać się jeszcze Trokom do Poniewieża. Niecałe to dobro na ziemi — zbieranie złotniaków w kieszeń czy w pończochę raczej. Trzeba umieć złotniaki te użyć! Przyjechaliśmy do Trok i idąc do domu, to znaczy do domu trockiego, spotkałem jak raz Rodziców, którzy po spędzeniu świąt w Trokach jechali do Leśnik na dalszą harówkę. Zagruiłem się więc na wóz i hajda do kochanych Leśnik.

Dnia 31 grudnia 1943 roku, piątek. Pojechałem znów z cukrem do Wilna. W Trokach miała dziś być noworoczna zabawa, nad urządzeniem której debatowano już chyba od dwóch miesięcy, no i oczywiście z powodu tych długich obrad nic nie wyszło. Tak zresztą u nas bywa, nie ma więc specjalnie czemu się dziwić. Z Wilna przyjechała cała kompania z dwoma poniewieżanami. Jeden — to Gawryła Pilecki⁵⁹⁹, z pomocą matki którego

⁵⁹⁸ Leon Czaprocki (1914–1968), syn Samuela.

⁵⁹⁹ Gabriel Pilecki (1923–2004), syn Romualda, z Poniewieża, „Gabryk”, „Gabrytia”.

kupowałem w Poniewieżu mąkę, druga zaś — jakaś dziewczynka, której tam nie widziałem, nazwiska i imienia, jako też całej genealogii nie znam. Przyszedłszy do Abkowiczów, zauważyliśmy, że coś tam dziewczynki szykują, coś więc będzie — no to i w porządku. Starych Abkowiczów nie ma, moi Starzy idą do stryja Michała, my zaś mamy zamiar na miejscu zostać. Do północy wszystko było w porządku. Tańczyliśmy pod mandolinową muzykę jak dzicy, humorek trochę był, miejsca i partnerek też trochę. Potem zasiedliśmy do skromnego wprawdzie, bo robionego w ostatnim momencie stołu, a potem!... Potem dopiero rozpoczęło się piekło!!!

1944

Dnia 1 stycznia 1944 roku, sobota. Północ wybiła! Wszyscy siedzą przy stole i zabawiają się jak mogą. Ja ułokowałem się między Zosią [Pilecką] a Tamarytią [Poziemską] i nie mogę skarżyć się, że było mi źle. Prawie naprzeciwnie mnie siedzi poniewieżanka, dalej poniewieżanin. Ten ostatni przed zaczęciem kolacji popisywał się swym głosem w chwilach niezbyt do tego odpowiednich, teraz zaś jest na zabój częstowany wódką. Ma już trochę w głowie i ciągle śpiewa. Głosik rzeczywiście nadawałby się na puszcze. Już niektórzy z Szurką Zajączkowskim na czele poczęli przygadywać, Szurka nawet nie bardzo dwuznacznie.

Po kolacji znowu poczęły się tańce. Gawryte⁶⁰⁰ porządnie ma w głowie. Szurka coraz bardziej na nią lezie. Poczynają już dialogi niezbyt uprzejmie, Szurka rozchodzi się⁶⁰¹, „Brud szemi sieniń”⁶⁰² i temu podobne wykrzykniki są sztandarem chwili. Wreszcie ułożyli poniewieżanina spać. Już zdawałoby się wszystko na dobrej drodze. Napił się, wyśpi się i będzie w porządku. Nie! Jakoż Szurka i Siomka mogą się odczepić od ofiary, która im popadła w ręce? Poczynają gwizdać mu nad uszami, ciągać za nogi, szturchać po bokach. Wreszcie Szurka popadł na wiekopomny pomysł: przywiązać go do szybra. Piorunem znalazł się sznur i dzielne ręce, szyber i pas gościa zostały połączone. Nie będzie jednak efektu, zanim ofiara nie zechce wstać. Trzeba więc to przyspieszyć. Po kilku szarpnięciach, krzyknięciach i pociągnięciach gość podnosi się z łóżka, ciągnie szyber, który wylatuje z oprawy i gęsto częstuje sadzą cały pokój! Jeden kawał udał się! Teraz poczynają się przyjemne pogawędki, jeden drugiemu grozi, wyrывa się także kilka słów nie całkiem nadających się do używania w towarzystwie dziewczynek, a wszystko to robi się [...] z hukiem. Pocynam uspokajać Szurkę — mało co pomaga. Twierdzi, że nie jest on pijany i wie, co robi. Masz tobie! Jeszcze gdyby to było zachowanie się pijanego, no to może by jakaś

⁶⁰⁰ Wspomniany Gabriel Pilecki z Poniewieża.

⁶⁰¹ Rozchodzić się — tu: rozkręcać się.

⁶⁰² *Brud szemi sieniń* (właśc. *Brud szemij sieniń*) — karaim.: Chłystek imię twoje.

namiastka usprawiedliwienia była, ale tak! Sam twierdzi, że trzeźwy! Wreszcie Gabryk idzie znowu spać. Niedługo i tym razem pocieszył się przenosinami w świat nieświadomości. Znowu gwizdek w robocie, znowu szturchańce, Szurka i Siomka w swoim sosie. Jeden robi, drugi zachęca i na odwrót. Co za inteligencja w pomysłach, co za precyzja w wykonaniu. Zmysł spostrzegawczości jest u nich na tyle rozwinięty, że zauważyli boty i śniegowce leżące w kącie. I dziś, gdy cały świat przewraca się do góry nogami, dlaczegoż dziś nie może kalosz latać. Już więc leci na głowę Gabrytia. Na ten właśnie moment zaszedłem do pokoju. Tego było mi już dosyć. Wyrugałem arogantów jak tylko pozwoliły okoliczności, ale żeby to zbyt wielkie wrażenie wywołało, tegom jakoś nie zauważył. Karaim, zwłaszcza gdy się rozbawi, nie przebiera bardzo w sposobach zabawy, byleby było wesoło. A Szurka i Siomka w swej karierze nie mieli jeszcze chyba takich sposobności do skutecznienia swych pomysłów, bo ze swoimi trzeba się liczyć choć trochę, a gość jutro wyjedzie i zapomni może. Chociaż takich rzeczy nie zapomina się. A Troki się popisały! Nie dziwię się teraz, dlaczego przed wojną tyle doń wycieczek przyjeżdżało. Bo i rzeczywiście jest na co i kogo popatrzeć. Sprofanować w najbezczelniejszy sposób kult uważany za święty już przez narody półdzikie w zamierzchłych czasach, kult gościa, tym bardziej gościa, który na swych śmieciach wykazuje nieskazitelną serdeczność i gościnność, potrafić może tylko trocki Karaim. Bo dziś już na wsi nawet, u chłopca, który oprócz swego konia i krowy nic więcej nie widział, podobnych rzeczy nie spotyka się. A cóż mówić o ludziach, uważających się za inteligentów. Może człowiek zapędzić się za daleko, zgadzam się z tym, ale chwilowo tylko, pod jakimiś zewnętrznymi wpływami. Człowiek zaś, który swój zapęd nie zauważy nawet po kilkakrotnych napomnieniach, przeciwnie — który kontynuuje go z wzmoczoną intensywnością i z dumą w oczach, ma bezczelność spojrzeć potem w twarz ludziom, to człowiek wyzuty całkowicie z pojęć o kulturze i wychowaniu, to jednostka, którą trzeba zgnieść jak glistę, drążącą wnętrzności. Niestety, jeden źle robi, a setki tego zła nie widzą czy też nie rozumieją. Nawóz im tylko na polu roztrącać, za sochą chodzić i bulby sadzić, nie zaś na salony wylązić, gości przyjmować. Chociaż — serce mnie boli, że muszę tak obrażać ziemię świętą, w której pot, krew i kości mych pradziadów spoczywają. Ani kartofli sadzić, ani też za sochą chodzić im nie można. Nawóz trząść — jeszcze by może było odpowiednie zajęcie

Dnia 2 stycznia 1944 roku, niedziela. Wczoraj przez cały prawie dzień chodziłem jak trup. Głowa boli, w ustach niesmak od wódzi, którąśmy się

uraczyli pod sam koniec tej wiekopomnej zabawy. Pod wieczór urządzili jeszcze *siekiermotkę*. Gabryk przygrywał niestrudzenie na grzebieniu, inni podśpiewywali i tak jakoś czas się sunął. Przy każdej sposobności nie zapominam wspomnieć o juszkach i kaloszach. Już nawet niektórzy też poczynają przebąkiwać, że źle to się zrobiło, ale krokodyl to tylko łyzy. Ci właśnie, którzy najwięcej oponowali przeciwko mym wczorajszym napomnieniom. [...] Dziś zebrali się znowu u Lidy. Przyszła jakoś p. Poziemska, Rai Tynfowiczowej matka, i pyta, jakem się bawił w Poniewieżu. Tak jak siedzieli tam wszyscy, tak wszyscy usłyszeli mą odpowiedź: lepiej jak poniewieżanie w Trokach, bo ani szybrów, ani kaloszy na głowie tam nie miałem. Jeden się zaśmiał, drugi skrzywił. Ona zaś poczęła wywody, że każdego tak przyjmują, jak zasłużył. Ech! Puste gadania. Jeżeli ty widzisz, że ktoś źle się spisuje, to zostaw go, niech on durniem na cały Poniewież, Troki i Wilno zostanie, ale nie pchaj się sam na to zaszczytne stanowisko. A tak nikt o poniewieskim gościu nie wyda marki, a każdy o trockim gospodarzu, który umie częstować!

Dnia 5 stycznia 1944 roku, środa. Znowu do Leśnik! W Leśnikach jest, czy wkrótce będzie, straż złożona z dziesięciu osób, przeznaczona dla pilnowania tartaku. Będzie więc trochę bezpieczniej, a na swoich śmieciach lepiej wszak niż w cudzych salonach — toć wszak nie jest żadna nowina.

Dnia 22 stycznia 1944 roku, sobota. Odważyliśmy się na czyn, który musi przejść do historii narodu karaimego, co oczywiście jest już z całą zawziętością dokonywane przez naszego kronikarza, Piedosię⁶⁰³. Odważyliśmy się zrobić u siebie na swym prywatnym mieszkaniu prywatkę, zapraszając na nią Polki, a nic nie mówiąc swoim. Dziś więc, przy sobocie, zaprosiliśmy pięć dziewczynek, znaleźliśmy patefon, zrobiliśmy także zakąski i krupnik⁶⁰⁴, o którym co prawda wstyd i wspomnieć, jakeśmy go wczoraj dzięki Gabki matce spartolili, no i z zapalem w piersiach rzuciliśmy się w wir zabawy. Trzeba przyznać, że bawiliśmy się jak dzicy i co mię najbardziej boli, nigdy tak się nie zabawisz w naszym czcigodnym karaimego towarzystwie, chociażbyś ze skóry wylazł. Cała tylko bieda, że musiały w nocy zrywać się i biec na pociąg, gdyż większość, to znaczy trzy panny, były z trockiego pociągu odchodzącego dosyć wcześnie! Och, co to była za droga!!! Ciemno, choć oko wykol, ślisko, choć na łyżwach suwaj i mokro, że i utopić się nie było by trudno. Przebieraliśmy się całą kompanią podśpie-

⁶⁰³ Estera Maszkiewicz (1879–1956), „Piedosia”, „Piedot”, „Zajczanka”, córka Abrahama Maszkiewicza „Zajczyka”, mieszkająca w ówczesnym domu dla samotnych i ubogich (*bohodelni*), która opłotkowała zachowanie chłopców.

⁶⁰⁴ Krupnik przygotowany w samowarze.

wując dla odwagi i tonąc w wodzie. Ale wszystko to opłaciło się dla tych kilku godzin miłej zabawy.

Dnia 13 kwietnia 1944 roku, czwartek. Na taki skok odważyłem się pierwszy raz: prawie trzech miesięczna przerwa w bazgraniu. I co teraz robić, od czego zaczynać mając tak potężną lukę. Bo przejść ponad nią do porządku dziennego — niepodobna. Za wiele przeżyliśmy i widzieliśmy, aby to można było tak...

Dnia 26 czerwca 1944 roku, poniedziałek. Oto mogę wam przedstawić typ człowieka, który postępuje tak, jak mówi: wpierv ubolewa, że takiej luki jeszcze nigdy nie miał i ma ją jakoś zapełnić, a potem rzuca wszystko i powiększa ją niemal podwójnie, bez najmniejszego wyrzutu sumienia. Poczynam w sobie odkrywać coraz to nowe „zalety”, o cieszeniu się z których nie mogę znowuż tak bardzo głośno mówić. Odstawiliśmy więc pięć miesięcy bujnego życia, w którym widzieliśmy wszystko: i ławę szkolną, i czas od czasu salę taneczną, i zwycięski pochód wiosny, pobudzającej krew do szybkiego krążenia w żyłach, okopy kopane własnymi rękoma, kobiety i wojnę. Tę ostatnią nie tak wprawdzie blisko jak przedostatnią, za co dzięki Najwyższemu. I po tych wszystkich obiektach wyłonił się najważniejszy, bo obecnie najbardziej życiowy: brynmeyerowski⁶⁰⁵ tartak w Leśnikach z jego wszystkimi maszynami, motorami i silnikami, transmijami i przekładniami, wzorami i fazami aż wreszcie — sumaszecznikami⁶⁰⁶. [...] Szkoła kiwała się, kiwała na swych podstawach, aż wykiwnęła się wreszcie na bok zaledwie tydzień przed dognaniem do mety. Popędzili wszystkich kopać okopy, aby ochronić się przed nawałą bolszewicką. Ja uległem fenomenalnym zdolnościom sugestywnym mego ostatniego „kątodawcy”, głuchego Saszy, u którego ostatnimi czasy zamieszkiwałem⁶⁰⁷, poszedłem jeden raz kopać tę ochronę od bolszewizmu i zarobiłem przez to jedną trójkę na rocznym świadectwie, której mógłbym z łatwością uniknąć, idąc tego dnia do „budy”.

Ale ostatecznie nie jest to jeszcze takie straszne. Aby jednak uniknąć możliwych gorszych straszności i pierońskiej straty czasu połączonej z wydatkami, pociągany siedzeniem w Wilnie lub dojeżdżaniem do pracy do Wilna, wyfrunąłem wkrótce na łono przyrody, aby nasycić do woli oczy jej zielonością, no i aby pod jej ochroną móc coś niecoś zrobić przeciwko bolszewikowi na tartaku Brynmeyera. Cóż, kiedy pogardzili moimi

⁶⁰⁵ Od nazwiska niemieckiego właściciela tartaku, Waltera Brinkmeyera.

⁶⁰⁶ Sumaszecznik — z ros.: szalenieć.

⁶⁰⁷ Aleksander Chorczenko, który mieszkał na rogu ul. Bułałowej (dom spłonął podczas bombardowań w lipcu 1944 r.).

dobrymi, ze szczerego serca płynącymi, chęciami. Powiedzieli, że nie mogą tu pracować, zanim nie zwolnię się z robót ziemnych w Wilnie. Ale ponieważ przeczytałem w międzyczasie słowa Piaseckiego, którym przyklasnąłem gorąco („Nie trzeba miernym się zachwycać, po niczym rozpaczać. Trzeba żyć i już. Kłamią — dobrze. Zdradzają — dobrze. Oszukują — dobrze. Tylko zawsze trzeba wiedzieć z góry, że tak musi być. Wówczas można się z tego śmiać”), więc też uspokoiłem się całkowicie niemal i począłem „żyć i już”. Oczywiście nie zarzuciłem tak od razu poprzednich dążeń, bo niepodobna tak od razu pozbyć się wrogiego nastawienia w stosunku do bolszewików, i próbowałem jednak dostać się na tartak, zwalnając się w Wilnie. Wreszcie udało się.

Przeleciało pięć miesięcy. [...] I doszedłem do wniosku, że albo ludzie są całkowitymi degeneratami, albo też istotami bardzo mądrymi i wzniosłymi sercem i duchem. Żadnego pośredniego wyjścia znaleźć niepodobna. Bo gdy popatrzyś wokół i spostrzeżesz, że są tacy, co za takie coś wieszają się, czy też w łeb sobie palą, to nie można powiedzieć inaczej jak idiota, ale gdy znowuż pokombinujesz, że taki ktoś tracąc się, widział może przed sobą jakieś inne ideały, które widział w sercu i duszy onej, „jej” ideały, których nie mógł stać się właścicielem, to odpowiedź jedna być może: nie są znowuż ludzie tak podłymi płazami, lejącymi na te ohydne „coś” wyłącznie. Ot i *zadacza*⁶⁰⁸. Ot i wyleż, brachu, z tego koła błędnego. Ja osobiście, o ile nie potrafię na razie z mego wyskoczyć, to i nie pograżam się w nie głębiej. Ale oto jeszcze przykład. Typ człowieka, pod który może być podciągnięty chyba każdy niemal. Oto wyłania się Gabka Dubiński. Czyż przedstawiciele tego typu szukają jakichś ideałów? Czyż nie wystarcza im ładna twarzyczka, piersi i „coś”, takie same zresztą, jak... Nie, dalibóg nie mogę dokończyć tego zdania. Nie mogę. To trudniejsze od rozwiązań algebraicznych, od najzawilszych zadań wyższej matematyki, interwałów, różniczek. Ot i *zadacza*! Czyżby rozwiązanie tego pytania to właśnie treść życia? Ta chwilka ułudy, ten moment łapania czegoś, czegoś... Nie, żeby za to miały całe miliony łby sobie rozwalać?! Idiocstwo!!!

Jeżeli takie już są wymagania fizjologiczne, to po co, po cholerę topić się w tym całym „ja” całą swą duszą i dążeniami? Czyż nie ma na świecie nic wznioślejszego od piersi? Nic bardziej godnego uwagi? To już całkowity upadek, stuprocentowe splazowacenie. A jednak tak żyją miliardy. „Trzeba żyć i już”. I po cóż? Po to tylko, czy też jeszcze po coś? Czy są u ludzi jeszcze jakieś wyższe idee? Na razie dla mnie to tajemnica. Tajemnica, któ-

⁶⁰⁸ *Zadacza* — ros.: zadanie.

rej rozwiązania nie znajdziesz w żadnej książce ni w filozofii, której nie wyczytasz z gwiazd nawet, której można szukać, aż łeb rozbić. Rozwiązanie, które można znaleźć w sobie chyba tylko. Czekam więc na ten moment cierpliwie, w którym będę mógł wreszcie znaleźć odpowiedź. Jest w tym jakiś sens, jakiś pierwiastek wzniosłości, dusza? Są li to ludzie warci czegoś, czy też tylko kretyny? Czekam na moment, w którym będę mógł sobie powiedzieć: dźwignąłem się na wyżyny godne Dantego, bo nic nie znalazłem i zdaję sobie z tego sprawę, lub też znalazłem ducha, w każdej ducha godnego, aby się doń wspinać i zań głowę stracić! Ale dosyć już, bo sam już nie wiem, co wypisuję.

Dnia 8 lipca 1944 roku, sobota. „Nie masz na świecie nic trwałego i stałego”. Ileż czystej prawdy jest zawarte w tych kilku słowach!!!

Wszystko leci na łeb na szyję. Leci takim tempem, że już sam nie wiem, gdzie właściwie jest łeb, a gdzie szyja. Człowiek chodzi jak błędny, pierwsze zdania przy każdym spotkaniu się znajomych to: „Co słyszać?”, „Gdzie front?” i „Co robić?”.

Nic nie ma stałego! Armia, która przetrwała wszystkie niemal pola Europy, będąc zawsze zwycięską, która chwałą swych sztandarów okryła się na wieki, leci dziś na oślep, w tył, cofa się z niebywałą dotąd szybkością pochodów, cofa się przed armią, która już przed dwoma laty była nazwana armią całkowicie rozbitą i którą trzeba było tylko dokończyć. „Po takich ciosach nie dźwignie się nikt” — powiedział wówczas Göring. A dziś? Wkrótce będzie chyba musiał powtórzyć to samo po raz drugi, tym razem pod innym adresem i z większą dozą prawdy.

Nic nie ma stałego! Gdy przeszło cztery lata temu krwią broczyła Francja, pisałem na tych samych kartkach słowa potępienia dla najeźdźców i gdybym mógł, ciskałbym gromy na ich łby. Dziś, gdy ręka Boża pomieniała⁶⁰⁹ rolę, gdy ci że sami najeźdźcy muszą wszystko rzucać i starać się chociażby tylko głowy całe wynieść, „ciskacz gromów” zmiękł i pomaga swymi rękoma jak najwięcej załadować na maszyny, aby mogło to odjechać z najeźdźcami.

Nic nie ma stałego. Walter Brynkmeier, człowiek interesu, który kładłby tylko do kieszeni, zostawia dziś dzieło kilku miesięcy wytężonej pracy, dzieło, w które włożył 600.000 RM, na pastwę losu szafującego w obecnych czasach ogniem i dymem, jak czymś najtańszym w świecie. Walter Brynkmeier, który dotychczas w ciągu ostatnich pięciu lat nie raz chyba klaskał w ręce na wieść o sukcesach oręża ojczyzny, wczoraj oto stał w oknie baraków, spoglądał na ścianę umocnień przeciwko bandytom i w oczach miał łzy.

⁶⁰⁹ *Pomieniat'* — ros.: zamienić.



*Rodzeństwo cioteczne autora. Ruiny zamku trockiego, 1944 r.
Od lewej: Szymon Pilecki, Zofia Pilecka, Szymon Juchniewicz, Szymon (Sławek) Pilecki – autor.*

Nic nie ma trwałego i stałego, chyba jedyna tylko rzecz: sprawiedliwość Boża. Jakby na potwierdzenie tej myśli, znalazłem dziś wypisek z „Boskiej komedii” Dantego (Raj, p. XXII, w. 16):

„Miecz Boży bowiem ni spieszy, ni zwleka:

Temu się żmudny wydaje lub żwawy,

Który go trwożnie albo chciwie czeka”.

A my czekamy jej i czekamy, a doczekać się trudno. Większa część Europy może się dziś uśmiechać, widząc ciemieżyciela bitego na wszystkich frontach. Dla nas pociechy nie ma. I dlatego właśnie z taką gorliwością pomagałem wczoraj i dziś wyjeżdżać Niemcom cało, że za nimi idzie groza, z której, jak widać, świat nie zdaje sobie jeszcze sprawy. Baczcież politycy i złotoroby Zachodu, aby nie było za późno! Bo nie czas będzie myśleć o niej, gdy czerwona gwiazda wjedzie na waszychże własnych czołgach do waszych banków. Śmiem przypuszczać, że długów wam wówczas nie zapłaci!

A groza się zbliża. Dziś odjechały ostatni raz maszyny Brynmeyera, maszyny, które mogłyby i nas uwieźć. Nie pojechaliśmy. Włóczyć się po świecie, jechać na poniewierkę? Chociaż z drugiej strony: zostać i zginąć z ręki żydowskiego komisarza? Ale, mimo że ze Wschodu dochodzą do nas raz po raz odgłosy wybuchów, łudzimy się nadzieją, że może tu nie przyjdą, a jeśli i przyjdą, to może i nie tak zaraz. Chociaż mówi się: „nadzieja matką głupich”, to jednak powiadają: „*durnom Boh władziej*”⁶¹⁰. Tak więc siedzimy i czekamy, co będzie. Dziś przyszedł z Wilna Jerzy, który chodził tam wczoraj. (Jest od kilku dni z Talą u nas, ciocia Wiera zaś z rodziną w Trokach. Pouciekali z Wilna po pierwszej nocy bombardowania, a ja ze swym rowerem miałem zaszczyt im w tym pomagać.) Wilno w ogniu i gruzach. Sowiety dają od siebie, Niemcy zaś od siebie, wysadzają co lepsze i większe gmachy w powietrze. Nie wiadomo więc, co może nas spotkać. Wczorajszego wieczoru, zaraz po wyjeździe Brynmeyera, który odbywał się przy warkocie wysoko idących wrażeń samolotów, zostający jeszcze w Leśnikach oddział ochrony toru podłożył miny pod wszystkie maszyny, dynamo i gatary tartaku. Brynmeyer przyjechawszy dziś znowu, mógł oglądać przygotowaną szubienicę swojej własności.

Wilno, Landwarów, Troki — wszystko to już puste. Przez kilka dni drogi były zapchane samochodami. Do wjazdu na Ponarską Górę czekali w kolejce. Wszystko więc leci na łeb na szyję. I nie wiem, może to już ostatnie moje słowa. Chociaż nie tracimy, jak już powiedziałem, nadziei.

⁶¹⁰ *Durnom Boh władziej* — ros.: głupim Bóg kieruje.

Dnia 16 lipca 1944 roku, niedziela. Burza przeleciała już obok, nas jakoś ominąwszy. Burza ognia, stali, płomieni i wzajemnej nienawiści ludzi. Ponieważ byliśmy ostrzeżeni przez Niemców, że przed ich wyruszeniem z Leśnik będzie wysadzony tartak, co może spowodować pożar, przez trzy dni wszystkie rzeczy były powyrzucane na podwórze do ogrodu i my sami nocowaliśmy pod krzakami. W zeszłą niedzielę usłyszeliśmy, jak czołgi doszły do Starych Trok, słyszeliśmy strzały niemieckiej obrony, słyszeliśmy, jak czołgi poszły dalej, w stronę Trok i Rudziszek. Poczęliśmy wszystko wyrzucać z mieszkania. W nocy leśnicki *Stützpunkt*⁶¹¹ wyszedł, gdyż nie mając broni przeciwpancernej, nie mogli czekać na miejscu na czołgi nieprzyjacielskie. Na wschodzie niebo poczynąło już blednąć. Życzylem im szczęśliwej drogi, ale nie wiem, czy życzenia me ziściły się. Niektórzy nawet mówili, że ktoś tam widział ich wszystkich pobitych koło Rudziszek. Tartaku nie wysadzili. Nie mieli czasu i zbytnej ochoty. W poniedziałek 10 VII widzieliśmy już sowieckie czołgi i „bojców”. Pożał się Boże, co za widok. Wyobrażam sobie, że idzie zwycięska armia — i nie mogę. Idzie hołota w drelichowych bluzach, powyszczerzanych butach. Wkrótce okazało się, że żołądki też nie są przepełnione, bo przychodzili prosić chleba. Historia z 1939 roku. Historia także i z 1920 roku. Obyż taki miała i koniec! Przez kilka następnych dni widzieliśmy niemieckie samoloty, bombardujące bolszewików na traktach idących przez Strakiszki i Żukiszki. Ciągłe nadlatywało po kilka pościgowców i ciągle hanaczyło⁶¹² po czołgach i ludziach. Och, gdybyż mogli słyszeć moje zachęty i gdyby mogły one im coś dopomóc. Bij bolszewika, bij, a celnie, a mocno! Po kilku dniach i to zakończyło się. Bolszewicy idą ciągle naprzód.

Tymczasem w Trokach w piątek i sobotę rozpoczął się ruch. Już wszyscy szli do partyzantki. Oczekuje się bowiem, że wkrótce może nastąpić mobilizacja, lepiej być więc razem w kupie niż iść obok jakiegoś Mongoła czy Kałmuka z czerwoną gwiazdą. W końcu końców poszli wczoraj Jerzy ze Sławkiem⁶¹³ na *razwiedku*⁶¹⁴ i mieli przysłać wiadomość względnie przyjść, na razie jednak nic nie słychać, mimo że już się wieczór zbliża. Być może więc, że już jutro czy pojutrze znajdę się w szeregach. Chciałbym przedtem zobaczyć się z Żenią, ale na razie jest to niemożliwe. [...] Trzeba więc pierw do Wilna, tam jednak wszystko prawie zburzone i nie wiadomo, czy się do

⁶¹¹ *Stützpunkt* — niem.: punkt wsparcia, punkt ochrony kolei.

⁶¹² Hanaczyć — gwar.: bombardować.

⁶¹³ Sławek i Jurek błędzili w lasach, doszli za Wilno, nie udało im się jednak dotrzeć do oddziałów partyzanckich AK.

⁶¹⁴ *Razwiedka* — ros.: zwiad, rozpoznanie.

czegoś dobijesz. Na dobitkę do Wilna w ogóle na razie nie puszczają. Ot, siedz i czekaj, a jutro przyjdzie się już może wyruszać z domu i pożegnać się ze wszystkimi. Na razie trzeba jechać do Trok. Może Sławek poszedł tam bezpośrednio? Tak oto zacząłem dwudziesty rok życia, przez nikogo, co prawda, nie wieszany! Ludzie i tak mają głowy pozawracane.

Dnia 11 sierpnia 1944 roku, piątek. Tak oto będąc już od miesiąca wyswobodzonym obywatelem swobodnej, spod jarzma najeźdźcy trudem bohaterów wyrwanej Radzieckiej Republiki Litewskiej, śpiewając hymny pochwalne i dziękczynne tym, którzy za me oswobodzenie głowy swe narażać chcieli, pytam was jeszcze raz, ciemężyciele Indii, Afryki i Kanady, i Ameryki, was, członków Izby Gmin i Białego Domu: azaliście głowy do cna potracili? Czy ta gorączka złota, na którą chorujecie od pięciu lat, pomieszała wam na tyle mózgi wasze, że nie rozumiecie tego, iż jeżeli tak dalej pójdzie, będziecie wreszcie rzucać swe kasetki i uciekać gdzieś do Meksyku, aby wreszcie taki koniec znaleźć, jak Trocki.

Churchill i Roosevelt! Czyż nie czytacie komunikatów wojennych? Czyż żadna kumoszka nie szepnęła wam, o dawni władcy świata, że bolszewicy stoją już pod Warszawą i czekają tylko na wymordowanie polskiej partyzantki, że podchodzą pod Kraków? Czy nie zdajecie sobie sprawy z tego, że my już od miesiąca śpiewamy hymny dziękczynne za oswobodzenie? Czy wiecie, że w waszych fabrykach wyrobione samochody i czołgi zarówno dobrze chodzą po niemieckiej, jak i po waszej ziemi? Czy może myślicie, że przez was porobione armaty zatną się, gdy będą skierowane na wasze wojska i miasta? A Piasecki pisał „...bo najwięcej krwi poleje się wówczas, gdy rosyjski chłop i robotnik dorwie się do czerwonej burżuazji”. Och, obyż! Ile razy wróżyłem z gwiazd, wychodziło, że przepowiednie te spełnią się, ale na razie Czerwona Gwiazda drwi sobie z niebieskich i sunie się już pod Kraków! Polska partyzantka zdobywała Wilno. Nie raz o tym wspominał Londyn. A moskiewska „Prawda” napisała, że była to litewsko-białoruska partyzantka. Gdzie są dziś ci partyzanci, nie wiadomo. Byli niedawno w Miednikach, potem gdzieś ich wywieźli, a dziś chodzą słuchy, że są oni rozstrzelani. Szczęście, żeśmy nie poszli, bo na razie choć siedzimy na miejscu (choć nie wiadomo jeszcze, co będzie dalej).

W Leśnikach ruch. Stały się one ostatnio nieomalże punktem strategicznym. Ulokowały się tutaj dwie części⁶¹⁵ wojskowe, które korzystając z dogodnej rampy kolejowej wśród lasu, porobiły tutaj punkty wyładunku armat, amunicji, paliwa. Poustawiali w lesie cysterny, do których przele-

⁶¹⁵ Z ros.: oddziały.

wają paliwo z wagonów, a potem dzień i noc jadą samochody, aby podwozić je na front. Wojska pełno, a trzeba wiedzieć, że jest to wojsko sowieckie, najuczciwsze pod słońcem. Przez pewien czas mieszkali u nas żołnierze z budowy rampy. Popróbowalbyś coś zostawić nie schowanego, coś im pożyczyć, a w końcu i pod zamkiem trzymać, byle tak, żeby i oni o tym wiedzieli — do miłego zobaczenia! *Nie prapadiot, da i nie uwidisz!*⁶¹⁶ — wszystko tak pojedzie, że i nie obejrzyś się. Pożyczyli tak przeszło 20 łopat, 9 siekier, wszystko wyciągnęli z ogrodu, dętki z roweru, radio z okna. „*Oddadim, nie biespokojties*”⁶¹⁷. I ja mam nadzieję, że oddadzą, trzeba tylko poczekać. Przecież tak wymarzonej sprawiedliwości nigdzie na świecie nie znajdziesz! Może nawet i niedługo przyjdzie się czekać!

Tymczasem jest mobilizacja. Muszą się stawić wszyscy mężczyźni od 1909 do 1926 r[ocznika] z zapasem żywności na 10–12 dni, bielizną itd. Urzędy przeważnie zostały zwolnione do 1 czy 5 września. Ja wlałem na kolej. Na razie więc trzymamy się, ale czy długo, któż to wie? Jerzy z początku także kilka dni tu pracował, potem jednak przeniósł się do MTS⁶¹⁸. Praca moja niezbyt ciężka. Pracuję na torze przy pieleniu. (Nie licząc kilku pierwszych dni, gdyśmy pracowali z łopata przy rampie). Robotę akordową wykonuje się w przeciągu 5 godzin i idzie się do domu. Zgodziłbym się robić tak do końca wojny, byleby nie gorzej. Jest jednak trochę obawy, że może to rajskie życie szybko skończyć się. Według bowiem opowiadań żołnierzy u nich nie pozostawiono w domu nikogo do 52 lat. To mi pocieszające!

Dnia 16 września 1944 roku, sobota. Stwierdzanie faktu, że dużo czasu od zeszłego roku przeleciało, że czas mija szybko i bezpowrotnie — och, jakież to już stare, oklepane frazesy! Cóż na to poradzisz. Może odstawisz bohatera, schwycisz za słońce i nie puścisz? Popróbuj.

Trudno! Czas ma te charakterystyczne rysy, że mija i nawet niezbyt wolno, życie natomiast te rysy posiada, że nie zawsze pozwala na rozpisywanie się. No i nie zawsze jest ochota, nie zawsze pewność, że się dobrze pióro w rękę trzymać potrafi. Zwłaszcza, gdy jest tak piękna pogoda, jaką mamy obecnie. Słońce świeci, chociaż nie bardzo już grzeje, przez cały boży dzień, nie przez jeden nawet. Wiaterek unosi lekkie nitki babiego lata. Gdy jest trochę silniejszy, odrywa żółtkę listki z brzoź. Z tych brzoź, o których z takim czuciem Weysenhoff⁶¹⁹ pisał: „...pod którymi gdy legniesz, a wpatrzysz się w niebo

⁶¹⁶ *Nie prapadiot...* — ros.: nie zginie, ale i nie zobaczysz.

⁶¹⁷ *Oddadim, nie biespakojties* — ros.: oddamy, nie martwcie się.

⁶¹⁸ Maszyno-traktornaja stancja — ośrodek maszynowy obsługujący kołchoz.

⁶¹⁹ Józef Weysenhoff (1860–1932), powieściopisarz, poeta, krytyk literacki, piewca tradycji ziemiaństwa kresowego i łowów.

zahaftowane liśćmi, usłyszysz dumki i szumki niesłychane, poczujesz ciągoty podniebne i zakochasz się w brzozie, jak w dziewczynie, patrząc przez nią jak przez dziewczynę w swe ideały niedościgłe”...

I rzeczywiście, zakochać się można *na chadu* i z większym nawet zrozumieniem i wzajemnością niż w tej dziewczynie, przez którą chciano patrzeć, „w swe ideały niedościgłe”. Wątpię, zobaczyszli coś przez nią, brachu! Chociaż z wielką fantazją i werwą śpiewa się i czuje. „Witaj maju, królewiczu!”, to jakoś ani na grosz tej werwy nie ma, gdy chodzi o pożegnanie września. Zwłaszcza takiego, tegorocznego września. Lecz on uchodzi, choć i nie żegnany. I słońce blednie, blednie. I przymrozki coraz częściej. I krzyk odlatujących żurawi i kaczek już słyszeliśmy. Och, jak żałośnie było.

No, ale dość tego sentymentalizmu! Opamiętaj się, człowieku, że przecież nie wiek osiemnasty mamy, ale najprostszy wrzesień roku czterdziestego czwartego, wieku pary i armat! Armat, otóż właśnie, armat. Hanaczą i hanaczą sobie, i mają jeszcze niemało „pary”. Jeszcze może i do wiosny starczyć!

A tu siedz i zadawaj sam sobie pytania: „Będzie w tym roku nauka, czy też nie będzie?” (Ot i weź, i zrozum ty człowieka. Jak musiał na torze dzień w dzień trawę, zgarbiwszy się, pleć, to powiadał: „Żeby taka, a nie gorsza robota do końca wojny!” A teraz, gdy już od miesiąca w ogóle nic prawie nie robi, to — popatrzcież — nauki już się mu zachciewa! Bacz, aby cię Mars w swe rączki nie wzię! Będiesz miał naukę!) Tak, zastraszyło mię sumienie, nie marzę już więc o tym. Wspomnę tylko skromnie, że właśnie w tych dniach ma się ta sprawa wyjaśnić. A nawiasem mówiąc, nauki tej spragniony jestem jak wędrowiec wody na Saharze. Gdybyż to mieć możność i warunki. Marzę już nawet o dwóch wydziałach. „Gdybyż tak wleźć jeszcze na elektrotechniczny!” Bujaj, brachu, bujaj! A tu pierwszego przyjdzie, zwolnienie kończy się, na komisję wezmą i pojechali w świat *za rodinu, za Stalina!*⁶²⁰.

Tak, będzie i elektryka! To ci zmora! Dusi i dusi, i o niczem pomyśleć nie daje. Och, ta wojna! Gdybyż prędzej koniec swój znalazła. Ale ona nie śpieszy. Front odsunął się, dzięki Bogu, od nas sporo, gdzieś za Kowno i Szawle, ale tam idzie opornie. A ludzie jeszcze wróżą, że Niemców zobaczyć przyjdzie się.

U nas na razie trochę odprężenia. Wojsko z Leśnik prawie że już wyjechało, ruchu maszyn nie ma już wielkiego, dzięki czemu jest jaka taka nadzieja, że kartofli może i nam jeszcze trochę zostanie.

Mieszka jeszcze u nas kilku wojaków, ale i ci prędko pojedą chyba dalej. I co za różnica między nimi, a naszymi lokatorami sprzed pół roku. Po prostu

⁶²⁰ *Za rodinu, za Stalina!* — ros.: za ojczyznę, za Stalina!

nie ma o czym i mówić, bo cóż gadać o tym, co i tak jest już nie raz omówione i oklepiane. Raz zdarzył się taki na przykład wypadek, który ubawił mię serdecznie. Idziemy do łaźni: u nas mieszkający *starszyj lejtnant*, Tatuś i ja. Ów „starszyj” niesie pod pachą kalesony i koszulę czystą zawiniętą „kulturalnie” w gazetę. Przed łaźnią podchodzi raptem jakiś szeregowiec i raportuje:

— *Tawariszcz starszyj lejtnant! Razreszitie sprasit'!*

— *Da, czto jest'?*

— *Pazwoltie niemnożko bumagi na papierosku*⁶²¹.

No i teraz *starszyj lejtnant* odrywa kawał gazety, obnażając swe czyste kalesony i daje „bojcu” na papieroska! Tylko że bardzo głośno nie wypadało śmiać się. Bo zresztą nie ma z czego. Przecież rzecz to naturalna. Przecież sam pułkownik, który dziś właśnie był u nas i pojechał z powrotem, inaczej jak w gazecie machorki nie pali. Może nawet być niemiecka gazeta lub taki jakiś papier. No i cóż. Gdy mi czasem może nie udać się kupić świeżej „Prawdy”, może i on zaraportować generałowi czy samemu „Tawariszczu Marszału Sovietskiego Sojuza”⁶²², że mu chwilowo papieru na papieros zabrakło. Przypuszczać należy, że tamten udzieli go. O ile oczywiście nie będzie w drodze do miejsca, gdzie papier jest bardziej potrzebny niż w łaźni. Ale chociaż można przecie i tam bez niego obejść się. Po sowiecku!

O, rozpędzie! O, zapomnieniu! Takeś się rozpisiał, żeś i nie spostrzegł, jak słońce zaszło. Jak się skończył jeszcze jeden dzień żywota twego. A miałem pójść jeszcze na przystanek do Zenka. Może są jakieś nowości. No i *praziewał*⁶²³ oczywiście! Kańczam więc na razie, może znowu na miesiąc. Pisząc następnym razem, będę już chyba konkretnie coś na konto szkoły wiedział. Ciekawe, jak to też będzie wówczas!

Dnia 12 listopada 1944 roku, niedziela. Miasto Vilnius, stolica Litewskiej SSR, posiada krótką i wąską ulicę pod nazwą Łotoczek. Stoi przy niej dom stary, obdrapany pięcioma laty wojny, z dziedzińcem wybrukowanym paskudnymi kocimi łbami. I aż dziwne, że tużże, kilka kroków dalej, bawi oczy swym przepięknym gotykiem kościół św. Anny. A tam jeszcze kilka kroków dalej przelewa się krętym łóżyskiem woda Wilenki. Szumi tak od wieków, szumiała niegdyś Gedyminowi, szumiała też i inżynierom stawiającym kiedyś ów dom przy ul. Łotoczek 3, po którego krętych, ciemnych i wąskich schodach przebiegam kilka razy dziennie, dążąc do lepszej przyszłości.

⁶²¹ *Towariszcz starszyj lejtnant!...* — ros.: Towarzyszu starszy lejtnancie! Pozwólcie zapytać!

— Tak, o co chodzi? — Dajcie trochę papieru na papieroska.

⁶²² *Towariszczu Marszału Sovietskiego Sojuza* — ros.: Towarzyszowi Marszałkowi Związku Radzieckiego.

⁶²³ *Praziewał* — ros.: przegapił.

Siedzę oto właśnie przy stole obok tych schodów i piszę. Co prawda, nie swoim atramentem. Ale mam nadzieję, że wkrótce będzie swój, trzeba tylko na gwałt zrobić trochę własnych pieniędzy. Bo mimo że żyjemy w stolicy jednej z najbardziej sowieckich republik, to jednak bez kapitału możesz zdechnąć gdzieś pod spalonym płotem, nie gorzej niż w najbardziej kapitalistycznym Londynie czy New Yorku.

Tak oto losy zaniósł mnie do tego mieszkania Nr 8. Przeszedłem, oprócz tych własnych schodów, wiele jeszcze innych: Technikum, Wojenkomatu⁶²⁴, Uniwersytetu... Wszystko złożyło się jak najlepiej, lepiej może nawet jak to można było przypuszczać dwa miesiące temu.

Tak więc chodzę po ulicach miasta Vilnius, mając w kieszeni zieloną *bro-nirowkę*⁶²⁵ z Wojenkomatu, za klapą płaszcza zaś notatki z Technikum i Wydziału Matematyczno-Fizycznego Wileńskiego Uniwersytetu. Och, co za szumna gra słów! Instytucja ta, ten przybytek wiedzy jest przeze mnie odwiedzany codziennie w godzinach rannych, potem zaś biegnę na Antokol do Technikum. Tam sprawy nie stoją tak dobrze jak na Uniwersytecie, ale jak się zdaje, poprawa ich to tylko kwestia czasu. Brak tam na razie człowieka z energią, który by wszystkich i wszystko potrafił postawić na właściwym miejscu. Z powodu braku miejsca, gdyż lwia część budynku zajęta została pod szpital, nauka odbywa się na dwie zmiany. Młodsze klasy — z rana, starsze — po południu. Z klasami jest w ogóle bałagan. Nasz kurs został obecnie połączony z elektrycznym i nosi nazwę „energetycznego” — na modłę sowiecką. Skutki są następujące: my jesteśmy ciemni z elektrotechniki, oni z mechaniki; jak można wspólnie uczyć się i czego. Z przedmiotów fachowych ma obecnie być transformowanie elektryczności, przeprowadzanie linii itp., wówczas gdy są tacy, którzy w ogóle małe pojęcie o prądzie posiadają. Do tego inżynier te przedmioty wykładający zatrudniony jest przy odbudowie elektrowni, tak że lekcji prawie nie ma. Dotychczas i uczniów nie było za wielu: dwóch, trzech. Ostatnimi dniami ta sprawa poprawiła się znacznie — jest już piętnastu, z tego trzynastu mechaników. Może więc uda się zrobić klasę mechaniczną. Wracając któregoś to razu z Technikum, po lekcjach, których właściwie całkiem nie było, począłem coś mówić ze swym towarzyszem podróży K. Ponomarewem, obecnym uczniem IV drogowo-budowlanej klasy, z którym uczyłem się jeszcze na pierwszym kursie razem, o możliwości dostania się na Uniwersytet. Z początku patrzyłem na tę sprawę jak stoik na żółtodzioba marzącego o niebieskich migdałach

⁶²⁴ Wojenkomat — sowiecki odpowiednik Wojskowej Komendy Uzupełnień.

⁶²⁵ *Bronirowka* — ros.: rezerwacja.

i pewnego, że takowe istnieją. Potem jednak, gdy wyłuszczył mi całą sprawę, zauważyłem, że naprawdę nie taka to może i szaleńcza myśl. W te pędy więc do Uniwersytetu, gdzie spotykamy prof. Slavienasa, który uczył nas w Technikum matematyki. Mówimy mu, o co chodzi, że chcielibyśmy postąpić⁶²⁶ na pierwszy kurs, ale nie bardzo nam to idzie, bo nie mamy matury, ale że Technikum kończymy w tym roku, że mamy przedpołudnie wolne, a szkoda czasu marnować itd., itd. A on powiada, że trzeba złożyć podanie do *dekanatu*, załączyć potrzebne dokumenty, a on pomówi z rektorem i chyba sprawę tę załatwi. Hurra! Elo (skrót używany dla określenia Ponomarewa) ociągał się trochę, tak że trzeba było na każdym kroku poganiać go. Wreszcie dokumenty złożyliśmy. Slavienas rzeczywiście rozmawiał z *dekanatem* i rektorem, po czym nadpisał jeszcze rekomendację na podaniu i wszystko jest już prawie załatwione. Z powodu spóźnienia się, bo termin przyjmowania już upłynął, no i braku matury, podobno musiało pójść do komisarza oświaty. *Dekan* jednak powiada, że powinno być wszystko załatwione pozytywnie. Byliśmy już w piątek i wczoraj na wykładach. Jak to kiedyś, jakieś dziesięć lat temu na studentów patrzyło się z jakimś respektem, a sam Uniwersytet wydawał się czymś tajemniczym, niezwykłym. Dziś zachodząc tam przez szereg bram i korytarzy, pod wysokimi i niskimi sklepieniami tajemniczości jakoś się nie odczuwa, owszem, pogwizduje się nawet „*Za posledniuju piatiorku*”⁶²⁷, natomiast czuć mrok. Czuć do tego stopnia, że można nawet za coś się zaczepić i rąbnąć w czcigodny mur czcigodną baszką⁶²⁸. A może to wówczas właśnie odczuwały się w sercu romantyczność i tajemniczość. Wszak nie jest przecie wykluczone, że pod tym właśnie sklepieniem Mickiewiczowi zrodził się jakiś wierszyk. Na przykład „Precz z moich oczu!...”. Tylko że moja pamięć nie jest taka uparta, jak jego i zapomniała niejedną formułkę z geometrii analitycznej, którą właśnie wałkowaliśmy przez dwa dni w sali bardzo romantycznej, przypominającej jaskrawie apartamenta Maryli. Taki mrok przytulny... Ale ani rusz nie mogę natchnąć swych nóg takim romantyzmem, żeby wyobrażały, że tuż, niedaleko, w rogu stoi renesansowy kominek buchający ciepłem. Jakoś są one bardzo realistyczne.

A profesor ciągiem rysuje i pisze. Na tablicy całkiem nie różniącej się od zwykłej tablicy w szkole powszechnej. Tylko kreda wykonuje odmienne

⁶²⁶ Postąpić — z ros. wstąpić na uczelnię, zapisać się.

⁶²⁷ *Za posledniuju piatiorku* — ros.: za ostatniego piąta. Fragment rosyjskiej piosenki: *Za posledniuju piatiorku najmu trojku loszadej, dam izwoszcziku na wodku — poganiaj, brat, poskorej* (Za ostatniego piąta. Najmę koni trójke, dam woźnicy na wódkę — poganiaj, bracie, szybciej).

⁶²⁸ Baszka — głowa.

ruchy. Ciągłe *ax*, *by*, *cos a* i *sin φ* itd. Żebyż to zawsze być tak natchnionym przez poetę i rozkazu „Precz z mej pamięci”... nigdy nie usłuchać.

Na razie jednak trzeba przerwać bazgraninę i pójść na obiad. Trzeba wszak „chłodniku litewskiego żwawo milczkiem pojeść”. Właściwie nie radzi się jeść milczkiem, tak samo jak radzi się jeść bardzo żwawo, bo wówczas można nie zauważyć, że ów chłodnik nie jest czymś innym, jak zwykłą wodą z Wilii, w której czas od czasu można spotkać cienką łupinkę od buraka czy marchewki. Mogliby przecie poczęstować w „Italii”⁶²⁹ chociażby przyzwoitym litewskim chłodnikiem, jeśli już nie włoskimi makaronami.

Dziś jakoś chłodniku nie dali, natomiast na drugie była kasza kartoflana z łupinami buraczanymi czy fasolowymi. Wikt jednym słowem — prima. Ale to wszystko — *naplewat*. Dążymy wszak do lepszej przyszłości, a gdy pocynam czytać książkę „Motory prądu stałego”, zapominam zupełnie, co jadłem na obiad, łuski od fasoli czy też od buraków.

Za to gdy człowiek wyjeżdża z „Italii”, na ulice miasta Vilnius, tak jakby na innej planecie się znajdował. Idzie człek ulicą Wielką i oczom swym nie wierzy! Gdzie nie spojrzysz w okno wystawowe, wszędzie ciastka, torty, biały chleb, pączki, słonina i kiełbasy, cukierki i czekolady, smaki i przysmaki. Ale dla kupienia ich trzeba zdrowo potrząść kieszonki i portfele. Nie dziw, że wycieczki wracały z Moskwy zachwycone tamtejszym dobrobytem. Na wystawach i tu jest pełno. Tylko tam kiedyś z wystaw nie sprzedawali, a tu nie kupują. Ludzie sami rozumieją, że nie wszystko dla każdego. Co znaczy wychowanie polityczne!!!

Zarazże za sklepem, na rogu ulicy siedzi przycupnięta za murem niewielka dziewczynka. Nad trzymanym na kolanach pudełkiem z irysami wznosi się twarz blada, wycieńczona. Niebieskie oczy patrzą poprzez jezdnię gdzieś w dal. Może zatrzymują się na odymionej ścianie domu, może też łapią widok chmur, przeświecających się przez dom na wylot poprzez wypalone otwory okien i zniesiony do szczętu dach. O czym może ona myśleć? O smaku tych irysków czy też o czarnych, osmalonych murach? Gdybyż choć błądy promyk słońca między te osmalone ściany, między ściany nie osmalone, między którymi błakają się jeszcze takie blade postaci ludzi. Ale nie dla nich są promyki. Wszystkie są skierowane tam, gdzie grają armaty. Wszak trzeba tam przyświecać dziełu zniszczenia, dziełu mordowania się wzajemnego. Nie ma czasu na odrodzenie.

Tak więc będzie jeszcze nie raz siadała pod murem, spoglądając na rozsypane, pobite cegły. Widoków takich jest w Wilnie sporo. Idąc każdą nie-

⁶²⁹ Restauracja w Wilnie.

mał ulicą widzieć można całe bloki pogruchotane, popalone. Miejscami część domu leży na ulicy, z tej zaś, która została, sterczą pocięte sztaby żelazne podtrzymujące niegdyś sufity. Tam znów widać pokoje i korytarze w przekroju, pod ścianą szczątki kaflowego pieca. Gruz osunął się aż do piwnicy, przygniatając być może szczątki mieszkańców.

Dnia 8 grudnia 1944 roku, piątek. Dwa tygodnie temu także był piątek! (Co za inteligencja.) I dwa tygodnie temu pan Szymon Pilecki wybierał się jechać z Poniewieża do Wilna, ale w końcu zrezygnował z tych planów. Postanowił poczekać do soboty i wracać do domu dopiero po zaopatrzeniu się w ładunek taniego cukru. W taki że sam ponury piątek przed dwoma tygodniami przechodził się Szymon po ulicach Poniewieża i takiego ładunku nie mógł znaleźć. Natomiast spotkał się z p. Celą Rojecką⁶³⁰, panną widzianą już raz na Boże Narodzenie roku zeszłego. I stwierdził, że „*nieko sau*”⁶³¹.

Minęło dwa tygodnie. Jak z bata strzelił! I chociaż ten piątek nie jest tak bogaty w śnieg topniejący na ulicach, wiatr dmuchający w stronę ładnych, nowoczesnych budynków cukrowni, nie jest nawet tak bogaty w dziury w zelówkach, jak tamten, sprzed czternastu dni, ale jakże nieźrównanie bardziej ponury!!!

Plecak z poniewieskim cukrem leży sobie w kącie, nie ruszany prawie od dwóch tygodni. Nie do niego teraz!

Zaczyna się trzeci tydzień, jak Jerzy Kobecki przepadł bez wieści!!!

Ot, w czym sęk, moi drodzy!!! Idzie trzeci tydzień poszukiwań, starań, zabiegów, podań — na wiatr!

Idzie trzeci tydzień, jak on siedzi gdzieś *w podwale*⁶³² (o, gdybyż była choć ta pewność), a żona i matka biegają bez wytchnienia. Idzie trzeci tydzień, w którym rozczarujemy się może w stosunku do niejednej jeszcze osoby. Śladem dni ubiegłych.

Gdy pod wieczór czwartkowy zbliżałem się w wagonie ciepłym do stolicy cukru, Jerzy znikł gdzieś z ulicy miasta Vilnius. Gdy wracałem w wagonie trochę zimniejszym do Wilna, poszukiwania były już w toku, ale nie dawały żadnych rezultatów. Nie dały one rezultatów i dotychczas, mimo że obleciano już wszystkie komisariaty milicji i NKWD, i NKGB (nowa nazwa Czeki), adwokatów i prokuratorów, znajomych i nieznajomych.

Wszędzie te same obiecanki, nadzieje, rady. Co mówię, wszędzie? Nie, niezupełnie. W niektórych miejscach od razu mówi się, że nic zrobić niepodobna, w niektórych zaś jeszcze lepiej: mówi się, że dołoży wszelkich

⁶³⁰ Celina Rojecka — Karaimka z Poniewieża.

⁶³¹ *Nieko sau* — lit.: niczego sobie.

⁶³² *W podwale* — ros.: w piwnicy.

starań dla odnalezienia, a robi się wręcz odwrotnie! Nie będę na nich ciskał gromów ni przekleństw — zbyt głęboko osoby im bliskie w sercu mym siedziały. Siedziały, otóż to właśnie! Bo teraz już wyłażą. Nie z tego tylko powodu, nie! Nie jest już me serce tak jednostronne, czułe i zmienne. Nie odpłacę też tą samą monetą. Najwyżej wspomnę kiedyś o tym lekkim słowem i podziękuję za współczucie. Za współczucie nie dla siebie, bo na razie mogę się obejść bez tego, ale dla swego ojca i siostry.

Na drugi dzień po przyjeździe z Poniewieża (właściwie nazajutrz, bo przyjechałem późnym wieczorem) dowiedziałem się, że przyjechał do Wilna Tatus i chce mnie widzieć. Pod wieczór (poniedziałkowy) poszedłem na Zwierzyniec i spotkałem Tatusia, ale i Miskę, wychodzących na ulicę i kierujących się w stronę miasta. Mówią mi, że przyjechali szukać Jerzego. Zdumiałem. Tłumaczą mi, że przepadł on we czwartek wieczorem. Miska mówi, że obchodził z Tatusiem wszystkie możliwe miejsca w Wilnie i nigdzie nic nie można dowiedzieć się. Nie wiadomo więc, czy dostał się pod podwał⁶³³, czy może stał się ofiarą jakiegoś wypadku, napadu czy rabunku. Nigdzie żadnej odpowiedzi. Powiada Miska też, że w jednym miejscu powiedzieli, iż był taki zabity. Jakie wrażenie wywarło to na Tatusiu, można było zauważyć dopiero potem, gdy okazało się, że nazwisko nie zgadza się. Widziałem zresztą ich sam. Chodzili po ulicy jak nie swoi, jakby we śnie. Miska mówił, że kilka razy o mało pod samochód nie popadli.

Na drugi dzień wieczorem Tala wybrała się do wróżki. Poszliśmy z Miskiem razem. Po drodze, przechodząc koło ul. Moniuszki, namyśliłem się, że warto zająć do Kobeckiego. Może on ma jakieś znajomości. Zaszedłem. Na razie nie było jego w domu. Pani Tatiana jak zwykle dusi swymi pytaniami, Żenia robi przy stole lekcje. Wreszcie nie doczekawszy się, wychodzę prosząc o zarzucenie słowa Kobeckiemu. Ze schodów woła mnie Żenia z powrotem. Okazuje się, że ojczulek wrócił. Proszę więc go osobiście. Powiada, że zrobi, co będzie mógł. Dziękuję i wychodzę. Zachodzę jeszcze po drodze do Żenki [Maleckiego]. Ten usłyszawszy, o co chodzi, wybiera notes i zapisuje datę wypadku. Potem proszę i jego. Powiada, że postara się zrobić cośkolwiek. Na razie chodzi tylko o dowiedzenie się, czy jest gdzieś, czy żyje! Przychodzi i Miska. Wychodzimy. U wuja Rafała jest i Tatus. Wuj także obiecuje. Pracuje on na tej samej fabryce, co i Kobecki. Powiada, że ma tam jakiegoś znajomego. Mijają jeszcze kilka dni. Ciągłe bez żadnych wyników. Ciągłe Tala biega i biega, ciągle szuka nowych znajomych — wszystko na darmo. Przyjeżdża ciocia Wiera.

⁶³³ Pod podwał — tu: do więzienia.

Dochodzi mnie taka wiadomość. Wuj Rafał powiada, że chciał prosić tego swego znajomego o dowiedzenie się, ale właśnie w tym czasie podszedł Kobecki i powiedzeniem „Za takich ludzi jak Jurek to starać się nie opłaca” zamalował wujowi usta. Ciocia Wiera prosi i radzi, żeby nie robić z tego żadnego użytku. Nie wiem! Sam tego nie słyszałem, ale nie może być, żeby wuj mógł to tak z palca wyssać. Może nie w takiej to formie było, ale coś być musiało!!!

Postanowiłem podziękować. Po prostu podziękować, nic więcej. Może miały tu wpływ żale p. Anny, wypowiedziane przez nią przy mnie, kiedyś jeszcze, w zimie: „Nie lubię tego Jurka! On nawet nie kłania się!”. Może i p. Kobeckiemu kiedyś się nie uklonił!

Pamiętnego dnia 2 grudnia, w sobotę wieczorem po raz ostatni przekroczyłem próg jego mieszkania. (Chyba że wiadomość ta okaże się potwarzą, wówczas istnieje szansa zmiany postanowienia.) Chciałem mu powiedzieć taką bajkę, że spotkałem jakiegoś znajomego, nie zauważyłem go i nie ukloniłem się. A teraz jestem w strachu, że może on mię wsadzić na Łukiszki przez zemstę. Postanowienie twarde było, ale nie miało możliwości wykonania. To jego nie było, to byli jacyś obcy. Przesiedziałem więc dość długo, to gawędząc na konto Kazachstanu, potem znów przeglądając książki Żeni, to z nią samą rozmawiając. Nie, nie dla mnie Ty.

Wyszedłem. Podając rękę, rzekłem: „Bardzo dziękuję za pomoc”. On zaś uniósł się trochę z siedzenia i powiada: „Kiedyż żadnej nie było!”. Dobrze, że choć przyznaje się. Obok była ich sąsiadka, tak że nie wdawałem się w dłuższe dziękczynienia. Dobranoc... Dobranoc...

Zachlapnęły⁶³⁴ się za mną drzwi. Zbiegłem ze schodów. Minęło... minęło...

Nie, nie jestem już tym romantykiem z wiosny 1942 roku. [...] Minęły lekcje niemieckiego, lekcje prof. Gaidzicy. Wykłada on i teraz u mnie, ale na lekcji jego siedzę zupełnie normalny. Nie zadając sobie pytań, na które odpowiedzieć zbyt ciężko. [...]

Dnia któregoś grudnia 1944 roku. Wilno. Właściwie Vilnius. Po ulicach twych biega, ciągle bez najskromniejszej wiadomości o swym mężu, moja siostra. Od więzienia do więzienia, od bramy do bramy, od jednych znajomych do drugich ciągle z tym samym wynikiem — bez najskromniejszej wiadomości.... A ludzie zwodzą. Zawiódł jeszcze jeden, druh i przyjaciel uwięzionego, Mareczek Kozyrowicz. [...] nie robi żadnych starań ani poszukiwań, mimo że Jerzy wyjechał do Wilna w sprawach służbowych, mając delegację z jego podpisem. Na pytania, dlaczego nic nie robi, odpowiedział,

⁶³⁴ Zachlapnąć — zatrzaskać.

że boi się podpisać urzędowego papierku, w którym byłoby zapytanie o losach urzędnika MTS. To są ludzie dwudziestego wieku!

Tymczasem stało się hasłem: „Od więzienia do więzienia!”.

Któregoś to dnia idę wieczorem po Mickiewicza. Wracam ze Zwierzyńca, gdzie chciałem zobaczyć Talę, do domu. Przechodzę koło Placu Orzeszkowej. Spostrzegam Talę. Idzie, kulejąc, bo nogi mają już spory kawał drogi za sobą, ledwo się porusza, przed sobą niosąc zawiniętą w papier paczkę, przeznaczoną dla męża. Dowiedziała się dziś, że jest jakieś więzienie gdzieś na Antokolu i ruszyła pod jego bramy. Wynik ten sam, co i wszędzie: nie ma. Wraca więc z powrotem do domu, aby jutro od rana począć wędrówkę od nowa. Przechodzi koło Placu Orzeszkowej, na którym jest mogiła bojowników za naszą wolność! Leżą pod nagrobkami głoszącymi, że przykrywają bohaterów, którzy znaleźli śmierć w walkach za oswobodzenie miasta Vilnius. Oswobodzili!

Ciekawe jest tylko, jak oni sobie za życia przedstawiali tę wolność. Czyż nie może ona mieć innej formy, jak tylko w kajdanach? Czy ten okratowany, zielony wagon kolejowy, nagan to też sztandary wolności!? Ale kogoż o to zapytasz, komu powiesz? Przechodzisz więc w dalszym ciągu obok placu i nagrobków, i wyobrażasz sobie, że naprawdę jesteś tak wolny, że uch! Można głęboko westchnąć!

Dnia 24 grudnia 1944 roku, niedziela. Jadę do domu. Zakończyły się na razie nauki, jadę na ferie. Kiedyś, kilka lat temu, byłem wówczas zdaje się w pierwszej klasie gimnazjum, jechałem na ferie z Miskiem. Człowiek czuł, że jedzie na dłuższy odpoczynek, na cięglejszy pobyt w domu, z którego dotychczas co dzień wyrwał, biegnąc na pociąg. Jechał i czuł w piersi swobodę, chociaż nie bardzo może zdawał sobie z tego sprawę. Czuł się na pewien czas swobodny od zakuwania niemieckich deklinacji, geografii... Jakaż była to odrobinka właściwej swobodny, którą można było wówczas odczuwać, ale której się nie zauważało, przechodziło się koło niej zimno, jak przechodzi się koło wielu rzeczy obojętnych.

Dziś jedzie się zwykłą platformą i wózkiem kolejowym, marźnie się siedem godzin na wietrze i wzdycha się do tych lat minionych. Ach, jakież ciepły był wagon motorowy, jak szybko jechał. I jak ciepło było pod strzechą leśnicką. Dziś... A jutro? Jutro, bardzo to jest możliwe, będę wspominać podróż dzisiejszą i tęsknić za dzisiejszą swobodą. Że to człowiek mógł jechać siedem godzin i nikt cię, brachu, do ciupy nie zakrywał⁶³⁵.

W Wilnie zostaje nadal Tala. Wreszcie jest jakiś błysk. Jerzy powiadomił przez swego byłego współtowarzysza niedoli, że znajduje się w podwale

⁶³⁵ Zakrywał – z ros. zamykał.

NKGB (nowa instytucja, czuwająca na bezpieczeństwem proletariatu). Został wzięty podczas obławy w garażu i sam nie wie, za co właściwie siedzi. Prosi o paczkę, której, niestety, w żaden sposób nie można podać jemu, gdyż nie przyjmują. Tala stoi więc nadal, stoi od rana do wieczora pod drzwiami z paczką w rękę i ciągle wynik ten sam.

Dnia 31 grudnia 1944 roku, niedziela. Czekaliśmy, że Nowy Rok będziemy spotykać razem, w komplecie, jak przed dwu laty. Niestety! Przyszła Tala z Wilna. Tam nic nowego. Jerzy przeniesiony jest już na Łukiszki, udało się wreszcie podać paczkę. O wypuszczeniu na razie nic nie słychać, chociaż on pisze, że ma nadzieję na szybkie wyjście i jest to na razie tylko jego nadzieja.

Dziś mamy przy stole innych gości noworocznych. Jest pewien inżynier, który u nas się stołuje (pracuje na tartaku) i oprócz tego kilku żołnierzy z bazy, którzy znajdują się jeszcze w Leśnikach. Nie ma tego, co bywało kiedyś. Minęło...

No, ale cóż zrobić. Miejmy nadzieję, że nastaną lepsze czasy, że miejsca tych, z bazy, zajmą tacy, którzy są dziś w bazach bardzo od nas odległych.

Miałem zamiar jechać na spotkanie do Trok, ale się w końcu rozmyślił. Tam też ni toje, ni sioje⁶³⁶. Grunt, że u nikogo nie ma nastroju. U jednego ojciec siedzi, u drugiego brat, u trzeciego szwagier, czwarty sam nie wie, na jakim świecie znachodzi się (siedzi na Łukiszkach także stryj Awia [Pilecki], Towka [Ławrynowicz] i Ośka [Poziemski]). A w oczy wielkim hukiem też leżać nie można.

Na pożegnanie roku starego naczelnik bazy, st. sierżant Niekrasow puścił w niebo smugę ognistych kul. Poszły wszystkie pionowo w górę, świecąc niby gwiazdeczki, uwolnione z uwięzi lufy, wolne, jakby upojone czarem swobody, niezależności. Poszły śpiewając pieśń wolności — i śmierci, śmierci, w którą tak obfity był rok ubiegający i nie biedniejszy chyba będzie następujący!

Na przywitanie Roku Nowego pijemy po kieliszku moskiewskiej wódki. Prawdziwa, „Moskowskaja”, jak głosi nalepiona etykieta z lichego, co prawda, papieru. Cichy toast, wyrażony w myśli przy tym kieliszku: „Oby ta Moskwa była na nowy rok przyszyły nasza”. Nasza, wolna, demokratyczna. A my przy niej swobodniejsi niż dziś, niezależni jak te kule, prujące przestworza, śpiewające, zachłystujące się pędem, świecące. Ech, i kraty. Puścić by takie masy stali i ołowiu na bramy więzień i zniszczyć je, rozbić, połamać!

⁶³⁶ Ni toje, ni sioje — ni to, ni owo.

1945

Dnia 1 stycznia 1945 roku, poniedziałek. Rok nastąpił czterdziesty piąty. Nastąpił nocą ciemną, lecz cichą, pogodną, chociaż gdzieś tam na zachodzie, tam, w którą stronę poszedł, grają armaty, lecą bomby i szrapnele...

I padają ludzie...

Padają już rok szósty. Jak muchy od trucizny i znaku po nich nie zostaje. Tyle tylko, że gdzieś ktoś może kilka razy zapłaczę, a potem i to minie.

Ludzie już mało płaczą. Widzą całą bezsensowność tego przelewania łez i zastygają, powoli kamienieją, stają się podobnym do drzew gatunkiem. Nic nie pomogę!... Lufy jak pluły stałą dotychczas, tak i będą pluć nadal, nie powstrzyma ich choćby i morze łez. Ludzie jak padali, tak i nadal padać będą, nie wiadomo, jak długo.

Może jeszcze rok, a może i więcej. Churchill, Stalin i Roosevelt mają, jak można przypuszczać, niezłe schrony, bomb nie obawiają się. A o innych mało kto dziś sobie głowy suszy. Ginie?! A niech ta sobie!...

Można ginąć, są nawet tacy, którzy giną z pieśnią na ustach, ale wówczas, gdy jest za to jakaś satysfakcja. Nie każdemu ginącemu zależy na tym, aby mieć ją po śmierci, ale niechże ją ma choć matula, popłakująca z cicha przy kominku, wiedząc, że śmierć syna nie poszła na marne. Niech ma na ustach uśmiech satysfakcji panna oglądająca skutki trudów swego wybranego, który nie przyśle już więcej listu, jako wolna obywatelka swej ojczyzny, nie zaś zastraszona jednostka mająca swój numer — zza krat.

Nie masz tego!!!

Szósty rok trudów, trupów, kalectw i mąk, a rezultatów żadnych. Choć może i są rezultaty: po sześciu latach wędzenia się w dymie, po sześciu latach biegania po Saharze i Alpach — mówi się tobie: tyś faszysta, brachu! Zmykaj co prędzej! Gdzieś do Ameryki czy Afryki, wszystko jedno zresztą, bo i mróz ci znany, i gorąca się nie boisz!

A wreszcie cóż? Możemy zresztą zrobić wam ojczyznę. Ot, wywiedli z Abisynii parę milionów ludzi i będzie wam miejsca. Z Murzynami dacie jakoś radę, a wysiedlać my też umiemy.

Taka jest podzięką, taki jest wynik!

Jeżeli ktoś nie zdąży wyjechać do Afryki, no to można na Sybir względnie do Kazachstanu! Przejazd bezpłatny!!!

W Wilnie ogłoszono, że Polacy i Żydzi mają prawo wyjazdu do Polski. Churchill ma genialną głowę! Po pięciu latach namysłów przyszedł w końcu do wniosku, że Polakom nigdy nic nie obiecywał, a Związek Sowiecki za swe gigantyczne zasługi w dziele oswobodzenia Europy powinien mieć wynagrodzenie i oswobodzić tereny zachodniej Białorusi i Ukrainy. Churchill nigdy też nie pochwalał okupacji Wilna. Jednym słowem — wesoło!

Ach, żebyż stało się takie święto i Armia Czerwona oswobodziła, choć na trzy miesiące, premiera Churchilla. Żeby choć przez tydzień powstał przed bramą Łukiszek (dostanie się do środka jest możliwe tylko dla specjalnie uprzywilejowanych) i dostał kamieniem w łeb od jakiegoś żołdaka-oswobodziciela! To by ci hymny pochwalne śpiewał przez radio na cały świat! I znowu by obiecywał.

Ale co tu gadać dużo. Sam sobie się po prostu dziwię! Możnaż było innego końca czekać? Możnaż wierzyć temu, co mówią ludzie?

Dojechałem dziś do Trok. Spotkanie Nowego Roku nie było u nich nadzwyczajne, odbyło się w starostwie, nie między sobą w swoim kółku. Minęło...

Zebrała się cała *chewra*, pobiegali po jeziorze, kilku pojeździło na łyżwach. Ja z Miszkiem poszliśmy do Babuni. Potem, pod wieczór zebrali się wszyscy u Lidy. Pośpiewali trochę niektórzy, reszta posłuchała i koniec. Z powrotem do domu!

Dnia 14 stycznia 1945 roku, niedziela. Na front, na front. Armaty krzyczą: mięsa, mięsa! Głodne są bestie!

Rozwalone, rozbite bombami mury niedaleko kościoła św. Rafała, tuż koło byłego Mostu Zielonego, dziś całkiem nieistniejącego.

Obok płynie cicha Wilia.

Z miejsca tego, poprzez panujący w rannych godzinach dnia przy dobrej pogodzie tuman, złożony z dymu i pary, widać mury miasta. Zarysowuje się w oddali baszta na Górze Zamkowej, tam znów ulica Wileńska, gazownia.

Armaty wołają: ofiar!!!

Oto są one!

Ojczyzna woła: pomocy!

Oto setki, tysiące rąk gotowych ją nieść!



*Młodzież karaïmska jeszcze razem. Troki, wiosna 1944.
Od lewej stoją chłopcy: Efił Bezekowicz, Gabka Dubiński, Michał Zajączkowski,
Anania Bezekowicz, Szymek Pilecki, Michał Firkowicz, Olek Dubiński.
Dziewczęta: Julia Nowicka, Zosia Pilecka, Tatiana Firkowicz, Ania Zajączkowska.
Siedzą: Tolek Ławrynowicz, Sławek Pilecki – autor, Sioma Firkowicz.*

Wyjazdu spodziewają się lada chwila, chociaż to jakoś nie następuje. Żegnają mury miasta, rozwalone i popalone, ale rodzinne, między którymi niejednemu przeleciało miłe dzieciństwo. Popalone mury, między którymi powstała i dźwięczy zawadiacko piosnka na nutę „Morza”: „Wilno, nasze Wilno, będziem ciebie wiernie strzec”...

Poprzez tuman nie można dojrzeć na baszcie Zamku czerwonej chodaków, ale ona tam jest, jest nad pewnoś wszelką!

Niedaleko byłego, zniszczonego Mostu Zielonego setki sylwetek. Niektórzy ruszają się, odstukują sobie marznące nogi, inni stoją i patrzą poprzez rzekę na miasto, jeszcze inni ostatnie wileńskie chwile przebywają w towarzystwie matek, sióstr czy może narzeczonych!

Czy powrócą? Mówmy już tylko o tych, których nie pożrą armaty. Czy wrócą?

Czy ofiary ich nie pójda na darmo po to tylko, aby dać Churchillowi temat do mów.

Dnia 13 lutego 1945 roku, wtorek. Miałem zamiar coś niecoś napisać, ale doprawdy, gdy człowiek bierze pióro do rąk, nie wie, o czym chciał pisać, o czym jeszcze można, na co wystarczy czasu. Głowa robi się ciężka, ręce nieobrotne, myśli — jak czarne płyty snują się gdzieś tam w głębi mózgu. Niespecjalnie dziś, nie dlatego, że dziś trzynasty! Każdy dzień tu podobny do siebie, a wszystkie do jednego. Błoto na ulicach, a nad nimi czarne chmury pary i myśli.

Po ulicach chodzi człowiek jak zając. Na każdym rogu ogląda się na wszystkie strony, czy skądś coś nie grozi. Przechodzi koło okratowanych okien, których coraz więcej, za którymi czarno. O, spoza nich na pewno ulica jest jasna, czysta, wymarzona! Ale to tylko tam może się tak wydawać. W rzeczywistości tak nie jest.

Przed punktem zapisu do Polskiej Armii, przed punktem zapisu na wyjazd do Polski, przed bramami więzień — dosłownie kilometrowe kolejki, tłumy ludzi. Przed miesiącem prawie wyjechało czterech: Sławka [Abkowicz], Awuńcik [Tynfowicz], Gabka [Dubiński], Piziutek [Poziemski]. Były od nich listy z Lidy. Jadą dalej. W ciągu miesiąca Mecenas [Eliasz Pilecki] i Romka Z. [Zajączkowski] podzielili losy Jerzego [Kobeckiego] i Wowika [Włodka Zajączkowskiego]. Siedzą ciągle. Miszka też zapisuje się. Może teraz właśnie dostaje już dokumenty!? Jest czarno!!! Huczą tylko ciągle armaty. Huczą bez przerwy, dniem i nocą, i podobnie do nich jeszcze bardziej niemiłosiernie huczą słowa oficerów, którym Anglosasi nałożyli błyszczące „pagony”, oficerów pytających ciągle jednym pytaniem: *Kogo jeszcze, kogo jeszcze zametili? Kto jeszcze protiv Sowietsoi vlasti, czto-nibud gororil? Iz poliakow?*⁶³⁷ Gdzieś nad odległymi brzegami Morza Czarnego trwa konferencja trzech. Samolot wiozący na nią uczestników zleciał do Morza Śródziemnego, a z nim razem kilkunastu oficerów angielskich wraz ze wszystkimi dokumentami. Czemuż tak mało? Czemuż chodzi jeszcze po tym świecie reszta tych obleśnych szafarzy cudzą krwią i cierpieniem? Gdzież cała ta Trójka? Radźcie, konferujcie. Potem pchajcie coraz więcej konserw i armat „sprzymierzeńcowi niosącemu na swych barkach cały ciężar wojny”, zbierajcie złoto, błyszczące ludzką krwią. Zbierajcie czym najwięcej. A potem potopicie się wszyscy, pierony zatracone. Ze złotem, ze wszystkimi bilansami. Weselej będzie i w wodzie raz, w gentelmańskim towarzystwie!!!

Ach, co tu rozwodzić się!

⁶³⁷ *Kogo jeszcze, kogo jeszcze zametili?... — ros.: Kogo jeszcze, kogo jeszcze zauważyłeś? Kto jeszcze mówił coś przeciw władzy radzieckiej? Z Polaków?*

Gdybym umiał pisać wiersze, może mógłbym to wszystko wyśpiewać w kilku strofach. Ale czy to pomogłoby? Żadne ody, żadne wiersze nie pomogą nic. Na nic Homer i Dante, gdy przemawia materializm. Zimny, złowieszczy oficer z pagonami. Przedstawcie go sobie! Może mu coś pomóc, coś nań wpłynąć! Krat też zapewne odami nie przełamiesz!

Hej! Wy, Mickiewicz, Słowacy, Puszkiniowie! Że to żyliście w czasach, gdy wasze słowa znachodziły jakiś oddźwięk wśród ludzi. A na swoje czasy tak bardzoście narzekali! Głupi! Że też los ustrzegł was od tych lepszych, wymarzonych, ośpiewanych!

Dnia 25 lutego 1945 roku, niedziela. Nie widać jakoś całkiem porządku w moim pisaniu. Siądzie człowiek do stołu, weźmie pióro, napisze kilka słów i rzuci, bo czasu nie ma, trzeba gdzieś iść, z kimś się zobaczyć!

Czas płynie. Płynie i nic pociesającego nie przynosi. Jerzy siedzi nadal, teraz znowu pod NKGB. Jakies dwa tygodnie temu przyniosła jakaś pani od niego list. Dostała go, ponieważ Jerzy siedzi razem z jej mężem. Powiedziała, że można zrobić paczkę, może uda się ją oddać. Jerzy w liście błaga o list. Nie wie przecież nic absolutnie, co słychać w domu, jak żona, matka. Napisałem list obszerny na cztery strony, zrobiłem małą, ale wartościową paczkę, zawinałem wszystko w świeżą gazetę i poniosłem do owej pani. Zastałem jak raz u niej strażnika, przez którego to się robi. Ukrainiec, człowiek już starszy. Kiedyś Ukraińcy wysadzali polskie pociągi, zawieszali we wsiach czerwone chorągwie, bojkutowali, strajkowali, marzyli o swobodzie. Swoboda była niedaleko. Na wschód od rzeki Zbrucz, na wschód od granicy, którą ułożył Piłsudski i nie dawał ludziom swobodnie dyszeć. Więc cóż? Precz z Piłsudskim, precz z białymi, precz z dręczycielami!!! Niech żyje kompartia.

Dziś jest odrobinę inaczej. Dziś siedzi Ukrainiec obok Polki i nazywa ją swoją matką. Dlaczego? Dlatego, że jej mąż siedzi w więzieniu, nad którym kompartia. Tego tylko starczyło, aby zbliżyć do siebie tych ludzi. I Ukrainiec naraża się. Naraża swą wolność, jeśli już nie mówić o życiu (bo kara śmierci w ZSRR nie istnieje), po to, aby ratować Polaka. Po to, aby podać mu kawał chleba czy słoniny i liścik od żony.

Co za ironia!!!

A może Ukrainiec ten robi tak dlatego, że nic nie wie, jak Polacy męczycieli jego rodaków. Może on nie był pod panowaniem „polskich panów”, nie wie, co to za smak! Może dlatego mówi takie słowa: „*Tawariszczy* (i wnet przeprosza za to słowo, no ale kończy), *nu cztoż, nu tawariszczy. Tawariszczy po nieszczastiu. Druzja! Słuszajtie czto wam skažu: jesli tak astanietsia*

*kak jest' — my propali. Propali wsie. Už ja znaju, czto gawariu. Jaż wsio eto widiel na swoi occhi. Jesli nas amerykany nie aswabadiat — my prapali!*⁶³⁸.

Oto dłaczego „druzja”. Oto dłaczego uciskany Ukrainiec podaje rękę Polce i powiada jej: *„Wy, kak moja maty. Ja was kak uwiżu na ulice, tak priamo i mene wisieło robitsa”*⁶³⁹.

Tak. O takim można powiedzieć: idioto! Jakże ty swobody nie czujesz!

Smutno to jednak kończyło się! Trzeciego wieczora „maty” została przyłapana, siedzi dziś tak jak i jej mąż. Razem z nią popadł w ręce oswobodzicieli i mój list do „Jerzuńcia”. Miast pomóc, może mu jeszcze zaszkodzić. Przyjechała Tala. Jerzy siedzi od ul. Trzeciego Maja. Przechodziliśmy po niej i kilka razy widzieliśmy więźnia w oknie. Prosił o list. Podała Tala, to znaczy rzuciła na śnieg. Wartownik oddał go adresatowi. Wieczorem następnego dnia znowu rzuciła. Czy ten doszedł do Jerzego, nie wiadomo, bo przeprowadzono go do innej celi. Chociaż powinien był wartownik oddać. Przecie tego chyba też polskie pany nie ugniatali!

W tych samych mniej więcej dniach, a właściwie w dzień przed otrzymaniem listu, miałem przejścia, też niezbyt przyjemne. Zatrzymał mię milicjant na ulicy i zaprowadził do komisariatu (za co? — i dotychczas nie wiem). Tam poprosił mię do siebie kapitan i zarzuciwszy gradem pytań, w końcu końców *zajawił: Wy podumaite! Kto tam u was w technikumie protiw Sowjetskoi Własti goworit. I prijdite ko mnie wosmogo w 11 czasow*⁶⁴⁰. Wyszedłem wreszcie po pięciu godzinach „odpoczynku” na swobodę.

Siódmego poszedłem popatrzyć, czy wielkie kolejki przed punktem zapisu do wojska. Ósmego poszedłem do kapitana. Wytłumaczyłem się brakiem czasu, oddaniem nauce itd. i brakiem Polaków w Technikum. Na razie dał spokój. A co będzie dalej — któż to wie?

Och, co to były za noce. Z szóstego na siódmego i z siódmego na ósmego!

Miszka [Abkowicz] i Olek [Dubieński] na dniach już wyjeżdżają. Dwaj, których z całej kompanii cenię najbardziej. Ale cóż na to poradzisz! Wojna...

⁶³⁸ *Towarzyszy...* — ros.: Towarzysze, no cóż, towarzysze. Towarzysze niedoli. Przyjaciele! Posłuchajcie, co wam powiem, jeśli tak będzie jak jest — jesteśmy zgubieni. Zgubieni wszyscy. Już ja wiem, co mówię. Wszystkom to widział na własne oczy. Jeśli nie wyzwolą nas Amerykanie — jesteśmy zgubieni!

⁶³⁹ *Wy, kak moja maty...* — ukr.: Jest pani jak moja mama. Gdy panią widzę na ulicy, to po prostu radość mnie ogarnia.

⁶⁴⁰ *Zajawił...* — ros.: Oznajmił: Pomyślcie! Kto tam u was w Technikum jest przeciwny sowieckiej władzy. I przyjdzie do mnie ósmego o godzinie 11.

Gdybyż to wiosną kończyć techniczną. Może by też człowiek wyfrunął. Ale powiadają, że będzie dyplom dopiero koło Nowego Roku. Długo czekać. Nie wiadomo, czy się doczeka. Takie to nasze życie, o którym tylko czas od czasu można kilka zdań nabazgrać.

Dnia 4 marca 1945 roku, niedziela. Leśniki. Znowu na kilkanaście godzin pod leśnicką strzechą. Wybrałem się dziś do Trok. Niedziela, ludzie wolni, a nikogo całkiem i nie widać. Kiedyś, choć było komu zebrać się na szmena, jeśli już nie na jakąś *siekiermotkę*. Dziś nie ma nic. Bez przesady można powiedzieć, że pozostało półtora człowieka, z czego jeden nienormalny.

Dziś wyruszyli z Trok Miszka i Olek do Wilna. Dotychczas nie było jeszcze transportu, ale teraz już chyba pojedą. Chyba nie wrócą już tak prędko, nie popływają łódką po falach trockiego jeziora, nie będziemy się razem kąpać i bawić.

Czy na długo? Czy powrócą jeszcze i kiedy? A może los i kości ich tak roznieśie, że nie wiedzieć, gdzie ich i szukać?

W Trokach zapisują na wyjazd do Polski. Moc gospodarzy i inteligencji zapisuje się. Z naszych jeden miał zamiar i drugi, ale ponieważ nie bardzo można⁶⁴¹, więc nie pchają się, żeby w razie odmowy nie popsuć sobie marki. I żeby choć pewność mieć, że tam będzie lepiej niż tu. Czy nie zrobią i tam „sowieckiej republiki”. I jak tu jechać w nieznane, na poniewierkę? A z drugiej strony — Sybir czy może Kazachstan? No i położenie!

Zaszedłem, oczywiście, do Zosi [Pileckiej]. Uczy się po trochu, nudzi się — ot i całe życie. Nie jej chyba jednej, niestety.

I wszędzie pustki i niepewność!

Do domu, bracie, suń do domu, nic tu po tobie.

Sunę więc. Zima, śnieg wokół. Na cmentarzu mogiła, a na niej, według wszelkiej prawdopodobności, tabliczka z nadpisem: „Halusia Urbanowiczówna”... Ech, jak dawno to już temu, a jakie świeże!

Wchodzę w leśnicki las. Co za powaga, majestat przyrody wszak jej wymaga! Cicho stoją smukłe świerki, przysypane śniegiem gałęzie trwają w bezruchu.

Schodzę z wydeptanej drogi. Na bok, między te symbole spokoju i trwałości.

Szaro już, prawie ciemno. Mimo woli nasuwa się wspomnienie z opowiadań wigilijnych. „Nastrój” — potężna rzecz.

⁶⁴¹ Karaimi, traktowani przez władze radzieckie jako ludność rdzenna, w przeciwieństwie do Polaków nie zostali objęci repatriacją.

Mówi się, że w taką, do tej podobną, noc wigilijną zwierzęta głosem ludzkim przemawiają. A teraz i ludzie zdają się głazami niemymi. I prawdą się stało: „Przemówią twarde głazy, nie przemówią ludzie”⁶⁴²... Dalej w las, dalej, to w lewo, to w prawo, aż wreszcie nie wiem już, w którym kierunku iść. Idę więc na chybił trafił. Co za piękny widok tych drzew, całych w śniegu. Strzeliste, pnące się ku niebu, słońcu! Zadzieram głowę do góry. Na pogodnym niebie, w luce między wierzchołkami świerków mruga samotna gwiazda...

Jakaż gwiazda i na jakim miejscu zamruga do mnie za rok? Może będzie to gwiazda między lasem kominów fabrycznych — gdzieś na Górnym Śląsku, czy może w Donbasie lub na Sybirze!

A może prosto przez kraty? W każdym bądź razie na to, żeby była to gwiazda między Trokami a Leśnikami — och, jak na to mało nadziei i prawdopodobności! Chyba że może zniknie ze świata jedna gwiazda, teraz już nie mrugająca — bo nie w głowie jej takie dziecinne figle, gdy istnieją jeszcze „wrogowie ludu”?

Przyszedłszy do domu, pogrążyłem wszystkich w głębokim smutku. Przyniosłem wszak z Trok wiadomości, że umarła żona⁶⁴³ *kumaty*⁶⁴⁴ mego, Józefa Zajączkowskiego. Umarła, jak opowiadają, w takich okolicznościach: przyszedł ktoś z więzienia i powiedział, że siedział razem z Romkiem [Zajączkowskim, jej synem], ale już dawno jego nie widział, zostali bowiem rozłączeni. A ona chwyciła się za serce i zakończyła swe życie, zdążywszy powiedzieć, że dwa pierścionki, które miała na palcach, przeznaczają synom.

Jeszcze kilka lat temu tak tu wszyscy wesoło spotykali nowy rok, a teraz — dwóch w więzieniu, nie wiedząc, za co, trzecia — nie żyje, też nie wie-dzieć, dlaczego tak wcześnie, a czwarty — ten rzeczywiście ma przeżyć!

Dnia 7 marca 1945 roku, środa. Poszedłem z listem od Tatusia do *kumaty*. Znalazłem go na pracy. Oddałem list. Gdy czytał, pojawiły się w oczach łzy... Człowiek sam do siebie niepodobny. Ot, co potrafi zrobić nasza władza w przeciągu kilku miesięcy! A poznać to można tylko na własnej skórze. Żadne opowiadania, żadne chociażby najszczerze przekonywania nie odniosą najmniejszego skutku. Trzeba być sowieckim obywatel. Trzeba nosić w kieszeni sowiecki paszport, aby móc zrozumieć całą istotę tego ustroju. Trzeba być na każdym kroku, byle kaprysem ja-

⁶⁴² Fragment wiersza Jana Kasprowicza „Na rozdrożu” z cyklu „Obrazy i obrazki chłopskie”.

⁶⁴³ Nadzieja ze Szpakowskich Zajączkowska (1994–1945), córka Samuela.

⁶⁴⁴ *Kum-ata* — karaim.: ojciec „chrzestny”.

kiegoś zbira, bitym po głowie, trzeba mu do tego śpiewać niewolniczą pieśń pochwalną, trzeba mieć krewnych i bliskich siedzących niewinnie w podwałach, aby pojąć te słowa: „dyktatura proletariatu” i „komuna”. „Zostałem sam w trzech pokojach” — powiada.

Żegnam dziś swych przyjaciół: Miskę [Abkowicza] i Olkę [Dubieńskiego]. Już mają jechać w świat. Późno zaczęliśmy, bo nie mogliśmy upolować Olkę, gdyż ten chodził do Trok i dopiero wieczorem wrócił. Rozpalam więc prymus, kładę na patelnie przywiezione z Leśnik bitki, robimy jajecznicę, stawiamy na stół litrówkę i ucztuujemy. Może po raz ostatni?

Tfu! Precz z takimi myślami!

Wszak życie jeszcze przed nami!

Olek wybiera z kieszeni jakieś zawiniątko i daje Miszce. Powiada, że przyniósł z Trok. Okazuje się, że upominek od Zosi [Pileckiej]: papierosnicę. „Ot, ja dupa, ot, ja świnka” — powiada Miska. Stało na tym, że zajdę jutro do niego i zabiorę list do Zosi oraz bransoletkę, które oddam do rąk własnych przy pierwszym spotkaniu. Ładunek papierosów, zrobiony przy naszym stoliku ma dojechać do Lublina. Chociaż ja osobiście wątpię, czy da się to pogodzić z Miszki charakterem. Ponieważ czas nasz jest mocno ograniczony, a butelka też, niestety, posiada dno, w końcu wstajemy. Idę ich trochę odprowadzić. Idziemy po Zamkowej. Jakże nie zajść do Musi pożegnać się. Trzeba, obowiązkowo.

Potem na Mickiewicza. Koło byłego gimnazjum Orzeszkowej żegnamy się. „Żegnam dwóch przyjaciół, jakich więcej nie mam”.

Kilka mocnych pocałunków, mocny uścisk dłoni. Nie, tak rąk nie podawałem z nikim, tylko z nimi. Spotkamy się jeszcze w lepszych okolicznościach. I butelek będzie nie dwie, i z czymś lepszym niż samogon.

Głośnik, ustawiony tuż obok, na Placu Łukiskim ryczy hymn radziecki. Tuż, niedaleko, siedzi w podвале Jerzy. Co za ironia! Lecz powinna się odmienić. Przy bramie na Królewskiej drugie pożegnanie. Obiecują pisać.

Dnia 10 marca 1945 roku, sobota. Już zdaje się pojechali. We czwartek byłem jeszcze przy ZPP⁶⁴⁵ i widziałem obu. Byli jeszcze przed komisją. Poszliśmy jeszcze na Królewską, bo stać na ulicy zimnowato i nie ma znów takiego nastroju, jak wczoraj wieczorem, nie można więc ani pobiegać, ani też przewrócić się na ulicy.

W piątek poszedłem na Zwierzyniec, wziąłem list do Zosi i dowiedziałem się, że jeszcze nie pojechali. Poszedłem więc na Kalwaryjską, aby ich jeszcze zobaczyć. Pytałem się po koszarach tam i z powrotem i nigdzie nie

⁶⁴⁵ Związek Patriotów Polskich.

mogą mi powiedzieć, gdzie jest trzynasty pluton. Wreszcie zrezygnowałem i postanowiłem wracać. I... na promie spotykam się z Miszkiem. Idzie do domu na noc. Na Zwierzyńcu spotykamy Oluka.

Dziś już widziałem tylko Olkę. Spotkałem go u Dubińskich⁶⁴⁶. Wieczorem zaś mówiła Musia, że widziała go idącego z plecakiem. Miał robić to, mając już pewność o szybkim wyjeździe. Chyba więc pojechali już lub pojedą w nocy. Szczęść wam Boże!

Wczoraj pojechali do Polski Żydki, którzy mieszkali z nami. Jadą i oni szukać szczęścia w Palestynie czy Ameryce. I im nie odpowiada „wolność” tu, u nas panująca. Załadowali cały swój dobytek na sanie i pojechali w szeroki świat. Byle dalej, dalej!

Ruszył koń. Ostatnie słowa. Obiecują napisać, jak tam. Koń zbliża się do bramy, już ją osiągnął, już się w niej pogрузzył. Za saniami sunie smukła sylwetka Aranowicza. Już znikła...

Jeszcze przez otwór paradnych drzwi mignęła sylwetka jej, potem koń z saniami przesunął się, w końcu jeszcze raz ukazał się mąż. Przeszli, przeminęli. Najprawdopodobniej już na wieki.

W pokoju pozostało puste miejsce. W przyszłości ma tam stanąć moje łóżko. Też nie długo tam chyba pobędzie. Wiosną też chyba wyfrunie. Przynajmniej tak się chyba stanie z jego właścicielem. Też schowa się w bramie i może nie ujrzy już jej nigdy...

Tak się w dwudziestym wieku załatwia sprawy narodowościowe. Nie trzeba zmuszać, nie trzeba wypędzać, tak jak to robili Niemcy na Pomorzu w 39 roku. Stąd ludzie sami uciekają.

Dnia 6 maja 1945 roku, niedziela. I oto popełniam grzech śmiertelny przed sobą i całą swą przyszłością: zamiast szykować się do egzaminów, zamiast kreślić i obliczać maszyną parową, siadam oto do pisania na wpół już zapomnianego „pamiętnika”. A czas leci — jak to można zauważyć całkiem bez wątpienia. Zbliża się dzień ostatecznego rachunku ze szkołą, który ma nastąpić najprawdopodobniej w czerwcu, nie zaś, jak to się przypuszczało, w zimie, dopiero około Bożego Narodzenia. Na Uniwerku też czerwiec będzie gorący, tak że aż teraz już potnieje mi grzbiet, nie zważając na to, że na dworze tak hadko i mokro: od samego rana leje deszcz.

A czas leci! Już niedaleko do Zielonych Świąt, a dawno to Wielkanoc była. Zdaje się, tydzień temu siedziało się w boskich Leśnikach i spędzało się święta w błogim nastroju trawienia...

⁶⁴⁶ „Krawcowie”, rodzice Nadziei, później Jutkiewicz, Zofii oraz Niny, później Zajączkowskiej.

Bo i rzeczywiście oprócz tej roboty i kilku spacerów do Trok zdaje się, że żadnej innej nie było. Minęły chyba ostatnie spędzane przeze mnie w tych stronach święta Wielkanocy. Dziś za oknami mokry, niezbyt czysty dziedziniec, szum deszczu, wspomnienia — świeże jeszcze — wczorajszego pobytu na Zwierzyńcu (nie u Kobeckich, jak to kiedyś było w zwyczaj), pocałunków, pieszczot...

Ale w sercu, w duszy, pustka. Nie ma tego, co było, na przykład trzy lata temu, o nie! Na tymże samym Zwierzyńcu, tylko o kilkaset metrów dalej. Ulotniło się gdzieś, uszło w przestworza czy może zakopało się w ziemię i chyba już więcej nie wróci. Takie uczucie — błogie — jakby ściskanie serca, rozpieranie duszy, a pod czaszką skłębione myśli do jednego tylko dążące — to bywa chyba raz tylko. Może to właśnie ta ośpiwana przez poetów, opisana przez dziesiątki pisarzy, odczuwana przez miliardy ludzi, ta właśnie, której na imię dano „pierwsza miłość”?!

A jeżeli tak, no to smutno, że tak prędko przeszła i tak bez oddźwięku, bez zrozumienia, powodzenia. Ale rzućmy to. Nie po to przecie siadłem pisać, aby oddawać się rozczulającym wspomnieniom. Nie opłaca się to — jak już nie raz mogłem się przekonać.

I ta istota, przed trzema laty tak sentymentalna i romantyczna, to dziś po prostu istota mająca zamiast duszy pęcherz i to wypełniony helem, gazem symbolizującym całkowitą neutralność, chłód nawet.

Widać, że nie zostało na nią bez wpływu uwielbianie Piaseckiego. „Bierz, co się trafia po drodze, a niech się migdałą głupie lalki w krawacikach”. Jakaż szkoda, że do każdego takiego wniosku trzeba dochodzić samemu, własną praktyką, nie wystarcza tego gdzieś wyczytać. A szkoda! Można by sporo czasu zaoszczędzić.

W poniedziałek dostałem list od Miszki. Tak przyjemnie zrobiło się, że jednak nie zapomina, choć tak daleko teraz i z wieloma, jak się można spodziewać, nowymi wrażeniami. Píše: „Jest mi wesoło pośród kolegów wileńskich, z którymi co dzień zdobywam więcej miary”.

Dnia 20 lipca 1945 roku, piątek. 1) O czym pisać, 2) od czego zacząć, 3) nad czym się rozwodzić, 4) o czym tylko wspomnieć, 5) co w ogóle pominąć z braku miejsca i czasu???

Zupełnie ciemno — jeśli chciałbym odpowiedzieć na te pytania.

Jedno mogę stwierdzić od razu, bez namysłu, z pewnością: egzaminy przeszły, techniczna skończona, pierwszy kurs matematyki odwalony, chociaż trzeba by było jeszcze dwa egzaminy odwalić.

W Leśnikach jest pięknie, słońce świeci przecudnie, w kieszeni jest już dyplom, w głowie myśli na konto zbliżającego się wyjazdu do Polski, nie ma zupełnie w kieszeni pieniędzy, nie ma nawet nadziei, żeby takowe były, nie ma się czego przejmować, Miszka czas od czasu przysyła listy. „*Es geht Alles vorüber*”⁶⁴⁷ i... [...]

Tak to wygląda w głównych zarysach. Ale jeśliby rozpatrywać szczegóły, to papier się kończy, atrament wyschnie, ręka zaboli, rozum spisze się⁶⁴⁸.

Do tego — takie hadkie, koślawe pióro!

Ach, prawda, przecie i nie wszystko: od Jerzego były listy, jest on teraz w Saratowie, pracuje w sowchozie przy remoncie traktorów, drugi zaś Jerzy Kobecki⁶⁴⁹ fika sobie po trochę nogami, czuje się na pewno lepiej niż jego Jerzy — przodek (w pojęciu genealogii, oczywiście, nie zaś anatomii). Nawet opalił się trochę! Chrzcziny odhulaliśmy nie najgorzej (w Rydze⁶⁵⁰). Cóż teraz? Zacząć rozwijać tematy po kolei. Może to być trochę nudne! No ale poprobujemy.

O egzaminach pisać, oczywiście, nie będę, już i tak one w poprzek stoją. Natomiast można coś niecoś powiedzieć o zakończeniu budy, o tzw. *isleistuvesach*⁶⁵¹, czyli po „polskiemu” mówiąc, o *vypusknom balu*⁶⁵². Odbyło się to w „Italii” przy ul. Wielkiej w sobotę, dn. 23 czerwca.

Każdy z absolwentów miał prawo zaprosić na „bal” jeszcze kogoś.

Kogo miałem prosić. Jest w Wilnie sławna i „Wielka Trójka”: Niusia [Czaprocka], Musia [Jutkiewicz] i Tama [Poziemska] — „Czarna”, „Biała” i „Mała”. Osób sporo, ale wybór jest dozwolony tylko z trzech. Kogóż wybrać? Myślałem nad tym kilka dni i ciągle dalej wybierałem. W końcu przypomniawszy święte słowa: „Bierz, co się da najłatwiej, żyj i już”, poszedłem dzwonić do Marysi Szerszeń, pracującej razem z Tamą i często u niej bywającej.

Telefon szwankował, nic nie wyszło. Trzeba więc iść na Zwierzyniec. Idę sobie po Mickiewicza i spotykam, a raczej nadpędzam Żenkę Maleckiego, u którego ostatnio często bywałem. Słowo po słowie i dochodzi do tego, że mówię mu o swym zamiarze zaproszenia Marysi (a oto właśnie zauważyliśmy, że i one idą przed nami), Żenka skrzywił się i powiada: „To co, już

⁶⁴⁷ Fragment niemieckiej piosenki: *Es geht Alles vorüber, es geht Alles vorbei. Nach einem Dezember, kommt wieder ein Mai!* (Wszystko odchodzi, wszystko przemija. Po każdym grudniu przychodzi znowu maj).

⁶⁴⁸ Tu: spisze się na straty, zużyje się.

⁶⁴⁹ Jurasek, syn Jerzego i Tali (1945-1999).

⁶⁵⁰ Tu: z sensacjami żołądkowymi.

⁶⁵¹ Właśc.: *išleistuvės* — lit.: bal maturalny.

⁶⁵² *Vypusknój bal* — ros.: jw.

nie możesz znaleźć lepszej?”. „A ja i nie staram się, szkoda czasu”. Patrzę z tyłu na Marysię i widzę, spostrzegam, że u niej pokraczne nogi. „To już weź Żenię lepiej, zawszeć nie to, co ta”. Nadpędzamy właśnie „tę”. Na razie nic jej nie mówię. Gdyśmy pożegnali się z nimi, mówię Żenku, [...] że do Żeni nie chodzę już od pół roku, mówię też, dlaczego. A ten mi na to: „To możesz nie iść do Kobeckich, a iść do Żeni”. No oczywiście, można to i tak wytłumaczyć. Przecie jesteście ludźmi, a ci słyną ze swej obłudy.

Mówię więc: „Może i prawda. Marysię to my jakkolwiek i w Krakowie namacamy, a Żeni tam wszak nie będzie” i idę na Moniuszki.

O potomności! Masz prawo mnie wykląć, masz prawo notarialnie mnie się wyrzec, masz prawo zbecześcić mój grób. Przechodzę przez ten próg, za którym byłem ostatnio 2 grudnia 1944 r. i za którym nie miałem być już nigdy. Ale ja idę do Żeni, tym bardziej, że prosiła przez Żenkę, żebym do niej kiedy wstąpił. Okazuje się, że chcą z gimnazjalnymi koleżankami wybrać się do Leśnik do Haliny Tomaszewiczówny, z którą razem się uczyły. Proszą mnie za przewodnika. Pani Anna, a także p. Michał są chorzy, nie mam więc zaszczytu z nimi widzieć się. Pani Babcia coś tam opowiada o bolszewikach, z czym trudno jakoś zgodzić się.

Zapraszam Żenię na wieczór. Zostało jeszcze parę godzin. A może nie warto było zapraszać. Nie wiem! Potomności! Możesz mię karać za złamanie przyrzeczenia, jak to uważasz za potrzebne. Przyznaję się, że przez próg przeszedłem. Biję się więc w piersi i krzyczę: „Mea culpa” (bez ironii). Próg przeszedłem. Reszty dokonał dawny do Niej sentyment, wspomnienia i... Żenia!

Na „balu” oczywiście byliśmy, no i jakoś przebiegowało się. Rano siadłem na ciężarówkę i pojechałem do Trok na *mila*⁶⁵³, gdzie byłem kumem. Ponieważ jest to bardzo możliwe, że to już ostatnia karaimska uroczystość w Trokach, na której miałem możliwość uczestniczyć, uderzam nie tak w sentymenta, jak w butelkę. Ilu mię mężczyzn potem nosiło, nie wiem. Według opowiadań krewnych i znajomych — czterech.

„Żyjmy więc, póki czas,

Za sto lat nie będzie nas”⁶⁵⁴.

Dnia 20 sierpnia 1945 roku, poniedziałek. Jeszcze w Leśnikach. Historia się, jak zwykle, powtarza: o czym pisać, nie wiem, bo czasu nie jest zbyt wiele, a do tego trzeba dodać, że czas jest teraz mierzony na wagę złota, bo to przecie już ostatnie dni w tych stronach [...]. [...]

⁶⁵³ Nadanie imienia Jerzemu Kobeckiemu, (1945–1999), „Juraskowi”.

⁶⁵⁴ Fragment piosenki „Upływa szybko życie”.

„Tak w życiu bywa, że najpierw radość i kochanie,
A potem smutek i rozstanie.

Najpierw jest wszystko, a potem nic.”

Święta prawda, z którą trudno jednak pogodzić się. Było to w nocy z 16 na 17 lipca, w Leśnikach. Żenia ze swą koleżanką Dolą była w naszych stronach, a ponieważ 16-tego nie udało się wyjechać, więc musiała nocować i poszliśmy do Mataczynów na zabawę.



Dnia 22 sierpnia 1945 roku, środa. I już minęło. Minęło, jak mija wszystko na tym świecie, na zawsze, bez powrotu. Pozostają wspomnienia, wspomnienia, które czasem człowieka zjadają, zagryzają mu nerwy, które jednak czasem zdolne są dowzbudzenia w człowieku sił do nowych cierpień, zmagień, walk i — zwycięstw. [...]

Ach, zaciem eta nocz’

Tak była korotka?

Nie bolela mnie grud’,

*Nie stradała dusza...*⁶⁵⁵

⁶⁵⁵ *Ach zaciem eta nocz’...* — ros.: Ach, dlaczego ta noc / była taka krótka?/ Nie bolała mnie pierś / nie cierpiała dusza.

I sam nie wiem, skąd tu taki pociąg do poezji. Chyba dlatego, że było jej do wczoraj pełno w życiu, chyba dlatego, że nieprędko może być znowu. A może już i zupełnie nie?

I rzeczywiście, jak krótkie są te noce. A przecież już jesień na nosie. Na przykład noc z poniedziałku na wtorek to jedno mgnienie oka, coś — pod względem czasu trwania — odpowiadającego letniej błyskawicy. Noc taka krótka, a jednak tak bogata. [...]

Jak to było tej nocy u Mataczynów na zabawie i jak tej ostatniej, wczorajszej. [...]

Dnia 15 września 1945 roku, sobota. Od kilku dni boli głowa. Tak nachalnie, bez pardonu. Od rana do wieczora, bez przestanku.

I teraz też to samo.

I nie wiem, o czym mam właściwie pisać. Rozwodzić się o tym, że za kilka dni nie będzie mnie już w tych stronach, nie ma chyba sensu. Dość będzie pisać o tym wówczas, gdy tęsknota będzie ścisnąć serce. Pisać o pogodzie i o przelotnych wypadkach bez znaczenia — ach! jakież to już nudne![...]

Cóż więc pozostaje? Wymówić się chyba bólem głowy i pójść spać?

[...] Nie, dziś pisać więcej nie mogę. Poczekać. [...]

1946-1947

Otmuchów⁶⁵⁶

10 stycznia 1946 roku. Żenia przyjechała przed dniami z Wilna. Jest, czy będzie we Wrocławiu, a ja tam też.

Rozpoczynamy Nowe Życie.

Jak się ono ułoży, co nam przyniesie?

„Ku jakim dalom,

Jakim przygodom

Nosiłeś żagiel biały po świecie?”

Zacisnąć pięści i naprzód!!!

Wrocław

3 lutego 1947 roku. I znowu, nie wiem, „niestety”, czy też „dzięki Bogu”, wracamy do Piaseckiego. [...] I to jest ważne, bodaj najważniejsze, że to, co dziś błyszczy w naszych oczach jak słońce, jutro staje się prochem. I nie ma na świecie rzeczy, dla której warto byłoby zatruwać swą duszę — o nie! To już słowa nie tylko Piaseckiego, to także Pileckiego.

I nie warto niczym się zachwycać. A ten błąd raz w życiu popełniłem.

Obok stoi rozwalone łóżko, nie zasłane jeszcze od rana.

Ach, wyrwać by się w świat, na morze na przykład! Ku życiu szumnemu i burzliwemu, z trzaskiem!

Cóż, kiedy nie zawsze człowiek może robić to, co mu się podoba.

A może — może za lat pięć powiem, że w tym całe szczęście!?

[...] Maniak, który uległ zachwyceniu.

Zacisnąć pięści, szczęki. W dal zepchnąć serce — i naprzód!

Koniec Dziennika Szymona Pileckiego.

⁶⁵⁶ Miejscowość na Dolnym Śląsku, obecnie woj. opolskie. W 1945 w Otmuchowie osiedlił się Józef Firkowicz, wuj autora, który przed wojną mieszkał w Krasińcu. Jego dom był przystanią dla przybywających z Wileńszczyzny Karaimów.

Z Kresów Wschodnich ku Politechnice Wrocławskiej

[...] Wiosną i latem 1945 r. bardzo aktualną i wzbudzającą wiele napiętności była sprawa wyjazdu do Polski. Wielu Karaimów, w tym i moją rodzinę, niepokoiła ona w szczególny sposób, gdyż w umowie o repatriacji nie było powiedziane, iż do przesiedlenia się mają prawo Karaimi. Prawdopodobnie wynikało to stąd, że gremia formułujące treść umowy w ogóle nie wiedziały o istnieniu tak nielicznej grupy narodowościowej. Władze Ukraińskiej SRR nie czyniły jednak trudności w repatriacji tym Karaimom, którzy zgłosili takie chęci. Zgoła inaczej przedstawiały się te możliwości na Litwie. Władze litewskie wychodziły z założenia, że skoro Karaimi zostali tu sprowadzeni przez litewskiego Wielkiego Księcia Witolda i przez całe wieki związani byli z Litwą, to brak powodów, aby teraz mieli oni przenosić się do Polski. Władze te uważały, że nieprzyznanie Karaimom praw do wyjazdu wynikało z tych właśnie przesłanek. Mimo to jednak pewna część Karaimów zamieszkałych na Litwie, w tym i moja rodzina, była zdecydowana pokonać utrudnienia stwarzane przez miejscowe władze i przesiedlić się. Trzeba stwierdzić, że w Wilnie było to łatwiejsze niż w Trokach, gdzie — jak w każdej mniejszej miejscowości — trudniej było zmylić czujność litewskiego pełnomocnika do spraw repatriacji. Wstępne utrudnienia związane z samą rejestracją udało się jakoś pokonać dzięki posiadanym przedwojennym dokumentom.

Latem 1945 formowanie transportów repatriacyjnych wielce opóźniało się, głównie z powodu braku wagonów, bardziej potrzebnych do przewożenia zdobyczy wojennych z dopiero co pokonanych Niemiec. Zaczęto więc organizować tzw. transporty walizkowe, których uczestnicy z bagażem dającym się unieść w rękach, rozkładowym pociągami jechali do granicy, granicę tę przekraczali piechotą i dalej podróżowali na własną rękę. Było to znaczne utrudnienie w porównaniu z podróżą normalnym transportem, ale zyskiwało się na czasie.

Pragnąc zdążyć do Polski na początek roku akademickiego zdecydowałem się na taką wersję podróży, rodzice zaś z moim rodzeństwem mieli czekać na normalny transport. Z dykty i elementów dawnego kufra zrobiłem odpowiednio pojemne dwie „walizy”, w których miała się zmieścić cała moja wyprawa na dalsze życie za granicą. Spakowałem je (jedna z nich zawierała same tylko książki), starając się, aby nie były zbyt ciężkie; każdą z nich potrafiłem unieść samodzielnie, ale były jeszcze dwa mniejsze pakunki. Liczyłem, że podczas normalnych przesiadek poradzę sobie z nimi. W początkach października 1945 r. stanąłem na dworcu w Landwarowie na pociąg do Grodna. Jak zwykle w takich sytuacjach, byli również obaj pełnomocnicy do spraw repatriacji — litewski i polski. Niedługo przed przybyciem pociągu podszedł do mnie pełnomocnik litewski i zażyczył sobie zobaczenia mojej karty repatriacyjnej. Nie podejrzewając podstępów wręczyłem mu ją. On chowa ją do swej kieszeni i oświadcza, że przecież jako Karaim nie mam prawa do wyjazdu do Polski. Po pierwszym oszołomieniu zwracam się po radę i pomoc do polskiego pełnomocnika. Jego pogląd jest prosty, powiada, że dziś na granicy jest imienna lista naszej grupy i — być może — przepuszczą nas bez sprawdzania kart. Taka szansa istnieje jednak tylko dziś. Dziękując za radę i kryjąc się przed Litwinem wsiadam do wagonu. W Grodnie szukamy jakiejś ciężarówki, aby dojechać do odległej o około 20 km granicy, dojeżdżamy, ale okazuje się, że jest już zbyt późno na jej przekraczanie i musimy czekać do rana. Niby sami swoi, ale... Wreszcie mglisty i mroźny poranek. Oficer radziecki ustawia nas na szosie w szeregu, wyciąga z kieszeni listę i zaczyna wywoływać kolejne nazwiska. Wczytani podnoszą swoje bagaże i przechodzą na drugą stronę szlabanu. Wśród innych jestem i ja. Jakoś nie odczuwam ciężaru swoich waliz, nawet tej najgorszej — z książkami.

Po przejściu całej grupy trzeba zorganizować jakiś transport. Na szczęście na szosie roi się od wojskowych ciężarówek radzieckich, które na Zachód jadą nawet bez większych ładunków. Dojeżdżamy do pobliskiej stacji kolejowej, ale okazuje się, że żadne pociągi w kierunku Warszawy nie jadą, gdyż właśnie na całym szlaku odbywa się zwężanie rozstawu szyn z poprzedniego, radzieckiego, zapewniającego bezpośrednio docieranie transportów wojskowych aż do Niemiec, na obowiązujące w Polsce. A więc z powrotem ku szosie. Ponownie ładujemy się na ciężarówkę i znowu jedziemy, tym razem do Białegostoku. Być może dałoby się i dalej, w kierunku Warszawy, ale ziąb w odsłoniętej skrzyni pędzącego samochodu jest na dłuższej trasie nie do wytrzymania. W Białymstoku na dworcu okazuje

się, że najszybciej do Warszawy dojechać można przez Olsztyn. Dworzec przepelniony koczującymi niedoszłymi pasażerami. Idziemy zapoznać się z miastem. Zachodzimy też do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, z nadzieją na odtworzenie mojej karty repatriacyjnej. Idzie to stosunkowo łatwo — dwaj naoczni świadkowie zgodnie potwierdzają, że została ona utracona; w szczególności nikt nie miał czasu wnikać. Dokument ten miał zaś istotnie natychmiastowe znaczenie, uprawniał bowiem m.in. do bezpłatnego przejazdu do miejsca osiedlenia.

Wreszcie jest pociąg. Noc, tłok, ścisk, ale przecież jedziemy. Niedaleko. Przy wjeździe na jakąś stacyjkę, na szczęście przy niewielkiej prędkości, raptem wagon doznaje gwałtownego przechyłu, a po chwili podskakuje kołami po podkładach. Zatrzymuje się. Wszyscy gromadą do wyjścia. Ja też, nie oglądając się na swój bagaż, tzn. cały wieziony dobytek. Dosłownie po chwili wracam, ale uprzednio wiszący na haku kożuszek już zniknął. Wokoło ciemno i gwarno. Kamień w wodę. Okazuje się, że kilka wagonów wykoleiło się na zwrotnicy, trzeba wysiadać i czekać, podobno podadzą wagony zastępcze. Nasyp wysoki i stromy, wiatr, bez kożuszka zaczynam odczuwać chłód. Patrząc, z pola widzenia znikła jedna waliza. Na szczęście udaje się dostrzec, w jakim kierunku znika. Szybka interwencja, tym razem skuteczna. Trzeba przy nich dosłownie warować. Ciemno, zimno. Po sporym czasie wreszcie przyjeżdżają wagony, ale do nich kawał drogi; od razu robi się ciepło.

W promieniach jesiennego słońca pojawiają się pierwsze widoki Ziemi Mazurskiej. Pola pełne nie zebranego zboża, z nisko pochylonymi pełnymi kłosami. Cisza i bezruch. Nigdzie nie widać nikogo i nawet niczego żywego. Ani jednego ptaszka, choćby wrony. Lasy posiekane, drzewa pokaleczone wybuchami artyleryjskimi, z urwanymi konarami i częściami pni na różnych wysokościach. Około południa w dali jawi się nam Olsztyn. Niezapomniany widok czerwonych dachów na solidnych kamienicach. Na dworcu tłok, wielogodzinne oczekiwanie na pociąg do Warszawy. Wszystkie okresy czekania skracam sobie pisanie listów do rodziców; oni wszak nic nie wiedzą nawet o tym, czy zostałem przepuszczony przez granicę, czy też siedzę gdzieś w areszcie, o co w owych czasach nie było zbyt trudno. Mimo jednak, że listów takich wysłałem mnóstwo, do adresatów nie dotarł żaden; dopiero po kilku miesiącach rodzina dowiedziała się przez wspólnych znajomych, że jestem we Wrocławiu. Do Warszawy dojeżdżamy pod wieczór, na jakiś dworzec towarowy na Pradze. Grupa nasza po trochę topnieje, nie wszyscy bowiem zmierzają do tego samego celu.

Moim pierwszym punktem docelowym jest Pruszków koło Warszawy, gdzie mieszkają pp. Jutkiewiczowie.

Pierwsze zadanie — przedostać się na drugą stronę Wisły. W dzisiejszych warunkach — co za problem? Ale wówczas, przygodnym transportem, przez jedyny czynny most pontonowy, wieczorem. Nie wiem, czy i jak bym sobie poradził, gdyby nie pomoc jakiegoś przygodnie spotkanego silnego mężczyzny, dla którego przerzucanie „waliz” zagubionego „Wilniuka” nie stanowiło większego problemu. Doprowadza mię do przystanku EKD na ul. Nowogrodzkiej. Kiedy wysiadam w Pruszkowie przy budce-kasie biletowej, jest już prawie północ. Adres mam, ale jak go odszukać. Zamierzam poczekać do rana, jacyś przechodnie radzą tu nie zostawać, bo „mogą przyjść i obrabować”. Oczywiście żołnierze, wiadomo jacy. Zaczynam więc wędrowkę. Kilkadziesiąt kroków z jedną walizą, z powrotem tak lekko, potem z następną i jeszcze raz. Po kilku godzinach jakiś zabłąkany przechodzień oferuje pomoc i zaprasza do swojego mieszkania. Uff.

Rano idę pod poszukiwany adres, okazuje się, że pp. Jutkiewiczowie właśnie wyprowadzili się. Na szczęście, wiadomo dokąd i na szczęście w tymże Pruszkowie. Spotykam u nich Szymona Firkowicza, ówczesnego żołnierza WP, stacjonującego na Pomorzu Zachodnim, który otrzymał właśnie kilka dni urlopu dla zorientowania się, gdzie mógłby rozpocząć studia. Wiadomo, że Warszawa raczej nie — zniszczenia. Ponieważ cel mamy jednakowy, jedziemy razem do Krakowa. Tam okazuje się, że Politechnika rozpoczęła rok akademicki już w maju, a zatem jesteśmy spóźnieni. W AGH też wykłady już trwają, chociaż może nie od maja. Nic tu po nas. A zatem — do Wrocławia. Tam trafiamy do jednego z budynków biblioteki, w pobliżu Placu Solnego, rozmawiamy z napotkanymi polskimi pracownikami, jakimś adiunktem, innymi osobami, wszyscy twierdzą, że politechnika powinna ruszyć, ale nikt nie potrafi określić chociażby przybliżonego terminu. W każdym razie — nie prędko. Jakoś, kierując się wyrywkowymi informacjami uzyskanymi od raczej przypadkowych osób, nie dowiedzieliśmy się o istniejącej już społeczności studenckiej na Biskupinie, straży akademickiej itd. Jest połowa października 1945 r. Szymonowi F. kończy się urlop, musi wracać do swej jednostki, żywiąc nadzieję na szybką demobilizację.

Ja ponownie jadę do Krakowa, wszak rysowały się tam jakieś perspektywy na AGH. A ja przecież dlatego tak śpieszyłem z Wilna, aby zdążyć na rozpoczęcie studiów, szkoda więc czasu. W Podwawelskim Grodzie idę do JM Rektora AGH, Profesora Walerego Goetla, wyjaśniam, dlaczego jestem

spóźniony, że postaram się nadrobić zaległości itp. I... decyzją Magnificencji od ręki zostaję studentem Akademii. Bierz się więc, brachu, do roboty! Tak, to proste, zdawałoby się najgorsze trudności zostały pokonane. Ale trzeba gdzieś mieszkać, trudno to czynić na dworcach, chociaż podczas dotychczasowych wojaży był to najpewniejszy sposób. A Kraków — jak wiadomo — jest przepełniony. Nie mam na myśli Krakowa prywatnego, jakiegoś pokoiku lub jego części, na to trzeba mieć środki, a ja tu jestem sam, cała rodzina została za granicą, może wkrótce przyjedzie, a mogą i im odebrać dokumenty (później okazało się, że odebrali). Marzy mi się miejsce w akademiku, chodzę, pytam, proszę. Przez trzy dni mieszkam kątem wśród kilku studentów trzeciego lub czwartego roku, w pokoju mającym dyktę zamiast szyb i całkiem pozbawionym ogrzewania. Od czasu do czasu robimy więc zbiorową intensywną gimnastykę na korytarzu lub biegi na ulicy; apetyty nasze nieco przekraczają kaloryczność bratniackich obiadów. W końcu uzyskuję informację, że „podobno w niedługim czasie” Akademia ma odzyskać duży dom akademicki, aktualnie zajęty przez wojsko radzieckie i wtedy będę mógł liczyć na miejsce w nim. Kiedy to będzie, tego oczywiście nikt zgadnąć nie umie. Piszę więc sam do siebie kartkę pocztową z zawiadomieniem o celowości powrotu do Krakowa, zostawiam ją u mych gospodarzy z pokoju z prośbą o jej wysłanie w odpowiedniej chwili, a tymczasem jadę szukać swego wuja, Józefa Firkowicza, który przed wojną mieszkał w pobliżu Warszawy [w Krasieńcu], a niedawno — jak się już dowiedziałem — przeniósł się do Otmuchowa koło Nysy, dążąc do uruchomienia tamtejszej cukrowni. Tam okazuje się, że rozpoczęto właśnie kampanię cukrowniczą, „aby zza pobliskiej granicy Czesi widzieli, że już gospodarzimy”. Potrzebni są ludzie do roboty i dla zachęcenia do pozostania wszyscy od ręki otrzymują bezpłatne wyżywienie. Oczekując na sygnał z Krakowa, przyjmuję pracę, polegającą na szybkim sporządzeniu planów całej cukrowni, pilnie potrzebnych dla urzędu skarbowego. Ostro zabrałem się do pracy, wykorzystując swe wcześniejsze nieznaczące otrzaskanie z techniką. Silnym dopingiem była nadzieja, że obiecane wynagrodzenie wystarczy mi do letnich wakacji (starczyłoby, gdyby nie inflacja; istniała już i wówczas!). Sygnał z Krakowa nie nadchodził. Niedługo przed Bożym Narodzeniem pracę swą zakończyłem. Świątowaliśmy hucznie, przy tym w niezwykle warunkach atmosferycznych: było tak ciepło, że latały pszczoły. Dla przyzwyczajonych do zim wileńskich było to szokujące.

W czasie Świąt pojawił się raptem w Otmuchowie wspomniany już Szymon Firkowicz, który przez wspólnych znajomych dowiedział się, że tam

jestem. Wiadomość przywiózł niezwykłą: jest on już studentem Politechniki Wrocławskiej! Wykłady „idą” pełną parą, ma on trzypokojowe mieszkanie na Sępolnie. Sprawa jest więc ewidentna — po Trzech Królach obaj jedziemy do Wrocławia, podejmuję i ja starania o miano studenta. Ale nie takie to tym razem proste. Pan Dziekan Idaszewski, powiada, że na Wydziale Elektromechanicznym nie ma już miejsc. Sprawa nie jest jednak całkiem beznadziejna, miejsca są jeszcze na Wydziale Hutniczym, na który powinienem wstąpić. Pan Dziekan zapewnia mię, że po pierwszym semestrze, jeśli tylko się utrzymam, znajdzie się miejsce i na jego wydziale. Utrzymałem się. Znalazło się. Przeszedłem wiele mutacji: na I semestrze — hutnik, na II roku — elektryk, zaś od III roku przeniosłem się na kierunek mechaniczny, uzupełniając brakując egzaminy i laboratoria. Powstała wtedy Sekcja Lotnicza i stałem się jej członkiem, słuchając szeregu dodatkowych i całkiem nowych przedmiotów. Kiedy nasz pierwszy wykładowca w Sekcji, Profesor Jerzy Teisseyre spytał, czy ktoś ze studentów nie zechciałby podjąć pracy (równoległe ze studiami) w organizowanym właśnie przez niego biurze konstrukcyjnym Centralnego Studium Samolotów, pierwszy zdecydowałem się na to; z czegoś trzeba żyć, a szukanie wciąż dorywczych dochodów było zbyt niepewne i uciążliwe. Później dołączyli następni koledzy.

Biuro to istniało w ówczesnych Państwowych Zakładach Lotniczych, późniejszej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego na Psim Polu i za zadanie miało opracowanie dokumentacji samolotu przewidzianego do produkcji seryjnej. Prof. Teisseyre znając obowiązki studentów na uczelni starał się stworzyć nam optymalne warunki zatrudnienia: trzy — cztery niekoniecznie te same dni w tygodniu. Praca była akordowa, a czas nienormowany; kto ile zrobił, za tyle był wynagradzany. Często pozostawało się w biurze do późnego wieczora, kiedy indziej do późna tkwiło się w gmachu politechniki.

W 1950 r. podjęto w Warszawie myśl zbudowania samolotu transportowego, w którym miałyby być w maksymalnym stopniu wykorzystane polskie silniki i wyposażenie, w dużych ilościach zalegające w licznych składach. Dostawałem więc delegacje do różnych mało znanych miejscowości na Pomorzu Zachodnim i przedstawiałem sprawozdania o tym, gdzie, ile i czego jest. Było tego mnóstwo, ale zanim zdążyliśmy to zewidencjonować, akcja została odwołana. Teraz podróże pociągami zasadniczo różniły się od tych z roku 1945 czy 1946. Wtedy jeździło się zatłoczonymi wagonami towarowymi, a nieraz i na dachu czy stopniach wagonu, lub nawet (raz) na parowozie.

W 1950 r. zostałem asystentem na nowo utworzonym Wydziale Lotniczym. W marcu 1951 z bardzo dobrym wynikiem zakończyłem studia, a w grudniu 1951. dostałem powołanie do wojska i zostałem zatrudniony w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. W latach 1970–1995 pracowałem w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN. W ciągu tych lat przyswoiłem kilka nowych specjalizacji, zostałem profesorem i kierownikiem zakładu. Byłem inicjatorem i twórcą dyfuzyjnej teorii zmęczenia metali [...], docenionej i rozwijanej następnie (po 1982 r.) na Zachodzie przez E. C. Aifantisa i współautorów — D. J. Bammanna, D. Walgraefa, C. Schillera etc., jak również popularyzatorem wiedzy o Karaimach [...]. Opublikowałem jako autor lub współautor ok. 180 artykułów z techniki lotniczej i kosmicznej, o roli defektów sieci krystalicznej w procesie pękania, wykorzystaniu metod akustycznych w badaniach ciał stałych, anomalii tarcia wewnętrznego w brązie krzemowym i związku emisji akustycznej z trwałością zmęczeniową metali oraz 12 książek, m.in. autor: *Lotnictwo. Mała encyklopedia* 1960 (wyd. II 1961), *Od Ikara mędrsi* 1965 (przekład na jęz. węg. 1968), *Lotnictwo i kosmonautyka – zarys encyklopedyczny* 1975, 1978, 1984; współautor: *Samoloty bojowe* 1969, i in.

Trzy razy byłem dosłownie o pół kroku od śmierci. Jako student, przy politechnice, jadąc rowerem trafiłem pod ciężarówkę, co to raptem wyłoniła się zza tramwaju. Innym razem samolot, który po wykonanym przeze mnie przelocie szybowcowym ściągnął mnie z szybowcem na wrocławskie lotnisko, wkrótce po odczepieniu, w pełnej ciemności, mając do dyspozycji lotnisko o powierzchni 60 ha, wylądował prosto na tym szybowcu ze mną w kabinie. Trzeci raz całkiem już banalny — motocykl, złamana ręka. Szczęście dopisywało, podobnie jak na granicy pod Grodnem.

A kiedy pisząc te słowa staram się cofnąć pamięć o tych drobnych kilkadziesiąt lat, całkiem nie wiem, jak to się stało, że tak szybko to wszystko minęło...

Szymon Pilecki
Warszawa



Ruiny zamku, Troki 1945 r.

INDEKS CZŁONKÓW SPOŁECZNOŚCI KARAIMSKIEJ WYSTĘPUJĄCYCH W *DZIENNIKU*

Abkowicz, Abraham Szemoel (1857–1941), syn Ananiasza, hazzana.

Abkowicz, Bogusław (1921–2004), syn Rafała, „Sławek”. Ożenił się z Zofią z Juchniewiczów. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu.

Abkowicz, Emanuel (1923–2009), syn Rafała. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu, następnie w jednej z podwrocławskich miejscowości.

Abkowicz, Gabriel (ur. 1934), syn Rafała. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu, następnie w Kaliszu.

Abkowicz, Michał (1925–1983), syn Rafała. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu.

Abkowicz, Natalia z Firkowiczów (1901–1986), córka Bogusława, żona Rafała. Ciotka autora (siostra jego matki). Matka Bogusława, Emanuela, Michała i Gabriela. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu.

Abkowicz, Rafał (1896–1992), syn Abrahama Samuela. Hazzan (duchowny karaïmski). W latach 1938–1946 hazzan kienesy wileńskiej, po wojnie w ramach łączenia rodzin repatriował się z młodszymi synami do Wrocławia. Tu pracował jako księgowy, pełniąc jednocześnie posługę hazzzańską. Wuj autora (mąż jego ciotki).

Chorczenko, Aleksander. Mieszkał przy ul. Bufałowej (dom spłonął podczas bombardowań w lipcu 1944 r.).

Chorczenko, Szymon (1912–1987), syn Mojżesza, „Chlyzia”, z zawodu fryzjer.

Chorczenko, Wiera (zm. 1968).

Czaprocki, Józef (1925–2005), syn Daniela.

Czaprocki, Leon (1914–1968), syn Samuela.

Dubinski, Gabriel (1924–1999), syn Eliasza. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu.

Dubińska Nina (1908–1995), córka Józefa „Krawca”, później wyszła za mąż za Józefa Awię Zajączkowskiego.

Dubińska, Alina (ur. 1937), później żona Marka Ławrynowicza.

Dubińska, Beata z Łobanosów (1870–1950), córka Józefa, żona Eliasza.

Dubińska, Biana (1929–1956), córka Józefa.

Dubińska, Emilia (ur. 1933), córka Józefa, później żona Michała Nowickiego „Miniaka”. Po ślubie zamieszkała w Gdańsku.

Dubińska, Kamila (1979–1958), córka Ananiasza Dubińskiego, żona Józefa Jehoszuwy.

Dubińska, Kamila z Pileckich (1905–1990), córka Szymona, dzierżawcy Malowanki, żona Józefa Dubińskiego, ciotka autora (siostra jego ojca). Matka Bijany, Zofii Robaczewskiej, Emilii Nowickiej, Michała, Aliny Ławrynowiczowej i Juliana.

Dubińska, Zofia (1915–2008), córka Józefa Jehoszuwy „Krawca”. Turkolog. Po wojnie zamieszkała w Warszawie.

Dubińska, Zofia (ur. 1931), córka Józefa, później żona Aleksandra Robaczewskiego.

Dubiński, Aleksander (1924–2002), syn Józefa, „Olek”. Po wojnie zamieszkał w Warszawie. Turkolog. Pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego.

Dubiński, Józef (1879–1949), syn Szymona, „Krawiec”.

Dubiński, Józef (1904–1968), syn Eliasza, „Drąg”, „Kukuć”, mąż Kamili z Pileckich. Szwagier ojca autora.

Dubiński, Michał (ur. 1935), syn Józefa.

Dubiński vel Dubo-Dubiński, Michał, syn Eliasza, „Hrabia”. Po wojnie osiedlił się w Kanadzie.

Dubiński, Mikołaj (1920–1992), syn Eliasza. Ekonomista. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu.

Firkowicz, Ada (ur. 1923), córka Szymona, Ułłu Hazzana, później żona Bogusława Firkowicza „Borki”. Zamieszkała po wojnie w Gdańsku.

Firkowicz, Anna z Mickiewiczów (1902–1990), wdowa po Józefie Firkowiczu (1894–1939), synu Abrahama. Matka Lidii Maszkiewicz, Michała, Zofii Firkowicz i Romualda.

Firkowicz, Bogusław (1917–1973), syn Salomona, „Borka”. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku.

Firkowicz, Gabriel (1927–1940), syn Abrahama („Abram Palczyka”).

Firkowicz, Jerzy (1943–1946), syn Michała. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu. Zginął tragicznie (utonął) w Przeworynie.

Firkowicz, Józef (1894–1939), syn Abrahama. Zmarł we wrześniu 1939 r. w Zakopanym, w sanatorium.

Firkowicz, Józef (1896–1963), syn Bogusława. Brat matki autora. Pracował jako chemik w cukrowni w Krasieńcu, woj. mazowieckie (podczas wojny na terenach Generalnej Guberni). Po wojnie był dyrektorem cukrowni w Otmuchowie, następnie zamieszkał we Wrocławiu.

Firkowicz, Józef (1924–2009), syn Szymona, Ułłu Hazzana, hazzan w Trokach w latach 2004–2009.

Firkowicz, Julian (1917–1997), syn Abrahama. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku.

Firkowicz, Kamila z Kobeckich (1873–1952), córka Juliana, „Bogusiowa”, wdowa po **Bogusławie Firkowiczu** (1865–1915), Ułłu Hazzanie, p.o. hachama. Matka Szymona, Józefa, Elizawiey Pileckiej, Natalii Abkowiczowej, Zuzanny Robaczewskiej, Michała i Zinaidy. Babcia po kądzieli autora.

Firkowicz, Lidia (ur. 1922), córka Józefa, później żona Igora Maszkiewicza.

Firkowicz, Michał (1908–1969), syn Bogusława. Wuj autora. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu, następnie w Warszawie.

Firkowicz, Michał (1924–2000), syn Józefa, Ułłu Hazzan w latach 1991–2004.

Firkowicz, Nina (1921–1987), córka Szymona, Ułłu Hazzana, później żona Marka Kozyrowicza.

Firkowicz, Szymon (1920–1976), syn Uzii. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu, następnie w Warszawie. Elektronik, profesor Instytutu Automatyki PAN, (obecnie) Instytutu Badań Systemowych PAN.

Firkowicz, Tamara ze Szpakowskich (1910–2000), „Kura”, córka Aleksandra Szpakowskiego, szammasza trockiego, żona Michała Firkowicza, brata matki autora. Matka Jerzego. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu, następnie przeniosła się do Warszawy.

Firkowicz, Tatiana (1915–1987), córka Salomona, później żona Nisana Szpakowskiego „Sańka”.

Firkowicz, Zarach (Zenon) (1906–1958), syn Salomona. Poeta. Pełnił obowiązki hazzana w Poniewieżu. Posiadał uprawnienia do karaimskiego uboju rytualnego.

Firkowicz, Zinaida (1912–1988), córka Bogusława, ciotka autora (siostra jego matki).

Juchniewicz, Anna (ur. 1936), córka Józefa, później żona Romualda Szpakowskiego.

Juchniewicz, Józef (1888–1966), syn Marka, mąż Niny z Pileckich. Szwagier ojca autora, ślusarz.

Juchniewicz, Marek (1924–2008), syn Józefa.

Juchniewicz, Maria z Kobeckich (1897–1979), córka Gabriela Aleksandra, „Marynia”, żona Szymona Juchniewicza.

Juchniewicz, Nina z Pileckich (1896–1984), córka Szymona. Siostra ojca autora. Matka Marka, Szymona, Zofii Abkowicz i Anny Szpakowskiej.

Juchniewicz, Szymon (1893–1960), syn Marka.

Juchniewicz, Szymon (ur. 1927), syn Józefa.

Juchniewicz, Zofia (ur. 1931), córka Józefa, później żona Bogusława „Sławka” Abkowicza. Po ślubie zamieszkała we Wrocławiu.

Jutkiewicz, Grażyna (ur. 1940), córka Izajasza Jutkiewicza.

Jutkiewicz, Izaak (1912–1976), syn Ludwika, „Isacza”. Po wojnie zamieszkał w Pruszkowie.

Jutkiewicz, Izajasz (1897–1973), syn Ludwika, „Waligóra”. Jeszcze przed wojną mieszkał w Warszawie.

Jutkiewicz, Józef (1903–1970), syn Ludwika, „Pietuch”. Po wojnie zamieszkał w Warszawie.

Jutkiewicz, Józef (1910–1987), syn Efima, „Agronom”, „Szłapak”.

Jutkiewicz, Maria (1926–1987), córka Arkadiusza, później żona Marka Juchniewicza.

Jutkiewicz, Michał (1900–1975), syn Efima, „Kaban”. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku.

Jutkiewicz, Nadzieja z domu Dubińska (1906–1990), córka Jozeusza „Krawca”, żona Izajasza. Matka Grażyny. Przed wojną zamieszkała z mężem w Warszawie.

Jutkiewicz, Olga z domu Kobecka (1918–1984), „Lusia”, córka Awenira Kobeckiego, później żona Józefa Jutkiewicza. Matka Walentyny.

Kapłonowski, Aleksander (1915–1986), syn Joachima.

Kapłonowski, Michał (1919–1994), syn Joachima.

Kobecka, Anna (1904–1993), córka Józefa Szyszmana, primo voto Rojecka, „Niusia”. Matka Żeni, Ireny i Jerzego. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu, następnie w Warszawie.

Kobecka, Eugenia (ur. 1926), córka Michała Kobeckiego, „Żenia”. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu, następnie w Warszawie.

Kobecka, Irena (ur. 1929), córka Michała, siostra Żeni. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu, następnie w Warszawie.

Kobecka, Lubow (1908–?), córka Eliasza, siostra ojca Żeni. Po I wojnie światowej zamieszkała w Paryżu (Francja), następnie w Manilli (Filipiny).

Kobecka, Natalia z Pileckich (ur. 1922), córka Aleksandra, „Tala”, siostra autora, żona Jerzego Kobeckiego. Matka Jerzego.

Kobecka, Szoszanna, córka Szałtiela Chorczenki, wdowa po Julianie Kobeckim. Matka Kamili Firkowiczowej „Bogusiowej”, Awenira Kobeckiego, męża Wiery Alfonsownej i Romualda.

Kobecka, Tatiana, (1873–1957), córka Michała Szpakowskiego, „Tatiana Michajłowna”, babka Żeni. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu, zmarła w Cannes we Francji w drodze do mieszkającej na Filipinach córki.

Kobecka, Weronika ze Szpakowskich (1885–1975), córka Alfonsa, wdowa po Awenirze Kobeckim, „Wiera Alfonsowna”. Matka Olgi „Lusi”, Jerzego i Juliana „Jula”. Po wojnie zamieszkała we Wrocławiu.

Kobecka, Zofia z Ławreckich (1883–1953), córka Jakuba Szymona, żona Romualda, przed wojną prowadziła z mężem sklep tytoniowy w Trokach.

Kobecki, Jerzy (1921–1987), syn Awenira i Weroniki ze Szpakowskich, kuzyn i później mąż Tali, siostry autora.

Kobecki, Jerzy (1945–1999), syn Jerzego i Tali, „Jurasek”.

Kobecki, Jerzy (1928–1989), syn Michała, brat Żeni. Po wojnie zamieszkał w Warszawie.

Kobecki, Julian (ur. 1924), syn Awenira. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu.

Kobecki, Michał (1905–1987), syn Eliasza, ojciec Żeni, Jurka i Iry.

Kobecki, Romuald (1871–1940), syn Salomona, brat babki autora.

Kobecki, Szymon (1911–1985), syn Aleksandra, „Waśka”, „Figofago”. Animator kultury karaimejskiej, poeta.

Kowszanły, Michał (Musa). Karaim krymski. Mieszkał w Berlinie. Wyemigrował do Argentyny.

Kozyrowicz, Marek (1921–1995), syn Johoszuwy.

Ławrynowicz, Liza z Jutkiewiczów (1911–1980), córka Ludwika, żona Romualda Ławrynowicza.

Ławrynowicz, Michał (1912–1977), syn Józefa, „Priedsiedatiel”.

Ławrynowicz, Romuald (1909–1980), syn Józefa. Żonaty z Lizą z Jutkiewiczów.

Ławrynowicz, Towiasz (1923–2005), syn Józefa. Później żonaty z Julią z Nowickich.

Łopatto, Dorota („Dusia”), córka Szymona Łopatto, żona Marcina Łopatto, „Markunia”.

Łopatto, Konstanty (1896–1974), syn Romualda, lekarz-ginekolog.

Łopatto, Marcin (1911–1996), syn Salomona.

Łopatto, Marcin, „Markuń”.

Łopatto, Nadzieja (ur. 1924), córka Konstantego, później żona Gienka Pileckiego.

Łopatto, Raisa (1897–1956), córka Szymona, później Zajączkowska.

Malecki Eugeniusz (1918–1980), syn Jakuba, „Żeńka”, później mąż Zofii Firkowicz, secundo voto Tynfowicz.

Maszkiewicz, Estera (1855–1953), „Piedosia”, „Piedot”, starsza Karaimka mieszkająca w karaimskim domu dla ubogich i samotnych (tzw. „bohodelni”).

Michajłowicz, Anna z Czaprockich (ur. 1924), córka Daniela, „Niusia”, żona Zachariasza Michajłowicza.

Nowicka, Anna (1922–2003), córka Józefa Nowickiego „Machały”.

Nowicka, Emilia z Grygulewiczów (1903–1969), córka Benedykta Grygulewicza, „Beneduczanka”, później żona Aleksandra Nowickiego.

Nowicka, Helena (ur. 1925), córka Szymona Nowickiego „Faceta”.

Nowicka, Julia (1922–1977), córka Szymona Nowickiego „Faceta”, później żona Towii Ławrynowicza.

Nowicka, Kamila z Łopattów (1894–1980), córka Szymona, „Awolunciova”, żona Abrahama Nowickiego.

Nowicki, Aleksander (ur. 1917), syn Józefa „Mojfieta”. Później żonaty z Zofią Pilecką. Lekarz. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku.

Nowicki, Dawid (1888–1953), syn Samuela.

Nowicki, Izaak (1889–1978), syn Samuela, „Chalastoj”, trocki szewc.

Nowicki, Józef (1882–1937), syn Mojżesza, „Mojfiet”.

Nowicki, Michał (1924–1990), syn Józefa (Mojfieta), „Mińka”, „Miniak”. Później żonaty z Emilią Dubińską. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku.

Pilecka, Asia ze Szpakowskich (1906–1980), żona stryja autora, Michała Pileckiego, matka Zofii Nowickiej i Maniusi Eszwowicz.

Pilecka, Elżbieta z Firkowiczów (1898–1981), córka Bogusława, (Liza) matka autora, Natalii (Tali) i Romualda.

Pilecka, Helena z Chorczenków (1903–1987), żona Szymona, primo voto Eszwowicz.

Pilecka, Maria (1929–2007), córka Michała Pileckiego.

Pilecka, Zofia (ur. 1927), córka Michała Pileckiego, później żona Aleksandra Nowickiego.

Pilecki, Aleksander (Awiezier) (1897–1971), syn Szymona, ojciec autora.

Pilecki, Awja (1893–1962), syn Szymona, zarządca w Malowance, stryj autora.

Pilecki, Edward (1905–1980), syn Józefa, „Aziuk”.

Pilecki, Elias (1917–1990), syn Owadiasza, „Pedagog”.

Pilecki, Emanuel (1936–1989), syn Awji.

Pilecki, Eugeniusz (1920–1982), syn Ananiasza (z Poniewieża), mąż Nardziei Łopatto.

Pilecki, Gabriel (1923–2004), syn Romualda, z Poniewieża, „Gabryk”, „Gabrytia”.

Pilecki, Leonid (1913–?), syn Ananiasza.

Pilecki, Romuald (1927–1972), syn Aleksandra, brat autora.

Pilecki, Szymon (1879–1940), syn Szymona. Ojciec Jana, „Janka”, pracownika Polskiego Radia, więźnia Oświęcimia.

Pilecki, Szymon (ur. 1927), syn Awji. Entomolog. Profesor Uniwersytetu Przyrodniczego w Kownie. Brat cioteczny autora.

Poziemska, Nina z Rojeckich (1888–1970), córka Eliasza, „Nimeczka”, żona Jakuba, matka Józefa „Piziutka” i Tamary.

Poziemska, Tamara (1924–1970), córka Jakuba Poziemskiego, siostra „Piziutka”.

Poziemski, Jakub Szymon (1979–1956), syn Józefa, szamasz wileński.

Poziemski, Józef (1923–1993), syn Jakuba, „Osia”, „Pizia”, „Piziutek”. Po wojnie zamieszkał w Ełku.

Robaczewska Walentyna (1935–2009), córka Gabriela, później żona Szymona Pileckiego, syna Awji.

Robaczewska, Elżbieta (ur. 1930), córka Gabriela, później żona Ananiasza Bezekowicza,

Robaczewska, Irena (ur. 1932), córka Gabriela.

Robaczewska, Zuzanna z Firkowiczów (1903–1983), córka Bogusława, żona Gabriela.

Robaczewski, Gabriel (1901–1987), syn Elisieja, „Gara”.

Rojecka, Elżbieta ze Szpakowskich (1901–1982), córka Samuela Abrahama, „Liza Sza”.

Rojecki, Isaj (1981–1954), syn Eliasza.

Rojecki, Johonadaw (1911–1976), syn Eliachu, „Jona”. Adwokat z Poniewieża.

Sulimowicz, Walentyna z Łobanosów (1910–1998), córka Józefa, hazana wileńskiego i łuckiego. Po wojnie zamieszkała w Gdyni.

Szapszał, Hadży Seraja (1873–1961), syn Marka, przywódca duchowy Karaimów. W latach 1915–1918 hacham taurydski, od 1928 r. hachan karaimski w Polsce. Orientalista, badacz języka i dziejów Karaimów.

Szpakowska, Anna (ur. 1924), córka Mikołaja, żona Michała Kapłonowskiego, „Niura”.

Szpakowska, Anna z Juchniewiczów (1889–1947), córka Marka.

Szpakowska, Elżbieta z Chorczenków (1888–1969?), „Gdańska”. Po wojnie zamieszkała w Argentynie. Matka Niny Szpakowskiej-Kowszanły.

Szpakowska, Nina (1929–1975), córka Szymona, „Gdańska”, później żona Michała Kowszanły. Po wojnie zamieszkała w Argentynie.

Szpakowski, Aleksander (Achiezier) (1870–1953), syn Szemoela Abrahama. Szammasz w Trokach.

Szpakowski, Józef (ur. 1930), syn Mikołaja. Po wojnie zamieszkał w Słupsku.

Szpakowski, Szymon Salomon (1880–1974), „Gdański”. Do roku 1922 mieszkał w Gdańsku, po wojnie osiedlił się w Argentynie.

Szpakowski, Wiktor (1922–1986), syn Mikołaja. Po wojnie zamieszkał w Słupsku, następnie w Gdańsku.

Szyszman, Daniel (1921–1989), syn Abrahama, inżynier fortyfikacji. Po wojnie wyjechał z siostrą Elmirą na Krym.

Tynfowicz, Adolf (1924–1995), syn Zachariasza, „Awuncik”. Po wojnie zamieszkał w Gorzowie Wielkopolskim.

Tynfowicz, Batszewa z Rojeckich (1892–1971), córka Rafała, żona Eliasafa.

Tynfowicz, Eliasaf (1984–1958), syn Abrahama, Ojciec Tamary, późniejszej Firkowicz.

Tynfowicz, Józef (1914–1970), syn Zachariasza, brat Awuncika, marynarz Polskich Liniach Oceanicznych, wyemigrował do USA.

Tynfowicz, Michał (1912–1974), syn Samuela, „Micha-piś”.

Tynfowicz, Rafał (1921–2003), syn Eliasafa, brat Tamary, wyemigrował do USA.

Zajączkowska, Anna (1926–2009), córka Adolfa „Papy Awy”.

Zajączkowska, Marianna (1925–1990), córka Izaaka, później żona Zygmunta Abrahamowicza, turkologa. Po wojnie zamieszkała w Krakowie. Poetka. Tłumaczka.

Zajączkowska, Nadieżda ze Szpakowskich (1894–1945), córka Samuela.

Zajączkowski, Aleksander (1924–1974), syn Ananiasza, brat Michała.

Zajączkowski, Ananiasz (1888–1960), syn Romualda. Kuzyn profesora, turkologa.

Zajączkowski, Izaak (1889–1945), syn Achieziera, ojciec Marianny. Mieszkał z rodziną przy ul. Gimnazjalnej nieopodal gimnazjum im. Orzeszkowej. Prezes gminy karaimskiej. Aresztowany przez Sowieców w r. 1944. Po wojnie zamieszkał w Krakowie.

Zajączkowski, Józef-Awja (1894–1966), syn Romualda.

Zajączkowski, Michał (ur. 1922), syn Ananiasza.

Zajączkowski, Romuald (1922–1993), syn Józefa-Awji.

Zajączkowski, Włodzimierz (1914–1982), syn Józefa-Awji. Turkolog. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.